

Tanner Janet

Oko za oko

czyli Rewanż po latach

Rozdział pierwszy

St Helier, Jersey, 1990

Teczka leżała na samym dnie szafki, pokryta grubą warstwą kurzu i ciasno obwiązana różową tasiemką. Była to gruba teczka o pozalamywanych rogach. Wystawało z niej kilka kawałków papieru, a na wierzchu napis grubym czarnym mazakiem i naklejka z drukiem maszynowym głosiły tę samą treść:

PROKURATOR GENERALNY przeciw SOPHII LANGLOIS Listopad 1972

Dan Deffains wyciągnął teczkę z szafy, przysiadł na piętach

1 przypatrzył się z zainteresowaniem zakurzonej zdobyczy. Nienawidził każdej chwili, którą musiał spędzić przy tej pracy. Nie dość, że jego ojciec, wzięty adwokat i wyjątkowo porządny człowiek, tak nagle zmarł będąc jeszcze w pełni sił, to w dodatku na Dana spadło zadanie zwinięcia biura, wokół którego kręciło się całe życie ojca. Z jednej strony stanowiło to bolesny obowiązek, bo wymagało wkroczenia w świat starszego pana, którego obecność wciąż jeszcze była wyraźnie wyczuwalna, a tyle rzeczy pozostało i nie miało zamiaru odejść wraz z nim. Z drugiej zaś likwidacja biura była potwornie długotrwała i przerażająco nudna. Daniel Deffains Senior pracował w tym samym biurze przez ponad trzydzieści lat i - jak się wydawało już na pierwszy rzut oka - nigdy niczego nie wyrzucił. Przestronne

Janet Tanner

pomieszczenie było wypełnione do granic możliwości; każda szafka i szuflada, nawet wolne przestrzenie podłogi zawałone były ogromnymi stertami starych listów i dokumentów, które już dawno przestały być dla kogokolwiek istotne. W większości były to dokumentacje dawno zapomnianych i - co tu ukrywać - niezbyt interesujących spraw oraz papiery związane z rutynowym działaniem kancelarii. Dan nie miał specjalnych zahamowań przed przeznaczaniem ich na makulaturę.

Ale to nie dotyczyło tej teczki. Ta dokumentacja to co innego.

Dan wyprostował się i przetaił teczkę rękawem swetra. Chmura kurzu uniosła się w powietrze i zaatakowała jego nozdrza, przyprawiając go o napad kichania.

„PROKURATOR GENERALNY przeciw SOPHII LANG-LOIS:” Dan wiedział, że sprawa ta była jedną z obsesji ojca, że nigdy nie przestała go prześladować - mimo upływu niemal dwudziestu lat.

Sam Dan był wtedy, oczywiście, jeszcze chłopcem. Miał jedenaście lat i o wiele bardziej interesowało go kopanie piłki, zbijanie baków i jazda na ukochanym rowerku, niż jakaś sprawa o morderstwo - niezależnie od tego, jak bardzo zdawała się ona tajemnicza i jak sławni byli jej bohaterowie. Dużo później, kiedy wstąpił do Policyjnych Sił Wyspy Jersey (wbrew życzeniom ojca, rozpaczliwie usiłującego zachować nadzieję, że syn pójdzie w jego ślady i przystąpi do rodzinnej kancelarii), przez krótki czas zastanawiał się jeszcze nad tym, mając w pamięci ojcowską fascynację Sophią Langlois. Pamiętał ją jednak jak na wpół zapomniany sen - raczej posmak niż szczegóły - niewiele więc wody upłynęło, nim codzienna policyjna rutyna i bieżące śledztwa wyparły myśli o sprawie Langlois, która już wówczas była zamknięta i zakończona. Jednak teraz wszystko się zmieniło. Dan nie był już policjantem. Przeznaczenie - i pijany kierowca - przed dwoma laty położyli przedwczesny kres jego karierze

1 obecnie Dan zarabiał na życie jako reporter-detektyw. Na widok napisu na tej teczce umysł Dana zaczął gwałtownie pracować, a zainteresowanie szybko wzrosło.

OKO ZA OKO

3

Co takiego ojciec zawsze powtarzał? „Ona tego nie zrobiła! Jestem całkowicie pewny! Jak mam jej bronić, kiedy tak uparcie twierdzi, że jest winna?”

Kącik ust Dana drgnął i uniósł się lekko w górę. Nadarzyła się wymówka, żeby na chwilę przerwać nudę sortowania starych akt. Wstał - wysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna w dżinsach i szarym swetrze - i wcisnął guzik intercomu, łączącego go z biurem piętro niżej.

- Jest jakaś szansa na filiżankę kawy, Carol?

- Chyba tak. Zaraz będę.

- Dzięki.

Dla rozprostowania nóg przeszedł przez pokój i czekając na nią stanął przy oknie. Ulica poniżej buzowała nieprzerwanym strumieniem samochodów. Dan pomyślał, że skoro tak jest teraz, w kwietniu, to Bóg jeden wie, jak będzie wyglądała po rozpoczęciu sezonu. To był właśnie cały kłopot z Jersey. Wąskie, kręte uliczki nie były przeznaczone dla tysięcy wynajętych samochodów, prowadzonych przez ludzi nie mających pojęcia, dokąd właściwie chcą jechać. Nie były też przeznaczone dla pijanych kierowców. Zresztą, nigdzie na tym bożym świecie nie było dla nich miejsca. Bydło.

Dawno, dawno temu - przed dwoma laty - Dan z wielką przyjemnością zostałby katem śmiertelnie nieodpowiedzialnego idioty, który spędził Wigilię systematycznie się zalewając, po czym wsiadł do samochodu, zignorował - a zapewne w ogóle go nie zauważył - znak STOP na skrzyżowaniu i wjechał wprost na motocykl Dana. Ten straszny brak wyobraźni spowodował koniec kariery Dana, bo jedna z jego nóg uległa tak skomplikowanym złamaniom, że uznano go za niezdolnego do dalszej czynnej służby.

Ale okaleczenie Dana było tylko częścią osiągnięć tego pijanego bydlaka. Były gorsze. Marianna, żona Dana od pięciu miesięcy, w momencie wypadku siedziała na tylnym siodełku. I bez względu na to, jak ciężkie były obrażenia Dana, wiedział, że właściwie mu się upiekło. Mariannie nie. Została tak straszliwie

Janet Tanner

ranna w głowę, że po trwającej niemal miesiąc śpiączce zmarła, nie odzyskawszy przytomności. Na myśl o tych wydarzeniach skórę Dana wciąż jeszcze pokrywał lepki pot, ale właściwie już nie odczuwał chęci zabicia pijanego kierowcy; jego nienawiść już się wypaliła. Teraz zgorzkniałość i uraza wiązały się tylko z policją, która pozbyła się go, wyrzuciła na śmietnik akurat w momencie, gdy do wypełnienia pustych dni najbardziej potrzebował pracy, jakiegoś poczucia normalności, którego mógłby się uchwycić w tym morzu bólu i samooskarżeń. Bo przecież - mimo że wiedział, iż wypadek nie był z jego winy - nie umiał przestać obwiniać się o to, co się stało.

W tych czarnych dniach ojciec po raz kolejny usiłował przekonać go do zostania adwokatem i przyłączenia się do firmy prawniczej, z której był tak dumny. Upierał się, że jeszcze nie jest za późno. Przecież Dan mógł wciąż podjąć naukę w Caen - tak jak jego ojciec - w starym, tradycyjnym stylu. Jednak Dan odmówił. Teraz, pogrążony w żałobie po ojcu, rozumiał, że było to niewdzięczne z jego strony, ale wciąż uważał, że postąpił właściwie. W tym przekonaniu utwierdzało go już samo sortowanie koszmarnych stert dokumentów. Nie dla niego były wymyślne argumentacje i kruczki prawne. Nie fascynowały jego nieakademickiego umysłu, a niecierpliwa natura nie czerpała z nich najmniejszej satysfakcji. Potrzebna mu była akcja, podniecenie czy wręcz dreszcz, jaki wywołałaby sprawa, którą się zajmował. Powiedział to ojcu mając lat osiemnaście i od tamtej pory właściwie nic się nie zmieniło.

- Kawa!

Dan odwrócił się od okna i zobaczył, jak przez wahadłowe drzwi wchodzi sekretarka ojca z tacą w rękach. Na tacy stała ogromna filiżanka i dzbanek kawy. Czując aromat poruszył z uznaniem nozdrzami.

- Cudownie pachnie! - powiedział nie zwracając uwagi na rumieniec zadowolenia, który wykwitł na policzkach Carol. Jak dla wszystkich przedstawicielek płci przeciwnej, i dla niej Dan

był nieodmiennie atrakcyjny, czego w niczym nie umniejszał fakt, iż Carol była trzydziestotrzyletnią, od dawna zamężną kobietą. Dan był - jak sama mówiła swojej najlepszej przyjaciółce, Sheili - po prostu męski.

- To jest mężczyzna, i tyle - mówiła. - Nie po prostu przystojny, ale z najbardziej seksownymi oczami pod słońcem i z uśmiechem, pod którym stapiasz się jak wosk. Ale - dodawała zwykle - o ile wiem, od czasu śmierci żony nawet nie spojrzął na inną kobietę. Co za strata!

Właśnie teraz Dan skierował do niej swój sławny uśmiech.

- Chyba wreszcie zaczynam dochodzić do końca. A jak ty sobie radzisz?

- Wydaje mi się, że nieźle. Ale nie śpieszę się zanadto. Chyba zdajesz sobie sprawę, że jak tylko się z tym wszystkim uporamy, zostanę bez pracy?

- Tak, przykro mi, Carol. - Jego uśmiech znikł. - Żałuję, że nie mogę nic dla ciebie zrobić, ale to zwyczajnie niemożliwe. Oczywiście, jeśli nie liczyć tego, że jak tylko usłyszę, że ktoś szuka godnej zaufania sekretarki, zaraz o tobie wspomnę. Czy gdyby się coś takiego nawinęło, byłabyś zainteresowana?

Carol skrzywiła się.

- Właściwie nie wiem. Może już nadszedł czas, żeby pomyśleć o pozostaniu w domu i założeniu rodziny? Bob już od dawna na to nalega, ale nie potrafiłam się zdobyć na powiedzenie twojemu ojcu, że odchodzę. Wiesz, byłam tu, od kiedy skończyłam siedemnaście lat, i sprawiała mi przyjemność myśl, że może starszy pan był trochę uzależniony ode mnie.

- Wiem, że był - powiedział Dan z przekonaniem.

- To śmieszne, ciągle jeszcze nie mogę uwierzyć, że nie żyje... Że go już nie zobaczę. Wciąż mi się wydaje, że wpadnie tu jak bomba, i że będzie miał ten wyraz twarzy, który zawsze oznaczał, że

mu dobrze poszło w sądzie. I spyta mnie, co nowego. - Odwróciła się nagłym ruchem, czując pod powiekami łzy. - Przepraszam, nie chciałam robić sentymentalnej sceny. Po prostu bardzo go lubiłam.

Janet Tanner

- Wiem - cicho stwierdził Dan. - Mnie też go brakuje.

- Lepiej już wezmę się do pracy. - Carol ruszyła do drzwi z nienaturalną zwawością. - Smacznego.

Dan powoli opadł na wielki, skórzany fotel ojca. Zasepił się. To śmieszne, jak zniecka można dostać po łbie. Robisz, co trzeba, jakby nigdy nic, i nagle uświadamiasz sobie, że robisz to dlatego, że on już nie wróci. Chryste, to nie do wiary! Człowiek tak silny, tak dominujący, gaśnie i znika ni stąd, ni zowąd w niecałą godzinę. Przecież nie był nawet stary! Miał tylko sześćdziesiąt pięć lat i nawet nie myślał o emeryturze.

Dan nalał sobie kawy, rozmieszał dwie łyżeczki brązowego cukru i wsypał porcję śmietanki. Lepiej już chyba dać sobie z tym wszystkim spokój, bo można skończyć tak samo. Ale jeszcze nie teraz. Dan z wyraźną przyjemnością łyknął kawy, przyciągnął teczkę Langlois do siebie i rozwiązał tasienkę.

- Dobra, tato - mruknął. - Zobaczmy, co cię tak męczyło.

W pół godziny później dzbanek po kawie był pusty, a Dan ciągle czytał. Niesamowite!

Szczególnie jeśli się weźmie pod uwagę, że zamieszani w to ludzie byli tak bardzo znani na wyspie. Cóż za zamęt musiał powstać! Z westchnieniem rezygnacji zamknął tekturowe okładki, odchylił się do tyłu i zamyślił się nad historią, którą prześledził czytając oświadczenia, zeznania i notatki, teraz już poźólkle ze starości.

Sophia Langlois, wówczas czterdziestosiedmioletnia, była wdową po Bernardzie Langlois, założycielu i właścicielu agencji turystycznej i łańcucha luksusowych hoteli, których już same nazwy były synonimami dyskretnej obsługi i nieskrępowanego dogadzania sobie przez zatrzymujących się w nich bogatych gości - La Maison Blanche, The Westerley, Les Belles Fleurs, The Behdlle. Dan znał Sopię z widzenia, ale nigdy nie miał okazji jej poznać - szczupła,

smukła kobieta z przedwcześnie rwsiwiałymi włosami, której prowadzony przez kierowcę Bentley prześlizgiwał się czasami przez zatłoczone, pełne biznesmenów

OKO ZA OKO

9

i turystów uliczki St Helier. Sophia Langlois miała w sobie jakiś głęboki wewnętrzny spokój, który zdawał się wykluczać powiązania z jakimkolwiek skandalem, a co dopiero z gwałtowną śmiercią. Ale właśnie takie wydarzenie wstrząsnęło wyspą osiemnaście lat wcześniej, a ofiarą był syn Sophii, Louis.

Z akt sprawy Dan dowiedział się, że było trzech synów Langlois; Louis i Robin - wówczas obaj pomiędzy dwudziestym piątym a trzydziestym rokiem życia - oraz młodszy chłopak, jeszcze nastolatek. Dan doszedł do wniosku, że musi to być David Langlois, aktualna głowa imperium hotelowego.

W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim, wkrótce po śmierci ojca chłopców, Bernarda (musiał być jeszcze młodszy niż mój ojciec, pomyślał Dan, ciekawe, dlaczego wykitował), kontrolę nad imperium hotelowym przejęło dwóch starszych synów. Między wierszami dokumentów w aktach Dan zdołał wyczytać, że spowodowało to natychmiast wszelkie możliwe tarcia rodzinne, ale nikt nie zdołał przewidzieć takiego zakończenia.

Pewnej listopadowej nocy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku Sophia była na jakimś wyjątkowo uroczystym przyjęciu w St Helier. Wyszła z niego wcześniej, skarżąc się na zmęczenie. Kierowca odwiózł ją z powrotem do rodzinnej posiadłości na północnym wybrzeżu wyspy. Potem, po dwunastej w nocy, Sophia zadzwoniła do Dyżurnego Miasta. Jej słowa zostały nagrane na magnetofon, a później przytoczone dosłownie w raporcie:

- Mówi Sophia Langlois z La Grange. Myślę, że potrzebne jest mi pogotowie i policja. Właśnie zastrzeliłam swojego syna.

Dan rozparł się w miękkiej skórze, wyobrażając sobie zamieszanie, jakie wywołał ten telefon - syreny i błyskające światła pędzących przez noc policyjnych wozów, których załogi wciąż jeszcze musiały być na wpół przekonane, że to jakiś głupi dowcip, telefony do techników policyjnych, fotografów, setnika obwodowego... i adwokata Sophii, jego ojca. Cóż to musiała być za noc!

Janet Tanner

Ale dlaczego, zastanawiał się Dan ze zmarszczonym czołem, ojciec tak się upierał, że Sophia tego nie zrobiła? Gorliwość w obronie klienta to dobra rzecz, jednak z papierów wynikało jasno, że sprawa była poprowadzona prawidłowo i została zamknięta.

Louis Langlois nie żył, zastrzelony z własnego rewolweru. Sophia od początku do końca twierdziła, że jest winna. Policja najwyraźniej uwierzyła w tę historię i z zadowoleniem dołączyła przyznanie do winy do swych ustaleń dochodzeniowych. Dlaczego więc ojciec zabrał ze sobą do grobu absolutne przekonanie o niewinności Sophii?

Dan pokręcił w zadumie głową, zawiązał tasemki wokół teczki i zamachnął się, żeby rzucić ją na stos przeznaczony na makulaturę. W ostatniej chwili zmienił jednak zdanie i położył teczkę w narożniku biurka, pod kluczykami od auta i okularami przeciwsłonecznymi.

Być może po zakończeniu pracy w biurze rzuci jeszcze raz okiem na te dokumenty i upewni się, że niczego nie przeoczył. Choć nie bardzo umiał to sobie wyobrazić. Gdyby w aktach czegoś brakowało, gdyby istniał choć cień podejrzenia, że odpowiedzialny był ktoś inny, nie Sophia, nigdy by jej nie skazano - nie kogoś tak wpływowego jak ona. Jakkolwiek było, ojciec zrobił wszystko, żeby oskarżenie dotyczyło nie morderstwa, tylko zabójstwa. Sophia Langlois odsiedziała w więzieniu w Anglii tylko trochę ponad rok i wróciła na Jersey, jakby nic się nie stało. A jednak w umyśle Dana Seniora do końca życia pozostał znak zapytania na temat całej tej sprawy.

Teraz, mając w pamięci wielokrotnie wypowiedane wątpliwości ojca, jakoby Sopię Langlois można było oskarżyć o wszystko poza mówieniem prawdy w kwestii tej tajemniczej śmierci, Dan zaczął poważnie rozważać możliwość, że w owej historii istotnie było coś więcej, niż ujawniono w śledztwie. Czy Sophia kłamała, kiedy zadzwoniła na policję i przyznała się do zabicia swego syna

- a potem tak uparcie trzymała się tej wersji, że wolala raczej iść do więzienia, niż ją odwołać? A jeśli tak było, to dlaczego?

OKO ZA OKO

15

W duszy Dana zagrały instynkty tropiciela, dzięki którym był tak dobrym policjantem, a które teraz pomagały mu zarobkować przez ujawnianie niespodziewanych kręctw i ukrytych skandali. Poczul znajome ukłucia intuicji i reakcję zmysłów. Cóż to by była za historia, gdyby zdołał wykryć jakiś nie dostrzeżony dotąd aspekt sprawy, która wstrząsnęła społecznością wyspy niemal dwadzieścia lat temu! Co za artykuł!

Dan podjął decyzję; na pewno przestudiuje jeszcze raz tę sprawę, a potem przeprowadzi własne dochodzenie. Niemniej, bez względu na to, jak bardzo ekscytująco zapowiada się ta sprawa, chwilowo musi poczekać na swoją kolej. Choć dużo mniej interesujące, inne sprawy były w tej chwili pilniejsze.

Dan westchnął, oderwał wzrok od teczki Langlois i powrócił do nie kończącego się porządkowania dokumentów ojca.

Rozdział drugi

Sydney, Australia, 1991

Juliet Langlois popatrywała przez szerokość kuchni na swoją matkę i ojca i zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła zrozumieć któreś z nich.

Uważała, że ojciec nie jest jeszcze aż tak straszną tajemnicą. Można było spokojnie przyjąć, że jego brak zdecydowania i pragnienie spokoju za wszelką cenę wiele wyjaśniają. Robin nienawidził kłótni i wszelkich innych konfliktów, a najszcześniejszy był wówczas, gdy życie biegło spokojnie obok niego. Z zawodu księgowy, wielbił muzykę klasyczną, dobre wino i jej matkę - choć niekoniecznie w jej kolejności - i póki je miał, był zadowolony z życia.

Lecz Molly zawsze stanowiła dla Juliet zagadkę. Jak można dożyć czterdziestu pięciu lat i wciąż być tak naiwną? A jak można być tak naiwną i mimo to tak skrytą? Molly wykazywała się zupełnie dziecięcą prostodusznością i naiwnością. Nigdy też z pewnych rzeczy nie wyrosła; wciąż uwielbiała obgryzać lukier z ciastek i lizać lody, słuchała wyłącznie łatwej, bitowej muzyki i nie cierpiała zostawać sama. Jednocześnie jednak była skryta do granic paranoi. Zahaczenie o pewne tematy powodowało, że zamykała się w sobie, a gdy Juliet próbowała drażnić, matka przyjmowała tak faryzeuszowską postawę pokrzywdzonej niewinności, jakby zadawanie jej jakichkolwiek pytań równało się jej obrażaniu.

Właśnie teraz tak się działo.

OKO ZA OKO

17

- Juliet, czy nie możemy zmienić tematu? Nie chcę, żebyś jechała na Jersey i na tym koniec! Juliet westchnęła ze znużeniem i przeciągnęła dłonią po gęstwinie jasnobrązowych włosów, rozświetlanych promieniami letniego słońca Sydney. Lato właściwie już się skończyło, ale ciepłe i miłe dla oka promienie słońca wciąż grzały.

- Nie rozumiem, o co to całe halo. Tam się urodziłam, mieszkałam tam do czwartego roku życia, tam mieszka moja babcia i większość mojej rodziny. Skończyłam jedną pracę, a jeszcze nie zaczęłam drugiej. Jest to więc idealna okazja, żeby tam pojechać i wszystkich ich poznać. Jakie więc mogą być przeciwwskazania?

- To pół świata drogi! Nie możesz przecież ot tak jechać tak daleko!

- Dlaczego nie, na miłość boską?!

- Po prostu nie możesz. Poza tym, Seanowi to by się nie podobało.

- Sean nie jest moim właścicielem. Jest moim chłopakiem, a nie panem.

- Myślałam, że macie zamiar się zaręczyć.

- Mówisz to takim tonem, jakby to oznaczało karę dożywocia. Dobrze wiesz, że chcemy się zaręczyć, a w przyszłym roku pewnie weźmiemy ślub. Tym bardziej powinnam zrobić to teraz, zanim się przywiążę do domu i rodziny. Słuchaj, przepraszam, że jestem szorstka, ale naprawdę nie rozumiem, w czym problem. A skoro już przy tym jesteśmy, nie wiem, dlaczego żadne z was nie było tam przez prawie dwadzieścia lat.

Cisza, która zapadła po tym zdaniu, była zaskakująco zupełna. Orzechowe oczy Molly, ledwie o cień jaśniejsze od oczu Juliet, wyrażały oszołomienie, Juliet miała też wrażenie, że schowany za gazetą ojciec wstrzymał oddech. Zaśmiała się niepewnie.

- Hej! Co ja takiego powiedziałam?

- Co masz na myśli? To wszystko zaczyna być naprawdę wyjątkowo głupie... - niktęła Molly.

- O, tak, nieprawdaż? - zgodziła się z nią Juliet. - Jeśli myślicie, że nie widzę, że coś przede mną ukrywacie, macie mnie

Janet Tanner

chyba za idiotkę! Na miłość boską, mam, powiedz mi, o co chodzi! Co za ciemne tajemnice, których nie powinna odkryć, kryją się na Jdrsey?! Mam dwadzieścia trzy lata, nie możecie mnie wciąż traktować jak dziecko!

- Kiedy indziej, Juliet. Mam spotkanie w Towarzystwie Muzealnym.

- O nie, mam, tak łatwo się nie wywiniesz!

- Juliet, proszę!

- Ona ma rację, Molly. - Robin zwinął gazetę i zdjął okulary, przecierając palcami oczy. - Nie możemy ukrywać tego przed nią do końca życia.

- Ale przecież się umówiliśmy...

- Kiedy była małą dziewczynką. Uznałaś, że tak będzie najlepiej.

- Ty też! Ty też nie chciałaś, żeby się dowiedziała!

- O czym?! - wtrąciła się natarczywie Juliet. - O czym miałam nie wiedzieć?!

Robin zerknął na nią nerwowo. Czasami trudno mu było uwierzyć, że ta piękna młoda kobieta naprawdę jest jego córką, dzieckiem, które zabierał w wózek na długie spacerunki wokół złotozielonej wyspy Jersey. Tą małą dziewczynką, którą uczył pływać w ich prywatnym basenie tu, w Sydney. Pamiętał ją, kiedy miała sześć lat i siedziała okrakiem na grzbiecie swego pierwszego kucyka. Była malutka; jej krótkie nóżki z ledwością sięgały do połowy upasionych boków konika. Pamiętał, jak w wieku ośmiu lat chodziła na lekcje baletu w różowym body i getrach. To właśnie wtedy chyba pierwszy raz zdał sobie sprawę, na jak piękną dziewczynę się zapowiada. Ale i tak wciąż niemożliwe wydawało mu się powiązanie córeczki - jego małej, kochanej córeczki - z tą młodą kobietą, którą się stała. Juliet nie była wysoka jak na obecne standardy - pięć stóp sześć cali w grubo podgumowanych japonkach na zgrabnych stopach - ale była idealnie proporcjonalna, z odpowiednio umiejscowionymi zaokrągleniami, pasującymi do

łagodnych, pięknych rysów twarzy i długich, kształtnych nóg, opalonych na ciepły, złotawobrazowy kolor. Jeśli można wierzyć fotografiom, była bardzo podobna do

OKO ZA OKO

16

swojej babci - jego matki - w jej wieku, nie licząc oczu. Sophia bowiem, jego matka, miała szokująco ametystowe oczy, w najdziwniejszym kolorze, jaki widział w życiu.

Robin wstał. Poczł nagle ciężar smutku. To właśnie dlatego nigdy jej nie powiedział... że był tchórzem i myśli o pewnych rzeczach wydawały mu się nie do zniesienia.

- Tato, nie możesz tego tak zostawić! Musisz mi powiedzieć! - Juliet stanęła tuż przed nim.

Robin ominął ją.

- Matka ci opowie.

- No jasne, zwał wszystko na mnie! - zawołała za nim Molly z rozpaczą w głosie. - To dla ciebie typowe, prawda? - Ponieważ odpowiedź nie nadeszła, zwróciła się do Juliet. Niewysoka, krągła kobieta była teraz sfrustrowana i wściekła do granic wybuchu. - Zawsze był taki! Nigdy nie...

- Mamo, wiem, jaki on jest. Więc powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Na Boga, oczywiście, że chcę! Nawet gdybym przedtem nie chciała, to teraz tak, chcę usłyszeć! Całą tę tajemnicę!

Molly westchnęła, czując, że przegrała. Przez te wszystkie lata trzymali to w tajemnicy przed nią - oczywiście dla jej własnego dobra, jak się nawzajem upewniali. Często jednak Molly zastanawiała się, czy to był prawdziwy powód i czy nie popełniają strasznego błędu. Czasami była już naprawdę zmęczona ciągłymi kłamstwami, półprawdami i wymówkami. Robin nigdy by nie zaczął mówić o tym, co się stało. To nie byłoby w jego stylu. Ale nie oznaczało to, że któreś z nich zapomniało. Były chwile, że Molly żałowała, iż brak jej odwagi, by wreszcie przerwać narzucone sobie milczenie i raz na zawsze zrzucić z ramion ciężar ciągłych obaw i oczekiwania

na moment, w którym Juliet zada o jedno pytanie za dużo i nie da się zbyć, póki nie dostanie odpowiedzi. Wyglądało na to, że właśnie nadeszła ta chwila. Molly popatrzyła na córkę, która stała przed nią, jakby jej japonki zapuściły korzenie, zerknęła na pełną determinacji minę, którą

Janet Tanner

znała tak dobrze, i rozumiała, że tym razem nadszedł czas na prawdę - a przynajmniej jej część.

- No dobrze - zaczęła, usiłując zwalczyć słabość w głosie. - Powiem ci. Twój ojciec miał brata...

- Stryja Davida. Tak.

- Nie, nie Davida. David jest o wiele młodszy. Był jeszcze chłopcem, kiedy to się zdarzyło. Brat, o którym mówię, to Louis.

- Louis?

- Louis był o rok starszy od twojego ojca. Był... - Tym razem nie zdołała zapanować nad głosem, który zafalował i umilkł, a Molly przysłoniła usta dłonią, niebezpiecznie bliska łez.

- Mów dalej - naciskała Juliet.

Molly z ogromnym trudem przełknęła ślinę i przemogła skurcz krtani.

- Wiesz, to nie jest dla mnie łatwe.

- Wiem, ale musisz wreszcie spróbować.

Molly pokiwała głową Czasami miała wrażenie, że w jej kontakty z Juliet wkrada się coś dziwnego; jakby ich relacja się odwróciła i jakby to Juliet była matką, surową choć uprzejmą, a ona córką.

- Naprawdę się staram, Juliet. Ale musisz mi pozwolić opowiedzieć to po swojemu. - Zawahała się. - W rodzinie pojawiły się kłopoty. Twój dziadek, Bernard, dopiero co umarł. A to właśnie on rozkręcił ten interes hotelowy.

- Myślałam, że to prababcia i pradziadek, Lola i Charles!

- Owszem, oni mieli pierwszy zajazd, ale to było małżeństwo. Cała wizja powstała w głowie Bernarda, który w interesach był autokratą. Póki żył, żaden z chłopaków nie miał nic do powiedzenia na temat sposobów zarządzania i właśnie dlatego dziadek klócił się z Louisem, bo

nie pozwalał mu na wcielanie w życie jego nowych pomysłów. W każdym razie umierając Bernard zostawił swoje udziały po równo wszystkim synom. Louis wrócił na Jersey i natychmiast usiłował zrobić to, przed czym jego ojciec tak długo go powstrzymywał, a nawet jeszcze więcej. Pozostali próbowali oponować i kłótnie znów się zaczęły od początku, tyle że tym razem było już na noże. I wtedy został zastrzelony.

OKO ZA OKO

19

- Zastrzelony?

- Zastrzelony w swoim domu, w La Grange. A twoja babka przyznała się do tego czynu.

No. Stało się. Powiedziała to w końcu. Po tylu latach milczenia te słowa - i związane z nimi nierozzerwalnie emocje - powinny być już nieco stępione, ale z jakiegoś powodu wcale tak nie było. Zadawały ból i szokowały tak samo jak zawsze. Tyle że tym razem reakcje te pojawiły się wyraźnie na twarzy jej córki. Juliet zbladła pod złotą opalenizną. Spodziewała się wszystkiego, tylko nie tego.

- Mam rozumieć, że go zamordowała?,- wyszeptała Juliet, wymawiając to ostatnie słowo jak przekleństwo.

- Nie nazwano tego morderstwem. Twierdziła, że to był wypadek - i uwierzono jej.

Przynajmniej sąd jej uwierzył. - Oczy Molly lśniły gorączkowo, choć w ich wyrazie pojawiła się jakaś skrytość, nad którą w normalnych okolicznościach Juliet zaczęłaby się od razu zastanawiać. Ale nie teraz.

- Więc dlatego ty i tata opuściliście Jersey? - spytała.

- No, był to główny powód. Wiesz, jaki jest twój ojciec, więc możesz sobie wyobrazić, jak bardzo to wszystko znienawidził. Poza tym nie chcieliśmy, żebyś dorastała z tym piętnem,

- Ale skoro to był wypadek, to z pewnością...

Molly parsknęła i wykrzywiła zaciśnięte usta w pełen dezaprobaty grymas. Nagle zniknęła cała jej powściągliwość. Postawione przed wielu laty tamy zostały przerwane, śluzy się otwarły i zbierające się latami frustracje wypłynęły niepowstrzymanie.

- Strasznie dziwny wypadek, jeśli mam być szczerą. Co takiego robiła, wymachując załadowaną bronią? Nie, gdyby twoja babka nie była taką szanowaną damą, będącą na ty ze wszystkimi liczącymi się osobami, nigdy by jej to nie uszło na sucho.

- Chcesz powiedzieć, iż uważasz, że go zamordowała?

- Chcę powiedzieć, że nie wierzę, że do śmierci Louisa doszło w taki sposób, w jaki ona to przedstawiła. I to wszystko. Było to zbyt wygodne dla zbyt wielu ludzi. A skoro mnie to przyszło do głowy, musiało być więcej osób, które tak pomyślały. Poza tym...

Janet Tanner

- Urwała i odwróciła wzrok, przenosząc go gdzieś daleko. Przez chwilę w jej źrenicach pojawiła się cała głębia uczuć, czego Juliet nie dostrzegła. Potem Molly z wysiłkiem opanowała emocje. Kiedyś, dawno temu, czasem wręcz wydawało się jej, że było to w zupełnie innym życiu, nie umiała panować nad swymi uczuciami ani ich ukrywać. Ze wstydem uświadamiała sobie, że często zachowywała się wtedy okropnie, sprawiając innym mnóstwo kłopotów swą niezdolnością do pohamowania się. Teraz, dzięki Bogu, życie biegło już o wiele spokojniej, a ona zdołała się nauczyć usuwania z myśli tych rzeczy, o których myśleć nie chciała. Nawet stając z tymi rzeczami twarzą w twarz, tak jak teraz, umiała przynajmniej wykazać nieco samoopanowania i rozpoznać poczucie ulgi, związane z faktem, iż przynajmniej część tej historii nie jest już sekretem dla Juliet. Zdołała sobie nawet uświadomić, że myślenie o Louisie wciąż jeszcze sprawia ból - a przynajmniej tak jej się zdawało - i że nadal panicznie się boi, że wszystkie związane z jego śmiercią fakty mogłyby kiedyś ujrzeć światło dzienne i znowu ją prześladować.

Ale mimo całej swojej ostrożnej, wytrenowanej samokontroli przez chwilę Molly nie potrafiła się powstrzymać przed powrotem myślą do tej listopadowej nocy, kiedy Louis zginął. Przez moment znów stała - jak wówczas - w oknie swej sypialni, niezdolna do snu z lęku i nienawiści do samej siebie, wpatrując się w posrebrzone światłem księżycy pola i lasy i zastanawiając się bojaźliwie, gdzie jest Robin i dlaczego nie wrócił do domu. Nie mogąc dłużej tego znieść zadzwoniła do La Grange w nadziei, że porozmawia z Louisem i zrzuci z ramion ten przyprawiający ją o szaleństwo ciężar. Ale Louisa nie było. Telefon odebrała Sophia, zadziwiająco chłodna Sophia, która zbyła ją z niezwykłą i niezrozumiałą szorstkością. Molly nalala sobie dużą porcję dżinu i wróciła do okna w nadziei, że następne reflektory, które oświetlą dolinę, obwieszczą powrót Robina. Ale on wciąż się nie pojawiał. W końcu wzięła

tabletkę nasenną i poszła do łóżka. A kiedy kilka godzin później zbudził ją natarczywy dzwonek telefonu, Robina nadal nie było. Wyciągnęła rękę i znalazłszy obok siebie tylko chłodną pościel, wygrzebała się z łóżka i z głową

OKO ZA OKO

23

pełną waty powlokła się chwiejnie na dół na nogach, które nie chciały się poruszać.

- Robin? - zawołała głupawo. - Robin, to ty?

Ale to nie był Robin. Była to Viv, ciotka Robina, która chciała tylko przekazać wieści, iż Louis został zastrzelony, a Sophia, matka jego i Robina, aresztowana...

Przerażenie, jakie ją wówczas opanowało, jeszcze teraz zapierało dech i Molly przez ułamek sekundy poczuła ślepą wściekłość na Juliet za przywołanie tych wspomnień.

- Zrozumiałaś już chyba, dlaczego nie chcę, żebyś jechała na Jersey - rzuciła.

- Prawdę mówiąc nie. - Juliet przeszła przez kuchnię, otworzyła lodówkę i naląła sobie szklanek lodowatej wody. - Nie, inaczej - rozumiem, dlaczego nie chcesz, żebym tam jechała, ale nie widzę powodu, żeby tego nie zrobić.

- Przecież to to samo.

- Nie, to nie to samo. Nie chcesz, żebym jechała, bo to przywołuje mnóstwo złych wspomnień i bo... No, myślę, że się wstydzisz. Ale dla mnie to co innego. Ja nie mam złych wspomnień.

Właściwie nie pamiętam z Jersey niczego - poza momentami, kiedy jakiś zapach coś we mnie budzi. Ale nawet wtedy jest to dla mnie nieuchwytnie, po prostu nie wiem, czym jest to coś, co mi się przypomina. A jeśli chodzi o wstyd... no cóż, to się stało tak dawno, że nie sędzę, żeby kogokolwiek to jeszcze obchodziło.

- Nie znasz tych wyspiarzy!

- Przecież sama jestem wyspiarzą! I ty. I tata też. A ja chcę pojechać i poszukać swoich korzeni.

- Proszę, Juliet, nie!

- **Przykro mi, mamó, ale zachowujesz się nierozsądnie.**
- **Doradzam ci, bo jestem od ciebie starsza i mądrzejsza, i wiem, w jakie kłopoty się wpakujesz.**
- **Och, z pewnością przesadzasz. W każdym razie twoja tajemniczość powoduje, że jeszcze bardziej chcę jechać.**

Molly odwróciła się gwałtownym ruchem. Nagle naprawdę poczuła lęk.

Janet Tanner

- No cóż, dobrze, Juliet. Niech i tak będzie. Chyba nie potrafię cię powstrzymać. Ale pamiętaj, to była twoja decyzja. Sama tego chciałaś.

Robin Langlois zamyślony wędrował po swym ogrodzie. Ręce trzymał w kieszeniach luźnych, sięgających kolan szortów, a głowę opuścił tak nisko, że podbródkiem dotykał białej bawełnianej koszulki polo.

Ogród był wielki - tu, na przedmieściach Sydney ziemia nie była specjalnie w cenie - i Robin często się w nim ukrywał, gdy chciał uniknąć jakiejś scysji lub nawet uciec przed niechcianymi gośćmi. Rzadko natomiast pozwalał sobie na myśli o przeszłości. Wraz z Molly zostawili to wszystko za sobą, gdy wyjechali do Australii. Pod każdym względem było to zaczynanie od nowa. Nigdy więcej męczących spotkań w interesach - Robin zawsze żywił niechęć do zasiadania w zarządzie niezwykle prestiżowej na Jersey rodzinnej firmy; nigdy więcej udawania kogoś, kim się nie jest, i na koniec - nigdy więcej Louisa.

Nie znaczy to, oczywiście, że gdyby zostali na Jersey, Louis wciąż by tam był. Louis był martwy, ale jego duch by ich prześladował. Robin dobrze o tym wiedział. Gdyby zostali, nigdy by się go nie pozbyli.

Boże, jak ja go nienawidziłem, myślał teraz Robin, nie potrafiąc wciąż się nadziwić sile uczuć, jakie wywoływał w nim brat, choć - biorąc wszystko pod uwagę - był sympatyczny jak mało kto. Ale to właśnie Louis zawsze potrafił uderzyć w najczulszy punkt. Po pierwsze, jeszcze w dzieciństwie, cały czas wisiało w powietrzu to niszczące duszę podejrzenie, że ich matka wyróżnia Louisa. Ojciec tego nie robił - o nim nie można było powiedzieć nic ponad to, że zawsze był skrupulatnie sprawiedliwy. Ale to nie mogło być zadośćuczynieniem za świadomość, że to właśnie Louis był faworytem matki. Robin uwielbiał swą matkę, więc sytuacja ta rozdzierała mu serce.

Po drugie interesy. Kiedy w grę wchodził biznes, Louis był

OKO ZA OKO

25

wręcz błyskotliwy. Miewał również szalone pomysły, które wywoływały tarcia i kłótnie, ale i tak Robin czuł się przy nim jak niezdarny debil. Kiedy Louis pokłócił się z Bernardem i wyjechał, Robin starał się z całych sił naśladować brata, ale po prostu nie umiał. Na życzenie Bernarda Louis powrócił na swe stanowisko u władzy, Robin doszedł więc do wniosku, iż ojciec już woli wariackie plany Louisa niż to, co sam Robin uznawał za przejawy swojej niekompetencji.

Po trzecie wreszcie - i najważniejsze - kwestia Molly. Robin doszedł do wniosku, że zapewne wybaczyłby bratu wszystko, gdyby nie chodziło jeszcze o Molly. Nawet kiedy bawili się razem w dzieciństwie, zdawał sobie sprawę, że Molly najbardziej lubi Louisa, co boleło równie mocno, jak świadomość, iż Louis jest faworytem Sophii. Ale gdy już dorośli i Robin zakochał się w Molly, boleło dużo bardziej.

Nawet nie to żeby Louis robił coś ponad flirtowanie z nią - przynajmniej na początku. Ale Robin widział, w jaki sposób Molly patrzy na Louisa, jak rozkwita w jego obecności - i natychmiast zdawał sobie sprawę, że on sam może występować tu tylko jako swego rodzaju nagroda pocieszenia. Kiedy się pobrali, miał ochotę zamknąć ją w szklanym pałacu, tak bardzo ją kochał. No i w końcu Louis zniknął ze sceny, wyjechawszy gdzieś w świat po kłótni z ojcem. Robin właśnie zaczął nabierać pewności siebie, kiedy Louis wrócił i Robin z przerażeniem spostrzegł, że fakt, iż teraz Molly jest już zamężną kobietą, tylko dodał jej atrakcyjności w oczach starszego brata. Robin mógł tylko bezsilnie obserwować, nie wiedząc, jak daleko gotów jest posunąć się Louis i zdając sobie sprawę, że jakakolwiek gwałtowniejsza reakcja jest równoznaczna z przegraną. W końcu dla Louisa była to tylko zabawa we władzę i udowadnianie swej wyższości. Przyjemność sprawiał mu fakt, iż jego brat cierpi katusze wiedząc, że Louis może mu w każdej chwili odebrać żonę. Tak naprawdę wcale jej nie chciał.

Gdyby chociaż był w niej rzeczywiście zakochany, Robin zapewne zdołałby w jakiś sposób nieco go rozgrzeszyć - ale nie, wcale jej

Janet Tanner

nie kochał. Zresztą Robin był pewny, że Louis nigdy w życiu nie kochał nikogo poza samym sobą. Wystarczała mu przyjemność płynąca z myśli, że ledwie zagwizdże, a Molly przybiegnie do niego jak pies.

Robin ze smutkiem pokręcił głową. Kiedyś, dawno temu, rozumiał, jak się czuł Kain, kiedy zabił Abła. Teraz po nienawiści i wściekłości pozostał tylko bolesny smutek i cierpki żal.

Żałował, że Juliet wymusiła rozmowę na ten temat, ale rozumiał też jej uczucia. W końcu jej cała rodzina była wciąż na Jersey: jej babka Sophia; ciotka Catherine, siostra Sophii; Paul i Viv, brat i bratowa Sophii; i w końcu David, syn Sophii, a brat Robina, ze swą żoną Deborą. David i Debora przyjechali kiedyś z wizytą do Australii - Juliet miała wtedy jakieś dziesięć lat - lecz atmosfera była tak napięta, że nigdy nie powtórzyli tej wizyty, a Robin, Molly i Juliet nigdy nie przyjechali z powrotem na Jersey.

Tam jest jej całe dziedzictwo, myślał dalej Robin. Wszystko, czego pozbawił ją los. Ma więc pełne prawo tam pojechać i zobaczyć to wszystko. A jeśli z tego powodu zastanowi się jeszcze raz nad swymi zaręczynami z Seanem, to nie stanie się nic złego.

Robin uważał, że Juliet nie jest stuprocentowo pewna, co robić, a nie miał ochoty patrzeć, jak jego córka pakuje się w coś, czego potem będzie żałowała.

Wyprostował się - wysoki, długonogi mężczyzna z lekko zaokrąglonymi barkami, jakby kiedyś, dawno temu, dźwigał na ramionach wszystkie troski świata.

Chyba lepiej pójdę z powrotem do domu, pomyślał. Zobaczę, jak się czuje Molly. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Sean Richardson niedbale bawił się gęstymi włosami Juliet, zagłębiwszy w nich palce. Mówił lekkim, swobodnym głosem, ale jego oczy były pełne troski.

- Juliet, chyba nie mówisz poważnie o tym wyjeździe do Anglii?

OKO ZA OKO

28

Poderwała głowę i zerknęła na niego. Sean pojął, że Juliet świetnie zdaje sobie sprawę, iż jego niedbały, beztroski ton jest udawany.

- Oczywiście, że mówię poważnie. Dlaczego miałabym żartować?

Przelknął z trudem. Nie był w stanie powiedzieć jej prawdy, iż boi się, że przez ten wyjazd może ją stracić. Ten lęk świadczył o braku pewności siebie, a Sean nie wiedział, dlaczego właściwie tak się czuje. Chodzili ze sobą już od trzech lat, od kiedy się spotkali w szkole plastycznej, gdzie Juliet studiowała dekorację wnętrz, a Sean projektowanie przestrzenne. Razem wstąpili do związku studentów, co zbliżyło ich do siebie. Pomagali sobie nawzajem przy swych projektach, wyjeżdżali razem na wakacje, spali razem. Teraz rozmawiali o zaręczynach i małżeństwie, dwóch krokach, których Sean jako wolnomyślicielski student sztuk pięknych nigdy nawet nie brał pod uwagę. Ale włożenie jej obrączki na palec wydawało się jedynym sposobem na skłonienie jej do pozostania z nim. Jeśli tylko zdoła jej włożyć tę obrączkę! Nie był tego tak zupełnie pewien. Swobodnie i niezobowiązująco mówiła o zaręczeniu się z nim w dniu swych urodzin, ale to było tylko gadanie na odczepnego. Bo jeśli naprawdę czuje to, co on, to dlaczego się do niego nie przeprowadzi już teraz? Miał przecież mieszkanie - żaden rajski pałac, ale również nie norę* trzy duże pokoje i niewielkie studio, do tego dobrą pracę z niezłymi początkami kariery i pensją, jaką jeszcze dwa lata wcześniej, w trakcie studiów, uznałby za fortunę. Ale w Juliet było coś nieuchwytnego. Coś jak żywe srebro, za co jeszcze bardziej ją kochał, choć jednocześnie nappełniało go to niepewnością.

Chciał powiedzieć, żeby została tu i wyszła za niego za mąż, ale się lękał. W zamian wysunął najmniej kontrowersyjny argument na rzecz jej pozostania w Australii:

- A co z twoją nową pracą?

- Mam zacząć dopiero za miesiąc, a jestem pewna, że gdybym poprosiła, przetrzymaliby dla mnie to stanowisko jeszcze dłużej.

Janet Tanner

Kiedy już pójdę do Darby Grace, będę małą rybką w ogromnym akwarium. Mają tak mnóstwo wyjątkowo utalentowanych projektantów i śmiem twierdzić, że miną całe wieki, zanim powącham choćby zarys własnego projektu.

- W Dream Machine robiłaś własne projekty, i to z sukcesami!**
 - Na zupełnie inną skalę, a poza tym nie zapominaj, że poszłam tam zaraz po szkole. Uważam, że należą mi się wakacje przed pójściem do Darby Grace. Wrócę odświeżona i gotowa całkowicie poświęcić się karierze.**
 - Mam nadzieję, że dla mnie też trochę zostanie.**
 - Och, Sean, wiesz, że tak!**
 - I tak wołałbym, żebyś nie jechała.**
 - Na miłość boską! - parsknęła, odwracając się do niego.**
 - Chyba wszyscy są przeciw mojemu wyjazdowi! Mama i tata zrobili mi dzisiaj po południu scenę o ten wyjazd, choć oni z zupełnie innych powodów niż ty. Zdaje się, że nasza rodzina ma dość burzliwą historię.**
- Sean roześmiał się, odrzucając ze swej pociągłej, regularnej twarzy kosmyk płowych włosów.**
- Nie do wiary! Myślałem, że twoja wyspiarska rodzina to jakieś lepsze sfery. Nie to, co moi przodkowie-skazańcy.**
 - Mówię serio! Wygląda na to[^] że moja babcia zamordowała swojego syna, mojego stryja Louisa. To dlatego mama i tata przyjechali do Australii, żeby uciec przed tym skandalem...**
 - Urwała, bo Sean wpatrywał się w nią zaskoczony. - Dlaczego tak się na mnie patrzysz?**
 - Julie, ty chyba żartujesz?**

- Nie, nie żartuję. Wiem, że to brzmi niewiarygodnie; ja też z początku nie mogłam uwierzyć. Nawet nie w to, że coś takiego się zdarzyło, choć to i tak nie do wiary, ale że trzymali to przede mną w sekrecie przez tyle lat. To niebywale!

- Wpuszczają cię w maliny.

- Nie. Gdybyś widział ich miny! Oczywiście, zawsze uważałam to za dziwne, że nigdy tam nie jeździmy, choćby na jedne wakacje. To znaczy, wiem, że to druga strona kuli ziemskiej, ale OKO ZA OKO

31

odrzutowcem to nie tak znowu daleko - Concordem to kwestia godzin.

- A twoją rodzinę, oczywiście, stać na latanie Concordem. Żadnych tanich rejsów z najbliższego biura turystycznego!

- Nie zaczynaj tego samego od nowa. Nie cierpię twojego popadania w lewicowe poglądy. Dobra, mają pieniądze, i co z tego?

- Nic, niech się martwią biedne małe szczury. Dobra, przepraszam, wróćmy do rzeczy. Uważam, że to opowiadanie o morderstwie to tylko historyjka, która ma cię powstrzymać przed podróżą. Nie wierzę w ani jedno słowo. - Powiedział to niemal obcesowo, jakby tak właśnie chciał myśleć. Juliet z zaskoczeniem zrozumiała, że jest zaszokowany.

No i tyle by było z lewicującego artysty i tubylczego Australijczyka, szczyłającego się pochodzeniem od zesłańców. Pod tą całą otoczką Sean ukrywał bardzo purytańską duszę.

- Jeśli nawet naprawdę taki był powód, to obawiam się, że okropnie się przeliczyli - powiedziała z wymuszoną lekkością. - Jestem zdecydowana jechać i zobaczyć, jaka naprawdę jest moja rodzina.

- Pozwól mi jechać z tobą.

- Sean, nie bądź dzieckiem! Ty z całą pewnością nie masz teraz miesięcznych wakacji. Słuchaj, jadę. Jadę sama i tyle.

Przytuliła się do niego, całując go i obejmując jego szyję. Był to jedyny znany jej sposób na zamknięcie mu ust, jedyny niezawodny sposób, i jak zawsze zadziałał. Otoczył jej ramiona jedną ręką, drugą podłożył pod jej kolana i zaniósł ją do łóżka. To był ten fragment, który zawsze najbardziej jej odpowiadał, to drażnienie, miłosne gierki, erotyczna bliskość jego twardego, podnieconego ciała, póki jej nie rozebrał. Dlaczego zawsze było przyjemniej, kiedy miała jeszcze na sobie ubranie, kiedy poczucie palącej potrzeby popychało ją do pożądania, jeszcze i więcej... A kiedy już było po wszystkim, była zawsze tak zawiedziona. Dlaczego? Za każdym razem, kiedy czuła ostre ukłucia żądz, myślała: tak, tak, tak... tym razem będzie inaczej... Tylko że nigdy nie było. Kiedy był już nagi, kiedy w nią wchodził, zawsze

Janet Tanner

tlumiła chęć wykrzyczenia tej prośby: jeszcze raz, zacznij wszystko od początku, zanim będzie za późno! Bezpośredni kontakt z nim zawsze działał na nią jak kubek zimnej wody.

Coś jest ze mną nie tak, myślała czasami. Jestem nienormalna. Ale obawiała się powiedzieć o tym komukolwiek, a już na pewno nie Seanowi. To by nie było w porządku - jemu te sprawy sprawiały taką przyjemność!

Tej nocy, jakby lęk przed straceniem jej przydał ruchom Seana większej natarczywości, wszystko odbyło się tak szybko, że Juliet jeszcze bardziej niż zwykle poczuła się oszukana. Żądza, jaką na ogół wywoływały ich początkowe pieszczoty, nie zdołała się nawet przebudzić.

- Papierosa? - Sean sięgał po leżącą na stolyczku obok łóżka paczkę.

- Nie, dziękuję. - Rzuciła palenie ponad rok wcześniej, ale Sean nie przyjmował tego do wiadomości. - To wstrętny nałóg - powiedziała teraz, zła na niego, choć nie wiedziała dlaczego. - Spójrz, jaki brązowy jest ten sufit i wyobraź sobie kolor swoich płuc.

- Ico?

- Nie obchodzi cię to?

- Niespecjalnie. Palenie sprawia mi przyjemność. Uważam, że życie jest tak krótkie, że powinno sprawiać przyjemność.

- To idiotyczne w twoim wieku. W każdym razie śmierdzisz paskudnie.

- Dzięki. Ja też cię kocham.

Juliet odczuła wyrzuty sumienia. Właściwie dlaczego go tak źle traktuje?

- Przepraszam cię, Sean. Chyba jestem dzisiaj trochę nie w sosie. Pewnie jednak trafiło mnie to bardziej, niż sądziłam. Wiesz, dowiedzieć się, że własna babcia odsiedziała wyrok za zamordowanie swojego syna... Poza tym, to nie wszystko. Mam przeczucie, że chodzi o coś jeszcze.

- Coś jeszcze? - Sean zaciągnął się głęboko papierosem i wydmuchał dym w stronę brązowego sufitu. - Co masz na myśli?

OKO ZA OKO

31

- Tak naprawdę to nie wiem - odparła powoli Juliet, jakby dopiero składała do kupy różne wrażenia, które przedtem zlekceważyła. - Nawet nie jestem pewna, czy opowiedzieli mi całą tę historię. Oni są tacy... skryci, oboje.**
- Dwadzieścia lat milczenia.**
- Tak, to chyba to. Może właśnie tak było, jak powiedzieli**
- że nie widzieli potrzeby, żeby mnie o tym informować. Może mnie chronili?**
- A kogóż jeszcze mogliby chronić?**
- Samych siebie. - Te słowa wyrwały się jej zupełnie odruchowo, a kiedy zdała sobie sprawę, co powiedziała, zadrżała.**
- To może być powód, dla którego nie chcieli mi powiedzieć i dla którego nie chcą, żebym pojechała na Jersey. Ukrywają coś**
- nie o babci i stryju Louisie, ale o sobie.**
- Julie! Za bardzo puszczasz wodze wyobraźni!**
- Możliwe, ale tata- nie był w stanie nawet siedzieć w tym samym pokoju przy tej rozmowie. A mama... była bardzo dziwna.**
- A co takiego mogliby ukrywać?**
- Nie wiem. Ale mama z ogromnym trudem zmuszała się do wypowiedzenia tego imienia. Louis. Przez całe życie miałam stryja Louisa i nic o tym nie wiedziałam.**
- Przez całe życie nie miałaś stryja Louisa. On umarł.**
- Dopiero kiedy miałam cztery lata.**
- I w ogóle go nie pamiętasz?**

- Chyba nie - odparła kręcąc głową. - Choć mam teraz takie dziwaczne uczucie, że po tym, czego się dowiedziałam, niemal go sobie przypominam. Coś mi chodzi po głowie, ale nie potrafię tego złapać. To jak stara, zamazana fotografia.

- Może teraz ci się coś zacznie klarować?

- Na pewno, kiedy pojedę na Jersey. - Zadrżała nagle. - Sean, ja się boję.

Zdusił papierosa i przytulił ją.

- Więc nie jedź.

Wtulila się w niego, czując pod głową jego twarde, pewne ramię, i przez moment miała ochotę się zgodzić. Bądź co bądź

Janet Tanner

jej życie było tutaj. Jej nowa praca ze wszystkimi wyzwaniem i widokami na triumfy, jej przyjaciele, rodzice, Sean, który ją kochał i chciał się z nią ożenić. Wiedziała, że byłby dla niej dobry i też go kochała - czyż nie? Dlaczego więc zostawia to wszystko, żeby lecieć samotnie na drugi koniec świata do domu, który ledwie pamięta, i rodziny, która jest jej zupełnie obca? No cóż, może to nie jest aż takie nienaturalne. Na początku, kiedy pierwszy raz o tym pomyślała, wydawało się to dobrym pomysłem na jakieś oderwanie - ot, wakacje i tyle. Dopiero teraz ta podróż nabrała zupełnie innego charakteru, teraz nagle w myśli o powrocie do przeszłości było coś groźnego, wręcz złowieszczonego. Jaką to puszkę Pandory miała otworzyć? A czy byłoby lepiej, gdyby zapomniała o tym wszystkim, oddała się zupełnie Seanowi tu i teraz, osiadła, wzięła ślub i poświęciła nowej pracy? Być może. Ale nawet myśląc o tym wiedziała, że było to niemożliwe. Póki nie pojedzie na Jersey i nie zobaczy wszystkiego sama, przeszłość będzie żyła w niej i pozostanie na zawsze niewiadomą, o której nie można zapomnieć. A wówczas, prześladowana takimi myślami, zaczęłaby zapewne winić Seana, że nie pozwolił jej zrobić tego, czego pragnęła. Byłoby to oczywiście nieuczciwe, ale zupełnie ludzkie.

- Przykro mi, Sean, ale muszę jechać - powiedziała. - Bardziej niż kiedykolwiek. Muszę.

Pokiwał głową, pocałował ją i sięgnął po kolejnego papierosa.

- Okej. Dobra, ale nie siedź tam za długo, Julie. Będę strasznie tęsknił.

Zwinęła się w kłębek u jego boku, ciesząc się tą chwilą.

- Ja też będę za tobą tęskniła. Jak tylko wrócę, zaręczymy się, dobrze? Nie będziemy czekali na moje urodziny, jeśli ci na tym zależy.

Uśmiechnął się, ale był to ponury grymas. Bardzo chciał wierzyć, że Julie naprawdę tak myśli.

Rozdział trzeci

Jersey, Wyspy Normandzkie, 1991

Kiedy samolot zaczął się zniżać, Juliet wykręciła szyję, żeby po raz pierwszy od niemal dwudziestu lat zerknąć na wyspę Jersey.

Jakże była mała! Juliet z zaskoczeniem wpatrywała się w zwartą zabudowę miejsciny, która - jak myślała - musiała być St Helier, głównym miastem wyspy. Jakże różne to było od bezkresnych połaci Sydney, te małe kwadraciki zieleni, obramowane drogami i uliczkami jak rzucik na spódnicze. Całe to miasto zginęłoby zupełnie w każdym miejscu australijskich przestrzeni. Wokół lśniło morze, tonące w cieniach zieleni i granatu, piękne, choć nie tak natarczywe jak błękit i srebro portu w Sydney. Ale przynajmniej świeciło słońce! Kiedy Jumbo Jet linii Quantas lądował na Heathrow, słońce pozostało za grubą warstwą chmur. Uczucie zagłębiania się w wilgotny, mroczny poranek było przybijające. Kapitan dobrze zrobił, ostrzegając ich: „W Londynie pada deszcz, temperatura 11 stopni Celsjusza, 52 Fahrenheita.” Po długim, gorącym australijskim locie i locie z międzylądowaniem w Singapurze i na Bahrajnie chłodna szarość stanowiła niemal szok kulturowy.

Koła dotknęły betonu pasa, silniki zawyły na wstecznym biegu, mały odrzutowiec zwolnił i podkołował do budynku lotniska. Odpinając pas i otwierając schowek, żeby wyjąć torbę, Juliet poczuła jakiś dziwny impuls. A więc była tu - bez odwrotu. To znaczy... mogła wyjść, odebrać bagaż i natychmiast kupić

Janet Tanner

bilet z powrotem do Anglii, ale ta myśl nie była przyjemna. Cóż za pomysł - przelecieć pół świata na darmo; w dodatku jej rodzina na Jersey nie miałyby pojęcia, co się z nią stało. Obiecali, że wyjadą po nią na lotnisko, więc pewnie czekają teraz gdzieś za halą odpraw celnych. Jak ich pozna? Czy będą mieli ze sobą tabliczkę z jej imieniem i nazwiskiem, jak to robią biura turystyczne i firmy wynajmujące samochody? A może - skoro mają sieć hoteli - na tabliczce znajdzie się nazwa rodzinnej firmy?

Juliet wychynęła z kabiny i zatrzymała się na moment, żeby odetchnąć i wciągnąć powietrze. Zadziwiające, jak bardzo różnie pachną różne części świata. Potem zeszła po schodkach i ruszyła po pasie do budynku.

Kiedy pierwsi pasażerowie zaczęli przechodzić przez kontrolę .L celną, Debora Langlois wstała z niskiego, kubelkowego fotela i powoli podeszła do lepszego punktu obserwacyjnego przy drzwiach. Jej ruchy śledzili praktycznie wszyscy inni oczekujący w hallu, lecz Debora prawie tego nie zauważała. Już od tak dawna ludzie gapili się na nią, gdziekolwiek poszła, że w końcu zaakceptowała to jako stały element życia. Gdy była dzieckiem, jej burza loków i przejrzyste turkusowe oczy sprawiały, że dorośli traktowali ją jak żywą lalkę. Gdy była nastolatką i jej figura się zaokrągliła, nauczyła się wykorzystywać swój wygląd, żeby dostać to, czego chciała. Teraz te dni były już dawno zapomnianą przeszłością. W wieku trzydziestu sześciu lat Debora miała majątek, pozycję i władzę - i było to widoczne. Młodzieńcza uroda zmieniła się w dojrzałe piękno, zaskakujący smak zaowocował stylem i charakterem, a na gruncie niemal chronicznej nieśmiałości i lęków wyrosła pewność siebie. Jako żona generalnego dyrektora firmy Langlois Hotel and Leisure Group Debora często była fotografowana na okrasę towarzyskich rubryk w magazynach „Harpers and Queen” i „Lady”. Jej nazwisko pojawiało się też na plotkarskich kolumnach „Daily Mail” czy „Expressu” jako synonim wysublimowanej elegancji i smaku.

OKO ZA OKO

39

Czasami jakiś dziennikarz zadawał niewygodne pytanie na temat przeszłości Debory, ale z jakiegoś powodu trop nigdy nie prowadził daleko. Majętne kręgi Jersey zacieśniały szyki. Debora była teraz żoną Davida Langloisa. Czy miało znaczenie, kim była przedtem albo skąd przyszła? Ci zaś, którzy usiłowali zadawać takie pytania samej Debbie, w większości poddawali się bez walki, pokonani potęgą jej wdzięku i czaru.

- Nigdy nie znałam ojca - mawiała w takich sytuacjach Debbie - a moja matka zmarła, gdy byłam nastolatką. Mama była córką pastora i jej rodzina z mojego powodu ją wydziedziczyła, więc nie znam ich w ogóle. Ale proszę - nie chciałabym im teraz przysparzać jakichś powodów do wstydu. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale starsi ludzie - tacy jak oni - potrafią być niebywale purytańscy. A jak na dzisiejsze gusta w tym wszystkim nie ma ani cienia skandalu. Po prostu zbuntowana córka i dziecko miłości.

Tu wzrok osób zadających niedyskretne pytania napotykał jej turkusowe oczy, takie czyste i przejrzyste, i niemal każdy natręt nagle zaczynał jej wierzyć, a co ważniejsze - odczuwać potrzebę otoczenia tej czarująco delikatnej istoty opieką. W rodzinie Langlois trafiały się skandale, ale po pierwsze już dawno je zaplotkowano na śmierć, a po drugie żaden z nich nie miał nic wspólnego z Debbie. Ot, miała pecha, i tylko dlatego w ogóle jej imię było z nimi związane. Jaki sens rujnować reputację komuś, kto tak otwarcie przyznaje się do pewnych braków w rodowodzie? Niezmiennie więc dziennikarze z przyjemnością wypijali w towarzystwie Debbie drinka, wypalali papierosa i odchodzili w swoją drogę, zadowoleni, że mogli z kimś takim się spotkać. Nigdy nawet przez moment nie uświadamiali sobie, jak fantastyczny materiał na artykuł przeszedł im koło nosa.

Debora czasami myślała, że gdyby mieszkała w Anglii, nigdy by się jej nie udało tak kręcić. Ale to było Jersey, kierujące się własnymi prawami, a oddzielająca je od Anglii przestrzeń Kanału

była wystarczającą zasłoną. Tajemnice przeszłości Debbie pozostały niezbadane i teraz już reporterzy jej nie nagabywali.

Janet Tanner

W hallu dworca lotniczego stała teraz szczupła, elegancka kobieta, ubrana w żakiet i spodnie z pomarańczowego jedwabiu, ze srebrzystoblond włosami upiętymi w nienaganny, klasyczny kok. Ciemne okulary zwisały niedbale między palcami wysmukłej dłoni, której paznokcie pokryte były lakierem o dokładnie tym samym odcieniu co jedwabne spodnium. Szaleńczy run na noszenie pantofli na płaskim obcasie ominął ją zupełnie; mając zaledwie pięć stóp pięć cali wzrostu uważała, że nie byłaby w stanie chodzić w nich i pozostać elegancką. Jako nastolatka nosiła pantofle na cienkich jak szydła szpilkach, całkowicie odrzucając nieforemne, toporne podeszwy wczesnych lat siedemdziesiątych. Tak samo teraz ignorowała płaskie buty, ale wysokie obcasy używanych przez nią czólenek stanowiły ostatni krzyk wyrafinowanego smaku. Pantofle pochodziły z firmy Manolo Blahnik & Russel & Bromley, a mięciutka skóra zwisającej z jej ramienia torebki rozpoznawana była bezbłędnie jako dzieło Gucciego. Większość ubrań Debory nosiła metki wielkich projektantów - Versace & Ungaro, Lagerfeld & Krizia, nawet jej bielizna pochodziła z La Perla.

- Trzeba być szaloną, żeby tyle płacić za gacie! - powiedziała jej kiedyś z oburzeniem Catherine, ciotka jej męża. Ale Catherine zawsze sprawiało przyjemność rzucanie takich szokujących uwag - z czego zresztą była znana - więc Debora ledwie się uśmiechnęła na te słowa i nic nie odpowiedziała. Nie miała zamiaru wyjaśniać, że ukrytym źródłem jej pewności siebie w dużej mierze jest noszenie ciuchów od najlepszych projektantów i że bez nich nawet teraz mogłaby się czuć niezręcznie. Debora nie chciała wyglądać jak mała dziewczynka w najlepszej sukience swojej mamy lub aktorka odgrywająca jakąś rolę. Tak ciężko pracowała nad byciem tym, kim się stała, że tragiczne byłoby okazanie nawet najmniejszej słabości.

Przez odprawę celną przeszli pierwsi pasażerowie z samolotu Jersey Airlines. Debora przyjrzała się im krytycznie. Kiedy ofiarowała się wyjechać na spotkanie bratanicy swego męża, nie miała wątpliwości, że rozpozna dziewczynę. Teraz, niespodzie-

OKO ZA OKO

37

wanie, ta pewność zniknęła. Zdjęcie, które dała jej teściowa, mogło przecież tylko w niewielkim stopniu przypominać gościa z Australii - albo wręcz wcale! Fotografie bywają zwodnicze.

Przecież Juliet mogła nawet - Boże uchroni! - przypominać swą matkę. Na tę myśl Debora odczuła skurcz żołądka i przypomniała sobie od razu, w jaką wpadła konsternację słysząc ogłoszoną przez Sopię nowinę, że Juliet przyjeżdża na Jersey. Och, nie! Tylko nie córka Molly! Oczywiście ukryła swe uczucia. Gdyby pozwoliła sobie na ich ujawnienie, uświadomiłaby Sopi - i, co ważniejsze, Davidowi

- że dla niej przeszłość nie umarła, lecz tylko pozostawała uśpiona. Od jej ostatniego spotkania z Molly minęło ponad dziesięć lat, ale nienawiść, jaką do niej czuła - i zazdrość

- pozostały równe silne. Nieważne, że była teraz szczęśliwa i zwycięska, nieważne, że wszystko się dla niej tak dobrze ułożyło. Kiedyś Molly zraniła ją tak mocno, że blizna nigdy się nie wygoiła. Na samą myśl o Molly elegancka, wyrafinowana Debora Langlois zmieniała się w duszy - jak Kopciuszek z wybiciem północy - w dziewczynkę, którą niegdyś była; małą, przestraszoną, zropaną i do szaleństwa zakochaną w mężczyźnie, który już o nią nie dbał. Przez wzgląd na to wszystko Debbie pozostawiła przeszłość za sobą i przez te wszystkie lata ledwie czasem poświęcała Molly jakąś myśl. Ale wieść, że jej córka przyjeżdża na Jersey, odświeżyła wspomnienia, jakby to stało się wczoraj. .

Przyływy¹ odpływy wspomnień nie dawały jej spokoju od kilku dni. Zastanawiała się nawet nad wyjazdem na wakacje, żeby uniknąć spotkania z córką Molly. Całe wieki przecież obiecywała sobie wypad do Nowego Jorku; wystarczyło tylko zatelefonować do mieszkających

tam przyjaciół i wskoczyć w samolot. I oddzielić się od Juliet oceanem. Ale już w momencie, gdy o tym pomyślała, widziała, że nie może tego zrobić. Opuszczenie Jersey akurat teraz, gdy przylatywała Juliet, byłoby aż nazbyt przejrzyste. Sophia i David musieliby pojąć, co się dzieje w umyśle Debbie, a na to nie pozwalała jej duma. Tak więc z typową dla siebie bezpośrednio-

Janet Tanner

ścią postanowiła wziąć byka za rogi. Kiedy rodzina dyskutowała nad tym, kto powinien wyjechać po Juliet na lotnisko, Debora wysunęła swoją kandydaturę.

- Będzie to o wiele miłsze, niż gdyby pojechał po nią Peny. Firmowy szofer robi wrażenie, ale jest strasznie bezosobowy

- powiedziała z nadzieją, że ani Sophia, ani David nie przejrzą jej i nie zrozumieją jej prawdziwej motywacji - mieć to początkowe spotkanie za sobą, im wcześniej, tym lepiej.

Teraz jednak, czekając i obserwując, miała wyschnięte gardło i lekkie mdłości wywołane niepokojem. Strumyk pasażerów wciąż wyciekał zza drzwi hali odpraw

- nie było ich zbyt wielu, bo to nie była jeszcze ta pora roku, kiedy każdy samolot wypływa na beton lotniska komplet turystów. Wyszli dwaj biznesmeni, młody człowiek z dzieckiem, kilka par w średnim wieku, odbywających wczesne wakacje, ale nie dostrzegła nikogo, kto nawet przy największej dozie wyobraźni przypominałby Juliet. Może nie zdążyła na samolot, pomyślała Debora. Mogło przecież się zdarzyć, że jej połączenie z Australii opóźniło się i że nie zdążyła złapać samolotu na Jersey czy choćby zadzwonić do La Crange i zawiadomić o tym.

Debbie poruszyła się niespokojnie; sposób, w jaki bawiła się zausznikiem okularów słonecznych, zdradzał nerwowość.

Nie przyjechała. Wszystko na darmo. Będę musiała wrócić do domu i powiedzieć Sophii, że nie było jej w samolocie...

I wtedy, nagle, pojawiła się.

W chwili, gdy Debbie ją ujrzała, wiedziała, że to ona, choć niezbyt przypominała siebie na zdjęciu i na szczęście nie wyglądała również jak Molly. Była wyższa, smuklejsza, mocniej zbudowana. Miała na sobie spódniczkę mini, żółty dżinsowy żakiet i płaskie sandały, które Debora odrzuciłaby ze wstrętem, ale na nogach Juliet wyglądały świetnie. Wszystko w niej było

młdzieńcze i pełne życia, a z tą opalenizną mogła przybywać tylko z Australii lub z wakacji w jakimś słonecznym miejscu w rodzaju Wysp Bahama.

Palce Debbie zacisnęły się na pasku torebki. Potem wargi

OKO ZA OKO

45

wykrzywił jej uśmiech, skrywający wciąż odczuwaną nerwowość. Debora ruszyła przed siebie.

- Cześć! - powiedziała swobodnie. - Ty musisz być Juliet. Jestem Debora.

Juliet uznała, że samochód - biały, sportowy Mercedes coupe - idealnie pasuje do Debory; równie elegancka linia i wielka klasa. Ale samochód zdawał się też mieć ochotę na jazdę dużo szybszą, niż pozwalały wąskie i kręte uliczki. Ciekawe, czy dotyczy to też Debbie? Juliet doszła do wniosku, że to możliwe, ale i tak polubiła Deborę. Będąc tak elegancką damą mogła przecież zachowywać się odpychająco, a jednak tak nie było. Miała miły uśmiech i miły głos - nie przesłodzony, tylko po prostu lekki i melodyjny - i Juliet, przyzwyczajona do gardłowego akcentu okolic Sydney, miała ochotę słuchać go w nieskończoność.

- Spodoba ci się La Grange - mówiła Debbie, a Mercedes płynnie przemykał w górę i w dół po stromo wznoszących się i opadających zakrętach ulic obramowanych rzędami wielkich jak nieduże drzewa hortensji. - To piękny dom w pięknym miejscu.

- Tata mi o nim opowiadał - odparła Juliet. - Twierdzi, że najbardziej mu odpowiadało to, że między domem a morzem są tylko drzewa i porośnięte paprociami klify. Kiedy był mały, wymykał się w letnie wieczory z domu, zbiegał do doliny i przebiegał przez las do ścieżki nad klifem. Potem bawił się w przemytnika czy coś w tym rodzaju. Nigdy go nie złapano. Mówi, że jego matka do dziś o tym nie wie.

Debora roześmiała się.

- No, no! Robin nigdy mi się nie wydawał buntownikiem!

- Bo nim nie jest. Jest romantykiem. - Juliet urwała. - Śmieszne; zawsze gdy mówi o swoim domu na Jersey, ma na myśli La Grange, chociaż przecież miał swój dom, gdzie mieszkał po ślubie z mamą, gdzie się urodziłam i gdzie mieszkałam jako mała dziewczynka.

Janet Tanner

- Green Banks. Tak. Ten dom też jest bardzo ładny. Pamiętasz go w ogóle?

Juliet pokręciła głową.

- Tak naprawdę to nie. To znaczy, coś mi się kołacze. Ale przecież wyjechałam mając cztery lata.

- Jasne. No cóż, pojedziemy tam któregoś dnia, jeśli chcesz. Ale obejrzymy go, oczywiście, tylko z zewnątrz. Nie znam ludzi, którzy tam teraz mieszkają. Zmienił chyba właścicielei kilkakrotnie w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Może kiedy go zobaczysz, coś ci się przypomni.

- Może. Czasem wydaje mi się, że pamiętam duży, słoneczny pokój z koniem na biegunach. Są też zapachy, które mi coś przypominają - jeden to pasta do mebli, a drugi lawenda.

- W ogrodzie kuchennym chyba był krzew lawendy. Tak, to był bardzo ładny dom. Nie tej samej klasy co La Grange. David i ja mamy szczęście, że Sophia pozwala nam mieszkać ze sobą. Sophia. Imię babki wymówione tak swobodnie wywołało w Juliet lekki szok. Robin zawsze mówił o niej „mama”, a Molly nigdy nie nazywała jej inaczej, niż „twoja matka”.

- Czy ty i stryj David zawsze tam mieszkaliście? - spytała.

- Tak. To było jedyne sensowne wyjście. Na jedną osobę byłby o wiele za duży, a poza tym sądzę, że Sophią nie chciała być sama. Zasugerowała więc, żebyśmy tam zamieszkali.

- Rozumiem. - Juliet znów poczuła dreszcz na plecach. Instynktownie zrozumiała, że Debora ma na myśli, iż Sophia nie chciała być sama po tym, co się stało, ale mówienie o tym w tak niedbały sposób było irytujące. Cóż, w końcu dla Debory to po prostu fakt z życia, coś, z czym żyła od tak dawna, że nie wywoływało już najmniejszych emocji.

Droga zakręciła stromo w górę, a gdy Mercedes minął zakręt, nagle otworzył się przed oczami Juliet widok niebieskiego morza, obramowanego świeżą zielenią i żółcią. Ten obraz był tak

niespodziewany i piękny, że Juliet zaparło dech w piersiach. Równie nagle widok zniknął, zatracił się za wysokimi żywopłotami, które już pączkowały życiem kolejnej wiosny.

OKO ZA OKO

48

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedziała Debora. Zakręciła kierownicą i Mercedes wjechał w obsadzony drzewami podjazd. Juliet znów zaschło w ustach; była podenerwowana. I wtedy, poprzez drzewa, dojrzała go - przytłaczająco wielki dom w stylu Regencji z jersejskiego granitu. Sześć okien poddasza wystawało z pięknego, krytego dachówką dachu dokładnie ponad sześcioma oknami pierwszego piętra. Sklepione drzwi i pięć okien parteru dopełniało idealnej symetrii tej bryły. Trawnik przed wejściem zdobiła niewielka, pokryta ornamentami fontanna, a po jej obu stronach, jak wartownicy, stały dwa bukszpany. Mieszanka sztywności budynku z dzikością otaczającej go przyrody była porażająca; po raz drugi w ciągu kilku minut Juliet straciła dech w piersi.

A więc to jest La Grange. To jest ten rodzinny dom, który ledwie pamięta. A zarazem scena morderstwa, które zmieniło życie ich wszystkich, włącznie z nią, oczywiście. Ogrom domu był przytłaczający, bardziej niż Juliet kiedykolwiek sobie wyobrażała. Siedziała w pełnej zaskoczenia ciszy, a jej zmysły drażniło kłębowisko na wpół zapomnianych obrazów.

Miałam tylko cztery lata, ale coś jeszcze pamiętam. Podniesione głosy, łzy. Byłam przestraszona. Wiedziałam, że stało się coś strasznego, ale nikt mi nie powiedział co. A potem mnie stamtąd zabrali... , .

Debora zaciągnęła hamulec ręczny i zgasila silnik. Uśmiechnęła się do Juliet, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z zamętu w duszy dziewczyny.

- To co, pójdziemy? - spytała.

Sophia Langlois dostrzegła skręcającego w podjazd Mercedesa z okna swej sypialni na pierwszym piętrze. Podniosła się pośpiesznie ze specjalnie ustawionego przy oknie krzesła i przeszła do sypialni, żeby poprawić swą i tak nienaganną fryzurę i narzucić żakiet. Potem zawahała się w drzwiach.

Nigdy i nikomu Sophia nie przyznałaby się, z jakim utęsk-

Janet Tanner

nieniem wyczekiwała przyjazdu swej wnuczki - ledwie przyznawała się do tego przed samą sobą. Do jej zawsze zrównoważonego i opanowanego charakteru nie pasowało podglądanie zza firanki i odrywanie wzroku od podjazdu tylko po to, żeby sprawdzić godzinę na zegarze, który dostała od Bernarda z okazji pierwszej rocznicy ślubu. Lecz dzisiejszy dzień był inny... i bardzo wyjątkowy. Bo dzisiaj przyjeżdżała Juliet.

Pod kołnierzykiem jedwabnej fioletowej bluzki puls Sophii tętnił podnieceniem. W jej życiu wydarzyło się mnóstwo okropnych rzeczy, miewała swoje tragedie i problemy i wszystko to pozostawiło na niej jakiś ślad. Ale teraz było to nieistotne. Wszystko to było przeszłością i nie liczyło się teraz. Liczyła się tylko Juliet. Juliet była przyszłością, którą Sophia straciła przez to, co się stało. Wiele razy wydawało się jej, że już nigdy nie zobaczy wnuczki, a spośród wszystkich implikacji całej tej sprawy tylko utrata Juliet stanowiła dla Sophii powód do żalu. A jednak Juliet przyjechała.

Nagle Sophia poczuła, że nie jest w stanie dłużej czekać. Dopadła okna, nie bacząc na to, czy ktoś ją zauważy. Mercedes zatrzymał się na wysypanym żwirem placyku i wysiadła z niego Debora. Była ona dla Sophii kimś dużo ważniejszym, niż po prostu synową, bodaj czy nie najbliższą osobą na świecie. Sophia często się zastanawiała, co by bez niej zrobiła, i błogosławiła dzień, w którym ulitowała się nad młodą, przerażoną dziewczyną. Ale dziś nawet Debora nie była ważna.

Zobaczywszy obchodzącą auto Juliet, Sophia w pierwszej chwili nie dowierzała własnym oczom. Wiedziała oczywiście, że Juliet jest już młodą kobietą. Na dowód tego miała przecież zdjęcia, które Robin przesyłał jej z Australii. Znaczyły one upływ lat, przychodząc wraz z kartkami urodzinowymi i świątecznymi: Juliet na plaży, Juliet smażąca befsztyki na grillu w ogrodzie, Juliet na wielkim balu w bajecznej szmaragdowej sukni przewiązanej czarną,

aksamitną wstążką, Juliet przytulona do młodego mężczyzny o długich włosach i szczerym uśmiechu, Juliet z kieliszkiem urodzinowego szampana. Ale wszystkie

OKO ZA OKO

51

te zdjęcia były dziwnie nierealne. Widok Juliet mimo wszystko wywołał szok.

Zdenerwowanie Sophii pogłębiło się, gdy przed oczami stanął jej obraz Juliet w trakcie ich ostatniego spotkania. Dziewczynka miała wtedy na sobie gładką spódniczkę i bufiastą białą bluzkę, białe podkolanówki i czarne sandały zapinane z tyłu na klamerki. Jej włosy wyglądały jak żywe lśniące złoto. Sophia wpatrywała się w nią wtedy, przeczuwając, że ten obraz będzie jej musiał wystarczyć na długie lata rozłąki. I nagle teraz tamten widok stanął jej przed oczami, nakładając się jak trikowe zdjęcie na obraz wysokiej młodej kobiety w żółtym dżinsowym żakiecie i spódniczce mini.

Och, Juliet, jak bardzo za tobą tęskniłam, pomyślała Sophia, a wzrok jej zmętniał od nagłych łez. Gdyby twoja matka nie musiała cię stąd zabrać... Gdybym była w stanie choć raz cię odwiedzić, kiedy to już się skończyło...

Ale nic by z tego nie wyszło. Ani Robin, ani Molly nie chcieliby jej widzieć. Molly jej nigdy nie wybaczyła, a Robin... Nie, lepiej, że została na Jersey.

A teraz Juliet była tutaj, bo sama tego chciała.

Sophia gwałtownym ruchem odwróciła się i pobiegła w dół schodami. Pierwszy raz od wielu lat poczuła się znów jak młoda dziewczyna.

Myślę - powiedziała Vivienne Carteret - że już dojechała.

- Co? - Paul, brat Sophii, popatrzył ponad gazetą i okularami do czytania w złotej oprawce na swą żonę, która nalewała sobie właśnie przedobiedni dżin z tomkiem. - Kto?

- **Juliet, oczywiście! - Viv spróbowała drinka, dołąła jeszcze ociupinę toniku i podeszła do swego ulubionego fotela, obitego czarną skórą klubowca z szerokimi, wygodnymi oparciami, - Twoja wnuczka, a dokładnie wnuczka twojej siostry. Miała dzisiaj przylecieć z Australii.**
- **Ach, tak - bąknął Paul, wracając wzrokiem do swojej**

Janet Tanner

gazety. - David wspominał coś o tym w biurze. Ma zamieszkać w La Grange, tak?

- Oczywiście, że tak! A gdzie miałyby zamieszkać?

Paul zachichotał. Niegdyś przystojne rysy twarzy tego potężnego mężczyzny zdradzały teraz, iż

- podobnie jak jego żona

- pił nieco więcej, niż należało, i jego niegdyś ostry podbródek tonął już w ciężkich, obwisłych fałdach skóry. W życiu Paula wiele razy pojawiały się troski i rozczarowania. Dopiero teraz, w spokojnych dniach późnego wieku średniego odkrył przyjemności, jakie niesie ze sobą folgowanie zachciankom, więc ślady, jakie nosiła jego fizjonomia, były następstwem zarówno poprzednich walk z przeciwnościami, jak i obecnego pobażania sobie.

- A więc ptaszyna powróciła do rodzinnego gniazdka, tak?

- rzucił niemiłym głosem. - Założę się, że Robin i Molly mieli na ten temat coś do powiedzenia.

- Zapewne - zgodziła się Viv. Prywatnie nigdy nie poświęciła żadnemu z nich wiele czasu;

Robina uważała za nie zorganizowanego fajtlapę, Molly zaś była histeryczna i dziecinna. A

przecież miałyby za co odpowiadać! Tak przynajmniej myślała Viv. Gdyby Molly choć spróbowała stawić czoło wszystkiemu, do czego doprowadziła, zdarzenia mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej. - Ciekawe, czy Juliet wie o Louisie i twojej siostrze?

- dodała z namysłem.

Paul znów podniósł na nią wzrok i sięgnął po stojącą na stoliczku szklaneczkę z whisky.

- No jasne, że wie!

- Nie wiedziała. Kiedy David pojechał z Deborą do Australii, Molly prosiła ich, żeby nic o tym nie mówili. Oświadczyła im, że ona i Robin postanowili, że lepiej będzie, jeśli Juliet nie będzie o niczym wiedzieć.

- Ale ona wtedy była jeszcze dzieckiem! Teraz jest dorosłą kobietą, na Boga! Musieli jej powiedzieć.

Viv zacisnęła szklanę w dłoni tak mocno, że pierścionki, które miała na niemal wszystkich palcach, zadzwoniły o szkło.

- Nie zakładałabym się o to. Molly zawsze była jedną

OKO ZA OKO

54

z najbardziej skrytych kobiet, jakie znałam, a przy tym jedną z najgłupszych. A sam wiesz, jaki był jej stosunek do Louisa. Była chyba jedyną osobą, która nie uważała, iż Sophia zabijając go ulżyła światu. . . ,

- Viv, na miłość boską! - wybuchnął Paul. Po prawie pięćdziesięciu latach małżeństwa miał już czas przyzwyczać się do swej żony i żaden jej wybryk nie powinien go już zaskakiwać, a jednak mimo wszystko był zaszokowany jej nieskrępowaną otwartością.

- Przecież to prawda! - powiedziała Viv z bladym uśmiechem, który głębokimi zmarszczkami naznaczył jej pucułowatą, gładką twarz ponad szkarłatem szminki. - Louis miał tak wielu wrogów, że gdyby Sophia się nie przyznała, połowa mieszkańców wyspy byłaby przesłuchiwana jako podejrzani w sprawie jego śmierci. Był nawet czas, że zastanawiałam się, czy ty tego nie zrobiłeś.

- Słucham? Co takiego? - Twarz Paula, i tak już mocno zaróżowiona, spurpurowiała.

Viv znów się uśmiechnęła. Nic nie dawało jej większej satysfakcji niż wywoływanie sensacji, milej czy nie.

- Miałeś okazję. O ile się nie mylę, tej nocy nie było cię w domu i zawsze byłeś bardzo tajemniczy na temat swojej ówczesnej nieobecności. No i z całą pewnością miałeś motyw. Jeśli dobrze pamiętam, przechodziliśmy wtedy wyjątkowo trudne chwile, a Louis robił, co mógł, żeby były tysiąc razy gorsze. Nie mógł umrzeć w dogodniejszej dla nas chwili, prawda? Przyznaj to, Paul.

Paul odstawił szklaneczkę na stolik. Na czoło wystąpiły mu krople potu, gdy wspomnienia wróciły, jasne i wyraźne, jakby wszystko to działo się wczoraj. Viv miała rację, to był dla nich okropny okres, a głównym dręczycielem był Louis. Po pierwsze Paul był mu winien mnóstwo pieniędzy. Mógł za to winić tylko siebie, bo miał słabość do hazardu, a Louis po prostu to wykorzystał. Po drugie, co gorsza, po śmierci Bernarda jego synowie podzielili się udziałami w ojcowskiej firmie, a Louis natychmiast podjął próby wygryzienia Paula z interesu. Nie

Janet Tanner

mógłby zrobić czegoś takiego za życia Bernarda, bo choć rzeczywiście to Bernard był twórcą imperium hotelowo-wypo-czynkowego, nigdy nie zapomniał, że początki zawdzięczał rodzicom Paula i Sophii, Charlesowi i Loli. Bez nich nic by z tego nie było i Bernard przyjmował to do wiadomości. Toteż Bernard krył błędy Paula. Ale nie Louis. Louis był bezwzględny, twardy, inteligentny i wredny. Pozbyłby się Paula równie bezlitośnie, jak zabija się natrętną muchę - nie, nie tylko bezlitośnie. Sprawiłoby mu to wyraźną przyjemność.

Louis uwielbiał władzę, lubił także dręczenie ludzi. Tak, ten sukinyński bydlak umarł w idealnym momencie. Długi zostały zapomniane. Paul z ulgą odkrył, że Louis nigdzie ich nie księgował, zbierał tylko w sejfie weksle, które Paul zniszczył po prostu spuszczając je w klozecie. Po Louisie nie został żaden spadkobierca, więc Paul nie miał nawet specjalnych wyrzutów sumienia. A jeśli chodzi o jego pozycję w rodzinnej firmie, to nagle się okazało, że jest lepsza niż kiedykolwiek od śmierci Bernarda. Gdy w kierownictwie zabrakło Louisa, Sophia wylądowała w więzieniu, Robin wyemigrował do Australii, a David był jeszcze za młody na jakieś poważniejsze i odpowiedzialne stanowisko, Paul nagle został szefem. Od tej chwili zdołał wykorzystać niemal wszystkie swe szanse. Zdawał sobie sprawę, że los już nigdy nie da mu takiej okazji. Zanim więc David dorósł do objęcia swego spadku i przejęcia kierownictwa firmy, Paul osiągnął pozycję rutynowanego męża stanu. W przeciwieństwie do Louisa David nigdy nie sugerował, że praca Paula nie będzie już potrzebna, a jeśli kwestionował jakieś jego decyzje, to z odpowiednim szacunkiem. Nie oznaczało to jednak, że był równie miękki i słaby jak Robin. Nie, David po prostu potrafił działać pośrodku pomiędzy skrajnościami, jakie reprezentowali jego dwaj starsi bracia.

Możliwe, myślał Paul, że z tych trzech chłopaków David najbardziej przypomina Bernarda: nie traci ani przez chwilę z oczu spraw istotnych, jest sprawiedliwy, łagodnie i taktownie zdecydowany, potrafi wprowadzić w życie nawet najbardziej

OKO ZA OKO

57

niepopularne innowacje przy minimalnym oporze ze strony personelu, nie tracąc przy tym ani odrobiny z niesłychanej lojalności wszystkich wobec siebie - bo każdy z jego pracowników czuje się ważną częścią organizacji i człowiekiem, liczącym się również na płaszczyźnie prywatnej.

Paul uznał, że tajemnicą sukcesów Davida jest umiejętność zarządzania ludźmi. Potrafiąc robić to tak, jak robił, David nie musiał być ani geniuszem finansowym, ani nawet błyskotliwym biznesmenem, bo zawsze zadania te wykonać mogli za niego chętnie inni - i to lepiej od niego.

Jednak w umyśle Paula nigdy nawet nie zaświtała myśl, iż stosunek Davida do niego jest właśnie najjaskrawszym przejawem geniuszu zarządzania ludźmi.

Paul zwinął gazetę, odłożył ją na stolik, zdjął okulary i wsunął je do miękkiego, skórzanego etui. Jego dłoń lekko drżała.

- Czy musimy mówić o Louisie?

Viv wzruszyła ramionami i przesunęła palce po włosach w geście, który nie zmienił się od dni jej młodości. W tamtych czasach jej włosy stanowiły ukoronowanie jej sławy, wspaniałe, płomiennorude, i była z nich bardzo dumna. Jeszcze długo potem, jak zaczęły blaknąć, farbowała je na kolor przypominający ich niegdysiejszą barwę, ale pewnego dnia spojrzała na siebie w lustrze i pojęła, że farbowanie nie czyni jej już wyzywającą, lecz starą. Wiedźma, pomyślała z obrzydzeniem. Następnego dnia poprosiła swego fryzjera, by za pomocą wszelkich niezbędnych środków doprowadził jej włosy do naturalnego koloru - i od tej pory włosy, o których niegdyś gadało całe Jersey, srebrzyły jej głowę miękką siwizną. Ale stare nawyki nie znikają łatwo - Viv nadal, jak kiedyś, odrzucała kosmyki z twarzy ruchem głowy, wciąż też

przesuwała palce przez włosy niedbałym gestem, który i tak nieodmiennie przyciągał uwagę innych.

- Nie, mój drogi, nie musimy rozmawiać o Louisie, jeśli to dla ciebie niewygodny temat. Ale może dobrze by było, gdybyś sobie odświeżył wszystkie swoje reakcje na wzmiankę o nim - myślę o tych, które przed laty doprowadziłeś do perfekcji.

- O czym ty mówisz, do cholery?!

Janet Tanner

- Przecież słyszysz. Dwadzieścia lat temu świetnie umiałeś ukryć swą nienawiść do Louisa. Obawiam się, że teraz wyszedłeś już z wprawy. Naprawdę teraz łatwo cię przejrzeć.

- Na miłość boską, Viv, nic nie rozumiem!

- Czyżby? - Jej zielone oczy, czyste jak dwie bryły szmaragdu, obserwowały go chłodno. - A więc powiem to jeszcze wyraźniej. Córka Robina jest na Jersey. Spotkamy się z nią i będziemy w jej towarzystwie. Chyba nie zapomniałeś, że jutro idziemy na kolację do La Grange? Nietrudno przewidzieć, że będzie chciała rozmawiać o Louisie.

- Przy kolacji? Przy Sophii? Z pewnością nie!

- No cóż, pewnie nie wtedy. Ale jesteśmy jednymi z niewielu osób, które dokładnie wiedzą, co się wtedy stało. Założę się, że w pewnej chwili ciekawość każe jej zapomnieć o delikatności. Więc, kochanie... - Uniosła w jego kierunku szklankę. - Radzę ci się przygotować.

Och, Juliet, moja droga, nie masz pojęcia, jak dobrze jest mieć cię tutaj! - powiedziała Sophia. Było już po kolacji, miłym, niezobowiązującym posiłku, przy którym Juliet czuła się zaskakująco rozluźniona w towarzystwie trojga krewnych, będących przecież dla niej zupełnie obcymi osobami. Teraz David i Debora taktownie wycofali się do swoich pokoi, pozostawiając Sopię sam na sam z Juliet.

- Wspaniale jest być tutaj - zgodziła się Juliet, popijając kawę z małej porcelanowej filiżanki ze złotym brzegiem.

- Szkoda tylko, że nie przyjechałam tu już dawniej. - Wciąż cieszyła się panującą atmosferą i smakiem uroczyście otwartego, wspaniałego szampana ze świetnie zaopatrzonej piwniczki Davida.

- A jednocześnie pobyt tu, w tym domu, jest bardzo dziwny... mam takie dziwne wrażenie... Tak naprawdę go przecież nie pamiętam, a jednak pamiętam. Wiesz, o co mi chodzi?

- O, tak, rozumiem cię. Ale mogę ci zagwarantować, że praktycznie nic się tu nie zmieniło, przynajmniej na poziomie

OKO ZA OKO

60

parteru. Debora oczywiście zmieniła wystrój pokoi, w których mieszka z Davidem. I to parę razy. Ale tu, na dole, nawet gdy odświeżana jest farba czy tapeta na ścianach, ogólny efekt pozostaje ten sam. Myślę, że dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że uparcie wierzę, iż nie zdołałabym tu niczego poprawić.

- O, z pewnością - przytaknęła Juliet.

- No, moja droga, to naprawdę komplement W końcu jesteś w tej dziedzinie fachowcem, prawda?

Juliet roześmiała się. O, tak, była teraz fachowcem, ale wciąż nie mogła się powstrzymać od śmiechu, gdy ktoś tak o niej mówił. Poza tym nie dałaby złamanego grosza za to, czy choć raz zdołała spojrzeć na La Grange oczami profesjonalisty. W tej samej chwili, gdy przekroczyła próg i weszła na wyłożoną granitowymi płytami posadzkę hallu, kiedy zobaczyła rzeźbiony w rozety plafon i szerokie schody, odbyła podróż w przeszłość. To wrażenie wywołał nie sam widok tego miejsca, ale zapachy - wosk do drewna na poręczy schodów i pięknie rzeźbionym stole, mieszający się z lekko zatechłą, choć całkiem miłą wonią wydzielaną przez gigantyczną ikebanę z suszonych kwiatów, wypełniającą i rozjaśniającą jeden z narożników hallu. Stojąc tam Juliet niemal słyszała stukot dziecięcych sandałków o posadzkę, jej sandałków - na bardzo praktycznej, skórzanej podeszwie - jakie nosiła w dzieciństwie.

Z hallu poprowadzono ją do salonu, nie tak znajomego, bo spędzała tam mniej czasu. Ale i tak poczuła się tam od razu świetnie i zachłannie wdychała atmosferę wygodnego luksusu, emanującą z przemyślanego połączenia odcieni kremowego i morelowego koloru. Jej wytrenowane oko dojrzało natychmiast aksamitne zasłony i jedwabne obicia, meble łączące w

sobie elegancję i wygodę - leniwce z drzewa brzoskwiniowego, miękkie łuki kanapy, sofę i fotele tak głębokie i zapraszające, że miała natychmiast ochotę się w nie zapaść. Jedną ze ścian w całości zakrywały półki z książkami; litery na grzbietach bogato oprawnych w skórę tomów świadczyły, iż należały one do rzadkich egzemplarzy pierwszych wydań ukochanych książek dziecięcych:

Janet Tanner

Alicja w krainie czarów, O czym szumią wierzby, Wodne dzieci. Lampy - zarówno stojące, jak i stołowe - miały dyskretne, jedwabne abażury, a wszędzie wokół widać było skarby, jakich można się dorobić tylko kolekcjonując przedmioty przez całe życie: pełne wdzięku wyroby ze srebra w stylu *art nouveau* i orientalne jadelitowe bibeloty. Tylko dywan trochę się kłócił z tym wnętrzem - kremowy, sięgający od ściany do ściany, nieskazitelny i luksusowy. Juliet spodziewała się tu raczej wielkiego i pięknego Aubussona lub czegoś w tym stylu, co podkreślałoby urok wypolerowanych desek parkietu.

Po wejściu do jadalni stwierdziła jednak, że instynkt jej nie zawiódł. Podłoga rzeczywiście wyłożona była parkietem i pokryta ogromnym, okrągłym, soczyście czerwonym dywanem, idealnie pasującym do mebli z ciemnego dębu, długiego na całą ścianę kredensu zawierającego kompletną, wykwintną zastawę stołową, pięknych, krytych regencyjnym pasiastym jedwabiem krzesel i wielkiego, prostokątnego stołu, nakrytego teraz nakrochmalonym, białym lnianym obrusem, ciężkimi srebrami i wspaniałymi kryształami. Jednak niezależnie od wspaniałego wystroju pomieszczenie było zupełnie zdominowane przez portret, który wisiał ponad wiktoriańską komodą.

- Dziadek! - zawołała Juliet—

- Tak, to twój dziadek Bernard, ale niestety nigdy nie widział tego portretu. Kazałam go namalować po jego śmierci - odparła Sophia, a widząc zaskoczenie na twarzy dziewczyny, zachichotała. W jej pełnej samokontroli pozie pojawił się łobuzerski cień. - Nigdy nie był w stanie usiedzieć na tyle długo w jednym miejscu, żeby ktoś zdołał go namalować. Bernard był człowiekiem czynu i uważał pozowanie za straszliwą stratę czasu. Ja jednak uznałam, że jako założyciel rodzinnego przedsiębiorstwa powinien mieć swój portret na honorowym miejscu, kazałam go więc namalować z fotografii.

- Czy uchwycono podobieństwo? - spytała Juliet.

- Tak sędę.

Juliet przyjrzała się mocnej twarzy, ostremu podbródkowi i błakającemu się po wargach półuśmiechowi.

OKO ZA OKO

63

- Wygląda na miłego.

- Tak - odrzekła po prostu Sophia. - Był miły.

Coś, co zabrzmiało w jej głosie, poruszyło Juliet do głębi; opuściła wzrok z portretu na babkę. Spojrzenie jej połyskujących, ametystowych oczu było odległe, a usta ułożyły się w jakiś miękki, delikatny wyraz,

Ona go naprawdę kochała, pomyślała Juliet. Może wciąż go kocha. Mojego dziadka. Ojca mojego ojca.

Ale w portrecie nie dopatrzyła się niczego, co by przypominało jej ojca. Robin był bardziej podobny do matki przez swoje lekko skośne oczy i wysokie kości policzkowe. „Mam w sobie rosyjską krew - powtarzał czasami Robin. - Lola, moja babka, była Rosjanką.”

Za to David zdecydowanie był podobny do ojca. W trakcie posiłku Juliet wielokrotnie przyłapała się na tym, że przenosi wzrok ze swego stryja na portret dziadka. Patrząc na Davida łatwo było sobie wyobrazić, jak Bernard musiał wyglądać w jego wieku - nawet teraz podobieństwo było uderzające: rozstaw oczu, linia szczęki, lekko haczykowaty nos. Dla Davida portret musiał stanowić spojrzenie we własną przyszłość. Był po prostu młodszą wersją swojego ojca. Ale do kogo był podobny Louis? Nie dostrzegła dotąd żadnych zdjęć, a mimo ogromnej ciekawości zdawała sobie sprawę, że jeszcze nie czas o to pytać.

Po raz kolejny Juliet zerknęła na babkę. Czego się spodziewała po kimś, kto zabił własnego syna? Sama nie wiedziała. Nurtowało ją to od chwili, gdy Molly opowiedziała jej o owych

wydarzeniach. Jednak bez względu na to, czego się spodziewała i jakich obrazów dostarczyła jej imaginacja, nie miało to żadnego potwierdzenia w rzeczywistości.

W wieku sześćdziesięciu sześciu lat Sophia wciąż była niezwykle schludna i elegancka. Jej włosy, choć niemal zupełnie siwe, lśniły zdrowiem i zadbanie, jej oczy - te niewiarygodne, ametystowe oczy - nadal błyszczały niezmacone i pozbawione ciemnych podkrężeń, jakich można by się spodziewać, chociaż miejscami jej skóra wyglądała na cienką jak papier, jakby babka

Janet Tanner

była chora. Jej gust był nieskazitelny - ta jedwabna bluzka została wybrana najwyraźniej dlatego, że była dokładnie w tym samym kolorze co jej oczy, i że idealnie pasowała do kremowej wełnianej garsonki od Coco Chanel. Sophia miała nadal dobre nogi, o kształtnych łydkach i pęcinach. Chodziła w pantoflach na wysokim, smukłym obcasie. Cóż, żadna z tych cech nie klóciła się z bezwzględnością, jakiej można by oczekiwać, ale uśmiech babki wykluczał tę możliwość. Przez całe życie Juliet nie widziała tak słodkiego uśmiechu. Teraz, gdy Sophia patrzyła na portret, znów pojawił się na jej wargach.

Ona nigdy nikogo nie zabiła, pomyślała Juliet, zaskoczona gwałtownością swych odczuć. Nie wierzę, żeby kiedykolwiek wzięła choćby broń do ręki, nie mówiąc już o zabiciu kogoś, a co dopiero własnego syna! Przecież gdyby to zrobiła, prześladowałoby ją to!

Kobieta, która zrobiłaby coś takiego, a potem wróciła i mieszkała w domu, gdzie to się stało, musiałaby być wyjątkowo twarda. Tymczasem bez względu na to, jaka była Sophia, Juliet gotowa była gwarantować własnym życiem, że babka nie jest twarda. Teraz Sophia zwróciła swój uśmiech do Juliet, a wtedy dziewczynie wydało się, że nie tylko kąciki ust uniosły się do góry. Babka uśmiechała się całą twarzą - nic dziwnego, że wygląda tak młodo, pomyślała Juliet. Potem Sophia pochylila się i wzięła do ręki dłoń wnuczki.

- Tyle lat! - powiedziała z westchnieniem. - Jesteś moją jedyną wnuczką, a mnie ominęło całe twoje dorastanie! Na wypadek gdyby groziło mi stracenie cię z oczu na kolejne dwadzieścia lat, chcę ci powiedzieć, jak bardzo mnie to smuciło. Ale mam nadzieję, że sobie to wynagrodzimy. Na początek chcę, żebyś mi opowiedziała wszystko o sobie - wszystko!

Juliet odpowiedziała uśmiechem.

- No, dobrze. Ale czy mogłabym najpierw dostać jeszcze filiżankę kawy?

- Oczywiście, że tak! Przepraszam, jestem okropną gospodynią!

OKO ZA OKO

66

- Och, z całą pewnością nie, babciu!

- Na usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że nie potrafię myśleć o niczym poza poznaniem cię.

- Wiem - odparła Juliet, popijając świeżą kawę i myśląc, że będzie musiała powstrzymać na jakiś czas swoją ciekawość.

Gdy Juliet wspinała się już po schodach na pierwsze piętro do pokoju gościnnego, gdzie miała mieszkać, bardziej niż kiedykolwiek dręczyła ją niepewność, jaka była babka.

Chciała usłyszeć wszystkie szczegóły życia Juliet i wyciągała z niej takie rzeczy, jakich dziewczyna nigdy nikomu nie opowiadała - nie sądziła, że mogłyby kogoś zainteresować. Babka okazywała przy tym wręcz niesamowitą jasność myśli i mądrość, przechodząc wprost do sedna spraw, o których Juliet mówiła ogólnie.

- A czy lubiłaś jeździć konno? - spytała z typową dla siebie bezpośredniością, kiedy Juliet opowiadała o kucyku, którego dostała na szóste urodziny. Juliet musiała wtedy przyznać, że nie, zdecydowanie nie podobała jej się jazda konna. Było to wyznanie, na które nie zdobyła się bardzo długo wobec swoich rodziców; obawiała się, że uznają ją za niewdzięczną, lękliwą albo wręcz tchórzliwą. Na odwagę zdobyła się dopiero po wyjątkowo niebezpiecznym upadku.

Dopiero wtedy ośmieliła się powiedzieć, że wymaganie, by panowała nad o tyle większym od siebie zwierzęciem, to za dużo, tym bardziej że miała zbyt krótkie nogi, by choć prawidłowo utrzymywać równowagę na tłustym kucu. Wciąż się ześlizgiwała, spadała i nie umiała wspiąć się z powrotem. Molly była tym wyraźnie urażona - Juliet podejrzewała, że matka zapewne widzi się już w roli rodzicielki przyszłej reprezentantki Australii w skokach przez przeszkody lub zwyciężczyni Trzydniówki WKKW. W każdym razie Juliet długo miała przez to wrażenie

przegranej. Babka natomiast wyraźnie ją rozumiała i przewidziała jej reakcję, zadając to pytanie - podobnie jak natychmiast pojęła uczucia Juliet, gdy dziewczyna opowie-

Janet Tanner

działa jej, jak bardzo lubiła grać na fortepianie i jak długo musiała błagać, by jej pozwolono uczyć się gry na skrzypcach. Zawsze jednak słyszała w odpowiedzi, jak Molly mówi znużonym głosem: „Nie ścierpię tej kociej muzyki.”

Jednak chyba najbardziej zaskakujący był sposób, w jaki babka drażniła kwestię jej uczuć do Seana.

- Masz chłopaka?

- Tak. Poznałam go w college'u. Był o rok wyżej ode mnie, więc jest już porządnie ustawiony w pracy i dobrze mu się powodzi. Jak wrócę do domu, pewnie się zaręczymy, a za rok weźmiemy ślub.

Juliet była pewna, że nie zdradziła niczym swych wątpliwości, ale głos Sophii był poważny.

- Jesteś bardzo młoda.

- Nie aż tak. Mam dwadzieścia trzy lata. Całkiem sporo dziewczyn, z którymi byłam w szkole, jest już mężatkami, a nawet matkami.

- Tak, tak, wiem. Ja sama nie miałam jeszcze nawet dwudziestu lat, gdy wyszłam za twojego dziadka. No cóż, wszystko w porządku, o ile jesteś przekonana, że go kochasz. To najważniejsze.

- Jej szokująco ametystowe oczy, teraz jakby nieco przyćmione, szukały wzroku Juliet. - Jesteś-przekonana?

Juliet poczuła jakieś nerwowe drgnienie w gardle. Chciała powiedzieć, że tak, nie mając ochoty dyskutować o najgłębszych uczuciach w ogóle z nikim, a co dopiero z ledwie poznaną babką, ale nie potrafiła. Miała dziwaczne wrażenie, że Sophia zagląda jej wprost w serce i widzi te wątpliwości, które Juliet tak bardzo chciała ukryć.

- Juliet? - nalegała babka. - Kochasz go? Juliet z trudem wydobyła z siebie głos.

- Tak, oczywiście.

Jeszcze przez chwilę te przenikliwe oczy wpatrywały się bez drgnienia w źrenice Juliet, a potem Sophia powoli pokiwała głową.

- A więc wszystko w porządku. Skoro go kochasz, to tylko to się liczy.

OKO ZA OKO

55

Ale Juliet instynktownie wyczuła, że babka nie jest całkiem zadowolona i zastanawiała się, ile czasu minie, nim powróci do tego tematu.

Pokój gościnny miał własną łazienkę. Juliet umyła twarz i wyszczotkowała zęby, po czym wślizgnęła się pod chłodną bawełnianą pościel. Była teraz bardzo zmęczona; minął długi dzień, a różnica czasu - czemu zawsze zaprzeczała - dawała się jej już we znaki. Tyle pytań, pomyślała, gdy pokój zaczął od niej powoli odpływać. Tyle...

Nagle, gdy była już na granicy snu, przyszła jej do głowy jeszcze jedna myśl. Skoro Sophii tak bardzo zależało na jedynej wnuczce i tak bardzo się nią interesowała, to dlaczego nigdy nie przyjechała z wizytą? Przecież jeśli rodzina tego sobie życzyła, o tajemnicach z przeszłości można by w ogóle nie wspominać. A mimo to nie odwiedziła ich. Instynkt podpowiedział dziewczynie, że pomiędzy jej rodzicami a babką musi istnieć jakaś wciąż nie zasypiana przepaść, co nappełniło troską jej rozespiane myśli. Lecz była zbyt znużona, by myśleć jaśniej. Kawalki tej układanki krążyły jej po głowie, pomieszane i dziwacznie niezgodne. Potem odpłynęły dalej i jeszcze dalej, a po paru chwilach Juliet już spała.

Rozdział czwarty

Och , Juliet, moja droga, jak to miło!

Catherine Carteret pracowała w ogrodzie przed swym domkiem, kiedy przed bramą zatrzymał się Austin Metro, wynajęty przez Debórę specjalnie dla Juliet, która po chwili wyślizgnęła się zza kierownicy.

Catherine wyprostowała się i mocniej wcisnęła na swe stalowo--siwe włosy słomiany kapelusz - mała, okrągłutka kobieta, na tyle podobna do Sophii, że można było natychmiast rozpoznać je jako siostry, ale jednocześnie bardzo od niej różna. Gdzie u Sophii królował porządek, Catherine miała nieustanny nieład. Gdy Sophia była cicha i tajemnicza, Catherine paplala jak nakręcona. Ci, którzy pamiętali je obie jako małe dziewczynki, zachowali wspomnienia o Catherine jako wiecznie ruchliwej, ładnej i zawsze roześmianej - nie tak pięknej jak Sophia, ale z własną wyraźną osobowością. Teraz znana była ze swego zamiłowania do żartów i czerpania nieustającej przyjemności z wygłaszania szokujących stwierdzeń. Zaskakujące, ale Catherine nigdy nie wyszła za mąż. Wkrótce po wojnie wyjechała z Jersey do Anglii, została nauczycielką i spędziła całe życie pracując w szkołach najbardziej odległych dzielnic Londynu.

Rodzina już dawno zaprzestała prób zrozumienia motywacji kierujących jej postępowaniem; Catherine po prostu sama ustanawiała swoje prawa. Potem, nagle, w chwili gdy wszyscy uznali, OKO ZA OKO

57

że opuściła Jersey na zawsze, po raz kolejny udowodniła, że się mylą. Przed rokiem, osiągnąwszy sześćdziesiąt lat, przeszła na emeryturę, sprzedała mieszkanie, w którym żyła przez ponad trzydzieści lat i powróciła na wyspę, gdzie się urodziła. Sophia natychmiast zaproponowała, by wprowadziła się do La Grange, żeby dotrzymać jej towarzystwa - bo mimo radości, jakiej jej dostarczało mieszkanie z Deborą i Davidem, z przyjemnością myślała o stałym kontakcie z siostrą, szczególnie teraz, gdy miały obie tyle wolnego czasu. Ale Catherine

odrzucała tę propozycję. Wyjaśniła, że zbyt długo mieszkała samotnie i nie umiałaby się już do nikogo dopasować, po czym kupiła sobie przeszliczny domek w samym sercu wyspy.

Jednak mimo niechęci do wspólnego zamieszkania Catherine bardzo często spotykała się z rodziną. Była jedną z niewielu osób, potrafiących wytrzymać z Vivienne i zwykle co najmniej raz na tydzień jadła z nią i Paulem kolację. Była też bardzo częstym gościem w La Grange.

Teraz była zachwycona widokiem Juliet, którą bardzo namawiała do tych odwiedzin. Pognała otworzyć bramę, wołając ostrzegawczym głosem:

- Lepiej nie zostawiaj tam swojego samochodu. Droga jest strasznie kręta i niezbyt szeroka.

Otworzę bramę, a ty wjedź na podjazd. Potem pójdziemy na herbatę.

- Przepraszam - powiedziała Juliet, zaparkowawszy samochód za autem Catherine. - Nie jestem przyzwyczajona do takiej ciasnoty.

Catherine poprowadziła ją do domku, rzuciła kapelusz na miękko wyściełany fotel w kuchni i wstawiła czajnik na kuchenkę. Pomieszczenie natychmiast wypełniło się zapachem palonego cukru.

- Cholera! - zakleja Catherine. - Musiałam znów coś wylać na ten palnik. Nieważne, wypali się samo, prawda?

Juliet odpowiedziała jej uśmiechem. Nie było żadnych porównań między Catherine a resztą rodziny. W La Grange Sophia zatrudniała gosposię, pokojówkę i ogrodnika, a Viv, mimo że jej dom był mniejszy i nie tak ekskluzywny, miała wszelką

Janet Tanner

możliwą pomoc najemną, żeby tylko uniknąć babrania się w sprawach gospodarskich. Oni wszyscy prowadzili nieskrępowanie luksusowe życie - oczywiście opłacane z zysków dochodowej firmy rodzinnej.

Jedną z pierwszych czynności Juliet po przyjeździe na Jersey było obejrzenie wszystkich czterech hoteli. To, co zobaczyła, wywarło na niej ogromne wrażenie. Każdy pokój miał swoją łazienkę, a każda z nich wyposażona była w zdobione monogramami ręczniki i płaszcze kąpielowe, w podgrzewane wieszaki i specjalne firmowe kosmetyki. Telewizory w sypialniach odbierały programy satelitarne i normalne, w każdym pokoju było stereofoniczne radio i dobrze zaopatrzony, chłodzony barek. Ale to był zaledwie początek wylewnej gościnności, z jaką byli traktowani turyści od momentu wejścia do hotelu. Każdy natychmiast zaczynał się czuć jak gość honorowy. Niezależnie od pory dnia czy nocy portierzy rozwozili bagaże do pokoi w ogromnych, wyłożonych lustrami windach, a recepcjoniści przyjmowali zlecenia na poranne gazety, pralnię oraz specjalne wymagania dietetyczne. W pięć minut po zameldowaniu się gość dostawał do pokoju dzbanek herbaty (sztuczka, jaką Bernard zapożyczył ze wspaniałych hoteli Dalekiego Wschodu), a kiedy pokojówka ścielila łóżko, kładła na poduszce czekoladkę lub kwiat.

Juliet, przyzwyczajona do o wiele praktyczniejszego życia w dostatniej, choć nie przesadnie bogatej Australii, była zafascynowana i rozbawiona, kiedy odwiedziła biura imperium Lang-lois. Gdy David prowadził ją wzdłuż wyłożonego dywanem i zawieszonych akwarelami korytarza do pokoju zarządu, gdzie na jej cześć wydano lunch, zauważyła szacunek, z jakim personel traktował jej stryja, i z łatwością wyobraziła sobie, że pozostali członkowie rodziny spotykają się z identycznym przyjęciem.

Być może, pomyślała, działo się tak dlatego, że oni się spodziewali traktowania ich jak wizytujące koronowane głowy - nawet Sophia, która przecież odsiedziała wyrok za zabicie swego syna, była witana z tym samym respektem przez personel, który zapewne już dawno zapomniał, co się stało. Ale Catherine

OKO ZA OKO

73

była inna. Pracownicy mogli ją bardzo lubić - i zapewne tak właśnie było - lecz ich stosunek do niej stanowił odzwierciedlenie jej przyjacielskiego nastawienia do ludzi. Catherine zupełnie nie zależało na jakichkolwiek ceremoniach. Nie miała na to czasu. Nie żeby to ją miało onieśmielać, raczej po niej splywało. Nie zauważała wszelkiej ceremonialności i nie spodziewała się żadnego specjalnego traktowania, i dlatego Juliet czuła się w jej towarzystwie zupełnie swobodnie, na co nie umiała się zdobyć wobec innych po zaledwie tygodniowej znajomości, niezależnie od tego, jak bardzo ich lubiła. Oni wszyscy najwyraźniej należeli do arystokracji na wyspie. Catherine, z całym szacunkiem dla tego określenia, była po prostu zwyczajna.

- Więc co sądzisz o Jersey? - spytała Catherine, stawiając dwa fajansowe wielkie kubki na drewnianym blacie stołu i wrzucając do nich torebki z herbatą. - Czy jest takie, jak się spodziewałaś? Och, rzuć gdzieś mój kapelusz i siadaj. Za drzwiami jest wieszak, ale jestem za leniwa, żeby go używać.

Juliet podniosła kapelusz i z niejakim trudem odwiesiła go na wieszak, na którym królowały już: płaszcz deszczowy, wełniana kamizela i plastikowy fartuch z reklamą musztardy Colmana.

- Uważam, że Jersey jest piękne - powiedziała wracając na wyścielany fotel. - Choć strasznie mnie zdziwiło, że takie małe. Z jednej strony na drugą przejedzie się w dwie godziny, a nawet mniej! Tyle czasu trzeba, żeby się wydostać z przedmieść Sydney!

- Być może ma to coś wspólnego z ruchem ulicznym? - zasugerowała łagodnie Catherine.

- Możliwe. Ale również z rozmiarami. Ciociu Catherine, czy byłaś kiedyś w Australii?

Catherine pokręciła głową.

- Nie. Zawsze miałam na to ochotę, ale nigdy tam nie pojechałam.

- A powinnaś. Mama i tata z radością by cię zobaczyli.

- Taak. - Catherine odwróciła się z czajnikiem w ręku, ale przez króciutki moment Juliet dojrzała straszliwie nieprzejednaną minę na wyrazistej twarzy ciotki. Było to tak różne od jej

Janet Tanner

normalnego, przyjacielskiego uśmiechu, że Juliet poczuła skurcz żołądka. Pełne dobroci usta Catherine stwardniały, a oczy zwęziły się w szparki. Ta mina zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, ale Juliet nie miała żadnych wątpliwości co do jej znaczenia. Albo Robin, albo Molly, jedno z nich, nie było faworytem ciotki. Nigdy nie przyjechała do Australii, bo nie chciała się spotkać albo z jednym z nich, albo z obojgiem.

Nie po raz pierwszy Juliet zaczęła się zastanawiać, dlaczego jej rodzice wyemigrowali. Przez całe życie dawali jej niezobowiązujące odpowiedzi na to pytanie - chcieli więcej słońca, Robin nie lubił być uwiązany w firmie, chcieli więcej przestrzeni i swobody. Kiedy wydusili z siebie tę wybuchową historię

o rodzinnym skandalu, dodali do niej wyjaśnienie, że chcieli zapewnić Juliet lepszy start, z dala od rozplotkowanych języków. Juliet zaakceptowała to tłumaczenie na słowo honoru. Teraz jednak znów zaczęła myśleć, czy przypadkiem nie było jeszcze jakichś powodów. Czyżby pomiędzy jej rodzicami a resztą rodziny istniały jakieś nieporozumienia? Może to jest wyjaśnienie tak rzadkich kontaktów przez wszystkie te lata? I czy była to jakaś zapiekła niechęć, czy też w jakiś sposób było to powiązane ze śmiercią Louisa?

Catherine zalewała wrzątkiem torebki z herbatą bez słowa usprawiedliwienia, zapewne w ogóle nieświadoma, że takie metody nie są uznawane przez resztę rodziny.

- No a my - powiedziała lekko - czy my jesteśmy tacy, jak się spodziewałaś?

Juliet wzięła łyżeczkę i zaczęła dusić torebkę o ściankę kubka.

- Tak naprawdę to nie wiedziałam, czego się spodziewać. Znałam wasze imiona i dostawałam od was czeki na urodziny

1 pod choinkę, ale to wszystko. A było mnóstwo rzeczy, o których nie miałam pojęcia. O których nigdy mi nie powiedziano...

- Masz na myśli... - W oczach Catherine pojawił się wyraz czujności.
- Dopiero kiedy powiedziałam o zamiarze wyjazdu na Jersey, mama i tata opowiedzieli mi... no, o babci.

OKO ZA OKO

76

- Więc nie wiedziałaś? - spytała z niedowierzaniem zaskoczona Catherine.
- Nie, nie miałam pojęcia.
- O mój Boże! Chociaż... właściwie nie powinno mnie to aż tak zaskoczyć. Twoja matka zawsze uwielbiała swoje małe tajemnice. Ale żeby aż tak...
Juliet wyciągnęła z kubka torebkę i odłożyła ją na talerzyk, specjalnie w tym celu ustawiony przez Catherine na środku stołu. I nagle się zdecydowała.
- Ciociu Catherine... co się naprawdę stało?
- Myślałam, że ci w końcu powiedzieli.
- No tak, ale tylko w ogólnych zarysach. Że tata miał dwóch braci, a nie - jak zawsze sądziłam - jednego, że kiedy dziadek umarł, Louis, najstarszy brat, usiłował rządzić na swój sposób i wywołał mnóstwo problemów. Z tego powodu doszło do straszliwej kłótni i babcia zastrzeliła Louisa, za co poszła do więzienia. Ale jest mnóstwo rzeczy, których nie rozumiem, i mam wrażenie, że mama nie powiedziała mi wszystkiego.
- Rozumiem. - Catherine odwróciła się i zdjęła pokrywę z wielkiej kwadratowej puszki z herbatnikami o różnych smakach. Zdawała sobie sprawę, jak łatwo ją przejrzeć, a ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnęła, było odczytanie jej myśli przez Juliet. A myśl ta brzmiała: Molly z całą pewnością nie powiedziałaby swojej córce wszystkiego.
Gdybym była na jej miejscu, też bym nic nie mówiła na temat niektórych aspektów tej sprawy, a ja przecież nie jestem tak skryta, pomyślała z przekąsem Catherine. Na głos zaś powiedziała:

- **Nie wiem, czy potrafię ci powiedzieć wiele więcej ponad to, co już wiesz. Kiedy to się stało, nie było mnie na Jersey. Byłam w Londynie. Wiesz, że tam przez wiele lat uczyłam. Juliet zrzęda mina.**
- **Prawie każdy mógłby ci powiedzieć więcej ode mnie - ciągnęła Catherine. - Twój wujeczny dziadek Paul i twój ojciec zajmowali się wyjaśnianiem sytuacji.**

Janet Tanner

- Myślę, że tata nienawidził tego.

- O, na pewno. Dlatego większość spraw spadła na Paula. David był zbyt młody, żeby go w to mocniej angażować - miał dopiero dziewiętnaście lat i uczył się w college'u.

- To znaczy, że jego też nie było na Jersey, kiedy to się stało?

- Ależ był! Miał straszliwą gripę i przyjechał się leczyć w domu. Widzisz więc, że każde z nich ma więcej możliwości odpowiadania na twoje pytania niż ja. - Wybrała sobie herbatnika nasączonego burbonem, wgrzyła się weń i popchnęła pudło w stronę Juliet. - Poczęstuj się. Są świetne.

Juliet pokręciła głową.

- Nie, dziękuję. Lepiej nie. Idę dzisiaj na kolację z babcią, a ona ma skłonności do co najmniej czterodaniowych posiłków.

- Zapewne chce sobie wynagrodzić czasy, gdy musiała żyć na koszt jednej z instytucji podlegających Jej Królewskiej Mości - odrzekła sucho Catherine.

- To musiało być dla niej straszne - powiedziała Juliet, zaszokowana, że ciotka może z tego żartować.

- Na pewno było. Na szczęście łatwo się z tego wywinęła. Śmiem twierdzić, że pomogła jej w tym nienaganna do tej pory postawa i pozycja na wyspie, ale łagodny wyrok zawdzięcza w dużej mierze Danielowi Deffainsowi.

- A kto to taki?

- Jej adwokat. Wykonał znakomitą robotę w arcytrudnych okolicznościach.

Juliet otoczyła swój kubek dłońmi.

- Szczerze mówiąc, uważam to wszystko za niewiarygodne. Wydawało mi się tak już w chwili, gdy mama mi o tym opowiadała, ale teraz, gdy poznałam babcię... No cóż, ja po prostu nie wierzę, że ona mogła zrobić coś takiego.

Catherine pokiwała głową. Nie była już ostrożna, wyglądała teraz po prostu smutnie.

- Wiem. Wszyscy tak samo to odczuwaliśmy.

- Skoro nikt nie wierzył, że to zrobiła, to dlaczego uznano ją za winną? - dopytywała się Juliet. - To nie ma sensu.

OKO ZA OKO

63

- Uznano ją za winną, bo się upierała, że jest winna - odparła spokojnie ciotka.

- Co więc się stało?

- Sophia była na przyjęciu w St Helier. Wróciła do domu krótko przed północą, kierowca przywiózł ją pod drzwi La Grange. Dwadzieścia minut później dyżurny miasta odebrał telefon od Sophii, która poprosiła o przysłanie policji i pogotowia. Powiedziała, że zastrzeliła Louisa.

- I uwierzono jej?

- No cóż, Louis nie żył.

- Ale przecież zdarza się, że ludzie składają fałszywe zeznania, prawda?

- Nie wiem, Juliet.

- Ale wtedy pomyślałaś...

- Tak jak i ty nie wierzyłam, że Sophia mogłaby coś takiego zrobić, i Daniel Deffains również w to nie wierzył. Jestem pewna, że to dlatego wykonał dla niej tak znakomitą robotę. Gdyby bronił jej ktokolwiek inny, mogłaby skończyć z dużo większym wyrokiem. - Catherine nieco się zarumieniła i zmienił jej się głos, ale Juliet tego nie zauważyła.

- Ale nawet on nie potrafił jej uwolnić od zarzutów - powiedziała oskarżycielskim. głosem Juliet.

- Nie rozumiesz, moja droga. On sobie wypruwał żyły... Catherine urwała, przypominając sobie dramatyczną rozmowę, jaką odbyła z adwokatem, kiedy błyskawicznie powróciła na Jersey na wieść o aresztowaniu siostry.

Danielu, jak mogłeś dopuścić do tego, żeby ją oskarżyli?! - spytała z furją. - To idiotyczne, szalone!

- Sophia się upiera przy swojej winie - odparł adwokat, a jego oczy za szklami złotych okularów błyszczały łękiem. - Chce się przyznać do winy i jest gotowa przyjąć karę, jaką jej wymierzą. Mogę tylko starać się walczyć o łaskę dla niej.

- Ależ ona tego nie zrobiła!

Janet Tanner

- Ona twierdzi, że tak. Ona jest moją klientką, Catherine. Moim obowiązkiem jest spełniać jej życzenia. Cała sprawa jest nieco niezwykła, to prawda. Ogólnie rzecz biorąc powinienem wierzyć w niewinność klienta, jeśli mam go reprezentować. Ale czy trafi mi się zwyczajna czy nadzwyczajna sprawa, od etyki nie ma odstępstw. Muszę zrobić, co się da, wierząc w to, co mi mówi. Nie mogę biegać w kółko i bawić się w policjanta. Nie mam do tego uprawnień.

- Rozumiem. Nie chcesz jej pomóc - wyszczała Catherine.

- Oczywiście, że chcę jej pomóc. Na Boga, znam was obie przez całe życie. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, niż pójście do sądu i udowodnienie jej niewinności. Ale ona żąda, żebym tego nie robił.

Nie dała mu żadnych podstaw do obrony - powiedziała teraz Catherine. - Od początku do końca obstawała przy tym, że pokłóciła się z Louisem i przypadkowo go zastrzeliła.

- Ale jak coś takiego mogło się zdarzyć?

- Och, Juliet, nie wiem. To było tak dawno temu. Wiem tylko, że nie mogłam w to uwierzyć.

Sophia ubóstwiała Louisa. Spośród wszystkich synów on... miał dla niej szczególne znaczenie. A poza tym... - Urwała i przygryzła wargę.

- Poza tym co?

- Sophia bała się broni palnej - odrzekła powoli Catherine, starannie dobierając słowa. - Trudno mi było uwierzyć, że w ogóle wzięła rewolwer do ręki, nie mówiąc już o pociągnięciu za spust - przypadkiem czy specjalnie.

- Miała fobię, tak? Catherine zawahała się.

- No, coś takiego.

- Dlaczego więc nie stanęłaś przed sądem i nie powiedziałaś o tym?

- Och, Juliet... - westchnęła ciotka. - Bo ona mnie prosiła, żebym tego nie robiła.

OKO ZA OKO

65

- Ale dlaczego?!

- Sophia była zdecydowana wziąć na siebie winę za śmierć Louisa.

- Masz na myśli, że kogoś osłaniała?

- Nie wiem. Wtedy wysuwaliśmy wszelkie możliwe teorie. Pamiętam, że nawet braliśmy pod uwagę możliwość, że to wszystko... wytrąciło ją z równowagi i że uwierzyła, że to zrobiła. Jak ci już mówiłam, ona uwielbiała Louisa. Wydawało mi się więc, że mogło się na przykład zdarzyć, że Louisa zabił włamywacz, a ona znalazła go wracając z przyjęcia i... po prostu poprzestawiało jej się w głowie. Ale policja nie chciała o tym nawet słyszeć. Nic dziwnego zresztą, biorąc pod uwagę siłę, spokój i zaradność twojej babki.

- Nie wiem - powiedziała w zadumie Juliet, której twarz nabrała wyrazu zdecydowania. - Ale jestem pewna, że babcia nie zabiła Louisa. Byłam tego pewna od chwili, gdy ją zobaczyłam. To nie ma nic wspólnego z tym, co ktoś mi powiedział. Po prostu przekonanie. Ty też to tak odbierasz, prawda?

- Tak. Ale powinnaś pamiętać, że rozmawiamy o czymś, co się stało dawno temu. Wiem, że to dla ciebie zupełnie *novum*, zrozumiałe jest, że się tym interesujesz. Ale my z tym żyjemy od niemal dwudziestu lat.

- A co to za różnica?

- Zaakceptowaliśmy to i zostawiliśmy za sobą. Ja nie mam nic przeciw rozmowie z tobą na ten temat, ale inni członkowie rodziny mogą nie pałać do tego chęcią. Myślę, że mądrze byś zrobiła, gdybyś do tego podeszła tak jak my i zapomniała, że w ogóle coś takiego się wydarzyło.

- Jak możesz tak mówić?! - Oczy Juliet płonęły jak w gorączce. - Skoro babcia nie zabiła Louisa, skoro odsiedziała wyrok za zbrodnię, której nie popełniła, to chyba mamy prawo walczyć o oczyszczenie jej imienia? Szczerze mówiąc nie rozumiem, dlaczego nie zrobiliście tego wtedy.

- Juliet, mówiłam ci...

- Wiem. Słyszałam, co mówiłaś. Ale musisz zrozumieć, jak to wygląda z mojej strony. Przecież to jest moja babcia!

Janet Tanner

- A moja siostra.

- Tak, ale to niezupełnie to samo. - Juliet urwała, nie bardzo wiedząc, jak wytłumaczyć budzącą się dogłębną potrzebę, sięgającą dalej niż tylko do udowodnienia niewinności Sophii - potrzebę wiedzy, czy jest wnuczką morderczyni i w związku z tym jaką krew mieć będą w swych żyłach dzieci, które urodzi. Ta potrzeba nie pojawiła się w jej umyśle nagle; raczej prześlizgiwała się po głębinach jaźni, narastała od momentu, kiedy opowiedziała Seanowi zasłyszana od Molly historię i zobaczyła jego oczy. To naprawdę niemile pomyśleć, że pochodzi się w linii prostej od kogoś, kto był zdolny do tak strasznego czynu. W pewnym sensie Juliet potrafiła zrozumieć szok, jaki przeżył Sean na wieść o takiej możliwości. I czy to miało sens, czy nie, Juliet musiała przyznać, że było to ważniejsze, niż jej się w pierwszej chwili wydawało.

- Juliet - powiedziała miękko Catherine. - Nie wywlekaj tego wszystkiego od nowa. - W jej głosie brzmiała błagalna nuta. Pochyliła się i położyła dłoń na ramieniu dziewczyny. - Dla twojego własnego dobra, dla spokoju własnej duszy, zostaw to.

Juliet odczuła niemile ukłucie niepokoju.

- Dlaczego? - spytała.

Catherine zawahała się. Policzki jej płonęły i nie była już w stanie patrzeć Juliet w oczy.

- W każdej rodzinie jest jakiś nieprzyjemny sekret, jakiś szkielet w szafie. Nie ma w tym nic niezwykłego. Ale czasami najlepiej, żeby pozostał sekretem. Prawie zawsze.

Juliet znów poczuła nieprzyjemny dreszcz na karku. O czym mówi ciotka? No cóż, chyba i tak wystarczająco długo ją męczyła jak na jedno popołudnie.

- Przepraszam, ciociu. Zadaję za dużo pytań - powiedziała z wymuszoną swobodą. - Poza tym na mnie chyba już czas. Idę dziś na kolację do jednego z hoteli. Dopiero co wygrał jakąś specjalną nagrodę za kuchnię.

- Chyba wszystkie już zdobyły nagrody, kochanie - odrzekła

OKO ZA OKO

67

Catherine z uśmiechem. - Pewnie idziecie do Les Belles Fleurs; tam jest najbardziej wykwinтна restauracja. Ale wiem, że ulubioną restauracją Sophii jest najmniejsza i najbardziej intymna - w La Maison Blanche.

- W hotelu, od którego się zaczęło. Oczywiście, przecież tam mieszkała jako dziecko.

- Wszyscy tam mieszkaliśmy - powiedziała Catherine, przypominając dziewczynie, że jest siostrą Sophii. - Nicky i Paul, Sophia i ja.

- Nicky... został zabity na wojnie, tak?

- On... umarł.

- Och, zdawało mi się, że tata powiedział... Catherine uśmiechnęła się smutno.

- Znowu szkielet w rodzinnej szafie, kochanie. Opowiem ci o tym, jak będziesz miała więcej czasu. Ale ostrzegam cię, to smutna historia. A teraz...

- Tak, naprawdę muszę już iść. Babcia nie chciałaby, żebym poszła na kolację ubrana tak jak teraz.

- Uważam, że bardzo dobrze wyglądasz. Turkusowy kolor pasuje do ciebie, a nogi masz stworzone do spódniczki mini. Gdybym mogła powiedzieć to o sobie!

Sięgnęła po słomiany kapelusz, wcisnęła go na swe sztywne, siwe loki i poszła za Juliet do drzwi. Przy bramie dziewczyna odwróciła się, żeby jej pomachać, a Catherine z zaskoczeniem zauważyła, jak bardzo Juliet podobna jest do młodej Sophii. Ta myśl znów przypomniała jej furie, z jaką dziewczyna broniła swej babki. A potem pojawiło się uczucie lęku, iż Juliet ma zamiar wydobyć przeszłość na światło dzienne.

Och, Boże, miała nadzieję, że udało się jej odwieść Juliet od tego pomysłu. Tyle było rzeczy, o których lepiej nie pamiętać! Ale Catherine potrafiła zrozumieć uczucia Juliet. Ona też była

przeświadczona o niewinności siostry. Ona także była zdecydowana tego dowieść. I tylko jedno ją od tego odwiodło: sama Sophia.

Catherine wzięła głęboki, uspokajający wdech, przypominając

Janet Tanner

sobie tak wyraźnie, jakby to było wczoraj, jak odwiedziła Sopię w areszcie.

- Nie wierzę, żeś to zrobiła, Sopi - powiedziała jej wtedy. -1 uzmysłowię wszystkim, że nie jesteś do tego zdolna.

Twarz Sopi była blada i wymęczona, a jej ametystowe oczy pociemniały z bólu. Ale dłoń, którą położyła na ramieniu siostry, była pewna, a głos czysty i mocny.

- To ja zabiłam Louisa, Catherine! Jeśli będziesz próbowała udowodnić coś innego, nigdy ci tego nie wybaczę!

Rozdział piaty

Rodzina Langlois, kończąca kolację przy wydzielonym stole w restauracji hotelowej Les Beiles Fleurs, Rose Room Restaurant, była właśnie przy deserze.

- Myślę, że powinieneś porozmawiać z szefem kuchni, Davi-dzie - powiedziała Sopi odkładając łyżeczkę. - Ten krem jest zbyt rzadki, przypomina raczej mus. Powinien być bardziej zwarty. A przybranie, jakiego użył do tego truskawkowego ciasta, można określić jako krzykliwe.

Juliet z zaskoczeniem uniosła wzrok na Sopię. Do tej pory wydawała się jej tak miłą w obejściu osobą, teraz Juliet pierwszy raz była świadkiem najwyższego perfekcjonizmu babki, kiedy chodziło o hotele. Najwyraźniej ich niesamowicie wysoki standard nie był dziełem przypadku, lecz owocem ciągłej czujności. Ale i tak szkoda jej było szefa kuchni, który uraczył ich pięcio-daniowym, superwykwintnym posiłkiem i osobiście przyprowadził do nich stół na kółkach, obładowany co najmniej piętnastoma rodzajami deserów.

- Moja babka rumowa była bardzo dobra - pośpieszyła na ratunek szefa kuchni.

Viv roześmiała się głośno.

- Dla mnie wszystkie te desery są świetne, ale nie odważyłabym się ich jeść. Mam skłonności do tycia w pasie! Obawiam się, że będę musiała poczekać na sery; wtedy wezmę Edamski.

Janet Tanner

- Mogłabyś jeść dużo więcej smacznych rzeczy, Viv, gdybyś tyle nie piła - odezwała się cierpko Sophia. - Wiesz, ile kalorii jest w alkoholu?

- No cóż, dzięki za radę, Sophio! - Viv sięgnęła po kieliszek i kpiącym ruchem uniosła go w stronę szwagierki. - Jednak obawiam się, że będę dalej brnąć w grzech. I muszę powiedzieć, że wydaje mi się to o wiele bardziej atrakcyjne niż bycie dętą świętoszką.

Uszczypliwość tej uwagi spowodowała chwilę ciszy przy stole. Sophia i Viv nigdy nie były blisko; zbyt się różniły, by zostać przyjaciółkami, a „rodzinne szkielety”, o których mówiła Catherine, stale je rozdzielały. O tych tajemnicach nigdy nie mówiono, być może nawet nie myślano o nich często, a jednak wciąż uniemożliwiały zasypanie przepaści, pogłębiając rozdźwięki i wzajemny krytycyzm. Zwykle dla dobra rodziny ich niechęć kryła się pod towarzyską ogładą i dobrymi manierami, ale dziś najwyraźniej o tym zapomniano, a zaczęła bez wątpienia Sophia.

Zażenowana tą wymianą zdań Juliet opuściła wzrok na swój talerz. Niezręczną ciszę szybko przerwała Debora.

- Skoro mówimy o drinkach, ostatnio próbowałam kilku australijskich win. To śmieszne, ale zawsze uważałam je za jakieś wynalazki, a okazało się, że jestem w błędzie. One są naprawdę dobre, prawda Juliet?

- Tak, cieszę się, że zaczęły być uznawane na świecie - odparła Juliet zadowolona ze zmiany tematu. - Są robione w Hunter Valley, niedaleko Sydney. Byłaś tam może, kiedy odwiedziłaś Australię?

- Nie. Australia jest tak wielka, a my mieliśmy tak mało czasu! Oczywiście dlatego, że David jest święcie przekonany, że Langlois Leisure padnie, jeśli nie będzie go na miejscu dłużej niż dwa tygodnie.

Dwóch pełnych szacunku kelnerów usunęło naczynia po deserze, trzeci postawił na stole tacę serów, a jeszcze inny napelnił ich kieliszki winem z butelki Chablis, dostarczonej do stołu w kubelku z lodem.

OKO ZA OKO

90

- Niestety, nie jest australijskie - powiedział David z przepaszającym uśmiechem. - Ale prawie równie dobre.

- Moim zdaniem nic nie jest w stanie równać się z Chablis

- wtrąciła Sophia, po raz kolejny zaskakując Juliet agresywnością tonu. To po prostu nie było do niej podobne - a raczej niepodobne do osoby, którą do tej pory Juliet знаła jako swoją babkę - i zmiana ta była bardzo deprymująca.

Znowu Debora włączyła się błyskawicznie do rozmowy i zmieniła temat. David ostatnio nabył teren pod wielki parking dla gości hotelu Westerley. Właśnie przeprowadzano rekultywację tego miejsca, sadząc drzewa, krzewy i kwiaty w celu zapewnienia mu zarówno funkcjonalności, jak i uroku. Juliet była zachwycona towarzyskimi umiejętnościami Debory. Kierując rozmowę na najświeższy projekt rodzinny, wspaniale ominęła drażliwe tematy.

- Kiedy już z tym skończymy, nasze ogrody będą rywalizować z Parkiem Howarda Davisa - powiedziała z uśmiechem. - Goście będą się zatrzymywać w Westerley dla samej możliwości parkowania samochodów pośród dwustu krzewów róż.

- Park Howarda Davisa jest sławny dzięki wspaniałym kompozycjom kwiatowym, Juliet - wyjaśniła Sophia. - Ale jest też miejscem pamięci, bo w czasie wojny zginęło tam mnóstwo nieszczęśliwych. Mam nadzieję, Debora, że nie mamy w planach zrobienia z naszego parkingu cmentarzyska.

Juliet zerknęła na swą babkę i zauważyła, jak zmęczona nagle stała się jej twarz. Pod oczami pojawiły się ciemne kręgi, podkreślane przez rumieńce na policzkach. Możliwe, że babka użyła

więcej rózu niż zwykle, a może pojawiły się tam z powodu dość wysokiej temperatury w restauracji, z którą nie potrafiły sobie poradzić wirujące pod sufitem wentylatory.

Juliet zaczęła się zastanawiać, czy nie zamęcza babki zbyt długim przesiadywaniem wieczorami

- prawie co dzień we wspaniałym brzoskwińowodokremowym salonie odbywały sesje plotkowania o wszystkim i o niczym, gdy David i Debora już dawno spali.
- Kto jest odpowiedzialny za wystrój ogrodu? - spytała Viv,

Janet Tanner

opróżniła jednym łykiem kieliszek i zerknęła w stronę butelki Chablis.

- Oczywiście, najlepsza firma na Jersey - odparła Debora wciąż z uśmiechem.

- Ale nadzorowana przez moją żonę - wtrącił David, rozpromieniony z dumy. Nie pierwszy raz Juliet pomyślała, jak to miło, że ktoś piętnaście lat po ślubie - jak David - może być wciąż tak wyraźnie zakochany w swej żonie. Przy każdej okazji David ją obejmował - oczywiście bardzo dyskretnie, ale nigdy nie przepuścił sposobności, by jej podsunąć krzesło czy podać rękę i pomóc przy wysiadaniu z auta. Poza tym, gdy Debora coś mówiła, słuchał jej wpatrując się w nią z dumą i miłością. Może David był nawet chłodnym biznesmenem, ale gdy w grę wchodziła jego żona, był kompletnie bezbronny.

Jak mama i tata, pomyślała Juliet. Przez wiele lat obserwowała u Robina takie samo zachowanie wobec Molly. Teraz może już nie tak częste, ale... Czy to cecha wszystkich mężczyzn z rodziny Langlois? Słyszała przecież wiele razy opowiadania swych rodziców o uwielbieniu Bernarda dla Sophii. Jak więc było z Louistem? Wiedziała, oczywiście, że nigdy się nie ożenił, ale czy była w jego życiu kobieta, dla której byłby gotów zabić? Gdyby tylko mogła kogoś zapytać! Instynkt podpowiadał jej, że Louis to temat tabu. Został kompletnie wycięty z historii rodziny jakby nigdy nie istniał.

- Nie wiedziałam, że masz uzdolnienia ogrodnicze, Debora - mówiła właśnie Viv.

- Bo nie mam. Nie mam zielonego pojęcia o hodowaniu czegokolwiek. Wiem tylko, co mi się podoba.

- Zawsze okazuje się, że to coś jest piękne - wtrącił lojalnie David. - Deb ma niesamowite wyczucie kolorów.

O, na pewno, pomyślała Juliet. Tego wieczora Debora była ubrana w purpurową jedwabną garsonkę i gorsecik w głęboko różowym fuksjowym kolorze. Szminka i lakier do paznokci miały

dokładnie ten sam fuksjowy kolor, a o kilka tonów jaśniejsze cienie do powiek i róż na policzkach dopełniały tak

OKO ZA OKO

73

wspaniałego efektu końcowego, że Juliet czuła się niemal jak Kopciuszek w swej ulubionej pastelowej sukni. Jeśli Debora zaplanowała ogród choćby w połowie z takim smakiem, jakim się wykazywała przy doborze ubrań, to widok musi być cudowny.

- No, no, no! - odparła Viv. - Pejzażystka i dekoratorka wewnątrz - obie w jednej rodzinie! I to przy jednym stole! Skoro Debora projektuje ogród, to ty powinnaś nadzorować wystroje wewnątrz, Juliet. Ale ostrzegam cię, przy standardach, jakich oczekuje się po hotelach Langlois, to bardzo trudne.

W ich rozmowę wdarł się nagle zduszony odgłos, który kazał im spojrzeć na koniec stołu.

Sophia poderwała się z krzesła i trzymając się krawędzi stołu, ślaniała się na nogach.

- Mamo! - David błyskawicznie zerwał się ze swego krzesła, ale Debora była szybsza. W ułamku sekundy dopadła Sophii, otaczając ramieniem jej szczupłą, chwiejną figurę i podtrzymując ją.

- Sophio, kochanie, źle się czujesz? Usiądź! Zaraz dostaniesz wody...

- Przepraszam... Trochę mi słabo... - drżącym głosem wyjąkała Sophia. - Gdybym... moje lekarstwo...

- Tak, moja droga, oczywiście! Tylko usiądź już, a ja go poszukam. - Debbie. posadziła delikatnie Sophię na krześle i błyskawicznie odnalazła w jej torebce małe emaliowane pudełko z tabletkami. Pojawił się zaniepokojony kelner.

- Można prosić o szklankę wody? - spytał go David. - Matka źle się poczuła.

- Oczywiście!

Pośpieszył do kuchni, a Debora podała Sophii pastylkę, którą ta położyła sobie pod językiem.

- Wiedziałem, że będzie miała ten swój atak - mruknął Paul. - Zawsze umiem go przewidzieć.
Kiedy robi się zgryźliwa...
- Paul! - syknęła Viv.
- To prawda! To nieomylny znak!
- Ale co to jest? - dopytywała się wylęknięta Juliet. - Co jej się stało?

Janet Tanner

- To serce. Od lat ma z nim problemy. Nasilają się, gdy Sophia się przeforsowuje.

- O, Boże! Więc to moja wina?

- Nie, kochanie. - Głos Sophii był słaby, ale pobrzmiwała w nim ironia. - Oczywiście, że to nie twoja wina! To wina mojej głupoty.

- Nie mów o głupocie, mamó. Przecież na coś takiego nic nie można poradzić.

- Powinam była jakoś jednak zaradzić. A tak zepsułam wszystkim wieczór.

- Kłopot z tobą, Sophio - wyrwał się Paul z ciężkawym dowcipem - polega na tym, że musisz stale wszystko i wszystkich mieć pod kontrolą. Poza tym nie zepsułaś wieczoru. I tak już się skończył i wszyscy się świetnie bawiliśmy.

Pojawił się z powrotem kelner z karafką wody i szklanką. Debora przytknęła ją do ust Sophii i po chwili policzki chorej zaczęły odzyskiwać kolor.

- Lepiej się czujesz? - spytała Debora. Sophia uśmiechnęła się niepewnie.

- Tak, kochanie. Dziękuję. Ale myślę, że powinam już wrócić do domu. Czy mogłabyś...

- Oczywiście! - Debora wzięła ją pod ramię i pomogła wstać, po czym wraz z Davidem wyprowadziła Sophię z sali.

- No cóż - sapnęła Viv, zbierając z krzeseł torebki obu kobiet. - Przez moment wyglądała naprawdę kiepsko, prawda?

- Wiedziałem! - mruknął znów Paul. - Wiedziałem, że nie najlepiej się czuje!

- Teraz tak gadasz! - rzuciła Viv. - Skoro wiedziałeś, to dlaczego nas nie ostrzegłeś i pozwoliłeś, żebyśmy siedzieli w błogiej nieświadomości?

- Nic jej nie będzie, prawda? - spytała zdenerwowana Juliet.

- Chyba nie. Ma te ataki od wieków, od czasu... - Viv zawiesiła głos, ale Juliet wiedziała dokładnie, co żona Paula ma na myśli. Babcia miała kłopoty z sercem od chwili śmierci Louisa.

- Jak myślicie, czy mogłabym jakoś pomóc?

OKO ZA OKO

96

- Wątpię. Zostaw to Davidowi i Deborze. Oni są do tego przyzwyczajeni - doradził jej Paul. - Coś ci powiem. Odwieziemy cię z powrotem do La Grange i wstąpimy na strzemiennego, skoro wieczór się skończył tak nagle. Co ty na to, Viv?

- Wolę już jechać do domu. Ale możemy pojechać przez La Grange. To oszczędzi Juliet jazdy karetką pogotowia.

Juliet aż drgnęła, tak zjadliwy był sarkazm w głosie Viv, która nawet teraz nie potrafiła się powstrzymać od kąśliwych komentarzy. Nagle duszę dziewczyny wypełniło uczucie opiekuńczej miłości do babki, którą dopiero poznała.

- W samochodzie stryja Davida jest mnóstwo miejsca' - odrzekła szybko. - Mogę usiąść z tyłu z babcią i pilnować, żeby jej się już nic nie stało.

Viv wydeła pogardliwie wargi.

- Och, myślę, że to zadanie weźmie na siebie Debora - prychnęła złośliwie.

Juliet to miła dziewczyna - powiedział Paul, wycofując swe czarne BMW z parkingu. - Bardzo wrażliwa.

- Hmm, chyba masz rację - zgodziła się Viv zapalając papierosa. - Muszę przyznać, że spodziewałam się niemal jakiegoś poszukiwacza złota, ale ona z pewnością nie jest tym typem. Jest miła i inteligentna, choć wydaje mi się, że czuję w niej jakiś ukryty żar, ale nie pytaj mnie dlaczego. Boże, jak się pomyśli o jej rodzicach, to cud, że wyrosła na tak dobrą dziewczynę.

- To trochę nie fair, Viv - mruknął Paul, wyprowadzając auto na ulicę.

- Tak? Molly to dzieciak, który nigdy nie dorósł, a Robin.., - ton Viv nie pozostawiał wątpliwości, co sądzi o Robinie, mimo nie dokończonego zdania. Zaciągnęła się Winstonem i

samochód napelnił się dymem. - Ale i tak osiągnęli to, czego my nigdy nie zdołaliśmy: mają dziecko - dodała gorzko.

Paul nie odpowiedział, więc po chwili podjęła niebezpiecznie lekkim głosem.

Janet Tanner

- Głupio pomyśleć, jak skurczyła się ta rodzina. Przecież było was czworo. Można by się spodziewać dynastii, drzewa genealogicznego, które nie mieści się na papierze. I co się dzieje? Nicky umiera, Catherine nigdy nie wychodzi za mąż, ty... masz mnie. Tylko Sophia ma dzieci - troje. Trzech synów, którzy mogą przekazywać dalej nazwisko Langlois, skoro na Carteret nie ma już szans. Ale ci trzej synowie zdołali zrobić tylko jedno dziecko - i to dziewczynkę. Ironia losu, nie uważasz?

- Skoro tak twierdzisz...

Mimo że Paul ostatnio z upodobaniem myślał o sobie jako o sile napędowej interesów imperium rodziny Langlois, w jego naturze leżała spolegliwość. W biurze świadomie odgrywał silnego i zdecydowanego, lecz w życiu prywatnym aż za często usiłował pójść po najmniejszej linii oporu, szczególnie gdy jego żona zaczynała zachowywać się zgryźliwie. Kłótnie z Viv były męczące i rzadko kiedy do czegoś prowadziły. Paul nie znał nikogo bardziej dążącego do tego, by mieć ostatnie słowo, a nie umiał wykrzesać z siebie entuzjazmu i przyłączyć się do niej w roztrząsaniu jakichś kwestii. Teraz więc wyłączył się, jak zwykle gdy zaczynała swoje monologi i dywagacje, rozmyślnie traktując jej donośny głos jako tło - niczym pomruk silnika - i zatopił się we własnych myślach.

- Założyłabym się, że David chciałby mieć rodzinę - ciągnęła Viv. - Ze dwóch synów, którzy przejęliby interesy, gdy on już się wycofa, i śliczną małą dziewczynkę, siedzącą mu na kolanach i patrzącą z uwielbieniem w oczy. Ale jakoś sobie tego nie mogę wyobrazić. Nie wyobrażam sobie Debory...

Zaśmiała się nagle tak ostrym śmiechem, że Paul nie zdołał go zlekceważyć.

- Co cię tak bawi? - spytał.

- Myśl o Deborze w ciąży i o tej jej cudownej figurze, z której jest tak cholernie dumna, pęczniejącej pod kiecką. Nie, upadek dynastii Carteret jest wynikiem jednego - mężczyźni żenią się z kobietami, które nie chcą lub nie mogą mieć dzieci.

Paul zdawał sobie sprawę, że Viv usiłuje go sprowokować do powiedzenia czegoś, czego potem będzie żałował. Kłopot polegał

OKO ZA OKO

99

na tym, że gdy Viv wypila za dużo, stawała się niezdolna i masochistycznie, do krwi, rozdrapywała stare rany.

- Mów sobie co chcesz o Deborze, ale dla Sophii jest więcej niż dobra - powiedział pojednawczym tonem w nadziei odwiedzenia jej ze ścieżki samozniszczenia, na którą właśnie wkraczała. Z ulgą stwierdził, że podstęp się udał.

- No, można by się pokłócić o to, że Sophia także nieźle ją potraktowała - odparła Viv zduszając papierosa i zatraskując popielniczkę. - Żyje sobie w luksusowym gniazdku w La Grange.

- Jako żona Davida zawsze mieszkałaby w luksusowym gniazdku. Myślę, że to prawda, iż nie zostałaby żoną Davida, gdyby nie Sophia, ale synowe nie bywają tak dobre dla swych teściowych jak Debora dla Sophii. I zanim powiesz mi, że jej

0 coś chodzi, znów ci zwrócę uwagę, że niczego nie zyskuje wkradając się w łaski Sophii. Nie, myślę, że ona ją naprawdę lubi. Pamiętaj, że była z nią w czasach, gdy Sophia tego najbardziej potrzebowała, gdy wielu spośród tak zwanych przyjaciół aż zbyt chętnie się jej wyrzekło. I jest z nią aż do dziś. Szczerze mówiąc, nie wiem, co Sophia by zrobiła bez Debory.

Viv skwitowała to złośliwym uśmiechem.

- Możesz mnie nazwać wredną krową, ale ja bym odwróciła to pytanie i spytała: co Debora by zrobiła bez Sophii? To nie tylko kwestia pieniędzy, chodzi o wiele, wiele więcej. Paul, spytaj sam siebie: kim jest Debora? Skąd się wzięła?

Paul milczał.

**- Widzisz? - Viv podkreśliła swe słowa wymownym gestem
1 otoczyła rękami swe obfite, odziane w czarny atlas łono. - Na to pytanie nie masz ochoty
odpowiadać, prawda? Ja więc zostanę przy swoim zdaniu.**

Babciu, śpisz?

**Juliet pchnęła drzwi do sypialni Sophii i zajrzała do środka. Światła wciąż się paliły, dwa
kinkiety i lampka nocna zalewały pokój ciepłym światłem.**

Janet Tanner

- W porządku, moja droga, wejdź.

Sophia była w łóżku; siedziała oparta wysoko na poduszkach obciągniętych nakrochmaloną białą bawełnianą pościelą, która ostro kontrastowała ze staroświeckim mosiężnym łóżkiem. Bernard lubił białą bawełnę, dla niego jej świeżość symbolizowała wszystko, czego chciał od życia, bardziej niż cokolwiek innego. A Sophia nigdy nie próbowała zmienić jego przyzwyczajień. Chłopcy mogli wybierać sami, ale Sophia nigdy nie zapomniała obrzydzenia, z jakim Bernard zareagował na żądanie Louisa, żeby jego pościel była z czarnego aksamitu.

„Boże w niebiosach!

- zawołał wtedy. - I co jeszcze? To będzie wyglądało jak w burdelu!" Ale Sophia zgodziła się na życzenie syna. A od śmierci Bernarda w ich sypialni zmieniło się tylko jedno - teraz na łóżku leżała angielska koronka zamiast brązowożłotej narzuty i złotych wełnianych koców, które bardziej odpowiadały Bernardowi.

Łóżko było ogromne i dzielili je ze sobą do samego końca

- nie dla nich były oddzielne sypialnie używane przez ludzi z klasy, do której awansowali. Po swej wymuszonej nieobecności Sophia uznała możliwość spania w tym łóżu za jeden z najmiłszych aspektów powrotu do domu. Teraz poprawiła się nieco i poklepała dłonią krawędź łóżka obok siebie.

- Usiądź, Juliet. _

Juliet usiadła delikatnie, lękając się, że pogniecie koronkę.

- Jak się czujesz?

- Och, już dobrze.

- Trudno mi w to uwierzyć - powiedziała Juliet. - Zresztą, jest wiele rzeczy związanych z tobą, w które mi trudno uwierzyć.

Pożałowała tych słów w tej samej chwili, gdy je wymówiła. Nie miała zamiaru poruszać tego tematu, póki nie nadejdzie odpowiednia chwila. A zagajenie o tym teraz, gdy babka źle się czuła, było wręcz niewybaczalne.

- Przepraszam - dodała szybko.

- Nie szkodzi, moja droga. - Sophia poklepała ją po dłoni.

- Sądzę, że jesteś o wiele bardziej wyczulona na pewne rzeczy niż ja. Obiecuję, że porozmawiam o tym z tobą - choć nie jestem

OKO ZA OKO

79

pewna, czy będę potrafiła powiedzieć ci wiele ponad to, co już wiesz. Ale nie dzisiaj.

- Nie, oczywiście że nie... To znaczy...

- Wiem. - Znów poklepała ją po dłoni, ale nie patrzyła na wnuczkę. Rozkojarzona nieco Juliet podążyła za jej wzrokiem i zobaczyła na stoliku nocnym obok łóżka babki zdjęcie w srebrnej oprawce. Mężczyzna na zdjęciu był jej nie znany, ale instynktownie wyczuła, kim jest, bo wyraz twarzy babki nie pozostawiał co do tego żadnych wątpliwości.

Louis. To musiał być Louis. Mimo że fotografia była czarno-biała, wyraźnie widać było, że miał blond włosy. Jego twarz była kwadratowa i miała regularne rysy. Na tym zdjęciu wyglądał bardzo młodo, na dziewiętnaście-dwadzieścia lat, ale w jego oczach już widać było cień czegoś... niedobrego. Och, bez wątpienia był przystojny - to studyjne zdjęcie portretowe zrobiło z niego niemal gwiazdora filmowego - ale w głowie Juliet pojawiła się nagle niemila myśl, że chyba by mu nie ufała.

Oczywiście, nie można było wymagać od Sophii, by również tak myślała. Przecież była jego matką. Nawet jeśli go zabiła...

- Ciekawe, co sobie myślisz o nas wszystkich? - spytała Sophia.

Wpatrzona w fotografię Juliet nie zauważyła, że babka już zmieniła przedmiot zainteresowania. Teraz aż podskoczyła; poczuła się tak, jakby ją przyłapano na podglądaniu.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Nasz tutejszy sposób życia musi bardzo się różnić od tego, do czego jesteś przyzwyczajona.

- Och, różni się, ale bardzo mi się podoba. Zaczynam wątpić, czy będę chciała wracać do domu.

- Ja na pewno bym się z tego ucieszyła. Ale twoi rodzice chyba nie byliby tym zachwyceni, gdybyśmy cię namówili do pozostania. Poza tym masz narzeczonego.

- Tak - odparła Juliet i poczuła, że serce jej zamiera.

O, mój Boże, pomyślała. Dlaczego zawsze się tak dzieje, kiedy padnie choćby wzmianka o małżeństwie czy narzeczeństwie?

Janet Tanner

Przecież kocham Seana, prawda?... Prawda?! I nagle dotarło do niej, że jednym z powodów, dla których pobyt na Jersey stanowił dla niej taką przyjemność, było to, że czuła się absolutnie, zupełnie wolna - wolna od delikatnych, pełnych miłości nacisków, jakie wywierał na nią Sean, że mogła być swobodnie sobą, bez potrzeby jakichkolwiek ustępstw na czyjaś korzyść.

Ledwie ta myśl przemknęła jej przez głowę, a już przepelniło ją poczucie winy. Sean tęskni za nią, martwi się, a tymczasem ona cieszy się wolnością.

- Myślisz, że mogłabym do niego zadzwonić? - spytała.

- Oczywiście, moja droga. Dlaczego wcześniej nie spytałaś? Juliet nie odpowiedziała. Bo nie chciałam, pomyślała, i zarumieniła się od jeszcze silniejszego poczucia winy.

- Idź teraz i zadzwoń do niego - ciągnęła Sophia. - W Australii jest teraz chyba południe, prawda? I nie martw się już mną. Jak się dobrze wyśpię, będę w idealnej formie, zobaczysz.

- Mam nadzieję. Dobranoc, babciu. Dobranoc, Juliet. Spij dobrze, kochanie!

Coś drgnęło, coś się skurczyło gdzieś głęboko, jakieś ledwie wyczuwalne wspomnienie - mała dziewczynka w łóżeczku i to „Dobranoc, śpij dobrze, kochanie”.

- Ty też, babciu - odparła nieco zduszonym głosem.

Połączenie z Sydney było tak świetne, tak czyste, że gdyby nie wynoszące pół sekundy opóźnienie między pytaniem a odpowiedzią, nie można by uwierzyć, iż Juliet dzieli od Seana pół świata.

- Co u ciebie? - spytała. - Jak tam Australia?

- Mniej więcej taka, jak była przed twoim odjazdem. Już zacząłem myśleć, że nas zupełnie porzuciłaś.

- Oczywiście, że nie! Tylko nie miałam nawet czasu rozejrzeć się za telefonem. - Kłamczucha! pomyślała. - Teraz pierwszy raz miałam okazję dopaść telefonu.

- A więc jesteś zadowolona z wakacji?

OKO ZA OKO

81

- Tak, jest fantastycznie! Szkoda, że nie widziałeś tych hoteli! I domu babci, Sean.

Nieprzyzwoity luksus!

- Czuję, że nie będziesz miała ochoty wracać. Słyszac to z jego ust, znów poczuła się winna.

- Co za głupie gadanie!

- Naprawdę? - Chwila ciszy. - A co z rodzinną tajemnicą? - spytał. - Rozwiązałaś ją już?

- Jeszcze nie. Ale rozwiążę.

- Ach tak. W jaki sposób?

- Mam kilka pomysłów. Ale nieważne. Opowiedz mi o sobie. Jak w pracy?

Pogadali jeszcze parę minut, po czym Juliet powiedziała:

- Muszę już iść. Zadzwoń jeszcze do ciebie.

- Obiecujesz?

- Obiecuję. Dobranoc, Sean.

- Do widzenia, kochanie. Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Odłożyła słuchawkę, z zaskoczeniem uświadamiając sobie, że ogarnia ją smutek. Widzisz, naprawdę tęsknisz za Seanem, powiedziała sobie. Słyszac jego głos przypomniała sobie o wszystkich przyjemnościach, jakie ich łączyły i nagle przyłapała się na myśli, że miło by było wślizgnąć się do łóżka u jego boku, poczuć wokół siebie jego ramiona, pieśczotę dłoni na ciele, dotyk ust na skórze, przywierające do jej miękkiego podbrzusza twardości... Te myśli wywołały w niej to podniecenie, jakie zawsze odczuwała na początku ich pieśczot, i które kazało jej zapominać, jak rozczarowujące będzie ich zakończenie.

- Połączyłaś się bez problemu? - spytała Debora wychodząc z salonu.

- Tak, dzięki.

- Masz ochotę na drinka do poduszki? Wahanie Juliet trwało tylko moment.

- Tak, proszę. To był wyczerpujący dzień.

Debora uśmiechnęła się spokojnie i nie odpowiedziała. Juliet zastanawiała się, czy nic jej nigdy nie ożywia. Debbie stała obok

Janet Tanner

barku, wstrząsająco piękna w purpurach i różach, a zacieniona, stojąca lampa podświetlała jej lśniąco włosy, aż połyskiwały srebrem.

- Na co masz ochotę? Brandy, szkocka, likier?

- Macie Cointreau?

- Chyba tak. Z lodem?

- Proszę.

- Davidzie, mógłbyś...?

- Oczywiście. - David, który siedział w głębokim fotelu z wyciągniętymi przed siebie długimi nogami, poderwał się i przyrządził drinki.

- Czy babcia często miewa te ataki? - spytała Juliet przysiadając na kanapce.

- Częściej, niż byśmy sobie życzyli. Jej zdrowie jest niby stale pod kontrolą, ale pigułki nie zawsze działają jak należy. Szczerze mówiąc, ona nas martwi, prawda, kochanie? - zwrócił się do Debory, wręczając Juliet drinka.

- Jej stan raczej się pogarsza - ciągnął, gdy Debbie tylko pokiwała głową. - To dlatego się tak cieszę, że przyjechałaś, Juliet. Żyjemy w ciągłym strachu, że kiedyś dostanie naprawdę ataku serca albo zawału, a okropne by było, gdyby się tak stało, zanim miała szansę znów cię zobaczyć. Juliet zrobiło się niedobrze.

- To wstrętna myśl! Kiedy u niej byłam przed chwilą, czuła się o wiele lepiej. Była zmęczona i nieco blada, ale bardzo pogodna.

- Ona niemal zawsze jest pogodna - odparł David opadając znów na swój fotel. - To cud, biorąc pod uwagę życie, jakie miała.

Na moment zapadła cisza. Juliet popiła likieru, zastanawiając się, czy się odważy poruszyć temat Louisa. W końcu to najlepsza okazja, jaka jej się dotąd nadarzyła. David sam właściwie zaczął ten temat.

- W jej pokoju jest zdjęcie. Koło łóżka. Czy to...? - Zawiesiła głos. Atmosfera niemal namacalnie ochłodziła. Juliet niepewnie przenosiła wzrok z Davida na Deborę. David zeszywniał w fotelu, OKO ZA OKO

83

a Debbie niebezpiecznie mocno zacisnęła palce na swojej szklaneczce z brandy.

- Przepraszam... - zaczęła Juliet, ale Debora jej przerwała:

- Louis - powiedziała. - Tak, to zdjęcie Louisa. - Jej głos lekko drżał z napięcia, choć próbowała mówić lekkim tonem. Juliet zrozumiała, że pierwszy raz od czasu swego przyjazdu na Jersey zobaczyła Debbie nie całkiem panującą nad nerwami.

- Nie chciałabym być wścibska - bąknęła Juliet.

- Nie bądź głuptasem, oczywiście, że nie jesteś wścibska. To zupełnie naturalna ciekawość. W końcu był twoim stryjem.

- Właśnie! Ale czasami mam wrażenie, jakby nigdy nie istniał.

- Och, istniał, i to jak! - powoli, gorzkim tonem powiedział David. - Tyle że mój brat oznaczał tylko i wyłącznie kłopoty. Był dziwny; bezwzględny, samolubny, bezlitosny, samowolny...

- I niebywale czarujący.

W ciszy, która nastąpiła po tym wtręcie Debory, Juliet zauważyła spojrzenie, jakie wymienili, lekkie uniesienie podbródka Debbie w geście, którym chyba chciała cofnąć dopiero co wypowiedziane słowa, bliski wrogości wyraz oczu Davida. I znów Juliet wyraźnie sobie uświadomiła, jak silne emocje nadal wywołuje w ludziach Louis niemal w dwadzieścia lat po śmierci. Przez chwilę zdawało się, że cały pokój wstrzymał oddech, a potem David niecierpliwym ruchem odstawił swego drinka.

- Nie musimy chyba rozmawiać o Louisie, co? Cóż to za temat? - Wstał i poluźnił krawat. - Idę spać. Mam jutro ciężki dzień. Greg chce, żebym z nim przejrzał rachunki, a to wyczerpujące nawet wówczas, kiedy się ma jasną głowę. Zostańcie, jeśli chcecie.

- Nie, ja też już się położę. A ty, Juliet?

Juliet odpowiedziała twierdzącym ruchem głowy. Ale była rozczarowana, że temat Louisa został tak bezceremonialnie ucięty. Wiele czasu minęło, nim po powrocie do swego pokoju zdołała zasnąć. Przez głowę przelatywały jej myśli i obrazy z minionego dnia. Sean... oddalony o pół świata, w Australii, kochający, stęskniony; babcia... nagle taka krucha i bezbronna; Viv i jej

Janet Tanner

jadowite uwagi; Debora i David, wymieniający pełne wyzwania spojrzenie; na koniec jej rodzice, tak pełni dystansu i tajemniczy w chwili, gdy im powiedziała o wyjeździe na Jersey. No i oczywiście przede wszystkim Louis... Louis, którego życie najwyraźniej wywierało jakieś straszliwe piętno na wszystkich, którzy go znali i którego śmierć nadal pogrążona była w tajemnicy.

Jak było naprawdę, zastanawiała się Juliet. Czy kiedykolwiek dowiem się więcej, niż wiem? Pewnie nie. Rodzina zwieriała szeregi na każdą wzmiankę o Louisie. A Juliet, jako następne pokolenie, była z tego zupełnie wyłączona.

Juliet nie była jedyną osobą, która nie mogła zasnąć. W swej pięknej sypialni, utrzymanej w tonacjach delikatnego różu i brzoskwini, Debora leżała bez ruchu ze splecionymi na piersiach rękami. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w sufit, starając się odpędzić od siebie koszmary.

Wiele czasu minęło od ostatniego razu, ale kiedyś koszmary nawiedzały ją niemal co noc. Potem stopniowo stawały się rzadsze, a teraz mijaly całe miesiące bez tamtych prześladowających scen z przeszłości.

Nie powinno tak być, myślała czasami Debbie. Sen czy koszmar powinny być tylko snem, fantazją, a nie powtórnyim przeżywaniem tego, co się naprawdę zdarzyło. I czasami tak się działo. Czasami te same uczucia - lęk, osamotnienie, czarna rozpacz - pojawiały się jako coś zupełnie innego. Ale tej nocy Debora została przeniesiona z powrotem w przeszłość, stała się osobą, którą była kiedyś: Debbie Swift, siedemnaście lat, burza zaczesanych do tyłu, utlenionych do białości włosów, nieprzytomnie obcisłe różowe szorty i stukot butów na trzyipółcalowych obcasach. Dziś w nocy wiedziała dokładnie, dlaczego była tak wystraszona i smutna, a gdy wreszcie wyrwała się z tego snu - nie snu i sięgnęła drżącą dłonią do oczu, by

wytrzeć łzy, niemal się spodziewała lekkich ukłuc sztywnych jak szpilki, pokrytych nierozpuszczalną Mascarą rzęs - a nie miękkiego, delikatnego

OKO ZA OKO

85

dotknięcia skóry pokrytej olejkiem rycynowym i kremem na noc. Nawet gdy powróciła już do rzeczywistości, pozostała w niej nadal tamta Debbie, wołając ją przez przepaść lat. I mimo że już nie spała, przed oczami nadal przewijały się obrazy z tamtej nocy, obrazy, które ją prześladowały od tylu lat.

Wiedziała oczywiście, skąd się wziął ten nawrót. Nie miał on nic wspólnego z atakiem Sophii, niezależnie od zatroskania, jakie wywołał. Nie, obrazy wróciły w wybuchu, którego lont, jak iskra, zapaliła rozmowa o Louisie.

Po policzku pogrążonej w ciemnościach Debory spłynęła samotna łza. Debbie zacisnęła wokół siebie mocniej ramiona, lecz nie zdołała powstrzymać drżenia. Wkrótce całe ciało trzęsło się w nie kontrolowanych, szarpiących szlochach.

Dlaczego właściwie miała przez niego płakać? Bóg wie, że był po prostu bydlakiem. Ale to niczego nie zmieniało. Niczego.

Leżąc w ciemności Debora płakała, jak czyniła to już tyle razy przedtem, a każdy szloch niczym echo pobrzmiwał jego imieniem.

- Och, Louis... Louis!

Rozdział szósty

Juliet znów się obudziła bardzo wcześnie, co - jak mawiała jej matka - oznaczało zaprzątniętą myślami głowę, a ten poranek akurat z całą pewnością potwierdzał prawdziwość tego powiedzenia. Juliet zasnęła wśród kłębiących się myśli o Louisie i otaczającej jego śmierć dwudziestoletniej tajemnicy, a teraz, gdy już otrząsnęła się z oparów snu, myśli te natychmiast powróciły, drażniące, nie dające spokoju. Podsunęła się wyżej na poduszce i założyła ręce za głowę, próbując się zmusić do stworzenia jakiejś własnej wizji wypadków, które poprzedziły wyjazd jej rodziców do Australii.

Gdzieś na obrzeżach jaźni pojawił się niewyraźny obraz Louisa, równie nieokreślony, jak zbyt silnie naświetlona fotografia, ale Juliet nie była w stanie stwierdzić, ile z niego stanowiło rzeczywiste wspomnienie, a ile dzieło wyobraźni zainspirowanej okruciami informacji, jakie zdołała o nim zebrać i zdjęciem obok łóżka babki. To wspomnienie - o ile to było wspomnienie - obudziło dawno zapomniane emocje, echa lęków i przestachu, przeżywanych przez czteroletnie dziecko, które wyczuło nagle zagrożenie trwałości swego bezpiecznego świata. Sprawily to dobiegające zza drzwi podniesione głosy, rozmowy prowadzone szeptem i urywane natychmiast, gdy dziewczynka wchodziła do pokoju oraz pełne napięcia twarze najbliższych. Niemniej Juliet nie zdołała odtworzyć ani jednego konkretnego fragmentu prze-

OKO ZA OKO

87

szłości, niczego, co dawałoby jakiś punkt zaczepienia. Wszystko jej się wymykało, uciekało jak sen w momencie przebudzenia.

Sfrustrowana swą niezdolnością do przypomnienia sobie czegokolwiek, Juliet przeczesiała dłońmi zmierzwiłone snem włosy. Chciała poznać prawdę. Wiedziała, że póki do tego nie dojdzie, nie będzie nigdy w stanie odsunąć od siebie myśli o przeszłości i przejść nad nią do porządku dziennego. Ale nie miała pojęcia, w jaki sposób dokopać się do dna tajemnicy.

Wszyscy członkowie rodziny zdołali wykształcić w sobie wspaniałe zdolności do unikania niewygodnych pytań. Tylko ktoś zupełnie z zewnątrz mógłby jej powiedzieć coś przynajmniej zbliżonego do prawdy, ktoś nie związany ze sprawą emocjonalnie. Nie знаła jednak nikogo takiego, a wszystko to działo się przecież tak dawno temu.

Nagle dziewczyna przestała bezmyślnie burzyć włosy i otworzyła szeroko oczy. Adwokat, który bronił babki - jak go nazwała ciotka Catherine? Aha, Dan Deffains, o tak. Gdyby go zdołała odnaleźć, porozmawiać z nim, może powiedziałby jej prawdę. Mógłby to oczywiście uznać za nadużycie związanego z jego zawodem zaufania i nie należy się po nim spodziewać ujawnienia jakichkolwiek szczegółów, które wówczas nie ujrzały światła dziennego, ale Juliet mogłaby przynajmniej poznać fakty!

„Nie wierzyłam, że to zrobiła, i Dan Deffains także nie wierzył” - powiedziała ciocia Catherine. Jeśli zdoła go podejść w odpowiedni sposób, może wyjaśni, dlaczego miał wtedy wątpliwości.

Juliet odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka. Lekko drżała ze zdenerwowania i niecierpliwości, lecz była już zdecydowana. Nieważne jak, ale odnajdzie Dana Deffainsa i poprosi go o pomoc.

Juliet siedziała w kucki, z trudem utrzymując równowagę z telefonem na kolanie i słuchawką przy jednym uchu, podczas gdy drugim usiłowała nasłuchiwać, czy nikt nie schodzi z piętra, by spytać, dokąd dzwoni.

Uznała, że na razie jest dość bezpieczna - David wyszedł do biura, Debora brała prysznic, co z reguły było zajęciem długo-

Janet Tanner

trwałym, a Sophia nadal jeszcze leżała w łóżku i odpoczywała. Wkrótce miał przyjść do niej lekarz, ale na razie przedpole było czyste, więc Juliet złapała okazję, by przejrzeć książkę telefoniczną i odnaleźć numer człowieka, który bronił Sophii przed oskarżeniem o spowodowanie śmierci Louisa.

Odnalezienie numeru okazało się łatwiejsze, niż się spodziewała, bo tu, na Jersey, w książce telefonicznej przeważnie podawano imiona w pełnym brzmieniu. Tylko adres ją zaskoczył. Wyglądał na prywatny dom, a nie miejsce praktyki - ale w końcu minęło już dwadzieścia lat i adwokat mógł przejść na emeryturę.

Wykręciła numer i wsłuchiwała się w dźwięk bez końca dzwoniącego po drugiej stronie aparatu. Być może przyjęła mylne założenie, że Dan Deffains odszedł na emeryturę. Może był współnikiem w kancelarii adwokackiej, która w książce telefonicznej występowała pod innym nazwiskiem. Jeśli tak, to nie było już szans na odnalezienie go.

- Słucham, Dan Deffains.

Głos mężczyzny był głęboki, a pobrzmiwał w nim cień akcentu dżersejskiego i pewnej niecierpliwości, jakby przerwano mu ważne zajęcia. Juliet z trudem przelknęła ślinę, pozbywając się ucisku dławiącego krtań.

- Panie Deffains, nie znamy się jeszcze. Nazywam się Juliet Langlois. Wiem, że bronił pan mojej babci, Sophii Langlois, kiedy została oskarżona o spowodowanie śmierci mojego stryja Louisa. Przyjechałam tu z Australii i bardzo chciałabym porozmawiać z panem o tym wszystkim. Czy moglibyśmy się spotkać?

Na chwilę zapadła cisza, a Juliet wstrzymała oddech, przygotowana już na odmowę.

- Mówi pani więc, że jest pani wnuczką Sophii? - W jego głosie zabrzmiało coś dziwnego, co mogło nawet oznaczać pewne podniecenie. Juliet zdała sobie z tego sprawę dużo później i

zastanawiała się nad tym, ale w tej chwili zbyt się skupiała na rozmowie, żeby zwracać uwagę na takie szczegóły.

- Tak, właśnie tak. Oczywiście wiem, że to zdarzyło się tak dawno, ale...

OKO ZA OKO

115

- w porządku. Ale dzisiaj chyba nie dam rady. Mam mnóstwo pracy. Może jutro?

Juliet nie wierzyła własnym uszom. Zdołała jednak ukryć podniecenie i powiedzieć spokojnie:

- Rano czy po południu?

- Wszystko jedno, choć rano by mi bardziej odpowiadało. Może o dziesiątej? Czy za wcześnie?

- Nie, tak będzie dobrze. Gdzie?

- Mogłaby pani przyjść tutaj? Ma pani adres?

- Tak. - Na górze otworzyły się drzwi. Ktoś nadchodził. Juliet wpadła w panikę. - Dziękuję. Do zobaczenia jutro.

Odłożyła słuchawkę tuż przed wejściem Debory, pełnej chłodnego piękna w kremowych spodniach i brzoskwiniowej jedwabnej bluzce.

- O Boże, teraz mi lepiej! Czuję się już niemal człowiekiem. Dzięki Bogu, Sophia jest dzisiaj bardziej podobna do siebie. Byłaś już u niej?

- Tak, zajrzałam do niej. Ale wpadnę tam jeszcze raz. Pobiegnę schodami do góry, czując wyrzuty sumienia z powodu

kręactwa, a zarazem pełna uniesienia. Być może Dan Deffains nic jej nie powie, ale Juliet przynajmniej będzie miała poczucie, że się starała. A przecież nie była to kwestia czezej ciekawości.

Nie wierzę, że babcia zabiła Louisa, pomyślała Juliet Po prostu nie wierzę. A skoro to nie ona go zabiła, musiał to zrobić ktoś inny, kto przez wszystkie te lata unikał kary. Gorzej, pozwolił, aby babcia wzięła na siebie winę. A ja chcę się dowiedzieć, kto to taki.

Dom stał po wschodniej stronie St Helier. Miał trzy kondygnacje, białe sztukaterie, dach z zielonej dachówki i pomalowaną na zielono podmurówkę. Juliet zaparkowała wynajęty samochód po drugiej stronie ulicy i przez chwilę przyglądała się budynkowi, nie wysiadając z auta. Potem przeszła przez ulicę i doszła do krótkich kamiennych schodków, po obu stronach których begonie szykowały się do niepowstrzymanego, różowoszkarłatego roz-

Janet Tanner

kwitu. Juliet sięgała właśnie do dzwonka, kiedy nagle drzwi otworzyła kobieta; miała na sobie jasny szal i luźny, nie zapięty płaszcz, spod którego widać było kwiecisty fartuch.

- Tak? - Oczy w rumianej twarzy patrzyły podejrzliwie.

- Jestem umówiona z panem Danem Deffainsem.

- Aha. - Kobieta się zawahała i uważnie obejrzała Juliet. Potem cofnęła się w głąb domu, zamykając za sobą drzwi, jakby w obawie, że gdyby zostawiła uchylone, Juliet wślizgnęłaby się do środka. Wróciła po krótkiej chwili. Jej wzrok wciąż był podejrzliwy i nieprzyjazny.

- Mówi, że może pani wejść. - Umilkła, po czym odwróciła się do wnętrza domu. - Wychodzę! - zawołała do Dana Deffainsa, jakby chciała mu dać do zrozumienia, że gość już jej nie obchodzi. Kobieta wyszła i trzasnęła drzwiami, pozostawiając Juliet samą w hallu. Dziewczyna poruszyła nozdrzami, wciągając zapach świeżej pasty lawendowej. Minutę później na schodach pojawił się mężczyzna - wysoki, atletycznie zbudowany, ubrany w wyblakłe, płócienne spodnie i rozpiętą pod szyją koszulę. Nie był właściwie przystojny, ale było w nim coś, co czyniło go atrakcyjnym od pierwszego spojrzenia. Juliet pomyślała, że może sprawił to jego uśmiech - bardzo miły uśmiech, błakający się w kącikach jego oczu.

- Panna Langlois? Jestem Dan Deffains. - Głos był głęboki, niski i ciepły, z całą pewnością ten sam, który słyszała przez telefon. Ale mężczyzna był zdecydowanie za młody jak na tego, z którym się przyszła zobaczyć - miał najwyżej trzydzieści dwa-trzy lata.

- Sądzę, że zaszło pewne nieporozumienie - powiedziała nieco zbita z tropu Juliet. - Dan Deffains, z którym chciałam się zobaczyć, był obrońcą mojej babci dwadzieścia lat temu.

- To mój ojciec. Również Dan Deffains. Wiem, że to nieco mylące. Może wejdziemy?

Popchnął na oścież drzwi do pokoju, który najwyraźniej był salonem. Wpadało do niego światło słoneczne, rozjaśniając brązowe zasłony i dywany i odbijając się od świeżo wypolerowa-

OKO ZA OKO

118

nego stołu, nie potrafiąc jednak ukryć męskiego charakteru pomieszczenia. Juliet poczuła niezachwianą pewność, że w tym domu nie mieszka żadna kobieta. Nie było nigdzie świeżych kwiatów, żadnych ozdób, jakichkolwiek śladów dotyku kobiecej ręki. Te przedmioty zaś, które się w pokoju znajdowały, były zdecydowanie surowe - seria szkiców Hogartha na ścianie, powieszona nad kominkiem myśliwskie noże, prosta, mosiężna lampa na stole. W przeszklonym kredensie wyłożono kilkanaście srebrnych pucharów i innych nagród, choć Juliet uznała, że słowo „wyłożono” raczej nie oddawało wiernie stanu faktycznego. Nagrody wyglądały tak, jakby je tam wstawiono i zapomniano.

A jednak ten pokój pasował do tego mężczyzny. Dan Deffains po prostu pasował do takiego wnętrza.

- Mam nadzieję, że nie robię zbyt wielkiego kłopotu - zaczęła Juliet. - Bardzo miło ze strony pana ojca, że zechciał się ze mną spotkać. Czy on...?

Urwała. Dan Deffains miał pełen poczucia winy wyraz twarzy, niemal jak przyłapany na wyjadaniu czekoladowych biskwitów mały chłopiec.

- Obawiam się, że panią rozczaruję, panno Langlois. Mój ojciec zmarł w zeszłym roku.

- Och! - Juliet była zaskoczona. - Dlaczego mi pan nie powiedział tego przez telefon?

Dan nie odpowiadał przez moment, uśmiechając się do niej łagodnie.

- Przepraszam, powinienem był wyjaśnić pani przez telefon, że nie jestem tym Danem Deffainsem, którego pani szuka. Ale muszę się przyznać, że od dawna jestem zafascynowany sprawą, która dotyczyła pani babki. Kiedy ojciec ją reprezentował, byłem oczywiście jeszcze chłopcem, ale zawsze wiedziałem, że dla ojca ta sprawa stanowiła *cause célèbre*, nie umiałem więc się powstrzymać przed wykorzystaniem okazji pogadania z panią na ten temat.

- Nie wiem, co powiedzieć. - Rozczarowanie Juliet było równie widoczne w jej twarzy, jak wyczuwalne w głosie. - Miałam nadzieję, że pański ojciec zdoła powiedzieć mi nieco o tym, co

Janet Tanner

się zdarzyło. Jak już panu powiedziałam, przyjechałam tu z Australii - wyemigrowaliśmy, gdy miałam cztery lata - z myślą, że być może jako jej adwokat będzie mógł dorzucić kilka szczegółów. Ponieważ jednak jest to najwyraźniej niemożliwe, sądzę, że oboje po prostu tracimy czas.

Dan Deffains wpatrywał się w nią z namysłem. On również odczuwał rozczarowanie. Kiedy do niego zadzwoniła, myślał już, iż wreszcie szczęście się do niego uśmiechnie i że znajdzie w końcu jakiś punkt zwrotny w tej sprawie, która od tak dawna zajmowała jego myśli na płaszczyźnie zarówno zawodowej, jak i osobistej. Ale był dużo lepszy w ukrywaniu swych prawdziwych uczuć niż Juliet, a poza tym jeszcze nie wszystko z jego punktu widzenia było stracone.

Rozwiązania nie dostanie co prawda na srebrnej tacy wprost pod nos, jak to sobie wyobrażał, ale w końcu czy cokolwiek dostał w ten sposób w życiu?

- Nie jestem taki pewny, że nasza rozmowa będzie tylko marnowaniem czasu. - Przejechał dłonią po swych gęstych, ciemnych i bardzo krótkich włosach. - Przepraszam, czy mogę pani zaproponować kawę? Pani Ozouf wstawiła ją dziesięć minut temu, powinna więc już być gotowa.

Juliet zawahała się. Nie rozumiała, co miał na myśli i przez chwilę się zastanawiała, czy nie stroi sobie z niej jakichś żartów. Ale mimo że sprowadził ją tu pod fałszywym pretekstem, nie był tym typem mężczyzny, którego towarzystwa miała ochotę unikać; choć nie miała pojęcia, czego mogłaby się od niego dowiedzieć, myśl o porzuceniu natychmiast tego jedynego nierodzinnego związku z przeszłością napawała ją niechęcią.

Jakby na zamówienie, z kuchni doleciał zapach świeżo parzonej kawy. Juliet podjęła decyzję.

- No, dobrze, dziękuję. Chociaż wciąż nie widzę sensu.

- Za chwilę postaram się to pani wytłumaczyć. Proszę usiąść, a ja przyniosę kawę.

Juliet przysiadła na brzeżku mocno zużytego brązowego fotela klubowego; żalowała, że nie włożyła spodni zamiast płóciennej garsonki ze spódniczką mini. Kiedy w La Grange szykowała się

OKO ZA OKO

121

do wyjścia, wydawało się jej, że wygląda świetnie i bardzo pewnie siebie, akurat na spotkanie ze starym, staroświeckim prawnikiem. Ale tutaj, w tym agresywnie męskim pokoju, świadomość niemal zupełnie nagich nóg była bolesna i przyprawiała o poczucie bezbronności.

- No, gotowe. - Dan powrócił do salonu, niosąc dzbanek z kawą, dwa kubki i cukiernicę na emaliowanej tacy. Jej wzory już przyblakły, co Juliet zauważyła, gdy postawił ją na niskim stoliku. Ale z bliska kawa pachniała jeszcze lepiej.

- No więc - powiedziała Juliet, gdy Dan nalał kawy do kubków - dlaczego uważa pan, że to nie będzie strata czasu?

Przysuwając do niej kubek z kawą, Dan na moment zatrzymał spojrzenie na jej długich, opalonych na brązowo nogach. Uśmiechnął się lekko. Ale nic nie powiedział. Wyczuł, że pannie Langlois nie przypadłyby do gustu żadne komentarze na ten temat, niezależnie od ich całkowitej szczerości.

- Mój ojciec był prawnikiem starej szkoły. Wyuczono go w Caen raczej na typ francuskiego niż angielskiego prawnika, który teraz najłatwiej spotkać. Przejął kancelarię po swoim ojcu i nie miał współpracowników. Lubił pracować sam. Kiedy umarł, wszystkie prowadzone przez niego sprawy przejęły inne firmy, a mnie przypadło w udziale przejście i przesortowanie jego archiwum. W większości było to piekielnie nudne zajęcie, bo prawie wszystko przeznaczałem na makulaturę. Niemniej jedną teczkę akt zatrzymałem, bo ta sprawa zawsze mnie fascynowała - podobnie jak nie dawała spokoju mojemu ojcu. To akta sprawy pani babki.

- Naprawdę? - Juliet wyprostowała się, zapominając natychmiast o rozdrażnieniu. - Ma pan ją nadal?

- Tak. - Wstał, podszedł do ciężkiej, starej bieliźniarki w rogu salonu i wyjął z jednej z szuflad tekturową teczkę, przewiazaną różową wstążką. Przyniósł ją i bezceremonialnie rzucił na stół obok kubków z kawą. - Oto i ona. „Prokurator Generalny przeciw Sophii Langlois - listopad 1972.”

Juliet poczuła jakiś ucisk w gardle. Wpatrzyła się w teczkę,

Janet Tanner

niemal zahipnotyzowana nadrukiem na naklejce. „Prokurator Generalny przeciw Sophii Langlois.” Widząc ten tytuł czarno na białym Juliet odczuła swego rodzaju szok, bo w ten sposób na jej oczach ciałem się stało coś, co dotychczas знаła właściwie tylko jako pojęcie, opowiadanie o czymś, co mogło równie dobrze nigdy się nie zdarzyć.

- Tutaj jest wszystko - ciągnął Dan. - Wszystkie szczegóły. A raczej - żeby być dokładnym - wszystkie te szczegóły, które władze i klientka postanowili udostępnić mojemu ojcu.

Ton, jakim wypowiedział to zdanie, sprawił, iż Juliet podniosła wzrok i w oczach Dana wyczytała potwierdzenie tych samych wątpliwości, jakie wyrażała przedtem Catherine.

- To znaczy... Uważa pan... Chce pan przez to powiedzieć, że to niekoniecznie musi być cała prawda?

- Wiem, że ojciec zawsze uważał, że Sophia jest niewinna, i że to nie dawało mu spokoju. Ale, ujmując to w prawniczych słowach, nie miał w tej sytuacji żadnych możliwości manewru. Z jednej strony wiązały go instrukcje klientki, która przez cały czas upierała się przy swej winie. Z drugiej zaś aż do swej śmierci wyrzucał sobie, że nie okazał się wystarczająco stanowczy i nie zdołał jej przekonać do odparcia zarzutów. I z tą myślą umarł. Prawdę mówiąc, zastanawiam się, czy cała ta sprawa nie miała jakiegoś związku z jego przedwczesną śmiercią - miał zawał w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, a wiadomo, jaki udział w takich chorobach mają stresy.

- Przykro mi...

- To nie pani wina. Zresztą, pani babki też nie. Prawnik musi umieć żyć ze swymi własnymi decyzjami moralnymi. Wspomniałem o tym tylko po to, żeby pani pokazać, że naprawdę bardzo osobiście jestem zainteresowany tą sprawą. A wracając do pani pytania, czy oświadczenia i zeznania w tych aktach są prawdziwe, muszę powiedzieć, że jeśli pani babka była niewinna - jak był o tym do końca życia przekonany mój ojciec - to oczywiście nie są prawdziwe.

Juliet poczuła mrowienie skóry. Już przedtem uważała, że ma

OKO ZA OKO

95

rację, ale teraz, kiedy syn Dana Deffainsa w większym lub mniejszym stopniu potwierdzał jej podejrzenia, ogarnęło ją coś pomiędzy uniesieniem a złymi przeczuciami.

- Rozumiem, że na papierze wszystko się zgadza? - spytała.

- O tyle, o ile. Ale wydaje mi się, że cała ta sprawa nie została nigdy porządnie prześlędzona i udokumentowana. Nie wiem, czy zna pani nasz tutejszy system prawny, lecz szczerze mówiąc pozostawia on wiele do życzenia. Naczelnicy i szefowie sił porządkowych są cywilami, których stanowiska nazywa się konstablami, setnikami i dwudziestnikami. Dawniej te tytuły traktowano dosłownie - setnik był odpowiedzialny za sto domów, a dwudziestnik za dwadzieścia. Teraz - oczywiście - już tak nie jest, istnieje już zawodowa kadra policyjna, nieco obraźliwie nazywana „płatną policją”. Niemniej ta zawodowa policja wciąż podlega „Policji Honorowej” i - niech pani wierzy lub nie - nie ma prawa nawet nikogo aresztować, bo to leży w gestii oficerów wybieralnych.

- Płatna policja. Tak, słyszałam o niej. Ale nie miałam pojęcia, że normalna, zawodowa policja nie ma uprawnień do aresztowania. Bardzo to dziwne!

- Dla ludzi z innych stron musi to przypominać system feudalny. Ale tak właśnie tutaj jest. Jeszcze do niedawna nawet okręgi parafialne miały oddzielne władze administracyjne i kiedy przestępca przemieścił się z jednego okręgu do drugiego, nie wolno go było ścigać, póki władze odpowiednich okręgów nie ustaliły między sobą szczegółów, na przykład - kto winien go ścigać. Jest to naprawdę chwilami wręcz śmieszne, szczególnie na wyspie o rozmiarach Jersey.

Zapewne wyobraża pani sobie, jakie ten system wywołuje tarcia między honorową i płatną policją. Poza tym, czasami działa na szkodę wymiaru sprawiedliwości. Uważam - tak jak mój ojciec - że idealnym na to przykładem może być sprawa Sophii.

- Dlaczego? - Juliet siedziała pochylona do przodu, zaciskając w dłoniach kubek z nietkniętą kawą.
- Johna Germaine'a, ówczesnego setnika, i Ivora Fauvala,

Janet Tanner

detektywa-inspektora, dzieliła zastarzała, zajadła niechęć. Germaine był typem staroświeckiego gentlemana, dumnego ze swej pozycji, zawistnie broniącego historii i tradycji Jersey, typowym przedstawicielem bogatej klasy średniej. Fauval natomiast był zwykłym, zawodowym policjantem, który nie cierpiał tego wszystkiego, co sobą reprezentował Germaine - jego pieniędzy, manier, elegancji, wychowania, a przede wszystkim tego, że on sam - Fauval - właśnie Germaine'owi podlegał służbowo. I zdaje się, że to ostatnie było pigułką nie do przełknięcia. No bo jak to: zawodowy, dobrze wyszkolony policjant ma wypełniać polecenia kogoś, kto - według opinii tegoż policjanta - tylko się w to bawi?

- Czy chce pan przez to powiedzieć - spytała Juliet, marszcząc brwi w namyśle - że ten inspektor Fauval wystąpił wobec mojej babki z zarzutami z czystej złości czy zawiści?

- Nie, nie! Ale po prostu jego zgorzkniałość mogła spowodować, że nie starał się znaleźć żadnego innego wytłumaczenia. Popatrzmy na to chłodnym okiem. Sophia przyznała się do wszystkiego, a więc Fauval dostał w prezencie sprawę, którą mógł zamknąć, zanim ją jeszcze porządnie otworzył. Nie można się przecież po nim spodziewać, że odrzuci to wszystko tylko dlatego, że przypadkiem podejrzana jest starą przyjaciółką Germaine'a, czyli jego bezpośredniego przełożonego.

- Brzmi to tak, jakby inspektor Fauval znajdował w panu zrozumienie - wtrąciła Juliet.

- Owszem, a przynajmniej jego sposób myślenia. Sam byłem kiedyś policjantem i wiem, jak wiele goryczy niesie ze sobą to zajęcie. W tym przypadku uważam jednak, że zgorzkniałość Fauvala zaślepiła go i uniemożliwiła normalne wypełnianie obowiązków. Wiedział, że rodzina Langlois - pani rodzina - to osobiści przyjaciele setnika. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo cała ta historia jest dla setnika niewygodna i ambarasująca. W dodatku wszystko, co pani rodzina posiadała - majątek, pozycja, piękne domy, samochody z szoferami - budziło jego zawiść. Kiedy

Sophia się przyznała, był szczęśliwy, mogąc przyjąć jej oświadczenie za dobrą monetę. Przyjął je więc,

OKO ZA OKO

127

wszystko inne podporządkował temu punktowi wyjścia i już nie zawracał sobie głowy innymi dochodzeniami.

- Rozumiem - odparła Juliet. Miała zaschnięte usta. - A jak pan sądzi, co by wykrył, gdyby przeprowadził jakieś inne dochodzenie?

Dan zerknął na nią przez przymrużone powieki.

- Nie wiem. A bardzo bym chciał wiedzieć. Miałem nadzieję, że pani będzie umiała wyjaśnić mi niektóre rzeczy.

- Ja?! - Juliet wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. - Przecież panu powiedziałam - to wszystko jest dla mnie zupełną nowością. Kilka tygodni temu nie miałam nawet pojęcia, że kiedykolwiek istniał jakiś stryj Louis, a co dopiero, że moja babka odsiedziała wyrok za jego zabójstwo. Moi rodzice nigdy mi nic nie powiedzieli, a i tu nikt nie wydaje się chętny do rozmowy na ten temat. Do pewnego stopnia jest to dla mnie zrozumiałe, bo to coś, o czym każdy wolałby zapomnieć. Ale z drugiej strony ten mur milczenia, którym otoczono tę sprawę, wydaje się przesadny - tym bardziej, że mam wrażenie...

- Tak?

- Sądzę, że oni także nie wierzą, że babcia była winna. Ale w takim razie dlaczego nie chcą wyciągnąć całej sprawy na światło dzienne i udowodnić jej niewinności? Ona jest chora - ma bardzo słabe serce. W każdej chwili może mieć zawał i umrzeć. Czy nie byłoby naturalne, żeby rodzina chciała oczyścić jej imię, nim będzie za późno?

- Czy to dlatego telefonowała pani do mojego ojca? - spytał Dan nie owijając w bawełnę.

- No... - Policzki Juliet pokryły się lekkim rumieńcem. - Tak. Szczerze mówiąc, tak. Nie byłam pewna, czego się właściwie po tej rozmowie spodziewam, ale chciałam się dowiedzieć o wszystkim z niezależnego źródła, od kogoś, kto nie był bezpośrednio wplątany. Tak, przyszedł mi również do głowy pomysł, żeby zabawić się w detektywa. Wie pan, dla nas wszystkich cała ta sprawa jest bardzo niezręczna. Moi rodzice wyemigrowali, żeby uciec od skandalu. Myślę, że miałam nadzieję na znalezienie

Janet Tanner

jakiegoś dowodu, który by oczyścił imię babci. Ale teraz to chyba nie wchodzi w rachubę.

- Jeszcze nie wszystko stracone. Jeśli połączymy wysiłki...

- Dan zawahał się, usiłując przewidzieć jej reakcję, po czym zdecydował się i ciągnął: - Proszę posłuchać! Ja mam akta ojca. Mam też dojścia w policji i może mi się uda trochę pogrzebać w archiwach. A pani pozostaje w bliskim kontakcie ze wszystkimi, którzy byli w to zamieszani. Mówi pani, że kręcą i odmawiają rozmów na temat tamtych wydarzeń. Ale gdyby pani umiała zadawać odpowiednie pytania, może zdołałaby pani dokopać się do prawdy.

Juliet nagle zadrżała, przypomniawszy sobie, jak Catherine mówiła o rodzinnych tajemnicach i ostrzegła, żeby zostawić przeszłość w spokoju.

- Uważa pan więc, że powodem, dla którego są tak skryci, jest coś więcej niż tylko wrażliwość? Myśli pan, że coś ukrywają?

- Powiedziałbym raczej, że jestem tego pewny. Praca w policji nauczyła mnie jednego: praktycznie każdy ma coś do ukrycia. Sedno sprawy to stwierdzenie, czy to coś ważnego.

Juliet przygryzła wargę. Teoretycznie nic złego nie ma w chęci rozwiązania zagadki.

Teoretycznie bardzo szlachetnie jest mówić

o oczyszczeniu imienia babki. Teoretycznie... Ale przecież zawsze może swym działaniem rozpocząć coś, co wyrwie się spod kontroli, otworzy stare rany, wypuści stada potworów z puszeki Pandory, którą zamknięto i szczelnie zapieczętowano niemal dwadzieścia lat temu. A poza tym...

- A jakim interesem pan się kieruje? - spytała nagle.

Dan zawahał się na nieuchwytny moment. Czy powinien jej powiedzieć prawdę? Ale stare nawyki trudno przelamać. Policjanci

1 dziennikarze-detektywi zadają pytania, a nie odpowiadają. Odruchowo niemal trzymał karty przy orderach.

- Już pani mówiłem - ta sprawa mnie zawsze fascynowała

- odparł gładko. - Proszę pamiętać, że właściwie razem z nią wyrosłem. Myślałem, że zależy pani na dojściu do prawdy. Niech pani posłucha - proszę to wszystko przemyśleć. Jeśli się pani

OKO ZA OKO

130

zdecyduje, że chce pani to ciągnąć, niech pani się do mnie odezwie. Jak już powiedziałem, wciąż mam kontakty w policji i możliwość przekopania się przez ich akta. Ale to nie ma sensu, jeśli pani również nie wykaże chęci zadania kilku pytań. To może być trudne. Może pani nawet wykryć kilka spraw, o których wolałaby pani nigdy się nie dowiedzieć. Ale to jest cena, jaką trzeba płacić za prawdę. - Wstał i wyciągnął do niej rękę. - Niestety, muszę panią teraz przeprosić. Mam umówione spotkanie, którego nie mogę opuścić. Proszę przemyśleć, co pani powiedziałem i poinformować mnie o decyzji. Wtedy może jeszcze porozmawiamy.

- Dobrze, niech tak będzie - odparła Juliet, skinąwszy głową.

- W porządku. - W sposobie, w jaki to powiedział, zabrzmiała jakaś twardość i Juliet nagle zrozumiała, że rzeczywiście kiedyś był policjantem. Ale potem znów się uśmiechnął i wrażenie nieugiętej stanowczości niemal natychmiast znikło. - A więc pozostaje mi żywić nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

- Zapewne. - Juliet nie miała zamiaru do niczego się zobowiązywać, ale w głębi duszy wiedziała, że już podjęła decyzję. Nie pozwoli się powstrzymać, mimo że wejście na tę drogę w pewien sposób ją przerażało. Reszta rodziny wygodnie chowała się za murem kłamstw i odwagą babki, ale nie ona. Ona musi poznać prawdę. I dopiero gdy ją pozna, postanowi, co dalej z tym fantem robić.

Kiedy samochód Juliet znikł za rogiem ulicy, Dan Deffains wrócił do domu. W jego żyłach krążyła adrenalina, wprawiając go w stan podwyższonej wrażliwości, co ostatnimi czasy zdarzało mu się niezwykle rzadko. Pomyślał, że to właśnie jest jedna z zalet pracy w policji, że takich chwil trafia się sporo. Ale praca w policji to także chwile martwoty, ciszy, frustracji, wściekłości i w końcu kontakt z bezduszną, nieczulą biurokracją, która pozbyła się go, wywalila go na śmietnik właśnie w tej chwili, gdy najbardziej potrzebował jakiegoś celu w życiu.

Janet Tanner

W sennych koszmarach Dan wciąż na nowo przeżywał szok, jaki odczuł, gdy poinformowano go wprost, że musi się przygotować na wykonywanie do końca swych dni w policji prac biurowych - „lekkich obowiązków”, jak to określono - albo na zwolnienie ze służby.

- Rozumie pan przecież, że nie możemy wypuszczać na ulicę niepełnosprawnych policjantów - powiedział dowódca, a Dan się wściekł.

„Nie możecie mi tego zrobić! To jest całe moje życie!” - chciał wrzasnąć, ale brzmiałoby to zbyt trywialnie, więc w zamian bardzo barwnym językiem wyjaśnił szefowi, iż nie uważa się za kalekę, że nadal jest dużo sprawniejszy niż wielu tak zwanych zdrowych funkcjonariuszy i że gotów jest wypracować z siebie żyły, żeby tego dowieść. Szef pozostał niewzruszony. Bardzo współczuł Danowi i rozumiał, jak śmierć Marianny musiała nim wstrząsnąć, żał mu było również tracić jednego z najlepszych ludzi. Ale nie miał możliwości manewru. Przepisy są przepisami, a on musi się do nich stosować. Dan musi po prostu zacisnąć zęby i przyzwycząić się.

Dan nie miał zamiaru ani zaciskać zębów, ani znosić czegokolwiek. Sposób, w jaki pozbywano się go ze służby, dla której gotów był poświęcić życie, przyprawiał go o mdłości. Nie zdawał sobie sprawy, że szok i smutek wywołują w nim przesadne reakcje. Z furią trzasnął drzwiami pokoju szefa i porzucił służbę w policji.

Przez pewien czas depresja otaczała go jak gęsta mgła. Dziewczyna, którą kochał i poślubił, była martwa, i choć zdawał sobie sprawę z bezsensowności tego, wciąż obarczał się za to winą. A teraz jeszcze był bez pracy. Mając dwadzieścia siedem lat czuł się starcem. Chryste, życie w ogóle nie miało sensu!

W chwili kiedy depresja osiągnęła dno, Dan zupełnie nagle wypłynął na wierzch, niby korek z wody. A stało się tak, ponieważ życie podsunęło mu temat.

Dan zawsze miał dryg do pisania. Co prawda lata nudnego skrobania raportów nieco mu przytępiły pióro, ale na szczęście w co cięższych chwilach zwykł był przelewać na papier wszystko,

OKO ZA OKO

133

co mu przyszło do głowy. Niemniej bardzo się zdziwił, gdy kilka z tych zapisków udało mu się sprzedać. A kiedy wpadła mu w ręce ta historia ze szmuglem narkotyków, wiedział już, co należy z czymś takim zrobić.

Przemyt prochów to rzecz rzadka na Jersey, co nie znaczy, że nieznana. Kontakt, jaki pozostał Danowi jeszcze z czasów pracy w policji, umożliwił mu wejście „na ogon” jednemu z najbardziej rozrywkowych mieszkańców wyspy, bogaczowi, który miał mnóstwo do ukrycia. Powstały w rezultacie artykuł „zrobił” Danowi nazwisko jako reporterowi-detektywowi, co nie znaczyło wcale, iż pisał pod swoim nazwiskiem. Używał pseudonimu Harry Porter. Było to ze wszech miar rozsądne, bo na wyspie o rozmiarach Jersey nie bardzo by się opłacało afiszować z faktem, iż były policjant, syn powszechnie szanowanego adwokata, zarabia na życie strącaniem z piedestałów różnych świętości i węszeniem afer, nieuczciwości, defraudacji i niezdrowych skłonności. Oczywiście, byli tacy, którzy znali prawdziwe nazwisko Harry'ego Portera, utrzymanie pełnej tajemnicy nie byłoby przecież możliwe, ale Dan schowany za swym pseudonimem czuł się bezpiecznie.

Jednak znajdowanie nowego materiału do artykułów nie zawsze było łatwe. Kiedy więc w trakcie sprzątania biura ojca Dan przejrzał akta sprawy Sophii Langlois, natychmiast wyczuł, iż ma przed sobą zadatek na naprawdę wielki hit. Nie dość, że na miejscu były wszystkie niezbędne do zafascynowania i zanęcenia czytelnika składniki - bogactwo, władza, skandal, rodzinna dynastia rozdarta kłótniami jej członków, potem poskładana do kupy tak dokładnie, że nigdzie nie pozostały nawet ślady pęknięć - to jeszcze całość otoczona mgiełką nie

rozwiązanej tajemnicy. Dan wiedział, że jego ojciec aż po grób był przeświadczony o niewinności Sophii, więc od niepamiętnych czasów gnębiło go pytanie - skoro to nie Sophia zabiła Louisa, to kto? I dlaczego tak się upierała przy swojej winie? Czy kogoś osłaniała? A jeśli tak, to kogo? A może najzwyczajniej w świecie z bólu straciła rozum i naprawdę uwierzyła, że to ona popełniła zbrodnię?

Cała ta sprawa nigdy nie była objęta porządnym śledztwem,

Janet Tanner

tego Dan był pewien. Z powodów, jakie wyjawil Juliet, inspektorowi Fauvalowi było wygodnie przyjąc wersję Sophii. Ale gdyby się dokopać do samego dna tej historii, można by z tego zrobić książkę, prawdziwy, przebojowy bestseller. Dan napisałby go z przyjemnością, łącząc swe talenty pisarskie z wrodzonymi zainteresowaniami kryminologią. Jeśli zaś w motywacjach Dana kryło się choć ziarno zawiści, to i tak nie zdawał sobie z tego sprawy. Wiedział tylko, że instynkt podpowiada mu, iż ktoś tu zdrowo pokpił sprawę; a gdyby się okazało, że przytrafiło się to reprezentantowi tych sił, które tak ochoczo i bezlitośnie wyrzuciły go na śmietnik, to z pewnością stwierdzenie tego faktu nie przyprawiłoby Dana o bezsenne noce.

Lecz wszystkie wstępne dochodzenia, jakie Dan przeprowadził w tej sprawie, okazały się bezowocne. W teczce nie było po prostu dość materiału, żeby można było czegoś się złapać. Ale w końcu jego ojciec zajmował się właściwie wyłącznie obroną w świetle przyznania się do winy. Zeznania dotyczące poruszeń pozostałych członków rodziny w noc śmierci Louisa były bardzo nieokreślone i zupełnie nie obrobione, jakby pojawiały się tylko tam, gdzie zezwoliła Sophia. - Powiedziała, żebym nie wywlekał na wierzch spraw rodzinnych! - Dan pamiętał tę wypowiedź ojca, gdy ten na progu rozpaczy wracał z kolejnego spotkania z Sophią. - Mówi, że nie płaci mi za odgrywanie Perry'ego Masona!

I w ten sposób sekrety Sophii pozostały sekretami, a Dan nie miał ani ciut więcej szans na ich wyjaśnienie niż jego ojciec dwadzieścia lat wcześniej. Co prawda myślał o porozmawianiu ze starymi przyjaciółmi w Komendzie Głównej Policji, o uproszeniu dostępu do archiwów, ale obawiał się zbyt wczesnego, pośpiesznego działania. Efektem nieprzemyślanych kroków mogłoby być przeoczenie tej jedynej, niepowtarzalnej okazji z prostego powodu - nie wiedział, czego właściwie szukać. Po fiasku kilku wywiadów Dan postanowił nie popędzać losu, przysiąść w kąci z uchem przy ziemi i czekać. Wcześniej czy później natknie się przecież na kogoś, kto

będzie w stanie udzielić mu odpowiedzi na kilka pytań, a mając coś takiego na początek, można już się

OKO ZA OKO

103

zaczepić i drażyć, póki się nie wydraży całej prawdy. Jednak minął rok i Dan poważnie zaczął się zastanawiać, czy nie należałoby się odkryć i oficjalnie ogłosić zainteresowania sprawą. I wówczas, niby dar od niebios, rozległ się telefon wnuczki. Kiedy powiedziała mu, kim jest, jego puls zaczął szaleć. Oto pojawiał się ktoś równie mocno zainteresowany prawdą jak on sam - i to w dodatku z wnętrza rodziny!

Pierwszy raz w życiu Dan błogosławił fakt, że dostał imię po ojcu. Wszystkie szczeniackie odczucia, jakoby rodzice odmawiali mu własnej tożsamości, wszystkie te sytuacje, kiedy posiadanie tego samego imienia powodowało głupie nieporozumienia, wszystko to nagle przestało się liczyć. Gdyby nie miał na imię Daniel, istniała wielka szansa, że dziewczyna nigdy w życiu nie zdołałaby go odnaleźć.

Dan poszedł z powrotem do salonu. Czuł się wyczerpany, lecz pełen życia. Rozmowa nie była łatwa, ale miał wrażenie, że jeszcze się spotka z Juliet Langlois. Przez moment miał wyrzuty sumienia, że nie powiedział jej prawdy o rzeczywistym powodzie swego zainteresowania i o tym, że uważa, iż Sophia kryje kogoś bliskiego. Ale zbyt się obawiał, że wówczas by sobie poszła i utraciłby szansę na najlepszy reportaż w życiu. Zawód dzien-nikarza-detektywa, podobnie jak policjanta, bywa chwilami brudny. Ale z tym da się żyć, a Dan nie miał zamiaru z tego powodu cierpieć na bezsenność. Na krótko jego myśli powróciły do wątpliwości, które zadreślały jego ojca przez tyle lat. Doszedł do wniosku, że zadośćuczynienie sprawiedliwości nawet po tak długim czasie sprawiłoby Danielowi Deffainsowi Seniorowi przyjemność. I jeśli w ogóle potrzebował czegoś na ukojenie sumienia, to to było właśnie to.

Dan dotknął dzbanka z kawą. Był ciepły, ale nie gorący. Przez moment zastanawiał się, czy go nie podgrzać, potem zmienił zdanie i nalał sobie whisky. Było jeszcze nieco za wcześnie na drinka, ale warto było jakoś to wszystko uczcić. Dan bez słowa uniósł w geście toastu szklaneczkę w stronę teczki z aktami Sophii Langlois.

Rozdział siódmy

Tego samego popołudnia, po zjedzeniu sutego obiadu złożonego z kotletów cielęcych, młodych ziemniaków i świeżej mięty wprost z własnego ogrodu, Catherine Carteret wsiadła do samochodu i pojechała do La Grange, żeby odwiedzić swą siostrę Sephię. Catherine lubiła jadać główny posiłek w środku dnia, co było przyzwyczajeniem, jakiego nabrała przez lata pracy w szkole i jadania szkolnych obiadów o wpół do pierwszej. Teraz upierała się, że jedzenie wieczorem przyprawia ją o niestrawność.

Jedynym kłopotem, jaki wynikał dla Catherine z południowego jedzenia, była pojawiająca się natychmiast po obiedzie senność. Nie mając nic innego do roboty, Catherine lubiła się przyłożyć na pół godziny. Jednak tego dnia uznała, że naprawdę musi spotkać się z Sophią, zwalczyła więc ociężałość, od której opadały jej powieki, stłumiła ziewnięcie i zdecydowanie postanowiła, że dziś nie będzie drzemki.

W La Grange przestraszyła się na wieść o tym, że Sophia wciąż jeszcze nie wyszła ze swojego pokoju. Debora wyjaśniła, że poprzedniego wieczora Sophia miała mały atak i odpoczywa. Catherine spędziła więc jakiś czas z Deborahą i Juliet, które przeglądały stary rodzinny album fotograficzny, i dopiero pod wieczór poszła na górę do pokoju Sophii. Otworzyła drzwi bez pukania, ogłaszając swe przybycie okrzykiem:

- Sophia? To ja! Nie śpisz?

OKO ZA OKO

105

- Oczywiście, że nie śpię, Catherine. Nie wszyscy przesypiają popołudnia.

Sophia siedziała w swym buduarowym, różowym fotelu, stojącym przy oknie wychodzącym na podjazd. Catherine z ulgą zauważyła, że siostra wygląda normalnie - była może nieco blada, ale za to całkowicie, choć nieco niedbale, ubrana w świetnie skrojone marynarskie spodnie, kremową bluzkę i szmaragdowo-niebieski sweterek.

- Debora powiedziała mi, że zaniemogłaś - Catherine rzuciła w stronę siostry oskarżycielskim tonem.
- Och, tylko mi się trochę zakręciło w głowie, wiesz, jak to ze mną jest - odparła lekkim tonem Sophia. - Czuję się już bardzo dobrze, ale doktor Clavell uznał, że powinnam przeleżeć ten dzień. Sama wiesz, jak on umie człowieka zanudzić.
- O, tak, wiem - odparła Catherine z przekonaniem. Kiedyś, w zeszłym roku, Catherine poskarżyła mu się na swą niestrawność, a doktor Clavell natychmiast się uparł, żeby zrobiła całą serię kosztownych i długotrwałych badań. Badania nie wykazały nic niepokojącego, a Catherine nie była pewna, czy powinna z tego powodu odczuć ulgę, czy zdenerwować się niepotrzebną stratą czasu i pieniędzy. W każdym razie postanowiła wtedy, że na przyszłość będzie bardziej uważać na to, co mówi w obecności lekarza.
- Siedziałam tu, czytałam i cieszyłam się słońcem - ciągnęła Sophia, odkładając książkę na stolik obok. - No cóż - czemu zawdzięczam twoją wizytę? Czy ktoś do ciebie zadzwonił i powiedział, że jestem chora?
- Nie, dowiedziałam się dopiero po przyjeździe.
- A więc? To do ciebie niepodobne, rezygnować z poobiedniej drzemki i odwiedzić mnie.
- Sophio, przestań wreszcie opowiadać, że nic innego nie robię, tylko śpię! Robię popołudniami mnóstwo rzeczy! Na przykład pracuję w ogrodzie. A jeśli pogoda nie sprzyja wychodzeniu na dwór, maluję wzory na ścianach na parterze.
- Wzory?

Janet Tanner

- Tak. Pamiętasz, kiedy byliśmy jeszcze małe, lubiliśmy się bawić w ten sposób - malowanie przez szablon. Ten szablon zamówiłam w Przedsiębiorstwie Wysyłkowym Laury Ashley. I naprawdę jestem zadowolona. Ściany pojaśniały. Bardzo to ładnie wygląda - kwiaty wiśni na tle starej farby. Poza tym sprawiło mi to przyjemność.

Sophia z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Ile ty masz lat, Catherine? Sześćdziesiąt jeden, prawda? Czy ty nigdy nie wydoroslejesz?

- Pewnie nie - odparła z uśmiechem Catherine.

- No, ale jeszcze mi nie odpowiedziałaś na pytanie. Dlaczego to więc przerwałaś tę fascynującą działalność i przyjechałaś do mnie?

Catherine zrobiła tajemniczą minę.

- Skoro masz odpoczywać i przychodzić do siebie, to chyba nie powinnam ci mówić.

- Dlaczego nie, na Boga? Czuję się już świetnie!

- Wątpię, czy doktor Clavell by to zaaprobował.

- Umówiliśmy się już przecież, że doktor Clavell to nudziarz! Poza tym teraz już nie możesz się wycofać. Jeśli nic nie powiesz, to zacznę się tak mocno zastanawiać, o co ci chodziło, że znowu się gorzej czuję!

- No, mogłabym ci przecież zawsze powiedzieć, że chodzi o jakiś słodki, soczysty skandalik, jakiś rozwodzیک albo romansik...

- Ale nie powiesz tego, bo od razu bym poznała, że kłamiesz. - Sophia spowaźniała. - Czuję, że chodzi o coś naprawdę ważnego.

- Właściwie niespecjalnie.

- No więc?

- No, dobrze. Powiem ci. Po prostu uznałam, że powinnaś wiedzieć, że Juliet zaczyna zadawać pytania o... no, o rzeczy, które wolałybyśmy zapomnieć. Wygląda na to, że Robin i Molly utrzymywali ją w niewiedzy przez te wszystkie lata i teraz Juliet w zupełnie naturalny sposób chce wiedzieć. Nie chciałabym cię martwić, ale uważałam, że trzeba cię ostrzec.

OKO ZA OKO

141

Sophia pokiwała głową.

- Przyznaję, że się tego spodziewałam. Wczoraj wieczorem powiedziała coś takiego, że domyśliłam się, że o tym myśli. Ale podobnie jak ty uważam, że nie można jej za to winić.

- Nie, nie można. Ale chciałam cię ostrzec.

Przez chwilę siostry siedziały w ciszy. Ten temat był tabu przez tak wiele lat, że niemal niemożliwością wydawało się teraz przerwanie milczenia. Catherine powiedziała już to, z czym przyjechała. Teraz rozmowa mogła już zejść na mniej niebezpieczne tematy.

- Zostaniesz z nami na herbatę? - spytała Sophia.

- Chyba tak, skoro już tu jestem, a na pracę w ogrodzie już i tak jest za późno.

- Na drzemkę też.

Roześmiały się obie. Na chwilę duchy z przeszłości udało się jeszcze raz odegnąć.

Sophia siedziała w swym buduarowym fotelu i wpatrywała się w gęstniejący mrok. Spotkanie z Catherine sprawiło jej przyjemność - w niewielkich dawkach widok siostry był naprawdę miły, a wspólny śmiech nieodmiennie sprawiał, że Sophia znów się czuła młoda. Zgodnie z obietnicą Catherine została na herbatę, w związku z czym Sophia zlekceważyła zalecenia lekarza i zeszła na dół, gdzie do spółki z Deborą i Juliet siostry raczyły się kruchymi ciasteczkami i czekoladą - choć, oczywiście, Debora tylko im dotrzymywała towarzystwa. Stale myśląc o swej figurze nie wzięła do ust ani jednego kęsa.

Jednak po wyjściu Catherine Sophia, uskarżając się na zmęczenie, wróciła niemal zaraz do swego pokoju. Nie do końca jej pretekst był prawdziwy. Owszem, była nieco zmęczona, bardziej w wyniku całodziennego nieróbstwa, niż czegokolwiek, co stanowiłoby zagrożenie dla jej słabego serca. Natomiast rzeczywistym powodem, dla którego porzuciła towarzystwo, była potrzeba samotności. Chciała spokojnie przemyśleć różne sprawy.

Janet Tanner

Tak więc Juliet zadawała pytania. Sophia bardzo się tego obawiała. To była ta odwrotna strona medalu, gdy dowiedziała się, że Juliet przyjeżdża na Jersey. Z jednej strony Sophia nie posiadała się z radości na myśl o ponownym ujrzeniu wnuczki po tylu latach, z drugiej zaś lękała się, że wnuczka zacznie drażnić to, co najlepiej byłoby na zawsze zapomnieć.

Nie byłoby jeszcze tak źle, gdyby Robin i Molly mieli dość rozumu, żeby zapoznać swą córkę już w dzieciństwie przynajmniej z jakimś fragmentem tej historii - wtedy wyrastałaby, akceptując to automatycznie jako część życia. Ale, niestety, nie mieli aż tyle rozsądku. Co za para półgłówków, pomyślała ze złością Sophia. On marzyciel, ona dzieciak, a oboje tak przepelnieni poczuciem winy, że najchętniej zakopaliby całą przeszłość głęboko w ziemi i udawali, że nic się nigdy nie wydarzyło. A przecież się wydarzyło, więc Juliet odczuwała teraz zupełnie naturalną ciekawość.

Sophia z westchnieniem potarła czubek nosa. Równie mocno jak Robin i Molly nie chciała, żeby Juliet grzebała w przeszłości. Aż za dobrze wiedziała, jak niebezpieczne mogą być następstwa. Lecz jak miała ją powstrzymać? Oczywiście, rodzina zewrze szeregi i na tym się skończy. Ale i tak...

Nie zniósłabym ponownej jej utraty, pomyślała Sophia. Gdy po raz pierwszy zniknęła z mego życia, byłam zbyt otępiała i przybita wydarzeniami, żeby zdać sobie sprawę, jak bardzo będę tęsknić za wnuczką, która zamieszka po drugiej stronie globu. Teraz jestem starsza - nie stara, starsza - i ludzie są mi bardzo drodzy.

Ale w końcu, czy nie zawsze tak było? Czy nie dlatego właśnie, iż zawsze najważniejsi byli dla niej bliscy, jej życie było tak pełne wydarzeń, tak burzliwe i do pewnego stopnia tragiczne? Sophia pokręciła głową. Na miłość boską, dlaczego znów musi przez to przechodzić? Co to da?

Zrobiło się już niemal zupełnie ciemno, ale Sophia nie zapaliła światła, tylko siedziała zatopiona w myślach. Nieczęsto zdarzało się jej myśleć o tej straszliwej nocy, gdy zginął Louis. Jeśli pewne wspomnienia są zbyt bolesne, umysł ludzki umie je

OKO ZA OKO

109

zablokować, ukryć i udać, że ich w ogóle nie ma. Tak właśnie było ze wspomnieniami o śmierci Louisa przez długi, długi czas. Ale już nie. Teraz drzwi do przeszłości zostały uchylone, a otwarła je Juliet.

Wpatrując się w mroczny ogród, Sophia przypominała sobie wydarzenia tamtej nocy. Najpierw to przyjęcie; wielka gala, której wspaniałość przyćmiewały niewesołe myśli i lęki. Zarówno interesy, jak i sprawy rodzinne były w kiepskim stanie. Przyczyną tego był Louis - jej ukochany Louis, a ona nie umiała już wymyślić dla niego żadnych usprawiedliwień. Potem jazda do domu, niemila, bo pierś rozsadzało jakieś okropne przeczucie. Kiedyś Sophia wmawiała sobie, że jest przewrażliwiona i ma wybujałą wyobraźnię, ale jej przeczucia zbyt często się sprawdzały, żeby w końcu nie musiała uznać ich za jakiś szósty zmysł. Jadąc prowadzonym przez szofera Mercedeselem zastanawiała się, co spowodowało, że tym razem przeczucie to jest aż tak silne. Problem - jakkolwiek by był - musiał już być blisko.

Jasno pamiętała pierwszy widok La Grange, jaki ukazał się jej oczom jeszcze spoza drzew otaczających podjazd. Mimo późnej pory niemal wszystkie okna parteru były oświetlone, co świadczyło o tym, że Louis jest w domu. Ale Sophia nie wiedziała, czy powinna się z tego powodu cieszyć, czy smucić. Przynajmniej nie poleciał do Londynu - jak zwykł był to często czynić w weekendy - w poszukiwaniu przyjemności, jakich staroświeckie, nudne Jersey nie było w stanie mu dostarczyć. Ale z drugiej strony obecność Louisa w domu ostatnio równała się nieuniknionym kłótniom - albo jeszcze gorzej.

W umyśle zatopionej we wspomnieniach Sophii zadźwięczały urywki rozmowy.

- Czy ma pani dla mnie jeszcze jakieś polecenia, pani Langlois? - spytał Peter Le Grand, jej kierowca, zatrzymawszy Mercedesa przy schodach.

**- Nie, Peter - odparła zwykłym głosem, pokrywając spokojem szalejącą w duszy burzę. -
Dziękuję panu. Już sobie poradzę. Proszę jechać do domu.**

Janet Tanner

Stała potem przez chwilę na stopniach schodów, zbierając się na odwagę i żywiąc nadzieję, że Louis jest już w łóżku. Nie miała ochoty na kolejną kłótnię. Nie dziś...

- Babciu! Masz ochotę na coś do picia? - Sophia aż podskoczyła. Tak bardzo zatopiła się w myślach, że nie dosłyszała, jak Juliet puka, a potem otwiera drzwi.

- Do picia? - powtórzyła nieco bezmyślnie i wzdrygnęła się na brzmienie swego głosu - pełnego napięcia i jakiegoś odległego.

- Tak. Kakao? Owomaltynę? A może coś mocniejszego?

- Nie. Nie, chyba nie.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, wszystko w porządku.

- To dlaczego siedzisz po ciemku?

- Lubię ciemność, kochanie.

Błogosławiona ciemność, miękka, otaczająca, kryjąca brzydotę i grzechy.

- Napij się przynajmniej owomaltyny. Łatwiej zaśniesz.

- Dobrze, moja droga. - Sophia nie miała siły na dalsze przekomarzanie. - Skoro nalegasz. Ale proszę, nie zapalaj światła. Jeszcze nie.

Juliet wyszła, zamykając za sobą drzwi. Gdybyż to wszystko było takie proste, pomyślała Sophia. Gdyby tak filiżanka owomaltyny potrafiła odegnać wspomnienia, które nie dają spokoju! A przecież są rzeczy, których nie można zapomnieć, które zostaną do końca życia. Na przykład ta straszna noc.

Ciemność za oknem wypełniła się duchami. Sophia zacisnęła powieki i zakryła twarz dłońmi, usiłując odegnać zjawy, ale nie potrafiła. Widok ciała Louisa na zawsze wrył się w jej pamięć; widziała go teraz tak, jak wtedy - leżącego z rozrzuconymi rękami na dywanie salonu. Blond

włosy były zlepione krwią, która splamiła białą frakową koszulę i włosie dywanu. Sophia odczuła ten sam dreszcz, który przeżyła wówczas, gdy w odrętwieniu zaciskała pakę, trzymając w ręce broń - rewolwer Louisa, który został przemycony na wyspę z jakichś szczeniacko-bohater-skich powodów. Sophia zawsze wiedziała, że nie wyniknie z tego OKO ZA OKO

///

nic dobrego, intuicja ją ostrzegala. Ale już było za późno. Louis nie żył.

Jeszcze przez kilka minut stała, drżąc i wpatrując się w jego nieruchome ciało. Potem podeszła do telefonu i wystukała numer 999.

- Mówi Sophia Langlois z La Grange - powiedziała spokojnie, gdy odezwał się dyżurny. - Myślę, że potrzebne mi pogotowie i policja. Właśnie zastrzeliłam swojego syna.

Oczywiście, przesłuchiowano ją. A przynajmniej setnik, John Germaine. Inspektor policji był wręcz szczęśliwy, mogąc po prostu przyjąć do wiadomości jej historię. Uśmiechał się przy tym szyderczo - tak, szyderczo. To jest to słowo. Ale tak naprawdę Sophii to wtedy zupełnie nie obchodziło. Nic już nie było ważne, bo Louis nie żył.

Właśnie dlatego z taką niecierpliwością odpowiadała na pytania Johna Germaine'a - biedny John, wyciągnięty z łóżka, by przedstawić jednej z najstarszych przyjaciółek oskarżenie o zamordowanie własnego syna.

- Na miłość boską, Sophio, dlaczego?! - dopytywał się, wpatrując się z napięciem w jej twarz przez szerokość drewnianego, porysowanego blatu stołu w pokoju przesłuchań. - Dlaczego? Wpatrywała się w przestrzeń. Och, jakże oślepiająca była naga żarówka nad stołem! Nic dziwnego, że teraz tak lubi ciemność. Zastanawiała się, czy mu nie powiedzieć, że zawsze, od samego początku, wiedziała, że coś takiego się wydarzy. Ale wiedziała też, że jeśli mu to powie, on uzna ją za szaloną. A tego nie chciała. To zniszczyłoby resztki jej dumy, a duma to wszystko, co jej jeszcze zostało.

- Sophio, pytam cię, o co chodziło? - nie ustępował John Germaine.

- Och, John! - odparła cicho. - Przecież wiesz!

Germaine zmarszczył brwi. Wyglądał niemal niechlujnie - wyraźnie telefon wyciągnął go z łóżka, gdy już głęboko spał. Miał włosy w nieładzie, jeden róg kołnierzyka jego koszuli schowany był pod pulowerem, a drugi sterczał pod szyją w górę.

Janet Tanner

- Nie, Sophio, nie wiem - powiedział z napięciem.

- Skoro tak, Johnie, to ode mnie na pewno się nie dowiesz. Był wściekły. Wiedziała o tym wtedy i nadal była tego

świadoma. John nigdy jej nie wybaczył, że znalazł się przez nią w takiej sytuacji. Ale to było najmniejsze z jej zmartwień.

Nie powiedziałam im, pomyślała. I przynajmniej na moim procesie nie wywleczono na wierzch przeszłości. Oczywiście, możliwe było, że wyspiarze o długiej pamięci i podejrzliwej naturze gadali coś pomiędzy sobą i wywlekali wątki, które już dawno zapomniano. Ale przynajmniej nic nie pojawiło się publicznie. Ja im tego oszczędziłam.

I sobie też. Istniały przecież rzeczy, które chciała wymazać z pamięci już wcześniej, a których ujawnienia by nie przeżyła. I bez względu na to, co się stanie, nikt i nigdy nie zdoła z niej wyciągnąć tego wyznania. Nawet gdyby ją skazano na dożywocie, i tak nie zaczęłaby mówić.

Tak brzmiała przysięga, jaką sobie wówczas złożyła. Teraz, wpatrując się w ciemny ogród, Sophia ponowiła to przyrzeczenie.

Jej sekretem na zawsze pozostanie, że to wszystko zaczęło się od Dietera.

Rozdział ósmy

Jersey, 1938

Rozciągająca się od zalesionego szczytu wzniesienia łąka, pokryta trawą tak długą, że właściwie wymagającą już drugiego pokosu, opadała zielonym, nieprzerwanym dywanem aż do szarej wstążki asfaltu, biegnącej pośrodku doliny. Na skraju drogi, obok bramy, leżały niedbale porzucone dwa rowery, jeden na drugim, a powyżej, niemal w połowie drogi do lasu na wzniesieniu, przez trawę maszerowały dwie figurki. Chłopiec, wysoki i atletycznie zbudowany, szedł równym krokiem, a jego długie nogi z łatwością odnajdowały drogę wśród gęstwy trawy. Za nim z wysiłkiem podążała pulchna, ciasno opięta wełnianą spódniczką dziewczynka, potykająca się co chwila o własne sandały.

- Dieter! - zawołała bez tchu. - Dieter, poczekaj! Chłopak zerknął na nią przez ramię.

- No, pośpiesz się, ślamazaro!

- Nie mogę! Mam kolkę! - Ale mówiąc to śmiała się, jak zresztą dość często w owym czasie.

- W tym tempie stracimy cały dzień! Przecież możesz iść szybciej!

- Nie! Mówię ci, że nie mogę!

- No, dobrze. Jako gentleman poczekam na ciebie. Dziewczyna chwiejnie podeszła do niego.

Nogi ją bolały,

a serce waliło jak wściekle, ale tylko częściowo z wysiłku. Tę reakcję wywoływał głównie widok, jaki prezentował sobą stojący

Janet Tanner

przed nią chłopak - ręce wetknięte niedbale w kieszenie szortów, włosy lśniące złotem w świetle słońca, oczy wpatrzone w nią z lekkim półuśmieszkiem na przystojnej, choć dość poważnej twarzy.

Mój chłopak, pomyślała, a rozpierająca ją duma była tak potężna, że niemal bolesna jak kolka w boku. Mój własny, prawdziwy chłopak, pierwszy chłopak.

Kiedy podeszła już wystarczająco blisko, wyciągnął do niej rękę i pociągnął ostatnie kilka stóp.

- Dieter, przestań! Nie mogę! Naprawdę już nie mogę!

- Przecież ci pomagam!

- Nieprawda! Nogi już mi się nie chcą ruszać! Po prostu wyrywasz mi ramię ze stawu!

- Moje biedne *lieblingl* - powiedział kpiąco. - No to sobie odpocznij.

Dziewczyna stanęła z rękami na biodrach, odwróciła się w stronę, skąd przyszli i usiłowała odzyskać oddech. Za asfaltową dróżką była kolejna łąka, płaska i złoto-zielona, a za nią morze - niebieskie jak pokrywające zbocza wzgórz dzwonki na wiosnę. A wszystkie te kolory mieszały się i współgrały ze słońcem i lazurem nieba.

Jersey. Czterdzieści pięć mil kwadratowych cudownych, sielankowych widoków, otoczonych linią brzegową pełną zatok i zatoczek, cypli, plaż, jaskiń, klifów i skał. Jersey - gdzie lesiste doliny dochodzą aż do brzegów morza, a wielkie jak nieduże drzewa hortensje eksplodują kolorem niebieskim i różowym przez cały okres kwitnienia. Jersey, wyspa granitu i łupków, dom, który tak bardzo kochała, że czasami miała ochotę rzucić się na ziemię i tulić do niej całym ciałem. Przed kilkoma tygodniami przerabiała w szkole *Ryszarda III* Szekspira i głęboko w umysł zapadły jej słowa Johna O'Gaunta: „Ten drugi Eden, raj na ziemi, ta forteca, którą sama Natura sobie przeciw chorobom i wojnom zbudowała.” Może mówił to o Anglii, ale Sophia Carteret uważała to za idealny opis Jersey.

- Ten drogocenny kamień, oprawny w srebro morza... - mruk-

OKO ZA OKO

152

nęła teraz do siebie, zatopiona przez chwilę w pełni miłości i życia; miała trzynaście lat i świat u stóp.

- Lepiej? - rzucił Dieter, a gdy skinęła głową, ruszył znów przed siebie, do góry, w stronę najwyższego punktu wzniesienia. Potem wyciągnął się na trawie, założył ręce za głowę i podniósł ugięte w kolanach nogi.

Popatrzyła na niego i uczuła w sercu tę słodko-gorzka ostrość, która była tak ulotna, że dziewczyna instynktownie starała się ją schwycić obiema rękami. Nie, nie schwycić, na to była zbyt drogocenna, ale hołubić, błagać ją o pozostanie, proszę, nie odchodź...

Chciała go zawołać po imieniu, ale nie mogła mówić, bo była zbyt szczęśliwa, a słowa mogłyby zniszczyć ten czar. Usiadła więc tylko obok niego, podwijając nogi pod grubą spódniczkę i czując, jak trawa wbija się w jej nagą skórę. Po chwili Dieter również usiadł, otoczył jej szyję ramieniem i przyciągnął ją delikatnie do siebie. Kiedy ich usta się zetknęły, dziewczynę przeszedł dreszcz, a ostra słodycz narosła i wypełniła jej żyły. Nagle całe jej ciało rozbudziło się w drżącej żywotności. Opadli razem na trawę, ich ciała się dotykały, lecz nie tuliły do siebie. Usta wciąż się szukały z młodzieńczą niecierpliwością i lękiem. Gdy pocałunki się wydłużyły, Sophia wtuliła się w Dietera w błogiej nieświadomości żądzi i zamętu, które szalały w jego młodym, silnym ciele i duszy. A kiedy chłopak, niezdolny do dłuższego znoszenia tortur frustracji, odepchnął ją gwałtownie i przetoczył się na plecy, dziewczyna poczuła się zraniona.

- Nie lubisz tego, Dieter? Już nie chcesz mnie całować?

- Oczywiście, że chcę. Ale to nie wszystko, czego chcę - odparł mrukliwie, a jej policzki zapłonęły szkarłatem, gdy pojęła jego uczucia.

- Och... rozumiem...

Opadła więc na trawę obok niego i położyła głowę na jego ramieniu tak, by reszta jej ciała nie dotykała nigdzie Dietera. Słońce przyjemnie ogrzewało jej twarz; zamknęła oczy, wsłuchując się w świerszcze w trawie i wczuwając się we wciąż jeszcze

Janet Tanner

pulsujące w jej żyłach podniecenie; skóra na wewnętrznej stronie ud stała się dziwnie wrażliwa. Wiedziała, że nie wolno jej prowokować Dietera. To by była głupota - i błąd. A jednak... tak bardzo chciałaby jeszcze raz wtulić się w jego ciepło, poczuć na sobie jego ramiona, skryć twarz w jego szyi, napawać się zapachem jego opalanej skóry, nawet czuć na sobie cały jego ciężar, wciskający ją w trawę. Ale to wszystko oznaczałoby dopraszanie się kłopotów, a kłopoty to ostatnia rzecz, jakiej Sophia chciała. Nie chodziło już nawet o to, że bała się tego, co mama i tata by powiedzieli, gdyby okryła ich hańbą, choć podejrzewała, że mama urządziłaby piekło na ziemi, gdyby się dowiedziała, że jej córka leżała na trawie z Dieterem i całowała się. Nie, chodziło o coś jeszcze głębszego. Dobrze wychowane młode damy po prostu nie pozwalają chłopcom na takie rzeczy, chyba że chcą uchodzić za łatwe. A Sophia umarłaby ze wstydu, gdyby Dieter choćby ją dotknął pod ubraniem - niezależnie od tego, jak bardzo płonęła podnieceniem, gdy ją całował.

Kiedy nieznośne fale zaczęły opadać, Sophia uchyliła nieco powieki i zerknęła na Dietera. Pomyślała, jaką jest szczęściarą, że ma takiego chłopaka i że musi bardzo uważać, żeby tego nie zepsuć. Wszystkie przyjaciółki jej zazdrościły, wiedziała o tym, bo ich chłopcy - o ile ich w ogóle miały - byli po prostu kolegami ze szkoły, których znały całe życie. Dieter natomiast miał siedemnaście lat - o cztery lata więcej niż ona! - był tak przystojny, że zapierało dech w piersiach, i w dodatku pochodził z zagranicy. Był kelnerem w zajeździe prowadzonym przez rodziców Sophii w St Helier, a ona zakochała się w nim w tej samej chwili, gdy przyjechał podjąć tę pracę.

Matka Sophii, Lola Carteret, z zasady zwalczała wszelkie przejawy zażyłości pomiędzy swoimi dziećmi a najemnym personelem. Poza tym - czego się nieco wstydzila - z ogromną podejrzliwością traktowała Niemców. Lecz nawet ona wkrótce została podbita wspaniałymi

manierami Dietera oraz jego bardzo poważnym podejściem do pracy. Kolejnym punktem na jego korzyść był fakt, iż jego ojciec również zajmował się hotelarstwem w Schwarzwaldzie, i uznał, że jego syn powinien zdobywać

OKO ZA OKO

117

doświadczenie pracując na najniższych stanowiskach w innych hotelach i innych krajach, jednocześnie doskonaląc swą i tak już imponującą biegłość w posługiwaniu się językami angielskim i francuskim.

- Och, z pewnością jest on o wiele wyższej klasy niż ten włoski chłopak, którego mieliśmy w zeszłym roku - oświadczyła Lola. - Muszę się przyznać, że byłam przeciw ponownemu zatrudnieniu obcokrajowca, a szczególnie Niemca. Ten okropny człowieczek, Adolf Hitler, potrafi odstręczyć wszystkich od Niemców, a po wojnie nie podobał mi się już sam pomysł goszczenia kogośkolwiek z nich pod swoim dachem. Ale muszę przyznać, że się myliłam. Dieter to naprawdę miły chłopak i jeśli któreś z was, dzieciaki, miałyby ochotę oprowadzić Dietera po wyspie, kiedy skończy już pracę, to pozwalam.

Oczywiście, mówiąc „dzieciaki”, Lola miała na myśli braci Sophii, siedemnastoletniego Nicka i czternastoletniego Paula. Ale oni obaj stanowili zupełnie zwariowaną parę, która absolutnie nie była w stanie pojąć charakterystycznej dla Dietera powagi, nie mówiąc już o porach dnia, w jakich Dieter mógł być dla nich towarzyszem. Wkrótce więc w ogóle nie brali go pod uwagę w swych planach. Wówczas Sophia wykorzystwała okazję. Zaczęły się właśnie letnie wakacje, szkoły nie było, a jej udało się nawet namówić Paula do pożyczenia Dieterowi swojego roweru. Wythirnar czyła mu, że w ten sposób będzie mogła pokazać Niemcowi wyspę.

Mając niejaki wątpliwości, czy pomysł Sophii jest istotnie najrozsądniejszy, Lola zaproponowała, żeby w wyprawach tych brała udział również Catherine, najmłodsza z czwórki dzieci Carteretów. Ale Sophii udało się przekupić siostrę za pomocą stałych dostaw jej

ulubionej cytrynowej oranżady i obietnicy, że co rano (gdy Dieter pracował) będzie ją zabierać na pływanie - pod warunkiem, że po południu (kiedy Dieter nie pracował) Catherine zniknie i nie będzie się im pętała pod nogami. Oplacona w ten sposób Catherine dotrzymywała w większym lub mniejszym stopniu warunków, a Sophia wytłumaczyła Loli, że nie zdoła objechać z Dieterem nawet kawałka wyspy, jeśli będą musieli się

Janet Tanner

dostosować do prędkości poruszania grubawej i niezbyt sprawnej fizycznie ośmiolatki. Jednakże nawet po tak dokładnym zorganizowaniu i zaplanowaniu wszystkiego Sophia nie miała pewności, czy uda jej się zainteresować sobą Dietera. Po pierwsze obawiała się, że nie jest wystarczająco atrakcyjna - mimo że jej długie, brązowe włosy falowały na całej długości (zapewne skutek ciągłego zaplatania przez matkę w warkoczyki do szkoły) i że jej oczy miały niezwykle, fioletowy kolor, co nieodmiennie spotykało się z komentarzami wszystkich gości. Ale podobnie jak Catherine miała skłonności do tycia, co uważała za efekt lasowania po kuchni i ciągłego dojadania resztek deserów. Jej mały, zgrabny nosek i ładnie wykrojone usta przytłaczała nieco okrągłość twarzy. Najważniejsze jednak było to, że w obecności Dietera cierpiała na wręcz bolesną wstydlivość i kiedy wspólnie pedałowali po wyspie, nie umiała nigdy zdobyć się na choćby jedno mądre czy dowcipne spostrzeżenie.

Z ulgą zauważyła jednak, że Dieter nie dostrzega jej mało-mówności. Był tak bardzo zainteresowany wszystkim wokół, że Sophia mogła się odprężyć i po prostu odpowiadać na jego pytania, podawać nazwy kwiatów, ptaków i drzew, przytaczać zdarzenia z historii wyspy i Jegendy związane z różnymi miejscami, które odwiedzali. I jakoś niespodzianie, niezauważalnie, niemal jak w bajce, rozwinęło się uczucie. Pewnego dnia, zatrzymawszy się dla odpoczynku przy jednej ze stojących przy ścieżkach nad morzem drewnianych ławek, Sophia spostrzegła, że Dieter przygląda się jej w ten sam sposób, w jaki ona myślała o nim - szczęśliwy bez żadnego powodu poza tym jednym, że są obok siebie, podniecony, jakby stał u progu czegoś wspaniałego, nieznanego, i pełen dziwnej czulości. Wszystko to wyczytała w jego spojrzeniu, nim szybko odwróciła wzrok, czerwieniąc się po uszy. Ale w chwilę później Dieter ujął jej dłoń.

- Mogę?

Niezdolna do mówienia Sophia po prostu kiwnęła głową, bojąc się, że jeśli wyrwie rękę, obrazi go albo zrazi do siebie.

OKO ZA OKO

119

Matka, oczywiście, nie miała pojęcia, że Dieter z kolegi awansował na chłopaka. Sophia nie musiała pytać, wiedziała intuicyjnie, że gdyby Lola choćby podejrzewała coś takiego, natychmiast położyłaby temu kres. Miała niezwykle surowe poglądy na temat tego, co wypada, a wiek trzynastu lat z pewnością uznalaby za zbyt młody na jakiegokolwiek związku - Sophia wielokrotnie słyszała to, gdy matka komentowała zachowanie jej koleżanek.

- Spotykanie się z chłopcami w tym wieku to dopraszanie się kłopotów - powtarzała surowym głosem, z niebezpiecznym błyskiem w swych fioletowych, o ton ciemniejszych od Sophii oczach.

- Nawet szesnaście lat to zbyt młodo. Prawda, Charles?

- A ojciec, który nigdy się nie kłócił, bo uwielbiał spokojne życie i wiedział, jak gwałtowna potrafi być jego żona, gdy się ją rozgniewa, po prostu kiwał głową i zgadzał się z nią.

Dieter również wydawał się pojmować, że jakiegokolwiek związku z córką jego pracodawców nie będą tolerowane. Z tego powodu Sophia miała wrażenie, że chłopak w jakiś dziwny sposób czuje się za nią odpowiedzialny - choć równie dobrze mogło to wynikać po prostu z faktu, że Dieter był tym, na kogo wyglądał

- prawdziwym gentlemanem. Niemniej oboje zachowywali najdalej posuniętą dyskrecję, nie dając Loli nigdy nawet cienia powodu do podejrzeń. A wewnątrz Sophia aż promieniała ze szczęścia i była zakochana. Wyczuwała, że to samo czuje Dieter.

Nad ich czarodziejskim światem zalegał tylko jeden cień. Gdy tak leżeli w pełnej dźwięków i zapachów trawie, w myśli Sophii wkradł się lęk. Wyrwała długie źdźbło trawy, oderwała korzeń, po czym przeciągnęła łodygę między palcami, odrywając nasion-ka. Lęk narastał. W końcu nie była już w stanie milczeć. Odrzuciła oskubaną trawkę.

- Dieter... Jak myślisz...? Leniwie odwrócił na nią wzrok.
- Co?
- Jak myślisz... będzie wojna? Poczula, jak sztywnieje.

Janet Tanner

- O czym ty mówisz?

- O wojnie. Między Niemcami a Francją. I może Anglią.

- Jasne, że nie. - Jego głos był tak chłodny, że Sophia poczuła się niezręcznie, niemal winna zepsucia sielankowej atmosfery.

- Ale słyszałam, jak mama mówiła... - Urwała, zdając sobie sprawę, że wszystko się jeszcze bardziej popsuje, jeśli przytoczy wypowiedź Loli, której niechętny stosunek do Hitlera i partii nazistowskiej był powszechnie znany. - No, jeśli Niemcy najadą Czechosłowację, to zaczną się problemy - zakończyła niemrawo.

- A niby dlaczego? - spytał agresywnie Dieter. - Przecież to sprawa między Niemcami a Czechosłowacją. Poza tym Francja nigdy nie zacznie z Niemcami, tak samo jak Anglia. Wiedzą, że nigdy by nie wygrali.

Sophia milczała. Mimo ciepła promieni słonecznych odczuła nagle chłód. Nie chodziło tylko o groźbę wojny. Dieter zapewne miał rację, gdy mówił, że nikt nie będzie walczył. W końcu Austriacy pozwolili Niemcom wkroczyć do swego kraju, wydawali się z tego nawet zadowoleni. Gdy Hitler wjeżdżał do Wiednia, pozdrawiały go tłumy i rozlegało się bicie we wszystkie dzwony. Nie, to zmiana, jaka zaszła w Dieterze, wystraszyła ją. Nie mógłby dobitniej wyrazić swych uczuć nawet gdyby podniósł rękę w faszystowskim pozdrowieniu.

Desperacko chcąc przywrócić idylliczny nastrój sprzed kilku minut, Sophia zerwała jeszcze jedno źdźbło i połaskotała go nim w ucho..

- Hej, Dieter, nie bądź ponurakiem, uśmiechnij się!

Jego brwi wciąż jeszcze ściągał lekki grymas* zwięzając te niezwykle niebieskie oczy, ale po chwili rysy twarzy złagodniały. Szybkim ruchem złapał Sophię za nadgarstki i przycisnął ją do ziemi.

- A teraz, panno Carteret, zobaczymy, kto będzie zwycięzcą! Potem pochylił się i pocałował ją znowu. Sophia doszła do wniosku, że tak naprawdę nic więcej jej nie obchodzi. Była zakochana w Dieterze - i tylko to się liczyło.

OKO ZA OKO

121

Chyba już najwyższy czas, żeby Dieter wrócił do domu, do Niemiec.

Lola Carteret zsunęła pończochy z nóg, zwinęła je w schludny kłębek i zerknęła na Charlesa, swego męża, który już leżał w łóżku, wygodnie oparty na poduszkach.

- Co takiego? Oszalałaś? - Podniósł się z poduszek nieco niezdarnie - był zmęczony i nieomal zasypiał. Nocna dyskusja z Lolą, która zawsze po północy zdawała się nabierać życia niezależnie od tego, jak długi i wyczerpujący był mijający właśnie dzień, to ostatnia rzecz, jakiej pragnął. Ale takie stwierdzenie nie mogło przecież ujść płazem.

- Nie, raczej nie. - Lola była dziwnie spokojna. - Wiem, co zaraz powiesz, Charles. Sezon będzie trwał jeszcze co najmniej miesiąc i nadal mamy komplet gości, ale nic na to nie poradzę. W obecnej sytuacji nie jestem zadowolona, mając go tutaj. Właściwie żałuję, że nie poszłam za instynktem i nie odrzuciłam go od razu, gdy tylko poprosił o tę pracę.

Wstała i zdjęła haleczkę, narzuciła jedwabną beżową podomkę, która pamiętała lepsze czasy, a Charles, zapominając na chwilę o dyskusji, która go wybiła z senności, kolejny raz stwierdził, że Lola jest wciąż niezwykle atrakcyjną kobietą. Mimo że urodziła czworo dzieci, jej piersi nadal były jędrne i ponętne, a włosy, choć przyprószone siwizną na skroniach, opadały gęstymi i lśnią-cymi falami na ramiona, gdy rozpuściła je z gładkiego, eleganckiego koka, który stanowił jej zwykłą fryzurę na dzień. W delikatnym świetle lampy jej twarz wyglądała na gładką i nie pomarszczoną, skóra barwy kości słoniowej pokrywała piękne, wysokie kości policzkowe. Charles doszedł do wniosku, że pod pewnymi względami Lola wygląda teraz młodziej niż

dziesięć lat temu, gdy dzieci były małe i wymagały więcej uwagi z jej strony. W tamtych czasach uparcie prowadzili swój zajazd bez żadnej pomocy z zewnątrz, poza starszą kobietą, przychodzącą raz na dzień, by pozmywać naczynia po obiedzie. Wówczas policzki Loli były zapadnięte, a jej cudowne fiołkowe oczy podkrążone ciemnymi kręgami. Charles wielokrotnie zadreślał się wtedy

Janet Tanner

obawą, że Lola bierze na siebie zbyt wiele obowiązków. Lękał się, że żonę zabierze mu gruźlica, zapalenie płuc czy też inna z tych śmiertelnych chorób, które tak łatwo zabijają ludzi przemęczonych.

Ale martwił się niepotrzebnie. Teraz myślał, że powinien był już wtedy zdawać sobie sprawę, że Lola jest z dużo wytrzymalszego materiału. Czego innego spodziewać się po Rosjance, córce oficera carskiej armii, który pozostał na zawsze wierny carowi Mikołajowi i walczył u boku generała Denikina w rozpaczliwej bitwie przeciw bolszewikom? Zrozumiawszy beznadziejność swego położenia, ojciec Loli przemycił córkę poza granice Rosji - i właśnie wtedy Charles ją poznał. Był podoficerem na statku, którym płynęła do Anglii, i zakochał się bez pamięci w pięknej i pełnej temperamentu Rosjance. Jeszcze nim statek wpłynął do portu, oświadczył się jej i ku swemu zdziwieniu został przyjęty. Całymi latami zastanawiał się, jakim cudem to właśnie jego spotkało to szczęście, nie potrafiąc pojąć prostej prawdy, że jego stateczna, spokojna i stanowcza siła była dla niej równie atrakcyjna, jak dla niego jej temperament. Lękając się, że przyjęła oświadczenia tylko po to, by zapewnić sobie dom i paszport brytyjski i potem go opuścić, Charles przy pierwszej okazji porzucił służbę we flocie i zabrał Lolę do swego domu, na Jersey. Ale jak zapewnić jej utrzymanie? Charles wstąpił do marynarki zaraz po szkole i zupełnie nie znał innego życia.

Na początek znalazł sobie pracę w dokach St Helier, jednak szczyty były straszliwie długie i Charles zaczął się tego wstydzić. Usiłował przekonywać siebie samego, że w tym, co robi, nie ma nic złego, ale nie potrafił się z tym pogodzić. Jako podoficer na statku miał stanowisko i autorytet, których brak teraz odczuwał. Poza tym Lola ze swym pochodzeniem była zbyt dobra dla dokera. Charles przez wzgląd na nią starał się znaleźć coś lepszego.

Jednak nim pojawiła się okazja, ich pierwszy syn, Nicholas, miał już rok. W wieku dziewięćdziesięciu jeden lat zmarł dziadek Charlesa i zgodnie z własną wolą zostawił wszystko wnukowi

OKO ZA OKO

123

- chatę, niewielką, przeciekającą łódź wiosłową i więcej pieniędzy, niż ktokolwiek mógł się po nim spodziewać - ukrytych w materacu łóżka i różnych, porozstawianych po całej chacie pojemnikach.

- Znając dziadka, to wszystko musi pochodzić z przemytu

- powiedział Charles do Loli, wciąż nie mogąc uwierzyć swemu szczęściu. - No, przynajmniej mamy teraz własny dach nad głową i nie będziemy musieli mieszkać kątem u moich rodziców.

Oczy Loli zwężyły się w głębokim namyśle, więc Charles pośpiesznie kontynuował:

- Wiem, że to żaden pałac, ale będziesz miała własną kuchnię... i będziemy się mogli kochać, nie myśląc cały czas o tym, że oni wszystko słyszą. Poza tym gdy dziecko płacze, oni nie mogą zmrużyć oka. To nie w porządku wobec nich.

- To wszystko prawda, ale chyba tego nie chcę - powiedziała powoli Lola.

- Och, najdroższa! - powiedział obejmując ją. - Wiem, że nie umiałem ci dać takiego życia, na jakie zasługujesz! Ale teraz, gdy mamy te pieniądze, możemy sobie przynajmniej kupić kilka drobiazgów, które zawsze chcieliśmy mieć, na przykład konia na biegunach dla Nicky'ego, tego, o którym marzyłaś!

- Nie - odparła Lola. Jej głos brzmiał stanowczo, a plecy i ramiona nagle zeszywniały w objęciach Charlesa.

- Nie? Ale dlaczego? - spytał zaskoczony.

- Nie powinniśmy... - urwała, poszukując w pamięci właściwego słowa. - Nie powinniśmy zmarnotrawić tych pieniędzy. Możliwe, że to jedyna szansa, żebyś kiedykolwiek wyrwał się z

doków. Charles, uważam, że powinniśmy wykorzystać pieniądze twojego dziadka, żeby założyć własny interes.

- Interes? - roześmiał się, po czym spoważniał, gdy zobaczył, że ją zranił. - Lola, najdroższa, ja nie mam pojęcia o interesach! Nie zapominaj, że jestem marynarzem!

- Wracaj więc na morze i zostaw to wszystko mnie! - parsknęła. - Ja też nigdy nie prowadziłam interesów, ale chcę spróbować. Wokół jest mnóstwo możliwości, które wymagają tylko zdrowego rozsądku i zdecydowania.

Janet Tanner

- Na przykład?

- Jersey to piękna wyspa. To świetne miejsce na wakacje. Och, wiem, jeszcze niedawno tylko najbogatsi mogli sobie pozwolić na wakacje. Ale czasy się zmieniają. Transport jest łatwiejszy. Pociągi, statki, nawet automobile. Zobaczysz, niedługo więcej ludzi zacznie jeździć na wakacje - nie na jednodniowe wycieczki, tylko na wakacje. I będą przyjeżdżać na Jersey. Chyba dobrze by było się na to przygotować. Sprzedamy chatę dziadka i kupimy dom, gdzie będziemy mogli przyjmować gości. I to będzie nasz interes. To dobry pomysł, nie uważasz?

Charles znów się roześmiał, ale tym razem nie z rozbawienia, tylko z czystego zachwytu.

- Masz więc na myśli zajazd? Nie bardzo cię widzę w roli gospodyni, gotującej kapustę i trzymającej w kieszeni fartucha klucz do łazienki.

Pięknie sklezione łuki jej brwi zmarszczyły się.

- A dlaczego miałabym gotować tylko kapustę? Robię dobre jedzenie. Ludzie będą lubili przyjeżdżać i mieszkać u mnie. To będzie bardzo dobry zajazd - zobaczysz!

Charles sądził, że ten pomysł to tylko zachcianka i że Lola

o nim wkrótce zapomni. Ale mylił się. Kilka dni później, gdy wrócił do domu z pracy w dokach, Lola powitała go wiadomością, iż znalazła odpowiednie miejsce.

- To duży dom blisko portu - powiedziała. - Jadalnia z widokiem na morze. Miejsce i dla nas, i dla gości.

Charles był zmęczony; marzył tylko o zjedzeniu kolacji

i pójściu spać. Ale oczy Loli płonęły podnieceniem, a on nie chciał jej rozczarowywać. Rad nierad znów więc włożył palto i zostawiwszy Nicky'ego pod opieką rodziców, ruszyli w stronę portu.

Zobaczywszy dom, Charles przeżył szok. Był to wielki, prostokątny budynek z dżersejskiego granitu, wysoki na dwa piętra. Ze ścian i futryn okiennych płatami luszczyla się farba, a na dachu brakowało kilku dachówek - zapewne dzieło wiatrów od morza - ale i tak dom był imponujący.

OKO ZA OKO

125

- Nie sądzę, żeby było nas stać na coś tak wielkiego - zaczął z wahaniem Charles, ale Lola mu przerwała:

- Stać nas. Już porachowałam.

- No cóż, trzeba się zastanowić... - Znów się zawahał, lecz Lola z podnieceniem chwyciła go za ramię i spojrzała nań tymi wielkimi, pięknymi oczami, i Charles już wiedział, że nie ma dla niego ratunku... Nie rozumiał, dlaczego tak się uparła, żeby prowadzić zajazd i służyć innym ludziom, skoro z racji jej pochodzenia to inni powinni służyć jej, ale w końcu to właśnie ta tajemniczość i nieprzewidywalność Loli sprawiła, że nie umiał się jej oprzeć. Uwielbiał ją i nie potrafił jej niczego odmówić. Jeśli tylko była zadowolona, on był szczęśliwy.

La Maison Blanche, reklamowany jako „Pierwszorzędny dom gościnny” został otwarty następnej wiosny. Lola chciała nadać mu jakąś rosyjską nazwę, ale Charles zdołał jej to wyperswadować.

- Jeśli nazwiemy go z cudzoziemska, to odstraszymy ludzi.

- Ale przecież La Maison Blanche to również obca nazwa! - nie ustępowała Lola. - Dla mnie i dla Anglików!

- Ale nie na Jersey - tłumaczył cierpliwie Charles. - Ten, kto przyjeżdża na Jersey, jest przygotowany na język francuski, a nawet na dżersejski dialekt, ale na pewno nie na język rosyjski!

W końcu Lola dała się przekonać. Zbyt była szczęśliwa ze swego przedsięwzięcia, żeby się dłużej sprzeczać, choć poddawanie się nie leżało w jej naturze. Poza tym czuła się zbyt zmęczona na sprzeczkę. Harowała od świtu do nocy, żeby przygotować dom gościnny na przybycie gości: szorowała podłogi, prała zasłony, polerowała porcelanę, a nawet malowała obłazące z farby futryny i parapety. Wszystko to robiła, mając na głowie małego Nicky'ego, który umiał już poruszać się z wielką szybkością na czworakach, a nawet przejść kilka kroków, jeśli przypadkiem mu na tym zależało i mógł się przy tym trzymać matczynej spódnicy. Gdy nadszedł pierwszy list rezerwujący miejsce na wakacje, Lola chciała go oprawić w ramki i powiesić na ścianie, ale

Janet Tanner

zdawała sobie sprawę, że nie powinna tego robić. Zadowolila się wpięciem go do schludnej teczki i wpisaniem nazwisk i dat do grubego notesu, który kupila specjalnie w tym celu. Potem wpadła w panikę na myśl, że może to być jedyna rezerwacja w tym tygodniu, co byłoby żenujące, lub na cale to lato, co byłoby już katastrofą. Ale ku jej uldze rezerwacje napływały stałym strumieniem. Mima wszystko wciąż trzeba było na mosiężnej kołatce świeżo malowanych drzwi wejściowych wywieszać tabliczkę „WOLNE MIEJSCA”. Lola uznała jednak, że być może nie jest to aż tak kłopotliwe, bo w ten sposób mogła się wdrażać do prowadzenia pensjonatu stopniowo.

Owo lato było jednym z najbardziej ekscytujących i pracowitych w jej życiu. Napływający goście byli nieodmiennie pod wrażeniem wyglądu La Maison Blanche oraz oferowanych przezeń przyjemności. Na przykład w tamtych czasach nie wszędzie można było się wykąpać, nawet jeśli trzeba było za to zapłacić dodatkowo (szylinga za gorącą, cztery pensy za zimną wodę), o każdej porze dnia i nocy można było dostać filiżankę herbaty lub kawy za trzy pensy, natomiast jedzenie na lunch i kolację było świetne i na tyle niezwykle, by zostało uznane za egzotyczne. A już jeśli chodzi

0 samą gospodynię... Niejeden z wakacyjnych gości wracał do domu

1 opowiadał krewnym i przyjaciółom o rosyjskiej piękności, której obecność nadawała pobyтови romantyczną otoczkę. Być może była ona nawet jedną z córek samego cara, która nie zginęła w rzezi w Jekaterynburgu, lecz skryła się i mieszka na Jersey, w St Helier.

Wkrótce dom gościnny świetnie prosperował, więc następnego lata Charles porzucił pracę w dokach i pozostał w domu, by pomagać Loli. Tyle przecież było do zrobienia oprócz gotowania i sprzątnia, a wszystko to robiła sama! Trzeba było prowadzić księgi, a mimo że po angielsku mówiła świetnie, ze słowem pisany wciąż miała problemy. Prowadzenie tak wielkiego domu

wiązało się z mnóstwem dziwacznych zajęć, a poza tym wszystkim trzeba było jeszcze opiekować się ogrodem - równymi rabatkami kwiatowymi i trawnikami od frontu, a na tyłach grządkami, gdzie Charles uprawiał warzywa dla gości.

OKO ZA OKO

170

Niezależnie od tych rozlicznych prac Charles zawsze zdołał znaleźć czas, aby zabierać dumnego Nicky'ego na przejażdżki łodzią dziadka. Charles zdołał ją wyreperować na tyle, że nie groziła już zatonięciem, ale nadal przeciekała i nie raz Nicky wracał w objęcia matki z zupełnie przemoczonymi spodenkami.

- Mój syn umrze na zapalenie płuc! - wyrzekła dramatycznym głosem Lola, ale chłopiec nigdy nawet się nie zaziębił. - To chyba najtwardsze dziecko na Wyspach! - powtarzała, a Charles tylko się śmiał i odpowiadał, że po prostu Nicky wrodził się w swą matkę.

Gdy Nicky skończył dwa lata, Lola stwierdziła, że znów jest w ciąży, i następnego roku urodził się Paul. O ile Nicky był grzecznym dzieckiem, Paul był łobuziakiem. Zanim jeszcze nauczył się chodzić, wszędzie go było pełno. Przemykał się na czworakach „jak żywe srebro”, jak to określała matka Charlesa, i w jeden poranek potrafił narobić więcej zamieszania niż Nicky przez tydzień. Gdziekolwiek się pojawił, powodował szkody jak huragan - w kuchni, kiedy tylko Lola na moment odwróciła się do niego plecami, natychmiast zaczynał wywlekać z kredensów i szafek puszki i pojemniki, rozsypując wszystko po podłodze. W sypialniach matka jeszcze nie zdążyła do końca zasłać łóżek, a już musiała zaczynać od nowa. W jadalni zaś przy każdej okazji ściągał na siebie zastawę, szarpiąc za zwisający koniec obrusa.

- Nigdy więcej! - krzyczała z rozpaczą Lola. - To moje ostatnie dziecko! Słyszysz, Charles? Nigdy, nigdy więcej!

Ale rok później, w lecie 1925 roku, w samym szczycie sezonu, urodziło się trzecie dziecko.

- Dobrze, że to dziewczynka - powiedziała z ulgą Lola. - Z dziewczynką nie będzie tyle kłopotów.

Charles pomyślał, że nie zakładałby się o to, ale nie palił się do wypowiedzania takich opinii, jako że Lola obciążała go pełną odpowiedzialnością za złamanie obietnicy.

Wbrew wszelkim zaleceniom lekarzy Lola w niecałe dwa tygodnie po urodzeniu Sophii (bo tak nazwano dziecko) była już w kuchni i gotowała dla gości. Wkrótce też pojawiły się oznaki przemęczenia.

Janet Tanner

Mała Sophia była naprawdę dobrym dzieckiem, ale każde niemowlę oznacza nieprzespane noce, a te, w połączeniu z długimi dniami ciężkiej pracy, po prostu wykańczały Lolę. Z początku stała się płaczliwa, co przy jej temperamencie szybko zmieniło się w histeryczne sceny. Potem zabrakło jej pokarmu i mała Sophia musiała się przestawić na butelkę, co spotkało się z oburzeniem pielęgniarki. Na koniec Lola zaczęła chudnąć. Stała się tak krucha, że Charles był przerażony. Ale najgorsze było to, że w ogóle nie zważała na jego uwagi.

- Jestem zdrowa! - krzyczała do niego. - Wszystko jest w porządku! Nic mi nie jest! Mam za dużo do roboty, żeby chorować!

Jej piękna twarz coraz bardziej się wydłużała, policzki zapadały się coraz mocniej, fiołkowe oczy ciemniały i podpuchły, ale wciąż pracowała bez wytchnienia, jak ustawiony na samodestrukcję automat.

Pewnej nocy Charles obudził się i stwierdził, że Loli nie ma w łóżku. Pełen złych przeczuć zszedł na dół i znalazł ją leżącą w kuchni na podłodze. W pierwszej chwili przeraził się, że umarła; potem, zauważywszy obok niej dziecięcą butelkę, wpadł w panikę, że może Lola trzymała w rękach małą Sophię, która teraz, uduszona, leży pod bezwładnym ciałem matki. Ale szybko się zorientował, że żadne z tych podejrzeń nie jest prawdziwe. Sophia była w swoim kojcu - po raz pierwszy przespala całą noc - a Lola nie umarła, nawet nie zemdląca. Po prostu spała, głęboko i ciężko. A kiedy wreszcie, po długich wysiłkach zdołał ją obudzić, nie potrafiła w żaden sposób wytłumaczyć, co robiła na podłodze w kuchni.

- Przecież dziecko nie płakało! - powiedział, usiłując jakoś to wszystko poskładać. - Mogłaś spokojnie spać w łóżku!

- Myślę, że obudziłam się, bo spodziewałam się, że ona się obudzi - odparła Lola wymęczonym głosem. - Wiesz, gdybym miała dla niej przygotowaną butelkę, nie wybiłaby się ze snu, co zdarzało się kiedy musiałam szykować mleko.

- Ale jakim cudem znalazłaś się na podłodze? - nie ustępował Charles, a ona znów podniosła na niego błyszczące łzami oczy.

OKO ZA OKO

129

- Nie wiem! Nie wiem! Pewnie byłam śpiąca i po prostu się położyłam!

- Na podłodze?! Lola, trzeba koniecznie coś z tym zrobić! Jesteś niebezpieczna dla siebie i dla dziecka, skoro nie wiesz, co robisz!

- Co to znaczy niebezpieczna?! - spytała buńczucznie, a on nawet nie próbował odpowiadać.

Kłótnie z nią nie miały sensu - przynajmniej do czasu, gdy znajdzie jakieś rozwiązanie.

Dwa dni później postawił Lolę wobec faktu dokonanego. Jego matka obiecała pomoc przy gotowaniu, a poza tym zaangażował do pracy dziewczynę, która miała przychodzić co rano do pomocy w słaniu łóżek i sprzątaniu, a wieczorem zmywać naczynia.

- Nie stać nas na płacenie za pomoc - zaprotestowała Lola.

- Jeśli wrócę do pracy w dokach, to damy radę.

- Ale przecież ty nienawidzisz doków!

- Bardziej nienawidzę myśli, że może ci się coś stać.

- No, dobrze. Ale nie chcę twojej matki w kuchni. Ona gotuje zupełnie inaczej niż ja.

- Trudno - odparł po prostu Charles. - Skoro ja mogę wrócić do doków, to ty możesz wytrzymać z moją matką w kuchni. Poza tym, to tylko na pewien czas, póki nie odzyskasz sił.

- Nie zostawiasz mi wyboru - jęknęła Lola.

- Nie, żadnego - odrzekł całując ją.

Patrząc na to wszystko z dystansu lat, Charles doszedł do wniosku, że to był właśnie punkt zwrotny - choć zanim ich pensjonat zaczął działać w bardziej systematyczny sposób, bywało jeszcze wiele wzlotów i upadków. Gdy Sophia skończyła pięć lat, w roku 1930, urodziła im się jeszcze jedna córka, Catherine. W tym samym roku, po długiej i bolesnej chorobie, zmarła matka Charlesa. Potem nastąpiło kilka chudych lat, po których nadszedł okres względnej prosperity. Gdy rezerwacje zaczęły znów napływać, kupili sąsiadujący z pensjonatem domek - ich rozrastająca się rodzina potrzebowała wciąż więcej miejsca, więc ten pawilon był bardzo przydatny. Zaczęli organizować gościom rozrywki

Janet Tanner

- codzienne wycieczki powozem do interesujących miejsc na wyspie, partyjki wista, brydza i szachów po kolacji i przynajmniej jeden wieczorek muzyczny w tygodniu. Stopniowo zatrudniali coraz więcej personelu, aż wreszcie mieli dwóch kelnerów, pokojówkę, pomoc do wszystkiego, pomywaczkę i ogrodnika. Organizowane przez pensjonat wycieczki powozem stary się tak popularne, że Charles wpadł w końcu na znakomity pomysł założenia agencji, która by obsługiwała wszystkich gości na wyspie, nie tylko ich własnych wakacjuszy. Otworzył w mieście biuro, do którego natychmiast tłumnie ruszyli turyści. Trzeba było im organizować przejażdżki jachtem, wycieczki na ryby, partyjki golfa i bilety do teatru oraz wyprawy krajoznawcze.

Teraz, w lecie 1938 roku, wszystko szło świetnie. Ale mimo że noc, kiedy Lola ze zmęczenia zasnęła na podłodze w kuchni, wydawała się bardzo odległa, Charles natychmiast sobie o tym przypomniał, gdy nagle w samym środku sezonu jego żona zaczęła mówić o zwolnieniu jednego z kelnerów.

- Nie rozumiem - powiedział podnosząc się z poduszek.

- Dlaczego chcesz odesłać Dietera do domu?

Lola usiadła na krawędzi łóżka, wzięła trochę kremu z pudełka i spokojnymi ruchami zaczęła go nakładać na skórę twarzy i szyi.

- Po pierwsze jest Niemcem.

- Ale przecież wiedziałaś o tym, kiedy go przyjmowaliśmy!

- zaproponował Charles.

- Właśnie. Jak ci już mówiłam, żałuję, że nie poszłam wtedy za głosem instynktu. Nie lubię Niemców. Nigdy ich nie lubiłam. Pamiętaj, że jestem Rosjanką. W czasie wojny...

- To było dawno temu, kochanie.

- Być może. Ale moja pamięć też sięga daleko. Poza tym, chyba nie myślę się aż tak bardzo, co? To, co robią teraz, jest równie złe... a nawet gorsze. To straszne, co robią z Żydami. I zobaczysz, będą chcieli zostać panami Europy. Już zajęli Austrię.

- Austriakom to specjalnie nie przeszkadzało...

- Nie mieli raczej wyboru, prawda? Poza tym, oni są tacy jak ty, lubią spokój. Gdyby Hitler tu przyszedł i spróbował zająć

OKO ZA OKO

131

Jersey, co byś zrobił? Walczyłbyś? Nie, nie ty. Zachowałbyś się jak szczenię, przetoczyłbyś się na plecy i pozwolił się Dopieścić po brzuszku.

- Z całą pewnością nie zrobiłbym czegoś takiego!

- Zupełnie tak samo jak Austriacy - ciągnęła nie zwracając na niego uwagi. - Hitler uważa teraz, że może zrobić to samo z Czechosłowacją. A czego zechce potem? Ten człowiek niczym się nie zadowoli. Tyrani nie znają uczucia sytości. Tak mówił mój ojciec, a on był żołnierzem, pamiętasz? - zakończyła z dumą w głosie.

„Tak, i zobacz, co się z nim stało” - chciał powiedzieć Charles, ale się powstrzymał.

- Po prostu uważam, że Dieter nie powinien tu teraz być

- kontynuowała, rozcierając resztę kremu i zerkając na męża.

- Również ze względu na jego dobro. Wiesz dobrze, że jeśli zacznie się jakaś duża sprawa, ludzie zwrócą się przeciw niemu. Nie chciałabym tego. On jest przecież tylko chłopcem. Poza tym, mógłby tu utknąć. A jeśli zostanie odcięta komunikacja? Och, wiem, powiesz, że jestem panikarą, ale to się może zdarzyć.

- Przecież jeszcze miesiąc czy sześć tygodni nie robi większej różnicy, prawda? - zaprotestował łagodnie Charles. - Hitler działa już jakiś czas, a nie widzę powodu, dla którego akurat teraz powinniśmy tak zareagować. Chłopak i tak pojedzie do domu po zakończeniu sezonu. Coś, co

może się w ogóle nie zdarzyć, nie powinno stanowić pretekstu do wyrzucania chłopca i to w chwili, gdy opanował wszystkie wymagane przez ciebie umiejętności.

- Och, Charles! Czasami jesteś ślepy jak kret! - powiedziała Lola, rozczesując swe wspaniałe włosy i odrzucając je na plecy.

- Oczywiście, że jest jeszcze jeden powód, dla którego chcę się go pozbyć! Zbyt mocno przyjaźni się z Sophią!

- Z Sophią? - Charles oparł się na łokciu i wbił w żonę pełne zaskoczenia spojrzenie. - Przecież Sophia to dzieciak!

- Właśnie. Jest zdecydowanie za młoda na jakiegokolwiek związki z chłopcami. I chciałabym, żeby do nich nie doszło

Janet Tanner

jeszcze przez kilka najbliższych lat. Ale ona spędza z nim cały swój wolny czas, Charles.

Wyjeżdżają razem na rowerach i znikają na całe godziny. Nie podoba mi się to.

- Ależ z pewnością to jest zupełnie niewinne! Ona mu pokazuje wyspę! Przecież w tym wieku nawet by nie pomyślała

o niczym innym!

- Och, Charles! Ty naprawdę jesteś ślepy na pewne rzeczy! Nie zauważyłeś, jak ona na niego patrzy? Nie widzisz, jak jej płoną oczy, kiedy on wchodzi do pokoju? Och, dla nas ona jest dzieckiem, ale to dziecko ma ciało, które niedługo już stanie się kobietą! Z pewnością też coś czuje, ale jeszcze tego nie rozumie! Wiem to, widzę to w niej! I czuję! - Lola przytknęła dramatycznym ruchem dłoń do swego ponętnego łona. - Tutaj! Charles, czuję to! Tak samo, jak czułam to, gdy byłam młodą dziewczyną. Wiem, co się z nią dzieje, choć ona tego nie pojmuje. I boję się.

- Hmmmm - mruknął w zamyśleniu Charles. Lola z pewnością przesadzała. Nie zauważył w Sophii żadnej zmiany, nawet śladów rozkwitu jej ciała. Dla niego wciąż była to jego mała dziewczynka. Ale może rzeczywiście niemądrze było pozwalać, by spędzała tak wiele czasu z chłopakiem o kilka lat starszym i w dodatku obcokrajowcem.

- Może z nią pogadam? - zasugerował. - Powiem jej, że nie chcemy, żeby wypuszczała się z nim sama.

Lola odłożyła szylkretową szczotkę do włosów.

- To nic nie da. Tylko się zbuntuje. Jeżeli jej uczucia są takie, jak mi się wydaje, to i tak będzie się z nim spotykać, ale zacznie nas oszukiwać. Nie, on musi wyjechać. To jedyny sposób. Biorąc wszystko pod uwagę, jestem pewna, że jeśli nie zlikwidujemy tego w załączku, w perspektywie mamy tylko mnóstwo kłopotów

1 złamane serce. Czuję to w kościach, Charles.

Charles westchnął z rezygnacją. Jeśli Lola się uparła, klótnie z nią były bezsensowne, a on był skonany.

- Rozumiem, że chcesz, żebym mu kazał wyjechać? - powiedział ze znużeniem.

- Uważam, że lepiej będzie, jeśli to wyjdzie od ciebie...

OKO ZA OKO

133

- W porządku - odparł. - Powiem mu to jutro. Powiem mu, że to dla jego dobra, na wypadek gdyby Hitler postanowił wywołać wojnę.

- Bardzo dobrze, właśnie tak mu powiedz! - Lola uśmiechnęła się do męża. Ruchem głowy odrzuciła włosy i zsunęła z ramion podomkę. - A teraz, Charles, pójdę już chyba do łóżka. Mam nadzieję, że czujesz się bardzo męski...?

- Och, Lola! - jęknął, ale i on już czuł przyływ pożądania. Jak ona to robi po prawie dwudziestu latach małżeństwa? Jakkolwiek by było, tak się działo, a Charles miał nadzieję, że zawsze tak zostanie.

Jego myśli na krótko powróciły do Sophii, jeszcze dziecka, ale już bardzo podobnej do matki. Mężczyzna, który zdobędzie to uosobienie temperamentu i zmysłowości, będzie szczęściarzem. Ale z pewnością nie będzie nim Dieter.

Lola wślizgnęła się do łóżka obok niego, zgasła światło i już po chwili była w jego ramionach. Charles zapomniał natychmiast o wszystkim innym.

Dieter odnalazł Sophię na tyłach domu gościnnego, gdzie luskala groch. Kiedy wyszedł zza węgła, dziewczyna podniosła na niego wzrok i posłała mu powitalny uśmiech, sięgając jednocześnie do koszyka po garść strączków.

- Cześć! - zawołała. - Udało ci się wykopać z jadalni tę okropną panią Mounter? Mama mówi, że jeśli jej nikt nie wypędzi, zostanie tam na cały dzień... - Urwała, bo na twarzy Dietera nie

pojawił się nawet cień uśmiechu. Chłopak miał zaciśnięte szczęki, a jego niebieskie oczy wyglądały jak dwa kawałki lodu.

- Twój ojciec mnie właśnie zwolnił.

- Co? - Zaciśnięty w dłoni strączek eksplodował i kulki grochu zabębniły o podolek Sophii. - Tata? Dieter, jeśli to miał być dowcip, to kiepski!

- Nie żartuję. Mam wracać do Niemiec zaraz, w tym tygodniu.

Janet Tanner

- Ale przecież to śmieszne! Dlaczego?! - spytała drżącym głosem czując, że zbiera jej się na mdłości.
- Bo może wybuchnąć wojna, tak powiedział. Mówi, że powinienem wyjechać dla własnego dobra.
- Ale ty... ty nie chcesz jechać, prawda?
- Oczywiście, że nie. Powiedziałem mu to. Mój ojciec będzie bardzo zły. Nie uwierzy, że z takiego powodu zostałem odesłany do domu - zresztą, kto rozsądny by uwierzył? Pomyśli, że nie wykonywałem dobrze swojej pracy albo popełniłem coś haniebnego i dlatego mnie wyrzucono.
- Och, z pewnością nie...
- Tak, i myślę, że to może być prawda. Może wiedzą, że ty i ja...
- Ale przecież nic nie zrobiliśmy!
- My o tym wiemy, ale oni? W każdym razie jestem Niemcem. Nikt tu teraz nie lubi Niemców. Widziałem gazety. Wypisują na nasz temat kłamstwa i podsycają nienawiść. Twój ojciec nie chce, żeby w jego pensjonacie do stołu podawał Niemiec. Jak myślę, nie chce również, żeby się przyjaźnił z jego córką.
- To wszystko jest idiotyczne! Zajmę się tym! Poderwała się. Groch rozsypał się po ziemi. Pobieгла do domu, do kuchni, gdzie Lola siekała warzywa do zupy.
- Gdzie jest tata? - spytała Sophia.
- Wyszedł do miasta. A czego od niego chcesz?
- Dieter mówi, że tata odsyła go do Niemiec.
- Zgadza się - powiedziała spokojnie Lola.
- Ależ mam, nie możecie go odsyłać teraz, w środku sezonu!

- Obawiam się, Sophio, że decyzja już zapadła.
- Ale nie możecie! Nie możecie! Ojciec Dietera będzie na niego bardzo zły!
- Nonsens. Doskonale zrozumie, w tej sytuacji...
- I nigdy sobie nie poradzisz bez niego!
- A więc ty będziesz musiała pomóc przy podawaniu do stołu.
- Nie! Nie będę! Nie będę!
- Sophio! Proszę nie podnosić głosu! - powiedziała Lola,

OKO ZA OKO

135

rozpoznając w córce nie po raz pierwszy swój własny charakter i temperament. - Przeszkadzasz gościom, a do tego nie dopuszczę. Przykro mi, że cię to smuci. Lubisz Dietera, wiem. Ale musisz zrozumieć, że nie zawsze może być tak, jak się chce.

- Nigdy nic nie jest jak ja chcę! Nigdy! Nigdy!

- Sophio, proszę, przestań się zachowywać jak małe dziecko - powiedziała Lola wyniośle - bo potraktuję cię jak dziecko i odeślę do twojego pokoju! Przykro mi, ale od końca tego tygodnia Dieter już u nas nie pracuje. To wszystko.

Przez moment dwie pary zdumiewająco fioletowych oczu mierzyły się nawzajem, jarząc się jak ognie, aż jedna para zaczęła napępniać się łzami. Czując zagrożenie dla swej dumy, Sophia odwróciła się i wybiegła z kuchni. Miała tylko trzynaście lat, ale wiele już czasu upłynęło od chwili, gdy ostatni raz pozwoliła komukolwiek - nawet własnej matce - przyłapać się na płaczu. I niezależnie od tego, jak bardzo ją to raniło, teraz też nie robi wyjątku.

Jednak mimo straszliwych wysiłków nie umiała powstrzymać łez, gdy patrzyła, jak Dieter wchodzi po trapie na statek, który miał go zabrać z Jersey.

- Będziesz pisał, prawda? - powiedziała błagalnie, stojąc na nabrzeżu i zastanawiając się, czy ośmieli się tu, przy ludziach, wziąć go za rękę.

- Oczywiście, że będę.
- I wrócisz w przyszłe lato, jak to wszystko już się skończy?
- Postaram się. Ale nie wiem, co wtedy będę robił.
- Och, Dieter, proszę...
- Muszę już iść. - Pochylił się i szybko ją pocałował, a ona pragnęła się w niego wtulić, jak to robiła tyle razy w głębokiej trawie, ale się nie ośmieliła. Dieter pogładził ją po włosach, podniósł swą torbę i wszedł po trapie. Sophia miała wrażenie, że cały jej świat się rozpada. Dieter znalazł przy relingu miejsce, skąd mógł do niej

Janet Tanner

pomachać. A Sophia ledwie wytrzymała narastający w piersiach ból, gdy mogła tylko stać na nabrzeżu i tylko patrzeć, i czekać... Czas włókł się straszliwie, gdy załoga szykowała się do wypłynięcia, a dziewczyna niemal błagała ich w myślach, żeby ruszali się szybciej i nie przeciągali tej tortury w nieskończoność, żeby mogła już stąd iść, znaleźć jakieś ciche miejsce, gdzie wypłacze ten straszliwy, nieznośny ból. A kiedy już się to stanie, Dietera już nie będzie, czego również nie będzie mogła znieść.

W końcu trap wciągnięto, zawyły syreny, a statek zaczął powoli odsuwać się od nabrzeża. Sophia pomachała ręką, łzy popłynęły jej po twarzy. Stała i patrzyła, póki statek nie zmienił się w maleńki punkcik na horyzoncie. Potem poszła do domu.

Rozdział dziewiąty

Jersey, 1938-1939

Przez całą zimę i wiosnę, gdy świat wstrzymywał oddech i modlił się o jakieś rozwiązanie narastającego kryzysu, Sophia myślała wyłącznie o Dieterze. Tęskniła za nim strasznie, ale jeszcze gorszy od tęsknoty był dręczący ją lęk, że Dieter o niej zapomniał. Co dzień biegła po pocztę, z początku z werwą w ruchach i nadzieją w sercu, z biegiem czasu z wciąż większą obawą, że znów przeżyje rozczarowanie. Och, dlaczego nie pisał? Nie mogła uwierzyć, że to, co dla niej było tak ważne, dla niego nic nie znaczyło. Chwilami wyobrażała sobie, że stało mu się coś strasznego, choć w głębi serca wiedziała, że to nieprawdopodobne. A więc może to sytuacja polityczna w Niemczech jest winna? W to wytłumaczenie niemal potrafiła uwierzyć. Mimo że Neville Chamberlain powrócił z Monachium wymachując parasolem i obiecując „pokój naszym

czasom", napięcie wciąż było wyraźnie wyczuwalne. Jednak nawet wiedząc o tym wszystkim uważała, iż gdyby Dieter kochał ją tak mocno, jak ona jego, znalazłby jakiś sposób. I tak, stopniowo, jej najcenniejsze wspomnienia tonące w aurze romansu, pachnącej kwiatami trawy i nagrzewanej słońcem skóry zaczęły się coraz bardziej zabarwiać smutkiem, aż w końcu Sophia zapadła w głęboką depresję.

Mając skryte usposobienie, nie ujawniała swych uczuć. Zatopiała się natomiast całkowicie w muzyce; tylko w ten sposób osiągała choć niewielką poprawę nastroju. Co wieczór zamykała się we

Janet Tanner

frontowym pokoju, gdzie stał fortepian Loli, i przelewała cały swój smutek i żal w grę najwspanialszych utworów.

- Ona jest bardzo dobra! - powiedziała z aprobatą Lola do Charlesa, podsłuchując za drzwiami.

- Uważam, że jej nauczyciel muzyki ma rację. Jeśli nadal będzie tak ćwiczyć i tak dobrze grać, powinna spróbować dostać się do jednego z londyńskich konserwatoriów, Guildhall albo Royal. Może z niej być wielka pianistka, Charles.

Charles był pełen wątpliwości. Nie wiedział, skąd wzięły się u Loli takie pomysły. Owszem, Sophia była niezła, a wszyscy pianiści gdzieś muszą zaczynać, ale...

- Wydaje mi się, że ona jest nieszczęśliwa - odrzekł wymijająco. - Chyba nadal nie może zapomnieć tego chłopaka.

Jednak Lola, choć uważała, że Charles może mieć rację, tylko wzruszyła ramionami.

- Przejdzie jej z czasem - powiedziała.

Tego lata dom gościnny aż trzeszczał w szwach. Wyglądało na to, że każdy chce wykorzystać do samego końca możliwości związane z tym - jak się wydawało - ostatnim latem pokoju. Lola zatrudniła jako kelnerów dwóch Francuzów, ale pracy było tyle, że Sophia również musiała podawać do stołu. Nawet Nicky i Paul, gdy nie mieli zajęć w szkole, spędzali cały czas na pracy w pensjonacie.

Agencja Charlesa też kwitła, a gdy prowadzenie jej przez jedną osobę zaczęło przekraczać ludzkie możliwości, Charles doszedł do wniosku, że już czas zatrudnić asystenta.

- Myślałam, że czekasz, aż dołączy do ciebie Nicholas

- powiedziała nieco zdziwiona Lola, gdy poinformował ją o swojej decyzji. - Przecież tego lata kończy szkołę.

- Tak, ale jemu chyba nie bardzo odpowiada ten pomysł

- odparł Charles, nie dodając, że Nicky już go powiadomił o swych planach na przyszłość. Charles zdawał sobie sprawę, że wybuchnie niewiarygodne piekło, gdy jego żona pozna te plany,

OKO ZA OKO

187

a nie miał na to w tej chwili ochoty. Ciągnął więc szybko: - Spotkałem się z dwoma czy trzema kandydatami i chyba już się zdecydowałem na jednego z nich. Jest w wieku Nicky'ego, ale szkołę opuścił dwa lata temu. W jego rodzinie są jakieś problemy finansowe, więc potrzebowali jego zarobków. Wydaje mi się bardzo odpowiedni. Jest uczciwy, pracowity, i bardzo chce do czegoś dojść.

- Rozumiem - powiedziała chłodno Lola. - A jak się nazywa ten wzorzec wszystkich cnót?

- Nie sądzę, żebyś go знаła - odrzekł Charles. - Nazywa się Bernard Langlois.

Bernard Langlois pogwizdywał jadąc na rowerze po nadbrzeżnej ulicy St Clements. Informacje odczytane w BBC przez Alvara Lidella były nie najlepsze, bo Niemcy i Włochy zawarły tak zwany „Stalowy Pakt”, ale Bernard jeszcze nigdy nie miał lepszego dnia. W porannej poczcie nadszedł list, o który się modlił - propozycja od Charlesa Cartereta, żeby objął posadę asystenta w jego firmie Carteret Tours.

- Czy jesteś pewny, że dobrze robisz? - spytała matka, Edie, kiedy pokazał jej ten list. - Nie rozumiem, dlaczego ni stąd, ni zowąd chcesz wszystko zmieniać, Bernardzie. W biurze elektrowni przynajmniej znasz swoje miejsce.

Bernard powstrzymał się przed odpowiedzią, że istotnie, dokładnie zna swoje miejsce w biurze elektrowni - pułapka bez wyjścia, gdzie całymi dniami wypisuje jakieś papierki i ma wspaniałą perspektywę zostania pewnego dnia prawdziwym urzędnikiem, o ile pozostanie w pracy wystarczająco długo i nie popełni w międzyczasie żadnego błędu. Oczywiście, Edie miała rację do pewnego stopnia, bo praca ta była i szanowana, i stabilna, dawała też niewielki, ale bardzo

regularny przychód i gwarancję emerytury. Ale Bernard zdawał sobie sprawę, że wart jest czegoś więcej. Nie chciał spędzić całego życia na grzebaniu w papierach, wypełnianiu formularzy, a już na pewno nie mógł się zgodzić na

Janet Tanner

to, żeby jedyną nagrodą, jaka go czekała, był złoty zegarek i kilkuszylingowa emerytura w wieku sześćdziesięciu pięciu lat. Na samą myśl o tym dusił się. Obawiał się jednak, że niewiele było wolnych stanowisk dla kogoś takiego jak on - chłopaka zmuszonego do opuszczenia szkoły natychmiast, gdy tylko był już zdolny pomagać rodzinie w utrzymaniu dachu nad głową. Jak daleko Bernard sięgał pamięcią, jego życie zawsze było zdominowane przez pieniądze, a raczej ich brak. Był najstarszym z trzech synów mieszkających z rodzicami w starym, rozlatującym się domu w St Clements. Jego ojciec także pracował w elektrowni, lecz nie w biurach. Matka, zwiędnięta kobiecina, która spędziła chyba całe życie na kolanach, polerując linoleum pokrywające podłogi ich domu, określała swego męża jako elektryka. Ale Bernard wiedział lepiej. Jego ojciec nie był elektrykiem, lecz pomocnikiem elektryka - i to nie najlepszym, jeśli podstawą do jego oceny miałyby być dziwaczne konstrukcje z przewodów elektrycznych, jakie tworzył w domu. Jeszcze jako mały, uczący się fizyki chłopiec, Bernard był pełen podziwu dla mądrości dzieł ojcowskich rąk. Ale teraz, jako młody mężczyzna, uważał za prawdziwy cud, że domu już dawno nie strawił pożar. Zdawał sobie jednak sprawę, że wypowiedzenie tej opinii na głos byłoby najgorszą zbrodnią wobec ojca więc zachował na ten temat milczenie - choć zawsze uważał, by okno w jego pokoju łatwo się otwierało i nie było niczym zablokowane. Ot, tak na wszelki wypadek, gdyby potrzebna była droga ucieczki. Mimo tak ogromnego wpływu na ich życie, pieniądze nigdy nie stanowiły przedmiotu rozmów w rodzinie Langlois, a Bernard nigdy nie zdołał się zorientować, czy to jego ojciec tak słabo zarabia, czy matka jest tak kiepską gospodynią. Jakkolwiek było, rozumiał, że oszczędności po prostu nie ma z czego robić. Jako dziecko przyzwyczaił się, że jego ubrania mają tak wiele lat na łokciach i kolanach, że właściwie nie widać już, z jakiego materiału były zrobione na samym

początku, i że kolacja na koniec tygodnia to albo rzadki gulasz, który bardzo lubił, albo flaczki z cebulą, czego nie cierpiał. Ale dopiero gdy zdobył

OKO ZA OKO

190

stypendium do szkoły średniej, po raz pierwszy uzmysłowił sobie, jak bardzo ciężka była w rzeczywistości sytuacja jego rodziny.

- Nie może iść - powiedziała Edie Langlois, zaciskając usta na papierosie Woodbine, który sterczał tam właściwie zawsze i bez przerwy. - Nie stać nas na to!

Bernard miał ochotę płakać i krzyczeć z rozczarowania. Ale ten jeden raz zamiast niego odezwał się ojciec.

- Edie, nie musimy przecież za niego płacić.

- Tak uważasz? A skąd weźmie w takim razie mundurek?

- I tak musielibyśmy mu dać jakieś ubranie. Nie poszedłby chyba do szkoły w samych gaciach. - Dwaj młodsi bracia Bernarda zaczęli się turlać ze śmiechu po tym stwierdzeniu, ale Stan Langlois ciągnął z nieporuszoną twarzą: - Skoro i tak musi mieć jakieś spodnie, to równie dobrze mogą być w kolorze, jaki się nosi w szkole.

- Taaa, jasne, a co z bluzą? I tarczą na piersi? I symbolem szkoły na kieszeni? I tornistrem? I krawatem? I butami do gry, i szortami? Samo się zrobi?

- To jest szansa dla chłopaka - nie ustępował Stan. - Ma szansę dojść do czegoś. Stać się kimś lepszym niż ja.

Był to jeden, jedyny raz, kiedy to Bernard usłyszał ojca, mówiącego choćby ogólnikami o swoim przegranym życiu.

Nigdy się nie dowiedział, skąd się wzięły pieniądze, ale ku swemu zachwytowi mógł stanąć w szeregu innych uczniów, odziany w te wszystkie wymagane regulaminem elementy, które matka przedtem wymieniała. Miał też drugie śniadanie, zupełnie nowe pióro i pudełko kredek, a

wszystko to mieściło się w cokolwiek zniszczonym tornistrze, który Edie znalazła na wyprzedży rzeczy używanych. Bernard tak długo natluszczał i polerował skórę tornistra, że miejsca poprzecierane przestały właściwie być widoczne. Rozpocząwszy naukę w szkole średniej, Bernard postanowił wykorzystać tę okazję, która spadła z nieba, do ostatka. Nie był najbardziej błyskotliwym uczniem i nie miał co do tego złudzeń,

Janet Tanner

ale zauważył, że jeśli trochę się przyłożył i włożył w coś ciężką pracę, był w stanie prześcignąć większość kolegów w nauce. Kiedy oni ukradkiem przekazywali sobie pod stołami jakieś liściki lub obrzucali się papierowymi kulkami, on siedział w pierwszym rzędzie i pilnie notował wszystko, co usłyszał, skrobiąc najszybciej jak mógł swym nowym, acz nie najwyższej klasy piórem. Chłopcy nazywali go kujonem i lizusem, ale te obelgi spływały po nim jak woda po gęsi, nie robiąc żadnego wrażenia. W szkole podstawowej miewał dużo gorsze przezwiska z powodu swych połatanych ubrań i też się nimi nie przejmował. Tu nie miał na to ochoty tym bardziej - to był początek drogi, która mogła go zawieść do nowego, lepszego życia. Poza tym świetnie sobie zdawał sprawę, że odzyskiwał wszystkie stracone towarzysko pozycje, gdy przychodziło do gier. Był wyjątkowo godnym zaufania - choć może nieco pozbawionym przekonania - obrońcą w piłce nożnej i świetnym podającym w krykiecie. Podobnie jak większość uczniów wiedział, że chłopakowi, który się sprawdza w sporcie, wybaczone zostanie właściwie wszystko.

Niestety, kiedy osiągnął wiek, w którym można już opuścić szkołę, sytuacja finansowa jego rodziny pogarszała się z minuty na minutę w związku z dorastaniem braci. Nagle więc okazało się, że okoliczności wymagają, by porzucił naukę, wszedł w świat dorosłych i znalazł sobie pracę. Wizja zmarnowania lat nauki przyprawiała go o mdłości, ale wiedział, że nie ma wyboru. Podejmując pracę w biurze elektrowni, podjął decyzję. Pewnego dnia znajdzie sposób na wykorzystanie wszystkich swych talentów i wyrwie się z objęć nędzy, która dopadła jego rodziców. Kiedyś będzie miał piękny dom, szybki samochód, a może nawet własną łódź. Zwiedzi świat - i w interesach, i dla przyjemności, będzie dobrze jadał i miał dobre wina w piwnicy. Nie wiedział, jak to osiągnąć, ale był zdecydowany wykorzystać każdą okazję, która mu wpadnie w ręce.

Pedałując do domu po nadbrzeżnej ulicy Bernard myślał, że być może właśnie ta praca, którą mu zaoferował Charles Carteret, jest taką okazją.

OKO ZA OKO

193

- Ludzie odwiedzający Jersey będą oczekiwać coraz więcej w dziedzinie rozrywki, a naszym zadaniem jest dostarczenie im tego, czy to mają być wycieczki powozem, rejsy łodzią czy bilety do teatru - powiedział mu Charles. - Potrzebuję młodego człowieka, który myśli przyszłościowo i nie boi się ciężkiej pracy. Ten człowiek ma mi pomóc w rozwinięciu tego, co powinno wkrótce stać się naprawdę dochodowym przedsięwzięciem.

To właśnie ja, pomyślał Bernard. Młody człowiek myślący przyszłościowo. Ostra bryza szczypała go w policzki i zapierała dech w piersi, ale mocno naciskał na pedały, popędzany entuzjazmem i poczuciem przeznaczenia. Jeszcze nigdy w życiu nie odczuwał niczego tak intensywnie.

Wydawało mu się, że wszystko, co robił do tej pory, było przygotowaniem do tej chwili. Bernard Langlois był absolutnie pewny, że Carteret Tours będzie właśnie tą odskocznią, dzięki której zrealizuje wszystkie swe nadzieje i ambicje.

Ostatniego dnia szkoły Nicholas Carteret wepchnął swą szkolną czapkę głęboko do śmietnika i upewnił się, że została tak gruntownie zniszczona, że już nigdy nie będzie można jej założyć. Potem wyjawiał matce, że postanowił wstąpić do armii.

- A więc jesteś już dorosłym mężczyzną - powiedziała do niego Lola, robiąc krótką przerwę w inwentaryzacji mąki, cukru, suszonych owoców i innych zapasów, jakie gromadziła w spiżarni na wypadek ograniczeń żywnościowych, które - jak wiedziała - muszą się pojawić, jeśli wybuchnie wojna. - Czas zdecydować, co chcesz robić.

- Och, już zdecydowałem - odparł. I poinformował ją.

Lola słuchała i bladła, aż jej twarz przybrała ten sam kolor, co trzymana właśnie w rękach mąka.

- Nicholas! Nie! Nie! Zabraniam!

- Nie możesz mi tego zabronić, mamó. Jak sama powiedziałaś, jestem już dorosłym mężczyzną. Poza tym myślałem, że będziesz zadowolona. Twój ojciec był żołnierzem, więc mam to we krwi.

Janet Tanner

- Mój ojciec umarł, bo był żołnierzem. Nie chcę, żeby ci się przydarzyło to samo. Powiedz mi, że to nieprawda, Nicholas! Powiedz mi, że porzucisz ten głupi pomysł!

- Nie mogę, mamó. Poza tym, jeśli wybuchnie wojna, i tak zostanę powołany. Już teraz proszą chłopaków, którzy ukończyli dziewiętnaście lat, żeby się rejestrowali, żeby można było ich powołać, jak skończą dwadzieścia. Wolę iść teraz i wstąpić do zawodowej armii, niż czekać na powołanie.

Przez chwilę Lola milczała. Uznawała jego argumenty. Może rzeczywiście lepiej było być zawodowym żołnierzem niż poborowym. Ale nie mogła znieść nawet myśli o tym, że Nicky miałby iść w bój.

- Poczekaj trochę, Nicholas - powiedziała błagalnym głosem. - Daj swojej matce czas na oswojenie się z tą myślą. - W myślach dodała, że przez ten czas może sam zmieni zdanie. Nicky wbił oczy w ziemię. Nie lubił klócić się z matką.

- Dobrze. Odłożę to na tydzień - zgodził się. - Ale za tydzień napiszę z prośbą o wszelkie informacje. I muszę ci powiedzieć, że nic, co zrobisz, mnie nie powstrzyma.

A jednak zdarzyło się coś, co jeśli nie powstrzymało Nicky'ego od zaciągu, to przynajmniej odwiodło jego myśli na jakiś czas od wojska. Nazywała się Vivienne Moran.

Vivienne Moran skupiała na sobie uwagę chłopców w taki sam nieodparty sposób, jak rozpakowana kanapka na plaży prowokuje mewy. Klębili się wokół niej, gdziekolwiek poszła, prześcigając się w walkach o jej względy. Nicky również nie stanowił wyjątku.

Vivienne miała dziewiętnaście lat, płomiennorude włosy, alabastrową cerę i najzieleńsze oczy na Jersey - tak zielone i przejrzyste, jakby były kawałkami szmaragdu. Ale to nie jej oczy chłopcy zauważali najpierw. W ich ocenie największym atutem Vivienne był jej biust - wspaniałe, wielkie piersi, sterczące jędrnie ponad niebywale wąską talią.

Poza tym Vivienne była pełna życia, wesola i towarzyska.

OKO ZA OKO

196

A gdyby tego było komuś mało, na dokładkę miała ojca pracującego cały tydzień w City w Londynie, a w weekendy przylatującego do domu, i matkę-aktorkę.

Nicky poznał ją na plaży - cudownym, pokrywającym cały łuk zatoki pomiędzy St Helier i St Aubin płacie złocistego piasku. Poszedł tam z przyjaciółmi, żeby popływać, ale gdy szli i szukali miejsca na złożenie ręczników, zobaczył ją i zapomniał zupełnie

o pływaniu.

- A któż to jest? - zawołał, choć nie spodziewał się odpowiedzi. W swym dwuczęściowym białym kostiumie kąpielowym, z przeciwslonecznym daszkiem wetkniętym zawadiacko w gęstwą płomiennorudych włosów wyglądała jak gwiazda filmowa lub modelka i z całą pewnością musiała być wakacjuską. Ale ku jego zdumieniu Jack Picjard, jeden z jego kolegów, znał ją.

- Nicky, stary byku, to jest śliczna Viv Moran. Dziewczyna z najwspanialszymi cycami na Jersey. Obyś mógł je kiedyś obejrzeć!

- To znaczy, że ona tu mieszka?! - spytał Nick z niedowierzaniem.

- A tak. Ale nie zawracaj sobie głowy. Nic ci z tego nie przyjdzie. Jej stary ma pieniądze - i to straszną kupę! A ona zadaje się z takimi jak ona. Nawet na ciebie nie spojrzy.

- Założysz się?

Jeśli nie liczyć kilku niewinnych flirtów i jednego luźnego związku, który trwał całe sześć tygodni, Nick nigdy nie zawracał sobie głowy dziewczynami - choć trudno byłoby powiedzieć, że z wzajemnością. Nicky był wysoki - dużo ponad przeciętną - miał smukłe, świetnie umięśnione od wielogodzinnego pływania ciało

1 skórę pociemniałą od częstego wystawiania na działanie słońca i morza. Jego włosy były gęste i miały naturalny skręt, a oczy lśniły tym samym zaskakującym fioletem, co Loli i Sophii. Nicky

Carteret przyprawił wiele dziewcząt o skurcz serca, ale naprawdę nie zdawał sobie z tego sprawy i ta nieświadomość była częścią jego uroku. Teraz jednak, porażony piękną tej dziewczyny, poczuł nagle pewność siebie, jakiej nigdy w sobie nie znał.

Janet Tanner

Nie zniżając się nawet do reakcji na kpinki kolegów, podszedł wprost do niej i opadł na piasek obok.

- Cześć - powiedział. - Jestem Nicky Carteret. Moi kumple właśnie się ze mną założyli, że mnie splawisz, jeśli spróbuję się z tobą umówić. Może byśmy im udowodnili, że się mylą?

Dziewczyna odwróciła się szybko, odrzucając płomienie włosów, gotowa zmiażdżyć intruza spojrzeniem. Ale gdy napotkała jego spojrzenie, pewne siebie, wyzywające, jej mina zmieniła się nagle z rozzłoszczonej na zaciekawioną. Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym jej wzrok prześlizgnął się po jego ciele, a kącik jej ust uniósł się w górę.

- Dlaczego nie? Wygrywanie zakładów to zawsze frajda, prawda?

- To tylko część frajdy - poprawił ją Nick, zdziwiony własnym chłodem. - Najlepsze może być coś zupełnie innego.

- Może być i tak - odparła i znów prowokacyjnie potoczyła wzrokiem po jego ciele. - Kiedy chcesz się ze mną umówić? I dokąd mnie zabierzesz?

Pewność siebie Nicky'ego nieco przybladła. Ta dziewczyna była przyzwyczajona do najlepszych rzeczy, a on nie miał własnych pieniędzy. Nie stać go było na drogie restauracje ani wyszukane rozrywki. Ale wtedy dziewczyna ku jego wielkiej uldze powiedziała:

- Zaraz. Mam lepszy pomysł. W sobotę organizuję przyjęcie. Może byś przyszedł?

Nick nie bardzo wiedział, czy powinien się ucieszyć, czy zmartwić. Zaproszenie rozwiązywało problem finansowy, ale chłopaka nie napawała ekstazą perspektywa wdzierania się w pojedynek na nieznanym terytorium towarzyskie, w dodatku bez najmniejszej pewności, że zdoła w ogóle być z Vivienne. Niemniej w tych okolicznościach nie miał wielkiego wyboru - będzie po prostu musiał robić dobrą minę.

W sobotę od samego rana dręczyły go złe przeczucia. Spędził na toalecie o wiele więcej czasu niż zwykle, nabrylantynował swe gęste, falujące włosy i włożył najlepszy garnitur.

OKO ZA OKO

147

Vivienne mieszkała w przerobionym na rezydencję starym, wiejskim domu w St Lawrence, dobre cztery mile od La Maison Blanche. Nicky przez chwilę zastanawiał się nad jazdą na rowerze, ale odrzucił tę myśl. Przyjaciele Vivienne zapewne mieli własne samochody, więc rower wyglądałby wyjątkowo idiotycznie. Lepiej już przyjść piechotą.

Był to gorący, letni wieczór. Zanim dotarł do jej domu, musiał zdjąć marynarkę. Ale gdy matka Vivienne otworzyła mu drzwi, spostrzegł w jej oczach kompletne zaskoczenie, którego powód poznał, kiedy go poprowadziła do ogromnego ogrodu. W garniturze wyglądał jak kretyn.

Wszyscy siedzący wokół wielkiego basenu i bawiący się młodzi ludzie byli w szortach lub nawet kąpielówkach.

Powitała go Vivienne, piękniejsza jeszcze niż zwykle w szmaragdowozielonym staniku i obcisłych szortach.

- Och, kochanie, nie wiedziałeś, że to przyjęcie ogrodowe? Nicky nagle się rozzłościł. Nie mógł przecież wracać teraz

do domu i przebierać się, a ona zdawała sobie z tego sprawę. Udało jej się zrobić z niego kompletnego głupka. Ale nie miał najmniejszego zamiaru dać jej satysfakcji robiąc jakąś scenę.

- To nieistotne, przecież to nasza randka, prawda? - powiedział ujmując jej dłoń, zamykając ją w stalowym uścisku i przekładając sobie pod ręką. - Może mnie przedstawiś swoim przyjaciołom?

Zobaczył, jak jej zielone oczy zabłysły i nastawił się na awanturę. Sam jednak nadal się do niej uśmiechał - sztywnym, twardym uśmiechem - i trzymał jej dłoń w taki sposób, że jej przyjaciele

musieli odnieść wrażenie, iż dziewczyna wita go z przyjemnością i pewną dozą intymności, więc Viv po chwili odrzuciła głowę na plecy i wybuchnęła śmiechem.

- Wiesz co, Nicku Carteret? Twarda sztuka z ciebie! Dobrze, chodź poznać innych. Kto wie, może uda mi się przekonać mojego brata, żeby ci pożyczył kąpielówki?

- Nie życzę sobie żadnych przysług - powiedział chłodno Nick.

- Hmm. - Jej wzrok taksująco przebiegł po jego szerokich

Janet Tanner

barkach i napęczniałych mięśniach, ledwie skrywanych przez wilgotną koszulę. - Och, nie, to sobie zrobiłabym przysługę!, Jestem pewna, że w kąpielówkach wyglądałbyś dobrze albo wręcz znakomicie. Nigdy nic nie wiadomo, może potem trochę popływamy...

Znaczenie skryte w jej słowach było oczywiste, a jej pełne uznania spojrzenie oszałamiało. Ale Nicky był zdecydowany nie poddawać się tak łatwo. Chciał panny Vivienne Moran, owszem, ale chciał jej na własnych warunkach i w wybranym przez siebie czasie.

Jednak po godzinie doszedł do wniosku, że dopiął częściowo swego, bo niektórzy z gości zaczęli nagle narzekać, że wcale nie jest już tak ciepło, a teraz, po zachodzie słońca, w basenie jest już chłodno. Wtedy przyjął propozycję Douglasa Morana i pożyczył jego kąpielówki. Pięknym skokiem czysto wszedł w wodę z trampoliny i przepłynął kilka długości basenu. Kilku chłopaków, zrozumiale rozzłoszczonych faktem, że jego wspaniałe crawl przyćmił ich taplaninę, obrzuciło go wrogimi spojrzeniami i odwróciło się tyłem, ale niemal wszystkie dziewczyny wodziły za nim pełnym uwielbienia wzrokiem, czując przyśpieszone bicie serc. Uśmiech Vivienne natychmiast przepelnił się zadowoleniem.

Dużo później, gdy leżące poza zasięgiem kolorowych latarni fragmenty ogrodu pogrążyły się w ciemności, nie protestowała, gdy Nick zaciągnął ją w cień. Przez cały Wieczór zastanawiała się, jak to jest być całowaną tymi twardymi, pełnymi ustami - i nie zawiodła się. Nicky Carteret mógł sobie nie być bogaty, mógł nie wiedzieć, co jest „ąę”, a co nie, jak to rozkosznie określiła Nancy Mitford, ale był tak wspaniale seksy, prawdziwy mężczyzna w każdym calu.

W ciągu kilku kolejnych tygodni Nicky bardzo często widywał Vivienne. Wkrótce - mimo mało obiecującego początku - został zaakceptowany przez jej paczkę. Z ulgą stwierdził wtedy, że na szczęście nie wymaga to wydawania pieniędzy. Zarówno rozrywki,

OKO ZA OKO

jak i napoje dostarczane były przez rozpieszczających swe dzieci rodziców. Jednak Nicky najszcześliwszy był wówczas, gdy byli sami - na plaży lub na pieszych wycieczkach po bezdrożach lasów i łąk wokół St Helier. Nick nauczył się mówić jak ludzie z jej paczki, przyswoił sobie ich leniwy, nieśpieszny stosunek do życia, poznał szybką jazdę na motocyklu po krętych drózkach i nauczył się otwierać szampana tak, by nie wylać od razu połowy zawartości, chyba że właśnie taki się miało zamiar. Ale nauczył się też innych rzeczy, przy których wszystko zbladło. Kierowany wskazówkami Vivienne, Nicky nauczył się miłości.

Jak na niespełna dwudziestoletnią dziewczynę w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku Vivienne dysponowała zaskakująco rozległą wiedzą. Rozpoczęła swą edukację bardzo wcześnie, odkrywszy w szufladzie toaletki swej matki oprawną w papier książeczkę o „intymnych stronach małżeństwa”. Od tego czasu rosła jej fascynacja erotyzmem i sztuką uwodzenia. Nigdy nie przepuściła okazji, żeby wzbogacić swą wiedzę o nowe informacje. Wiele czasu spędziła na trenowaniu uwodzicielskich spojrzeń i prowokacyjnych póz, które kopiowała ze zdjęć gwiazd filmowych, i z ogromną przyjemnością wypróbowała je potem na spotykanych chłopakach. Dziewictwo utraciła dawno temu i w nieco rozczarowujący sposób, z kolegą brata, ale od tamtej pory nauczyła się wiele i odkryła potęgę i przyjemność, jakie mogą płynąć z faktu, że obiecuje się wiele, a nie daje niemal nic.

Nicky natomiast był kompletnie niedoświadczony, lecz nie miał najmniejszego zamiaru pozwolić, by Vivienne się o tym dowiedziała. Kiedy zaczęła pieszczoty, Nicky błyskawicznie przejął prowadzenie, kierując się częściowo instynktem, a częściowo odwracając jej poczynania na swą korzyść. W rezultacie Vivienne chciała go jeszcze bardziej. Pierwszy raz w życiu spotkała mężczyznę, którego nie umiała kontrolować i który nie poddawał się jej manipulacjom - i to ją fascynowało.

- Powiedzieć ci coś, Nicky? - odezwała się do niego pewnego popołudnia pod koniec sierpnia.

Leżeli na brzegu basenu, w końcu zupełnie sami. Ojciec Viv

Janet Tanner

jak zwykle był w Londynie, matka i brat wyszli, a nikt z towarzystwa nie został zaproszony. Viv leżała na leżaku, skryta przed słońcem pod wielkim, kolorowym parasolem, bo jej alabastrowa cera paliła się i czerwieniała od opalania. W niedbalej pozie jedna ręka zwisała poza krawędź leżaka. Nicky pomyślał, że Viv jest piękniejsza niż kiedykolwiek, i zaczął się zastanawiać, czy mógłby się z nią pokochać tutaj, gdy nikt nie patrzy.

- Powiedz - mruknął leniwie.

- Och, nie mogę krzyczeć. Musisz tu podejść.

- A jak już podejdziesz, wynagrodzisz mi ten wysiłek?

- Jasne.

Była to jedna z ich gier, w które się bawili jak kot i mysz. Nicky poczuł przypływ żądz powodującej, że jego szorty stały się niewygodnie ciasne. Szybko, póki Viv tego nie zauważyła i nie wykorzystwała przeciw niemu, stoczył się ze swojego leżaka, schwycił ją za zwisającą dłoń i ściągnął dziewczynę na siebie.

- Nicky! - zaprotestowała, ale trzymał ją mocno. Czuł przyjemne ciepło nagrzanym promieniami słońca kamieni pod plecami, a na sobie cudowne miękkości dziewczyny, przylegające do jego twardości.

- No to mów!

- Nie! Jesteś okropny! -

- A ty to uwielbiasz!

Przyciągnął do siebie jej twarz, przytrzymał ją jedną ręką za kark, a drugą rozwiązał tasiemki jej stanika. Dziewczyna sapnęła z rozkoszy i lekko rozsunała nogi, żeby móc się bardziej do niego przytulić, mocniej poczuć na swych teraz nagich piersiach dotyk jego owłosionej klatki piersiowej. Jego dłonie przesunęły się na jej talię, do zapięcia szortów, i już po chwili Viv leżała

na nim zupełnie naga, oszalała z pożądania. Jak on mógł jej to robić?! Jej, która zawsze inicjowała takie rzeczy, rozpalala chłopaków, a potem odtrącała.

- Nicky... - Poruszyła się na nim, ale ten ruch tylko jeszcze wzmógł jej żądzę. - Proszę... - jęknęła, usiłując rozwiązać jego szorty, nie odrywając się od niego ani na moment.

OKO ZA OKO

151

- Aha! Nic z tego, póki mi nie powiesz! - Sam z pożądania spływał potem, wspaniały ciężar jej ciała przyciskającego go do ziemi wydawał się już nie do zniesienia. Ale Nick wiedział, że w kontaktach z Viv najważniejsze było utrzymywanie własnej przewagi. Wsunął palce pomiędzy jej pośladki i poczuł, że dziewczyna wygina się w łuk, pożądając go już tak bardzo, że za chwilę zacznie krzyczeć. - No, powiedz!

- Dobrze już, dobrze - zaszlochała. - Ale nie zasługujesz na to.

- Na co nie zasługuję?

Wtulila twarz w jego szyję, odnalazła językiem jego ucho i wsunęła czubeczek do środka, zataczając powoli koła. Potem wysunęła język, ugryzła go lekko w koniuszek ucha i szepnęła:

- Chyba jestem w tobie zakochana.

- Co? - Nick był tak zaskoczony, że na chwilę ją od siebie odsunął, a ona znów zaszlochała.

- Ty bestio! Obiecałeś! Obiecałeś, że jak ci powiem, to zrobisz to ze mną... Jestem w tobie zakochana! Jeszcze ci mało?

Szok zamienił się w radość. Kochała go! Ta boginka, która bawiła się uczuciami innych mężczyzn! Nagle nie zabawiał się już w kontrolowanie, tylko naprawdę ją kontrolował! Był królem i władcą! Mógł brać, co chciał - a chciał Viv!

Płynnym ruchem zsunął ją z siebie i ułożył na rozgrzanych kamieniach. Potem, zsuwając szorty, wpelził na nią. Była wilgotna i czekała. Wszedł w nią gwałtownie, i znów, i znów, i znów. Szybko,

bardzo szybko, było po wszystkim. Ich ciała drżały i tuliły się do siebie, wilgotne i pobudzone jeszcze przez jakiś czas. Potem Nicky gwałtownie usiadł i wciągnął szorty.

- Nicky! Nie odchodź! - jęknęła. Popatrzył na jej nagie ciało.

- Może byś coś na siebie włożyła? Ktoś może tu przyjść!

- Nic mnie to nie obchodzi. Proszę, nie odchodź!

- Jestem tu przecież. Nigdzie nie idę.

- Nie mówię o teraz... Ale... jak będzie wojna... Nie chcę, żebyś odchodził i zostawił mnie. Ale w końcu... - dodała jedwabistym tonem, jakby z kocią miękkością. - Może nie będziesz mógł odejść.

Janet Tanner

Nicky poczuł przyływ dziwnej czujności.

- O czym ty mówisz?

- Och, Nicky, nie nadymaj się tak. Przecież poszliśmy na całość, prawda? Może właśnie zaszłam w ciążę? A gdyby tak było, tatuś by cię zabił, gdybyś odszedł i mnie zostawił.

Czujność zamieniła się w panikę, gdy Nicky poczuł zamykającą się wokół niego liczącą tysiące lat pułapkę.

- Nie jesteś w ciąży!

- Ale mogę być.

Jej wspaniałe, przepiękne ciało, połyskujące w słońcu, nie działało już na niego. Nie czuł już nic poza przyływem tego samego gniewu, jakiego zaznał w ten dzień, gdy to wszystko się zaczęło - w wieczór przyjęcia nad basenem. Uważała wtedy, że może nim manipulować - i teraz ma takie same złudzenia. Ale już on się tym zajmie!

- Na miłość boską, Viv, okryj się! - Sięgnął po porzucony na leżaku ręcznik i podał go jej. - Jeśli wybuchnie wojna, będę musiał iść. Nie będę miał nic do gadania.

- Nie będzie żadnej wojny! - Viv niemal płakała. Nigdy dotąd nie widział jej w takim stanie.

Zawiązał szorty i usiadł obok niej.

- Coś ci powiem, Viv. Jeśli ci obiecuję, że do ciebie wrócę, obiecuję mi, że będziesz na mnie czekać?

- Och, Nicky, wiesz, że tak!

- No więc niech tak będzie. - Pocałował ją i przyłgnęli do siebie - już bez namietności, ale za to z dużą dozą czułości.

Żadne z nich nie miało pojęcia, jak straszne czasy nadciągają.

Wieczorem piątego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku Sophia poszła na spacer do portu. Ciemność była całkowita - żadnego połyskiwania światełek na kołyszących się w wodzie bojach ani promyczka z latarni morskiej, a i cisza wydawała się tak głęboka, że jedynym dźwiękiem były łagodne uderzenia fal o nabrzeże. Jakże różniła się ta sceneria od wydarzeń, którymi port tętnił z rana!

OKO ZA OKO

153

Zaczął się o świcie. Tłumy ludzi ustawiały się na nabrzeżu, żeby zabrać się na łódź - wakacjusze, chcący się dostać do domu, kiedy wojna już się naprawdę zaczęła, francuscy rezerwiści, odpowiadający na swe *ordres d'appel* i młodzi dżersejczycy, na ochotnika podążający bronić króla i kraju.

Wśród nich był Nicky. W kolejce do biura rekrutacyjnego był jednym z pierwszych, a tam bez straty czasu dostał przydział do pułku. Cała rodzina wyszła na nabrzeże, żeby go pożegnać, a dołączyła do nich Vivienne Moran - „Dziewczyna Nicky'ego” - wyszeptała z podnieceniem Catherine w ucho Sophii.

Mimo że właściwie jej nie znała, Sophia nie lubiła Vivienne, wiedziała także, że Lola również jej nie lubi. Była o wiele zbyt pewna siebie, zbyt pozerska i zapewne popsuta do szpiku kości. Ale i tak Sophia współczuła jej tego ranka, gdy Viv stała samotna i odprowadzała wzrokiem statek. Trzymała głowę do góry, lecz Sophia wiedziała, że pewnie już zaczyna się zastanawiać, czy jeszcze kiedyś zobaczy Nicky'ego. Aż za dobrze potrafiła zrozumieć uczucia Viv.

Ja też tak się czułam, gdy odjeżdżał Dieter, pomyślała Sophia, a uczucie pustki powróciło wraz ze wspomnieniem tej chwili. Ale ona wtedy przynajmniej naprawdę wierzyła, że chłopakowi smutno wyjeżdżać. Teraz już niczego nie była pewna. A właściwie jeszcze gorzej - Anglia i Niemcy są w stanie wojny. Ona i Dieter są po przeciwnych stronach. Z tego, co wiedziała, Dieter

**podobnie jak Nicky szykował się teraz do pójścia do wojska - dwóch niegdysiejszych kolegów
szykowało się do walki przeciw sobie.
Sophia wpatrzyła się w ciemną wodę. Twarz miała wilgotną i słoną. Nie była pewna, czy wilgoć
tę spowodowała morska bryza, czy łzy.**

Rozdział dziesiąty

Jersey i Dunkierka, 1939-1940

Vivienne zsunęła nogi z fotela ginekologicznego w gabinecie doktora Bodella i niedbałym ruchem wygładziła spódniczkę.

- No i?

Lekarz odwrócił się od małej umywalki i wytarł dłonie w śnieżnobiały ręcznik. Poważny wyraz jego twarzy przyprowadził Viv o szybsze bicie serca. Rzucanie się głową w przód i uleganie zmysłom, wmawianie sobie, że zajście w ciążę to wielka śmiałość i dowód na przynależność do awangardy to raz, a rzeczywistość oglądana w chłodnym świetle dnia to dwa. Bez Nicka, którego rzuciło Bóg wie gdzie, było *to* zdecydowanie przygnębiające i w rezultacie pierwszy raz w życiu Vivienne spędzała bezsennie noc, leżąc i zastanawiając się, w co się właściwie wpakowała. Poza tym to wszystko było również bardzo krępujące, jako że doktor Bodell był przyjacielem jej ojca.

- No cóż, Vivienne, sądzę, że już wiesz, co ci mam do powiedzenia. Jesteś w ciąży, powiedziałbym, że w trzecim miesiącu.

Na alabastrowych policzkach dziewczyny wykwitły bliźniacze purpurowe plamy.

- Niech to cholera!

- Powiedziałbym, że nawet gorzej. - Lekarz odwiesił ręcznik i spojrzał jej w oczy. - Czy wtajemniczyłaś już w to swoich rodziców?

OKO ZA OKO

155

Viv pokręciła głową.

- Najpierw chciałam się upewnić. Nie chciałam rozgłaszać, że byłam niegrzeczną dziewczynką, jeśli nie będzie to konieczne.

- Hmm. Obawiam się, że jednak taka konieczność zachodzi. Będziesz musiała to z nimi omówić. I to szybko. A kto jest ojcem? Czy on wie?

- Nie, nie wie. I nie chcę, żeby się dowiedział. Nie chcę, żeby ktokolwiek się dowiedział. Czy nie mógłby pan czegoś dla mnie zrobić?

Oczy lekarza lekko się zwęziły.

- Co masz na myśli?

- Och, na miłość boską, czy muszę to panu przeliterować?

- Vivienne, muszę ci przypomnieć, że aborcja jest nielegalna

- powiedział chłodnym głosem doktor Bodell.

- Wiem o tym. Ale wiem też, że jest wykonywana. I że nie byłabym pierwszą, która pana prosi o zorganizowanie tego.

- Vivienne...

- Dianę Frayne... - mruknęła znacząco dziewczyna. Lekarz wyraźnie zeszywniał, a Viv wiedziała, że ją zrozumiał.

Dianę Frayne była jej przyjaciółką i pacjentką doktora Bodella, która na wiosnę tego roku zniknęła na kilka dni w celu

- jak to obwieściła - wykonania operacji wycięcia wyrostka robaczkowego. Viv, która dokładnie się wsluchiwała w szepty wokół siebie, zdecydowanie wolała wyjaśnienie nieoficjalne, to znaczy że Dianę „miała kłopot” i doktor Bodell pomógł jej się wykaraskać.

Patrząc teraz na jego nagle pobladłą i pozbawioną wyrazu twarz wiedziała, że miała rację.

- No więc? - naciskała. Doktor Bodell westchnął.

- Vivienne! Jak to trafnie określiłaś, operacje dla dobra pacjenta od czasu do czasu się organizuje. Niemniej musisz zdawać sobie sprawę, o co mnie prosisz. To nie jest po prostu nieprzyjemna i niewygodna choroba. To początek ludzkiego życia. Możesz sobie tego w tej chwili nie uświadamiać, ale znałem młode

Janet Tanner

kobiety, które do końca swych dni nie potrafiły się pozbyć poczucia winy, bo czuły się odpowiedzialne za zabicie własnych dzieci.

- Ja nigdy nie będę miała takich myśli. Jestem na to zbyt rozsądna.

- Nie jestem pewny, czy rozsądek ma z tym coś wspólnego, Viv.

- Ma! Wszystko! - zawołała z pasją. - Jest wojna, wszystko może się wydarzyć. Mój chłopak jest gdzieś daleko i walczy, i może nigdy nie wrócić. Poza tym... - Zaśmiała się krótko.

- Ojciec by mnie zabił.

- Będzie musiał się o tym dowiedzieć - powiedział Francis Bodell. - Nie masz jeszcze dwudziestu jeden lat, Vivienne. Jeszcze nie osiągnęłaś wieku, w którym sama możesz ponosić za siebie odpowiedzialność.

- Och, jakie to było patetyczne! Ale podejrzewam, że tata niespecjalnie się tym przejmie, pod warunkiem, że nikt się nie dowie. O tak, poprze mnie, nie musi pan się martwić - i zapłaci rachunek.

- A ten będzie raczej słony.

- Tym też tata się nie przejmie. Nie obchodzi go, ile ma do podpisania czeków, o ile nikt nie żąda od niego czegoś więcej.

Francis Bodell nic nie powiedział. Mimo że był przyjacielem Adriana Morana, nie mógł uznać tej oceny za niesprawiedliwą.

- Jest jeszcze coś, Vivienne. Czasami - tylko czasami - mogą się pojawić komplikacje. Istnieje możliwość, że taka operacja pozbawi cię możliwości posiadania dzieci.

Viv zeskoczyła z fotela.

- W porządku, doktorze. Sądzę, że ta możliwość jest naprawdę niewielka, a poza tym jestem gotowa pójść na takie ryzyko. Chcę aborcji i jestem pewna, że mój ojciec za to zapłaci. Więc proszę, niech mi pan nie robi więcej wykładów. Niech pan to zorganizuje - i to jak najszybciej.

OKO ZA OKO

213

W chwili, gdy Vivienne Moran przyjmowano do prywatnego szpitala jako pacjentkę z wymagającym operacji zapaleniem wyrostka robaczkowego, wojna trwała już niemal cztery miesiące, choć pod wieloma względami wydawało się, że jeszcze się wcale nie zaczęła. Mimo to zaciemnienie i inne przepisy czasu wojny zaczynały już się mocno dawać ludziom we znaki, tym bardziej że nadal nie było wiadomo, czy coś się w końcu wydarzy i niczego nie można było zaplanować w tej dziwacznej atmosferze ni to wojny, ni to pokoju.

Optymizm nie opuszczał tylko Turystycznego Komitetu Wyspy Jersey. Komitet ogłosił, że wyspa będzie idealnym kurortem na czas wojny - „oddaloną od teatru wojennego ojczyzną wiecznego piasku, morza i słońca” oraz miejscem dla strudzonych wojną żołnierzy, gdzie odpoczną po wysiłku obrony kraju.

Lola była wdzięczna za tę proklamację. Nicky zakończył już okres szkolenia i przeniesiono go gdzieś do Belgii. Z radością więc witała wszystko, co zajmowało jej czas i myśli - a nie było nic lepszego od pełnego gości pensjonatu. Kładła się do łóżka tak zmęczona, że nie była już w stanie leżeć bezsennie i zastanawiać się, gdzie jest jej syn i jakie mu grożą niebezpieczeństwa.

Paul Carteret miał radioodbiornik. Zobaczył go kiedyś w witrynie sklepu Molleta i tak długo zbierał pieniądze - prezenty urodzinowe i gwiazdkowe, koszyczkowe, napiwki i nawet chyłkiem podkradane pensy - aż zdołał go kupić. Teraz radio stało na honorowym miejscu w jego sypialni, a Paul spędzał w upojeniu wiele godzin na kręceniu potencjometrem i wynajdywaniu różnych stacji i rozgłośni we wszystkich możliwych językach.

W drugi piątek maja siedział w domu, cierpiąc na przeziębienie i przerażającą nudę. Wiedział, że może za to winić wyłącznie siebie, bo tak bardzo wyolbrzymił objawy choroby, że Lola zakazała mu wychodzić z pokoju, żeby nie roznosił zarazków po pensjonacie. Pozbawiony wolności i przyjaciół, wyczytał do samego końca wszystkie komiksy, a potem nawet ukochane radio

Janet Tanner

zaczęło go nudzić. Jednak nie mając nic innego do roboty słuchał go wciąż i dlatego to właśnie on jako pierwszy usłyszał wiadomość o nowej niemieckiej ofensywie. Zbiegł po schodach tak szybko, że omal nie spadł potknąwszy się o własne nogi. Pognał przez podwórze do głównego budynku pensjonatu, gdzie Lola pracowała w swym biurze. Gdy wpadł jak bomba, podniosła na niego zdziwione spojrzenie.

- Paul! Co się stało, na Boga?

- Mamo! Niemcy zaatakowali Holandię i Belgię!

Lola poczuła, jak coś jej narasta w gardle. Nagle zrobiło się jej niedobrze.

- Zaatakowali? Co to ma znaczyć?

- Zbombardowali. „Szeroko zakrojona operacja”, tak to określili w radiu.

- Rozumiem - powiedziała cicho Lola. W jednej chwili znów była córką oficera armii rosyjskiej, dumną, odważną i nieco zaślepioną. - No cóż, mogą sobie bombardować, co chcą, ale będą musieli stawić czoło Sprzymierzonym. Nie sądzę, żeby daleko zaszli.

Paul nie odrywał od niej oczu.

- A co z Nickiem?

Jej oczy zwęziły się, a palce jnocniej ścisnęły pióro, lecz jej głos nadal był chłodny i spokojny.

- Nie możemy zrobić nic więcej, tylko modlić się, żeby wszystko się szybko skończyło i żeby Nicky bezpiecznie powrócił do domu - odrzekła. - Mam dużo pracy, Paul, ale ty możesz wrócić do swego radia. Słuchaj i daj mi znać, jeśli podadzą jakieś nowe informacje.

Przez następne tygodnie Paul słuchał radia, kiedy tylko mógł, lecz podawane wiadomości były coraz bardziej przygnębiające. Wbrew wszystkim przewidywaniom armie Hitlera niepowstrzymanie zalewały Europę. W połowie maja zaczęły okupację Hagi, a sześć dni później doszły do rzeki Aisne i Anviers nad Sommą,

OKO ZA OKO

216

ledwie sześćdziesiąt mil od Paryża. Potem, na koniec miesiąca, nadeszła najgorsza dotąd wiadomość - król Belgii, Leopold, ogłosił kapitulację. Tak więc brytyjskie wojska, stojąc plecami do morza, nie miały innego wyjścia niż utrzymywać swe pozycje jak długo się da, póki nie zorganizuje się im ewakuacji.

W te straszne dni radio Paula właściwie cały czas było włączone. I właśnie pośród trzeszczenia i innych zakłóceń Charles jako pierwszy usłyszał apel do ludności o zorganizowanie całej armady małych łodzi, które mogłyby wywieźć żołnierzy z plaż na głębsze wody, gdzie już czekały na nich duże okręty floty.

- Muszę płynąć - powiedział Loli, a ona pokiwała głową. Nie miała złudzeń co do tego, jak bardzo niebezpieczna mogła się okazać ta wyprawa. Niemcy nie powstrzymają się od niczego, żeby zwyciężyć i wykończyć Sprzymierzonych, gdy trafiła im się okazja. A łódź Charlesa, choć dużo już wyższej klasy niż ta stara jolka, którą dawno temu odziedziczyli po dziadku Carteret, była tylko małą łupiną, gdy przychodziło na niej walczyć z ciągłymi prądami Kanału, nie mówiąc już o silnym przyboju na plażach Normandii. A jednak Lola natychmiast poczuła przyływ dumy i z wielką radością uzmysłowiła sobie, że cichy, spokojny Charles-wewnątrz nadal jest tym samym odważnym mężczyzną, którego poślubiła.

Gdy wypływał, cała rodzina poszła za nim do portu, żeby go pożegnać. Zastali przystań w ferworze i niesamowitym rozgardiaszu. Wydawało się, że do wypłynięcia szykuje się wszystko, co potrafi się unosić na wodzie - pontony wędkarskie, motorówki, łodzie i jachty, nawet stary Joe le Feuvre, poskręcany jak wysuszona wiązka wodorostów, odcumowywał swój stary kecz „FlightyLady”.

- Mamo - odezwała się Catherine, gdy wszystkie te łodzie jedna po drugiej wypływały z przystani na otwarte morze - czy tata przywiezie Nicky'ego do domu?

**Zaciśnięte usta Loli rozluźnił łagodny uśmiech. Miała zaskakująco jasne oczy.
- Wątpię, kochanie - odparła lekko, otaczając ramieniem**

Janet Tanner

drobną, jędrną figurkę Catherine. - Ale jeśli Bóg zechce, kto inny go przywiezie.

Jednak w jej duszy narastała coraz większa mroczność, jakiś cień okrywał serce i nie dawał się odpędzić.

Kiedy nad głową z rykiem przeleciał mu niemiecki Messerschmitt Me-110, Nicholas Carteret rzucił się twarzą w piach plaży, odruchowo zasłaniając rękami głowę i kark, gdy zabrzmiało staccato kaemów samolotu, a piasek zagotował się i wybuchł chmurami kurzu w zadziwiająco równych rzędach o kilka stóp od niego.

Był przygotowany na uderzenie, na ostry, przeszywający ból, po którym nastąpią katusze lub nieświadomość, ale już się nie bał. Był na to zbyt zmęczony. Przez dwa dni i dwie noce maszerował wraz z sześcioma innymi, pozostałymi z jego jednostki żołnierzami w stronę morza. Zmuszali się do niejkiej dyscypliny, choć ich stopy były opuchnięte i poranione, a żołądki bolały z głodu. Nie wiedzieli, co się dzieje z resztą ich batalionu. Zostali rozdzieleni w koszmarnym zamieszaniu, które wybuchło, gdy Niemcy przedarli się przez wylom w limach obronnych Francuzów i Brytyjczyków i odcięli im odwrót. Od tej pory zdawali sobie sprawę, że pozostał im jeden kierunek marszu - do morza. Tam zostaną ewakuowani i po przegrupowaniu powrócą do walki. Szli więc uparcie wzdłuż zatłoczonych kolumnami uciekinierów dróg, niemal z poczuciem winy - bo na nich czekały po drugiej stronie Kanału jakieś domy, a ci nieszczęśnicy uciekali ze swoich. Czułe serce Nicka krwawiło na ten widok; rok żołnierki w najmniejszym stopniu nie zdołał stępić jego wrodzonej wrażliwości, choć pod innymi względami stał się twardy za sprawą tego, co widział, a także uczucia gniewu i żalu, jakie poznał. Gdy patrzył na starców, wlokących się po szosie z całym dobytkiem, jaki zdołali zebrać, wrzuconym na wózek; gdy widział dzieci młodsze od Catherine, które gołymi rękami ryły w ziemi na polu w nadziei znalezienia rzepy lub ziemniaka

OKO ZA OKO

161

do zjedzenia; gdy wyprzedzał kobiety, które pchały przed sobą pełne betów wózki, na szczycie których siedziały dzieci, a ich starsze rodzeństwo, które już umiało chodzić, wlokło się za matkami, trzymając się spódnic; w tych wszystkich chwilach tak straszliwie nienawidził Niemców, że gdyby spotkał któregoś z nich twarzą w twarz, mógłby zabić bez skrupulów. Ale chwilowo nie miał na to szans. Najważniejsze było teraz wydostanie się z Francji - żywym - by kiedyś znów móc walczyć.

Nicky w czasie tego marszu wielokrotnie walczył z pewnością, że ani on, ani inni nigdy nie dotrą do morza. Kiedy więc z wiatrem dosięgły ich pierwsze słone krople, niemal wpadł w euforię. Wkrótce jednak pojął, że choć samo morze jest już o krok, ot, za najbliższą wydumą, dom i bezpieczeństwo są dalej niż kiedykolwiek. Bo plaże były niewyobrażalnie zatłoczone schwytanymi między wodą a nacierającym wrogiem żołnierzami, których piloci niemieckich samolotów myśliwskich traktowali jak cel na strzelnicy.

- Nigdy się stąd nie wydostaniemy! - zawołał na ten widok Des Collins, najlepszy kolega Nicka, a w jego głosie wyraźnie zabrzmiały tony paniki. - To pułapka!

- Wydostaniemy się - odparł spokojnie Nicky, ale nie był tego taki pewny, a z każdym nalotem plującego ogniem niemieckiego samolotu mniej w to wierzył.

Przed nimi, na wodzie, kołysała się cała flotyła małych i malutkich łodzi, zdolnych dojść do plaży, gdzie nie mogły dopłynąć okręty. Jakie jednak miały szanse, kiedy LuftWaffe kontrolowało całą przestrzeń ponad nimi?

Nicky podniósł głowę, gdy Me-110 odleciał w głąb plaży, a łomot jego działek ucichł.

- Chryste, ale było blisko!

Obok niego usiadł Des, plując i parszcząc piaskiem.

- Cholernie blisko! Powinniśmy sobie znaleźć między wydmami jakiś schron i dopiero w nocy szukać szczęścia.

Czołgali się od jednego leja do drugiego, aż dotarli z powrotem do wydm, gdzie pomiędzy kępami sztywnej, ostrej trawy znaleźli sobie coś w rodzaju schronienia. Odrzucając dłońmi piach,

Janet Tanner

wykopali płytki, niedługi okop, raczej szczurzą norę, gdzie skuleni dojedli resztki żelaznych zapasów czekolady i podśpiewując dla kurażu czekali zmroku.

W zamieszaniu na plaży dostrzegli po jakimś czasie pewien wzór. Plaża i pas wody były atakowane przez mniej więcej dziesięć minut, a przez następne dziesięć niemieckie samoloty koncentrowały się na budynkach stojących wyżej, przy drodze. Wkrótce małe łodzie zaczęły wyraźnie wykorzystywać tę regularność i podpływać falami do brzegu. Ale na plaży było zbyt wielu ludzi, pływaczka aż od nich kipiała, wszyscy krzyczeli, machali rękami, mieli nadzieję, że w wodzie są bezpieczni, a nad tym wszystkim unosił się smród śmierci.

Nagle Des miał dość. Jego rozgorączkowane oczy dostrzegły na płyciźnie łodzie i zareagował jak wędrowiec na pustyni, kiedy dojrzał oazę.

- Chodź! - wrzasnął, wyskoczył z ich schronu i wybiegł na plażę.

Nie zobaczył nawet cienia Me-110, nie usłyszał ryku jego silników. Zbyt późno Nicky wykrzyknął ostrzeżenie. Powietrze rozciął pomarańczowy jęzor ognia. W jednej chwili Des biegł, a w następnej rozrzucił ramiona i wygiął się w łuk, jakby sam miał zamiar wzlecieć w przestworza. 1 przez sekundę zdawał się wisieć nieruchomo w powietrzu, potem zrobił jeszcze jeden krok, i jeszcze jeden, ale kolana już mu się uginały. Opadł na piasek.

- Deees! - zawył Nicky. - O kurwa! Deees!

Wnętrznosci zmieniły mu się w zbeltaną masę. Widok rozrywanego pociskami i padającego przyjaciela spowodował szok, odrętwienie i obrzydzenie. Wyczołgał się z okopu, poderwał na nogi i pobiegł przez plażę w stronę Desa, który leżał już w kałuży czerwieni.

Tym razem to Nicky nie zauważył nieprzyjacielskiego samolotu, póki nie znalazł się on nad jego głową. Poderwał twarz do góry w wyrazie całkowitego zaskoczenia. I wtedy dotarł do niego

podwójny szereg pocisków, a piasek wyszedł na spotkanie oczu. I nagle była tylko cisza i gorący ból, drażący mózg aż po niepamięć.

OKO ZA OKO

163

Paul, Sophia i Catherine stali w porcie i patrzyli, jak armada małych łódek wraca do domu, kiedy dołączył do nich Bernard Langlois.

Bernard pracował dla Charlesa Cartereta już od dziewięciu miesięcy i wielką troską nappełniła go wieść, że Charles wypłynął do Francji. Po pierwsze naprawdę go lubił, a po drugie aż zbyt boleśnie był świadom, że jeśli jego pracodawcy coś się stanie, on zostanie bez pracy.

Nie oznaczało to bynajmniej, że ma w ogóle jakiekolwiek gwarancje na tę pracę na dłuższy czas. Teraz, kiedy wojna rozpoczęła się na dobre, Bernard zdawał sobie sprawę, że niewielkie będzie zainteresowanie ofertami agencji rozrywkowej, bo obawiał się, że mimo zapewnień Komitetu Turystycznego może nie być w ogóle żadnych gości. A wówczas zupełnie nie wiedział, co ze sobą zrobić. Możliwe, że zostanie powołany do wojska, a nawet gdyby nie, to powinien się zgłosić na ochotnika. Ale póki miał tę pracę, myślał o tych ewentualnościach z wielką niechęcią - niemiła mu była myśl, że wróciłby i zastał kogoś innego na stanowisku, które już przywykł uważać za swoje.

Jednak w tym dniu nawet myślenie o takich rzeczach było egoizmem. Po drugiej stronie Kanału ludzie walczyli i ginęli - i to musiało być podstawowym przedmiotem troski każdego przyzwoitego człowieka.

- Są jakieś wieści? - spytał Bernard, przepchnąwszy się do miejsca, gdzie Carteretowie stali zbici w małą grupkę.

- Jeśli mówisz o ojcu - odparł Paul - to nie.

Jego głos był chłodny i nieprzyjazny. Odwrócił się zaraz i mrużąc oczy wpatrzył w połyskującą tafłę morza. Paul właściwie nie był snobem, ale jego obawa o ojca sprawiła, że stał się bardzo nieuprzejmy wobec chłopaka, którego uważał za gorszego od siebie.

- A twój brat? - nie ustępował Bernard. - Przecież on był w Belgii.

- Tak, był, ale chyba bardzo mało prawdopodobne jest, żeby zabrała go akurat łódź z Jersey - odrzekł zwięźle Paul. - Langlois,

Janet Tanner

nie powinieneś przypadkiem teraz pracować? Chyba właśnie za to ojciec ci płaci.

Bernard pociemniał na twarzy, ale nim zdążył się odezwać, wmieszała się Sophia.

- Paul, jak możesz być tak niegrzeczny?! Przepraszam cię, Bernardzie, ale to wszystko jest takie przerażające! Przed chwilą widzieliśmy, jak wracał Joe Renouf. Opowiedział, jak tam jest strasznie, jak niemieckie samoloty bombardują wszystko, co się rusza.

Jej twarz była blada z przestachu, lecz Bernard myślał tylko, jak pięknie wygląda z tymi rozpuszczonymi włosami i oczami płonącymi oburzeniem.

- Słuchaj, Langlois, nic tu nie pomożesz - odezwał się znów Paul. - Damy ci znać, jak tylko czegoś się dowiemy.

- Dziękuję, będę bardzo wdzięczny - odparł Bernard, zdecydowawszy, że ton jego głosu nie powinien wyrażać ani uniżoności, ani lekceważenia. -1 powiedz swojemu ojcu, że gdyby był zbyt zmęczony, to nie musi przychodzić do pracy przez dzień czy dwa. Poradzę sobie ze wszystkim.

- O, z pewnością - mruknął za nim Paul, gdy Bernard odszedł. Zastanawiał się, co właściwie tak go rozzłościło w tej myśli.

Boję się - powiedziała Catherine. - Tata już pewnie nie wróci.

Minęły już trzy dni, a o Charlesie nadal nie było żadnych wieści. Dziewczęta przyszły do kuchni, gdzie Lola miesiła ciasto, bo bycie razem dawało przynajmniej jakieś ukojenie, a żadna z nich nie była w stanie nawet myśleć o spędzeniu kolejnego dnia z Paulem w porcie na wypatrywaniu łodzi, która nie przyplywała. Ale w kuchni także panowało trudne do wytrzymania napięcie.

Lola była zadowolona, że nadal przygotowuje główne posiłki sama, bo miała zajęcie. Uważała też, że dobrze będzie, jeśli Sophia i Catherine również czymś się zajmą.

- Catherine! Te jabłka mają być obrane i pokrojone - poleciała. - Sophio, posiekaj ziola na nadzienie do cielęciny. I nie patrz tak

OKO ZA OKO

165

na mnie. Poczujesz się lepiej, jak się czymś zajmiesz. Poza tym goście spodziewają się, że kolacja będzie na czas. Ich nie obchodzą nasze zmartwienia.

Gdy jednak kolacja minęła i wciąż nie było żadnych wieści ani śladu Paula, nawet Lola zaczęła okazywać zdenerwowanie.

- Gdzie jest ten chłopak? - rzuciła. - Można by się spodziewać, że zajrzy przynajmniej do domu i powie, co się dzieje... - Urwała, słysząc odgłos zatraskiwanych drzwi. - Może to Paul. Paul!

Paul! Przyjdź tutaj! Gdzieś ty się podziewał cały czas?!

- No, Lola, nie krzycz tak na mnie! Czy to tak się wita męża? To nie był Paul, tylko Charles! Stał w drzwiach i wyglądał jak

karykatura samego siebie. Włosy rozwiane bryzą, sterczące na wszystkie strony, wymięte ubranie, sztywne od soli i poplamione olejem, trzydniowy zarost i wystająca ze spodni koszula. Ale uśmiechał się szeroko.

- Charles! - krzyknęła Lola, rzucając się w jego kierunku. - Jesteś!

Wpadła w jego rozłożone ramiona i zaczęli się całować, nie zwracając najmniejszej uwagi na ciekawie przyglądające się dziewczynki i Paula, który stał z uśmiechem za ojcem. Potem Lola odsunęła się na długość ręki od męża.

- Gdzieś to się podziewał, Charlesie Carteret? Odchodziłam od zmysłów ze zdenerwowania. I popatrz na siebie, jak ty wyglądasz?!

Charles znów błysnął uśmiechem.

- Tak, przykro mi z tego powodu. Mój silnik wysiadł i musiano mnie holować do domu. Ale łódź, która mi pomagała, pochodzi z Ramsgate, więc zaciągnęli mnie do swojego portu. - Mówił spokojnym, nieco przeproszającym głosem - równie dobrze mógłby opowiadać o niedzielnej

wycieczce, która się nie udała. Ta nonszalancja była ściśle zaplanowana. Nie miał zamiaru opowiadać Loli o piekle, jakie widział.

- A zdołałeś kogoś wywieźć, czy silnik ci wysiadł zanim dopłynąłeś? - dopytywała się Lola.

- Och, dopiero przy czwartym nawrocie miałem kłopoty

Janet Tanner

- odparł lekko. - I dowiozłem tu ze sobą trzech chłopaków.

- Znów nie dopowiedział, że jeden z tych pasażerów był ciężko ranny: chłopak w wieku Nicka z zakrwawionym bandażem wokół oczu. Jego koledzy przeprowadzili go przez plażę i ciągnęli za sobą w wodzie, gdy stracił grunt pod nogami. Wsadzili go na koniec do łodzi Charlesa, który był niemal pewien, że chłopak stracił wzrok.

Lola z zadowoleniem pokiwała głową.

- To dobrze. Wszyscy są czyimiś synami. A przecież było mnóstwo łodzi, prawda? Jestem pewna, że ktoś zabrał mojego Nicholasa. - Powiedziała to silnym, pewnym głosem, a Charles nie miał zamiaru odbierać jej nadziei. Ciągnęła więc po chwili:

- Zaczekamy. Zobaczycie, że wkrótce będziemy mieli od niego wiadomości.

Przyszły w formie telegramu. „Kapral Nicholas Carteret jest w szpitalu Marynarki Wojennej w Weymouth po odniesieniu ran w akcji we Francji.”

- Widzicie? - zawołała szczęśliwa Lola. - Mówiłam wam, że jest bezpieczny! Mówiłam, że Nicky wróci do domu.

Ale telegram podawał tylko suche fakty. Nie rozprawiał na temat ran, jakie odniósł Nicky, ani nie opisywał, jak go uratowano.

Na szczęście dla Nicka dwaj koledzy z jego jednostki, którzy wraz z nim maszerowali do morza, widzieli, jak został postrzelony, gdy pochylał się nad Desem. Kiedy niemiecki samolot odleciał, narażając się na ogromne ryzyko dopadli Nicky'ego i odciągnęli go w ukrycie. Zdawali sobie sprawę, że jego rany są bardzo ciężkie, ale nie do pomyślenia było dla nich pozostawienie go na plaży. Pod osłoną ciemności zarzucili sobie na szyje jego ramiona i wlokąc bezwładne ciało dotarli do jednej z małych łódek, które podpływały do brzegu. Potem, gdy leżał nieprzytomny i bezbronny na dnie łodzi, najpierw osłaniali go własnymi ciałami przed wściekłymi atakami

Niemców, a później przed lodowatymi bryzgami wody Kanału, które wdzierały się do wnętrza łodzi

OKO ZA OKO

167

ponad burtami. Nicky'ego zabrano do Weymouth i był już bezpieczny przed karabinami, bombami i wściekłym oceanem.

Lecz jego rany były straszne. Szczęśliwie - lub nieszczęśliwie, jak mawiał w chwilach rozpacz - żaden z najważniejszych organów nie został uszkodzony, choć po dostarczeniu do szpitala trzeba mu było podać transfuzję z czterech kwart krwi. Jeden z pocisków trafił w kręgosłup, tuż ponad krzyżem, i gładko przeciął rdzeń pacierzowy.

Rzucając telegram na stół i kręcąc w euforii zachwyconą Catherine, Lola nie wiedziała, że rany odniesione przez Nicka wykluczają nadzieję na to, żeby kiedykolwiek jeszcze chodził.

Rozdział jedenasty

Vivienne umierała ze zdenerwowania. Od czasu Dunkierki minął już prawie miesiąc, a ona wciąż nie miała żadnych wieści od Nicka. Przecież gdyby wydarzyło się coś strasznego, dowiedziałaby się o tym. Dlaczego więc nie pisał? Czy był wciąż we Francji i nie odzywał się ze względów bezpieczeństwa? A może był pośród „zaginionych”? Viv myślała, że brak informacji przyprawi ją o szaleństwo, ale w końcu w tych dniach całe jej życie zmieniało się powoli w koszmar.

Wojna, jeszcze do niedawna tak odległa, stała się nagle przerażająco bliska. Z południowych skał brzegowych widać było okrywający wybrzeża Francji gęsty, ciężki dym - to wycofujące się wojska Sprzymierzonych podpaliły swe składy paliw. Siły obrony cywilnej wyspy Jersey pilnie ćwiczyły w Fort Regent. Na wyspę przybyła niewielka armia brytyjskich wojsk, które kopały okopy, stawiały zasieki i instalowały stanowiska obrony przeciwlotniczej w People's Park. Szkoły zamknięto, żeby dzieci mogły pomagać w wykopkach - rolnicy byli zupełnie bezsilni, gdy niemal wszyscy młodzi ludzie zostali powołani do wojska. Ale wszystko to Vivienne widziała jak przez mgłę rozpaczy, która otulała gęstą watą jawę i okupowała sny.

Oto kara za to, co zrobiłam, powtarzała sobie w samo-udręczeniu. Teraz może już nigdy się nie dowiem, jak to jest mieć dziecko Nicky'ego.

OKO ZA OKO

169

Ironią losu zdawało się jej, że tak lekko podjęta decyzja zaowocowała tak ciężkimi przeżyciami. Doktor Bodell ostrzegał ją, jakie następstwa może mieć zabieg, ale nie słuchała. A teraz w jej duszy panował pusty smutek, którego nie mogła się pozbyć. Noc w noc budziła się z koszmarnych snów z twarzą mokrą od łez, choć nie wiedziała, dlaczego właściwie płacze. Czasem myślała, że to z powodu Nicka. Ale były też chwile, w których wiedziała, że tęskni za swym martwym dzieckiem.

I cały czas czekała, czekała na wieści. Ciemne cienie pod jej oczami pogłębiały się i traciła na wadze, bo na samą myśl o jedzeniu było jej niedobrze. Nawet gdy Francja ostatecznie upadła, nie potrafiła w pełni pojąć powagi sytuacji - choć wszyscy z przerażeniem myśleli, że Niemcy są już po drugiej stronie wąskiego paska wody. Kompletnym szokiem była też zasłyszana od matki niewiarygodna wiadomość, że Brytyjczycy zamierzają wycofać swe wojska.

- O czym ty mówisz? - krzyczała na Lorette. - Co to ma znaczyć, że Wyspy Normandzkie nie będą bronione? Musisz się mylić! Musisz!

- Obawiam się, kochanie, że to jednak prawda. - Głos Loretty, który niegdyś stanowił ozdobę prowincjonalnych scen, brzmiał lekko i melodyjnie. - Czy to nie okropne? Mówią, że skoro jesteśmy tak blisko Francji, obrona Wysp jest praktycznie niemożliwa i że najlepszym wyjściem jest kompletna demilitaryzacja.

Viv wpatrywała się w matkę z niedowierzaniem.

- Przecież jeśli nie będziemy bronieni, z całą pewnością wkroczą tu Niemcy i przejmą wyspę.

- Tak sędzę, ale jak się zapewne spodziewasz, już rozmawiałam telefonicznie z tatą. Nalega na naszą natychmiastową ewakuację. Mówi, że podjął już kroki, żeby wynająć dla nas dużą posiadłość w Essex i chce, żebym się zajęła przygotowaniem do natychmiastowego wylotu.

Vivienne zdrętwiała z przerażenia, a jej myśli - jak zwykle - natychmiast powędrowały do Nicka. Jeśli się przeniosą do

Janet Tanner

Essex, to jak będzie mogła w ogóle dostać od niego jakieś wiadomości? Nie będzie przecież nawet wiedział, gdzie jej szukać!

- Ale nie jedziemy? - spytała. Loretta wzruszyła ramionami.

- No cóż, myślę, że w końcu wyjedziemy. Ale powiedziałam twojemu ojcu, że nie mam zamiaru panikować z powodu jakiegoś nadętego małego Niemiaszki. Nie zwieję ot, tak. Potrzebuję kilku dni, żeby się zdecydować, co zabieram ze sobą i żeby schować to, co chcę zostawić.

Viv omal się nie rozpląkała z ulgi. Dzięki Bogu za upór i buńczuczność matki! Dostała w ten sposób chociaż krótkie odroczenie. Jednak dni płynęły, zbliżała się data odlotu - ostatnia sobota czerwca - a od Nicky'ego wciąż nie było wiadomości. Viv znowu uległa czarnej rozpacz. Nie miała już innego wyjścia niż jechać z matką, ale przed odjazdem postanowiła odłożyć na bok swą dumę i odwiedzić rodzinę Nicka, żeby się dowiedzieć, czy nie mają jakichś informacji i zostawić swój adres. Nie byli zbyt przyjacielskim towarzystwem, więc wizja tej wizyty nie wydawała się zachęcająca, ale Viv wzruszyła ramionami. Liczyło się tylko uzyskanie kontaktu z Nickiem, a poza tym wiedziała już, kogo spośród tej rodziny odwiedzi. Z pewnością nie Lolę, która nie próbowała w żaden sposób skryć swej dezaprobaty i niechęci wobec Viv, ale Charles miał biuro w mieście i był o wiele bardziej przystępny. Zresztą Viv dużo pewniej czuła się w kontaktach z mężczyznami niż z kobietami. I jeśli ktokolwiek mógł jej powiedzieć coś o Nicku, to tylko Charles.

I tak oto późnym popołudniem w piątek, dwudziestego ósmego czerwca, Viv wsiadła w kabriolet i wyruszyła do St Helier. Gdy nieco zbyt szybko jechała po krętych drózkach, nad jej głową zahuczał niemiecki samolot, zostawiając za sobą długą, białą smugę spalin na tle błękitnego nieba. Dziewczyna nie zwracała na to uwagi. Niemieckie samoloty przelatywały nad wyspą już od kilku dni i ten był po prostu jeszcze jednym z wielu.

Viv wydeła usta i mocniej nacisnęła na pedał gazu, bardziej przejmując się tym, co powie Charlesowi Carteret niż jakimkol-

OKOZAOKO

232

wiek natarczywym Niemcem. Miała nadzieję, że się z nim dogada. Pod warunkiem, że go zastanie!

Zaczęła nagle drżeć. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała, że przecież Carteretowie też mogli się zdecydować na ewakuację? Pewnie dlatego, że wydawali się być częścią wyspy - nie można było sobie wyobrazić St Helier bez nich. Lecz teraz, gdy o tym myślała, nie znalazła powodu, dla którego mieliby właściwie zostawać na wyspie. Przecież teraz nie będą mieli żadnego ruchu w interesie. Kto przyjedzie na wakacje na wyspę okupowaną przez wroga?

Och, żeby jeszcze byli, modliła się Viv. I żeby mi powiedzieli, że Nicky jest bezpieczny!

W St Helier zaparkowała samochód, wysiadła i poszła wzdłuż Conway Street, szukając biura Carteret Tours.

Carteretowie nie opuścili Jersey, choć istniały plany ewakuowania - przede wszystkim dzieci. Rozmawiali o tym tego popołudnia, gdy gruchnęła wieść, że wyspa ma być zdemilitaryzowana. Była to naprędce zwołana konferencja rodzinna wokół wyszorowanego do białości kuchennego stołu z sosny.

- To idiotyczne, idiotyczne! - krzyczała Lola. - Jak mogą tak umywać ręce?! I pomyśleć, że cieszyłam się, że premierem został Winston Churchill zamiast Chamberlaina! Jest równie podły - jeszcze gorszy! I ciekawe, co my mamy teraz zrobić?! Charles nalał sobie szklaneczkę czystej whisky - co w jego

wypadku było podwójnie niezwykle, bo nigdy nie pijał nic mocniejszego od domowego piwa, co dopiero o tej porze!

- Możecie pojechać do Anglii, ty i dzieciaki - powiedział.

- Bylibyście tam bezpieczni.

Sophię nagle zaczęła interesować ta rozmowa. Jeszcze nigdy nie opuszczała Jersey.

- A ty? - spytała Lola. - Pojechałbyś z nami, Charles?

- Ja? - Charles był szczerze zdziwiony. - Och, nie, ktoś musi

Janet Tanner

przecież zostać i mieć wszystko na oku. Jersey to mój dom. Nie wyjadę i nie zostawię go Niemcom.

- A więc ja też nie wyjadę - powiedziała Lola głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Masz rację, Charles, nie powinniśmy uciekać. Już raz uciekałam i nie mam zamiaru uciekać ponownie. Ale uważam, że dzieci powinny wyjechać. Czułabym się szczęśliwsza, gdybym wiedziała, że są bezpieczne.

- Ja nie jestem dzieckiem - zaprotestował Paul. - Nie rozumiem, dlaczego miałbym stracić całą tę zabawę.

- Zabawę?! - wybuchnęła wściekłością Lola. - Myślisz, że to będzie zabawa?! Nie opowiadaj więcej takich bzdur, głupi chłopcze!

- Ale skoro ty i tata zostajecie...

- To coś zupełnie innego. Poza tym, twoje siostry będą potrzebowały twojej opieki. Nie, Paul, ani słowa więcej. Mam na głowie ważniejsze rzeczy niż klócić się z tobą. Idę teraz do portu, zarezerwować miejsca na statku. Jak wrócę, macie być spakowani i gotowi do wyjazdu. Paul skrzywił się, ale nic nie powiedział. Choć miał już prawie szesnaście lat i nienawidził być traktowany przez matkę jak dziecko, wciąż miał dla niej mnóstwo szacunku. Przyplýwom buntowniczego nastroju, jakimL czasem reagował na niemal dyktatorski sposób regulowania ich życia przez Lolę, właściwie zawsze towarzyszyła równie silna potrzeba sprawienia jej radości. Od wczesnego dzieciństwa widział, że matka spodziewa się od wszystkich całkowitego posłuszeństwa, a gdy to następowało, była ciepła, wielkoduszna i kochająca. Kiedy jednak ktoś postąpił wbrew jej woli, rozpętywał się huragan. Jej wybuchowy temperament dawał o sobie znać, a wtedy nieuniknione było lanie lub wytarganie za uszy. Niemniej kara cielesna - ostatnio i tak bardzo rzadka - była zawsze najmniej istotna. Dużo gorsze było poczucie winy, jakie potrafiła wzbudzać, niemal bezrozumne wrażenie, że się zawiodło jej oczekiwania. Paul

uwielbiał matkę, więc bez względu na to, jak bardzo by był na nią zły czy rozżalony o postawienie kolejnego zakazu czy wydanie polecenia,

OKO ZA OKO

235

które uważał za głupie lub niesprawiedliwe, już po niedługim czasie zaczynał się wewnętrznie łamać, odczuwać potrzebę pozyskania jej aprobaty.

Dla wszystkich dzieci Lola stanowiła coś w rodzaju wcielenia Świętego Piotra w dzień Sądu Ostatecznego. Przeprowadzała je przez bramy do ciepła, światłości i miłości lub metaforycznie skazywała na męki w ogniu piekielnym, aż dojrzały swe błędy. Matczyne rządy twardej ręki były chyba najbardziej dotkliwe dla Paula. Jego to bunty były zawsze najgłośniejsze, jego wyrzuty sumienia najbardziej gorzkie. Strasznie trudno było wciąż znajdować dla siebie usprawiedliwienie, gdy początkowa buńczuczność opadła, a nadchodziła świadomość całego bezsensu konfrontacji z matką. Lola i tak zawsze w końcu wygrywała, a Paul czuł się bezsilny i zawstydzony. Teraz też, mimo że cały się trząsł przez tę niesprawiedliwą, arbitralną decyzję, instynkt samozachowawczy kazał mu zamilczeć, póki matka nie zniknie za drzwiami. Potem, z niewielką nadzieją, zwrócił się do ojca.

- Nie pojedę, tato. Mama nie może mnie zmusić. Charles westchnął.

- Och, Paul, nie utrudniaj wszystkiego jeszcze bardziej - powiedział ze znużeniem. - Naprawdę myślisz, że mamy jeszcze za mało zmartwień i powinniśmy martwić się również o bezpieczeństwo twoje i twoich sióstr? Twoja matka ma rację. Jeśli wkroczą Niemcy - a zrobią to na pewno

- Jersey nie będzie najprzyjemniejszym miejscem na ziemi.

- ^{Ale} - Ona wie, co mówi, pamiętaj. Była w Rosji w czasie rewolucji...

- Szkoda, że mnie tam nie było! To musiało być naprawdę podniecające!

- **Tak, tobie może się tak wydawać. To jest właśnie kłopot z młodością. Wojna wydaje się romantyczna. Ale ręczę ci, że rzeczywistość jest inna. Twój brat zapewne mógłby ci coś o tym opowiedzieć.**
- **Przynajmniej mógł to sam zobaczyć! - odparł z przekonaniem Paul. - Jego nie powstrzymała przed wstąpieniem do wojska.**

Janet Tanner

- Paul, jeśli Jersey znajdzie się pod okupacją, a ty nadal tu będziesz, to nie twoja matka powstrzyma cię przed wstąpieniem do armii, tylko Niemcy. Zmieniają wyspę w więzienie i będziesz musiał robić to, co ci każą - nie oszukujmy się, wszyscy będziemy musieli. - Zauważył błysk wątpliwości w oczach syna, więc ciągnął: - A jeśli będziesz w Anglii, to gdy dorośniesz, będziesz mógł zrobić jak uważasz. Z pewnością to najlepsze wyjście.

Paul zaczynał rozumieć, że w wywodzie ojca coś jest. Móc robić, co się chce - to kusząca wizja. Bez Loli - nakazującej i zakazującej, nie znoszącej sprzeciwu; bez godziny policyjnej, a może i bez szkoły. Ale nie chciał, żeby ojcu się wydawało, że tak łatwo zaakceptował ten pomysł.

- Może to i nie najgorsze wyjście - powiedział niechętnie.

- Cieszę się, że zaczynasz mówić rozsądnie. Tylko, na miłość boską, nie powtarzaj matce tego, co powiedziałem o wstępowaniu do wojska!

Chyba po raz pierwszy w życiu Paul poczuł jakąś wspólnotę z ojcem. Jako mały chłopiec dosłownie czcił ojca jako bohatera, czepiał się jego poły i wszędzie się za nim pętał, ale ostatnimi czasy zaczął go uważać niemal za niepotrzebny dodatek do rodziny. Charles spędzał całe dni w tej swojej agencji turystycznej i rzadko bywał w domu; a gdy się już pojawiał, był właściwie elementem bez znaczenia, tak bardzo Lola przytłaczała go swą osobowością. Gdyby więc Paul w ogóle kiedyś próbował określić swój stosunek do ojca - a nigdy tego nie zrobił, bo nie miał skłonności do introspekcji - zapewne nazwałby go lekceważeniem, jakie jeden samiec odczuwa wobec drugiego, który pozwala, aby jego kobieta miała ostatnie słowo we wszystkim, co powinno być jego domeną - i w innych sprawach też. Teraz jednak przyszło mu do głowy, że patrząc na ojca być może widzi własne lustrzane odbicie.

Zdał sobie nagle sprawę, że bycie dorosłym nie oznacza automatycznie pełnej swobody. Nie oznacza, że zanikają te uczucia, które go wypełniają w tej chwili - potrzeba bycia

OKO ZA OKO

175

kochanym i docenianym, poczucie winy po spowodowaniu bólu bez powodu i chwila buntu. Za to być może oznacza umiejętność radzenia sobie z nimi. Tata także nie lubi, jak mama na niego krzyczy. Nie boi się jej, oczywiście, ale spokojne życie jest o wiele przyjemniejsze od pełnego wrogości i hałasu.

Paul ucieszył się, gdy uświadomił sobie, że jego ojciec może mieć czasami dokładnie te same odczucia co on.

- Nie martw się, nic nie powiem - odparł konspiracyjnym tonem. A potem przyszła mu do głowy jeszcze inna myśl. - Jeśli wyjadę do Anglii, to pewnie będę mógł odwiedzić Nicky'ego.

- Zgadza się.

- No więc biorąc wszystko pod uwagę dochodzę do wniosku, że może to i dobrze - powiedział pewnym siebie głosem, czując przyływ podniecenia na myśl o nadchodzącej przyszłości.

Zaledwie Paul zdążył przekonać się do pomysłu wyjazdu, Lola wróciła do domu w zmienionym nastroju.

- Całe to miasto oszalało! - zawołała, rzucając ze złością na stół torebkę i kapelusz. - Jeszcze nigdy nie widziałam takich tłumów! I wszyscy panikują! W banku kolejki - wszyscy chcą nagle wycofać swe pieniądze! A w porcie! Tam dopiero są kolejki! Niewiarygodne! Musiałabym stać całą noc! Więc podjęłam decyzję - lepiej będzie, jak zostaniemy wszyscy razem.

- Ale ja chcę jechać do Anglii, mamo! - jęknęła Catherine. - Już spakowałam swoją walizkę!

- No więc ją teraz rozpakujesz.

- Mogę iść i stanąć na noc w kolejce - zaofiarował się Paul. Lola posłała mu ostre spojrzenie.

- Oho! Zmieniłeś tak nagle zdanie? Za późno. Jeden Bóg wie, co wasza trójka by wyprawiała, gdyby matka i ojciec nie mieli was na oku! Pewnie o tym właśnie rozmawialiście, kiedy mnie nie było?

Pokiwała tylko głową, a Paul zastanawiał się, jak to jest, że Lola wyczuwa instynktownie, co każde z nich myśli i planuje,

Janet Tanner

zupełnie jakby miała jakiś szósty zmysł. Do kitu, pomyślał ponuro. Już teraz nigdy nie ucieknę. Nicky, stary draniu, jak ty to zrobiłeś?

I nagle przypomniał sobie tę chwilę wspólnoty duchowej z ojcem i znów się wewnętrznie rozjaśnił. Może jednak Charles ma swoje sposoby na radzenie sobie z Lolą. Może się jeszcze okazać sprzymierzeńcem. Paul postanowił, że następnym razem, kiedy będzie czegoś chciał, najpierw pogada z ojcem, żeby sobie zapewnić jego pomoc. A tak zupełnie niezależnie od tego wszystkiego Paul z przyjemnością pomyślał, że miło by było trochę bliżej poznać swojego starego.

Pierwszy tydzień po odjeździe żołnierzy był dziwnym, jakby nierealnym okresem oczekiwania - ale na co, tego nikt nie był pewny. Pogoda była idealnie czerwcową, gorące słońce na bezchmurnym niebie, a niepewność zdawała się wisieć w nieruchomym, ciepłym powietrzu, z rzadka wibrującym przy przelocie niemieckiego samolotu. Brytyjska flaga wciąż powiewała nad Fort Regent, lecz z Elizabeth Castle zniknęła artyleria; Esplanada wciąż zatłoczona była przez farmerów, którzy dostarczali konnymi wozami ziemniaki do magazynów portowych, ale dalej, przy St Aubin's Road, robotnicy usuwają zasieki, które miały zapobiec lądowaniu nieprzyjacielskich wojsk. Na całej wyspie konstable chodzili od domu do domu i sprawdzali opuszczone gospodarstwa w poszukiwaniu ewentualnie zapomnianych zwierząt, usuwali też wszelkie grożące zepsuciem produkty; z biur usuwano mogące wpaść w ręce Niemców dokumenty, a wszyscy wyspiarze, którzy zdecydowali się pozostać, ukrywali co cenniejsze rzeczy w bezpiecznych miejscach.

Charles pomagał Loli ukryć zapas cukru, mąki i suszonych owoców na strychu; zakopali też większość swych butelek ze spirytualiami i wszystkie cenne przedmioty w ogrodzie, i posadzili nad nimi róże.

- Nie zakopiemy mojego pierścionka zaręczynowego! Jeśli będą go chcieli, będą musieli go odciąć razem z palcem!

OKO ZA OKO

177

- obwieściła Lola, a Charles w przyływie pesymizmu miał nadzieję, że nie dożyje czasów, gdy będą musieli sprzedać ten pierścionek lub zamienić go na żywność czy lekarstwa.

Ten tak nietypowy dla niego nastrój szybko minął, ale pozostała niemila myśl, że zbankrutuje pod okupacją niemiecką - albo i jeszcze szybciej - jeśli drastycznie nie ograniczy swych wydatków. Teraz, gdy nie było na wyspie turystów, nie miał dochodów, z których mógł opłacać czynsz za biuro i pensje swych pracowników. I tego właśnie piątkowego popołudnia, dwudziestego ósmego czerwca, postanowił powiadomić Bernarda Langlois, że do końca wojny jego usługi nie będą potrzebne.

Od chwili upadku Francji Bernard zdawał sobie sprawę, że w związku z wiszącym nad Jersey zagrożeniem turystyka jest skazana na śmierć, a wraz z nią jego praca. Było mu żal, ale podchodził do tego filozoficznie. Wojna nie będzie przecież trwać wiecznie, a gdy już się skończy, Bernard podejmie dzieło w tym samym miejscu, gdzie je przerwał. A w międzyczasie, pomyślał, jak tylu innych, wyprzedzi nadejście powołania i zaciągnie się na ochotnika do armii. Czuł przy tym szczególną lojalność wobec Charlesa Cartereta i z niechęcią myślał o informowaniu go o tych planach, lecz widząc wyjątkowo poważną minę swego szefa, gdy ten wchodził do pogrążonego w zupełnej ciszy biura, wiedział, co go czeka.

- Bernardzie - powiedział Charles. - Obawiam się, że muszę z tobą porozmawiać.

- Niech pan się nie martwi, świetnie to rozumiem - odparł, kiedy szef wyjaśnił mu, że bezsensownym jest prowadzenie usług dla turystów, których nie ma. - Myślę o wstąpieniu do armii, zanim mnie powołają. Chociaż tyle mogę zrobić... - Zawahał się, po czym dodał nieco niezręcznie: - Czy miał pan jakieś nowe wieści o swym synu?

Twarz Charlesa pociemniała.

- Niewiele. Przenieśli go do szpitala, który się specjalizuje w kontuzjach kręgosłupa - a ma z tym jakieś kłopoty, o ile

Janet Tanner

dobrze zrozumieliśmy. Był na początku w Weymouth, jak wiesz, a jego matka chciała do niego pojechać. Odwiodłem ją wtedy od tej myśli, powiedziałem, że pewnie nie byłby jej za to wdzięczny i że zapewne już niedługo odeślą go do domu na rekonwalescencję. Teraz już nie jestem pewny, czy dobrze zrobiłem. Ona się

0 niego okropnie martwi, a w obecnej sytuacji podróż nie wchodzi w grę, chyba że ewakuacja. Zaczynam podejrzewać, że jest poważniej ranny, niż nam podawano.

- Och, przepraszam... - bąknął Bernard i urwał, niepewny co powiedzieć. Ale właśnie w tej chwili nad ich głowami zaryczał ogłuszająco bardzo nisko lecący samolot.

- Cholerni Niemcy! Cały dzień latają w tę i we wtę nad portem i obserwują załadunek ziemniaków - powiedział Charles. - Nie podoba mi się to.

Bernard podszedł do okna i wyjrzał. Zobaczył idącą po ulicy wysoką, piękną dziewczynę o szokująco rudych włosach spływających spod szmaragdowozielonej opaski i oczach skrytych za ciemnymi okularami. Przez moment zastanawiał się, kto to, ale właśnie w tej chwili świat stanął na głowie.

Dwie eksplozje, jedna za drugą, zatrzęsły budynkiem. Bernard został odrzucony w tył przez całą szerokość biura wśród deszczu szkła, pyłu i fragmentów gipsu. Przez minutę był tak wstrząśnięty, że leżał bez ruchu tam, gdzie upadł, niezdolny do myślenia. Potem nagle, nie zastanawiając się, czy nie jest ranny, podniósł się i ruszył do dziury, która jeszcze niedawno była oknem.

- Zaczekaj! Mogą zrzucić więcej! - zawołał za nim Charles, ale Bernard go nie słuchał. Nie potrafił myśleć o niczym poza dziewczyną. Musiała przecież być na ulicy, kiedy spadła bomba, 1 z pewnością wybuch ją dosięgnął.

Szarpnięciem otworzył drzwi i wybiegł. Wszędzie leżały gruzy i odłamki szkła. Kilka jardów od Bernarda, rzucona o ścianę jak szmaciana lalka, leżała dziewczyna. Opaskę zdarł z głowy wybuch, a biała sukienka była zakrwawiona. Bernard podbiegł,

OKO ZA OKO

244

czując ucisk w gardle i drżąc w szoku, przerażony tym, co może ujrzeć, ale potrzeba niesienia pomocy innemu człowiekowi była silniejsza. Spojrzawszy z bliska zauważył z ulgą, że dziewczyna się poruszyła. Pochylił się, chcąc ją podnieść, ale się powstrzymał. Nie chciał jej sprawić bólu.

- Wszystko w porządku? - spytał, zdając sobie sprawę z idiotyczności tego pytania, gdy je wypowiedział.

Dziewczyna miała otwarte oczy o zamglonym spojrzeniu. Zamrugła powiekami, jakby chciała na czymś skoncentrować wzrok. Półśmiech wykrzywił jej wargi. Wyciągnęła dłoń do Bernarda.

- Nicky! - wyszeptała.

Co takiego zrobili? - wrzasnęła Lola z furją. - To barbarzyńcy! Przecież wiedzą, że wyspa nie jest broniona!

- Może nie wiedzieli - powiedział Charles, zastanawiając się, czy powinien mówić Loli, że dziewczyna, która została ranna w wybuchu przed jego biurem, to Vivienne, dziewczyna Nicka. Postanowił, że nie powie. To by nic nie dało. Tylko by ją bardziej przygnębiło. Poza tym miał inne sprawy na głowie.

- Zastanawiam się, czy nie byłoby mądrze wynieść się z St Helier - powiedział. - To główny cel, jeśli będą jeszcze bombardować. Jest przecież domek mojej kuzynki, Doroty, w St Peter. Oni wyjechali do Anglii. Domek stoi pusty, a oni z pewnością nie mieliby nic przeciwko temu.

- **Nie, nie opuszczę swojego domu! - odparła stanowczo Lola. - Ale tak czy inaczej chciałabym wiedzieć, co Niemcy zamierzają.**
- **No cóż, jeśli o to chodzi, to chyba musimy po prostu poczekać - odrzekł Charles. Nie musieli długo czekać na odpowiedź.**
- **Wszyscy mają wywiesić białe flagi, bo inaczej znów będziemy bombardowani - powiedział Charles Loli.**

Janet Tanner

Jak można było się spodziewać, ta wiadomość jeszcze bardziej ją rozwścieczyła.

- Wywiesić białą flagę? Nigdy! To upokarzające!

- Obawiam się, że nie mamy wyboru - rzekł łagodnym głosem Charles. - Nie mam ochoty oglądać ruin naszego domu tylko dlatego, żeby twoja duma nie ucierpiała. Wywiesimy jeden z tych największych obrusów z restauracji.

A Lola, choć zbierało się jej na wymioty na samą myśl o tym, musiała się z tym pogodzić.

Kilka dni później Viv całkowicie odzyskała przytomność. Otworzyła oczy i zobaczyła swą matkę, która siedziała u jej szpitalnego łóżka. Natychmiast zadała jej to pytanie, które maltretowało gorączką jej półprzytomny mózg:

- Czy Nicky jest bezpieczny?

Loretta wzięła do ręki dłoń córki i uściśnęła ją. Gdy Viv była nieprzytomna, na okrągło wołała Nicka, więc Loretta, która wiedziała więcej, niż córce się wydawało, dodała dwa do dwóch i zrozumiała powód jej obecności na Conway Street podczas bombardowania.

- Tak, jest bezpieczny - powiedziała miękko.

Z przerażeniem dostrzegła, jak dwie wielkie łzy pojawiają się w kącikach oczu Vivienne i spływają po policzkach.

- Nie wierzę ci - wyszeptała Viv.

- Ależ to prawda, kochanie. Został ranny i jest w szpitalu -pewnie właśnie dlatego do ciebie nie pisał. Ale jest bezpieczny. Powiedział mi o tym ten uprzejmy młody człowiek z Agencji Turystycznej. Odwiedził cię tu parę razy, wiesz?

Vivienne wyglądała na zaskoczoną. Nie знаła przecież żadnego młodego człowieka z Agencji Turystycznej, ale to nie było istotne. Liczyło się tylko to, że Nicky żył.

- Myślisz, że mogę z nim porozmawiać? — spytała z trudem, bo jej usta były zupełnie wyschnięte. - Przez telefon.

- Z tym człowiekiem z agencji? - nie zrozumiała Loretta.

OKO ZA OKO

181

- Nie... nie... Oczywiście, z Nickiem. Skoro jest w szpitalu, to muszą mieć tam telefon.

Loretta znów poczuła mdłości. Nie chciała teraz mówić Vivienne, że w czasie jej choroby Niemcy zajęli Jersey. Swastyka powiewała teraz nad ratuszem, w którym Niemcy urządzili swoje kwatery główne, a wszystkie linie telefoniczne, łączące Jersey z Anglią, zostały odcięte.

- Zajmiemy się tym, kiedy już wydobrzejesz, młoda damo

- odrzekła więc, przywołując wszystkie swe talenty aktorskie i przypominając sobie, jak kiedyś grała w sztuce młodą, niezłomną pielęgniarkę. - Teraz najważniejsze jest, żebyś odpoczywała i odzyskiwała siły.

- Żebyśmy mogły pojechać do Anglii, tak? - mruknęła Viv, a Loretta znów się powstrzymała przed powiedzeniem jej prawdy

- że rany, jakie odniosła, uniemożliwiły im wylot z Jersey przed wkroczeniem Niemców. Teraz nie istniała już kwestia wyjazdu. Czy im się to podobało, czy nie, wraz z resztą wyspiarzy były do końca wojny uwięzione na Jersey.

Rozdział dwunasty

1940-1942

Niemcy wkroczyli na Jersey i nagle nic już nie było takie samo. Nie byli nawet nieprzyjaźni, wręcz zależało im na dobrych stosunkach z wyspiarzami. Ich głównymi zajęciami było wykupywanie wszystkiego, co tylko znaleźli w sklepach, pływanie i opalanie się na złocistych plażach i podrywanie tych miejscowych dziewczyn, które nie miały oporów przed fraternizacją.

Sophia uważała, że pod wieloma względami koszmarna nuda była stokroć gorsza od owego skręcającego wnętrzości porażenia, jakie odczuła widząc pierwszy raz masę niemieckich żołnierzy maszerujących po ulicach. Nic już nie sprawiało radości. Filmy wyświetlane w kinach były niemieckie z angielskimi napisami, a potańcówki i koncerty musiały się kończyć wcześniej, aby zdążyć do domu przed godziną policyjną. Ale ani Catherine, ani Paul nie uważali się za pokrzywdzonych. Catherine nadal chodziła na swoje lekcje stepowania w szkole Donalda Joumeaux, a Paulowi i jego kolegom największą frajdę sprawiało sprawdzanie, ile wojennych przepisów można złamać, nie dając się złapać. Jednakże Lola uprzedziła go, że sprawi mu cięższe lanie, niż jakikolwiek Niemiec, jeśli złapie go na przeczołgiwaniu się na plażę pod drutami kolczastymi czy malowaniu znaków „V” na murach.

- Zbyt niebezpieczne to rzeczy, żeby je traktować tak lekko - powiedziała.

OKO ZA OKO

183

W długie wieczory za rozrywki wystarczać musiały gra w karty, szachy czy kręgle albo wspólny śpiew przy fortepianie, na którym Sophia grywała stare szlagiery. A jej nawet gra na fortepianie nie przynosiła tej radości, co niegdyś. Okupacja położyła kres nadziejom na podjęcie nauki w szkole muzycznej, więc ćwiczenia wydawały się bezcelowe. Tak więc Sophia straciła serce do grania, mając poczucie krzywdy i niesprawiedliwości, a do fortepianu siadała tylko pod presją Loli.

Ogólnie rzecz biorąc Sophia uznała, że wojna to nic miłego, a życie na okupowanym terytorium to chyba najgorsze, co może się przydarzyć.

Sophia była sama w domu pewnego popołudnia na jesieni tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, kiedy do drzwi La Maison Blanche zastukał niemiecki oficer.

Gdy wyjrzała przez okienko i zobaczyła go, wyglądającego na wyjątkowo wysokiego i oficjalnego w tym swoim nieskazitelnym szarym mundurze, wystraszyła się i przez chwilę zastanawiała, czy zdoła się schować i udawać, że nikogo nie ma w domu. Ale po pierwsze byłoby to tchórzostwo, a po drugie nie była pewna, czy oficer jej nie zauważył. Gdyby zobaczył, mógłby wedrzeć się siłą, a to by było chyba najgorsze. Nerwowym krokiem podeszła więc do drzwi i otworzyła je.

- Tak?

Oglądany z bliska oficer wydawał się jeszcze większy, więc złękła się. Ale ku jej zdumieniu Niemiec mile się uśmiechnął i stuknął obcasami.

- Dzień dobry, *Fraulein*. Czy jest twój ojciec? - spytał po angielsku z idealnym akcentem.

Sophia pokręciła głową.

- Nie, i mamy też nie ma. Poszli na koncert obejrzeć, jak tańczy moja siostra.

- A ty nie poszłaś?

- Nie. Miałam za dużo zadane.

Janet Tanner

- Aha! Mam nadzieję, że jesteś jedną z tych uczennic, które się przykładają do nauki niemieckiego. Niektórzy nie mają ochoty uczyć się naszego języka. A szkoda! Jeśli nie znamy swoich języków, to jak mamy się kiedykolwiek porozumieć? No, ale nie po to tu jestem.

Przyszedłem ci powiedzieć, że potrzebny mi wasz dom na kwaterę dla moich ludzi.

Wszystko to wypowiedział tym samym łagodnym, towarzyskim i przyjaznym tonem, więc jeszcze chwilę trwało, nim do Sophii dotarło, że dobrze usłyszała. Wiedziała, oczywiście, że Niemcy zarekwirowali wiele hoteli i pensjonatów. Gdy tylko zaczęła się okupacja, rodzina Carteretów spodziewała się wręcz, że La Maison Blanche jest na liście. Ale jakimś cudem do tej pory nic się nie działo. A teraz Sophia wpatrywała się w przystojnego, wysokiego oficera z przerażeniem.

- Będę musiał przyjść tu, kiedy już twój ojciec wróci, i porozmawiać z nim oficjalnie. Ale skoro już tu jestem, mogłabyś mnie oprowadzić - powiedział, a dziewczyna poczuła, że wzbiera w niej histeria. Ten człowiek zachowywał się jak turysta, który przed zarezerwowaniem miejsc na wakacje chce się zapoznać z warunkami!

- Nie! - odrzekła ostro. - Lepiej, żeby pan poczekał, aż wrócą. W tej samej chwili po raz pierwszy dostrzegła pod układną uprzejmością błysk stali. Niebieskie oczy zaśnily chłodem, a uśmiech zmienił się niedostrzegalnie w twardy grymas.

- Byłbym bardzo zobowiązany, gdybyś mnie teraz oprowadziła

- powiedział chłodno, bez modulacji i niebywale autorytatywnie. Sophia znów zadrżała.

Odsunęła się na bok, a on wszedł do hallu i rozejrzał się krytycznie.

- Hmm. O, tak, to mi się podoba. To o wiele lepsze od tych wielkich hoteli. Nie jest tu tak bezosobowo. Ile macie pokoi? Pokaż mi je, proszę.

Sophia już bez protestów wykonała polecenie, lecz jej uraza narastała.

- Dobrze, bardzo dobrze! - powiedział, gdy skończyli obchód.

- Pensjonat będzie świetny dla części moich ludzi, a moi

OKO ZA OKO

251

oficerowie i ja przejmujemy ten budynek - „pawilon”, jak to nazwałaś.

Nagle oburzenie Sophii przeważało jej strach.

- A gdzie niby my mamy zamieszkać? - spytała z gniewem. Oficer wyglądał na zaskoczonego.

- Och, jestem zupełnie pewny, że coś sobie znajdziecie. W końcu na waszą piątkę nie potrzeba aż tyle miejsca. I możecie zostawić meble. Są dla nas całkowicie odpowiednie. - Rozejrzał się jeszcze raz, zauważył fortepian i podszedł do niego. Podniósł pokrywę klawiatury i delikatnie przebiegł palcami po klawiszach. Sophia była już niemal wściekła.

- To mój fortepian! - zawołała.

- Naprawdę? Jesteś muzykalna? To dobrze. Mój syn też jest muzykalny. A jeden z moich oficerów jest dobrym pianistą. Twój fortepian będzie nam umiłał życie, *Fraulein*. A teraz cię już opuszczę. Wyrazy uszanowania dla twego ojca. Proszę, powiedz mu, że zacznę tu zakwaterowywać moich ludzi w przyszłym tygodniu. Do widzenia. - Znów stuknął obcasami, wciąż uśmiechając się tym niby-przyjacielskim uśmieszkiem.

Kiedy wyszedł, Sophia wybuchnęła szlochom z wściekłości, strachu i okropnej bezsilności.

To już przeszło wszelkie granice! - krzyczała Lola, gdy wrócili z koncertu i Sophia opowiedziała im, co się wydarzyło. - Nie mogą nam tego robić! Powiem im, że nie wyprowadzę się ze swojego domu!

- Przyjmowanie takiej postawy nie jest najmądrzejsze - uspokajał ją Charles. - Moim zdaniem dobrze się stało, że cię tu nie było, kiedy ten Szkop tu przyszedł, bo już byś czekała na wywóz do więzienia. Jeśli chcą tego domu, to go dostaną- i nic na to nie poradzimy. I tak mamy szczęście, że pozwolili nam tak długo mieszkać.
- A gdzie my mamy się podziać? - spytała Lola.
- Jest przecież dom mojej kuzynki w St Peter. Tam się przeniesiemy. Jest mały, ale damy sobie radę. Będziemy musieli.

Janet Tanner

- A co z kosztownościami? I z butelkami, które zakopaliśmy w ogrodzie? A warzywa, nad którymi tak ciężko pracowałeś?

- Wykopiemy je, kiedy się ściemni. Paul mi pomoże. Ziemniaki są już wykopane, wyrwiemy tylko marchew i pasternak. Niewiele zdziałamy z kapustą - weźmiemy tylko zapas na tydzień, a resztę zostawimy. Choć niedobrze mi się robi na samą myśl o zostawianiu Niemcom czegokolwiek, choćby jednej brukselki!

Paul i Sophia spojrzeli po sobie. Oboje wpadli na ten sam pomysł. Zaskakujące było, jak często myśleli jak bliźniaki.

- To jak, działamy? - szepnął Paul z szelmowskim błyskiem w oku.

- Jasne - skinęła głową Sophia.

Tej nocy, kiedy już Carteretowie powyrywali warzywa i przygotowali sobie zapas, Paul i Sophia wymknęli się do ogrodu, znaleźli ojcowską konewkę i napełnili ją środkiem dezynfekującym, który był używany do odpływów i studzienek kanalizacyjnych w pensjonacie. Rozcieńczyli go wodą, ale tylko odrobiną, bez której środek nie dałby się rozlać, i opryskali wszystkie pozostałe jeszcze w ogrodzie główki kapusty i brukselkę.

- Nie chciałbym być Niemcem, kiedy je podadzą na kolację - szepnął Paul chichocząc. Sophia zgodziła się z nim. Miała tylko nadzieję, że największą porcję dostanie ten oficer, który ośmielił się zabrać jej fortepian.

Od momentu, gdy przeprowadzili się do domku w St Peter, wszystko zaczęło się stawać coraz bardziej nieprzyjemne.

Nie chodziło nawet o to, że domek był dla nich za mały, choć było im rzeczywiście ciasno. Miał tylko dwie sypialnie i mały stryszek na poddaszu, który Paul zaadaptował na pokój dla siebie, dorobiwszy sznurową drabinkę. Nie chodziło też o to, że St Peter wydawało się straszną

provincją dla tych, którzy przyzwyczajeni byli mieszkać w St Helier. Po prostu ich przenosiny zbiegły się w czasie z coraz większą uciążliwością okupacji, bo wojna

OKO ZA OKO

254

przecież wciąż trwała i nic nie wskazywało na to, żeby miała wkrótce się skończyć.

Dokuczliwy stał się problem z żywnością - nie z jakimiś wyszukanymi przysmakami, ale ze zwykłym, codziennym jedzeniem. Sophia zaczęła udzielać córce sąsiadującego z nimi farmera lekcji muzyki w zamian za pół kwaterki mleka i sześć jajek, a zapasy maki, cukru i rwizynków, z których Lola była tak dumna, skończyły się niepostrzeżenie i nagle wypieki i puddingi, które niegdyś robiła, stały się tylko słodkim wspomnieniem. Herbatę parzyli teraz z podsuszonych liści jagód, a Sophia i Paul wiele razy musieli pedałować na brzeg morza, przekradać się pod drutami kolczastymi i napępiać bidony wodą morską, z której dawało się wygotować sól. Ale nie tylko pożywienia brakowało. Charles, który zawsze palił fajkę, musiał teraz nabijać ją suszonymi liśćmi szczawiu i róży, a gdy szczotka do podłogi straciła włosie, wyreperował ją za pomocą rozplecionej i pociętej liny.

Niemożliwe było również kupno nowej odzieży. Najgorzej na tym wychodziła wciąż rosnąca Catherine. Nawet gdy Charles wyciął palce w jej sandałach, w krótkim czasie znów zadawały jej ból, uwierając w piętach. Lola wciąż poszukiwała materiału na spódniczki i sukienki dla niej, bo stare w szybkim tempie stały się zbyt krótkie. Z początku przycinała swe własne ubrania, a kiedy i to źródło się skończyło, wykorzystwała stare, wyblakłe zasłony perkalowe, które niegdyś wisiały w pokoju dziewcząt, a które przezornie zabrała ze sobą w czasie przeprowadzki z La Maison Blanche.

Nadeszły żniwa. Carteretowie pomagali farmerowi w zbieraniu plonu w zamian za pół worka mąki. Drugiego dnia pracy Sophia zapłonęła oburzeniem, gdy w kącie stodoły odkryła Paula obściskującego się z córką farmera - wielką, grubą dziewczuchą w jego wieku.

Sophia oczywiście wiedziała, że Paul już od dawna przejawia poważne zainteresowanie dziewczętami. Wielokrotnie widywała, jak flirtował, wykorzystując fakt, że miał niemal sześć stóp wzrostu i był niemal równie przystojny jak Nicky. Kryła nawet

Janet Tanner

niekiedy jego wypadki na randki, bo wiedziała, że Lola by ich nie pochwałała. Ale przyłapanie go z tą krowią, czerwoną na twarzy dziewczyną poraziło jej poczucie smaku i w poważnym stopniu zniszczyło wyidealizowany obraz starszego brata.

- Jak możesz, Paul?! Ona jest odrażająca! - rzuciła się na niego, gdy już byli sami.

Paul odpowiedział jej szelmowskim uśmiechem.

- Nie będziesz już tak pełna obrzydzenia, kiedy przyniosę do domu dodatkową oselkę masła, a może nawet kawałek bekonu. Ja już czuję ten zapach!

- Ależ to niemoralne! - parsknęła Sophia, choć tak naprawdę nie miała już do brata takich pretensji. Na samą myśl o kęsie bekonu miała pełne usta śliny.

Nazajutrz obwieszczona została kolejna restrykcja. Wszystkie aparaty radiowe miały być oddane władzom okupacyjnym.

- Moje radio! - zawył Paul, równie zrozpaczony jak Sophia, kiedy utraciła fortepian. - Przecież oszczędzałem na nie pieniądze przez wieki!

- Skąd teraz będziemy wiedzieli, co się dzieje? - zawtórowała mu Sophia. - Jak nie będziemy mogli słuchać radia, to będziemy zupełnie odcięci od świata!

- Nie sądzę, żebyśmy mieli jakieś inne wyjście - powiedział Charles. - Twoje radio, Paul, jest tak duże, że ukrycie go jest praktycznie niemożliwe. Ale może... - Zawiesił głos, a w jego oczach błysnęło coś łobuzerskiego. - Ale może ktoś nam zrobi mały aparat kryształkowy. To już by było łatwe do ukrycia. Oczywiście, stanowiłoby to duże ryzyko. Niemcy z pewnością bezlitośnie będą karali tych, którzy złamią tak istotny przepis. Skoro można dostać dużą karę za jazdę na rowerze obok siebie albo iść do więzienia za obraźliwe wyrażenie się o Hitlerze, to boję się nawet myśleć, jaka kara będzie groziła za nielegalne posiadanie aparatu radiowego, ale chyba jestem gotów podjąć to ryzyko.

- Charles, czy znasz kogoś, kto by to dla nas zrobił? - spytała Lola. Zaczynała już wyglądać na zabiedzoną. W wychudzonej twarzy jej fiołkowe oczy wyglądały na wręcz olbrzymie.

OKO ZA OKO

189

- Chyba tak. Pamiętasz Jacka Ozoufa? Był radiooperatorem na moim statku. Ostatnio wpadłem na niego na ulicy i pogadaliśmy

0 starych czasach. Chyba umiałby zrobić odbiornik kryształkowy, gdybyśmy mu dostarczyli potrzebne części.

- Jakie?

- No, coś, z czego można zrobić choć podstawowe obwody. Podejrzewam, że nada się do tego bardzo dobrze słuchawka aparatu telefonicznego. Moglibyśmy po wygaszeniu latarń wybrać się z Paulem do budki telefonicznej na skrzyżowaniu.

Zerknął na Paula i mrugnął do niego. Paul zareagował pełnym entuzjazmu uśmiechem, ciesząc się świeżo odkrytą więzią z ojcem, którą okupacja w jakiś dziwaczny sposób wydawała się zacieśniać. Paul zdawał sobie sprawę, że ojciec wiedział o niejednej eskapadzie swego syna i nie poinformował Loli, która z pewnością byłaby przerażona ryzykiem, jakie Paul podejmował, gdy wraz ze swymi przyjaciółmi smarował na ścianach litery „V” lub grał w piłkę nożną niemieckim hełmem. To poczucie wspólnoty

1 konspiracji pogłębiało zadowolenie, iż udało się uniknąć nie tylko schwymania przez Niemców, ale także wybuchu furii matki.

- Kiedy to mamy zrobić? - spytał ojca.

- Im szybciej, tym lepiej, bo ktoś inny wpadnie na ten pomysł - odrzekł sucho Charles.

Tak więc drogocenny aparat radiowy Paula został zgodnie z przepisami zdany Niemcom, Jack Ozouf dostał wiadomość, a w pierwszą bezksiężycową noc Charles i Paul wybrali się chyłkiem

do budki telefonicznej, przecięli przewód i przynieśli do domu słuchawkę. Serca im waliły, a dłonie mieli mokre, ale wrócili w poczuciu takiego triumfu, jakby schwytali samego Hitlera. Kiedy już odbiornik kryształkowy został zmontowany, Lola zapakowała go do woreczka i schowała pod obłuzowaną deską podłogową w sypialni. Co wieczór wydobywali go, wysłuchiwali wiadomości i chowali z powrotem. I mimo że zawsze drżeli ze strachu przed wykryciem, odczuwali też głęboką satysfakcję, że zdołali przynajmniej pod tym względem pokonać Niemców.

Janet Tanner

Z końcem letniego semestru Sophia opuściła szkołę. W panującej wówczas sytuacji kontynuowanie nauki nie miało sensu - tym bardziej, że szczęśliwie dostała od razu pracę.

Została młodszą recepcjonistką w jednym z gabinetów dentystycznych w St Helier.

- Pan Shenton mówi, że jeśli będę miała ochotę, to mnie wykształci na pielęgniarkę - powiedziała Loli.

- Ojej! - sapnęła z zazdrością Catherine, ale Lola była smutna.

- Myślę, że na razie dobre i to. Nadal jednak mam nadzieję, że kiedy już się skończy wojna, będziesz mogła iść do szkoły muzycznej w Anglii - powiedziała.

Zawsze, kiedy rozmawiali o końcu wojny, ich wszystkie wypowiedzi opierały się na założeniu, że potem wszystko będzie znów jak było. Nigdy, nawet przez chwilę nie brali pod uwagę, że to Niemcy mogą zostać zwycięzcami.

Pewnego dnia w połowie sierpnia Sophii polecono nadać na poczcie kilka listów. Był piękny, ciepły dzień, słońce połyskiwało na falach w porcie, więc dziewczyna postanowiła wrócić do pracy dłuższą, lecz ładniejszą drogą.

Dochodząc do nabrzeża zauważyła jakieś zamieszanie. Zaciekawiona podeszła bliżej, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Przy końcu nabrzeża stał zacumowany statek z niemiecką flagą.

Widok tego znienawidzonego symbolu jak zawsze wywrócił jej wnętrze, ale gdy zobaczyła wysypujący się ze statku ładunek, dostała mdłości. To było niewiarygodne i ohydne. Z brzucha statku wychodzili powoli ludzie - setki - brodaci, zarośnięci i brudni mężczyźni, kobiety o skołtunionych włosach i zaszczutych oczach, dzieci tak chude, że kości zdawały się przebijać im skórę. Wszyscy byli odziani w rozpadające się lachmany, niektórzy mieli stopy owinięte

szmatami, inni kuśtykali boso. Chwiali się i potykali, zbici w zwarty tłum, a ich biedne nogi nie pamiętały już, jak się chodzi po lądzie.

Sophia wpatrywała się w to, trzęsąc się z obrzydzenia. Chciała

OKO ZA OKO

191

zamknąć oczy, ale nie mogła oderwać wzroku. Wiedziała, że to muszą być więźniowie wojenni, i że mają dołączyć do tych, których tu dostarczono na wiosnę. Ale tamtych nigdy nie widziała. Słyszała tylko o nich, ale nigdy nie byłaby w stanie wyobrazić sobie, że mogą tak wyglądać. Procesja posuwała się naprzód, zbliżając się do dziewczyny. Nieszczęśnicy przechodzili tak blisko, że mogliby jej dotknąć. Sophia odruchowo się cofnęła, wstydząc się towarzyszącej współczuciu odrazy, ale nie umiając się przełamać. Tuż przed nią przekuśtykał wychudzony i zawszony mężczyzna, trzymający na rękach dziecko, którego twarz pokrywały wrzody. *Za nim wlokła się zmaltretowana, chuda jak szkielet kobieta z niemowlęciem przy wyschniętej piersi. A wszyscy patrzyli wprost przed siebie martwymi oczami. Po bokach tego ludzkiego strumienia kroczyli dumnie triumfujący nazistowscy strażnicy z wymierzonymi w więźniów karabinami. Sophia odczuła nagle potrzebę wykrzyczenia do nich pytania, jak na Boga mogą się zachowywać w tak nieludzki sposób. Ale słowa utknęły jej w gardle i zmieniły się w ustach w gorycz.

Kiedy przeszli, zmusiła rozdygotane nogi do ruchu. Z początku stąpała równie niepewnie i powoli jak więźniowie. Potem, gdy czucie wróciło, pobiegła. Biegła bez tchu, z obolałymi płucami, z rozdzierającym się sercem, ale nie zatrzymała się, póki nie dobiegła do gabinetu dentystycznego.

Po południu w następną sobotę Bernard Langlois pracował w okręgu St Peter, gdy napotkał Charlesa.

Przez dwa lata, jakie minęły od czasu, gdy Niemcy wkroczyli na Jersey, a Charles został zmuszony do zamknięcia biura Carteret Tours, życie Bernarda zmieniło się całkowicie. Nie była to zmiana na lepsze, jak to określał w ponurych rozmowach z sobą samym, ale była ona nieunikniona. A ponieważ Bernard nie należał do tych, co tracą czas i energię na roztrząsanie rzeczy, na które nie mają wpływu, doszedł do wniosku, że może sobie

Janet Tanner

pogratulować - biorąc pod uwagę okoliczności, poradził sobie bardzo dobrze.

Nazajutrz po tym, jak Charles poinformował go o zamiarze zamknięcia agencji, wybrał się na długi spacer przepiękną, nadmorską drogą St Clements. W następstwie przeżytego poprzedniego dnia bombardowania wciąż jeszcze był nieco zszokowany. Otarcie się o śmierć spowodowało, że fakt, iż był już bez pracy, wydawał się nieważny. Uświadomił sobie, że mógł zginąć. Gdyby bomba spadła na biuro, a nie na ulicę, kwestia, co robić w przyszłości, stanowiłaby dla niego najmniejsze zmartwienie. W najgorszym razie przyszłości by w ogóle nie było, a w najlepszym leżałby w szpitalu ze strasznymi obrażeniami, jak ta dziewczyna w białej sukience. Bernard nie potrafił przestać o niej myśleć. Choć bardzo starał się zapomnieć, wciąż stawał mu przed oczami jej obraz - bezwładne, poskręcane ciało wśród gruzu, plamy krwi na białym materiale sukienki, podarta i zeszmacona opaska w pyłe. W nocy kilka razy budził się zlany potem. Ale świt znaczył powrót zdrowego rozsądku - przynajmniej jeśli chodzi o zdolność myślenia. Co się stało, to się nie odstanie. Ciągłe myślenie o tym nic nie zmieni, Nie zginął, nie został ranny, lecz sama wdzięczność losowi za to nie nakarmi jego rodziny ani nie da jej dachu nad głową. Życie musiało toczyć się dalej, a on powinien je zaplanować.

Szedł i szedł z głową opuszczoną na piersi i rękami w kieszeniach. Niebo nad jego głową było cudownie błękitne i czyste, nieskażone nawet jedną chmurką. Wkrótce więc szorstka bryza znad morza ochłodziła głowę i myśli, uspokoiła też rozdygotane nerwy. Lecz problem pozostał - jak może zarabiać na życie na wyspie okupowanej przez wroga?

A może, myślał, powinien był wyjechać i wstąpić do wojska, kiedy jeszcze była taka możliwość, zamiast powodować się lojalnością wobec Charlesa i odkładać to w nieskończoność? Myśląc o tym, co niemiecki samolot zrobił tej dziewczynie, żałował, że nie może - a bardzo by chciał - osobiście zlikwidować człowieka, który zrzucił bombę. A na dokładkę jeszcze kilku jego

OKO ZA OKO

193

rodaków. Tak, to by było przyjemne. Teraz nie było sensu żałować tego, czego się nie zrobiło. Nie ma sensu myśleć w kółko o tym, co powinien był zrobić. Liczyło się teraz tylko to, co zrobić należy obecnie.

Niemal natychmiast potem, gdy zadał to pytanie, uświadomił sobie jedyną sensowną odpowiedź, choć nie chciał jej zaakceptować, bo mu się nie podobała. Jednak po kilku minutach, strawionych na bezowocnych próbach wymyślenia jakiegokolwiek alternatywy znów zdrowy rozsądek wziął górę w jego myślach.

Nic nie mógł na to poradzić - wróci do elektrowni. O ile, oczywiście, będą go chcieli. Niezależnie od odczuć na temat tej pracy, wiele za nią przemawiało. Nieważne, kto rządzi na wyspie, Jersey potrzebuje nadal podstawowych świadczeń - wody, gazu, łączności i elektryczności - i niezależnie od wszystkiego dalej będzie ich potrzebować. A więc elektrownia jest tym źródłem, z którego musi czerpać niezbędny jego rodzinie do przeżycia dochód.

Po namyśle Bernard uznał, że będzie walczył o jedno - żeby nie dać się znów zamknąć w biurach przedsiębiorstwa. Nie miał najmniejszego zamiaru pozostawać w tej pracy na zawsze, a po wojnie umiejętność przekładania papierków w elektrowni nie będzie należała do tych, które ułatwią mu życie.

Następnego dnia Bernard poszedł na spotkanie ze swoim dawnym szefem; w rozmowie starannie omijał swe plany na czas powojenny. Ku jego olbrzymiej uldze zaoferowano mu posadę praktykanta-elektryka, oczywiście o ile niemiecki zarządca elektrowni wyrazi zgodę, a tak się stało.

Jeśli chodzi o umiejętności praktyczne, Bernard uczył się bardzo szybko - pod wieloma względami przychodziło mu to o wiele łatwiej niż przyswajanie wiedzy akademickiej, nad którą pocił się w szkolnej klasie. W tym, czego uczył się teraz, był metodyczny porządek, co cieszyło

jego rozsądny umysł. Po dwóch latach potrafił wykonywać tę pracę równie dobrze jak ci, którzy spędzili na niej całe życie, a kwalifikacjami, jakie zdobył, dawno już przerósł swego ojca - choć miał

Janet Tanner

dość taktu, by się tym faktem nie chwalić. Zadowolony był także, że na czas wojny miał stanowisko, które nie tylko przynosi całkiem rozsądny przychód, ale także daje pewną dozę swobody ruchów na wyspie, gdzie obowiązywała godzina policyjna oraz inne ograniczenia i restrykcje.

Tego popołudnia, gdy napotkał Charlesa, Bernard pracował przy uszkodzonym kablu w St Peter. Właśnie miał schować narzędzia i ruszyć z powrotem do St Helier, kiedy dostrzegł swego poprzedniego pracodawcę idącego po drugiej stronie ulicy.

Bernard był zaskoczony - słyszał, że Carteretowie zostali wyrzuceni z domu, ale nie miał pojęcia, że mieszkają w St Peter. Zawołał głośno, a Charles rozpromieniony natychmiast podbiegł do niego.

- Bernard! No, no! Co ty tu robisz? Bernard wyjaśnił, a Charles zachichotał.

- Powinienem był się domyślić, że nie będziesz siedział i płakał. Mam nadzieję, że to nie znaczy, że cię straciłem na dobre! Zamierzam uruchomić agencję natychmiast, jak tylko skończy się ta cholerna wojna i wszystko wróci do normy. Będę cię wtedy potrzebował do pomocy.

Bernard nie odpowiedział. Uznał, że nie czas na to, żeby mówić Charlesowi, iż przez ostatnie dwa lata porzucił wiele ze swych dotyczących przyszłości planów i że postanowił po zakończeniu wojny podjąć próbę założenia własnego interesu. Firma instalatorsko-elektryczna miałaby szanse powodzenia. Byłoby to coś, gdzie mógłby wykorzystać swe nowo nabyte umiejętności i gdzie byłby panem samego siebie. O ile dawniej praca w agencji turystycznej wydawała mu się wspaniałym punktem wyjścia do kariery, teraz uważał, iż gdy „wszystko wróci do normy”, jak to określił Charles, posada chwalonej pomocy biurowej nie da mu satysfakcji.

- A jak tam pana rodzina? - spytał teraz. - Zdrowi? Jak państwu się powodzi?

- Tak jak każdemu przy tych wszystkich brakach. Jak widzisz, wracam właśnie ze zbierania pokrzyw. Lola robi z pokrzyw

OKO ZA OKO

195

cudowne rzeczy. - Charles wskazał wielką torbę wypchaną roślinami. - Słuchaj, może byś wpadł do nas, skoro już tu jesteś? Ucieszą się. Poza tym możesz spróbować wspaniałego kordiału z dzikiej róży, który robi Lola.

- Bardzo to miłe z pana strony, ale nie chciałbym się narzucać...

- Nonsens! Teraz prawie w ogóle nie miewamy gości i Loli brakuje widoku ludzi - powiedział Charles potrząsając smutno głową. - Poza tym wyglądasz na takiego, który chętnie wypije coś chłodnego. Jest gorąco, a ty ciężko pracowałeś.

Bernard miał ochotę wrócić do domu, zrzucić kombinezon roboczy i wypić filiżankę herbaty, ale Charles tak bardzo nalegał, że odrzucenie jego gościnności byłoby niegrzeczne.

Przyglądając się byłemu szefowi Bernard doszedł do wniosku, że Charles zdecydowanie się postarzał. Na jego twarzy pojawiły się głębokie zmarszczki, jakby skóra była zbyt obszerna na swą zawartość. W czasach, gdy razem pracowali, Charles był prosty jak struna - teraz jego barki się zaokrągliły.

Bernard skończył pakowanie swego ekwipunku i zamknął skrzynkę z narzędziami, po czym obaj mężczyźni poszli uliczką prowadzącą do domku Carteretów.

- Paula pewnie nie będzie - powiedział Charles, skręcając na ścieżkę pomiędzy kwitnącymi hortensjami, biegnącą obok małego domku z szarego kamienia. - Ciche sobotnie popołudnia w domu go nudzą. Ale reszta powinna być w ogrodzie.

Na tyłach domku ścieżka kończyła się pod łukiem z pnących róż, które niczym konfetti obsypywały białymi płatkami kamienny próg. Za tym różanym sklepieniem rabatki lwich paszczy, goździków i nagietków otaczały niewielki, schludnie utrzymany trawnik, na którym

**stały dwa rozklekotane leżaki. Na jednym z nich pólleżała Lola z niezbyt elegancko podwiniętą między nogi spódnicą, a na drugim podrzemywała Catherine, zwinięta w kłębek jak kot. Ujrawszy mężczyzn, Lola poderwała się zawstydzona, obciągając spódnicę.
- Zobacz tylko, kogo spotkałem! - zawołał Charles. - To**

Janet Tanner

Bernard! Powiedziałem mu, że się ciężko obrazimy, jeśli nie wpadnie na chwilę i obiecałem mu szklaneczkę twego wspaniałego kordiału z dzikiej róży. Mam nadzieję, że jeszcze trochę go zostało.

Lola wstała z leżaka. Miała lekko zaróżowione policzki.

- Obawiam się, że kordiał nie jest wcale taki dobry - powiedziała. - Bez cukru niełatwo osiągnąć odpowiedni smak. Ale zapraszam na szklaneczkę.

- Dziękuję. Bardzo chętnie. - Ale tak naprawdę Bernard wcale jej nie słuchał i odpowiedział zupełnie odruchowo. Mimo że uprzejmie uśmiechał się do Loli, patrzył nad jej ramieniem na Sophię i z niedowierzaniem zastanawiał się, czy ta prześliczna młoda kobieta może rzeczywiście być tą samą pyzată i pulchną dziewczuszką, którą znał.

Przez te dwa lata, jakie minęły od czasu, gdy ją ostatni raz widział, Sophia zmieniła się niemal nie do poznania. Leżała teraz na trawie na brzuchu, podpierając się na łokciach i niespiesznie wplatając stokrotkę w szeroki wianek. Fryzura, jaką teraz nosiła - włosy sięgały ramion - znakomicie pasowała do jej twarzy. Z dziecięcą gracją leniwie kiwała nogami, skrzyżowanymi ponad wspaniale zaokrąglonym tyłeczkiem.

Bernard nagle niemal zasłabł, ajdzieś w środku, koło żołądka, coś go zaczęło dusić, coś, czego nigdy dotąd nie zaznał.

- Sophio! - odezwała się Lola. - Przynieś, proszę, kordiał. Sophia delikatnie odłożyła wianek na czytana przedtem książkę

i wstała. Podobnie jak wszyscy inni na wyspie, i ona straciła na wadze. Jednak w przeciwieństwie do innych jej to pasowało. Zniknęła gdzieś pulchność, a pozostały intrygujące krągłości. Poza tym wyglądała na wyższą. Ponieważ zaś była w szortach, Bernard mógł swobodnie obejrzeć jej nogi - długie, smukłe i opalone na ciemny brąz.

Przechodząc obok Bernarda Sophia zerknęła na niego i lekko się uśmiechnęła - niemal kokieteryjnie, jakby instynktownie wiedziała, o czym chłopak myśli. Bernard poczuł, że się zaczyna czerwienić i szybko odwrócił wzrok.

OKO ZA OKO

197

- Chodź i siadaj, Bernardzie - powiedziała Lola, wskazując mu leżak.

- Dziękuję, wolę usiąść na trawie - odrzekł i opadł na murawę, zerkając ukradkiem na drzwi do kuchni i czekając na powrót Sophii.

Pojawiła się po paru minutach z dzbankiem kordiału. Nie uszło uwagi Loli, że dziewczyna wykorzystwała wyjście po kordiał jako okazję do nałożenia na usta odrobiny szminki - towaru niezwykle cennego w tych trudnych czasach, ale Bernard zauważył tylko, że Sophia pięknie wygląda. W niejakim oszołomieniu odpowiadał na pytania Loli na temat swoich obecnych zajęć i odetchnął swobodniej, gdy Lola zwróciła się do Charlesa.

- Jak byłeś na spacerze, widziałeś jakichś więźniów?

- Z daleka. Są w dolinie i budują linię kolejową.

- Boże! W tym upale?! To straszne, potworne! Naziści zgniją w piekle! Wiesz, Bernardzie, że Sophia widziała, jak ich przywieźli? Mówi, że traktowano ich gorzej niż zwierzęta, prawda, Sophio?

Sophia pokiwała głową. Jej twarz pociemniała. Bernard znów poczuł coś dziwnego w sercu.

- Bardzo często ich tu widzimy - ciągnęła Lola. - Linia kolejowa, którą budują, ma przebiegać bardzo blisko, a kiedy ich przeganiają z St Brelade, maszerują niemal pod oknami. Są wśród nich Rosjanie, wiecie o tym? Moi rodacy używani do niewolniczej pracy! Serce mi pęka!

- A słyszeliście o tym szpitalu, który budują w St Lawrence?

- spytał Charles. - Zmuszają tych nieszczęśników, żeby ryli tunele w litej skale. Cały szpital będzie schowany pod ziemią i zabezpieczony przed nalotem. Aż mnie korci, żeby podłożyć bombę wewnątrz tych tuneli i rozwalić to wszystko na strzępy!
- Jego głos również był pełen gniewu, tak obcego jego charakterowi. Bernard przerwał na moment swą kontemplację Sophii i zastanowił się, jak wielki wpływ na ludzi ma okupacja. Zmienia zupełnie sposób podejścia do życia, wydobywa głęboko ukrytą agresję na powierzchnię.

Janet Tanner

Skończywszy swą szklaneczkę kordiału, Bernard niechętnie wstał i zaczął się żegnać z Carteretami. Jego matka zawsze mu wbijała w głowę, że największą niegrzecznością jest nadużywanie czyjejś gościnności, a wywieranie złego wrażenia na Carteretach z całą pewnością nie było w tej chwili marzeniem Bernarda. Dziękując za zaproszenie i poczęstunek usilnie myślał. Musi znów spotkać się z Sophią. Ale czy ona tego zechce?

Zerknął na nią ukradkiem. Ona również wstała i szła za nim do bramy. Bernard w ostatniej chwili powstrzymał się przed natychmiastowym zaproponowaniem jej tu, przy rodzicach, żeby się zaczęła z nim spotykać. Na szczęście udało się nie zrobić nic tak głupiego. Nie miał najmniejszej ochoty robić z siebie idioty. Coś tak ważnego musiało być dokładnie przemyślane i zaplanowane.

Przy bramie Sophia nagle wspięła się na palce i założyła mu na szyję wianek.

- Będiesz miał pamiątkę ze wsi, kiedy wrócisz do miasta - powiedziała łobuzersko.

Bernard znowu poczuł początki rumieńca - tym razem jednak nie tylko na twarzy, ale na całym ciele. Jej słowa wciąż brzmiały mu w uszach jak muzyka, a wianuszek ze stokrotek wydawał się niemal wieńcem laurowym.

Następnego popołudnia, wychodząc z pracy, Sophia z zaskoczeniem zauważyła czekającego na nią Bernarda.

Oczywiście, zauważyła jego zainteresowanie w ogrodzie. Za każdym razem, gdy na niego spojrziała, widziała, że się w nią wpatruje. Jednak kiedy tylko ich oczy się spotykały, Bernard odwracał wzrok. Rumieniec, jaki oblał jego kark, gdy wkładała mu na szyję wianek, też nie umknął jej uwagi. Ale wszystko to było dla niej grą, nową grą - wypróbowywaniem mocy, której dotąd nie знаła, a jaką najwyraźniej zdobyła. Kiedy w końcu Bernard wyszedł, Sophia

trochę się wstydziła tego flirtowania, choć jednocześnie wciąż była pod wrażeniem tego zupełnie nowego doświadczenia.

OKO ZA OKO

272

Cały jej problem polegał na tym, że ciągle nie umiała spojrzeć na siebie jako na atrakcyjną młodą kobietę. Jako dziecko aż zbyt wyraźnie zdawała sobie sprawę, że jest za gruba, by być ładną, i tej opinii o sobie nie zmieniła nawet pod wpływem związku z Dieterem. Uważała, że związek ten istniał mimo jej wyglądu, że była to po prostu zażyła przyjaźń z romantycznymi elementami, ale pozbawiona wszelkich podtekstów seksualnej atrakcyjności. W końcu Dieter ją opuścił. Nigdy już się do niej nie odezwał, nie napisał, aż wreszcie doszła do bolesnej konkluzji, że o niej po prostu zapomniał.

Co oczywiście nie znaczyło, że ona zapomniała o nim. Sophia wątpiła, czy jeszcze kiedykolwiek przeżyje tak płomienną miłość, tę kruchą, słodko-gorzka szczęśliwość, te delikatne marzenia, to poczucie, że całe ciało chce śpiewać uczuciem. Był tylko jeden Dieter - zapewne każda kobieta ma tylko jednego. Pierwsza miłość, ślepa i wszechogarniająca. Skończyła się już, powtarzała sobie, i trzeba ją umieścić tam, gdzie jej miejsce - w przeszłości. Ale nie było to takie łatwe, bo w porównaniu z tą miłością wszystkie inne uczucia wydawały się blade i nijakie, pozbawione tej magii, jakiej niegdyś zaznała.

Uświadomienie sobie, że zmieniła się z raczej przeciętnie wyglądającego dzieciaka w młodą zmysłową kobietę, zabrało sporo czasu, przypominało powolne budzenie się ze snu. Z początku w ogóle nie zauważała pełnych uznania spojrzeń, a gdy je wreszcie spostrzegła, nie potrafiła w nie uwierzyć. Zaczęła więc próby; gdy na ulicy zbliżał się z przeciwka młody mężczyzna, trzymała wysoko głowę i udawała, że go nie widzi, by w ostatniej chwili rzucić szybkie spojrzenie dla sprawdzenia, czy na nią patrzy. Zawsze patrzyli, i ta świadomość rozbudziła w niej - gdzieś głęboko - niejasne podniecenie. Wykonawszy taką próbę kilkanaście razy, nabrała

większej pewności i zaczęła spoglądać na siebie bardziej krytycznie, jakby innymi oczami. Ale świeżo nabytej pewności wciąż towarzyszyła spora doza niezdecydowania i w ten sposób stale jej umysł dostawał dwie zupełnie przeciwstawne opinie. Żaden z chłopaków nie posunął

Janet Tanner

się poza spojrzenia; byli to zupełnie obcy ludzie, których nigdy już nie spotkała. A jeśli chodzi o tych chłopców, których знаła, na przykład kolegów Paula, to zwykle tak bardzo się bała posądzenia o flirciarstwo, że traktowała ich z lodowatym wręcz chłodem. Żaden więc nie ośmielił się nigdy nawet do niej zbliżyć. Ona sobie to oczywiście tłumaczyła w ten sposób, że tak naprawdę nie jest atrakcyjna dla nikogo - po prostu się gapią i tyle - a to z kolei owocowało jeszcze chłodniejszym traktowaniem, bo nie chciała, żeby sobie pomyśleli, że ona ma na swój temat jakieś mylne wyobrażenia. To by było upokarzające!

Jednak z Bernardem z jakiegoś powodu było inaczej. Flirtowała z nim, wiedziała o tym i sprawiało jej to przyjemność. Kiedy zauważyła po raz pierwszy, że Bernard się zarumienił, nabrała takiej pewności siebie, że nie umiała się już powstrzymać. Dopiero po wszystkim uznała, że zrobiła z siebie zupełną idiotkę; ani na moment nie przyszło jej do głowy, że mógłby sobie zadawać trud i odszukać ją, żeby znów się z nią spotkać.

Tak więc zobaczywszy go po wyjściu z pracy ledwie wierzyła własnym oczom, a pierwszą myślą, jaka jej przyszła do głowy, była ta, że chce, by przekazała ojcu jakąś wiadomość.

- Bernard! - powiedziała. Czula się niezręcznie, wręcz niezdarnie, nie pozostał w niej nawet ślad tej kokieterii, która napelniła ją w ogrodzie takim poczuciem mocy. - Czego chcesz?

Kark Bernarda pokrył się szkarłatem. Czuł się równie niezręcznie, jak ona i nie mógł sobie przypomnieć ani słowa z przemowy, którą przygotował i powtarzał w myślach idąc na to spotkanie. Ale musiał przecież coś powiedzieć.

- Słyszałaś o nowym przedstawieniu w operze? To *Hello Again*, a my, to znaczy elektrownia, pomagaliśmy im przygotować jedną ze scen. Zastanawiałem się... czy nie chciałabyś się wybrać...

Sophia była tak zaskoczona, że też zapomniała na moment mowy.

- Eee... Myślałam, że bilety na przedstawienia w operze są na wagę złota - wyjąkała.
- Nooo... bo są. Ale dali elektrowni kilka za pomoc, a ja zdołałem zdobyć dwa. To znaczy... gdybyś chciała iść...

OKO ZA OKO

201

- Ja... no... - Sophia zawahała się, przestraszona nagle konsekwencjami popołudniowego flirtowania. I wtedy dostrzegła w oczach Bernarda dziwny błysk, jakby przestachu, i szybko podjęła decyzję. - Dziękuję, Bernardzie - powiedziała. - Pójdę z radością. Przedstawienie było wspaniałe, a Sophia - która rzadko bywała w teatrze - cieszyła się każdą chwilą. Spotkała się z Bernardem przed operą. Wyglądał niezwykle elegancko, więc jej lęk przed pierwszą dorosłą randką zmienił się w dreszcz dumy, gdy przeprowadzał ją przez tłum ciągnący na przedstawienie. Zanim podniosła się kurtyna, na widowni zajęto wszystkie miejsca - nawet dostawiane w przejściach krzesła, a z tyłu jeszcze stali ludzie. Sophia dostrzegła wśród siedzących kilku niemieckich oficerów i poczuła się nieco niezręcznie. Ale wkrótce o tym zapomniała, bo do jej nozdrzy dobiegł lekki zapach farby olejnej, orkiestra zaczęła stroić instrumenty i występ się zaczął. Dziewczyna zastanawiała się, czy Bernard będzie ją trzymał za rękę, ale nie wykonał najmniejszego ruchu, więc po chwili, gdy muzyka Ivora Novello opanowała jej zmysły i obudziła na nowo to poczucie , mocy, sama wsunęła dłoń w jego rękę. Siedzieli bardzo spokojnie - ona przerażona własną śmiałością, on porażony swym szczęściem. Aż zaczęła się scena, którą przygotowywała elektrownia.
- To my zrobiliśmy - szepnął Bernard dumnie, a Sophia w niemym podziwieniu śledziła rozwój akcji na scenie. Scena była całkowicie zaciemniona, tylko kostiumy aktorów podświetlało światło. A gdy pojawiła się kwiaciarka z koszem pełnym podświetlonych kwiatów, nie wytrzymała, wyrwała dłoń z ręki Bernarda i zaczęła entuzjastycznie klaskać.

**- To jest cudowne, Bernardzie! Jesteś taki mądry! - wołała, a wokół krzyczeli w aplauzie inni.
Potem Bernard znowu wziął ją za rękę, a ona była tym zachwycona.
Po zakończeniu przedstawienia, gdy już wychodzili, Sophia**

Janet Tanner

marzyła, żeby ten wieczór trwał wiecznie. Ale właśnie dobiegł już końca i wiedziała, że pod operą czeka na nią Paul, żeby ją odprowadzić do domu. Nie było szans, żeby odprowadził ją Bernard, bo nie zdążyłby potem do domu przed godziną policyjną. Tak więc Lola nalegała, by czekał na nią brat. Kiedy zobaczyła wysoką postać Paula, zasmuciła się, ale Bernard chwycił ją za rękę i przytrzymał przez chwilę.

- Sophio, czy będę cię jeszcze mógł zobaczyć?

- Tak - odparła bez wahania.

Nie była w nim zakochana, ale świetnie się bawiła i nie mogła się już doczekać następnego spotkania. Jednak tej nocy - pierwszy raz od lat - śnił jej się Dieter.

Rozdział trzynasty

Mamo, myślisz że jeszcze kiedyś zobaczymy Nicky'ego?

- spytała Catherine.

Był zimowy wieczór, po godzinie policyjnej, i siedzieli w kuchni grając w remika. Nie było z nimi Paula, który

- jak twierdził - został na noc u kolegi. Wszyscy drżeli z chłodu, bo ogień w piecyku ledwie się tlił. Nie bardzo było teraz czym palić - Paul i Catherine znosili do domu tyle chrustu, ile zdołali znaleźć, ale często pozostawały im tylko trociny.

- Oczywiście, że go jeszcze zobaczymy! Co za pytanie!

- Lola położyła kartę na stole.

- Ale od kiedy go ostatni raz widzieliśmy, minęło już tyle czasu, a nie mamy od niego żadnych wiadomości...

- Nie możemy się z nim kontaktować, bo on jest w Anglii, a my na Jersey, które jest odcięte - powiedział spokojnie Charles.

- Przecież dobrze o tym wiesz, Catherine.
- Tak, to jest okropne! Okropne! - zaszlochała Catherine.
- Z pewnością masz rację, ale pozostaje nam tylko się modlić, żeby Nicky był zdrowy i bezpieczny jak my - rzekła Lola. Jej głos był równy i spokojny, lecz wyraz zaszczucia w oczach mówił co innego. Owszem, dobrze jest podchodzić do życia filozoficznie, ale kiedy się tak długo nie miało żadnych wiadomości od swojego syna, a ostatnie doniesienia mówiły o jego

Janet Tanner

obrażeniach, i to zapewne poważnych, to nie sposób się nie denerwować. - Niedługo to wszystko się skończy - dodała.

Catherine, która była zmarznięta, zmęczona i znudzona do granic wytrzymałości, jęknęła:

- Tak, ale kiedy?

- Chyba już dość na dzisiaj kart - zarządził Charles. - Idziemy spać.

- Och, tatusiu... - Głos Catherine utonął w jakimś dziwnym, nagłym dźwięku, od którego wszyscy podskoczyli.

- Co to było? - spytała ostro Lola.

- Ktoś jest na zewnątrz... - Charles zerwał się na nogi, a wówczas dźwięk się powtórzył; ktoś się potknął o zardzewiałą puszkę w szopie w pograżonym w ciemnościach ogrodzie.

- Uwważaj! - szepnęła Lola, gdy Charles skoczył do drzwi, a Sophia ześlizgnęła się z krzesła, wyjęła z komina pogrzebacz i podążyła za ojcem.

Serce jej niemal wyskakiwało z piersi, ale determinacja była silniejsza. Jeśli ktoś usiłuje ukraść ich skromniutkie zapasy jedzenia i opału, to niech go Bóg ma w opiece!

Charles ostrożnie odsunął zasuwę i uchylił drzwi.

- Kto tam? - zawołał. - Co się tam dzieje?

Na moment zapadła cisza, a potem do ich uszu dobiegł świszczący oddech i na tle nocy pojawił się cień. Sophia uniosła gotów do uderzenia pogrzebacz; ku jej zaskoczeniu Charles schwycił ją za rękę i powstrzymał. Po chwili cień zmaterializował się w świetle lampy kuchennej -

kuśtykająca postać, wychudła i brodata, podtrzymująca się ściany. Charles w samą porę podał mu rękę, bo nagle nogi mężczyzny ugięły się. Z pomocą Charlesa niemal wpadł do kuchni.

- Mój Boże! - sapnęła Lola. - To więzień!

Ostatnimi czasy można było odnieść wrażenie, że Jersey jest wręcz pełne więźniów wojennych. Były ich tam tysiące - Polaków, Czechów, Żydów z Alzacji, Rosjan i Hiszpanów, których przywieziono na początku. Tamtego sierpniowego dnia Sophia wpatrywała się w nich, bo nigdy przedtem nie widziała czegoś takiego. Teraz jednak stali się powszechnym, codziennym wido-
OKO ZA OKO

280

kiem, gdy pędzono ich drogami do pracy, do budowy umocnień na wybrzeżu, linii kolejowej niemal pod oknami Carteretów, tuneli pod bunkry i podziemny szpital. Mimo to jednak Sophia nigdy nie zdołała przywyknąć do straszliwości ich widoku czy uodpornić się na ich niedolę. Za każdym razem, gdy widziała, w jak nieludzki sposób są traktowani, przepelniał ją bezsilny gniew. Poganiający ich żołnierze różnili się bardzo od tych, którzy maszerowali po ulicach ze śpiewem na ustach i organizowali różne rozrywki, próbując sobie zjednać sympatię wyspiarzy. Cóż, gdy tak mało można było dla nich zrobić! Czasami, kiedy widziała, jak tłoczą się w kolejce do kuchni polowej po porcję wodnistej brei, Sophia brała z domu chleb i upuszczała kromki na ziemię obok nich. Jednakże często mimo głodu więźniowie zbyt się bali reakcji strażników, by pochylić się i podnieść jedzenie. Wszyscy oni budzili litość, lecz nawet wśród nich byli tacy, którzy bardziej niż inni chwyтали za serce. Sophia widywała na przykład jakiś czas wychudłego na szkielet chłopca w wieku Catherine, którego ostry kaszel nie pozostawiał wątpliwości co do stanu jego płuc i stadium gruźlicy. A gdy on i jemu podobni znikali z codziennych marszy, próbowała się pocieszać, że ich gdzieś przeniesiono. Jednak wiedziała, że to nie tak, że po prostu już nie żyją, że ich ciała zasypiano w jednym z masowych grobów, bez szacunku dla śmierci, bez choćby tabliczki z nazwiskiem i bez czyjegóż pożegnania - poza może smutkiem ich towarzyszy, którzy jednak sami byli zbyt chorzy i głodni, by okazywać jeszcze jakieś emocje. Zdarzało się, że więźniowie uciekali i kryli się w farmach i opustoszałych domach, lecz karą za pomoc w ucieczkach była natychmiastowa zsyłka. Kiedyś Sophia spytała Lolę, co by zrobiła,

gdyby jakiś więzień poprosił ich o pomoc, a Lola odparła oschle, że żal i współczucie to jedno, a troska o bezpieczeństwo rodziny to drugie. Jednakże teraz, stając nagle twarzą w twarz z jednym z nich, Lola się nie zawahała.

- Szybko, Charles, wprowadź go do środka i zamknij drzwi!

Sophia cofnęła się, gdy mężczyzna niemal się na nią przewrócił

Janet Tanner

mimo pomocy Charlesa. Na jego ubranie składały się podarte szmaty, oczy były wielkie i puste z głodu, a skóra opinająca kości ponad zmierzwioną i brudną brodą była sina z zimna.

Charles podprowadził go do krzesła, na które wyczerpany nieszczęśnik opadł bez sił. Wyszepiał coś ochryple, a Lola zakryła usta dłonią.

- To Rosjanin! Mój Boże! Charles, brandy! Daj mu brandy! Carteretowie wielokrotnie odpędzali od siebie pokusę, by utopić

smutki w brandy, którą wykopali z ogrodu La Maison Blanche i przewieźli tu ukrytą w wózku dla lalek Catherine. Alkohol uznano za zbyt cenny i ukryto ponownie na cięższe czasy lub jakiś nieprzewidziany wypadek. I to właśnie nastąpiło. Charles poszedł do spiżarni, zdjął z haka wiszący tam duży dzban i wy dostał z niego butelkę. Nalepka już dawno została zerwana, ale gdy butelkę otwarto, po kuchni rozszedł się niezwykle intensywny zapach. Charles nalał trochę brandy do szklaneczki i przyłożył ją do ust mężczyzny, który jednak był najwyraźniej zbyt wyczerpany, by pić. Cienki strumyk alkoholu wyciekł mu z ust i znikł w brodzie. Trochę chyba jednak połknął, bo po paru minutach więzień nieco się ożywił, dopił sam brandy i wymamrotał coś po rosyjsku.

Lola opadła na kolana i zagadła do niego w ojczystym języku, choć po tylu latach mówienia wyłącznie po angielsku sprawiło jej to sporo kłopotów. Potem wstała energicznie i ruszyła do spiżarni.

- Muszę mu dać coś do jedzenia. On umiera z głodu! Odkroiła pajdę chleba i posmarowała ją drogocennym masłem,

które Sophia zarobiła dając lekcje muzyki. Więzień żarłocznie pochłonął chleb.

- Nie mamy nic innego, żeby mu dać? - spytała Sophia. - A co z kolacją Paula?

- Masz rację! - Lola zapomniała o tym zupełnie. Mieli tego dnia na kolację wspaniałą gulasz z warzyw i gołębia, którego Charles zdołał ustrzelić. Mięsa na nim nie było wiele, ale smak, jakiego dzięki niemu nabrały warzywa, sprawiał, że wszystkim ciekła ślina. Lola odłożyła porcję dla Paula, który jadł i spał u kolegi.

OKO ZA OKO

207

Więzień nieco zaczął dochodzić do siebie. W związku z tym, że nie groziło mu teraz omdlenie - czy wręcz nie daj Boże śmierć - Charles zaczął się denerwować.

- Ile czasu minęło od jego ucieczki? - spytał. Lola znów przez moment rozmawiała z mężczyzną.

- Mówi, że wymknął się z robót po południu - odparła. Charles zmarszczył czoło.

- A więc już muszą wiedzieć o jego ucieczce. Już go szukają. No, zrobiliśmy, co było w naszej mocy. Teraz musi odejść.

- Nie! - odpowiedziała ostro Lola.

- Jak to nie?

- Nie możemy go wypędzić, Charles. Jest strasznie zimno. I jestem pewna, że nie będą go szukać o tej porze.

- Skąd wiesz?

- No, nie wiem... Ale...

- A co niby mielibyśmy z nim zrobić?

- Strych. Paula nie ma. Może tam spać.

- Oszalałaś? On aż cały chodzi od wszy i pcheł!

- No więc niech śpi w składziku. Zrobię mu posłanie z kocy. Proszę! To mój rodak i jest bardzo chory! Poza tym, jest ledwie starszy od Nicka. Nie chciałbyś, żeby dla niego też ktoś był dobry? Może też jest. w takiej sytuacji?

Charles pokręcił głową. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że przechowywanie tego więźnia jest wyjątkową głupotą, lecz z doświadczenia wiedział, iż kłótnia z Lolą, która coś sobie wymyśliła, jest stratą czasu. Poza tym przyznawał jej w myślach rację - chyba już nie przyjdą po niego tej nocy, skoro do tej pory ich jeszcze nie ma.

- Zgaśmy światło - zarządził. - Nie musimy ogłaszać, że jeszcze nie śpimy! Wystarczy nam świeca. Catherine - do łóżka. Sophia, przynieś to stare posłanie, o którym mama mówiła! Tymczasem ogień wygasł i w kuchni zrobiło się naprawdę zimno. Kiedy Charles otworzył drzwi, żeby się nieco rozejrzeć, do środka wpadło zimowe powietrze, a więzień zaczął kaszleć.

- Nie możemy go wyrzucić na dwór jak psa! - zaprotestowała

Janet Tanner

natychmiast Lola. - Posłuchaj jego kaszlu! Dostanie zapalenia płuc, jak się nim nikt nie zajmie! Może mu posłać tutaj, na podłodze? Dorzucę do ognia więcej trocin i choć jedną noc prześpi w cieple, nabierze sił na samotną ucieczkę.

Charles westchnął. Sam zaczynał już odczuwać zmęczenie. Może rzeczywiście w tym, co Lola proponowała, nie było nic złego? Poza tym dbanie o własną skórę nie daje satysfakcji, jeśli się wie, że stało się to przez poświęcenie kogoś innego. Co więcej, jeśli Niemcy przyjdą, trudniej im będzie znaleźć go w domu niż w składziku. Można im oczywiście powiedzieć, że sam tam wszedł, ale skoro będzie zawinięty w ich koce, nikt w to nie uwierzy.

- Dobrze, ale tylko na tę noc - zgodził się niechętnie. - Potem musi odejść.

Sophia źle spała, męczona złymi snami. Przez większą część nocy rzucała się na łóżku, myślała o Rosjaninie na dole i wsłuchiwała się w jego ataki kaszlu. Ale przed świtem zasnęła głęboko, więc gdy drzwi zadygotały pod uderzeniami pięści, obudziła się z drżeniem.

- Co to? - dopytywała się przerażona Catherine. Siedziała na łóżku, chowając się niemal cała pod kołdrą.

Sophia bezgłośnie potrząsnęła głową. Dobrze wiedziała, co to takiego. Przyszli Niemcy w poszukiwaniu zbiega. Lecz jej usta nie umiały wypowiedzieć tych słów, a ciało nie słuchało poleceń.

- Chwileczkę! - Usłyszała wołanie Charlesa. - Co się dzieje?! Jesteśmy w łózkach!

Pewnie próbują teraz gdzieś schować Rosjanina, domyśliła się Sophia. Ale gdzie? W domku nie było miejsca, żeby ukryć choćby kota! Poza może stryszkciem Paula. Och, dlaczego nie pozwolili mu od razu tam się schować? Co to znaczy trochę insektów?

Ta myśl przywróciła jej władzę w członkach. Sophia zrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka.

Drzwiczki na stryszek Paula

OKO ZA OKO

209

otwierało się długim kijem, który stał w kącie. Schwyciła go i podparła drzwiczki. Charles już włókł po schodach Rosjanina. Gdy strych był otwarty, Sophia spuściła sznurową drabinę.

- Szybko - syknęła.

Rosjanin, niezdarny i powolny, złapał drabinę i z trudem wspiął się do góry. Sophia zatrzasnęła drzwi i odstawiła do kąta kij. Upadł z głośnym trzaskiem. W tej samej chwili Lola narzuciła stare koce na łóżko Catherine.

- Zostańcie tutaj obie! - rozkazała.

Dziewczęta zrobiły, jak im kazano. Siedziały z pobladłymi twarzami i koszulami nocnymi owiniętymi wokół ramion, słuchając dochodzących z dołu dźwięków. Trwały tam poszukiwania. Potem ciężkie kroki zabrzmiały na schodach. Do ich pokoju wszedł niemiecki żandarm. Kiedy ściągnął z łóżek pościel, Catherine załkała ze strachu, lecz Sophia, mimo że drżała wewnętrznie, zdołała się zmusić, by spojrzeć żołnierzowi w oczy. Patrzyła z taką odrazą i intensywnością, że Niemcowi zaczerwieniły się policzki. Dziewczyna była pewna, że żandarm zauważy, iż te stare koce nie pasują do ich wymiętej, ale świeżo upranej pościeli, lecz nic na to nie wskazywało. Może wszystko będzie dobrze...

I wtedy więzień zaczął kaszleć.

Sophia zamarła, odrętwiała z przerażenia, gdy zabrzmiały stłumione paroksyzmy kaszlu.

Zimne, niebieskie oczy Niemca powędrowały w kierunku sufitu.

- Co tam jest? - warknął.

Lola była biała jak ściana, a jej oczy pociemniały ze strachu.

- Nic. Pokój mojego syna.

- A twój syn jest bardzo przeziębiony, co?

- Tak.

- Nie sędzę. Pokaż mi swojego syna!

Charles i Lola wymienili spojrzenia. Byli w pułapce i zdawali sobie z tego sprawę. Ale nie mieli zamiaru okazać wrogowi lęku.

- Bydlaku! Sam sobie zobacz! Ja ci nic nie pokażę! - wrzasnęła Lola, a Charles wszedł jej w słowo:

Janet Tanner

- To nie ma nic wspólnego z nią! Tylko ja! To moja wina! Moja! Słyszysz?!

Niemiec podszedł do okna, otworzył je i zawołał coś do swoich kolegów. Choć mówił po niemiecku, jego słowa były zrozumiałe.

- Tutaj! Chyba go znalazłem!

A potem wyjął pistolet, skierował go w stronę Charlesa i zażądał:

- Otwieraj te drzwi, bo będę strzelał!

- Sam sobie je otwórz!

Charles z wściekłą twarzą stał przed Niemcem, a Sophia instynktownie przytuliła do siebie Catherine, żeby ją jakoś osłonić. Nagle krzyknęła z przestachu, gdy drzwi stryżku otwarto od wewnątrz i Rosjanin z siłą zrodzoną z desperacji rzucił się na żandarma i zwałił go z nóg.

Pistolec niegroźnie wypalił w sufit, a dwaj mężczyźni przetoczyli się po podłodze. Potem załomotały po schodach trzy pary podkutych butów i trzech koledzy żandarma wpadli na piętro. W kilka chwil było po wszystkim. Rosjanin został obezwładniony i szarpnięciem postawiony na nogach. Niemcy wykręcili mu ręce za plecy, a wówczas pierwszy żandarm wstał i zaczął go okładać pięściami po twarzy, póki głowa więźnia nie opadła bezwładnie na piersi. Z nosa i ust ciekła krew.

- Zabrać go! - warknął Niemiec. Odwrócił się do Charlesa i Loli i rzucił: - A wy - weźcie swoje płaszcze! Jesteście aresztowani.

Przez chwilę Lola mierzyła go pełnym potwornej nienawiści spojrzeniem swych fiołkowych oczu. Potem odrzuciła na plecy swe wspaniałe, lśniące włosy, uniosła podbródek i splunęła wprost w twarz żandarma. Jego dłoń natychmiast wystrzeliła w górę. Uderzenie było tak silne, że słyhać było pęknięcie kości, a Lola ledwie ustała na nogach. Potem Niemiec wyjął z kieszeni chusteczkę i dokładnie wytarł plwocinę z policzka.

- Suka! - syknął po angielsku. - Zapłacisz mi za to! A skoro masz taki gorący temperament, to płaszcz ci niepotrzebny! Idziemy!

Pchnął Lolę przed sobą w stronę schodów. Sophia i Catherine

OKO ZA OKO

211

patrzyły bezradnie przez okno, jak ich rodziców wloką ścieżką do czekającej za płotem ciężarówki. Catherine zaczęła po cichutku szlochać, a gdy Charles i Lola zostali wepchnięci na skrzynię auta, rozkrzyczała się.

- Mama! Mama! Neeee!

Sophia stała bez ruchu. Serce biło jej jak oszalałe, a po żyłach krążyła adrenalina z taką intensywnością, że aż całe ciało jej drżało. Musiała coś zrobić! Nie może tak przecież stać i patrzeć, jak zabierają jej rodziców!

Skrzynię ciężarówki zatrzaśnięto, silnik ryknął.

- Mama! - krzyknęła znów Catherine, a Sophia mocniej zacisnęła wokół niej ramiona. Przytuliła zapłakaną twarzyczkę siostry do piersi.

- Wszystko będzie dobrze - usłyszała swój głos. - Wszystko będzie dobrze.

Ale w głębi serca wiedziała, że nie będzie. Bezgłośnie krzyczała tak samo jak Catherine na widok tej niesprawiedliwości i z poczucia straszliwej bezsilności. Wiedziała, że nie może nic zrobić, żeby odsunąć od swych ukochanych rodziców przeznaczenie.

Tak jak Sophia się obawiała, Charles i Lola zostali postawieni przed sądem, odbyła się rozprawa i skazano ich na deportację. Mimo wszelkich wysiłków, żadne z ich dzieci nie zostało dopuszczone do widzenia z nimi.

Dni mijały w odrętwieniu. Sophia czuła się, jakby żyła w jakimś nierealnym świecie, bo szok stłumił uczucia ich wszystkich. Wciąż nie potrafili przyjąć do wiadomości tego, co się stało. Co rano Sophia budziła się na wpół przeświadczona, że za chwilę usłyszy dobiegający z dołu głos

Loli i pozbawione jakiegokolwiek melodii pogwizdywanie Charlesa, i że to wszystko, co przeżyli, okaże się tylko okropnym snem. I nagle uświadamiała sobie, że cisza, w której był pogrążony dom, która przyprawiała o bolesne mdłości i trudności w oddychaniu, jest tylko potwierdzeniem, że to jednak zdarzyło się naprawdę. Wtedy wstawiała, szybko, żeby nie

Janet Tanner

dopadła jej rozpacz, i zbiegała na dół, by przygotować śniadanie. Zmuszała się, żeby przejść obok pokoju rodziców nawet doń nie zaglądając, choć miała przed oczami jego nienaturalną schludność

- nietknięte łóżko, które zasłała rano po bezceremonialnym wywleczeniu rodziców z domu, stojące na toalecie nie ruszone kosmetyki Loli, fajka Charlesa leżąca w popielniczce i jego stara marynarka z latami na rękawach wisząca na haku za drzwiami.

Obiecała sobie, że wszystko zostanie właśnie tak aż do ich powrotu, wszystko na swoim miejscu. A gdy czasami przychodziło jej do głowy, że może nie wróćą już nigdy, szybko odpędzała od siebie tę myśl. Musi wierzyć, że wróćą, kiedy skończy się wojna

- musi. Tylko to może ją utrzymać przy zdrowych zmysłach. Nie może pozwolić sobie na rozpacz - musi być silna dla innych.

Zarówno Catherine, jak i Paul bardzo źle znieśli wydarzenia tamtej nocy. Przez pierwsze dni Catherine tylko płakała, często również przez sen, i nie pozwalała Sophii odejść nawet na chwilę. Sophia potrafiła zrozumieć targające młodszą siostrą uczucia, bo pod wieloma względami Catherine była wciąż małym dzieckiem, hołubionym i rozpieszczanym przez wszystkich jako ukochane, najmłodsze dziecko w rodzinie. Jednak ciągła zapłakana obecność Catherine wzmagala napięcie, w jakim żyła Sophia, wystawiając jej zdolności do samokontroli na ciężką próbę. Jeśli zaś chodzi

o Paula, to Sophia szybko się przekonała, że nie może po nim oczekiwać wsparcia, jakiego się spodziewała. Bardzo często znikał z domu i często wracał po wielogodzinnej nieobecności dopiero po godzinie policyjnej. Sophia więc żyła w ciągłym przerażeniu, że i on zostanie schwytany i zesłany przez okupantów. Wiele nocnych godzin spędzała bezsennie, stojąc przy oknie

1 wyglądając pomiędzy firankami w czerń nocy, mając zszarpane ciągłym wyczekiwaniem nerwy. A gdy już był w domu, właściwie się do niej nie odzywał - chyba że go o coś zapytała, a i wówczas odpowiadał monosylabami.

I on również płakał. Pewnej nocy Sophia zeszła na dół i zobaczyła go siedzącego przy kuchennym stole, opartego głową o skrzyżowane ramiona i szlochającego gorzko. Ten widok tylko

OKO ZA OKO

213

pogłębił jej poczucie wyobcowania i nappełnił ją uczuciem jakiegoś nierozumnego żalu.

Wiedziała, że to niesprawiedliwe, bo przecież Paul także miał prawo do uczuć i ich uzewnętrzniania, ale mimo to czuła się zdradzona tymi jego przejawami rozpacz. Przecież był jej starszym bratem - czy nie miała prawa oczekiwać po nim pomocy? Stała w drzwiach dłuższy czas, nie wiedząc, co powinna zrobić, a gdy nagle uniósł głowę, Sophią wstrząsnął widok jego zapuchniętej od płaczu, czerwonej i zalanej łzami twarzy.

- Och, Sophio! Przepraszam... - Zakrył znowu oczy rękami, zaciskając dłonie w pięści. - Tak mi przykro...

- Daj spokój, Paul! Weź się w garść! - rzuciła cierpko, zdając sobie poniewczasie sprawę, że zabrzmiało to jak echo wypowiedzi Loli. - Wiem, że to straszne, ale musimy żyć dalej. Rozpacz nic nie pomoże.

- Ale ja powinienem tu być! - dobiegł ją stłumiony przez dłonie głos Paula.

- O czym ty mówisz?

- Kiedy to wszystko się stało, powinienem był tu być! Sophia westchnęła.

- To bzdura, i dobrze o tym wiesz. Twoja tu obecność wówczas niczego by nie zmieniła.

Najwyżej byłoby jeszcze gorzej, bo i ciebie mogliby aresztować.

Paul nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że pewnie ma rację, ale świadomość ta wcale nie podniosła go na duchu. Przez chwilę dręczące poczucie winy przytłoczyło go tak mocno, że omal nie wyjawił siostrze prawdy, dlaczego tak strasznie przeżywa to, co się stało. Ale zdołał się powstrzymać, bo chyba by nie zniósł pogardy, jaka wtedy zabłysła w jej oczach. Powiedział sobie, że cała prawda i tak by nic nie zmieniła. I miał rację. Ale nie mógł sobie wybaczyć, że ostatnimi słowami, jakie wymówił do swych rodziców, były kłamstwa. Bo tej nocy, kiedy ten Rosjanin szukał w ich domu azylu, gdy Lolę i Charlesa Niemcy wlekli do aresztu, on nie był u kolegi. Nie tylko oszukiwał rodziców, ale również zdradzał swego brata. Spędzał upojną noc z Vivien Moran.

Janet Tanner

Spotkał ją pewnego dnia przypadkiem w mieście. Pobieгла za nim, dopadła go i spytała, czy nie ma jakichś wieści o Nicku. Musiała oczywiście zdawać sobie sprawę, że to niemożliwe, bo jakkolwiek kontakt z kimś spoza wyspy był nierealny, ale i tak go zaczepiła. Sama rozmowa z Pauliem stanowiła dla niej namiastkę spotkania z mężczyzną, którego uwielbiała, a którego nie widziała tak długo, że wydawało się jej to wiecznością.

Viv doszła już do siebie po obrażeniach, jakie odniosła w czasie bombardowania. Straszliwe, nawracające bóle głowy, które dręczyły ją z początku, zdarzały się coraz rzadziej i nie były już tak ostre. Jej młode ciało odzyskiwało siły i zdrowie, ale mimo upływu już czterech lat od wyjazdu Niky'ego i aborcji, wciąż odczuwała straszną, bolesną pustkę. W początkowych dniach Nicky żył dzięki niej w jej sercu, lecz potem, gdy wspomnienia stały się niewyraźne i przypominały niemal już tylko słodki sen, powróciła do swego starego życia, zachłannie rzucając się w wir zabaw z przyjaciółmi, którzy niegdyś wydawali się jej tak atrakcyjni. Co prawda nie dawało jej to już tej samej przyjemności, jej wesołość była niemal wymuszona. Viv potrzebowała teraz czegoś głębszego, silniejszego, tęskniła za Nickym i tym, co ich łączyło. W pierwszej chwili, kiedy tylko-zauważyła Paula, przez moment była przeświadczona, że to Nick. Nie pierwszy raz zdarzyło się jej myśleć, że to on. Bywało, że goniła po ulicy jakiegoś obcego mężczyznę, by w końcu stwierdzić, że to nie Nick i że właściwie nie ma żadnego podobieństwa. Lecz pomyłki takie miały miejsce głównie w początkowych dniach po jego wyjeździe, kiedy jeszcze Nick stanowił jej obsesję. Tym razem szok był inny, bardziej zrozumiały, bo od czasu, gdy go ostatni raz widziała, Paul dorósł i jednocześnie niezwykle upodobił się do brata.

Z bliska oczywiście podobieństwo nie było tak uderzające. Twarz Paula była okrąglejsza niż Nicky'ego, nie miała tych rysów, dzięki którym Nick był tak porażająco przystojny. W prze-

ciwieństwie do brata Paul miał proste włosy, czesane z przedziałkiem, a jego oczy były jasnobrązowe, a nie zaskakująco fioletowe

OKO ZA OKO

215

jak u Nicka. Ale podobnie jak Nicky był wysoki i dobrze zbudowany, a rodzinne podobieństwo wystarczająco silne, by serce dziewczyny zamarło na chwilę.

Tego pierwszego dnia Vivienne nie myślała o niczym innym poza rozmową o Nickym. Jednak potem uświadomiła sobie, że nie może przestać myśleć o Paulu. W nocy śniła o nim w dziwnym, pomieszanim śnie, a gdy się obudziła, wciąż otaczała ją aura tego snu; jakby dwaj bracia stopili się nagle w jednego mężczyznę.

Viv rozpytała się nieco i dowiedziała się, że Paul opuścił szkołę i pracuje jako urzędnik w banku. Pewnego popołudnia czekała na niego przed bankiem, a gdy wychodził, wpadła na niego niby przypadkiem. Tym razem jednak mimo wszystko nastawiona była na to, że Paul ją w jakiś sposób rozczaruje. Nie była głupia i zdawała sobie sprawę, że w otaczającej ją bolesnej samotności usiłuje wykorzystać go jako substytut Nicka. Jednak kiedy go zobaczyła, przeżyła to samo, co przy pierwszym spotkaniu. Owszem, Paul był od niej o trzy lata młodszy. Owszem, nie był Nickiem. Ale było w nim to cudowne echo Nicka, wzbudzające na nowo wszystkie już niemal zapomniane uczucia i podniecenie.

Zaczęli się regularnie spotykać i wkrótce Viv opanowała obsesja odtworzenia tego, co ją łączyło z Nickiem. Nie wystarczyło już bycie z kimś, kto wyglądał jak Nicky, kto był niemal Nickiem, pragnęła więcej. Potrzeba stała się fizyczna, przeszła w coś, co czuła w każdej komórce, jakby jej ciało rwało się do niego, każdy mięsień, każdy nerw, każdy cal skóry prosił o dotknięcie i pieszczotę. Czasami, gdy ich oczy się spotykały, serce biło tak mocno, że brakowało jej tchu.

Któregoś wieczoru, kiedy spacerowali w miękkim mroku, nie wytrzymała. Schwyciła jego rękę, odwróciła go w swoją stronę i uniosła twarz. W tym momencie czuła zarówno pragnienie, jak lęk - lęk, że on się odwróci, że gdy ją pocałuje, opadnie to wspaniałe, delikatne podniecenie. Ale Paul wziął ją w ramiona, a gdy ich usta się zetknęły, niemal uwierzyła, że to Nick. Jego

Janet Tanner

skóra pachniała tak samo, twarde ciało było urzeczywistnieniem snów. Ciemne, falujące morze uniosło się na spotkanie bezgwiezdneho nieba, a Vivienne płynęła gdzieś pomiędzy nimi. Ale to było tak mało - tak mało! Musiała dostać więcej! Kombinowała, planowała, uwodziła, a Paul, choć czuł się nieco winny, był chętnym partnerem. Vivienne już sama w sobie była nieodparcie atrakcyjna, a świadomość, że to dziewczyna brata, dodawała tylko smaczku. Paul zawsze czuł się nieco w cieniu brata. Może taki jest los młodszych braci, ciągle biec, by nadążyć za starszymi. A Nicky zawsze był takim złotym chłopcem, przystojnym i lubianym, dobrym we wszystkim, co robił. Nigdy nie odpędzał Paula, nigdy nie dawał mu odczuć swej wyższości, ale właśnie sama ta jego dobroć charakteru sprawiała, że Paul czuł się niepewnie. Nigdy nie umiał być taki jak Nick, nigdy nie był tak dobry, nigdy nie był tak lubiany. W porównaniu ze starszym bratem czuł się zawsze niezdara, beznadziejnym fajtlapą, wciąż dzieckiem.

Dopiero gdy Nick wyjechał, Paul zaczął być sobą. Jego szybkie dorastanie zbiegło się z awansem na jedyne go syna Carteretów na wyspie i dzięki temu Paul pierwszy raz w życiu poznał uczucie pewności siebie. Bawił się tym - i dziwną władzą, którą miał nad napotykanymi dziewczynami. Kręciły się wokół niego, robiły do niego oczy, zabiegały o jego względy, nie pozostawiając cienia wątpliwości, iż uważają go za niezwykle atrakcyjnego. A Paul coraz bardziej nabierał pewności siebie.

Lecz Vivienne Moran była inna. Ani trochę nie przypominała dziewcząt, które się za nim uganiały. W oczach Paula była niemal boginią. Wielił ją na odległość w czasach, kiedy spotykała się z Nickiem, a teraz ją niemal czcił. Ale nigdy w życiu nie przyszło mu do głowy, że mógłby ją mieć.

Gdy ją całował pierwszy raz, drżał z lęku i ostrego pożądania. Udało mu się dobrze skryć te emocje - nie wyczuła ich. W dodatku ku jego bezbrzeżnemu zdumieniu odniósł wrażenie, że Viv chce go jeszcze całować! I to nie tylko! W ciemnościach jej ciało przylgnęło do niego z taką siłą, że myślał, że oszaleje

OKO ZA OKO

217

z pożądania. Gdy wsunął jej dłoń pod bluzkę, nie tylko nie protestowała, ale jeszcze mu to ułatwiła. Dotknąwszy jej jędrnych, ciężkich piersi, Paul nie potrafił już myśleć o niczym innym jak tylko o kochaniu się z nią, choć nigdy nie opuściła go myśl, że idzie w ślady brata.

Wkrótce Paul miał obsesję na punkcie Viv. Myślał o niej stale i ciągle marzył, żeby z nią być sam na sam - i to tak naprawdę. Nikomu z rodziny nie powiedział, że się z nią widuje. Sam miał wyrzuty sumienia, więc był przekonany, iż zarówno rodzice, jak i zapewne Sophia, uznaliby, że to zdrada wobec Nicka. A gdy Viv mimochodem wspomniała pewnego popołudnia, że jej matka wyjeżdża na weekend i że Paul mógłby wówczas przyjść, nie bąknął na ten temat w domu ani słowa. I choć był podniecony do granic możliwości, zdołał bez mrugnięcia okiem zapowiedzieć, że zostaje na noc u kolegi z banku. Z ulgą zauważył, że wszyscy mu uwierzyli.

Podobnie jak Carteretowie, obie panie Moran również zostały usunięte ze swego domu, ale pozwolono im zamieszkać w domku na terenie ich posesji, pomyślanego jako locum dla zarządcy lub ogrodnika i nigdy nie wykorzystywanego. Loretta i Viv nadal korzystały ze swego basenu i kortów tenisowych, z powodzeniem balansując pomiędzy fraternizowaniem się z niemieckimi oficerami a antagonizowaniem ich. Niektórzy wyspiarze nazywali Lorette Moran kolaborantką lub nawet „szwabską dziwką”, ale nie mieli racji. Loretta była zdecydowana przetrwać - a jako nadal wystarczająco piękna mimo wieku czterdziestu pięciu lat, wciąż umiała radzić sobie z mężczyznami, nie dając właściwie nic w zamian.

Miała jednak w Rozel „przyjaciela” - artystę, który bywał częstym gościem na sławnych ogrodowych przyjęciach, jakie organizowała z Adrianem przed wojną. Teraz jednak ta przyjaźń rozkwitła i Loretta po wywołanej okolicznościami trzyletniej separacji z mężem spędzała czasami weekendy w Rozet. Ten weekend był jedną z takich okazji. Kiedy Paul dotarł do domu Viv, był spięty i zdenerwowany.

Janet Tanner

Dobrze wiedział, na co się zanosi i umierał z podniecenia na samą myśl o tym, ale jednocześnie szalał z niepokoju, że coś może pójść nie tak i że ją rozczaruje. Mokrymi z potu palcami obracał w kieszeni paczuszkę „francuskich pokrowców”, które zdołał jakoś wytropić i zdobyć - samo w sobie niezłe osiągnięcie, biorąc pod uwagę, że braki w zaopatrzeniu obejmowały nie tylko paliwo, żywność i odzież. Choć ich zakup łączył się ze strasznym zażenowaniem, świadomość posiadania prezerwatyw sprawiała, że czuł się bardziej męsko i pewniej. Przynajmniej Viv nie będzie mogła go oskarżyć o brak ostrożności. A jeśli rzeczy nie ułożą się po jego myśli, nie będzie w ogóle musiała wiedzieć, że je miał.

Paul nigdy dotąd nie był u Viv i widok rozległego, utrzymywanego przez Niemców w idealnym stanie terenu wywarł na nim takie wrażenie, że chłopak niemal zwątpił w siebie. W porównaniu z tym ogródek Carteretów był wielkości znaczka pocztowego! A dom, gdzie Viv i jej matce pozwolono mieszkać, był wspaniały - mały budynek z wielkimi oknami i kominkiem, w którym płonęły polana.

- Jakim cudem zdobyłaś drewno do kominka? - spytał Viv, mając w pamięci trociny i resztki po okorowywaniu, którymi zadowalała się jego rodzina.

- Och, szkopszy oficerowie nam dostarczają - odparła lekko Viv. - Chyba czują się zobowiązani, bo mieszkają w naszym domu.

Tego wieczora wyglądała wyjątkowo pięknie w kremowym sweterku i tabaczkowych spodniach z szerokimi nogawkami. W przeciwieństwie do większości wyspiarzy Viv nie odczuwała ograniczeń, jakie niosła ze sobą okupacja - kolejny powód, dla którego ludzie popatrywali na siebie porozumiewawczo na jej widok. Ale znowu te podejrzenia były bezpodstawne. Viv miała niemal dokładnie te same kształty i wymiary, co jej matka, a niesłychanie rozbuchana garderoba Loretty z powodzeniem wystarczyłaby im obu na dziesięć lat.

- Zrobiłam kolację - powiedziała Viv. - Ale chyba powinnam cię ostrzec, że kiepska ze mnie kucharka.

OKO ZA OKO

301

W jej głosie pobrzmiwało jakieś ledwie dosłyszalne drżenie, które sprawiło, że Paulowi przemknęło przez myśl, że może ona także jest zdenerwowana. Nie bardzo mu się chciało w to wierzyć, ale nigdy nic nie wiadomo. W końcu on sam, będąc wewnątrz rozdygotaną galaretą, potrafił to ukryć. Ale Viv... nie umiał myśleć o niej inaczej niż tylko jako o całkowicie panującej nad sobą.

Poszedł za nią do kuchni, choć jedzenie było w tej chwili ostatnią rzeczą, jaka by mu przyszła na myśl. Na piecu dyszał parą spory garnek. Viv uchyliła pokrywkę i dziabnęła kilka razy widelcem gotujące się wewnątrz jarzyny.

- Dlaczego rzepa tak długo się gotuje? - spytała i znów w jej głosie zabrzmiało to dziwne napięcie. - Ziemniaki już są gotowe. Patrz! - Jak na zamówienie jeden z ziemniaków rozpadł się na połówki, po czym rozsypał się zupełnie i zniknął w sosie. - O, Boże! - jęknęła dziewczyna. - Co za wstyd! Mówiłam ci, że nie jestem dobra w gotowaniu.

- A ja myślę, że jesteś cudowna we wszystkim - odrzekł Paul, sam zaskoczony własną śmiałością.

- Och, Paul! - Jej zielone oczy nagle pojaśniały, a rysy twarzy zmiękły. Paul poczuł gdzieś wewnątrz coś dziwnego.

- Chodź tu! - powiedział chrapliwie.

Podeszła wciąż trzymając w ręce widelec. Wyjął go jej z dłoni, odłożył na stół, przyciągnął dziewczynę do siebie i pocałował. Natychmiast znów poczuł, jak jej ciało przylgnęło do niego, a usta poddały się aż nazbyt ochoczo, i we wszechogarniającym przyplwywie żądzy zapomniał o swej nerwowości.

Boże, jaka ona była piękna! Chciał jej nieprzytomnie! Kiedy jej ciało przywarło do niego, wsunął dłoń pod kremowy kaszmir jej sweterka i z kolejnym dreszczem podniecenia odkrył, że nie ma na sobie stanika. Tak wiele dziewcząt owijało się hektarami sztywnego elastiku i gumy, a Viv miała na sobie tylko jedwabną haleczkę. Paul pieścił dłonią jej piersi, napotkał sutki, twarde i wezbrane, a pod jego dotykiem wzbierające jeszcze bardziej. Jęknęła, wygięła się w łuk i docisnęła uda do jego ud, a on

Janet Tanner

wsunął dłoń pod jej luźne spodnie. Przez chwilę był zaskoczony; haleczka była dłuższa niż przypuszczał, zakrywała nie tylko piersi i brzuch, ale także pośladki, kończąc się między jej udami lekkim fałdem jedwabiu. Ale z ulgą stwierdził, że pod nim nie ma już żadnych przeszkód. Serce mu biło tak mocno, że tracił dech. Wciąż trochę się lękał, że może jednak teraz Viv go powstrzyma, więc ostrożnie i powoli, pomalutku, przesuwał palce po jej jedwabistej skórze, aż dotarły do mięciutkich włosów łonowych i jędrnej, wilgotnej z pożądania szparki. Dotknął jej brzegów i zadrżał z podniecenia. I wtedy, gdy już był pewien, że tu, zaraz, zacznie szczytować, odsunęła się od niego. Jej policzki były zaróżowione, a oczy lśniły dzikim blaskiem. Paul spróbował przyciągnąć ją z powrotem do siebie, ale wzięła go za rękę i pociągnęła do małego, przytulnego salonu. Tam ściągnęła z sofy i foteli poduszki i rzuciła je na podłogę przed kominkiem. Chciał ją chwycić i pociągnąć na podłogę, ale znów mu się wyrwała, skrzyżowała ręce i jednym szybkim ruchem zdjęła sweterek przez głowę. Chłopakowi zaparło dech w piersiach, kiedy zobaczył po raz pierwszy jej piersi, pełne i kremowe w migoczącym świetle płomieni, z ciemnymi talerzykami wokół wezbranych sutków. Nigdy w życiu nie widział jeszcze nic tak pięknego.

Wyślizgnęła się ze spodni, pozwalając, by wraz z haleczką opadły na ziemię, i stanęła przed nim zupełnie naga. Paul jak zahipnotyzowany pochłaniał ją wzrokiem, napawając się każdym fragmentem jej ciała. W tym momencie był tak zachwycony jej pięknem, że nawet jego szaleńcza żądza zesłała na chwilę na dalszy plan. Dziewczyna wyciągnęła ręce i zaczęła mu rozpinąć koszulę, a potem wsunęła obie dłonie pod nią i pieściła jego pierś. Gdy poczuł lekkie drapanie jej paznokci, zanurzył twarz w jej cudownych piersiach, całując je i ssąc, nieświadom, że Viv nadal go rozbiera. Byli oboje nadzy.

Wtem opadł go znów lęk - lęk, że zbyt szybko i zbyt łapczywie rzuci się na te cudowności, lęk, że może ją urazić - i dręcząca świadomość, że w jakiś sposób musi wydobyć

OKO ZA OKO

304

„francuski pokrowiec” i założyć go, nie robiąc przy tym z siebie idioty i nie psując nastroju. W jednym momencie znów się poczuł niedorajdą, młodszym bratem, pozbawionym doświadczenia Nicka. Ale nagle Viv puściła go, położyła się na poduszkach przed kominkiem i wyciągnęła do niego ręce. Gwałtowny nawrót podniecenia ułatwił sprawę. Duch Nicky'ego znikł w ciemnościach, był tylko Paul, była Viv i ich pożądanie.

Zbyt szybko było po wszystkim. Jeszcze nim dreszcze szczytowania minęły, Paul wiedział, że jednak zbyt się pośpieszył - ale po prostu nie był w stanie się powstrzymać. Leżąca pod nim Viv wciąż pojękiwała i wiła się, więc nadal się w niej poruszał - choć wiedział, że jego erekcja już zanika. Modlił się więc, żeby ona też już skończyła, póki prezerwatywa jeszcze się trzyma. W zrodzonej z desperacji chwili olśnienia wyszedł z Viv i pieścił ją dalej palcem, aż wreszcie poczuł, jak jej ciało zaczyna się wyginać w łuk, jak narastają w niej spazmy szczytowania. Pocił się, strumienie ściekały mu po twarzy, lecz podniecenie zmieniło się teraz w zupełnie inną potrzebę, żądza w satysfakcję ze świadomości, że dostarcza dziewczynie rozkoszy. Kiedy Viv osiągnęła orgazm, wbiła mu w plecy paznokcie, zacisnęła nogi wokół jego muskularnego uda i krzyknęła. Paul poczuł, że dziewczyna się rozluźnia i wówczas stoczył się z niej, kurczowo trzymając w dłoni prezerwatywę. Nagle stało się dla niego niezwykle istotne, by nie pobrudzić tego barwnego, jasnego dywanu, choć jeszcze kilka minut temu nie przeszłoby mu przez myśl nawet to, że w ogóle jest pod nimi jakiś dywan.

- Gdzie jest łazienka? - spytał, znów czując skrępowanie i niezręczność, jakby osiągnięta przed chwilą rozkosz nigdy się nie pojawiła.

Powiedziała mu. Jej głos był wciąż ciężki - jak sądził, od namiętności. Paul sięgnął po swą koszulę i wziął ją ze sobą. Nie wiedział dlaczego, ale teraz wstydził się swej nagości i nim wrócił, włożył koszulę.

Viv nadal leżała tam, gdzie ją zostawił, a jej wspaniałe ciało ciągle oświetlały płomienie z kominka. Paul ukląkł obok niej i pochylił się, by ją pocałować, lecz Viv odwróciła twarz.

Janet Tanner

- Viv? - szepnął i dostrzegł na jej twarzy lzy. Przepelniła go czułość i nagle poczuł na powrót przyływ mocy. - Wszystko w porządku - powiedział, gładząc ją po głowie i odsuwając jej włosy od ognia. - Naprawdę. Wszystko w porządku. Było bezpiecznie i nic się nie wydostało.

Dziewczyna nie odpowiedziała, tylko coś jej zagulgotało w gardle. Paulowi przyszła do głowy inna myśl.

- Chyba nie zrobiłem ci krzywdy?

Wciąż nie było odpowiedzi. Tylko cisza i lzy, i czasami dreszcz przebiegający jej ciało.

- Może lepiej się ubierz - rzekł. - Przeziębisz się.

Jego słowa zdawały się rozrywać jej samokontrolę. Nagle wybuchnęła niepohamowanym płaczem, a ciałem zaczęły wstrząsać szlochy.

- Viv! - niemal krzyknął, przestraszony. - Co ci jest? Co się stało?

Z początku nie rozumiał jej słów. Były tylko zagubionym we łzach szeptem.

- Jak mogłam? Jak mogłam to zrobić? Och, Boże! Wybacz mi!

- Viv, nie! - szepnął błagalnie. - Przecież tego chcieliśmy! Oboje! I było ci dobrze. Viv...

Nagle usiadła, a przez lzy jej oczy błyszczały jakoś dziwnie.

- Ty nic nie rozumiesz! Nie rozumiesz, co zrobiłam?!

- Kochałaś się ze mną. Czy to źle?

- Tak! Tak!

- Ale dlaczego? - dopytywał się, zaskoczony i urażony. - Co w tym złego?

- Och, Paul! - Zatopiła twarz w dłoniach. - Ty naprawdę tego nie rozumiesz?

- Czego?

- Że to nie z tobą się kochałam. Z Nickiem!

Paul zmartwiał. Nagle poczuł się, jakby się pod nim rozstąpiła ziemia, a on spadał, spadał do tak głębokiego i ciemnego lochu, że już nigdy nie zdoła się wydostać.

- Nie rozumiesz? - szlochala dalej Viv. - Myślałam, że będę

OKO ZA OKO

307

mogła znów być z nim, tak jak było kiedyś. A obu was zdradziłam. Och, Paul, tak mi przykro! Nie patrz tak na mnie, proszę!

- Myślałem, że mnie pragniesz - powiedział drewnianym głosem.

- Bo tak było, pragnęłam cię! Tylko że... Och, wszystko tak mi się mieszało w głowie. Ty i Nicky, jesteś do niego tak podobny!

- To znaczy, że wcale mnie nie chciałaś - rzekł Paul równie płaskim, bezbarwnym głosem.

Spojrzała na niego przez łzy.

- Nie, to nie tak. To nieprawda! Ja cię naprawdę chciałam... Chyba. Tylko...

- Jak przyszło co do czego, to ja nie jestem Nickiem. - Ból był nie do zniesienia. Chciał ją uderzyć, sprawić jej taki sam ból, jaki ona zadała jemu, ale nie potrafił. Za bardzo ją kochał.

- Nie, ty nie jesteś Nick - powiedziała cicho, spokojnie.

- A co on takiego robił, czego ja nie zrobiłem? W czym jest mój błąd? - Nie mogąc wyrzucić gniewu na dziewczynie, Paul zwrócił wściekłość i urazę na siebie.

- Nie popełniłeś błędu, Paul. To nie twoja wina... - Przestała już płakać i patrzyła na niego ze smutkiem.

- Nie próbuj mnie pocieszać. Nie oszczędzaj mnie, Viv. Wiem, że w porównaniu z nim jestem niezdarnym...

- Przynajmniej nie zrobiłeś mi dziecka - odrzekła. - A przynajmniej mam taką nadzieję...

Chwilę trwało, nim jej słowa przedarły się przez opary żalu i samooskarżeń. Paul wgapiał się w nią z otwartymi ustami, a ona nagle się roześmiała - cichym, ostrym śmiechem.

- O rany! Nie chciałam tego powiedzieć. No, ale szydło już wylazło z worka, prawda?
- Nicky... zrobił ci dziecko? - Paul szukał słów, oglądał je uważnie. Ale był nimi przytłoczony. -
Kiedy? Jak?
- Myślę, że „jak” jest raczej jasne. - Pojawiła się na moment stara, złośliwa Viv. - A co do „kiedy”, to tuż przed wyjazdem.
- Wiedział o tym?

Janet Tanner

Pokręciła głową.

- Nie. Przecież ci mówiłam. To było tuż przedtem, nim wyjechał.

- I... co się stało? Skoro byłaś... co się stało z dzieckiem?

- Zrobiłam skrobankę. Och, nie patrz tak na mnie, Paul. Przecież nie miałam wyboru. Nie jestem dumna z tego, co zrobiłam, ale stało się.

- Myślałam, że skrobanki są zabronione.

- Bo są. Ale za pieniądze można kupić prawie wszystko, wiesz? Zresztą nie nazywano tego skrobanką ani aborcją. Określono to jako „wyrostek robaczkowy”, „zapalenie ślepej kiszki” czy jakoś tak. Słuchaj, naprawdę nie mam ochoty o tym rozmawiać. Nie powinnam była ci mówić. To chyba nieuczciwe, skoro Nicky o tym nie wie.

Paul spuścił pięść na podłogę z głośnym łupnięciem.

- Nicky! Nicky! Nicky! Nicky'ego tu nie ma! Ja jestem!

- Wiem. Powiedziałałam już, że mi przykro. - Wstała nagle, bardzo rzeczowa. - Słuchaj, muszę zajrzeć do gulaszu. Włączę też boiler, to będziemy się mogli wykąpać.

Wyszła do kuchni, a Paul ubrał się w stanie kompletnego szoku. Czuł się tak, jakby spuszczone mu na głowę ogromny młot. Miał na ten weekend takie wspaniałe plany, tymczasem wszystko spaliło na panewce. I to nie tylko na płaszczyźnie damsko-męskiej. Jego dwa bożyszcza zostały zrzucone z piedestałów - brat, którego czcił jako bohatera, wyjechał i zostawił swoją dziewczynę w ciąży, a jego bogini była po skrobanke. Paulowi zbierało się na wymioty. Nie miał pojęcia, jak zdoła tu teraz pozostać. Przemknęło mu przez głowę, że mógłby po prostu iść do domu. Było już po godzinie policyjnej, ale nabranie w płuca świeżego powietrza i zamknięcie się na stryszkę sam na sam z myślami warte było podjęcia ryzyka. Wiedział jednak, że gdyby się nagle pojawił w domu, musiałby odpowiedzieć na kilka pytań pełnych podejrzeń rodziców.

Później Paul żałował z całego serca, że nie poszedł za głosem instynktu i nie wrócił do domu. Nie mógłby, oczywiście, uratować

OKO ZA OKO

310

Charlesa ani Loli, ale przynajmniej by tam był. A zamiast tego pozostał z Viv, choć atmosfera między nimi była napięta i niezręczna. Zjedli, ile mogli, nieapetycznego gulaszu, wykapali się kolejno w wielkiej, blaszanej wannie i położyli się oddzielnie spać w sąsiadujących ze sobą łóżkach w pokoju Viv. Nawet się nie pocałowali na dobranoc. Nazajutrz Paul poszedł do domu, mając duszę ciężką od żalu i urazy, i dowiedział się, że jego rodziców aresztowano. Poczucie winy było przytłaczające. Czuł się, jakby osobiście skazał ich swym oszustwem, a tym samym pogrążył samego siebie.

Tego dnia, gdy Lola i Charles zostali skazani na zesłanie do obozu koncentracyjnego w Niemczech, Paul wypił do końca brandy z butelki napoczętej przez rosyjskiego zbiega. Nic mu to nie pomogło, ale choć na chwilę dało błogosławioną nieświadomość. A kiedy już wyleczył kaca, wypił całą butelkę whisky. Kiedy zaś nie została już ani kropla alkoholu, zaczął krążyć po domu w ponurym milczeniu, czując się jak w pułapce.

Gdy ta myśl przyszła mu do głowy po raz pierwszy, odepchnął ją od siebie, ale wracała ciągle i prześladowała go, a z każdym nawrotem wydawała się coraz bardziej wykonalna i wręcz pożądana. Jersey stało się wyspą-więzieniem, gdzie schwytano go wraz z jego poczuciem winy i rozpaczą. Teraz nawet świadomość, że Viv znajduje się gdzieś w promieniu najbliższych kilkunastu mil, stanowiła dla niego torturę. Coraz częściej myślał więc o małej łódce Charlesa, która przetrwała wyprawę do Dunkierki i mogłaby dać szansę ucieczki. Gdyby zdołał uciec, gdyby zdołał się dostać do Anglii, mógłby przynajmniej wstąpić do wojska i zrobić coś pożytecznego, pomóc w tej wojnie. Byłoby to lepsze, niż przesiedzenie całej wojny tutaj,

bezradnie i bezsilnie, mogłoby to osłabić nieco to przytłaczające poczucie winy i choć trochę poprawić nastrój.

I tak - pewnej bezksiężycowej nocy, gdy jego siostry spały, Paul wyślizgnął się z domku i zakradł się do hangaru z łodziami. Wyprawa go nie przerażała, bo wychował się z morzem we krwi, a nie dopuszczał do siebie myśli o tym, co mogłoby się stać,

Janet Tanner

gdyby go schwytano. Zresztą powiedział już sobie, że byłoby to niemal poetyckie zadośćuczynienie, gdyby również jego zesłano albo postawiono przed plutonem egzekucyjnym. Lecz nie schwytano go. W chwili gdy Sophia wstała rano i znalazła krótki liścik od Paula, wyjaśniający co zrobił, jej brat był już daleko od Jersey, niemal dopływał do Anglii. I po raz pierwszy od momentu, gdy opuścił Viv i wrócił do domu, by się dowiedzieć o aresztowaniu rodziców, odnalazł spokój.

Kiedy Bernard usłyszał, że Paul uciekł z Jersey, wpadł we wściekłość. W normalnych okolicznościach zapewne podziwiałby jego odwagę, ale to nie były normalne okoliczności. Minęło zaledwie kilka tygodni od chwili, gdy Charlesa i Lolę deportowano. Teraz Sophia i Catherine zostały zupełnie same.

Od sierpnia, gdy zabrał ją do opery, Bernard widywał się z Sophią dość często. Chodzili na spacer, do kina, gdzie wyświetlano niemieckie filmy z angielskimi napisami, bywali nawet na tańcach w Forum's Golden Lounge. Lecz mimo że romantyczna strona ich stosunków nie rozwijała się tak szybko, jak by na to miał ochotę Bernard, to powtarzał sobie, że musi być cierpliwy. Nie chciał jej poganiać albo nawet spłoszyć. Przynajmniej mógł się z nią widywać dwa-trzy razy na tydzień, a ona chyba lubiła jego towarzystwo. Dopóki zdołał podtrzymać te stosunki, dopóty istniała szansa, że przyjaźń zmieni się w miłość. W chwilach optymizmu myślał nawet, że być może już jest w nim zakochana, ale brakuje jej śmiałości, by okazać uczucie. Tak, właśnie tak musi być, bo dlaczego nie spotyka się z żadnym innym chłopakiem? Niemniej lęk przed jej utratą był tak silny, że Bernard traktował Sophię z największą ostrożnością. Nie zniósłby tego, gdyby mu kiedyś powiedziała, że już go więcej nie chce widzieć. Bez Sophii życie nie miałyby już sensu.

W strasznych dniach po deportacji Loli i Charlesa Bernard robił wszystko, by jakoś pomóc, choć nie bardzo wiedział, czy potrafi. W końcu nikt nie był w stanie zmniejszyć rozmiarów
OKO ZA OKO

227

tragedii, a Sophia bardzo często sprawiała wrażenie, jakby chciała po prostu zostać sama. Właściwie jedyne, co mógł zrobić, to być tam i dawać do zrozumienia, że chce być pomocny, a ona to zauważała. Wszystko ponad to byłoby już pakowaniem się z butami w cudze problemy. Jednakże tego ranka, gdy Paul odpłynął z Jersey, Bernard zdecydował, że nie może już stać bezczynnie. Ucieczka Paula wszystko zmieniła.

Wiadomość dotarła do niego jako plotka - ktoś z elektrowni był w banku, a tam wszyscy żyli tylko tym. Jersey miało zupełnie nowego bohatera i wszyscy chcieli rozmawiać tylko o nim. Ale Bernard był zaszokowany. Nie mógł uwierzyć, że Paul zachował się tak niedpowiedzialnie wobec swych sióstr. Powiedział więc swemu bezpośredniemu przełożonemu, że wychodzi na godzinę, czy mu ktoś pozwoli, czy nie, i ruszył do dentysty, gdzie Sophia pracowała. Tam się dowiedział, że dziewczyna wzięła wolny dzień, więc wsiadł na rower i popedałował do St Peter - ale i tam nikogo nie zastał.

Obszedł domek wokół, zaglądając przez okna i czując zupełną bezsilność. Domyślał się, że pozostawiona sama z Catherine Sophia musi być rozdygotana i nie wie, w którą stronę się zwrócić. Poza tym musi być okropnie zdenerwowana - przecież fakt, iż Paulowi udało się niepostrzeżenie opuścić Jersey, nie oznaczał jeszcze, że daleko uciekł. Mógł go schwytać patrolowiec i rozwalić z karabinu maszynowego. Mógł wpaść w sztorm - Kanał o tej porze roku jest zdradliwy. A kto wie, może rozstrzelano go lub zbombardowano w samej już Anglii, gdy niespodzianie pojawił się na brzegu. Wszystko mogło się zdarzyć, więc Sophia, która przecież nie była idiotką, musiała się zamartwiać o niego na śmierć.

Bernard powrócił przed front domku, zerkając w okna na piętrze i zastanawiając się, co robić. Czy ma iść i szukać Sophii? Ale gdzie? Jego rozmyślania i nerwową przechadzkę wokół domku przerwało pojawienie się jadącej na rowerze, podskakującej na wybojach Sophii. Zsiadła przy bramie.

Janet Tanner

- Witaj, Bernardzie! Co ty tutaj robisz? - spytała. Bernard poczuł, że zaczyna się naprawdę denerwować.

- Gdzie byłaś? - spytał. - Martwiłem się o ciebie.

- A dlaczego? Byłam w sklepie, wykupić kartki. I chyba się nie umawialiśmy? Nie powinieneś być teraz w pracy?

- Właściwie powinienem - odparł Bernard, podenerwowany jej dobrym nastrojem. - Zwolniłem się na parę godzin, bo myślałem, że jesteś w rozpacz. Ale chyba się myliłem.

- Och, Bernardzie! - Sophia była pełna skruchy. - Przepraszam, jeśli się zawiodłeś. Chodź, wstawię wodę. Miałam szczęście i dostałam ćwierć funta prawdziwej herbaty. Chyba pani Philips mi współczuje.

Bernard poszedł za nią posłusznie do kuchni.

- Gdzie jest Catherine?

- W szkole. Och, na miłość boską, nie patrz tak! Czego się spodziewałeś? Że będę konała z rozpacz, bo Paul wyjechał i zostawił nas? Zapewniam cię, że gdybym miała tak się zachowywać, to stałoby się to po deportacji mamy i taty. Paul przynajmniej wyjechał z własnej woli.

W jej głosie zabrzmiała jakaś twarda nuta. Bernard patrzył na nią z zaskoczeniem. To nie była jego Sophia, ta dziwnie samodzielna młoda kobieta, dająca sobie świetnie radę w okropnych okolicznościach. To po prostu nie było do niej podobne!

Sophia spokojnie poruszała się po kuchni, wykładając przywiezione warzywa i podpalając pod czajnikiem.

- Wiedziałaś, że Paul ma zamiar wyjechać? Pokręciła głową.

- Nie. To było dla mnie kompletne zaskoczenie i szok. Ale chyba się zaczynam przyzwyczajać do wstrząsów. Powinam, bo ostatnio sporo mi się ich trafia.

- A więc... co teraz zrobisz?

- Co masz na myśli?

- No, jesteś teraz zdana wyłącznie na siebie. Zaśmiała się krótko.

OKO ZA OKO

229

- A czego się po mnie spodziewasz? Będę dalej pracować i dbać o siebie i Catherine. Przecież nie mam wyboru.

Bernard przełknął z trudem.

- Owszem, masz wybór.

Sophia podniosła na niego wzrok, trzymając w ręku czajnik.

- A jakież to?

- Mogłabyś wyjść za mnie za mąż.

Czuł, jak mu się pocała dłoń. Nie wierzył niemal, że to powiedział. Od wielu tygodni chciał ją o to prosić, planował, marzył o tym, lecz bał się.

Teraz jednak, gdy Paul wyjechał, nie myślał o niczym innym, tylko by się nią zaopiekować, a intensywność tej potrzeby przełamała nawet lęk przed odrzuceniem. Nie miała przecież nikogo innego, potrzebowała go. Nie odstraszała go nawet ta twarda nuta w jej głosie, chłód wzroku.

Uznał, że to przykrywka, obrona przed tym wszystkim, co jej się przydarzyło. Serce Bernarda było przepelnione miłością. Jeden Bóg wiedział, jaka może być ich przyszłość, ale przynajmniej może opiekować się Sophią i Catherine. Jakoś im zapewni porządne życie.

Sophia wpatrywała się w niego z zaskoczeniem na twarzy.

- Wyjść za ciebie?

- Tak. Och, wiem, nie chodzimy ze sobą długo, ale ja cię kocham, Sophio, bardzo cię kocham. Nie mogę znieść myśli, że siedzisz tu zupełnie sama, w dodatku odpowiedzialna za Catherine, kiedy Niemcy... Mogę cię uszczęśliwić, Sophio, jestem pewny... na ile to w ogóle możliwe w tych okolicznościach...

- Nie! - odparła niemal niesłyszalnie. Niespodziewanie po jej twarzy potoczyły się łzy. Odstawiła czajnik i otarła je obiema rękami, lecz one wciąż tam były, odbierając jej głos i wprawiając całe ciało w drżenie. - Bernardzie, jesteś taki dobry! Ale ja na ciebie nie zasługuję, naprawdę. Nie mogę wyjść za ciebie za mąż, nie w ten sposób. To by było nieuczciwe.

- Nieuczciwe? Wobec kogo? Mnie? Sophio, nic mnie to nie obchodzi! Nie rozumiesz? Kocham cię i chcę się tobą opiekować. Tylko to się dla mnie liczy!

Janet Tanner

- Nie, nie, Bernardzie! Zaslugujesz na coś lepszego, niż ja ci mogę dać. Ja jestem wyprana z wszystkich uczuć. Nic nie zostało - nic! Jesteś kochany, że to proponujesz, ale dam sobie radę. Bernardowi zaczęło się robić niedobrze. Wszystko szło nie tak.

- Sophio...

- Proszę, Bernardzie, nie naciskaj. Doceniam twoją propozycję, ale jej nie chcę. Nie teraz. Bernard odwrócił się do drzwi.

- W porządku. Rozumiem, że powinienem już iść.

- Nie! Proszę, nie idź! Nie chcę, żebyś się czuł... O, Boże! Nie wiem, co chcę powiedzieć...

Naprawdę będzie mi przykro, jeśli nie będziesz się już ze mną spotykał. Będzie mi cię brakowało. Ale nie mogę wyjść za ciebie za mąż. Nie teraz. Och, proszę, zrozum...

Łzy płynęły już niepowstrzymanym strumieniem. Jakoś bezwiednie, nagle, znaleźli się w swych ramionach. Bernard tulił ją do siebie, a ona szlochała. Niewytłumaczalne, ale poczuł się lepiej.

Łzy potrafił zrozumieć. Były o wiele bardziej ludzkie od tego chłodnego, nienaturalnego spokoju. Bernard zaczął już nawet nabierać nadziei - kiedy się wypłacze, będzie lepiej.

Odmówiła mu, ale nie chciała, żeby poszedł. Może kiedy już przejdzie przez ten okropny okres, dojdzie do siebie.

Sophia zaparzyła herbatę i wypiti ją, ciesząc się jej prawdziwym smakiem.

- No cóż, chyba powinienem już wrócić do pracy - powiedział Bernard wstając. - Mam wrócić wieczorem?

Dziewczyna skinęła głową, a on na krótko wziął ją w ramiona. Kiedy ją pocałował, nie było w tym nic niezręcznego.

- Kochana moja, nie będę już o tym więcej mówił, ale nie zapomnij o tym nigdy - na wypadek gdybyś zmieniła zdanie. No... oferta jest wciąż otwarta.

Sophia znów skinęła głową.

- Dziękuję, Bernardzie. Nie zasługuję na to, ale... nie zapomnę. Gdy odszedł, usiadła przy stole, oparła głowę na dłoniach i znów zaczęła szlochać, jakby jej miało serce pęknąć.

Rozdział czternasty

Jersey, 1944

Czy Sylvie mogłaby dziś wieczorem przyjść do nas i posłuchać radia? - spytała pewnego dnia Catherine po powrocie ze szkoły.

Był czerwiec tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku i cała wyspa dyszała ledwie tłumionym podnieceniem, jako że coraz częściej krążyły plotki o zbliżającej się nieuniknionej inwazji Aliantów na Francję.

Od kiedy Lola i Charles zostali aresztowani, Sophia bardzo się bała słuchać odbiornika kryształkowego, wciąż ukrywanego pod deską podłogi, lecz w ciągu ostatnich tygodni ciekawość przemogła jej lęk i ostrożność. I tak wsłuchiwanie się w trzeszczące głosy stało się głównym punktem dnia. Siostry na zmianę odbywały warty przy oknie - jedna wyglądała na dwór przez szparę w zasłonach, a druga kulila się na podłodze, mając na uszach słuchawki, zrobione ze słuchawki telefonicznej. Sophia aż zbyt dobrze zdawała sobie sprawę, jak wielkie ryzyko podejmują, bo posiadanie radioodbiornika stanowiło niezwykle poważne przestępstwo, gwarantujące bardzo surową karę. Bała się, że w przypadku jego wykrycia i jej, i Catherine groziłaby - podobnie jak ich rodzicom - deportacja. Dlatego też nigdy nawet nie napomknęła o radiu nikomu - z wyjątkiem Bernarda.

- Nie, stanowczo nie wolno ci zapraszać Sylvie! - rzuciła więc teraz bez wahania.

Janet Tanner

- Ale ona jest moją najlepszą przyjaciółką i jej brat też jest gdzieś daleko i walczy, i ona też chciałaby wiedzieć, co się dzieje, i...

Urwała, bo Sophia wpatrzyła się w nią podejrzliwie.

- Chyba nie powiedziałaś Sylvie, że mamy radio, co? - spytała oskarżycielskim głosem.

Catherine lekko się zaczerwieniła.

- Ona nas nie wyda. Naprawdę, Sophio, ona...

- Catherine! - wybuchnęła wściekle Sophia. - Powiedziałaś jej! Jak można być taką głupią?!

Teraz będę musiała natychmiast wyrzucić radio! Och, Catherine, mam ochotę cię udusić!

Catherine z przestachem patrzyła na siostrę, zastanawiając się, co się stało z dawną Sophią.

Była teraz taka inna, chłodna i twarda, bardzo łatwo wpadała w gniew, była skłonna do wybuchów furii zupełnie jak kiedyś Lola. Ale u Loli zawsze wszystko się szybko kończyło na przytuleniu czy innym przejawie miłości. Na wspomnienie tego Catherine stawały w oczach łzy, a tęsknota za poczuciem bezpieczeństwa, jakie miała w ramionach matki, przepelniała ją bez reszty.

- Nie potrafię uwierzyć, że zrobiłaś coś takiego po tym wszystkim, co razem przeszliśmy! -

ciągnęła Sophia ze złością. - Czy ty w ogóle myślisz?

Catherine w milczeniu przelykała łzy.

- Mówiłam ci. Sylvie to moja~najlepsza przyjaciółka. Muszę mieć przyjaciół. Nie jestem taka jak ty. Poza tym ufam jej.

- Nie wolno wierzyć wszystkim. Przecież wiesz o tym.

- To okropne, co mówisz! Ale to do ciebie podobne! Teraz jesteś właśnie taka! Lecz ja taka nie będę! Nie! Nie potrafiłabym żyć, gdybym sądziła, że moja przyjaciółka może mnie wydać...

- Och, Catherine, nic nie rozumiesz! - Sophia nagle była raczej smutna niż zła. - Nie twierdzę, że Sylvie cię zdradzi. Ani przez chwilę tak nie uważałam. Nie robi tego, a przynajmniej świadomie. Ale jedno nieostrożne słowo wystarczy. Jeśli powie tylko jednej osobie - nawet swojej matce - a ta osoba też powie tylko jednej osobie, to za chwilę wszyscy będą wiedzieli, że u Carteretów jest radio.

OKO ZA OKO

321

Catherine wyglądała na nieco zachwianą w swej pewności, ale nadal nie ustępowała.

- No i co? Kto by powiedział Niemcom? Wszyscy ich nienawidzą!

Sophia westchnęła. Nie chciała mówić siostrze o zupełnie normalnych rzeczach, na przykład że z pewnością jest wielu wyspiarzy, którzy z chęcią doniosą Niemcom o czymś takim czy to z chęci zysku, czy to z zawiści, czy po prostu żeby komuś dopiec. Świadomość tego nie była najmiłsza i Sophia z niechęcią myślała o ciężącym na niej w tej chwili obowiązku oświecenia młodszej siostry, zniszczenia jej dziecięcej ufności i wiary w innych. Ale trzeba było to zrobić. Catherine musi wreszcie zrozumieć, jak bardzo obie są bezbronne - dwie samotne dziewczyny mieszkające samotnie.

Ale jakkolwiek było, szkoda już się stała i nie było sensu się nad tym rozwodzić.

- Słuchaj, Catherine, pamiętaj, już nigdy nie mów nikomu - powiedziała ze znużeniem. - Może wojna już się niedługo skończy i wszystko wróci do normy. Ale póki się nie skończyła, nie plotkuj już z nikim, z żadną przyjaciółką o takich rzeczach jak nasze radio.

Catherine pokiwała głową. Nie chciała mieć w Sophii wroga. Przecież tylko ona została jej z całej rodziny.

- Przepraszam, Sophio, nie pomyślałam. Ale... Chyba nie musimy wyrzucać radia, prawda? Jestem pewna, że Sylvie nie piśnie nikomu ani słowa.

Sophia skrzywiła się i zerknęła na zegarek. Radio było przecież tak cenne - stanowiło jedyną więź ze światem zewnętrznym!

- No dobrze, w każdym razie jeszcze nie tej nocy - zgodziła się.

Tej nocy zaczęła się aliancka inwazja. Samoloty falami przelatywały ponad Jersey w drodze nad francuskie wybrzeże, a ciszę nocy rozrywał co chwila ogień z broni maszynowej. Przez

Janet Tanner

kilka minut obie dziewczyny stały przy oknie i wpatrywały się w noc, po czym, gdy wszystko ucichło, wróciły do łóżek. Ale z podniecenia nie mogły zasnąć.

Nareszcie, myślała Sophia. Teraz już na pewno wkrótce wszystko się skończy. Lecz wojna trwała już tak długo, że normalność wydawała się ledwie odległym snem.

Zastanawiała się, czy nie będzie już za późno na pójście do szkoły muzycznej, ale zaraz zgaśniła się za tak przyziemne myśli. Tam, daleko, ludzie walczyli i ginęli, a jej rodzice wciąż byli w niewoli. Jednak nawet silne poczucie winy nie zdołało przytłumić żalu za niespełnionymi marzeniami i skradzioną młodością. Nagle zachciało się jej płakać - jak przedtem Catherine - bez żadnego konkretnego powodu.

Na niezbyt odległej drodze zaryczały silniki i jakieś głosy pokrzykiwały do siebie po niemiecku, a po chwili znów odezwały się karabiny maszynowe. Sophia bezgłośnie zmówiła modlitwę, choć już niemal zapomniała, co to znaczy wierzyć w Boga. Naciągnęła koldrę na głowę i usiłowała ponownie zasnąć.

W ciągu letnich miesięcy Alianci kontynuowali swój marsz przez Francję, wyzwajając miasta i wsie, które przez cztery długie lata jęczały pod okupacyjnym jarzmem. Na Jersey nic nie zmieniało się na lepsze - było tylko o wiele gorzej. Hitler był zdeterminowany nie oddać jedynej skrawki brytyjskiego imperium, jaki zdołał opanować, przysyłano więc coraz więcej wojsk. Ponieważ zaś z Francji ewakuowano na Jersey rannych żołnierzy niemieckich, coraz więcej ludzi trzeba było wykarmić, a coraz mniej było żywności. Jeden za drugim padały francuskie porty, aż wszystkie linie zaopatrzenia zostały zerwane. Ze świata zewnętrznego przestała docierać żywność i wyspa musiała przetrwać na tym, co sama produkowała.

Sophia, która co dzień musiała walczyć, żeby jakoś wykarmić siebie i Catherine, przeklinała bezrozumny opór Hitlera. Czy on nie rozumie, zastanawiała się z rozpaczą, że w końcu będzie

OKO ZA OKO

235

musiał się poddać? Dlaczego więc nie zrobi tego teraz? Ale oczywiście to nie on od czterech lat musi jeść chleb z obierzyn, ciesząc się, że ma choćby i to, to nie on musi pić herbatę z liści jagód, to nie on musi sobie radzić bez lekarstw i mydła, to nie on jest zmuszony obejść się bez tego wszystkiego, dzięki czemu warto żyć. A Churchill był równie dobry. Postanowił zagłodzić wroga i jeśli oznaczało to również zagłodzenie wyspiarzy, to trudno.

Nie do uniknięcia więc było drastyczne pogorszenie nastrojów, które owocowało stosowaniem przemocy fizycznej nie tylko przez niemieckich okupantów.

Kiedyś, we wrześniu, Catherine wróciła do domu ze szkoły z długim zadrapaniem na policzku i rozdartą bluzką. Nim Sophia przyszła z pracy, zdążyła zmienić ubranie, ale szramy na twarzy nie była w stanie ukryć żadnym sposobem, więc starsza siostra natychmiast ją zauważyła.

- Coś ty zrobiła, Catherine? Catherine zaczerwieniła się.

- Och, nic takiego. To ta kocica, Jeanne Pinel.

- To znaczy, że zrobiła to specjalnie? Ale dlaczego? - dopytywała się Sophia.

Catherine nie była już zaczerwieniona, jej twarz spąsowiała.

- Ona uważa, że jej ukradłam chłopaka.

- A ukradłaś?

- Oczywiście, że nie. Nie mogłam go ukraść, bo przecież on nie jest jej własnością.

Sophia zacisnęła usta. Już od pewnego czasu zastanawiała się, kiedy Catherine zacznie interesować się chłopcami.

- A kto to w ogóle jest? - spytała.

- Wallace Patterson. Zawsze mi się podobał i miałam nadzieję, że ja też mu się podobam, ale się bałam. No i wczoraj czekał na mnie po szkole. Spytał mnie, czy chcę trochę orzechów, i kiedy

Jeanne przechodziła, jedliśmy je razem. Wtedy nic nie powiedziała, lecz dzisiaj na przerwie obiadowej rzuciła się na mnie!

- I co zrobiłaś?

Janet Tanner

- Niewiele. Byłam zbyt zaskoczona, ale wyrwałam jej trochę włosów - wiesz, ona ma strasznie długie kudły. Zaprowadzono nas do dyrektorki, a ona wpadła w furję, jak się dowiedziała, że chodziło o chłopaka. Powiedziała, że nic dobrego z nas nie wyrośnie i przetrzymała nas pół godziny po lekcjach. A jak wychodziłyśmy, to przed szkołą czekał Wallace i to mnie odprowadził do domu! - zakończyła Catherine z triumfalnym chichotem.

- Na miłość boską! - powiedziała surowym głosem Sophia, ale nalewając do talerzy chudziutką zupkę, która musiała wystarczyć za całą kolację, uśmiechała się. Jej mała siostrzyczka szybko się uczyła!

Następnego wieczora siostry właśnie kończyły kolację, gdy do drzwi głośnie i gwałtownie zapukano. Popatrzyły na siebie z lękiem w oczach. Przyjaciele zawsze podchodzili od strony tylnych drzwi i lekko stukali, wołając „dzień dobry!”. To głośnie, napastliwe walenie w drzwi przypomniało im natychmiast ten poranek, gdy Niemcy szukali rosyjskiego zbiega. Sophia wstała od stołu.

- Zostań tu! - rozkazała Catherine. - Sprawdzę, kto to. Serce jej biło szybko, gdy otwierała drzwi. Na zewnątrz, jak się tego obawiała, stał oficer żandarmerii polowej, a pod bramą dostrzegła półciężarówkę z jeszcze kilkoma żołnierzami.

- Tak? - powiedziała, starając się mówić spokojnie. - Czego chcecie?

Oficer lekko stuknął obcasami.

- Chcemy przeszukać pani dom. Otrzymaliśmy informację, że ma pani odbiornik radiowy. Z pewnością wie pani, że to niedozwolone.

Przez ułamek sekundy Sophia myślała, że zemdleje. Ale równie szybko odzyskała kontrolę nad ciałem i umysłem.

- Jak śmiecie?! - parsknęła. - Kto wam naopowiadał takich kłamstw?!

Oczy Niemca były bardzo zimne i bardzo niebieskie.

- Och, z pewnością zdaje pani sobie sprawę, że nie możemy

OKO ZA OKO

327

ujawniać naszych informatorów. Ale jeśli pani nie ma radia, to nie ma pani powodów do lęku. A więc - wpuści nas pani sama, czy mamy wejść bez zaproszenia?

Myśli galopowały jej w głowie. Czy znajdą radio? Było ukryte, ale jak dobrze? Niemcy muszą już znać wszelkie możliwe miejsca schowków. I czy może było w domu coś jeszcze, co mogłoby im napytać biedy? Nic takiego nie przychodziło jej do głowy, ale nie była pewna. Tak czy inaczej nie miała innego wyboru jak pozwolić, by wydarzenia toczyły się własnym rytmem.

- Dobrze, wejdźcie - powiedziała. - I tak niczego nie znajdziecie.

Poprowadziła ich za sobą do kuchni, gdzie Catherine właśnie kończyła zmywać po kolacji.

Podniosła przepelnione lękiem oczy na siostrę, a Sophia uspokajającym ruchem położyła jej rękę na ramieniu.

Pierwszy z żołnierzy był już w kuchni, w reszta dochodziła ścieżką od bramy. Sophia starała się za wszelką cenę nie okazać, jak bardzo się boi.

I nagle serce niemal przestało jej bić. Jeden z żołnierzy żandarmerii... ta przystojna twarz pod hełmem... tak znajoma... to przecież nie może być... nie, absolutnie, to nie może... być Dieter!

A jednak był. Dieter także ją poznał - wiedziała o tym, mimo że jego twarz była zupełnie bez wyrazu, stanowcza i jakby drewniana. Sophii narosło coś w gardle i niemal wykrzyczała jego imię, lecz jego oczy ostrzegały: nic nie mów! Sophia zerknęła przez ramię na Catherine, lecz po twarzy siostry widać było, że go nie poznała. Może Catherine była wtedy za mała, żeby go jeszcze pamiętać - a poza tym twarze pod hełmami żandarmскими były tak do siebie podobne!

Ale nie dotyczyło to przecież twarzy, którą się kochało z całego serca, która jeszcze teraz pojawia się w snach... Sophia zamknęła oczy, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. Żołnierze rozeszli się po kątach i zaczęli rewizję. Jeden niemal zupełnie zniknął we wnętrzu ogromnego, starego pieca, inny wysypywał z trudem zdobyty przez Sopię makaron na stół kuchenny. Dieter systematycznie przekopywał się przez stertę

Janet Tanner

klebków wełny, którą odzyskała prując stare ubrania i z której miała zamiar zrobić nowy sweter. Podniósł wzrok na Sophię, a gdy ich oczy się spotkały, dziewczynie zakręciło się w głowie. Pomyślała, że to ze strachu, bo i z jakiego innego powodu? Ale wiedziała, że to nieprawda, że sama się oszukuje. Wojna w najmniejszym stopniu nie zmieniła jej uczuć do Dietera. Nic nie zdołałoby ich zmienić. Poczula natychmiast ten sam płomień, który rozniecił się w niej wówczas, gdy Dieter był kelnerem, a ona jeszcze niewiele więcej niż niewinnym dzieckiem.

Kocham go, pomyślała. Boże, zlituj się nade mną, mimo wszystko go kocham.

Oficer wyszczeniwał po niemiecku rozkazy do swoich ludzi. Sophia je rozumiała dzięki obowiązkowym, wymuszonym i zniechęconym lekcjom niemieckiego w szkole. Wtedy - jak większość dzieci na Jersey - za swój patriotyczny obowiązek uważała nie uczyć się go, ale przy wrodzonych zdolnościach językowych mimo wszystko sporo się nauczyła. Teraz więc poczuła nagłą falę paniki, gdy zrozumiała jeden z rozkazów skierowany do Dietera:

- Na górę! I nie zapomnij o sprawdzeniu pod deskami podłogowymi!

Dieter ruszył na schody, a Sophia zamarła. Mdlilo ją z przerażenia, gdy dobiegały ją dźwięki przesuwania mebli, szum otwieranych szuflad i stukanie, świadczące o poszukiwaniu pustych przestrzeni pod podłogą. Musiał znaleźć kryjówkę. Po chwili usłyszała skrzypnięcie - znajome, bo przecież co wieczór dźwięczało w domu, gdy wydobywała radio. Sophia wstrzymała oddech w oczekiwaniu na okrzyk triumfu. Jednak zamiast niego dobiegło ją kolejne skrzypnięcie, jakie zawsze towarzyszyło zamykaniu skrytki, a potem odgłosy dalszych poszukiwań. Upłynęło jeszcze kilka chwil, po czym Dieter znowu pojawił się w kuchni.

- Znalazłeś coś? - spytał oficer.

- Nie. Nic tam nie ma.

Jego twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu. Tylko jego nieco przymrużone oczy, wiedzące, prześlizgnęły się po Sophii,

OKO ZA OKO

239

a wówczas zyskała pewność. Dieter nie był niedbaluchem, nie był też ślepcem. Znalazł radio, ale nie miał zamiaru jej wydać.

Poczuła falę radości. Zorientowała się jednak, że radość ta mniej wiązała się z ulgą, a bardziej z myślą, że jednak Dieter wciąż musi coś do niej czuć. Zaraz powrócił strach - nowy strach. Nie lękała się już o siebie czy Catherine, lecz o Dietera.

A jeśli oficer nie będzie zadowolony z poszukiwań? A jeśli zarządzi powtórny rewizję i kto inny sprawdzi skrytkę pod deskami? Dieter byłby w jeszcze gorszej sytuacji niż one. Warunki pobytu Niemców na wyspie tak się pogorszyły, że głodni, bici na wszystkich frontach i spychani zaczęli traktować wyspiarzy coraz bardziej nieludzko, wyzywając się na nich i skacząc sobie samym do oczu.

Jeden z żołnierzy opróżniał na podłogę worek z kartoflami. Sophia oderwała wzrok od Dietera i ze złością rzuciła się w kierunku żołnierza.

- Co pan wyprawia? Niech ich pan nie rozrzuca! Może dla pana nic nie znaczą, ale dla nas są bardzo cenne!

- W porządku - powiedział oficer. - Włóż je z powrotem! Nic tu nie ma. Chyba dostaliśmy fałszywą informację. Macie szczęście - przynajmniej tym razem!

Sophia nie ośmieliła się zerknąć na Dietera. Stała bez ruchu, zaciskając dłonie, by nie ujawnić ich drżenia. Dopiero gdy za bramą zawarczał silnik i ścichł powoli w dali, przestała się kontrolować. Nogi jej się nagle ugięły i opadła na podłogę, kryjąc twarz w dłoniach i tłumiąc szloch.

- Nie znaleźli! - wrzasnęła triumfalnie Catherine. - Nie znaleźli go, Sophio!

Długą chwilę trwało, nim Sophia zdołała odezwać się przez zaciśnięte zęby. Gdyby ich nie ścisnęła, drżenie szczęk uniemożliwiłoby zupełnie mówienie.

- Oczywiście, że znaleźli.

- Znaleźli?... Więc dlaczego...?

- Bo to był Dieter - szepnęła. - Nie poznałaś go? To był Dieter. To on znalazł radio. I nie wydał nas.

Janet Tanner

Bernard dowiedział się o wizycie Niemców u Carteretów od kolegi, który tamtędy przejeżdżał i zauważył wojskową ciężarówkę. Pełen przerażenia - bo przecież jako jeden z nielicznych wiedział o radiu - dopił szybko herbatę i ku zmartwieniu matki, która strawiła większość dnia na usiłowaniu zrobienia w miarę przyzwoitego posiłku, wybiegł, wsiadł na rower i pojechał do St Peter.

Od dnia, gdy poprosił ją o rękę, stosunki pomiędzy Bernardem i Sophią uległy delikatnej zmianie. Bywało, że Sophia siedziała przytulona do niego i wręcz łapczywie odpowiadała na jego pocałunki, choć fizyczny kontakt między nimi nigdy nie wyszedł poza te pieszczoty. Lecz bywały też dni, gdy między nimi panowała jakaś niezręczna cisza i dziwaczny chłód. Nie wychodzili już nigdzie razem, bo Sophia nie chciała zostawiać Catherine samej, Bernard musiał się więc zadowalać wspólnymi wieczorami w małej, obskurnej kuchence, podczas gdy Catherine nigdy nie była dalej niż w swym pokoju na piętrze.

Ale nie tylko warunki się zmieniły. Bernard uświadomił sobie, że zmiany zaszły też w samej Sophii. Była twardsza, choć jednocześnie krucha, i chyba zupełnie zatraciła umiejętność cieszenia się czymkolwiek. Często miewał wrażenie, że jej w ogóle nie zna. Wciąż jednak jajcochał i chciał myśleć, że jakoś jej pomaga, choć nigdy mu tego nie dawała odczuć.

Kiedy tego wieczora dotarł do jej domu, niemal bez tchu od zbyt szybkiej jazdy i dygocząc z niepokoju, co zastanie, z ulgą odnalazł Sophię w kuchni. Jeśli nie liczyć bladej i lekkiego podenerwowania, była w dobrej formie. Za to Catherine wylazła ze skóry z podniecenia.

- Bernardzie! - zapiszczała na jego widok. - Nigdy byś nie zgadł, co się stało! Przyszli Niemcy i szukali radia!

Bernard poczuł, że żołądek skręca mu się w supel.

- Nie znaleźli?

- No, znaleźli, ale...

- Catherine! - rzuciła ostro Sophia. - Nigdy nie przestaniesz paplać? Myślałam, że już się nauczyłaś!

OKO ZA OKO

241

- Ale to przecież Bernard!

- Wiem, że to Bernard! I wiem, co masz zamiar powiedzieć! Więc zamknij się!

Bernard przenosił wzrok z jednej dziewczyny na drugą. Był zaskoczony i nie wiedział, co myśleć.

- No więc co się stało? - spytał.

- Zrobili rewizję, ale widocznie go nie zauważyli - odrzekła Sophia. - Skrytka pod podłogą jest najwyraźniej dobra. Chociaż nie wiem, czy warto ryzykować i nadal trzymać radio w domu. Mogą wrócić.

- Chcesz, żebym je gdzieś wyrzucił? - zapytał Bernard. Nadal nie rozumiał wybuchu gniewu Sophii, ale czuł, że to nie jest odpowiedni moment, by pytać.

Sophia miała nieprzytomne spojrzenie. Nie był pewny, czy go w ogóle słyszy.

- Sophio? - powtórzył, a ona zdecydowanie pokręciła głową.

- Nie, nie powinieneś brać na siebie takiego ryzyka. Jak będzie ciemno, wyjdę i zakopię je gdzieś w ogrodzie. W domu nigdzie nie jest bezpieczne. Szukali wszędzie.

Bernarda znów uderzył w jej słowach brak konsekwencji. Było tu coś, czego nie rozumiał. Czuł się zraniony i rozzłoszczony... zupełnie bez powodu, lecz instynkt podpowiadał mu, żeby się teraz za mocno nie dopytywać.

Najważniejsze, że Sophia była bezpieczna. Dla Bernarda nie było nic ważniejszego na świecie.

Rozdział piętnasty

Dwa dni później Sophia była w ogrodzie i zbierała wypraną bieliznę ze sznurów, kiedy zorientowała się, że ktoś ją obserwuje. Odwróciła się gwałtownie, z trudem powstrzymując się od wrzaśnięcia ze strachu. Jej nerwy były wciąż rozdygotane. Zobaczyła Dietera.

Wiedziała, że to on, choć nie dostrzegła jego twarzy. Poznałaby go wszędzie, mimo że mundur żandarma przydał mu anonimowości. Znów jej sece zabiło innym rytmem. Cały czas czuła, że on przyjdzie, choć stale sobie powtarzała, że to idiotyzm, że Dieter jest teraz członkiem sił okupacyjnych, odległym o lata świetlne od tego miłego, nastoletniego kelnera, w którym się zakochała.

Wiedziała o tym wszystkim i nadal miała nadzieję, lecz obawiała się także siły swych uczuć. Ale teraz, patrząc na szarawą postać w niemieckim mundurze, czuła tylko radość.

- Dieter! - powiedziała sztywno.

Podszedł do niej, a ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetliły pełną niepewności twarz.

- Witaj, Sophio. Wybacz mi, ale musiałem wrócić i zobaczyć cię, porozmawiać z tobą. Tamtego wieczoru... Nie wierzyłem własnym oczom, kiedy przyszedłem na rewizję i zobaczyłem cię.

To znaczy... nie wiedziałem, zastanawiałem się, czy jeszcze jesteś na wyspie... i czy będziemy się mogli spotkać. Ale nigdy się nie spodziewałem... no, ciebie tutaj, w St Peter.

OKO ZA OKO

243

- Nie wiedziałeś, że twoi zabrali nasz dom?

- No, wiedziałem - odparł niezgrabnie. - I chciałbym ci powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu tego, co tu się stało. Nie mogłem dopuścić, żebyś sobie pomyślała...

- Słuchaj, robi się zimno - przerwała mu. - Masz zamiar wejść do środka czy nie?

Dieter zawahał się i przez moment wydawało się, że odmówi. Potem jednak powiedział powoli:

- A nie przeszkadza ci, że pod twoim dachem pojawi się Niemiec?

- Och, Dieter! Nie wyglupiaj się. Nie myślę o tobie jak o Niemcu. Za dobrze się na to znamy!
- A ta dziewczynka, która wtedy z tobą była... To twoja siostra, tak? Tyle, że podrosła?
- Tak, to była Catherine. Teraz też jest. Ale nikogo innego nie ma. My... jesteśmy teraz same.
- Rozumiem.

Nie, nic nie rozumiesz, pomyślała. Odczepiła ze sznura resztę bielizny i wrzuciła do kosza. Gdy chciała go podnieść, Dieter, dżentelmeński jak zawsze, szybko się pochylił, wziął kosz i zaniósł go do kuchni.

Catherine siedziała przy stole i odrabiała lekcje. Kiedy weszli, podniosła na nich zdumione spojrzenie.

- Ach, to ty! - powiedziała niemal oskarżycielskim tonem.
- Catherine! - ostrzegawczo syknęła Sophia. Odwróciła się do Dietera. - Dieter, muszę ci podziękować za to, co wtedy zrobiłeś. Ja... my... jesteśmy ci bardzo wdzięczne.
- Nie dziękuj mi - powiedział Dieter, wzruszając ramionami. - Ale mam nadzieję, że w tym domu nie ma już nic, co mogłoby być dla was niebezpieczne.
- A co, mogą tu wrócić? - spytała z przestraczem Sophia.
- Na razie nie. Ale ktoś na ciebie doniósł. To się może powtórzyć.
- Kto to był? Nie wiesz?
- A co to za różnica? Najważniejsze, żeby w razie ewentualnej

Janet Tanner

kolejnej rewizji niczego nie znaleziono. Nie ryzykuj, Sophio. Szczególnie teraz.

- Och, wiem już wszystko na temat możliwych zagrożeń - odparła gorzko Sophia. - Mama zaryzykowała, a potem i ona, i tata zostali deportowani.

Dieter zbladł.

- Deportowani? Dokąd?

- Nie mam pojęcia. Nie mieliśmy od nich żadnych wieści, od kiedy ich zabrano. Wówczas powiedziano nam, że jadą do obozu koncentracyjnego w Niemczech, ale tak naprawdę to nie wiem. A Nicky... zaraz na początku wojny został ranny, a Paul wziął łódź taty i popłynął do Anglii. Właśnie dlatego miałam to radio, żeby w jakiś sposób być z nimi w kontakcie. Wiem, że mogłyśmy się wpakować w kłopoty, ale po prostu już nie dbam o to.

- Rozumiem - rzekł poważnie Dieter. - Wierz mi, naprawdę rozumiem. I jest mi przykro. Bardzo przykro.

- Tobie?

- Tak. Mieliśmy takie marzenia, a nic nie stało się tak, jak się spodziewaliśmy. A teraz już nigdy się nie spełnią...

Sophia przyjrzała mu się uważnie. Nie bardzo wiedziała, co miał na myśli.

- Chcesz coś do picia? --zapropozowała. - Nie mogę ci zaoferować nic atrakcyjnego. Tylko herbatę z liści jagód.

- Dziękuję. Chętnie.

Catherine hałaśliwie odsunęła się od stołu.

- Przepraszam.

- Gdzie idziesz? - spytała ją Sophia.

- Na górę. Do mojego pokoju - odparła i wyszła, nie odzywając się słowem do Dietera.

- Ma bardzo dużo zadane - rzuciła Sophia tonem wyjaśnienia, chcąc jakoś usprawiedliwić zachowanie siostry, choć Catherine demonstracyjnie nie ruszyła książek i zostawiła wszystkie zeszyty na stole.

- Nie przejmuj się, Sophio. Jestem do tego przyzwyczajony. Na nas wszystkich patrzy się jak na potwory.

OKO ZA OKO

337

- Chyba cię to nie dziwi biorąc pod uwagę to, co nam zrobiliście. Nienawiść i pogarda to wszystko, co nam zostało. Dzięki nim możemy jeszcze zachować jakiś szacunek dla siebie samych. A kiedy widzimy na ulicy niemiecki mundur, nie zastanawiamy się, kto jest wewnątrz - to po prostu wróg.

- Ale wielu z tych żołnierzy to dobrzy ludzie, zwyk i ludzie, którzy zostawili żony i dzieci w domu. Gdybyście tylko zdołali zrozumieć, że jesteśmy takimi samymi więźniami jak wy, wszystkim zaraz byłoby łatwiej.

- Ale my nie mamy ochoty tak o nich myśleć - odpaliła Sophia. - W ogóle nie mamy ochoty o nich myśleć. A e z tobą jest inaczej, Dieter. Dla nas nie jesteś jednym z nich. Znamy cię.

- Ależ ja jestem jednym z nich. Poza tym nie sądzę, żeby twoja siostra mnie pamiętała. Ja z pewnością bym jej nie poznał. Kiedy tu pracowałem, ona była jeszcze małą dziewczynką.

- Oczywiście, masz rację, Dieter. Och, do czego to wszystko zmierza?

- Obawiam się, że do przegranej Niemiec, i to bliskiej. Rzeczy nie szły po naszej myśli - nie wiem dlaczego. Z początku byłem pewien, że zwycięstwo będzie należało do nas. Nasz triumf wydawał się zupełnie naturalny. Byliśmy tapy silni! A potem w jakiś niezrozumiały sposób sami się zagnaliśmy w narożnik. Może gdyby nie włączyli się Amerykanie, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale to już wszystko problem dla historyków. A ja zastanawiam się nad czym innym.

Kiedy już podniesiemy ręce do góry i powiemy „wszystko skończone”, kiedy świat dowie się o tym, co robiliśmy w imię naszego wielkiego Vaterlandu, czym się staniemy?

Jego niegdyś jasnoniebieskie oczy były jakby zmętniałe, a wyraz twarzy nasuwał na myśl zaszczute zwierzę. Patrząc nań Sophia nagle przypomniała sobie młodego mężczyznę, chłopaka właściwie, tak dumnego i pewnego siebie, który zaskoczył ją nagłą, zupełnie niespodziewaną erupcją czegoś, co wówczas uznała za ślepy patriotyzm, gdy wojna jeszcze dojrzewała do wybuchu. „Francja i Anglia nie zaczną z Niemcami. Wiedzą, że

Janet Tanner

nigdy by nie wygrali" - powiedział wtedy, a jego oczy plonęły fanatyzmem jak u wielu innych młodych ludzi porwanych emocjonalnymi przemówieniami Hitlera. Teraz ten zapal zniknął; na jego miejscu pojawiło się zrozumienie i wstyd. Wszyscy oni zostali oszukani, zahipnotyzowani przez potwora. Ich kraj był w ruinie, ich narodowa duma w gruzach. A jednak musieli walczyć dalej, bo Hitler obwieścił, że Wyspy Normandzkie i Cherbourg będą bronione do ostatniego żołnierza.

- Kiedy już nie będzie tej świni, Hitlera, będziecie mogli zacząć odbudowę - powiedziała. - Zobaczysz.

- Ale czy świat nam wybaczy? Czy my sami zdołamy sobie kiedyś wybaczyć?

Sophia odwróciła się do czajnika, który zaczął wreszcie parować. Nie odpowiedziała na to pytanie.

Zaparzyła herbatę w kubkach. Płyn miał dziwaczny kolor i zapach, był nieapetyczny. Popijając powoli gorącą herbatę Sophia pomyślała, że nie potrafi się do tego przyzwycząić. I że coraz bardziej jej się to daje we znaki.

- Wydaje się, że całe wieki minęły od czasu, kiedy tu byłem i pracowałem dla twojego ojca - powiedział Dieter. - Pamiętasz, jak jeździliśmy na rowerach wokół wyspy? To były dobre czasy, prawda?

Sophia w milczeniu pokiwała głową. Tak, to były dobre czasy, lecz teraz były już zamierzchłą przeszłością, minęły wraz z wczesną młodością, niewinnością i tyłoma marzeniami. Myśląc o tym Sophia poczuła bolesny smutek. Była taka młoda, taka głupiutka, nie zdawała sobie sprawy, że słoneczne dni nie będą trwały wiecznie.

- Często o nich myślę - ciągnął Dieter. - Szczególnie od kiedy znów jestem na Jersey. Ale teraz wszystko się tak zmieniło!

- To dobrze, że wtedy nie wiedzieliśmy, co ma się z nami dziać - odrzekła Sophia. - Umiejętność przewidywania przyszłości to musi być straszna rzecz.

- Chyba tak. Ale czasem tak sobie myślę, czy gdybym wiedział, gdybym przewidział, czy to by coś zmieniło?

OKO ZA OKO

247

- Wątpię. Nie mógłbyś zostać na Jersey. Mama i tak by cię wysłała do domu. A co mógłbyś zrobić, żeby powstrzymać to, co się stało? Jesteś równie bezsilny, jak my wszyscy. Wszyscy jesteśmy tylko pionkami, Dieter. Kiedy przychodzi do czegoś takiego, nic nie możemy zrobić.

- Ale przecież możemy decydować, co się z nami dzieje.

- O, tak - odparła Sophia. - Tak. Wiele o tym myślałam. I obiecałam sobie, że kiedy to się skończy, będę sama kontrolowała swoje życie. Nikt już nie będzie mnie traktował jak popychadło i nikt mnie nie zmusi więcej do picia tej ohydnej jagodowej herbaty.

Te słowa zabrzmiały tak idiotycznie, że Sophia była pewna, iż Dieter ją wyśmieje. To była prawda, obiecała to sobie, gdy leżała w łóżku nie mogąc zasnąć z głodu i lęku, ale nigdy tego nikomu nie powiedziała. Teraz z zawstydzieniem zerknęła na niego. Dieter się nie śmiał. Przez chwilę siedział w milczeniu i patrzył na nią. Potem wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej dłoni, obejmującej kubek z herbatą.

Sophia wstrzymała oddech. Takie małe dotknięcie, a nagle wydało jej się, że cały jej świat skurczył się do miejsca, gdzie jego palce dotykały jej dłoni.

- Myślałaś o mnie, Sophio? - spytał. Bez słowa pokiwała głową.

- A ja myślałem o tobie. Często.

- Ale nie pisałeś. A obiecałeś, że będziesz pisał.

- Pisałem. A ty nie odpowiedziałaś. Napisałem znów, ale nadal bez odpowiedzi. Myślałem, że o mnie zapomniałaś.

- **Nie dostałam żadnego listu - powiedziała Sophia. - Myślałam, że to ty o mnie zapomniałeś.**
- **Nie rozumiem tego...**
- **No cóż, to chyba teraz nie jest istotne. Jesteś... - Urwała. Chciała powiedzieć Jesteś tutaj", ale wiedziała, że nie powinna. Było za wcześnie, zdecydowanie za wcześnie na takie wypowiedzi. Dieter powoli pokręcił głową, nie odrywając wzroku od Sophii.**

Janet Tanner

- Och, Sophio, nawet nie wiesz, jak to dobrze znów cię widzieć, nawet w takich okolicznościach. Sophia zdjęła dłoń z kubka i położyła ją na stole. Dieter położył rękę na jej dłoni. Dziewczyna zerknęła w dół, na jego nadgarstek, i poczuła, jak wzbiera w niej miłość, jakby czas się cofnął i znów była czternastoletnią dziewczynką.

Odgłos gwałtownie otwieranych drzwi zniszczył czar. Odskoczyli od siebie jak przyłapane na brojeniu dzieciaki. Do kuchni wpadła jak bomba Catherine. Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że nie byli wystarczająco szybcy - widziała ich.

- Sophio! Jak możesz! - wysyczała. Dieter zerwał się na nogi i stuknął obcasami.

- Proszę o wybaczenie, *Fraulein*.

- To jest Niemiec! - krzyczała Catherine, nie zwracając na niego uwagi. - Oni zabrali naszych rodziców, Sophio! Wyrzucili nas z domu! Nienawidzę ich - i ty też powinnaś! Siedzisz tu sobie z nim, popijasz herbatkę i trzymasz go za rękę! Ohyda!

- Catherine! To jest Dieter!

- Tak, wiem, Dieter. Niemiec. Nazistowska świnia. Popatrz na niego, Sophio, popatrz!

- Catherine! - zawołała Sophia, porażona wybuchem siostry.

- Zachowujesz się niegrzecznie L

- A co? Mam ochotę być niegrzeczna! A właściwie więcej, mam ochotę go zabić!

- Naprawdę mi przykro, jeśli zepsułem ci humor, Catherine

- powiedział cicho Dieter. - Nie miałem takiego zamiaru. Sophio, jeśli przeze mnie zostałaś postawiona w niezręcznej sytuacji, przepraszam za to. Pójdę już. - Skinął ponuro głową, otworzył drzwi i wyszedł.

Sophia z rozpaczą popatrzyła na siostrę i pobiegła za nim. Jak to we wrzeźniu, zmrok szybko zapadał, a ciche powietrze wypełniały zapachy nagrzanego słońcem dnia ogrodu. Pod drzewami brzęczały chmary małych muszek, a gdzieś wśród drzew pohukiwała pierwsza sowa.

- Proszę, nie idź, Dieter! - zawołała Sophia.

OKO ZA OKO

249

Zatrzymał się i popatrzył na nią.

- Chyba tak będzie najlepiej. Nie chcecie mnie tutaj. Nie powinienem był przychodzić.

- Catherine nie powinna była mówić takich rzeczy. Przepraszam...

- Nie, nie, ja ją rozumiem. Naprawdę. Poza tym nie tylko Catherine będzie cię oskarżać, jeśli tu przyjdę jeszcze raz. Jestem Niemcem, jak powiedziała, a Niemców się tu nienawidzi - i chyba nie bez powodu.

- Dieter... Proszę. - Sophia, dumna, silna Sophia, która nigdy nie błagała i nigdy nie pozwoliła, by ktoś widział ją płaczącą, nagle zdała sobie sprawę, że i błaga, i płacze. Miała pełne łez oczy, a z ust wyrwały się jej słowa, nim zdolała je powstrzymać: - Nie obchodzi mnie, co kto powie czy myśli. Tylko proszę, nie odchodź znowu!

Zapadła chwila ciszy. Po drugiej stronie doliny sowa znów zahuczała; niski, tęskny jęk w słodkim powietrzu.

Dieter znowu dotknął ręki Sophii i lekko, króciutko uściskał. Pociągnął dziewczynę do siebie i delikatnie pocałował ją w czoło.

- Muszę już iść, *Liebchen*. Ale wrócę jutro - jeśli jesteś pewna...

- Jestem! Jestem pewna!

- Dobrze. - Jego palce znów uścisnęły jej dłoń, po czym odszedł, znikając w zapadającej ciemności.

Sophia powoli uniosła rękę i dotknęła czoła w tym miejscu, gdzie ją pocałował. Wracając do domu pierwszy raz od lat czuła się szczęśliwa.

Catherine zrobiła wszystko, żeby nie być w domu następnego wieczoru, gdy Dieter znów przyszedł. Była wściekła, w najmniejszym stopniu niezdolna do zrozumienia, jak jej siostra może się rraternizować z Niemcem i zdecydowana nie stawać się częścią tego wszystkiego.

- Wallace ma jakieś płyty, które chce mi puścić. Będę u mego cały wieczór.

Janet Tanner

- **Musisz wrócić przed godziną policyjną.**
- **O ile jego tu już nie będzie. Jeśli będzie, to spytam, czy mogę zostać na noc u Sylvie. Jej matka na pewno się zgodzi.**
- **I pewnie opowiesz im wszystkim, dlaczego nie chcesz wracać do domu, tak jak opowiedziałaś im o naszym radiu - odpaliła rozzłoszczona Sophia.**
- **Nic podobnego! Wiesz, że powiedziałam tylko Sylvie!**
- **Ty tak mówisz. Ale jeśli tak, to właśnie Sylvie musiała na nas donieść.**
- **Nigdy by czegoś takiego nie zrobiła!**
- **Słyszałaś, co mówił Dieter. Ktoś doniósł.**
- **Może Bernard. On wiedział o radiu.**
- **Och, nie mów głupot! Bernard nigdy...**
- **A ciekawe - weszła jej w słowo Catherine - co powie Bernard, jak się dowie, że widzisz się z Niemcem? Był dla nas taki dobry. Będzie załamany.**
- **Och, przestań! Przestań! - krzyknęła Sophia, zatykając uszy dłońmi. - Czy to, czego ja chcę, w ogóle się nie liczy? To nie jest ktoś, kogo dopiero co poznałam. Kochałam się w nim, kiedy byłam młodsza od ciebie. Muszę się z nim spotykać, nie rozumiesz?**
- **Nie, nie rozumiem - odparła zimno Catherine. - I nikt nie zrozumie.**
- **Proszę, nic im nie mów...**
- **A dlaczego się tym martwisz, skoro nie wstydzisz się tego, co robisz?**
- **Bo to dla mnie bardzo ważne i nie chcę, żeby ktoś to zepsuł.**
- **No cóż, nie musisz się martwić - wysyczała Catherine. - Ja na pewno nikomu nie powiem. Bo ja się strasznie wstydzę.**

Dla Sophii postawa Catherine stanowiła szok. Była pewna, że Catherine w końcu zrozumie jej punkt widzenia, a całkowity, uparty brak aprobaty u siostry był przygnębiający, szczególnie że Catherine była właściwie całą rodziną, jaka Sophii pozostała. Ale Sophia musiała przyznać, że w słowach siostry było dużo prawdy. Ludzie z pewnością ją wyklną, jak się dowiedzą, że widuje się

OKO ZA OKO

346

z Niemcem, a Bernard będzie okropnie załamany. Sophia myślała, że jeśli zachowa dyskrecję, będzie w stanie utrzymać wszystko w sekrecie przed światem - dom był dość odosobniony, a noce zapadały już teraz dużo wcześniej, więc gdy kończyli herbatę, było już ciemno. Lecz utrzymanie tajemnicy wobec Bernarda będzie bardzo trudne. Choć widywali się tylko raz czy dwa na tydzień, zdarzało się, że wpadał nie zapowiedziany i istniało poważne niebezpieczeństwo, że może przyjść akurat wtedy, kiedy będzie Dieter.

Sophia doszła do wniosku, że trzeba mu będzie powiedzieć, bo niezależnie od wszystkiego obrzydliwe wydawało jej się oszukiwanie go, choć właściwie nie była pewna, co konkretnie miałyby mu do powiedzenia. A w ogóle to na razie nie było jeszcze nic do opowiadania. Dieter miał dziś znów przyjść i na tym mogło się skończyć.

Pomyślawszy to Sophia poczuła gwałtowne bicie serca. Na tym mogło się skończyć. Pewnie tak by było najlepiej. Ale wiedziała, że wbrew wszystkiemu chce, żeby dopiero od tego się zaczęło. Były to czarodziejskie dni, wykradzione ze strumienia czasu. Wokół nich wszystko szło ku gorszemu, zaopatrzenie w żywność, i tak już fatalne, prawie zupełnie ustalo, a wojna wkroczyła w ostatnią, najbardziej krwawą fazę. Druzgocąca klęska Niemców była sprawą pewną, i kwestią otwartą pozostawała już chwila, kiedy to nastąpi. Ale Sophia i Dieter ledwie sobie z tego zdawali sprawę. Byli w sobie tak bardzo zapatrzeni, tak usilnie próbowali nadrobić stracone lata młodości.

Ich spotkania były krótkie i dyskretne. Czasami Dieter nie mógł się wyrwać, a wtedy Sophia czekała daremnie w oknie. Lecz gdy byli razem, nigdy nie starczało czasu na powiedzenie sobie wszystkiego, ani tym bardziej na miłość. Jednak przynajmniej byli sami w tych wyrwanych losowi godzinach, bo Catherine trwała w upartej determinacji, by nie mieć żadnych kontaktów

Janet Tanner

z Dieterem. Kiedy mogła, wychodziła. A gdy to było niemożliwe, zamykała się w swej sypialni na piętrze i nie wychodziła, póki Dieter sobie nie poszedł.

Niemal natychmiast zostali kochankami, jakby to było naj-naturalniejszą rzeczą pod słońcem. Tylko pierwszy rwcałunek był niezręczny, bo Dieter nie był jeszcze pewien swej nowej, dorosłej Sophii, a ona nagle boleśnie uświadamiała sobie obecność jego niemieckiego munduru. Potem jednak wszystko łagodnie i gładko znalazło swoje miejsce z szybkością, która w innych okolicznościach byłaby nie do przyjęcia. Sophia napawała się każdą pieśczętą, każdym dotknięciem, każdym zmysłowym momentem, kiedy tylko zdołała zapomnieć, że powinna się wstydić swego postępowania. Tyle czasu było do nadrobienia, a tak mało terażniejszości czy przyszłości.

Nie zawsze jednak tylko się kochali. Czasami rozmawiali, trzymając się za ręce lub tuląc się do siebie, poszukując dla siebie jakiejś nadziei na przyszłość. Nie mówili tylko

o nazizmie, ten temat był tabu. Wiedzieli oboje, że na tym jedynym polu nie są w stanie dojść do zgody. Mimo swej nienawiści do horrendalnych zbrodni, których się dopuszczono w imieniu tej ideologii, Dieter wciąż wyznawał podstawowe jego wykładnie, które zawróciły mu w głowie w okresie przynależności do Hitlerjugend. Sophia rozumiała, że wymagałaby od niego zbyt wiele, gdyby zażądała zupełnego odcięcia się od tego wszystkiego, wokół czego obracała się jego egzystencja

1 w imię czego tyłu jego kolegów oddało życie. Być może później, kiedy to wszystko się już skończy, Dieter zrozumie, że i on, i jego przyjaciele mylili się. Teraz jednak wspólne chwile były zbyt cenne, by je psuć kłótniami czy prezentacjami diametralnie różnych opinii.

Czasami omawiali niebywały zbieg okoliczności, jaki sprawił, że znów byli razem, i ten niesamowity łut szczęścia, że to właśnie Dieter znalazł radio pod deskami podłogi.

- Czy ty nie zdawałaś sobie sprawy, jak bardzo niebezpieczne jest mieć radio? - spytał wtedy surowo.

OKO ZA OKO

253

- Nie rób mi wykładów, Dieter. Teraz go już nie mam.

- Mam nadzieję! Nie wiesz, że gdybym to nie ja je znalazł, byłabyś teraz w więzieniu, a może i w drodze do Niemiec?

- Tak, wiem. Ale przecież nikt by go nie znalazł ani nawet nie szukał, gdyby ktoś nie doniósł. Kto to był? Nadal chciałabym wiedzieć.

- A co ci to da?

- Dobrze wiedzieć, kogo się ma za wroga. Nie, niczego już nie ukrywam, Dieter, po prostu chcę wiedzieć.

- W porządku. Informację dostaliśmy od kogoś o nazwisku Pinel.

- Pinel? Nie znam nikogo o tym nazwisku... nie, czekaj! Pinel! Tak, tak się nazywała dziewczyna w szkole Catherine! Jeanne Pinel! Pobiła się kiedyś z Catherine o chłopaka. Myślisz, że to ona?

- Nie wiem - odparł Dieter, tuląc ją w ramionach. Daj już temu spokój, *Liebchen*, daj już spokój. To już za tobą, a chyba nie masz zamiaru robić więcej zamieszania.

Ostatnie słowa brzmiały niewyraźnie, bo całował już jej szyję, a jego palce coraz bardziej błądziły po jej ciele. Więc Sophia „dała spokój”, jak o to prosił. Kiedy jednak Dieter już poszedł, a pojawiła się w domu Catherine - nadal nadęta i wyniosła

- Sophia powtórzyła jej słowa Dietera.

- Widzisz teraz, jakie niebezpieczne jest paplanie? - powiedziała na koniec. - Mówisz, że nie powiedziałas nikomu poza Sylvie, ale z ust do ust doszło to do Jeanne Pinel, która umiała wykorzystać informację na twoją niekorzyść, Catherine. Myślę, że to będzie dla ciebie nauczka. Catherine obrzuciła siostrę pełnym obrzydzenia wzrokiem.

- Nie musisz mi mówić, co mam robić - odrzekła oziębło.

- Nie przyjmuję uwag od kolaborantów.

Policzki Sophii oblał rumieniec, a na usta cisnęła się cięta odpowiedź. Powstrzymała się jednak. Do pewnego stopnia uznała, że Catherine ma rację. Mogła mieć tylko nadzieję, że pewnego dnia Catherine zrozumie - i wybaczy.

Janet Tanner

Nazajutrz po tej rozmowie Sophia była sama w domu i pracowała nad przeróbką jednej ze starych sukien Loli na spódnicę dla Catherine, kiedy nagle usłyszała pukanie do drzwi. Ze zdziwieniem podniosła wzrok znad szycia. Dieter powiedział poprzedniego dnia, że ma do nadrobienia kilka zaległości i przyjdzie późno - o ile w ogóle przyjdzie.

Sophia wbiła igłę w materiał i odłożyła wszystko na stół. Miała nadzieję, że to nie Bernard, bo nie powiedziała mu o Dieterze. Zdawała sobie sprawę, że to niedobrze, ale nie umiała się zmusić do tego wyznania. Za każdym razem, gdy miała taki zamiar, słowa utykały jej w gardle i kończyło się na tym, że musiała się uciekać do kiepskich wymówek, mających go zniechęcić do przychodzenia. Wmawiała sobie, że nie jest wobec niego szczerą, bo go nie chce zranić, jednak w głębi duszy wiedziała, że chodzi

O coś więcej. Nie do zniesienia byłaby po prostu dla niej myśl, że Bernard zacząłby o niej źle myśleć, że miałby w oczach ten sam wyraz co Catherine. Wstając teraz od stołu i idąc do drzwi uznała, że jeśli to Bernard, to będzie musiała się go szybko pozbyć, bo inaczej mógłby tu jeszcze być, gdy przyjdzie Dieter, a wówczas doszłoby do bardzo niezręcznej sytuacji.

Odciągnęła zasuwę, cały czas zastanawiając się, co powiedzieć. Ale to nie był Bernard. Przed drzwiami stał Niemiec, którego nigdy dotąd nie widziała.

Jak zwykle na widok niemieckiego munduru dostała lekkich kurczów żołądka, a w mózgu zabrzmiało natychmiast pytanie: Co teraz?

Niemiec, jakby odczytując jej niepokój, lekko się uśmiechnął

1 swobodnym ruchem oparł dłoń na framudze drzwi na wysokości jej głowy. W założeniu gest ten miał zapewne uspokoić Sophię, ale nie wywarł spodziewanego skutku.

- Tak? - spytała krótko. - O co chodzi?

- Ojej! - powiedział nie zmieniając wyrazu twarzy. - To niezbyt uprzejme słowa. Miałem nadzieję na cieplejsze powitanie.

Sophia zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli.

OKO ZA OKO

255

- Naprawdę? Och, dajmy spokój, z pewnością pani rozumie. Nie zaprosi mnie pani do środka? Sophia zawahała się. Niezbyt mądrze byłoby stawiać się niemieckiemu oficerowi i zabraniać mu wejścia do domu. Nie wydawało się jej co prawda, żeby akurat ten Niemiec przyszedł tu służbowo, ale i tak łatwo byłoby mu znaleźć pretekst do agresywnego zachowania, gdyby się poczuł obrażony. Poza tym nie mogła zamknąć mu drzwi na dloni - przecież ją trzymał na futrynie. Mając zmiążdżone palce z pewnością postarałby się narobić jej kłopotów.

- Dlaczego miałabym pana zapraszać? - spytała. - Nie wiem, po co pan przyszedł.

Uśmiechnął się szerzej, ale nie był to sympatyczny uśmiech. Ponad groteskowo wykrzywionymi ustami policzki ani drgnęły, a jego oczy równie dobrze mogły być szklane.

- Och, przepraszam, *Fraulein*. Nie wyjaśniłem. Przyszedłem z wiadomością od Dietera.

- Od Dietera? - Była zaskoczona. Dieter powiedział jej, że utrzymuje ich spotkania w tajemnicy przed swymi kolegami. - Mam nadzieję, że nic się nie stało.

- Proszę się nie obawiać, *Fraulein*. Proszę mnie wpuścić, a wszystko wytłumaczę.

Odsunęła się na bok, a on przeszedł obok niej miękkim, niemal kocim ruchem i stanął na środku kuchni, rozglądając się wokół.

- Ładne macie tu gniazdko. - Jego oczy podobne do dwóch niebieskich kawałków szkła zatrzymały się na niej. - Pani też jest ładna, *Fraulein*, bardzo piękna.

- Proszę mi powiedzieć, po co pan tu przyszedł - rzuciła krótko. - Z Dieterem wszystko w porządku?

Jego uśmiech zmienił się w dziwaczny grymas.

- O, tak, muszę powiedzieć, że z Dieterem jest wszystko w najlepszym porządku. Ma świetny gust. Muszę mu to przyznać.

Sophia odrzuciła głowę do tyłu. Jego komplementy sprawiały tylko, że czuła się jeszcze bardziej niezręcznie.

- Powiedział pan, że ma pan od niego wiadomość. Jaką?

Janet Tanner

Niemiec obchodził pomieszczenie, dotykając różnych drobiazgów, tu podnosząc jakaś fotografię, tam bibelot, i omiatając wszystko tym szklanym spojrzeniem. Potem opadł na fotel przed kominkiem, wyciągnął przed siebie nogi w podkutych butach i założył obie ręce za głowę.

- Wiadomość? Tak powiedziałem?

- Tak, tak pan powiedział.

- Hmm. No więc, to niezupełnie prawda.

Sophia zaczęła się naprawdę niepokoić. Nie chodziło o to, że jest Niemcem, lecz o sposób, w jaki na nią patrzył, przesuwał językiem po pełnych ustach, i o jego arogancką pozę. Zaczęła już żałować, że nie zatrzasnęła mu drzwi na palcach, ryzykując wszelkie konsekwencje.

- Skoro pan nie ma wiadomości od Dietera, to co pan tu robi? - zapytała stanowczo.

Niemiec zapadł głębiej w fotel i znów oblizwał wargi.

- A dlaczego Dieter ma mieć całą frajdę? Sophii zaczęły się trząść ręce.

- Chyba powinien pan już iść.

- Iść? - Zaśmiał się krótko. - Przecież dopiero przyszedłem, *Fraulein*. Jestem pewny, że doczekam się cieplejszego traktowania. Nie wierzę, żeby Dieter się tak fatygował na darmo.

- Skąd pan wie, po co Dieter tu przychodzi? - wysyczała. - I skąd w ogóle pan wie, że on tu bywa?

- Bo, moja droga *Fraulein*, śledziliśmy go. Kilku z nas uznało za dziwne, że Dieter już nie chce naszego towarzystwa. Postanowiliśmy więc sprawdzić, co go tak absorbuje. Poszliśmy za nim i mieliśmy z tego dobrą zabawę! Zasłony nie były do końca zaciągnięte. Tak, powinniście być ostrożniejsi! - Pogroził jej żartobliwie palcem, z rozbawieniem patrząc, jak Sophia oblewa się rumieńcem. - Zbyt się wam śpieszyło. Nie sprawdziliście nawet, czy nikt was nie podgląda. Czy to wystarczająca odpowiedź na pytanie, skąd wiem, że Dieter tu bywa?

- Wstrętny podglądacz! - wybuchnęła, trzęsąc się z oburzenia i strachu.

OKO ZA OKO

257

- Być może. Ale niektórym nie wystarczy samo patrzenie. Przynajmniej mnie. Ja, jeśli sobie popatrzę, to potem mam ochotę... limmm... wie pani, co mam na myśli, prawda, *Fraulein*?

- Proszę wyjść! - krzyknęła. - Dieter...

- Dieter jeszcze długo nie przyjdzie. Ma dodatkowe obowiązki. Nie martwmy się więc Dieterem... - Jego dłoń wystrzeliła w przód, wiążąc jej nadgarstek. - Nie wykazuje pani chęci do współpracy, *Fraulein*. Widzę, że przyda się niewielka perswazja.

- Proszę mnie puścić!

- Jeszcze nie, *Fraulein*, jeszcze nie. - Wolną dłonią zaczął gmerać przy spodniach, po czym pociągnął Sophię silnie na siebie. Zaskoczona, zanim się zorientowała, co się dzieje, leżała na nim na fotelu, czując pod spódnicą jego rękę, a na szyi jego gorący oddech. Zaczęła walczyć, usiłując się uwolnić, okładając go pięściami. Oddech Niemca stał się szybszy. Mężczyzna zaśmiał się krótko. - Kocica! - syknął. Zsunął się z fotela, przewracając ją pod siebie na podłogę. Jego siła i ciężar zupełnie ją obezwładniły. Wykręcona na plecy ręka paliła z bólu, ale drugą zdołała na chwilę uwolnić, gdy Niemiec kończył rozpinać spodnie, i natychmiast wbiła mu w twarz paznokcie. Mężczyzna momentalnie odpowiedział uderzeniem; policzek ją zapiekł i uderzyła głową o podłogę.

Cios ją oszołomił, niemal pozbawił przytomności. Wyla się tonąc w bólu, nie do końca świadoma, co Niemiec z nią robi. Nawet gdy już skończył, leżała jeszcze kilka długich minut, niezdolna poruszyć się i zmienić nienaturalnej pozycji, w jakiej wylądowała. Głowa i reszta ciała pulsowały bólem, lecz te fale nie nadchodziły jednocześnie. Powoli podciągnęła się do góry. Widok leżącego obok niej na podłodze, nasyconego i zadowolonego Niemca przepelnił ją obrzydzeniem. Usiadła gwałtownie, czując przerażająco silny przyływ nienawiści.

Właśnie wtedy zobaczyła leżący na podłodze jego służbowy pistolet. Niezupelnie wiedząc, co robi, schwyciła go w drżącą dłoń i skierowała w stronę Niemca.

- Ty bydlaku, czy teraz już sobie pójdiesz? - wysyczała szczękając zębami.

Janet Tanner

Usiadł szybkim ruchem, a w jego jasnych oczach pojawił się lęk. Nagle Sophia uświadomiła sobie, jak łatwo byłoby go zabić. Jeden mały ruch palca wskazującego i ta nienawistna, przystojna twarz rozleci się na kawałki. Jeden mały ruch i ten Niemiec już nigdy nikogo nie przerazi, nie napadnie, nie zgwałci.

- Zabiję cię - powiedziała.

Dostrzegła drgnienie nerwu na jego policzku. Lecz jego głos był bardzo chłodny, bardzo spokojny.

- Jeśli mnie zastrzelisz, sama też zginiesz.

<- Nie obchodzi mnie to! - parsknęła. - Mogę umrzeć.

- Nie będziesz chciała umierać za coś tak głupiego. Nie zastrzelisz mnie. Nie potrafisz. Oddaj pistolet. - Powoli, bardzo powoli, jego ręka sunęła w jej kierunku. - No już, oddaj pistolet!

Zimne oczy bez drgnienia wpatrywały się w nią i nagle Sophia poczuła, że jej dłoń traci siłę. Miał rację, pomyślała nagle, nie umiała tego zrobić. Ze stłumionym szlochem opuściła rękę z bronią. Jezu! Nie potrafiła tego zrobić! Miała okazję i nie umiała...

W tej właśnie chwili otworzy się drzwi i wszedł Dieter.

Przez chwilę stał i pochłaniał wzrokiem scenę. Sophia chciała podbiec do niego, ale nie mogła się ruszyć. Nagle poczuła wstyd, jakby to wszystko było jej winą.

- Co tu się dzieje, do cholery?! - rzucił Dieter.

Oficer zaczął coś mamrotać po niemiecku, wymachując rękami. Sophia pojęła, że usiłuje się jakoś usprawiedliwić.

- Zgwałcił mnie! - zawołała. - Wszedł tu pod pretekstem, że ma od ciebie wiadomość i zgwałcił mnie!

- Zgwałcił? Ha, ha! Sama się o to prosiłaś!

- Jak możesz?! - Spuściła wzrok, jakby ze zdziwieniem dojrzaawszy broń w swej dłoni, po czym szlochając zwróciła się do Dietera: - Chciałam go zastrzelić, Dieter. Ale nie potrafiłam. Nie potrafiłam!

- Rozumiem. - Twarz Dietera była biała z wściekłości. - To właśnie dlatego twoi kołesie się tu kręcili, tak? Wiedzieli, co knujesz.

OKO ZA OKO

259

- Przyszli tu kiedyś za tobą, Dieter. Podglądali nas... - Urwała, nagle przerażona. Oczy Dietera płonęły, miał rozdęte nozdrza.

- Co robiliście?!

Sophia dostrzegła w oczach gwałciciela pierwszy błysk lęku.

- Daj spokój, Dieter! - powiedział nieco drżąc. - Nie znasz się na żartach?

- Żartach? To mają być żarty? Dobra, skurwielu, dostaniesz teraz za swoje!

- Od kogo? - zaszydził oficer.

- Ode mnie. - Dieter wyjął z kabury swój pistolet i wycelował go w serce Niemca.

Sophia wpadła w panikę.

- Dieter! Nie! Proszę! Nie rób tego!

- A niby dlaczego? Zrobię to, do czego tobie zabrakło odwagi, Sophio. Zabiję go.

- Dieter, proszę, nie!

- Oszalałeś! - krzyknął oficer. - Nie ujdzie ci to płazem!

- Nic mnie to już nie obchodzi! Jestem Niemcem i byłem z tego dumny. Ale już nie jestem. Przez ostatnie lata nauczyłem się wstydić swojego pocnodzenia! Swoich rodaków! Popelniono tyle nieludzkich rzeczy! Miną pokolenia, nim zostaną zapomniane! I cały ten czas zmuszano mnie, bym siedział cicho i robił, co mi każą. Często pytałem sam siebie - jak ja mogę z tym żyć?

Staralem się robić tylko to, co uważałem za słuszne, ale i tak się wstydzilem. Nadciąga koniec

wojny. Niedługo będziemy musieli odpowiedzieć - my wszyscy! A jak mnie pytają: co ty robiłeś, Dieter? Powiem im. Zastrzeliłem człowieka, który splugawił moją ukochaną Sophię! To niewiele, ale przynajmniej tyle mogłem zrobić.

Oficer zaśmiał się ochryple.

- Jeśli mnie zastrzelisz, nie pożyczysz na tyle długo, żeby komuś coś opowiedzieć. Komendant się o to postara.

- A więc Sophia im powie. Powie mojemu ojcu i matce, że umarłem, bo wykonałem wyrok na gwałcicielu. Wychodź na dwór, bydlaku!

- A dlaczego nie zrobisz tego tu?

Janet Tanner

- Żeby aresztowano Sophię za współudział? Nie, dość wycierpiała! Marsz!

Wbił pistolet w żebra oficera, popychając go do drzwi.

- Dieter! Nie rób tego! Nie chcę, żebyś to dla mnie robił!

- zawołała Sophia, chwytając kochanka za ramię. Wyrwał rękę.

- Oddaj mi jego broń, *Liebchen*. Nie obawiaj się, nikt cię z tym nie skojarzy.

- Proszę, Dieter, nie! Naprawdę, nic mi nie jest! Nie zrobił mi krzywdy!

Ale Dieter nie słuchał już żadnych argumentów. Dźgając oficera bronią, zmusił go do wyjścia na ciemną ścieżkę.

- Wracaj do środka i zamknij drzwi! - rzucił do niej przez ramię. - Rób, co ci każę!

Sophia stała w drzwiach, przyciskając dłonie do ust, niezdolna do ruchu, aż ciemność skryła obu Niemców. Nie robi tego, powtarzała z nadzieją w duchu. I wtedy, głośno i szczepliwie w nocnej ciszy, zabrzmiał strzał.

Gdy tak stała, zamarła z przerażenia, na ścieżkę wbiegła Catherine, zalękniona i zdyszana.

- Sophio, co się dzieje? Co to jest? Na drodze są Niemcy i ktoś strzelał!

Sophia wzięła się w garść. Teraz najważniejsze było ochronić Catherine.

- Nie wiem. To nie nasza sprawa. - Złapała przestraszoną dziewczynkę za rękę, wciągnęła do domu i zatrzasnęła drzwi.

- Zasłoń okna! Muszę jeszcze trochę posprzątać i potem idziemy spać. Bez względu na to, co będzie się działo na zewnątrz, nie zapalamy światła i nie wyglądamy! Słyszysz?

- Ale nie rozumiem. Ty coś wiesz, prawda? Coś się tu dzisiaj stało?

Sophia pokręciła głową. Wszystko to było aż zbyt straszne i nie wiedziała, od czego zacząć. Poza tym bezpieczniej było, żeby Catherine nic nie wiedziała.

- Nie czas teraz. Jutro ci wyjaśnię. Nic więcej nie powiedziała.

Rozdział szesnasty

To był koszmar. Koszmar, z którego nie potrafiła się zbudzić. Szedł za nią krok w krok w ciągu dnia i dręczył podczas krótkich chwil snu, w jakie udawało się jej zapadać po długich, męczących godzinach bezsenności. Straszliwe wydarzenia tamtego wieczoru zaowocowały szramami na ciele i zszarganymi nerwami. A do tego dochodził jeszcze ciągle lęk o Dietera. Nie miała pojęcia, co się z nim działo. Słyszała tylko plotki i spekulacje na temat nocnej strzelaniny i zabicia na publicznej drodze oficera żandarmerii polowej. Obawiała się zadawać zbyt wiele pytań, bo gdyby ją zaczęto podejrzewać, w niebezpieczeństwie mogłaby się znaleźć również Catherine.

Lecz ciągle myślenie było męką. Czy wiedzieli, że to Dieter zastrzelił tego oficera? Schwymano go, czy się ukrywa? Czy może się nagle pojawić w jej domu, szukając kryjówki? W to ostatnie nie wierzyła, bo Dieter zbyt mocno troszczył się o jej bezpieczeństwo - i Catherine. A gdyby jednak się pojawił? Co by wtedy zrobiła? Te pytania kłębiły się jej wciąż w głowie, aż miała wrażenie, że zaraz oszaleje. Ale nadal najważniejszym pytaniem było, czy go jeszcze kiedyś zobaczy? Czy będą jeszcze kiedyś razem?

Wiedziała, że może oczekiwać tylko najgorszego, ale ciągle miała nadzieję. I właśnie nadzieja była największą torturą.

Janet Tanner

Stojąc w kolejce w sklepie usłyszała wiadomość, że jakiś Niemiec oddał się w ręce władz w związku ze strzelaniną na ulicy w St Peter. Po prostu poszedł do swojego dowódcy i przyznał się. Usłyszał, że planowane są akcje odwetowe w okolicy, jeśli zabójca nie zostanie schwytyany, więc po prostu poszedł i się przyznał. Jeden Bóg wie, dlaczego to zrobił - w końcu za taką zbrodnię groziła tylko kara śmierci.

Sluchając tej opowieści Sophia zacisnęła dłoń na uchwycie swego koszyka, jakby to była linia życia. Kara śmierci. Dieter zostanie rozstrzelany. Przez chwilę myślała, że zemdleje, potem chciała krzyczeć. Wypadła ze sklepu, nieświadoma ścigających ją ciekawskich spojrzeń. Chciała tylko jak najszybciej znaleźć się w domu.

Usiłowała biec, ale drżące nogi ledwie ją niosły, a oddechu brakowało. Wydostać się ze wsi, na drogę... i nagle uświadomiła sobie, że musi przejść obok miejsca, gdzie to się stało.

Nie był to oczywiście pierwszy raz, ale przedtem udawało się jej jakoś zapanować nad nerwami i patrzeć po prostu w inną stronę. Nawet wtedy, gdy żandarmeria kręciła się tu i przeszukiwała trawę w poszukiwaniu jakichś śladów, nawet wtedy umiała przejść z podniesioną głową. Lecz nie dzisiaj. Dziś ciemna plama na żwirze, gdzie niedokładnie usunięto krew, zdawała się wstawać z ziemi i sięgać jej do gardła. To tu Dieter zastrzelił oficera, który ją zgwałcił. A teraz ma być za to rozstrzelany.

Już od kilku dni Sophia cierpiała na nudności, lecz teraz ich atak był tak silny, że miała wrażenie, iż jakaś stalowa pięść miażdży jej żołądek. Oderwawszy siłą wzrok od miejsca zastrzelenia oficera, ruszyła biegiem, ale mdłości były silniejsze. Musiała stanąć, skuliła się, i bezradnie płacząc zwymiotowała.

Sophio, jesteś w ciąży? - spytała Catherine. Sophia zamarła, zaskoczona bezpośredniością pytania. Od kiedy sama zaczęła to podejrzewać, wiedziała, że ten moment nadejdzie, ale odsuwała

OKO ZA OKO

363

od siebie tę myśl, bojąc się tego wyrazu obrzydzenia w oczach Catherine, obawiając się, że rozmowa na ten temat sprawi, iż to wszystko stanie się bardziej realne. - No więc? - nie popuszczała Catherine. - Jesteś?

Ona już nie jest dzieckiem, pomyślała Sophia. Wojna sprawiła, że szybciej dorosła. Ale mimo to niełatwo powiedzieć coś takiego, a mając przed sobą jarzące się oczy Catherine, nie można było również skłamać.

- Tak, chyba tak - odparła cicho.

- Och, Sophio!

- Wiem, wiem. To koszmar. Powtarzam sobie, że to niemożliwe... ale wiem, że jestem.

Dziewczyny milczały przez chwilę i wpatrywały się w siebie.

- Co masz zamiar teraz zrobić? - spytała wreszcie Catherine. Sophia potrząsnęła głową.

- Nie wiem... naprawdę. Znow cisza. I znow Catherine:

- Wiesz, jak cię będą nazywać?

- Tak. Wiem.

- Szwabska dziwka. Moja siostra. Jak mogła?! Umrę ze wstydu!

- A jak myślisz, jak ja się czuję?

- Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zaczęłaś się puszczać z Niemcami. O, tak, wiem, co powiesz

- to tylko Dieter! Zawsze tak mówisz. Ale Dieter był Niemcem, a im nie można ufać.

- To nie była wina Dietera! - nie dawała za wygraną Sophia. - Mówiłam ci już tyle razy, co się stało. Ale ty nie chcesz słuchać.

- Słuchałam. I to jest okropne, ohydne! Mogę tylko powiedzieć, że szkoda, że nie zastrzeliłaś tego Szkopa, który cię zgwałcił. Miałaś okazję. Dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Nie wiem. Nie potrafiłam...

- Ja bym go utłukła.

- Nie wiadomo. Nigdy nie wiadomo, póki sama tego nie przeżyjesz. A gdybym go zastrzeliła, pewnie by mnie deportowali, jak mamę i tatę. Co by wtedy było z tobą?

Janet Tanner

- Dałabym sobie radę. Przecież wojna już się prawie skończyła. Pewnie nawet by cię nie deportowali. Powinnaś była go zabić. Przynajmniej zachowałabyś choć trochę godności.

- Dobrze już, Catherine - ucięła Sophia, urażona. - Nie ciągnij tego. Myślisz, że ja nie żałuję, że go nie zabiłam? Gdybym to zrobiła, Dieter nie musiałby tego robić za mnie i nie zostałby oskarżony o Bóg wie co. A jeśli powiesz, że nic cię nie obchodzi, co się z nim stało, bo to Niemiec, to przysięgam, że nigdy ci tego nie wybaczę!

Zakryła twarz dłońmi, w milczeniu polykając łzy. Była wściekła na siebie, że nie potrafi kontrolować swych uczuć, i na Catherine, za jej nieubłaganą postawę. Była pewna, że jej siostra zrozumie, kiedy już jej wytłumaczy, co się stało. Lecz Catherine najwyraźniej obchodziło tylko to, co pomyśla jej przyjaciółki.

- Nie mógłbyś się tego pozbyć? - spytała teraz Sophię.

- Pozbyć? Catherine... - Sophia zamrugła.

- No, mogłabyś spróbować. Sylvie mówi, że wystarczy wziąć kąpiel, ale naprawdę gorącą, i wypić mnóstwo ginu. Najlepiej całą butelkę.

- A co Sylvie może o tym wiedzieć? - parsknęła Sophia.

- Chyba z nią nie rozmawiałeś o mnie, co?

- Nie... - bąknęła Catherine, czerwieniąc się lekko. - Tak rozmawialiśmy, ogólnie. - Ale nie zabrzmiało to przekonująco.

- Rozumiem. No cóż, skoro już wszystkie twoje przyjaciółki wiedzą, to chyba nieco za późno na ukrywanie mojego stanu

- nawet zakładając, że zdobędę butelkę ginu i że to zadziała, w co wątpię.

- To znaczy... że nawet nie spróbujesz? - Catherine nagle wyglądała, jakby się miała rozplakać.

- Nie - odrzekła Sophia. - Nie spróbuję.

- Ale...

- Słuchaj, Catherine, gdybym była pewna, że ojcem jest ten okropny człowiek, który mnie zgwałcił, to pewnie bym spróbowała. Ale nie jestem pewna. To może być dziecko Dietera. Nie rozumiesz, że nie mogę podjąć takiego ryzyka?

OKO ZA OKO

265

Catherine poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Dziecko Dietera?

- To możliwe.

- Ty naprawdę jesteś nienormalna, Sophio, wiesz?

- Catherine, proszę, zrozum!

- Och, świetnie rozumiem! - syknęła Catherine. - Rozumiem, że moja siostra włóczyła się ze szwabami i teraz wszyscy się

o tym dowiedzą. Wcale mnie nie dziwi, że ten oficer tu przyszedł

1 cię zgwałcił. Pewnie usłyszał, że jesteś łatwa. A teraz dowie się o tym reszta Jersey.

- Catherine, proszę... Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie dobijasz takim gadaniem.

- Ja cię dobijam! A to dobre! Powiem ci coś, Sophio. Zabiję się ze wstydu. Wiedziałaś, co ludzie mówią o dziewczynach, które się puszczają z Niemcami, ale musiałaś to ciągnąć, prawda? Nie potrafiłaś nawet poprzestać na widywaniu się z nim. Musiałaś mu dać... Ohyda!

- Nie ma w tym nic ohydneho, Catherine. Ja go kocham!

- Ty to nazywasz miłością, a ja puszczaniem się ze szkopami. Szwabska dziwka! Prawdziwa, najprawdziwsza szwabska dziwka! Mam nadzieję, że jesteś z siebie zadowolona, Sophio!

Naprawdę, mam nadzieję, że teraz już jesteś zadowolona z siebie!

Sophia odwróciła się, zrozpaczona. Wiedziała, że to dopiero początek. Będzie więcej w tym samym stylu. Ale nie ma sensu

0 tym myśleć. Nie ma sensu się tym przejmować. To tylko strata nerwów i energii. Nie mogła sobie też pozwolić na użalanie się nad sobą. Już była pewna, że jest w ciąży, miała więc przed sobą mnóstwo myślenia i planowania.

Było tylko jedno rozwiązanie. Znała je od samego początku

1 usiłowała o nim nie myśleć - nie dlatego, że było okropne, ale dlatego, że oznaczało, iż w końcu pogodziła się z myślą, że już nigdy nie zobaczy Dietera.

Poza tym nie wiedziała, czy zdobędzie się na odwagę. Wszystko

Janet Tanner

dobrze, Bernard powiedział, że zawsze może na niego liczyć w każdej potrzebie, niezależnie od jej rodzaju. Sophia oczywiście wiedziała, że z pewnością nie myślał o sytuacji, gdy ona będzie w ciąży z innym. Wiedziała też, że skrzywdzi go straszliwie. Możliwe przecież, że Bernard po prostu jej powie bez ogródek, że to nie jego problem - i będzie miał do tego pełne prawo. Lecz rozpaczliwe sytuacje wymagają rozpaczliwych metod. A Sophia jeszcze nigdy w życiu nie była bardziej zrozpaczona.

Pewnego wieczora na początku grudnia Bernard wyszedł z elektrowni i dostrzegł w gęstniejącym mroku skuloną pod ścianą postać. Nie zwrócił na nią większej uwagi, bo mimo że była dopiero czwarta, zapadły już niemal zupełne ciemności, a poza tym wiał ostry wiatr i Bernard wtulił natychmiast głowę w ramiona. Kiedy jednak doszedł do tej postaci, wyszła z mroku, a wówczas stanął gwałtownie, gapiąc się na nią z zaskoczeniem.

- Sophio! Co ty tu robisz?

- No, właściwie to czekam na ciebie...

- Och! - Nic nie potrafiło powstrzymać natychmiastowej fali miłości i pożądania, jaką w nim zawsze wzbudzała, lecz teraz już umiał panować nad tymi uczuciami. Sophia go nie kochała, i nieważne jak bardzo chciał, żeby było inaczej. Czas już to zrozumieć i przestać się zachowywać jak zadurzony sztubak.

Przez ostatnie miesiące niemal nie widywał Sophii. Przypomniawszy sobie, że tak gdzieś na jesieni zaczęła nagle zachowywać się dziwnie, znajdując wszelkie możliwe wymówki, żeby go zniechęcić do odwiedzin. Wreszcie, z wielką niechęcią, przyjął do wiadomości, że ona po prostu nie chce go już widywać i usiłuje się go pozbyć nie mówiąc tego wprost. Ta świadomość bolała, ale pogodził się z tym. Próbował ją zdobyć, robił, co mógł, ale przegrał. Lepiej się wycofać z klasą. Przestał więc do niej wpadać, a gdy nie podjęła żadnej próby skontaktowania się

OKO ZA OKO

267

z nim, doszedł do wniosku, że istotnie chciała w delikatny sposób pozbyć się go.

Teraz przyjrzał się jej wychudzonej postaci, drżącej w płaszczyku, który rozpoznał jako niegdysiejszą własność Loli, i poczuł bicie serca. Lecz nie było sensu wpadać w podniecenie, jak rok temu. Od tamtego czasu jego miłość własna otrzymała zbyt wiele ciosów.

- Dlaczego na mnie czekasz?

Zawahała się. Nie było już śladu po pewnej sobie Sophii.

- Możemy porozmawiać?

- Tutaj?

- Nie, raczej nie. Mógłbyś przyjść?

- Kiedy?

Znów się zawahała.

- Wszystko jedno.

- Jutro może być? - spytał.

Skinęła głową. Chciała mu powiedzieć, że właściwie nigdy nie będzie dobrej chwili na to, co ona musi zrobić, ale teraz, kiedy już się zdecydowała, woląca to mieć jak najszybciej za sobą.

Wiedziała jednak, że nie ma prawa żądać, by przybiegł na pierwsze skinienie. Skoro potrzebowała jego pomocy, musiało to nastąpić na jego warunkach.

- A więc jutro - powiedział Bernard. - O siódmej? Ponownie pokiwała głową. Kiedy wsiadł na rower i odjechał,

poczuła się jak idiotka, którą ktoś wreszcie usadził.

Następnego wieczoru, czekając na przybycie Bernarda, Sophia straszliwie się denerwowała. Był wobec niej tak chłodny, nie wyglądał na w najmniejszym stopniu ucieszonego na jej widok. Nie mogła więc powstrzymać myśli, że jego uczucia do niej się zmieniły. W końcu minęło mnóstwo

czasu, od kiedy się jej oświadczył, a nie można było przecież się spodziewać, że będzie na nią czekał do końca życia. Może poznał kogoś innego? A może - żołądek jej się wywracał na samą tę myśl - może

Janet Tanner

słyszał, że widywała się z Dieterem? Była tak dyskretna, jak się dało, ale czegoś takiego nie można przecież w nieskończoność utrzymywać w sekrecie. Niedobrze jej się robiło na myśl, że Bernard może ją uważać za kolaborantkę, co samo w sobie było nielogiczne, bo przecież jeśli ma jej pomóc, musi poznać całą prawdę.

Nie mogę tego zrobić, myślała w panice. Ale wiedziała, że nie ma wyboru, bo nie podejmując żadnych działań jeszcze bardziej wszystko zagnatwa. Och, Boże, pomóż mi! modliła się, słysząc pukanie Bernarda. Pomóż mi!

Ku jej zdziwieniu Bernard był bardzo elegancki. Niemożliwe było kupienie nowej odzieży i wszyscy wyspiarze wyglądali jak obdartusy, a Sophia marzyła o włożeniu na siebie czegoś choć odrobinę ładniejszego od dziecięcej bluzki i spódniczki, które były jej najlepszym ubraniem w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, a które zaczynały już niepokojąco uwierać w talii. Lecz Bernard był elegancki. Jego sportowa marynarka, choć z latami na łokciach, przetrwała próbę czasu. Zapewne dlatego, że w pracy nosi kombinezon, pomyślała.

Usiedli przy kominku - dawał tak mało ciepła, że trzeba było niemal trzymać stopy w ogniu, żeby się ogrzać - i przez chwilę rozmawiali o wszystkim i niczym. Sophia żałowała, że nie ma już na niego takiego wpływu jak kiedyś. Dzielili ich teraz jakaś bariera, a Sophia nie wiedziała, jak ją obejść.

- No - powiedział w końcu Bernard - o czym chciałaś rozmawiać?

Sophia z trudem przełknęła ślinę. Ze zdenerwowania miała zaciśnięte gardło.

- Pamiętasz, kiedyś mi powiedziałeś, że jeśli będę potrzebowała pomocy, mogę się do ciebie zwrócić.

-Tak.

- Właściwie poprosiłeś mnie wtedy o rękę. W jego policzku lekko zadrgał mięsień. - Tak.

- No cóż, zastanawiam się, czy nie za późno jest... przyjąć oświadczyzny.

OKO ZA OKO

269

Na chwilę zapadła całkowita, pełna zaskoczenia cisza. Nawet płonący na pyle węglowym ogień zdał się wstrzymać oddech i przestał syczeć.

- Eeee - mruknął Bernard. - Muszę... powiedzieć, że... eee... to dla mnie wstrząs.

- To znaczy, że już nie chcesz się ze mną ożenić?

- Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że to dla mnie wstrząs. W końcu odmówiłaś mi, a ostatnio - no cóż, rzadko się widywaliśmy.

- Wiem. I nie ma sensu udawać, że nagle mi się tak odmieniło. Jest powód, a kiedy go poznasz, Bernardzie, możliwe, że już nigdy nie zechcesz mnie widzieć. Ale powiedziałaś, że zawsze, kiedy tylko będę potrzebowała przyjaciela... Potrzebuję go teraz.

Bernard przyjrzał się jej zaróżowionej w świetle ognia twarzy. Miał zupełnie suche gardło. Przez jeden króciutki, cudowny moment myślał, że jego marzenia się spełniły. Ale oczywiście tak nie było.

Uważaj, ostrzegł sam siebie, bo nagle całe jego opanowanie ulotniło się.

- Opowiedz mi wszystko, Sophio - powiedział.

Opowiedziała mu. Powiedziała mu o Dieterze i niemieckim żandarmie, który ją zgwałcił.

Powiedziała mu, że jest w ciąży i że odchodzi od zmysłów ze zdenerwowania, że lęka się zostać samotną matką, być okrzykniętą szwabską dziwką, że obawia się, jaką przyszłość będzie miało jej nie narodzone jeszcze dziecko. Powiedziała mu wszystko, nie wspominając tylko o jednym - że powodem, dla którego nawet nie brała pod uwagę możliwości aborcji, był brak pewności, czy dziecko nie jest Dietera.

- No więc teraz już wiesz wszystko - powiedziała na koniec. Bernard nic nie powiedział. Miał pociemniałe, zwężone oczy

1 wyglądał, jakby nie miał ochoty na nią patrzeć. Jego milczenie

Janet Tanner

przeraziło Sophię. Jej oczekiwania obejmowały całą gamę jego możliwych reakcji - od jakiegoś wybuchu po (w wersji najbardziej optymistycznej) ponowienie deklaracji o uczuciach. Lecz zupełny brak reakcji był straszny.

- To znaczy, że chcesz, żebym udawał, że jestem ojcem twojego dziecka - powiedział wreszcie cicho.

Sophia nagle niemal zasłabła ze wstydu. W tym ujęciu wszystko wydawało się obrzydliwe, tchórzliwe i ordynarne. Catherine miała całkowitą rację - Sophia sama sobie to ściągnęła na głowę. Nie miała prawa oczekiwać nawet przez moment, że Bernard zrobi to dla niej. Jednak nigdy by się nie zdobyła na coś takiego, gdyby nie była już u kresu wytrzymałości. A teraz nienawidziła samej siebie za swą słabość. Ale jeden Bóg tylko wie, jak wiele przeszła w samotności. A przecież trzeba było również pamiętać o dziecku. Już stygmat nieślubności sam w sobie byłby dlań okropny, a gdyby jeszcze się rozeszło, że jego ojcem był Niemiec, jego życie straciłoby sens.

- Nie proszę cię, żebyś się ze mną związał na zawsze - powiedziała szybko. - Wiem, że nie mam prawa prosić o tak wiele. Zdaję sobie sprawę, że po tym wszystkim nie będziesz mnie już chciał, nie spodziewam się też, że podejmiesz odpowiedzialność za dziecko Niemca. Ale gdybyś tylko mógł... Och, sama już nie wiem...

- Udawać, że to moje dziecko - powtórzył tym samym, bezbarwnym głosem, wchodząc jej w słowo. - Tego właśnie ode mnie chcesz, prawda, Sophio?

Bez słowa skinęła głową, zatopiona w niezmiernym morzu wstydu.

- To wszystko jest dla mnie wstrząsem. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. - Wstał. - Muszę pomyśleć.

- Bernardzie... Proszę, nie czuj do mnie nienawiści!

- Nie, Sophio, to nie to. Ale musisz mi dać czas. Muszę przywyknąć do myśli o tobie... Słuchaj, skontaktuję się z tobą. Teraz chciałbym trochę побыć sam.

OKO ZA OKO

271

Po jego wyjściu Sophia uświadomiła sobie, że cała się trzęsie. Zamknęła drzwi, oparła się o nie i otoczyła się ramionami. Fala za falą przenikało ją obrzydzenie do siebie samej za to, co zrobiła. Kiedy sobie to planowała, wydawało się to tak rozsądnym rozwiązaniem, ale wówczas była tak załęczniona o przyszłość własną i nie narodzonego dziecka, że nie myślała w ogóle o możliwych następstwach tej prośby. A teraz już nie umiała o nich zapomnieć. Wiedziała, że do końca życia nie zdoła zapomnieć wyrazu twarzy Bernarda, kiedy zakończyła swoją opowieść. Widok ten zapadł jej w pamięć, jakby go wypalono

- wraz z tymi wypowiedzianymi chłodnym, bezbarwnym głosem słowami: „Chcesz, żebym udawał, że jestem ojcem twojego dziecka.”

Spuściła głowę na piersi. Palily ją policzki, nienawidziła całego świata, lecz najbardziej siebie. Jak mogła choć przez chwilę pomyśleć, że Bernard będzie umiał zaakceptować coś tak strasznego? Jak mogła być tak arogancka, żeby się spodziewać, że może wciąż jej chcieć? No cóż, teraz przynajmniej już wiedziała, że to nieprawda. Och, oczywiście nie odmówił jej wprost. Był na to zbyt uprzejmy. Ale nie ukrywał, jak bardzo był zaszokowany i oburzony - nie tylko tym, co zrobiła, ale że poprosiła go o danie, dziecku nazwiska. Zalała ją kolejna fala upokorzenia, tak silna, że Sophia chciała uciec, zniknąć, i nigdy już nie musieć patrzeć nikomu - a szczególnie Bernardowi

- w oczy. Pomyślała, że nie powinna była tego robić, że powinna była pomyśleć o jakimś innym rozwiązaniu. Wszystko byłoby lepsze niż ten wyraz twarzy Bernarda i sposób, w jaki na nią patrzył.

Nagle, z olbrzymim zaskoczeniem, uświadomiła sobie, że to właśnie reakcja Bernarda najbardziej jąrozstroiła. Nie dlatego, że jego odmowa zmusiłaby ją do poszukiwania innej drogi, choć to było straszne samo w sobie. Tylko że nie mogła zapomnieć jego twarzy, jego spojrzenia - i to właśnie było nie do zniesienia.

Nigdy sobie nie zdawałam sprawy, jak wiele znaczy dla mnie jego opinia, pomyślała. Uważałam, że jego uczucia do mnie to

Janet Tanner

coś naturalnego i traktowałam je jako zupełnie bezwartościowe. Dopiero teraz, gdy już jest za późno, zdałam sobie sprawę, jak ważne są dla mnie. Boże! Co ja zrobiłam?

Zaczęła rozpaczliwie płakać z bólu, upokorzenia i... jeszcze jednego powodu; zupełnie nowego dla niej, dziwnego uczucia - tęsknoty. Tęsknoty nie za tym jednak, co było, lecz co mogło być. Uczucie to nie było jeszcze do końca skrytalizowane, niemal nieuchwytnie, jakby pozaświadome. Gdyby miała jakoś je określić, nazwać, to być może opisałaby je jako bolesne poczucie straty. Ale tym razem nie rodziców czy Dietera. W najgłębszych myślach Sophii zakiełkowała pewność, że dotyczy ono Bernarda.

W ciągu tygodnia, który upłynął do czasu kolejnego spotkania z Bernardem, Sophia myślała o nim bez przerwy.

Uważała za idiotyczne, że ktoś, kogo znała tak dobrze od tak dawna, nagle zaczął wypełniać wszystkie myśli. Być może to jakiś mechanizm samoobrony popychał ją do tego człowieka, który stanowił teraz jedyną nadzieję na bezpieczeństwo dla niej i rozwijającego się w jej łonie dziecka. Ale wmawianie sobie tego było bez sensu, bo tęsknota za związanym z Bernardem poczuciem pewności i bezpieczeństwa miała również fizyczny charakter. Za każdym razem, gdy stawała jej przed oczami jego twarz, gdzieś w głębi duszy budziły się wspomnienia; jego ramiona wokół niej, bezpieczne, mocne, i nagle samotność sprawiała ból. Te uczucia były głupie, nieracjonalne i dziwnie podniecające, a jednocześnie straszliwie przygnębiające, bo zdawała sobie już sprawę, że Bernard stał się dla niej nieosiągalny. Och, dlaczego nie mogło tak być wtedy, kiedy on jej pragnął? W jej szaleńczo pogmatwanym świecie pojawiała się w ten sposób jeszcze jedno szaleństwo.

Raz czy dwa, gdy niemal cudem budziła się bez skręcających nudności i miała nieco lepszy humor, przyszło jej do głowy, że może jednak Bernardowi jeszcze trochę na niej zależy. W końcu

OKO ZA OKO

273

obiecwał, że się odezwie - może kiedy się już zżyje z tym wszystkim, zdoła jej dać jeszcze jedną szansę. Lecz te optymistyczne nastroje nie trwały długo. Musiała się zmierzyć z konsekwencjami tego, co zrobiła, i przestać się okłamywać. Bernard nigdy jej nie wybaczy, nie mówiąc już o tym, że nie może już jej kochać, od kiedy poznał prawdę.

Doszła do wniosku, że pozostaje jej tylko jedno. Kiedy wojna się już skończy, pojedzie do Anglii. Znajdzie sobie pracę, żeby utrzymać siebie i dziecko, bo tam nie będzie komu wytykać jej palcami i oskarżać o kolaborację. Była pewna, że w Anglii nikt nie będzie wiedział, nikogo to zresztą nie będzie obchodziło. Mogła więc mieć tylko nadzieję, że wojna skończy się wystarczająco szybko, by zdążyła opuścić wyspę przed urodzeniem dziecka.

Dni mijały podobne do siebie. Sophia żyła jak automat, starając się tworzyć jakieś konstruktywne plany i nie myśleć za wiele o swych problemach. Lecz one zawsze wracały nocą, wśród cieni pojawiały się pełne oskarżeń twarze, a wiatr szeptał jej w ucho wątpliwości.

Potem, pewnego wieczoru, wychodząc z pracy zobaczyła czekającego na nią Bernarda.

Znów oblała ją gorąca fala wstydu.

- Bernard!

- Sophio, przemyślałem wszystko - powiedział.

W jego głosie brzmiała jakaś twarda, nieznaną dotąd nuta. Serce Sophii zamarło.

- Przepraszam, Bernardzie. Nie powinnam cię nigdy...

- Ożenię się z tobą - przerwał jej bez wahania - i dam dziecku nazwisko. Pod warunkiem, że postaramy się, by to małżeństwo funkcjonowało, jakby wszystko było... normalnie. Chcę,

żebyśmy wyglądali dla zewnętrznego świata jak zwyczajna, szczęśliwa rodzina. Ale jedno musi być jasne. Jeśli kiedykolwiek odkryję, że znowu mnie oszukałaś - pod jakimkolwiek względem - to nie tylko cię porzucę, ale postaram się, żeby każdy na Jersey poznał całą prawdę. Czy rozumiesz mnie, Sophio?

Janet Tanner

- Och, Bernardzie!

- Rozumiesz? Nie dam się już oszukiwać. Nie pozwolę znów zrobić z siebie głupca!

Skinęła głową. Miała miękkie) kolana i nagle zachciało się jej płakać.

- Nie chcę nikogo innego. Będę dla ciebie dobrą żoną, obiecuję. Naprawdę cię kocham, Bernardzie. - Bernard zaśmiał się krótko, a ona położyła mu dłoń na rękawie. - To prawda. Kocham cię. Ale zdałam sobie z tego sprawę dopiero wtedy, kiedy myślałam, że cię straciłam... Urwała. Bernard nie wykonał w jej kierunku najmniejszego ruchu. Nagle Sophia przestraszyła się tego nowego Bernarda. Zawsze przedtem miała pewność, że może go sobie owinąć wokół małego palca. Ale to była już przeszłość. Teraz on kontrolował sytuację. Zraniła go, skrzywdziła, lecz zdołał zmienić swój ból w siłę, zbudować z niego linie obronne. Sophia pojęła, że pokonanie tych barykad nie będzie łatwe. Jeśli chce, żeby ją pokochał i żeby się z nią ożenił, musi go znowu podbić.

Sophia drżała z zimna w swym przewiewnym płaszczyku, a żołądek skręcał się jej z głodu i bólu od ciągle prześladujących ją nudności, jednak nie czuła tego w owej chwili, bo świadomość leżącego przed nią ogromu pracy przytłaczała ją niemal równie mocno, jak przedtem perspektywa samotnego urodzenia dziecka. Ale już zaczynały w niej kielkować ziarna nadziei. Kochał ją kiedyś, więc musi sprawić, by ją znów pokochał. I zrobi wszystko, żeby Bernard nigdy nie żałował decyzji poślubienia jej.

Bernard i Sophia wzięli cichy ślub, kiedy tylko dopatrzono wszystkich formalności. I nikogo to nie zdziwiło. Wyspiarze, zwykle niebywale wyczuleni na pogrubiającą się talię panny młodej, zbyt byli teraz zajęci własnymi sprawami, a każdy żył mającym wkrótce nastąpić przybyciem statku Czerwonego Krzyża, co oznaczało paczki z żywnością, papierosami i czekoladą - senne marzenie miesięcy głodowania!

OKO ZA OKO

275

Bernard wprowadził się do domku w St Peter i wraz z żoną rozpoczął długi, mozolny, i delikatny wysiłek odbudowywania zerwanego związku, lecz tym razem w odwróconych rolach. Teraz to Sophia starała się pozyskać względy Bernarda i dbała, by mu we wszystkim dogodzić. I tak stopniowo, powoli, zaczęło do ich stosunków powracać ciepło, z czasem poczęło wzrastać wzajemne zaufanie, a cementem wszystkiego był fizyczny pociąg, jaki Bernard zawsze odczuwał w stosunku do Sophii, a który ona zaczynała powoli odwzajemniać.

Czasami przychodziło jej do głowy, że mając za sobą takie przeżycia mogłaby zapaść na oziębłość, lecz cięża sprawiła, że była jeszcze bardziej zmysłowa i namiętna. A to w połączeniu z wdzięcznością, uwielbieniem i szacunkiem dla tego nowego, nieugiętego Bernarda dawało efekty i dobrze wróżyło na przyszłość.

Ale mimo wszystko charakter ich stosunków uległ nieodwracalnej zmianie - nigdy już Bernard nie powrócił do swej początkowej, półproszalnej roli.

Sophio, co zrobiłaś z radiem Paula? - spytał Bernard pewnego majowego wieczoru. Sophia, która stała przy zlewie i zmywała naczynia, poczuła jakąś niemiłą sensację w żołądku.

- A co?

- Pomyślałem sobie, że moglibyśmy je wykopać. Wojna właściwie już się skończyła. Niemcy już nam nie zrobią krzywdy. A dzisiaj w pracy słyszałem, że jutro Winston Churchill będzie przemawiał przez radio. Na Royal Square i w parku Howarda Davisa wywieszają głościki, ale nie sądzę, żebyś miała wielką ochotę stać w tłumie.

- No, nie, chyba jednak nie - zgodziła się z nim Sophia, opierając dłonie na plecach. Tego dnia czuła się wyjątkowo zmęczona, bo uporczywy ból w krzyżu nasilił się bardzo, do tego stopnia, że co chwila zmieniała pozycję, chcąc go jakoś uniknąć.

- Pokażę ci, gdzie je zakopałyśmy - ofiarowała się Catherine,

Janet Tanner

odkładając ścierkę do naczyń. - Och, czy to nie cudowne? Wszyscy mówią, że nasze wojska przyplyną tu jutro, a najdalej pojutrze. Wybieram się do portu, żeby ich witać. Może przyplyną z nimi Nicky i Paul? Kto wie? Mama i tata też mogą niedługo wrócić.

Wyszła z Bernardem do ogrodu. Sophia stała w oknie i patrzyła, jak kopią pod krzakiem. Czuli się dziwnie. Bardzo by chciała cieszyć się z końca wojny równie mocno jak Catherine i Bernard, ale dla niej to wszystko było niemal nieistotne. Oczywiście, koniec wojny przynosił ulgę, bo miła była już sama myśl, że niedługo nie będą musieli bać się i głodować. Ale nie była w stanie skakać i krzyczeć z radości.

- No, jest! - powiedział Bernard, wracając do kuchni z pudłem po herbatnikach. Postawił je na stole i przetarł szmatą z resztek ziemi. - Teraz je podłączę do głośnika gramofonu, będzie lepiej słychać. Jutro o trzeciej po południu - nie zapomnijcie!

Sophia nie odpowiedziała. Radio zbudziło stare wspomnienia; myślała, że gdyby nie ono, Dieter wciąż by żył.

- Sophio? - Bernard trącił ją w ramię. - To będzie historyczny moment. Chyba nie chcesz go przepuścić?

- Nie obawiaj się. Nie przepuszczę - obiecała. Ale przepuściła.

Bóle zaczęły się na serio w nocy. Tuż przed świtem Bernard poszedł po położną, a ta posłała po lekarza. Sophia nie sądziła, że jest już tak blisko - dziecko mogło się urodzić w każdej chwili. Jednak lekarz nie był tego taki pewny. Nie podobało mu się ułożenie płodu i stwierdził, że to może potrwać jeszcze wiele godzin. Przez strasznie długi poranek, gdy ludzie gromadzili się na nabrzeżu i obserwowali zbierających się Niemców, Catherine siedziała przy łóżku siostry, ocierając jej spoconą twarz i trzymając ją za rękę. Lecz wreszcie nie wytrzymała widoku

cierpiącej Sophii i zeszła wysłuchać przemówienia Churchilla. Ale słyszała tylko rozpaczliwe jęki i krzyki miotającej się bezradnie po łóżku siostry.

OKO ZA OKO

277

- Musi pan coś zrobić! - błagał Bernard lekarza po powrocie z pracy. Lekarz jednak, mimo że nieco przestraszony i zmęczony, odmówił.

- Uważam, że powinniśmy jeszcze poczekać. Nie wolno się śpieszyć z drastycznymi środkami. Nadal uważam, że pana żona może urodzić samodzielnie.

- Ja tylko chcę, żeby już tak nie cierpiała! - krzyknął Bernard, rozzłoszczony i niepodobny do siebie. - Jak pan może na to pozwolić?!

- Mój drogi - powiedział ze znużeniem doktor. - Tak się dzieje od pokoleń. Jutro już nie będzie nawet o tym pamiętała, zobaczy pan.

Słońce zaszło, kąpiąc pokój Sophii w różowej poświacie, i wreszcie coś zaczęło się dziać.

Tuż przed dziesiątą Bernard i Catherine, którzy siedzieli w oczekiwaniu w kuchni, usłyszeli ostatni, pełen cierpienia krzyk Sophii i pierwsze, urywane wrzaski niemowlęcia.

- Ma pani syna - powiedział Sophii lekarz. - Myślę, że po tym, co dzisiaj się stało, powinna go pani nazwać Victor albo nawet Winston.

Sophia leżała na łóżku, wymęczona, lecz zadowolona.

- O, nie - odparła łamiącym się ze zmęczenia głosem. - Już się zdecydowaliśmy na inne imię.

- Jakie?

- Nazwiemy go Louis.

Sophia tuliła w ramionach swoje dziecko. Wpatrywała się w pomarszczoną twarzyczkę i malutkie usteczka, które tak łapczywie wpijały się w jej pierś, szerokie, niebieskie oczy i rzadkie, jasne włoski okalające główkę, i nagle opanowało ją wszechogarniające uczucie miłości. Daleko w przeszłości zapadły w niebyt okoliczności jego poczęcia i okropne wydarzenia, które

potem nastąpiły, nie doszło też do tego, czego się najbardziej obawiała - że niemowlę będzie podobne do tego nienawistnego

Janet Tanner

Niemca, który ją zgwałcił. W dziecku nie było nic, co by wskazywało, który z Niemców jest jego ojcem, zresztą Sophii to już nie obchodziło. Dziecko było jej i ona je kochała, niezależnie od tego, kto je splodził. Myśląc o tym doszła do wniosku, że właściwie uważa je za wyłącznie swoje - ten malutki, ciepłutki, miękki mały człowieczek.

Gdyby tylko mogła być pewna, że jego udziałem nigdy nie stanie się takie cierpienie, jakie poznali przez pięć lat! Gdyby tylko jej miłość na zawsze zdołała go ochronić! Raptownym ruchem przycisnęła oseska do piersi i obiecała sobie, że jeśli tylko będzie to w jej mocy, nigdy nie stanie mu się krzywda.

Rozdział siedemnasty

Jersey, 1991

Dan Deffains pchnął drzwi pubu i poczuł się, jakby się cofnął w czasie. Gdyby dostał funt za każdą wypitą tu kwaterekę piwa w czasach, gdy był jeszcze policjantem, byłby bogaty. A gdyby dorzucano mu jeszcze po funcie za wszystkie kolejki whisky, mógłby sobie kupić jedną z tych milionerskich posiadłości, które stoją porozrzucane po wyspie. Nie było go tu od dnia, gdy oddał legitymację. Z tym miejscem wiązało się zbyt wiele wspomnień, a nie widział powodu, dla którego miałby je ożywiać. Bolało, bardzo bolało, gdy został wyrzucony jak wypalona zapalka właśnie w chwili, gdy najbardziej potrzebował pracy do wypełnienia pustki w życiu po odejściu Marianne. Pomyślał, że nigdy nie zapomni widoku jej pogruchozanego ciała, leżącego na poboczu ulicy, nic nie zmniejszy bólu po jej stracie. Praca mogła mu wtedy dać ukojenie, ale

przełożeni odmówili mu tego. Nawet gdy już zdołał jako tako odbudować swe zdruzgotane życie, osiągając sukces i swego rodzaju spełnienie, nawet wtedy goręcza pozostała.

Uświadomił sobie, że nie ma ochoty spotykać starych przyjaciół ani znów stawać się jednym z nich. I to chyba bardziej niż cokolwiek innego odstręczało go od prób rozgrzebywania sprawy Langlois. Lecz teraz się to zmieniło. Wizyta Juliet pobudziła wyobraźnię i przywróciła dawny entuzjizm. Dan zawsze wierzył, że należy wykorzystywać szanse, jakie stwarza los - ich zlek

Janet Tanner

ceważenie równało się w jego oczach odtrącaniu szczęścia. Uznał, że nadszedł właściwy moment, żeby iść za instynktem i podjąć próbę dokopania się prawdy na temat wydarzeń w La Grange przed dwudziestu laty. Juliet będzie jego wtyczką w sznurującym usta klanie Langlois. Tego ranka zadzwoniła do niego i powiedziała, że chce, żeby śledztwo było kontynuowane. Umówili się, że się spotkają i dokładnie omówią całą sprawę. Dan był bardzo ciekaw, co dziewczyna ma mu do powiedzenia. Nie mógł jednak spodziewać się po niej wykonania całej roboty. A to z kolei oznaczało konieczność odnowienia kontaktów, które zerwał przed kilku laty. Podniecony podjęciem tropu, który, choć już zimny, mógł go gdzieś doprowadzić, wykonał kilka telefonów. Wchodząc teraz do tego baru, z którym go tyle wiązało, przeżył zaskoczenie, bo okazało się, że wcale nie jest to takie bolesne, jak się spodziewał.

Upłynęło dużo czasu, a on nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie był już tym samym młodym, ambitnym policjantem, którego marzenia o karierze rozsypały się w proch. Był innym człowiekiem, mającym zupełnie inne ambicje. Tak więc ów pub, mimo że związany z tyloma wspomnieniami, był teraz po prostu miejscem, w którym mógł zacząć realizować nowe dążenia. Przez chwilę stał w progu, przyzwyczajając oczy do półmroku i gęstego dymu nikotynowego, po czym ruszył w stronę baru, gdzie na wysokim stolku siedział mężczyzna, którego nie można było nie zauważyć. Tył jego głowy od ucha do ucha okalał wianuszek ognistorudych włosów, a nad nimi połyskiwała różowa lysina o kształcie zakonnej tonsury.

- Dzień dobry, panie Gould.

- Dan! Nie zauważyłem, jak wchodziłeś! Jesteś przed czasem.

- To jedno z moich przyzwyczajzeń, pamięta pan? W każdym razie pomyślałem, że to nic nie szkodzi. Bo i tak będzie pan tu przede mną.

- To prawda, nie lubię marnować czasu, kiedy można się napić. Co ci postawić?

- Nie, to na mój rachunek. Szkocką?

OKO ZA OKO

388

- Do diabła, dlaczego nie, skoro stawiasz!

- Dwie podwójne, proszę - powiedział Dan do czekającej już barmanki. Dziewczyna się bardzo zmieniła, lecz wciąż na jego widok natychmiast pojawiała się obok.

- A więc? - spytał starszy mężczyzna, gdy dziewczyna postawiła przed nimi dwie szklanki. - W jakiej sprawie chciałeś się ze mną widzieć?

Dan rozejrzał się i dostrzegł wolny stolik w kącie.

- Może przejdziemy tam, będzie ciszej.

- Nie ma sprawy.

Nawet się nad tym nie zastanawiając, Dan puścił go przodem. Wiedział, że to odruch z dawnych czasów. Philip Gould był inspektorem i szefem sekcji, do której przydzielono Dana, gdy wstąpił do policji. Dan od samego początku go polubił, bo w Philu Gouldzie była jakaś wyczuwalna uczciwość, przebijająca z jego czerwonej twarzy o topornych rysach i niebieskich oczu, otoczonych niemal bezbarwnymi brwiami. Był to odważny i uparty, ale bardzo sprawiedliwy człowiek. Był twardy zarówno wobec rekrutów, jak i starych gliniarzy, lecz gdy tylko uznał, że któryś z jego ludzi został potraktowany nieuczciwie, zmieniał się w tygrysa. Dan wiedział doskonale, że Phil Gould walczył o niego i był mu wdzięczny, choć bitwę tę przegrał. Zdawał sobie sprawę, że ten mężczyzna zapewne pogrzebał wszystkie szanse na swą dalszą karierę w wyniku owej niesamowitej lojalności wobec swych podwładnych. Nadal był tylko inspektorem, nie awansował wyżej, a teraz, na niecałe pięć lat przed emeryturą, nie miał już na to właściwie szans.

- Przejdę od razu do rzeczy, panie Gould - powiedział Dan, gdy już usiedli. - Pamięta pan tę sprawę sprzed prawie dwudziestu lat, kiedy został zastrzelony Louis Langlois?

- **Louis Langlois? Stare dzieje!**
- **A więc pamięta pan?**
- **Jak mógłbym zapomnieć? Cała wyspa tym żyła! Zresztą czego innego można było się spodziewać, skoro taka rodzina była wplątana w morderstwo? Ale pamiętam to przede wszystkim**

Janet Tanner

dlatego, że to była pierwsza poważna sprawa, z którą miałem do czynienia. Miałem praktykę w Departamencie Kryminalnym i nie bardzo mi się tam podobało. Inspektorem był taki bydlak, Ivor Fauval. Nie możesz go pamiętać. Zmarł niewiele później na raka. Zrobili mu cholernie nadęty pogrzeb - wiesz, gliniarze na galowo nieśli trumnę, wszystkie szykany, kompania honorowa i tak dalej. Ale tak naprawdę to nie sądzę, żeby ktokolwiek po nim płakał. To był kawał sukinsyna, jeden z tych, co psują policji opinię.

Dan milczał, nie chcąc przerywać tej opowieści, ale Phil Gould rzucił mu nagle kose spojrzenie, mrużąc blade oczy.

- A tak w ogóle, to jaki masz w tym interes, Dan?

Dan opowiedział mu o swym spotkaniu z Juliet, nie wspominając, iż dało mu to idealny pretekst do poszukiwań, które mogły mu dostarczyć materiałów do naprawdę soczystego artykułu. Phil Gould zamrugał bezbarwnymi rzęsami.

- Rozumiem - dziewczyna. Zapewne ładna, co?

- Bardzo.

- Tak myślałem. Nic dziwnego, że nie chcesz jej rozczarować. Dobra, to co chcesz wiedzieć?

Dan nie zareagował na zawartą w wypowiedzi zaczepkę.

- Tylko parę podstawowych szczegółów - powiedział ostrożnie. Wiedział, że stąpa po niebezpiecznym gruncie. Sprawa miała niemal dwadzieścia lat, lecz nie wolno mu było wzbudzić w Gouldzie najmniejszych podejrzeń, że dąży do jej ponownego otwarcia. Gdyby inspektor coś wyczuł, zakończyłby tę rozmowę, zanim Dan zdołałby powiedzieć „Louis Langlois”. Wie pan może, dlaczego ona to zrobiła?

- Rodzinna pyskówa, jak sądzę. Wiesz, jak to jest. W tej rodzinie były tarcia na wszelkie możliwe tematy - i w dziedzinie interesów, i na gruncie personalnym. Louis to był niezły gnojek.

Miał różne takie pomysły, które bardzo niemile są widziane na Jersey, a poza tym był babiarzem pierwszej wody. Chyba jeszcze większa kanalia niż Fauval. - Zachichotał. - Pożarł się ze swym ojcem, Bernardem, i wyjechał Bóg wie gdzie. A kiedy Bernard umarł i zostawił Louisowi trzecią część wszystkich swoich

OKO ZA OKO

283

udziałów w imperium Langlois, wrócił i poszedł na noże z resztą rodziny.

- Musiał wywołać naprawdę niezłe piekło, jeśli własna matka go zastrzeliła - powiedział Dan tonem swobodnej rozmowy. - Rodzinna pyskówa to rozumiem, jednak w to nie chce się wierzyć. Ale rozumiem, że naprawdę to zrobiła? Jeśli rzeczywiście był takim bydlakiem i nadeptywał wszystkim na nagniotki...

Przerwał mu śmiech Phila Goulda.

- Wiesz, dokładnie tak samo mówił setnik, John Germaine. Nie chciał uwierzyć, że ona to zrobiła, mimo że ona się przyznała. Pamiętam, jak skakali sobie do oczu, on i Fauval. Fauval chciał ją natychmiast aresztować, a Germaine był przeciw. Fauval dostawał piany na ustach z wściekłości. Wrzeszczał, że Germaine jest za bardzo zaangażowany osobiście w tę sprawę, bo zna Sophię Langlois od szkolnych czasów. I w tym jednym punkcie muszę się z nim zgodzić. Sam wiesz, jak amatorzy potrafią być upierdliwi, kiedy się wtrącają do śledztwa.

Dan pokiwał głową.

- To prawda. Ale rozumiem, że w tej konkretnej sprawie Fauval nie miał racji?

Phil Gould przymrużył nieco oczy i Dan zaczął się przez moment zastanawiać, czy nie posunął się odrobinę za daleko. Ale inspektor nagle prychnął i powiedział krótko:

- Prawdę mówiąc, Dan, zawsze miałem wątpliwości. To wszystko było za łatwe. Wszystko od razu - tylko zamknąć sprawę.

- Niech pan da spokój, panie Gould! - powiedział Dan, zmuszając się do nieokazywania podniecenia. - Skoro to nie ona, to niby dlaczego się przyznała?

- Mam wrażenie, że kogoś osłaniała. Uznała, że jako wyjątkowo szacowny członek społeczności i kobieta wymiga się niską karą. A tak w ogóle to skończ już z tym „panem Gouldem”. Nie jestem już twoim inspektorem. Mam na imię Phil.

Dan wyszczerzył się w uśmiechu.

- Dobrze - Phil. - Ale wiedział, że ciężko mu będzie przełamać długoletni nawyk.

Janet Tanner

- Tak. Właśnie takie mam wrażenie - ciągnął inspektor. - Jasne, można się upierać, że straciła zmysły z rozpaczy, znalazła ciało, podniosła broń w szoku i potem sama siebie przekonywała, że to ona z niej strzeliła. Ktoś nawet wówczas wyjeżdżał z dokładnie taką teorią - o ile dobrze pamiętam, to był David Langlois, jej najmłodszy syn. Wtedy na wyspie było od cholery włamań i sugerowano nam, że Louis mógł zaskoczyć złodzieja. Ale osobiście uważam, że to się nie trzyma kupy. Sophia zachowywała się bardzo dziwnie, kiedy już się przyznała, odmawiając słowa wyjaśnienia na temat wydarzeń, ale ja sądzę, że to było świadome. Może i zachowywała się jak kobieta w szoku, ale z pewnością nie jak ktoś, kto stracił zmysły. Niewiele w życiu spotkałem osób, które by dorównywały Sophii Langlois opanowaniem i inteligencją. Była zdrowa na umyśle. *I* jeśli kłamała, to świetnie sobie z tego zdawała sprawę.

- A co patolog powiedział po sekcji o czasie śmierci?

- W żaden sposób nie podważył wersji Sophii. Ale też jej nie potwierdził. Wiesz sam, jak cholernie trudno jest ustalić dokładny czas zejścia - na objawy może wpływać tak wiele czynników! W każdym razie Louis sam był tego wieczora poza domem i wrócił najwyżej na pół godziny przed powrotem matki. Kiedy został zastrzelony, nadal miał na sobie smoking, muszkę i nakrochmaloną koszulę - kolejny fakt, który mógłby uprawdopodobnić hipotezę o włamywaczu.

- Ale, jak rozumiem, z domu nic nie zginęło? I pewnie nie było też śladów włamania?

- Zgadza się. Ale ich gospościa była już stara i sklerotyczna, często zapominała pozamykać drzwi. Przynajmniej tak mówił David. I oczywiście stało się to tuż przed powrotem Sophii do domu, włamywacz się przestraszył, gdy usłyszał nadjeżdżający samochód, i uciekł z pustymi rękami. Tak przynajmniej brzmiała cała ta teoria.

- W którą ty nie wierzysz?

- Dużo mniej w każdym razie, niż że to sama Sophia go zastrzeliła. Tak jak i wtedy, uważam, że David wymyślił tę

OKO ZA OKO

285

historię, żeby jakoś wyciągnąć matkę. Byli sobie bardzo bliscy

- on ją uwielbiał, jak to często najmłodszy syn w rodzinie. Pamiętam, co się z nim działo, kiedy ją skazano... - Phil Gould pokręcił głową. Przypomnił sobie histeryczną scenę, jaką wywołał David Langlois w sądzie. Trzeba go było siłą usuwać z sali.

- Uważasz więc, że kogoś osłaniała? - mruknął Dan, kierując rozmowę z powrotem na główny wątek. - Ale kogo?

- Daj spokój, Dan! Skoro nie wiedziałem dwadzieścia lat temu, to jak miałbym to wiedzieć teraz?

- I nigdy nie miałeś żadnych podejrzeń?

- Wiesz co? W tej rodzinie dochodziło co chwila do takich wybuchów, że Etna przy tym przypominała noworoczną racę

- odpowiedział mu barwnie Phil. - Jeśli patrzeć po motywach, to właściwie każdy mógł go załatwić. Louis miał wrodzony talent do robienia sobie wrogów.

- Więc ktoś spoza rodziny też mógłby mieć motyw?

- Owszem. Ale wiesz równie dobrze jak ja, że najbliższe powiązania są z reguły najbardziej prawdopodobne - szczególnie jeśli ofiara ginie we własnym domu. A poza tym - dlaczego Sophia miałaby kłamstwami osłaniać kogoś z zewnątrz?

- Może tak jak i ty myślała, że odpowiedzialność ponosił ktoś z rodziny, ale może się myliła.

- Może.

- Ale ty tak nie uważasz?

- Nie. Och, do cholery, Dan! Nie wiem. To było tak cholernie dawno temu! A teraz jest teraz - a moja szklanka jest pusta!

Dan zaczął wstawać.

- Zaraz...

- Nie, teraz moja kolej. To ty zapraszałeś, ale i tak muszę ci postawić kolejkę. Jeszcze raz to samo?

- Dla mnie raczej coś słabszego. Prowadzę.

- Szkoda. - Phil Gould przez moment się uśmiechał, ale potem przypomniał sobie, co się stało z Marianne.

Kiedy inspektor odszedł do baru, Dan zamyślił się nad tym, co usłyszał. Jak dotąd, wszystko świetnie się uzupełniało z jego

Janet Tanner

przemyśleniami, choć właściwie Gould wniósł niewiele nowych informacji. Jeśli nie liczyć wieści o Davidzie, próbującym wcisnąć policji historyjkę o włamywaczu. Ciekawe. A czy usiłował ją sprzedać również Danowi Deffainsowi Seniorowi, adwokatowi swej matki? I czy Dan odrzucił ją z miejsca, nie poświęcając jej nawet wzmianki w aktach? A co z ewentualnością, że Louis miał wrogów także poza rodziną? Oni też mogli marzyć o jego śmierci. Może należałoby pójść tym tropem. Jednak po tak długim czasie nie będzie to łatwe - a poza tym, jak to słusznie wytknął Phil, Sophia nie wzięłaby na siebie winy, gdyby nie wierzyła, że odpowiedzialność ponosi ktoś z jej najbliższych. A to z kolei oznaczało istnienie wewnątrz rodziny bardzo silnych motywów - czyli coś, co Juliet może wykryć, jeśli się postara. Do stolika powrócił Phil z drinkami.

- Dobra - powiedział Dan, gdy Gould przyłożył do ust szklankę z piwem. - Zapomnijmy na chwilę o motywach. A sposobność? Które z nich mogło mieć okazję?

- Chryste! Co to jest? Przesłuchanie trzeciego stopnia?! - wybuchnął Phil i wytarł grzbietem dłoni pianę z wąsów.

- Tak tylko się zastanawiam...

- Hmm. To musi być chyba naprawdę bardzo ładna dziewczyna...

- Yhym.

- I masz ochotę zrobić na niej wrażenie?

- Coś koło tego.

- No cóż, już czas, żebyś sobie znalazł jakąś miłą dziewczuchę. Chociaż... O ile nie zmieniłeś się zbyt, to całe to staranie nie jest ci do tego potrzebne. Jeszcze pamiętam, jak na twój widok panienkom miękły nogi. '

- Przesadzasz.

- Ani trochę. Pewnie mi zaraz powiesz, żebym się odpieprzył i pilnował swojego nosa, ale uważam, że już czas, żebyś uporządkował swoje życie prywatne. Wiem, że to cię naprawdę trafiło, ale nie możesz przecież całe życie trwać w żałobie. Mariannę by tego rta pewno nie chciała.

OKO ZA OKO

287

- Może i nie. Ale mnie to odpowiada. - Urwał na moment.

- Ale mówiliśmy o rodzinie Langlois, nie o mnie. Więc które z nich mogło tego dokonać?

- Dan, mózg mi się zagotuje!

- Panie Gould...

- Phil! Nie zapominaj, dobrze? *Okay*, daj mi pomyśleć. Było jeszcze dwóch synów, tak? Robin i David. Był brat Sophii, Paul. Była jego żona, Vivienne. I jeszcze żona Robina, Molly. Ona miała romans z Louistem - ale lepiej tego nie powtarzaj swojej małej przyjaciółce. Może to nie najlepiej przyjąć, a wątpię, czy coś na ten temat wie. Oczywiście, może ci w ogóle nie uwierzyć. Niełatwo jest sobie wyobrazić swoich rodziców *in flagrante delicto*. I o ile dobrze pamiętam, wszyscy byli na Jersey w noc morderstwa i żadne z nich nie miało alibi - jeśli nie liczyć tych, które sobie dawali nawzajem.

- Przeprowadzono więc śledztwo, tak?

- Niezupełnie, choć wszyscy składali zeznania. Tyle że na wszystkie te zeznania patrzyłem oczami młodego gliniarza, który widzi, jak jego pierwsza sprawa o morderstwo zmienia się w farsę.

- Tak więc każde z nich mogło to zrobić?

- Możesz to tak ująć. Jedynym nieobecnym wówczas na Jersey członkiem najbliższej rodziny była Catherine Carteret, siostra Sophii. Pracowała jako nauczycielka - chyba w Londynie

- choć jak tylko się dowiedziała, przyleciała natychmiast na wyspę. Tak, każdy z nich miał możliwość. Sądzę też, że Sophia na tyle mocno była związana z rodziną, żeby kłamstwami osłaniać każde z nich - poza Vivienne. O ile rzeczywiście kłamała.

- Ale przecież sam mówiłeś...

- Tak, wiem. Że to wszystko było za łatwe. Ale niektórych faktów nie można ignorować.

- Jakich?

- Po pierwsze - to Sophia powiadomiła o śmierci Louisa. Osoba, która znalazła ciało, zawsze jest podejrzanym numer jeden. Po drugie - miała bardzo istotny motyw, co wyznała, kiedy już zaczęła mówić. Louis był na najlepszej drodze do

Janet Tanner

rozwalenia rodziny, bo miał bardzo niedyskretny romans ze swą bratową. Co więcej, jego postępowanie groziło zniszczeniem rodzinnej firmy, którą Sophia wraz ze swym mężem, Bernardem, zbudowała od podstaw, zaczynając od domu gościnnego swoich rodziców. Nie mogła znieść myśli, że Louis zniszczy to wszystko. Taka była jej wersja - prosta jak drut i trzyma się kupy. Sophia to wielka dama, Dan - naprawdę dama. Ale jest bezwzględna. Umie być twarda i zimna jak stal, kiedy to konieczne. Ona mogła to zrobić. Miała i motyw, i możliwość. Nie wolno ci przeoczyć tego faktu - ona mogła mówić prawdę. - Uniósł szklanę. - No, życzę ci szczęścia, Dan, tobie i tej twojej dziewczuszce. Naprawdę byłbym szczęśliwy, gdybym się dowiedział, że wreszcie zapomniałeś o przeszłości i ożeniłeś się ponownie.

Dan nie odpowiedział. Phil Gould nie był pierwszym przyjacielem, który namawiał go do tego - i z pewnością nie ostatnim. Dan przestał się już obruszać na sugestię, że Mariannę można zastąpić tak samo jak jego motocykl. Chcieli dobrze, wiedział o tym. Ale wiedział też, że żeby zapomnieć Mariannę, musiałby spotkać naprawdę wyjątkową dziewczynę. A w taką możliwość wątpił. Nie był zresztą wcale pewny, czy tego chce.

Rozdział osiemnasty

Juliet wjechała na parking przed pubem i znalazła wolne miejsce. Wjechała w nie tyłem odrobinę za energicznie; opony zaprotestowały piskiem.

Zastanawiała się, czy Dan już jest, ale nie wiedząc, jakim autem jeździ, nie była w stanie się zorientować. Bardzo niewiele wiedziała o tym mężczyźnie, właściwie nic poza tym, że jest synem adwokata jej babki, ale w jej oczach to już wystarczało. Jego ojciec wykonał dla Sophii znakomitą pracę, tak mówiła ciotka Catherine, a to stanowiło najlepszą rekomendację. Każdy, kto w jakiś sposób był bliski jej babce, automatycznie zyskiwał jej sympatię.

Jakąż dziwną rzeczą jest pokrewieństwo! Od pierwszej chwili, kiedy tylko się spotkały, między Juliet i jej babką powstała nieokreślona, lecz silna więź. Mimo że Sophia nie widziała swej wnuczki od chwili, gdy ta była jeszcze małym dzieckiem, potrafiła natychmiast wyczuć i nazwać wszystkie jej najtajniejsze wątpliwości, lęki, nadzieje i marzenia, z których istnienia Juliet właściwie nawet sama nie zdawała sobie sprawy.

Tego ranka znów coś takiego miało miejsce. Po wspólnym śniadaniu obie kobiety pograżyły się przy kawie w rozmowie na temat planów zawodowych Juliet.

- Jesteś pewna, że to krok we właściwym kierunku? - spytała Sophia.

Juliet posłała jej smętny uśmiech.

Janet Tanner

- A dlaczego miałby być niewłaściwy? Darby Grace to wielkie, bardzo szacowne przedsiębiorstwo i zaoferowali mi o wiele, wiele więcej pieniędzy, niż zarabiałam w Dream Machine.

Sophia pokiwała głową, ale jej piękne, ametystowe oczy ani na moment nie odwróciły się od Mięt.

- Wiesz, pieniądze to jeszcze nie wszystko. Pewnie uznasz za śmieszne takie stwierdzenie akurat ode mnie. Oczywiście, ułatwiają życie i czynią je o wiele wygodniejszym. Ale w rzeczywistości mogą stanowić pułapkę. Jeśli nie znając firmy idziesz tam, bo ci dają wyjątkowo dobrze zarobić, możesz się nagle zorientować, że czy chcesz, czy nie, jesteś już do niej uwiązana. Będziesz sobie wtedy mówiła, że nie możesz tego rzucić, bo to zbyt dobra praca. Szczególnie jeśli będziesz musiała utrzymywać rodzinę. To fatalna sytuacja dla każdego, a co dopiero dla kogoś tak młodego.

- Babciu, mam dwadzieścia trzy lata! Sophia uśmiechnęła się łagodnie.

- Dwadzieścia trzy! Gdybyś tylko umiała docenić, jaka jesteś naprawdę młoda i potrafiła to wykorzystać! Ja nie miałam okazji być młodą, zatroszczyła się o to wojna. Och, Juliet, przepraszam! Nie powinnam ci mówić, co masz robić! Jestem starą, wtrącającą się we wszystko kobietą!

- To nieprawda! - zaprotestowała Juliet.

Zdawała już sobie sprawę, że babka, świadomie lub nie, znów dotknęła wrażliwego miejsca. Jak ona to robi, myślała Juliet. Sophia bezbłędnie wypunktowała jej wątpliwości. Bo gdyby dziewczyna była rzeczywiście stuprocentowo przekonana do Darby Grace, to nie byłoby jej tutaj. Niby dlaczego wytargowała te wakacje przed podjęciem pracy i wyjechała na drugi koniec świata? A przecież nigdy nawet nie przyszło jej jeszcze do głowy, żeby odrzucić tę ofertę.

Każdy - z nią włącznie - powtarzał, że to zbyt dobra okazja, że nie można jej przepuścić. Nie można przepuścić. Właśnie. Przecież właśnie tak to określiła babcia. Nowa praca miała tyle zalet, że piętrzyły się wokół, tworząc więzienie, z którego nie ma ucieczki.

To samo było z Seanem. Nie widząc go nawet na oczy, Sophia

OKO ZA OKO

402

w jakiś sposób wyczuła niepewność Juliet, wyczuła, że podobnie jak ta „bardzo dobra” praca, tak i „bardzo dobry” mężczyzna schwytał ją w pułapkę.

Juliet ani przez chwilę nie obruszała się na taką ingerencję w swoją prywatność. Jeszcze nigdy nie odczuwała tak całkowitej więzi duchowej z inną osobą i to doświadczenie zdecydowanie nie było niemiłe; przeciwnie, wręcz kojąco. Juliet kochała swych rodziców, ale od wczesnego dzieciństwa nie czuła się z nimi związana psychicznie - oni nie rozumieli jej, a ona ich. Czasami wyobrażała sobie ich wzajemne stosunki jako patrzenie na to samo przez dwie strony teleskopu. Jednak z babką rozumiała się idealnie, a wynikła z tego porozumienia miłość była bardzo głęboko naturalna. Jednej rzeczy tylko dziewczyna nadal nie potrafiła zrozumieć - jak Sophia mogła się przyznać do zabicia własnego syna. Lecz intuicja, ta sama intuicja, która pozwalała Sophii na tak bezpośredni wgląd w najgłębsze uczucia Juliet, podpowiadała dziewczynie, że cokolwiek babka rzeczywiście uczyniła, to z pewnością nie było to morderstwo.

Czy nie byłoby cudownie wrócić do domu, do mamy i taty, i powiedzieć im, że się mylili?

Jednym posunięciem usunąć barierę, która ich dzieliła od babci przez te wszystkie lata? To by było coś!

Te myśli przemykały jej przez głowę, gdy pośpiesznie szła od samochodu do pubu.

Przekroczywszy szerokie drzwi weszła do dużego pomieszczenia, gdzie mieściła się część restauracyjna. Chociaż było dopiero pół do pierwszej, większość stolików była już zajęta.

Rozmawiając z nią przez telefon, Dan uprzedził ją, że powinni się spotkać nieco wcześniej, bo pub „Młyn” bywa często zatłoczony, nawet o tej porze roku. Teraz zrozumiała jego słowa. Rozejrzała się podenerwowana, jednak nie dostrzegła nigdzie Dana w tym tłumie. Przez głowę przemknęła jej wątpliwość, czy na pewno trafiła tam, gdzie się umówili, ale przecież nad wejściem do lokalu wisiał ogromny, neonowy młyn.

- Witam. A więc się pani wyrwała.

Odwróciła się szybko. Stał tuż za nią, ubrany w ciemnoniebieską marynarkę i szare spodnie. Z lekkim zaskoczeniem Juliet spostrzegła, że jest wyższy, niż sądziła.

Janet Tanner

- Tak, wyrwałam się - odpowiedziała. - Nie było to aż tak trudne, jak się spodziewałam. Nie uznała za stosowne opowiadać mu, że jeszcze pół godziny temu plotkowała z babcią, zastanawiając się gorączkowo, jak wytłumaczyć wyjście z domu tuż przed lunchem, nie przyznając się jednocześnie, że się z kimś umówiła. Lecz w końcu okazało się, że była to najprostsza rzecz pod słońcem. Zwróciła się po prostu do babci:

- Nie przeszkadza ci, że wyjdę zjeść lunch na mieście? A Sophia na to z wyrozumiałym uśmiechem:

- Oczywiście, że nie. Wiesz przecież, że chcę, żebyś uważała La Grange za swój dom. Rób to, na co masz ochotę, moja droga. Wrócisz na kolację?

Juliet w odpowiedzi skinęła głową, zadowolona, że umówiła się z Danem na lunch. Gdyby opuściła kolację, musiałaby już się tłumaczyć.

- Tu już nie ma wolnych stolików - powiedział Dan. - Proponuję, żebyśmy poszli na galerię.

- Dobrze.

- Wypijemy coś przedtem? Co dla pani?

- Piwo - odrzekła natychmiast Juliet, po czym roześmiała się na widok jego zaskoczonej miny. -

Och, jestem Australijką. Chce mi się pić, jest południe. Czy dziewczyny na Jersey

* nie pijają piwa?

- Niektóre. Duże czy małe?

- Małe, proszę. Później wypiję pewnie jeszcze jedno - dodała z łobuzerskim uśmiechem.

Dan kupił dwa piwa i zaniósł je na górny poziom restauracji, który nazwał „galerią”, choć Juliet to miejsce przypominało raczej poddasze stodoły.

- Tu przynajmniej będzie ciszej - powiedział. - Tylko nie wiem, czy obsługa będzie o nas pamiętać.

Lecz kelnerka pojawiła się niemal natychmiast. Dan zamówił stek i zapiekane cynaderki, a Juliet zdecydowała się na krewetki i sałatkę.

OKO ZA OKO

293

- Pewnie nie jest pani do tego przyzwyczajona - mruknął Dan, gdy kelnerka postawiła na stole butelkę z winnym octem i sól.

- Co pan ma na myśli?

- No, jako panna Langlois zapewne oczekiwałyby pani raczej *haute cuisine* i pełnego poszanowania kelnera, zakrywającego pani kolana serwetką.

Juliet nie bardzo wiedziała, czy powinna się roześmiać, czy obrazić. Była o wiele mniej przyzwyczajona do życia w luksusach, niż on sobie wyobrażał. Lecz w końcu przeważyło w niej poczucie humoru.

- Och, nie przeszkadza mi, jeśli od czasu do czasu muszę z tego rezygnować - powiedziała swobodnie. - Szczególnie, jeśli ma to pomóc w dowiedzeniu niewinności mojej babki.

Dan roześmiał się, podziwiając lekkość, z jaką odbiła żart jak pileczkę.

- Rozumiem, że to propozycja, żeby przejść do interesów - rzekł.

- Może pan to tak ująć. Nie przeczę, że bardzo mnie ciekawi, czy zrobił pan jakieś postępy.

Dan zawahał się na moment. Jako dziennikarz - i były policjant - reagował odruchową niechęcią na propozycję dzielenia się informacjami. Wiedział jednak, że skoro ma zdobyć zaufanie Juliet i chce wykorzystać jej pozycję w rodzinie do zbierania wiadomości, musi wyrzucić na niej odpowiednie wrażenie - że działa bardziej na jej korzyść, niż na własną.

- Pogadałem trochę - mruknął. - A pani?

- Chyba nie zabrnęłam zbyt daleko - przyznała się. - Strasznie trudno sprowadzić rozmowę na ten temat. Oni wszyscy są tacy skryci. A ja nie chcę denerwować babci.

- Będzie pani jednak musiała, jeśli chce pani wydobyć coś nowego.

- Pewnie tak. Miałam nadzieję, że pan...

- Że ja to zrobię za panią? - Jego głos był chłodny. Znow górnę wzięły nawyki zawodowego psa gończego.

Janet Tanner

Juliet zaczerwieniła się.

- To nie tak - powiedziała napastliwie. - Chodzi o to, że naprawdę nie wiem, jak zacząć.

Myślałam po prostu, że dobrze by było, gdyby mi pan dał jakąś wskazówkę, żebym nie musiała wchodzić nikomu niepotrzebnie na nagniotki. A z kim pan rozmawiał?

- Z policjantem.

- Co powiedział? Czy on uważa, że babcia to zrobiła?

- Powiedział, że mogła to zrobić. - Zawiesił na moment głos. - Podobnie jak wszyscy inni członkowie rodziny.

Usłyszał, jak Juliet na moment odebrało dech, a za chwilę pokryła to nerwowym chichotem.

- Musiał pan powiedzieć to tak prosto z mostu?

- Pytała pani, co mówi mój informator. Więc odpowiadam. Dziewczyna milczała przez jakiś czas, obracając w dłoniach

szklankę na gołym, drewnianym blacie, poznaczonym okrągłymi śladami.

- Przepraszam - bąknęła w końcu. - Ale to wszystko jest po prostu niewiarygodne. Trudno mi uwierzyć, że zrobił to ktoś z rodziny - czy babcia, czy kto inny. To znaczy... No, przyjrzyjmy się im! Paul i Viv, małżeństwo w średnim wieku... no, trochę więcej niż w średnim, bo musieliby żyć jakieś sto trzydzieści lat. A więc, spokojne starsze małżeństwo, spokojne życie, nie wtykają nosa w cudze sprawy. David? Wszyscy go lubią, choć jest głową rodzinnego biznesu. Ciocia Catherine? Trochę ekscentryczna, ale kochana kobieta...

- Pani ciotka Catherine jest z tego wyłączona. Była wtedy w Londynie.

- Miło mi to słyszeć. Ale przecież żadne z nich...

- Zapomniała pani o jeszcze dwojgu. Pani rodzice.

Przez chwilę wyglądało na to, że posunął się za daleko. Juliet odrzuciła głowę i wbiła w niego oczy pełne ognia, którego istnienie zawsze w niej podejrzewał.

- Niech pan nie będzie śmieszny!

- Nie jestem. Nie można ich wyłączać. Proszę nie zapominać,

OKO ZA OKO

295

że tu byli. I że mieli zarówno motywy, jak i sposobność. Tak jak inni.

- Na miłość boską! Jak pan może w ogóle coś takiego sugerować?!

- To nie jest moja sugestia. Ja ją tylko przytaczam. Poza tym, jeśli to nie Sophia go zabiła, musiał to zrobić kto inny. A statystyka mówi, że w przypadku morderstwa występuje bardzo duże prawdopodobieństwo, iż ofiara i morderca są spokrewnieni. Musimy temu stawić czoło, więc nie wolno nam wyłączać z rozważań pani rodziców.

Pojawiła się stukająca obcasami kelnerka z zamówionymi potrawami. Kiedy je ustawiała na stole, Dan usiłował odczytać myśli siedzącej po drugiej stronie stołu dziewczyny. Wiedział, że naciskając ją tak mocno ryzykuje, ale było to zaplanowane ryzyko. Uznał, że rzucając myśl, iż jej rodzice mogli być w to wplątani, wywoła w Juliet jeszcze większą determinację w poszukiwaniu prawdy. Czym innym były bowiem próby dowiedzenia niewinności babki oparte na przekonaniu, że morderstwo popełnił ktoś z zewnątrz, a czym innym przy założeniu, że odpowiedzialność może spoczywać również na kimś innym spośród krewnych. W takiej sytuacji może dojść do wniosku, że rozkopywanie sprawy to poruszenie gniazda szerszeni. Jednak wiedząc, że podejrzenie pada także na jej rodziców, dziewczyna będzie myślała wyłącznie o dotarciu do prawdy. W końcu naturalne jest, że to wobec nich będzie przede wszystkim lojalna. Krewni z Jersey nie mogą dla niej tyle znaczyć, przecież jeszcze tydzień wcześniej w ogóle ich nie знаła. Zapewne będzie gotowa rzucić ich wilkom na pożarcie, byle tylko osłonić rodziców.

Oczywiście, zawsze istniała możliwość, że Robin i Molly rzeczywiście mieli coś wspólnego ze śmiercią Louisa; jako podejrzani zajmowali miejsce wysoko na liście Dana. Miał jednak nadzieję, że nim ta świadomość dotrze do Juliet, zdoła od niej wyciągnąć wystarczająco dużo informacji.

- Przykro mi, że panią przygnębiłem - powiedział, gdy kelnerka zniknęła na schodach. - Po prostu uważam, że powinna pani wiedzieć, w co się pakuje.

Janet Tanner

Juliet powoli odwinęła nóż i widelec z serwetki, w którą były zawinięte.

- Nie przygnębił mnie pan. Może nieco rozzłościł. Ale nie przygnębił. Przygnębiona bylam wtedy, gdy się dowiedziałam, że babcia odsiedziała wyrok za morderstwo - nawet jeśli nazwano to zabójstwem. Po tym, szczerze mówiąc, wszystko wydaje się mało ważne.

Powiedziała to wymuszenie swobodnym głosem, ale wyraz jej oczu, niepokojąco błyszczących, i stężale rysy twarzy mówiły co innego: niezależnie od swych słów była przygnębiona.

Ta dziewczyna ma charakter, pomyślał Dan. Nie tylko jest ładna, ale też bardzo delikatna i łatwo ją zranić.

- Porozmawiajmy o czymś innym przy jedzeniu - zaproponował.

- Wolalabym mieć to za sobą od razu. - Odłożyła sztucce i spojrzała mu w oczy. - Co mam robić?

Dan poczuł coś dziwnego w gardle - ni to triumf, ni to lęk, że dziewczyna nadal może mu się wymknąć.

- Po pierwsze chciałbym wiedzieć, co każde z nich myśli o Louisie. Teraz mogą być o wiele bardziej szczerzy niż dwadzieścia lat temu. A po drugie - gdzie byli w wieczór śmierci Louisa.

- A nie uważa pan, że po tylu latach mogą mieć kłopoty z przypomnieniem sobie?

- Wątpię. W końcu każdy, kto był wtedy w pobliżu, twierdzi, że doskonale pamięta, co robił, gdy się dowiedział o zastrzeleniu prezydenta Kennedy'ego. A kiedy sprawa dotyczy członka rodziny, wspomnienia powinny być jeszcze wyrazistsze.

- Pewnie tak. Dobrze. Zobaczą, co zdołam osiągnąć. A pan?

- Ja będę robił dokładnie to samo.

Pokiwała głową, wyraźnie zadowolona z tej odpowiedzi, i znów wzięła do rąk sztucce.

- W porządku. Teraz już mogę rozmawiać o czymś innym. Co pan proponuje?

Dan szybko doszedł do wniosku, że Jersey jest najbezpiecz-

OKO ZA OKO

411

niejszym tematem. Miał oczywiście ochotę dowiedzieć się czegoś o Juliet - gdzie mieszka w Australii, co robi - bo przecież nawet przyszła spadkobierczyni rodzinnej fortuny musi coś robić! - i czy jest z kimś na poważnie związana... Tak, bardzo chciał się dowiedzieć, czy jest z kimś na poważnie związana. Ale gdyby zaczął stawiać osobiste pytania, mogłaby mu odpowiedzieć tym samym, a to mogłoby być niezręczne. To znaczy, Dan nie miał nic przeciw opowiadaniu o swym prywatnym życiu. Powiedziałby po prostu swobodnie, że nie jest z nikim związany i to od dawna. Nic, absolutnie nic nie byłoby w stanie sprowadzić go na temat Mariannę. Ale gdyby Juliet spytała go o jego pracę, atmosfera mogłaby zgęstnieć. Nawet bardzo wyężdżając mózg nie zdołałby wymyślić eufemizmu, który w zadowalający sposób zastąpiłby słowo „dziennikarz” nie wzbudzając podejrzeń dziewczyny ani jej ciekawości. A nie chciał jej okłamywać. Biorąc pod uwagę, że dążył do jej bezwstydnego wykorzystania, było to dość dziwne, ale pomiędzy podstępem przez niedomówienie a okłamanie z premedytacją jest wyraźna granica, której Dan nie miał zamiaru przekraczać.

- Jak rozumiem, spędza pani czas na rozglądaniu się po starych kątach? - spytał, wgrzyzając się w stek.

- Niezupełnie. Niech pan pamięta, że kiedy wyjeżdżałam, byłam małym dzieckiem. Dla mnie stare kąty to ogród babci, plaża i łąki, obok których mieszkałam. Oczywiście, jeżdżę wokół, zatrzymuję co jakiś czas auto i oglądam co piękniejsze widoki, ale to właściwie wszystko. Jestem w dość śmiesznej sytuacji - ni to turystka, ni to mieszkanka. A rodzina o tym zapomina, bo tak długo mnie tu nie było, że moja znajomość terenu ogranicza się do mapy z wypożyczalni samochodów, a wiadomości o historii wyspy są wręcz żadne.

Dan uśmiechnął się do siebie, błogosławiąc swe szczęście. Jego ojciec, Dan Senior, był historykiem-amatorem, członkiem Societe Jersiaise i wspaniałym gawędziarzem. Dan Junior

bezwiednie opanowywał tę samą wiedzę i umiejętności jej przekazywania, słuchając opowieści ojca, teraz więc mógł bez obaw

Janet Tanner

pograćzyć się w opowiadaniu Juliet, jak to kiedyś Jersey było częścią Normandii i pozostało do końca panowania w Anglii Wilhelma Zdobywcy. Potem, kiedy Anglia i Francja toczyły ze sobą wojnę, Anglicy opanowali wyspę, która stała się ich przyczółkiem, a w czasie Rewolucji Francuskiej dawała schronienie uciekającym arystokratom. Jak to mawiał Dan Senior, „piękna wyspa, która naoglądała się mnóstwo konfliktów, i zawsze była wykorzystywana jako pionek w grach mocarstw”.

- Dokładnie tak, jak to miało miejsce w czasie Drugiej Wojny Światowej - zakończył swą opowieść i dojadł ostatni kęs steku. - Jersey było okupowane. Ale o tym wie pani z pewnością wszystko.

Juliet musiała przyznać, że nie. Wojna była kolejnym tematem, o którym rodzina rozmawiała niechętnie i półgębkiem.

- No cóż - rzekł Dan poważnie. - Wszędzie są widoczne pozostałości po wojnie. Nasze agencje turystyczne postawiły sobie za punkt honoru wykorzystać do cna fakt, iż byliśmy jedynym kawałkiem Anglii, który dostał się pod niemiecką okupację.

- Do cna? - zdziwiła się dziewczyna. - Nie zauważyłam. A chciałabym obejrzeć jakieś muzea związane z wojną. Tyle że jeszcze mi się to nie udało. Ciągle mam nadzieję, że ktoś z rodziny zaprosi mnie na taką wycieczkę, ale nikt nawet się na ten temat jeszcze nie zająknął, a ja nie chcę się napraszać. Nie chcę się za bardzo narzucać.

- No to może ja panią zabiorę? - odrzekł bez zastanowienia, niemal zaskakując siebie samego. Juliet także wyglądała na zdziwioną.

- Naprawdę? To bardzo uprzejmie z pana strony. Nie miałam zamiaru...

- Na pewno nie miała pani - przerwał jej z uśmiechem. - To będzie dla mnie przyjemność. Proponowałbym Podziemny Szpital. Wybudowali go więźniowie wojenni i jest naprawdę

wyjątkowo wart obejrzenia. Stale sobie powtarzam, że należałoby pójść tam znów i przypomnieć sobie to i owo, ale wie pani, jak to jest,

OKO ZA OKO

299

kiedy się mieszka na miejscu - dopiero kiedy ktoś przyjedzie w gości, człowiek zbiera się do działania.

- To prawda. Mieszkam w Sydney, a jak często bywam w operze?

- No właśnie. Nie wiem. A jak często?

- Praktycznie wcale. To głupie. - Zerknęła na zegarek. - Dobry Boże! Już tak późno? Czy nie ma pan jakichś pilnych zajęć?

- Wszystko w porządku. Pracuję sam dla siebie i właśnie dlatego będę mógł zabrać panią jutro do Podziemnego Szpitala, jeśli to pani odpowiada. - Powiedział to gładko, na jednym oddechu, i szybko ciągnął, nie dając jej czasu na zastanowienie i pytanie, co takiego robi. - Chyba jednak będzie lepiej, jeśli nie będę po panią podjeżdżał. Przyjedzie pani do mnie, czy spotkamy się na miejscu?

Juliet zmarszczyła lekko czoło, a Dan zaczął się przeklinać w duchu. Wiedział, że dziewczyna zastanawia się teraz, dlaczego nie chciał, żeby jej rodzina go widziała. Nie powinien mieszać interesów z przyjemnością. Cholera! W dodatku nawet nie wiedział, dlaczego to wszystko zaproponował. Owszem, była bardzo atrakcyjną kobietą, ani słowa, ale jego przecież nie interesują dziewczyny! A może jednak...?

- Myśli pan, że mogliby pana rozpoznać i zacząć zadawać niezręczne pytania? - powiedziała z namysłem. - No cóż, transport to dla mnie nie problem. Chyba najłatwiej będzie, jeśli się spotkamy przy Szpitalu. Nie powinnam mieć problemów ze znalezieniem go.

- To co, o trzeciej?

- Czemu nie? Nie sądzę, żeby mi się udało do tej pory czegoś dowiedzieć, ale...

- Ale przynajmniej będziemy w kontakcie - dokończył za nią. O, właśnie, powiedział sobie. To wszystko wyjaśni. Nie miał ochoty ryzykować zerwania kontaktów z panną Juliet Langlois. Oczywiście, ponieważ nie chciał stracić szans na materiał do artykułu. A cała reszta jest tylko przypadkowym zbiegiem okoliczności.

Rozdział dziewiętnasty

Dan właśnie wkładał klucz do zamka w drzwiach, gdy dobiegł go dzwonek telefonu. Pchnął szybko drzwi i podbiegł do stojącego w hallu aparatu.

- Halo?

- Dan? Już miałem odłożyć słuchawkę! Tu Phil Gould.

- Phil! - Dan w ostatniej chwili powstrzymał się przed powiedzeniem „pan Gould”. - Wracam z lunchu.

- Są tacy, którzy mogą!

- Daj spokój, w interesach.

- Ach tak? Dobra, wierzę ci. Słuchaj, Dan. Pamiętasz naszą rozmowę? Powiedziałem ci, - że~według mnie to był całkowicie wewnątrzrodzinny smrodek. Ale zapomniałem o jednym. Pewnie guzik z tego będzie, ale było tam powiązanie z Raifem Pearsonem.

- Raifem Pearsonem? Tym facetem od Jersey Lily Night Club?

- Tym samym. Louis tam był, to znaczy w klubie, tej nocy, gdy go zabito. I straszliwie się pożarł z Raifem. Aż do tego momentu byli kumplami. Można to tak ująć, że byli z tego samego kawałka drewna - błyskotliwi krętacze. Tyle że wtedy Raife wyglądał na cwanszego. To on na początku lat siedemdziesiątych zagarnął rynek tak zwanych atrakcji dla turystów przez te swoje ekstrawaganckie varieté pełne tak zwanych gwiazd, których nazwisk nikt nie znał. Wiesz, smętni komicy, drugorzędni szansoniści, dwumetrowe tancerki z piórami w tyłkach, podrzędni

OKO ZA OKO

301

magicy itede. Miał nawet polykacza ognia. Jednym słowem, szmira. Ale to działało. A Louis reprezentował tę drugą, szacowną i luksusową stronę rynku. Z tym, że mieli ze sobą tyle wspólnego, że byli świetnymi kumplami. Rozumieli się w pół słowa. Aż do tej nocy.

- A co się właściwie stało?

- Doszło między nimi do jakiegoś nieporozumienia, ale takiego, że pół personelu słyszało. Było tam straszne piekło, wszyscy słyszeli ryki, lecz nikt nie miał pojęcia, o co chodziło.
 - Skąd to wiesz, jeśli cała sprawa nie miała normalnego dochodzenia?
 - Po zastrzeleniu Louisa przyszedł do nas jeden z barmanów. Myślał, że nas to zainteresuje. Powiedział, że przechodził obok biura Raife'a i słyszał, jak na siebie wrzeszczeli. Wydawało mu się, że padło tam słowo „szantaż”, ale to chyba kit. O Raife'ie trudno by było powiedzieć - i wtedy, i teraz - że ma reputację, o którą by musiał dbać. W każdym razie potem Louis wyszedł stamtąd wściekły jak cholera. Barman słyszał jego wrzaski, że to jeszcze nie koniec, i że jego w tym głowa. Ale nie dane mu było dotrzymać słowa, bo niedługo potem go zastrzelono. Dan zmrużył oczy, czując, jak mu się jeżą włoski na karku. Zawsze tak było, kiedy chwycił jakiś trop.
 - To rzuca zupełnie nowe światło, Phil! - odparł. - I brzmi obiecująco. Dlaczego nikt nie poszedł tym śladem?
 - Z dwóch powodów. Po pierwsze Sophia Langlois się przyznała, a Ivor Fauval natychmiast w to uwierzył. Po drugie, Raife miał niepodważalne alibi. Nie wyszedł tego wieczoru z klubu. Oglądał całą drugą część występów, siedząc przy stoliku z jakimiś gośćmi, na widoku wszystkich, i wyszedł dopiero późną nocą, kiedy Louis już dawno nie żył. Więc nie on to zrobił. Po prostu nie mógł, Dan. Myślałem tylko, że będziesz chciał wiedzieć o tej awanturze. Żeby wiedzieć.
 - Dzięki, Phil. A co się stało, żeś sobie to tak nagle przypomniał?
- Po drugiej stronie linii rozbrzmiał stłumiony chichot. Dan

Janet Tanner

widział oczyma wyobraźni, jak Phil zagryza swojego rudego wąsa jak zawsze, gdy był rozbawiony.

- Muszę się przyznać, że wcale sobie nie przypomniałem. To znaczy, nie pamiętałem tego w ogóle. Ale po rozmowie z tobą wróciłem do biura i wyciągnąłem akta - tak, żeby sobie odświeżyć pamięć. I tam to znalazłem. Nie sądzę, żeby ci to pomogło więcej niż nam dwadzieścia lat temu, ale postanowiłem ci i tak powiedzieć.

- Jestem ci wdzięczny, Phil. Ale jakby ci coś jeszcze przyszło do głowy...

- Wiem. Będę się odzywał. A jak się znowu spotkamy, możesz mi postawić drinka.

- Masz to jak w banku!

Odkładając słuchawkę Dan wiedział już jednak, że niewiele da radę z tego wyciągnąć. Najwyżej trochę dodatkowego kolorytu do wyrafinowanego obrazu rodziny Langloisów. Zresztą, nawet i to już nie było tak do końca prawdą. Raife, obecnie pan w średnim wieku, nie szokował już otoczenia szaleństwami. Jego Jersey Lily Night Club stał się już dawno bardzo szacownym miejscem, gdzie występowali tylko naprawdę renomowani artyści. Sam zaś Raife, mocno tłustawy, ale za to ubrany wyłącznie w najlepsze, znakomicie skrojone ubrania, nie wyglądał już na tak niebezpiecznego jak w czasach, które Dan pamiętał z dzieciństwa. W tamtych dniach Raife jeździł limuzyną o mocno przyciemnianych szybach, a gdy wysiadał, jego widok przywodził na myśl mafiosów z amerykańskich filmów gangsterskich - zaciśnięte szczęki, przymrużone oczy i cygaro. Dan doszedł do wniosku, że to cud, iż nie wzięto go na przesłuchanie w związku ze śmiercią Louisa Langlois już za sam wygląd. Jednak skoro go nie przesłuchiowano, to znaczy, że rzeczywiście ten trop był fałszywy.

Dan w zamyśleniu tarł dłonią twarz. Był wdzięczny Philowi za zadanie sobie trudu, wyszukanie dodatkowych informacji w aktach i szybkie powiadomienie. Jednak musiał przyznać, że Ivor Fauval miał rację, uznając tę poszlakę za fałszywą. Gdyby jeszcze Raife OKO ZA OKO

419

Pearson nie miał tak żelaznego alibi, może wówczas stałoby się inaczej. Aleje miał. Mimo wszystko intuicja nie dawała Danowi spokoju. Był pewny, że ta sprawa ma swoją wagę, ale nie potrafił jej odpowiednio sklasyfikować. Czy możliwe było, żeby Raife miał na usługach jakiegoś cyngla? Z pewnością akurat po nim można by się czegoś takiego spodziewać. Ale to się nie trzymało kupy z powodu czasu. Po prostu zbyt wygodnym zbiegiem okoliczności byłaby obecność pod ręką odpowiedniej osoby. Takie zbiegi okoliczności się nie zdarzają. Raife nie zdążyłby wystawić kontraktu na Louisa w ciągu godziny, jaka upłynęła pomiędzy kłótnią a strzałem. Dałby radę wykonać telefon, ale do tego należy doliczyć czas na odnalezienie właściwej osoby, czyli... Nie, tak nie bywa, że zawodowy zabójca daje się złapać pierwszym telefonem i w ciągu niecałej godziny zabija Louisa. Fizycznie to by było wykonalne, ale Dan dobrze wiedział, że zawodowcy lubią dokładnie zaplanować robotę - a tak szybkie wykonanie kontraktu byłoby zbyt niebezpieczne dla zabójcy. Chyba... Chyba że śmierć Louisa musiała nastąpić koniecznie tej właśnie nocy.

Dan ssął nerwowo kciuk, myśląc, kombinując, przymierzając i... odrzucił to całe rozumowanie. To wszystko nie trzymało się kupy. Ryzyko podejmują ludzie zrozpaczeni i amatorzy, zawodowcy nigdy. Szkoda. Cóż to by był za reportaż! I Juliet by była zadowolona!

Myśl ta przyszła mu do głowy tak nagle, że momentalnie stanęła mu przed oczami twarz dziewczyny, rozpromieniona na wieść o tym, że Dan nie tylko zdołał oczyścić imię babki, ale również odsunąć podejrzenia od reszty rodziny. Ale nie miał zamiaru jej tego mówić. Nie było sensu tego robić, skoro niewinność Raife'a była właściwie niepodważalna. Zresztą nawet

napomknięcie o takim tropie sprawiłoby, że Juliet uczepiłaby się wersji związanej z podejrzaną postacią Raife'a i zarzuciłaby zupełnie swoje śledztwo wewnątrz rodziny, na którym Danowi bardzo zależało. Szkoda by było, bo drugiej takiej okazji mógłby już nigdy nie mieć. Nie, nie wolno mu skierowywać myśli

Janet Tanner

dziewczyny na coś, co niemal na pewno było fałszywym tropem. Z drugiej jednak strony warto by było się dowiedzieć, o co ci dwaj tak się pokłócili.

Dan stał przez chwilę, pogrążony w głębokiej zadumie. Zawsze można było spytać po prostu Pearsona, ale szansa na bezpośrednią odpowiedź równała się praktycznie zeru. Z kolei personel już wtedy twierdził, że nie zna przyczyny kłótni, więc tym bardziej teraz, po tylu latach, nie da się z nikogo wyciągnąć takiej informacji. Poza tym pracownicy klubów i hoteli na Jersey zmieniają się stale, więc najpierw należałoby odszukać tych, którzy wówczas pracowali w klubie Raife'a, a to byłoby właściwie niemożliwe.

Była jeszcze jedna droga zdobywania informacji, jedna z jego najulubieńszych, której jeszcze nie wypróbował przy tej sprawie - archiwa „Jersey Post”. W przeszłości Dan wielokrotnie stwierdził, że stanowią wspaniałe źródło wiedzy, nie koloryzowane fantazjami świadków, których pamięć po latach mogła zawodzić. Oczywiście, mógł nic nie znaleźć. Niemożliwe przecież, żeby „Post” - choć to naprawdę bardzo dobra gazeta - wydrukowała jakąś informację, której nie zdołała się dokopać policja. Ale samo przeczesanie artykułów i doniesień z tamtego okresu mogło dostarczyć jakichś cennych wskazówek, drobiazgów, które wtedy wydawały się bezwartościowe, a teraz rzuciłyby nowe światło na sprawę. W owej chwili Dan nie miał jeszcze pojęcia, czego właściwie chce szukać, ale wiedział, że jeśli to „coś” znajdzie, to je na pewno rozpozna.

Uśmiechnął się do siebie. To dochodzenie zdecydowanie mu się podobało. Co prawda do tej pory nie znalazł jeszcze absolutnie niczego, co nie byłoby wiadome dwadzieścia lat temu, ale z doświadczenia wiedział, że wkrótce coś takiego wykryje. Świadomość, że wkracza znów w podniecające Nieznane, jak zawsze napompuwała go adrenaliną.

Włączył automatyczną sekretarkę, odnalazł klucze na stoliku w hallu, gdzie je rzucił gdy biegł do telefonu, wziął notatnik i ołówek i wyszedł, zamykając starannie drzwi.

OKO ZA OKO

305

Na długim, niskim poddaszu La Grange Juliet siedziała w kucki na drewnianej podłodze i metodycznie przeglądała zawartość skrzynki ze szpargałami i pamiątkami rodzinnymi. Wszystko było niebywale fascynujące - od starych fotografii po żółkniejące programy teatralne, kartki pocztowe i dzienniczki szkolne - mimo więc, że jeszcze nie natknęła się na nic, co wyraźnie wiązałoby się ze śmiercią Louisa, bawiła się świetnie.

Pomyślała, że być może jej rodzice rzeczywiście mieli na względzie jej dobro, kiedy zabrali ją do innego kraju i innego życia. Po chwili jednak zdecydowała, że tu nie ma żadnego „być może”. Z pewnością właśnie tak było. Ale tym samym pozbawili ją rodziny i sporego fragmentu dziedzictwa. Juliet poprosiła

o pozwolenie na przekopanie się przez stare rodzinne szpargały

1 zdjęcia przede wszystkim po to, aby sobie wyrobić jakiś obraz Louisa, ale niemal od razu, gdy tylko otworzyła pierwszą skrzynkę, poczuła się jak we wczesnym dzieciństwie, kiedy dostała pierwszą książeczkę z „magicznymi obrazkami”. Oglądanie i poznawanie rodziny przez pryzmat tych papierzysk przypominało te niesamowite wrażenia, kiedy przeciągała zanurzonym w wodzie pędzlem po czarno-białych kartkach i nagle pojawiały się zamglone, delikatne kolory.

Niektóre znaleziska były prowokujące, raczej nasuwały nowe pytania, niż odpowiadały na już istniejące - na przykład walen-tynkowa kartka, podpisana tylko znakiem zapytania. Inne stanowiły dokumentację lat dorastania Louisa, Robina i Davida.

Jasne było; że już jako dziecko Louis był trudny. Co prawda wszystkie dyplomy za osiągnięcia sportowe, jakie znalazła, zdobył właśnie Louis, ale za to jego dzienniczek szkolny był pełen

uwag w rodzaju: „Gdyby się bardziej przykładał, byłby dużo lepszy”, „Powinien się nauczyć większego zdyscyplinowania”, czy też najczęściej mówiąca: „Gdyby wkładał w pracę tyle entuzjazmu, co w rozrabianie, byłby najlepszym uczniem w historii szkoły”. W dzienniczku swego ojca Juliet znalazła uwagi o „bujaniu gdzieś myślami” i „dumaniu o niebieskich migdałach”, natomiast u Davida nauczyciele jednoznacznie i pochlebnie stwierdzali, iż

Janet Tanner

ten nie najbardziej błyskotliwy z uczniów osiągnął wspaniałe rezultaty dzięki ciężkiej pracy. Zdjęcia także tworzyły kawał historii. Odniosła wrażenie, że Louis był zawsze przygotowany do pozowania do fotografii, gdy dwaj jego bracia zdecydowanie bardziej zatopieni byli zawsze w tym, co akurat robili. Znalazła również zdjęcie Louisa i Robina z dziewczynką, w której ze zdziwieniem rozpoznała swoją matkę. Molly stała pomiędzy chłopcami, trzymając obu pod ręce, ale znów to Louis w jakiś sposób stanowił główną postać. Juliet przyłapała się na myśli, iż ten chłopak był jednak niezwykle przystojny. Usiłowała przy tym zignorować spostrzeżenie, że Molly na zdjęciu stoi ciut, ciut bliżej Louisa, wychylając głowę w jego stronę i śmiejąc się do obiektywu.

Juliet poukładała przejrzone już papiery w schludny stosik i znów zajrzała do skrzynki. Na samym dnie leżało tekturowe pudełko na papiery z załamanymi rogami. Dziewczyna ostrożnie je wyjęła i dostrzegła, że na jego wierzchu coś napisano - nie na naklejce, ale wprost na kartonie, grubym, czarnym piórem. Juliet podniosła pudełko do światła i z trudem odczytała „Louis Langlois. Papiery osobiste”. Poczula mrowienie skóry i pośpiesznie rozwiązawszy tasiemkę, otworzyła pudełko. Natychmiast nadeszło rozczarowanie - pudełko było pełne wyciągów bankowych i rachunków, posegregowanych⁷ jako „prywatne” i „biznes”, a poza tym zawierało tylko mały, oprawny w skórę notes, jakiego używa się do zapisywania prywatnych dochodów i wydatków. Czyli jedno wielkie nic. Miała już wszystko odłożyć na miejsce, gdy coś kazało jej otworzyć notes i przeczytać kilka linijek na chybił trafił.

Z początku niczego nie rozumiała. Były tam tylko nazwy, nazwiska i sumy pieniędzy. Wielkie sumy pieniędzy. Po chwili, kiedy już przyzwyczaiła się do pełnych zawijasów bazgrołów Louisa, zaczęło coś do niej docierać. Te wyliczenia wiązały się z hazardem - wygrane i przegrane Louisa

w kilku londyńskich kasynach. Jednak po chwili natrafiła na fragment, z którego wynikało, że Louis uprawiał hazard również prywatnie, zakładając

OKO ZA OKO

425

się, i w notesie pojawiły się nazwiska ludzi, z którymi grał, a rezultaty tych zakładów - i związane z nimi długi - były notowane z niesamowitą precyzją.

Natychmiastową reakcją Juliet była odraza, ale nie mogła się oderwać i czytała dalej z niemal niezdrową fascynacją. Nagle pomiędzy innymi nazwiskami mignęło jej jedno znajome i zaczęło się powtarzać z szokującą regularnością.

Paul Carteret.

Daty obok jego nazwiska i kwot pieniężnych opiewały na okres od początku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego prawie do końca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku.

Sumując wszystko Juliet stwierdziła, że chodzi o całe tysiące funtów! Oczywiście, takie kwoty nie znaczyły dla Louisa Langlois czy Cartereta tyle samo, co dla wielu innych ludzi, ale i tak było to mnóstwo pieniędzy. I żaden z tych długów nie został spłacony. Niemal wszystkie pozostałe notatki były już wykreślone, jednak te, w których występowało nazwisko Paula, nie. I szokująco rzucały się w oczy. Ostatnia z nich nosiła datę z listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego - kilka dni przed śmiercią Louisa.

Juliet delikatnie wsunęła notes pod blankiety bankowe i całe pudełko włożyła z powrotem do skrzyni, gdzie leżało zapomniane przez prawie dwadzieścia lat. Czula mdłości. A więc Dan nie mijał się z prawdą mówiąc, że inni członkowie rodziny także mogli mieć motywy do zabicia Louisa. A ona właśnie odkryła motyw Paula. Wart osiem tysięcy funtów.

Wstała z trudem, uświadamiając sobie, że zupełnie zdrętwiały jej nogi od długiego kucania. Uznała, że jak na jedno popołudnie przeprowadziła wystarczająco intensywne śledztwo.

Ze wszystkich muzeów wojennych na Jersey chyba najbardziej niezapomnianym jest Niemiecki Szpital Podziemny w Meadow-bank, St Lawrence. Od podobnego do jaskini wejścia u podnóża stromego zbocza góry w głąb litej skały prowadzą tunele - każdy

Janet Tanner

idealnie symetryczny, każdy celowy i przemyślany, i każdy będący owocem katorżniczej pracy więźniów wojennych.

Zanim Juliet opuściła Jersey, nie miała możliwości obejrzenia Szpitala, bo była jeszcze za mała, więc teraz z niedowierzaniem wpatrywała się w to monumentalne świadectwo okropnych czasów, które jej babcia i inni wyspiarze musieli przeżyć.

Kiedy już Dan zapłacił za bilety wstępu, Juliet nieco niepewnie weszła tuż przed nim do pierwszego tunelu. Każdy krok odbijał się echem, a po wejściu z ciepłego, słonecznego dnia wewnątrz wydawało się chłodne i ciemne. Szła powoli, chcąc dokładnie odczytać każde słowo ze wszystkich tablic informacyjnych, zajrzeć w każde na wpół wykopane, nie dokończone przejście i wczuć się w emanującą z nagich, skalnych ścian atmosferę. W końcu wszystko to było częścią jej dziedzictwa, które utraciła, nawet o tym nie wiedząc.

Dan najwyraźniej znał dobrze Szpital. Zwracał jej uwagę na różne szczegóły, na ukryte rury centralnego ogrzewania, na schowane za kratami pokoje, zaprojektowane jako izolatki, na pomieszczenia, w których niegdyś odbywały się przedstawienia teatralne dla oficerów i oficerskie mesy. Błąkając się po tym podziemnym labiryncie Juliet na jakiś czas zapomniała o dręczącej ją dwudziestoletniej tajemnicy. Zastanawiała się, jak ludzie żyli na wyspie ze świadomością, że w tym miejscu istoty ludzkie umierają przy niewolniczej pracy, budując niezniszczalną fortecę dla swych najeźdźców. Z tablic informacyjnych na ścianach wynikało, że niewolnicy ci byli Polakami, Hiszpanami, Rosjanami i Belgami. Nagle dziewczyna przypomniała sobie, że jej pradziadkowie, Charles i Lola, również byli jeńcami. Kiedy więc ich dzieci widziały, jak Niemcy traktują nieszczęśników budujących Szpital, musiały przeżywać katusze - bo wiedziały, że ich rodziców spotkał ten sam los. Taka świadomość była z pewnością straszna! A jednak zdołały przeżyć, a Paul nawet przedarł się do Anglii łodzią swego ojca.

Paul. Gwałtowny skurcz żołądka na myśl o nim przywrócił ją do współczesności i własnego dylematu. Czy powinna powiedzieć

OKO ZA OKO

428

Danowi, co odkryła? Poprzedniego wieczoru, gdy klęczała na strychu, postanowiła, że mu nie powie - przynajmniej jeszcze nie teraz. Zdecydowała, że najpierw pogada z Paulem, zobaczy, co on ma do powiedzenia. Tego dnia właśnie miała iść na kolację do Paula i Viv, więc może nadarzy się okazja do poruszenia tematu Louisa. Jednak teraz, chodząc po korytarzach Szpitala, zaczęła się zastanawiać, czy milczenie wobec Dana nie będzie błędem. Przecież sama go poprosiła o pomoc, a on się starał. Czy przypadkiem nie jest nieuczciwe - i niesprawiedliwe - trzymanie w tajemnicy tej informacji, która w połączeniu z jego odkryciami może jakoś pomóc w rozwiązaniu zagadki?

Wszystko nie było wcale takie łatwe. Juliet nawet nie podejrzewała, jak wielką potrzebę ochraniać tajemnic rodzinnych będzie odczuwać. I żeby nie wiem ile zawdzięczała Danowi Daffainsowi, nigdy mu nie zaufa całkowicie.

Rzuciła w jego kierunku szybkie spojrzenie, pełna irracjonalnej obawy, że może Dan potrafi czytać w myślach i domyślił się już, że dziewczyna coś przed nim ukrywa. Dan wpatrywał się w zawieszoną na ścianie tablicę, a światło nagiej żarówki jaskrawo oświetlało jego twarz - zdecydowane rysy, które potrafiły zmienić się w tak twarde i bezkompromisowe, pełne usta i zmarszczki w kącikach oczu, które ulegały tak niebywałej transformacji, gdy się uśmiechał - i nagle, z zaskoczeniem, Juliet pierwszy raz uświadomiła sobie, jakim atrakcyjnym mężczyzną jest Dan Deffains. Jakże mogła tego dotąd nie zauważyć? Szybko doszła do wniosku, że to dlatego, iż była tak bardzo zatopiona w sobie, zdolna myśleć tylko o dokopaniu się do dna rodzinnej tajemnicy. A teraz, nagle, zaczęła sobie zaskakująco silnie uświadamiać jego obecność

jako mężczyzny. Poczula się okropnie niezręcznie, tym bardziej, że Dan niespodziewanie odwrócił się do niej.

- Widziała pani? - spytał, wskazując palcem na tablicę. - Violette Szabo, ta brytyjska agentka.

Jej córka mieszkała na Jersey. Była jeszcze małą dziewczynką, kiedy zastrzelono jej matkę.

- Tak. Jej ojciec też chyba zginął w czasie wojny, prawda? Etienne Szabo.

Janet Tanner

- Najwyraźniej słyszała pani już o nich. -Tak.

Juliet czytała niegdyś wiersz, który Etienne napisał dla Violette. Nie pamiętała już, gdzie się nań natknęła, ale niezwykle jej się podobał jako sposób wyznania miłości żonie.

Powrócili już niemal do wejścia Szpitala. Na zewnątrz widać było wczesnoletnie słońce na bezchmurnym niebie, lecz jego promienie nie wpadały do szarych korytarzy. Juliet zadrżała nagle. Zrobiło jej się chłodno i zapragnęła natychmiast znaleźć się na ciepłym powietrzu.

- Czy możemy już iść?

- Oczywiście, jeśli pani tego chce.

- Chcę.

- No i jak, podobało się? - spytał, gdy już wyszli na słońce.

- Nie wiem, czy wyrażenie „podobało się” jest adekwatne, ale wiem, o co panu chodzi. To było coś. - Nie chodziło jej tylko o muzeum. Wciąż nie mogła zapomnieć tego dziwnego uczucia, kiedy zobaczyła go - dosłownie - w innym świetle.

- Może byśmy gdzieś usiedli i zjedli lody? - spytał. Zerknęła na niego. Dan wpatrywał się w nią z lekkim

uśmiechem. W jego twarzy nie było teraz nic twardego, tylko jakaś moc, pod wpływem której Juliet na moment znów poczuła się dziwnie. Niemal wpadła w panikę, odczuwszy już drugi raz w ciągu krótkiego czasu coś takiego.

- Chyba powinnam już wracać.

Ale nawet mówiąc te słowa na wpół czekała na jego protest. W dodatku była przekonana, że nie musiałby jej długo przekonywać. Jednak naleganie nie było w stylu Dana Deffainsa.

- Pani decyduje.

- Tak. Dziękuję za wspaniałe popołudnie.

- Będziemy w kontakcie? - To było raczej stwierdzenie.

- Tak. - Zawahała się, znów zastanawiając się, czy mu nie powiedzieć przynajmniej tyle, że wybiera się na kolację do Paula i Viv, ale rozmyśliła się. Zdecydowała, że później postanowi, co OKO ZA OKO

311

dalej, jak już wysłucha, co Paul ma do powiedzenia. - Zadzwonię do pana jutro - rzuciła i przeszła przez ulicę na parking, gdzie zostawiła swój samochód.

Dan odprowadził wzrokiem jaskrawoczerwonego Austina Metro, znikającego w strumieniu samochodów jadących do St Helier, i w zamyśleniu potarł skronie.

Czy mam rozmiękczenie mózgu? Lody? Nie jadł lodów od kiedy... Urwał myśl w tym punkcie i czekał na falę bólu. Mariannę uwielbiała lody. W letnie popołudnia siadali w małych kafejkach, gdzie Dan zawsze z rozbawieniem obserwował jej niemal dziecięcą radość. Wyskrobywała najmniejsze resztki owoców, oblizywała usta jak kot, póki nie zniknął ostatni ślad po lodach. On sam nigdy nie przepadał za lodami. Soczysty stek? O, proszę, zawsze! Ale jadł lody, żeby jej zrobić przyjemność. A teraz... Zmrużył oczy przed ostrymi promieniami słońca, ze zdziwieniem zauważając, że przypomina sobie to wszystko bez natychmiastowej chęci zagrzebania się w jakiejś ciemnej norze, że nie odczuwa już ochoty zaciśnięcia dłoni na szyi tego bydlaka, który ją zabił, że nie płonie miłością, gniewem i rozpaczą. Był smutny, owszem, ale był to jakiś słodki smutek, raczej tęskny niż napawający żądzą zemsty.

Ze zdziwieniem uświadomił sobie też, że smutek ten po części powstał z żalu, że Juliet odrzuciła zaproszenie.

Rozdział dwudziesty

JVolacja u Paula i Vivierme Carteretów zawsze stanowiła problem. Viv nigdy nie była nawet niezłą kucharką i sama twierdziła, że określenia na serwowane przez nią jedzenie mogą się wahać wyłącznie pomiędzy „nieapetyczne” a „niejadalne”. Kiedy planowała jakieś przyjęcie, zawsze wynajmowała kogoś do przygotowania posiłku, sama tylko doglądając sprzątanía. Lecz tego wieczoru czuła się wystawiona do wiatru. Po południu zatelefonował do niej syn Fenny le Grove by poinformować, że jego matka ma straszne bóleści i, niestety, nie przyjdzie. Tak więc Viv nie pozostało nic innego, jak samej zakasać rękawy i wziąć się do roboty.

- Nigdy bym się nie zdecydowała na *coq-au-vin*, gdybym wiedziała, że sama muszę go zrobić - poskarżyła się Paulowi, gdy wrócił z biura i znalazł ją w kuchni, męczącą się nad kurczakiem i usiłującą go poporcjować. - Naprawdę podejrzewam, że Fenny na złość rozchorowała się właśnie dziś, kiedy jej potrzebuję.

- Teraz to pół biedy. Gdyby zachorowała w piątek, byłoby jeszcze gorzej - próbował ją pocieszyć Paul. - Przecież wtedy ma przyjść na kolację prawie cała Rada do Spraw Turystyki.

- O, Boże! Zapomniałam! No, jeśli do tego czasu Fenny nie wyzdrowieje, będziemy musieli kazać sobie coś przysłać z któregoś hotelu.

OKO ZA OKO

313

- Jeśli chcesz, możemy to zrobić teraz - odparł Paul z niezbyt dobrze skrywaną nadzieją w głosie. Wątpił, czy kurczak nadawałby się do jedzenia nawet wtedy, gdyby Viv była zupełnie trzeźwa. Teraz natomiast widać było po niej, że za pomocą ginu z tonikiem immunizowała się przed czekającym ją wieczorem i już się lekko chwiała.

Jednak ku jego rozczarowaniu Viv odrzuciła tę propozycję.

- Nie, to tylko Juliet, a szkoda by było, żeby się zmarnowały te wszystkie rzeczy, które kupiłam na kolację. Grzyby nie wytrzymają nawet do jutra, kurczak jest zupełnie świeży, a poza tym specjalnie kupiłam butelkę czerwonego wina.

- Nie wyobrażam sobie, żeby przy tobie zmarnowało się czerwone wino - bąknął Paul.

Viv w odpowiedzi parsknęła, nie przerywając pracy. Usiłowała rozerwać skórę kurczęcia swymi długimi, czerwonymi paznokciami. Paul doszedł do wniosku, że musi się pożegnać z marzeniami o dobrym jedzeniu i pogodzić z kolacją nieco poniżej poziomu *Cordon Bleu*.

Kiedy o siódmej pojawiła się Juliet, Vivienne nadal jeszcze była w starych spodniach i walczyła z sałatą. Ziemniaki kipiały na kuchenkę.

- Nie przejmuj się, Viv - powiedziała Juliet, kiedy ciotka zaczęła się tłumaczyć. - Idź się przebrać, a ja się tym zajmę.

- Naprawdę? - Głos Vivienne był pełen ulgi, ale też niedowierzania, że ktoś może z własnej woli podejmować się tak okropnych czynności.

- Mnie to zupełnie nie przeszkadza - odparła Juliet, wręczając ciotce jej szklankę z ginem. - W domu prawie zawsze ja gotuję.

- Dobrze. Postaram się jak najszybciej...

- Nie śpiesz się. Możesz siedzieć w wodzie, ile chcesz. Kurczak będzie najwcześniej za pół godziny, o ile wszyscy nie chcemy złapać salmonelli.

- Bóg mi cię zesłał! - jęknęła Viv i pociągnęła długi łyk. - Dobra z ciebie dziewczyna - rzuciła znikając w progu.

Juliet uśmiechnęła się blado do siebie. Ciekawe, czy Viv nadal

Janet Tanner

by tak uważała, gdyby знаła jej plany. Pół godziny bez Viv oznaczało pół godziny sam na sam z Paulem i zapewne jedyną szansę na postawienie mu kilku wścibskich pytań.

Kieliszek sherry, Juliet? Czy może wolałabyś gin z tonikiem? - spytał Paul po wyjściu Viv.

- Raczej gin. - Juliet nie rwała się do tego, co miała zrobić, a mocniejszy alkohol mógł jej w tym pomóc. Zmniejszyła gaz pod ziemniakami - i tak rozgotują się do czasu, nim kurczak będzie gotowy — i pokroiła bagietkę na grzanki. Wiele wysiłku kosztowało ją powstrzymanie dłoni od drżenia, gdy odbierała od Paula drinka. Łyknęła, zastanawiając się usilnie, jak najlepiej zacząć rozmowę. Na szczęście Paul jej to ułatwił.

- Jak tam dziś twoja babka? Lepiej?

- Tak, lepiej. Nadal jednak się o nią martwię... - Juliet zawahała się, po czym postanowiła złapać byka za rogi. - Paul, jest kilka rzeczy, o które chciałabym ją spytać, ale nie mogę, skoro jeszcze niezupełnie doszła do siebie. Nie chciałabym jej denerwować.

- Tak? A co to takiego? - spytał Paul, choć Juliet poznała po jego minie i sposobie, w jaki zajął się popijaniem swej whisky, że już wiedział.

- Louis - odrzekła wprost.

- Louis? Masz na myśli mojego siostrzeńca?

- Oczywiście! On mnie ciekawi. Jaki on był?

Przez przeciągającą się chwilę Paul usiłował zapanować nad zaskoczeniem. To nie było pytanie, którego oczekiwał.

- Jaki był? - powtórzył. - No cóż, miał mnóstwo wdzięku. Nikt temu nie może zaprzeczyć.

Kobiety za nim szalały. Można powiedzieć, że miał jakiś diabelski urok, któremu nie potrafiły się oprzeć. I on je też lubił. Aż za bardzo.

- Ale nigdy się nie ożenił.

- O, nie, nie Louis. Cwaniak, wiedział, jak je kochać i zostawiać. Ale w ogóle wiedział, jak korzystać z przyjemności życia. Lubił dobre jedzenie, dobre wina, generalnie dobre 'życie.

OKO ZA OKO

435

- A hazard? Uprawiał hazard?

- Tak, miał do tego skłonności. Jeździł do Londynu, a nawet do Stanów, do kasyn. Tutaj nie mógł grać. To nielegalne - choć gdyby wszystko ułożyło się po jego myśli, doprowadziłby do zmiany tego prawa. Miał w planach otwarcie własnego kasyna jako dodatku do któregoś z hoteli.

- A więc rozmawialiście wtedy o tym?

- Tak. Ale nie widziałem szans na coś takiego. Jersey potrafi uparcie trwać przy takich przepisach i nawet Louis nie umiałby doprowadzić do tak drastycznej zmiany prawa.

- Ale skoro tak to lubił, to pewnie znajdował jakieś metody na uprawianie hazardu - nie dawała za wygraną Juliet, zauważając kątem oka, że Paul zaczął się odrobinę pocić.

- Oczywiście, nikt nie powstrzyma ludzi od zakładzików w zaciszu własnego domu - odrzekł krótko. - Mój Boże, mnóstwo ludzi to robi!

- Pewnie tak. - Juliet zawahała się, niepewna, co robić dalej. Nie bardzo przecież mogła spytać Paula wprost o pieniądze, które był winien Louisowi, ani czy śmierć Louisa uchroniła go od przymusu ich spłacenia. Zresztą i tak знаła odpowiedź na drugie pytanie, bo przeglądała przecież zapiski w notesie Louisa. Ale co z tego? Dziewczynę nagle ogarnęło obrzydzenie do siebie samej. Stoi w kuchni swego wuja, udaje, że mu gotuje kolację, i zadaje pytania mające ustalić, czy miał motyw - a może i sposobność - do zabicia Louisa. Oczywiście, jej intencja oczyszczenia imienia babki była bardzo dobra, ale przysłowie mówi, że dobrymi intencjami piekło jest wybrukowane. I nagle Juliet nabrała niemiłego przekonania, że właśnie na tę drogę

weszła. Postanowiła nieco zmienić temat. - Oczywiście, masz rację. Wszystko wskazuje na to, że Louis rzeczywiście cieszył się życiem. Wyobrażam sobie, że był bardzo lubiany. Krótki, zimny rechoł dobiegający od drzwi kazał jej podnieść wzrok. Stała tam Viv, unosząc tak wysoko szklankę, że wyglądała, jakby chciała wygłosić toast. Przebrała się w jasnozieloną

Janet Tanner

sukienkę, która współgrała z kolorem jej oczu i kontrastowała ze szkarłatem jej ust.

- Czy mi się wydaje, czy powiedziałaś, że był lubiany?

- zapytała bardzo głośno. - Jeśli się nie przesłyszałam, to ogromnie się mylisz.

Mówiła bełkotliwie; Juliet zastanawiała się, ile ginu ciotka zdążyła już wypić.

- Daj spokój, Viv. Nie mówmy źle o zmarłych - niby jowialnie próbował ją strofować Paul. -

Właśnie mówiliśmy, że Louis lubił dobre rzeczy w życiu - a tak przecież było.

- Jak cholera! - zaskrzeczała Viv. - Ale życie nie lubiło jego. Tak samo zresztą jak i nikt inny.

Louis narobił sobie mnóstwo wrogów - i w rodzinie, i poza nią. Po prostu taki był. Uwielbiał być

górami. Ponizacz innych. Odbierać im różne rzeczy, nawet jeśli to było wszystko, co mieli. Robić

zamieszanie. Louis! Włazący pod pierzyny cudzym żonom, zapijaczony, zawistny, wredny

Louis! Niech go Bóg ma w swojej opiece!

- Viv! - zawołał ostro Paul. - Wystarczy. Nie wiesz, co mówisz. Louis nie był aż taki zły.

- I kto to mówi?! Ty, Paul? „Louis nie był aż taki zły?”

- zaszydziła. - Nienawidziłeś go jak zarazy! Nikt nie był bardziej zadowolony od ciebie, kiedy...

- Viv, dosyć! - ryknął Paul. Na jego skroni tętniło naczynko, a pełna poczucia winy i

zawstydzona Juliet wtrąciła szybko:

- Viv? Pokroiłam bagietkę na grzanki. Mam je zapiec? Gdzie jest oliwa?

- Grzanki? Ooop... Przepraszam. Niech cholera weźmie grzanki! Jedzmy. To znaczy, jeśli macie ochotę. Bo ja chyba nie.

Juliet usiłowała się uśmiechnąć, ale nie zdołała.

- Usiądź, Viv. Za chwilę podam kolację.

- Chcesz powiedzieć „usiądź, zanim się przewrócisz”? To nie taki zły pomysł, tyle że usiądę tu i będziemy gadać, kiedy ty robisz... nieważne, cokolwiek robisz. Pytałaś o Louisa. A co chciałaś wiedzieć?

- Właściwie nic - odparła Juliet i po raz pierwszy naprawdę

OKO ZA OKO

438

tak myślała. Wylaniający się z tego wszystkiego obraz wuja, który spotkał swoją śmierć, gdy miała cztery lata, nie był przyjemny. Tyle że w tej akurat chwili nie miała siły na poznawanie dalszych jego szczegółów.

Kiedy tylko mogła sobie na to pozwolić, nie będąc niegrzeczną, Juliet poskarżyła się na ból głowy i wyszła, uznając, że Viv i Paul będą zadowoleni z jej odejścia.

Kolacja była jednym z najbardziej niezręcznych i niewygodnych posiłków w jej życiu. Nie było już żadnych wzmianek o Louisie

- Juliet i Paul zdołali kierować rozmowę na mniej kontrowersyjne tematy - i nastrój Viv w końcu nieco się poprawił. Ale niemiłej atmosfery nie dało się już poprawić, a Juliet wciąż zdawała sobie sprawę, że to ona jest za to odpowiedzialna.

- Naprawdę przepraszam - powiedziała do Paula, kiedy Viv wyszła do łazienki pomiędzy daniami.

Paul nałożył sobie jeszcze jeden kawałek ciasta, które Juliet rozpoznała jako hotelowe.

- To nie twoja wina. Viv potrafi być dość wybuchowa, kiedy wypije. Przykro mi tylko, że musiałaś być świadkiem jej występów.

- Wiem, ale... - Chciała powiedzieć, że gdyby nie poruszyła tematu Louisa, nigdy by do tego nie doszło, lecz nie umiała się zmusić do powtórzenia tego imienia kolejny raz.

- Na wypadek, gdybyś jeszcze się nie zorientowała, powiem ci, że Louis jest dość drażliwym tematem w tej rodzinie

- powiedział Paul, jakby czytając w jej myślach. -1 za życia, i po śmierci. Viv ujęła to wszystko dość dosadnie, ale w większości to prawda. Czasami żartowaliśmy, że jedyną osobą, która go nie nienawidzi, jest jego matka, co okazało się dość ironicznym dowcipem. - Zrobił dziwną minę, usłyszawszy kroki Viv na schodach. - Lepiej zmieńmy temat. Masz ochotę na kawę? Juliet zgodziła się na kawę, a nawet ofiarowała się z pomocą w zmywaniu. Ale Viv zdecydowanie odrzuciła jej ofertę. Powie

Janet Tanner

działa, że rano przyjdzie gosposia i posprząta. Juliet wyobraziła sobie minę tej biednej kobiety na widok stanu kuchenki, przypalonych garnków, talerzy i sztućców, których Viv nawet nie włożyła do zlewu. Na myśl o gosposi dziewczyna uśmiechnęła się, lecz zaraz poczuła współczucie. Gosposia, która była w stanie pracować dla Viv, musiała naprawdę potrzebować pracy!

Gdy wychodziła, Viv ucałowała ją gorąco i powiedziała, że ma nadzieję, iż Juliet jeszcze ich odwiedzi. Jakby zupełnie zapomniała o wcześniejszej scenie. Juliet jednak nie umiała tak łatwo pozbyć się myśli o tym wszystkim - tym bardziej, że wciąż dręczyło ją poczucie winy.

Uruchamiając silnik swego auta wiedziała już mniej więcej, co ma zamiar zrobić. Kiedy zamiast do La Grange skręciła w stronę St Helier, pojęła, że jest już tego pewna. Jej ciekawość wywołała już dużo więcej kłopotów, niż zdołała rozwiązać. Czas położyć temu kres. Spotka się z Danem Deffainsem i powie mu, że nie jest w stanie walczyć z duchami przeszłości. I zrobi to zaraz!

Okna parteru wielkiego domu na przedmieściu St Helier były oświetlone. Juliet zerknęła na zegarek. Dziesiąta. Późno, ale nie za późno. Nie wyobrażała sobie, żeby Dan mógł być rannym ptaszkiem, a zresztą i tak to, co miała mu do powiedzenia, nie zabierze więcej niż dziesięć minut. Nacisnęła na dzwonek i czekała. Nikt nie otwierał. Może jednak było za późno. Może stoi pod prysznicem albo jest pochłonięty oglądaniem telewizji. Albo po prostu jej nie usłyszał. Juliet wahała się pomiędzy chęcią powtórnego zadzwonienia a odejściem i przelożeniem rozmowy na rano, gdy w hallu zapaliło się światło i otwarto drzwi.

Dzięki Bogu, był kompletnie ubrany, w koszulę i spodnie.

- Juliet! Co pani tu robi?

- Chciałam z panem porozmawiać.

Poczuła się nagle głupio. Przecież tak naprawdę wcale nie było potrzeby gnać tu do niego od razu. Rano by wystarczyło.

- Rozumiem. Proszę wejść.

Przechodząc obok Dana zauważyła w jego oczach ulotny błysk zainteresowania.

OKO ZA OKO

319

- Wiem, że jest późno, ale akurat tędy przejeżdżałam - skłamała. - Pomyślałam, że może lepiej przyjść do pana teraz, niż przeszkadzać panu jutro, kiedy będzie pan pochłonięty pracą.

Jej głos nagle ścichł. Z salonu wyszła kobieta, drobna, ciemnowłosa, o kilka lat starsza od Juliet.

- Czas już chyba na mnie, Dan. Do zobaczenia. - Kobieta wspięła się na palce i lekko pocałowała go w policzek. - Uważaj na siebie.

- Dobrze, kochanie. Do zobaczenia.

- Cześć. - Uśmiechnęła się do Juliet, lecz był to uśmiech pełen rezerwy, pozbawiony ciepła. Juliet natychmiast zaczęła żałować, że przyszła. To głupie, ale nie przyszło jej do głowy, że Dan może być z jakąś kobietą. Nie wiedziała dlaczego, ale sama myśl o tym bardzo ją rozstroiła i przybiła. Przecież, na miłość boską, tak atrakcyjny facet powinien mieć przyjaciółki!

- Przepraszam - bąknęła. - Nie chciałam przeszkadzać.

- W porządku. Nie przeszkodziła pani. Fran i tak już wychodziła.

Juliet przywołała na myśl obraz kobiety. Fran. Tak, pewna siebie i ładna. Akurat taka, na jaką by poleciał. Znów jej żołądek zaczął wyczyniać dziwaczne rzeczy.

- Niech pan posłucha. Wiem, że powinnam była zaczekać do jutra - rzuciła niemal napastliwie. - To było bardzo nieuprzejme z mojej strony, tak tu wpadać. Pójdę sobie.

- Nie ma potrzeby. Mam zamiar wypić drinka. Przyłączy się pani?

Nim zdolała zaprotestować, wziął ją pod ramię i poprowadził do salonu. Juliet usiłowała nie zauważać unoszącego się w powietrzu zapachu perfum Fran.

- **Na co pani ma ochotę? - spytał podchodząc do barku.**
- **Coś bezalkoholowego. Wypiłam już dwa kieliszki wina, a prowadzę samochód.**
- **Woda mineralna?**
- **Świetnie.**
- **Niezbyt szalowy drink - powiedział podając jej szklanę.**

Janet Tanner

- Naprawdę nie chcę nic więcej. - Nie dodała, że po obejrzeniu występów Viv mogłaby w ogóle przestać pić jakiegokolwiek alkohole.
- A więc - mruknął, nalewając sobie sporą porcję whisky. - Co panią tu sprowadza o tej porze? Zanotowała pani jakieś wyjątkowe osiągnięcia?
- Nie. Przykro mi, Dan, ale nie mam już ochoty tego ciągnąć.
- Naprawdę? - Ani na moment nie pozwolił, żeby wyraz twarzy zdradził jego rozczarowanie. - A to dlaczego?
- Bo mam wrażenie, że poruszyłam gniazdo szerszeni.
- To może oznaczać, że jest pani blisko.
- Pewnie tak, ale zaczęłam się zastanawiać, czy mam prawo to robić. Moja rodzina musiała z powodu tego wszystkiego dużo wycierpieć. Jakie mam prawo rozgrzebywać to od nowa?
- Chciała pani przecież dowieść niewinności swojej babki.
- Ona sama twierdziła, że jest winna. Nikt jej do tego nie zmuszał.
- Skąd pani wie?
- Niech pan da spokój! Miałam dwa tygodnie na poznanie jej i spokojnie mogę stwierdzić, że nie jest ona typem kobiety, którą ktokolwiek może do czegokolwiek zmusić. Na swój cichy sposób jest bardzo zdecydowaną damą. Nikt jej nie zmuszał i nikt jej w to nie wrobił. Sama podjęła decyzję o przyznaniu się do winy. I czy to prawda, czy nie, ja nie mam prawa się w to wtrącać po tak długim czasie.
- Hmmmm - mruknął, przyglądając się jej uważnie. - Co spowodowało tę zmianę? Juliet przełknęła nieco wody.
- Co pan ma na myśli?

- Kiedy panią widziałem ostatnim razem, była pani absolutnie zdecydowana prowadzić śledztwo na temat przeszłości. Teraz pani się pojawia - cóż, raczej późnawa pora na towarzyską wizytę - i mówi, że nie chce pani już kontynuować. Coś musiało się stać, skoro pani tak zmieniła zdanie.

- Niekoniecznie - powiedziała bez przekonania. - Po prostu nie mam już ochoty przesłuchiwać krewnych, to wszystko.

OKO ZA OKO

444

- Rozumiem - rzekł Dan, czując przyspieszające tętno. - A kogóż to pani przesłuchiwała, kiedy nagle obudziło się pani sumienie i zaczęło dokuczać?

Na jej policzki wypełzły rumieńce.

- To chyba nie pański interes.

- Naprawdę? Pozwoli pani, że przypomnę, iż to pani przyszła do mnie, prosząc o pomoc. W tę pomoc w pani dochodzeniu wsadziłem sporo czasu i pracy, powiedziałbym więc, że jednak może to i mój interes.

Juliet w zawstydzeniu przygryzła wargę. W jego ujęciu nie brzmiało to zbyt dobrze.

- Dan, naprawdę nie oczekuję po panu pełnego zrozumienia, ale nagle zaczęłam się czuć okropnie nielojalnie wobec rodziny. Na początku nie znałam ich. Poczuwałam się do lojalności wyłącznie wobec babci. Myślałam sobie nawet naiwnie, że gdybym zdołała udowodnić, że skazano ją niewinnie, moi rodzice pogodziliby się z nią. Wyjechali do Australii z powodu tego, co zaszło, i właściwie nigdy już nie mieli z nią do czynienia. Myślałam, że może zdołam ich jakoś pogodzić. Ale teraz czuję się jak jakiś szpieg. Poznałam tych ludzi i polubiłam ich i... nie mogę im tego robić. Kiedy Viv zaczęła dziś wylewać pomyje na Louisa, po raz pierwszy zdałam sobie sprawę z tego, jakim musiał być okropnie nieprzyjemnym typem. Ale uświadomiłam sobie

jeszcze coś - co się zacznie dziać, jeśli wyjdzie na jaw, że do jego śmierci przyłożył rękę ktoś z nich? Znow zacząłby się dla nich ten sam koszmar! Nie mogę, naprawdę!

Dan przelknął trochę whisky. Siedział na jednym z tych starych, zużytych foteli, z wyciągniętymi przed siebie długimi nogami i sprawiał wrażenie zupełnie rozluźnionego. Ale miał zwężone oczy i w zamyśleniu nerwowo postukiwał palcem w szklankę.

- Więc uważa pani, że ktoś inny z rodziny może być w to wplątany - powiedział wreszcie po dłuższej chwili ciszy.

- A czy nie to właśnie sugerował pan, gdy pierwszy raz rozmawialiśmy?

Janet Tanner

- NOOGO... tak. Tak. Powiedziałem tak, to prawda. Ale teraz zaczynam się zastanawiać, czy się nie pomyliłem.

- Dlaczego?

Obracał w rękach szklanę, wpatrując się w nią spokojnie.

- A gdybym pani powiedział, że odkryłem co najmniej jedną poszlakę, która w żaden sposób nie wiąże się z pani rodziną? Oczywiście, pomijając Louisa. Czy to by zmieniło pani stosunek do dalszych dochodzeń?

Juliet wyprostowała się nagle, a jej oczy zabłysły.

- Niech pan to powtórzy!

- Co?

- Ze uważa pan, iż jest możliwość, że może w to być wplątany jeszcze ktoś, ktoś spoza rodziny.

- Nie powiedziałem tego. Niech mi pani nie wkłada w usta cudzych słów.

- Kto? - dopytywała się Juliet, nie zwracając uwagi na jego wtręt.

Dan się zawahał. Nie był pewny, czy powinien powtarzać to, co opowiedział mu Phil Gould.

Przecież nawet nie wiedział jeszcze, o co wtedy Louis pokłócił się z Raifem, a w dodatku nie miał najmniejszego powodu podejrzewać, że między kłótnią a zabójstwem był jakiś związek. Jednak przynajmniej nie było obawy, że opowiadając jej o wrzaskach w klubie, naruszy jakąś tajemnicę, bo w owym czasie mnóstwo ludzi wiedziało o tej kłótni, a nikt nigdy nie próbował o nic Raife'a oskarżać. Poza tym Dan zdał sobie sprawę, że jedyną metodą, by Juliet nie przerywała dochodzeń, jest pomachać jej przed nosem czymś w pewnym sensie pocieszającym. Była najwyraźniej bardzo przybita całą tą sprawą. Dan miał wielką ochotę zapewnić ją, że nikt z rodziny nie był wplątany w to morderstwo.

- Dobrze. Powiem pani, czego się dowiedziałem - rzekł. Opowiadając patrzył na nią, obserwując malujące się na jej

twarzy emocje, i nagle stwierdził, że nie myśli o tym, co mówi.

Co takiego w niej było, że wzbudzała w nim takie uczucia? Dużo czasu już minęło, od kiedy jakaś kobieta zdołała go

OKO ZA OKO

447

zainteresować na jakiegokolwiek płaszczyźnie, a co dopiero przyprawić go o tę dziwną mieszaninę czułości i... tak, pożądania, którą czuł teraz, gdy patrzył na Juliet. A dziewczyna pilnie wsłuchiwała się w słowa o Pearsonie i jego możliwych powiązaniach z Louisem. Dan uświadomił sobie, że pragnie tej kobiety, i to go rozzłościło. Uważał, że w pewien sposób zdradza Mariannę, skupił więc znów całą uwagę na Louisie Langlois.

- Ot i cała historia - powiedział na koniec. - Raife Pearson jest tylko jednym z ludzi spoza rodziny, którzy się kłócili z Louisem.

- Hmmmm. - Zamyśliła się, lecz już było widać, iż ona także dostrzegła wątpliwość tej poszlaki i powoli znów zaczęła tracić nadzieję. - Czy jednak nienawidził go tak bardzo, żeby zabić? To znaczy, gdyby chciał zabić Louisa, pewnie zrobiłby to z miejsca, a nie czekał, aż stryj wróci do domu, żeby go tam zastrzelić z zimną krwią.

- Raife go nie zastrzelił. Nie mógł. Jeśli już, musiał wynająć cyngla.

- Wydaje mi się to naciągane. Musiałby mieć naprawdę bardzo silny motyw, żeby zadać sobie tyle trudu - czy też podjąć takie ryzyko, skoro już przy tym jesteśmy. Bardzo chciałabym wierzyć, że to on, ale...

Dan wychylił do reszty swą szklankę i podszedł do barku, żeby sobie dolać. Wciąż się jednak zastanawiał, ile powinien jej powiedzieć.

- Było bardzo wielu innych, którzy mieli powody nienawidzić Louisa.

- Nienawidzić tak bardzo, żeby zabić? Naprawdę pan uważa, że ludzie zabijają innych z powodu nienawiści? Czy nie jest bardziej prawdopodobne, że zabijają innych, bo ich kochają? To znaczy, za bardzo kochają, albo źle oceniając... - Urwała, uświadomiwszy sobie, co zrobiła - podała właśnie kolejny argument przemawiający za hipotezą, że Louis zginął z ręki kogoś bliskiego. - Cholera! - pisnęła i nagle wszystkie rozterki i przeżycia tego wieczora złożyły się w jedno, zaciskając jej

Janet Tanner

krtań. Spuściła głowę i zamrugła gwałtownie w nadziei, że Dan nic nie zauważy. Lecz łzy już płynęły niepowstrzymanym strumieniem po policzkach. Sięgnęła po torebkę i zaczęła ją przeszukiwać, lecz chusteczki nigdzie nie było. - Niech to szlag trafi! Co się ze mną dzieje?! Dan wyjął z kieszeni czystą chusteczkę.

- Tego pani szuka?

- Tak. Dziękuję. - Wzięła z wdzięcznością. - Przepraszam. Zachowuję się jak idiotka.

Kucnął obok niej i zakrył dłońmi jej ręce.

- No już, niech się pani rozchmurzy. Nie jest jeszcze wcale tak źle. Zapomniała pani, że to wszystko już historia?

- Nie dla mnie.

- No tak, ma pani rację. - Otoczył ją ramieniem - ruch raczej instynktowny niż zamierzony, a po chwili Juliet podniosła na niego oczy. Były wciąż pełne łez, przez co widziała jego twarz nieco niewyraźnie. Nagle przypomniała sobie, jak na nią patrzył w Podziemnym Szpitalu, ciągle potężny, ale już nie taki niedostępny. Pod chłodną maską, dostrzegła wtedy prawdziwego Dana. Oparła mu głowę na ramieniu i ten dotyk wzbudził w niej dziwną mieszaninę uczuć tak zaskakujących, że zaparły jej dech w piersiach. Przez długą chwilę trwała zupełnie nieruchomo, lękając się tej fali, która ją rozpalala, i bardziej niż kiedykolwiek dotąd zdając sobie sprawę z bliskości innej istoty ludzkiej. Było to tak niewielkie zetknięcie - zaledwie jej głowa na jego ramieniu i jego ręka leciutko spoczywająca na jej barkach - a jednak wyczuwała Dana każdym nerwem ciała, jakby jej całe jestestwo ożyło nagle pożądaniem i niecierpliwością.

Niebywale delikatnie Dan ujął jej podbródek i odwrócił jej twarz do siebie. Jak zahipnotyzowana patrzyła na jego zbliżającą się twarz, aż wreszcie nie mogła nawet mgliście dostrzec jego rysów, i na koniec ich usta się zetknęły. Przebiegł ją dreszcz, jakby ta pieszczota

wyzwolila całe tkwiące w niej napięcie, i po króciutkim wahaniu całowała go już tak szaleńczo, że niemal zupełnie się zatraciła. Boże, jak ona go chciała! Ale ta myśl

OKO ZA OKO

450

przywróciła ją do świadomości, przekręcając gdzieś w głębi jakiś przełącznik i budząc dziewczynę.

- Na miłość boską! - Odepchnęła go i zaśmiała się drżąc.

- Co się stało? - Miał chrapliwy głos.

- Kawał chłopca z ciebie, co? Dwie kobiety w jeden wieczór... - Nie bardzo wiedziała, dlaczego wyrwały się jej te słowa, ale natychmiast pojęła, że zdradziła się ze swą zazdrością. Ku jej zdziwieniu jednak Dan próbował z powrotem przyciągnąć ją do siebie.

- O czym ty mówisz? Wyślizgnęła mu się.

- O twojej przyjaciółce - tej, która tu była, kiedy przyjechałam. Co ona by powiedziała, gdyby wiedziała, że ty...

Opuścił ręce, a jego oczy trochę pociemniały.

- To nie była moja przyjaciółka. To siostra mojej żony. Juliet zdrętwiała.

- Twojej żony?! Nie wiedziałam, że masz żonę. Dan ciężko przełknął i odwrócił się od niej.

- Bo nie mam. Ona nie żyje. Fran wpada do mnie czasami, po prostu zagląda... - Nie dopowiedział jej, że wizyty Fran są dla niego bolesne. Tak bardzo przypominała Mariannę, starszą, bardziej wyrafinowaną Mariannę, że każde z nią spotkanie rozdzierało mu serce.

- Nie żyje?! O, Boże! Nie miałam pojęcia... - sapnęła Juliet. Strasznie go żałowała, ale jeszcze bardziej była zażenowana swą gafą. Jednak żadne wyrzuty sumienia nie były w stanie stłumić tego poczucia ulgi. Jezu! Przez jeden straszny moment była już pewna, że on jest żonaty!

Dan nalał sobie kolejnego drinka i przełknął go jednym haustem.

- Eeee... To znaczy... Czy... - bąkała Juliet, niepewna, czy powinna podtrzymywać ten temat.

- To był wypadek motocyklowy - odparł Dan, nie odwracając się. - Trzy lata temu, w Wigilię, wjechał na nas pijany kierowca. Leżała w śpiączce prawie miesiąc, nim umarła. Siedziałem tam z nią i patrzyłem na nią - wyglądała, jakby spała. Jakby za chwilę

Janet Tanner

miała się obudzić. Ale się nie obudziła. Umarła. A ja prowadziłem ten cholerny, pieprzony motor i żyję. - Odstawił szklankę z przesadną delikatnością, zwinął dłonie w pięści i oparł je na blacie stołu. Juliet skreśliło wnętrze.

- Och, tak mi przykro! Ale nie możesz się o to obwiniać! Na pewno nie było w tym twojej winy...

- Instynktownie podeszła do niego i otoczyła go ramionami. Lecz tym razem nie zareagował.

Stał pochylony, jakby zapomniał o jej obecności. Nagle Juliet znowu poczuła się idiotycznie niezręcznie. - Dan... Pójdę już... - Odwróciła się.

- Nie idź - szepnął tak cicho, że nie była pewna, czy dobrze słyszała.

Zawahała się.

- Muszę. Będą się zastanawiać, gdzie jestem. Wyprostował się, jakby usiłował zrzucić z barków ten nastrój

przygnębienia.

- Tak, pewnie tak będzie. - Miał teraz niemal normalny głos, prawie rzeczowy. I tylko leciutka, ledwie wyczuwalna nutka niepewności zdradzała emocje, które nim targaly jeszcze przed chwilą. - Przepraszam.

- Daj spokój. Nie masz za co przeproszać. To ja powinnam cię przeprosić, że ci przypomniałam.

- Nie przypomniałaś. Nigdy, cholera, nie zapomina. Ale może powinienem spróbować. Może już czas skończyć z oglądaniem się za siebie. Tyle, że to niełatwe.

- Z pewnością nie, Dan. Muszę iść.

- Okay. - Patrzył na nią spod tak mocno ściągniętych brwi, że tworzyły niemal daszek nad oczami. - Juliet, chcę się jeszcze z tobą zobaczyć.

Znów coś jej zaczęło narastać w gardle.

- Myślałam, że już to wyjaśniłam: nie jestem w stanie ciągnąć tych poszukiwań - odrzekła, z rozmysłem udając, że go nie rozumiała, bo nie wiedziała, jak sobie poradzić z tym nagłym przyływem splątanych emocji. - Gdybyś zdołał udowodnić, że
OKO ZA OKO

327

odpowiedzialność ponosi ktoś z zewnątrz, byłabym w siódmym niebie. Ale ja już nie będę się bawić w detektywa, skoro oznacza to nadużywanie gościnności mojej rodziny.

- Wiem. I nie mówię o tym. Zapomnij o swojej babce i o tym całym smrodzie. Ja chcę się spotkać z tobą, a nie z interesami.

Znów ucisk w gardle i znów doznanie na granicy paniki. Dziewczyna nie spodziewała się tak silnych emocji, szczególnie z jego strony. Wydawał się tak chłodny, niemal zimny, tak opanowany. Odnalezienie pod tą maską takiej siły uczuć było szokujące. Nie wiedziała, czy sobie z tym poradzi. Poza tym...

A Sean? Kochany Sean, czekający na nią w Australii, ufający jej, oczekujący zaręczyn zaraz po jej powrocie. Jak mogła tak łatwo o nim zapomnieć? Jeden pocałunek i gotowa była zapomnieć o latach uczucia? Pewnie to właśnie ludzie mają na myśli, gdy mówią o wakacyjnym romansie.

- Przykro mi - powiedziała. - Ale naprawdę uważam, że powinniśmy z tym skończyć. Nie wiem, czy o tym wspomniałam, ale w Australii czeka na mnie narzeczony. Pewnie już o tym mówiłam, lecz nie wydało się to istotne.

Jego oczy się zwęziły. Znów wszystkie emocje skryły się w głębi.

- A, rozumiem. No cóż, w takim razie chyba już nie ma nic więcej do powiedzenia.

- Raczej nie. - Lecz znów zachciało się jej płakać, i gdy wreszcie znalazła się w zaciszu swego samochodu, łzy w ciszy zalały jej policzki.

Och, Sean! Dlaczego ty nie wywołujesz we mnie czegoś takiego? Co ze mną jest? Ale nie będę ci niewierna, nie martw się! Nie zrobiłabym ci tego. Nie potrafiłabym... chociaż bardzo bym chciała...

Po wyjściu Juliet Dan nalał sobie jeszcze jedną whisky. Wiedział, że pije za dużo, ale co tam! Potrzebował dziś alkoholu.

Co za dzień, pomyślał ponuro. Najpierw Fran ze swą obowiązkową wizytą, a potem Juliet z dwiema bombami - koniec

Janet Tanner

śledztwa w sprawie śmierci Louisa i „nie, dziękuję, nie chcę cię więcej widzieć”. Cholera wie, co gorsze. Nie, nieprawda. Zawsze będą nowe zadania, nowe materiały. Coś się na pewno trafi. Tyle że Juliet była pierwszą dziewczyną od śmierci Marianne, która go zdołała pobudzić. Dan myślał już, że wraz z Marianne stracił zdolność do przeżywania uczuć. Lecz tego wieczoru, po raz pierwszy od trzech lat, pragnął kobiety - i to nie tylko fizycznie. O, tak, były to bardzo mieszane uczucia. Tak, czuł się winny, jakby oszukiwał Marianne. Ale mimo to nadal pragnął Juliet i przez moment miał wrażenie, że ona jego także. Widać jego osąd musiał być zupełnie nietrafny. Miała w Australii narzeczonego, niech go szlag, więc pewnie na tym koniec.

Dopił ostatnie krople whisky i rzucił szklanką o ścianę. Miał przeczucie, że to będzie długa noc.

Co za cholerne życie! - rzuciła wściekle Viv. - Co za cholerne, popieprzone życie!

Od wyjścia Juliet minęła godzina, i Viv zdążyła już przejść wszystkie stadia nastrojów, jakie nieuniknienie następowały po sobie, gdy wypła za dużo. Minęła potrzeba szokowania otoczenia, poczucie niezwykłości i euforia. Teraz już tylko bełkotliwie głądziła - i nie miała najmniejszej ochoty spać.

Paul natomiast marzył o łóżku i z ogromną niechęcią myślał o kolejnym, typowym dla Viv monologu.

- Och, chyba nie powinniśmy narzekać - mruknął uspokajająco, lecz Viv nie dała się zbić z tropu.

- Naprawdę tak uważasz?

- Oczywiście. Owszem, dwadzieścia lat temu trochę się gmatwało, ale wszystko się wyprostowało, gdy Louis zginął. Teraz mamy wszystko, o czym moglibyśmy zamarzyć.

- Czyżby?

- Tak, Viv. Mamy piękny dom, tyle pieniędzy, żeby prowadzić życie, do jakiego zawsze byłaś przyzwyczajona, a ja mam bardzo wysoką pozycję w firmie. Czego jeszcze można chcieć?

OKO ZA OKO

329

Viv milczała. Chciała krzyknąć: „Rodziny! Chcę rodziny!” Nie potrafiła jednak zmusić się do powiedzenia tego. Zwykle była wygadana, wręcz gadatliwa, ale to dotyczyło innych tematów. To jedno zawsze tłamsiła w sobie, tę straszną pustkę, która czasami zmieniała się w ostry, niemal nieznośny ból.

Kiedyś, dawno temu, gdy zorientowali się, że nie będą mieli dzieci, dzielili smutek i wyrzuty. Przy każdej kłótni obciążali się winą, używając jej jak broni, choć nigdy nie zdobyli się na ostateczne zbadanie, które z nich ponosi rzeczywistą za ten stan rzeczy odpowiedzialność. Czy Paul był bezpłodny, czy to Viv w jakiś sposób okaleczono w trakcie tej dawnej aborcji? Oboje unikali prawdy na swój temat i oboje niemal zawsze udawali obojętność. Viv nigdy nie dowiedziała się, jak bardzo upokorzony poczuł się Paul na wieść o tym, że była w ciąży z jego bratem. A Paul z kolei nigdy nie zdawał sobie sprawy z napadów niewyobrażalnej rozpacz, które zmieniały Viv w szlochający strzęp człowieka z żalości po utraconym dziecku. Teraz już nie przytrafiały się tak często, wiek je złagodził, ale przeszłość dziwnie się przybliżyła w ciągu ostatnich dni. I to zarówno ta zamierzchła, gdy oboje byli młodzi, jak i ta niezbyt odległa, kiedy Viv obserwowała dorastanie swego siostrzeńca, Louisa, i myślała, że gdyby jej wystarczyło odwagi, ona też - jak Sophia

- miałyby syna lub córkę w tym wieku. Jakże ją wtedy dręczyła gorycz! Zawiść wobec Sophii i nienawiść do Louisa narastały do niemal maniakałnych rozmiarów.

Gdy był dzieckiem, patrzyła na jego urodę i w ciszy płakała za swoim dzieckiem, któremu nie dała życia. Kiedy wyrósł na budzącego powszechną niechęć młodego mężczyznę, poczucie niesprawiedliwości przyprawiało ją o wściekłość na cały świat. Louis był szwabskim bękartem,

nic więc dziwnego, że był taką świnią. Jej dziecko byłoby małym Nickiem. W snach jej dziecko wyglądało jak Nicky, póki wojna nie odarła go z męskości - młody, silny, zdolny zmienić ją w drżącą esencję pożądania. Nikt inny nie zdołał tego zrobić. I już nikt nie zdoła. A jednak w wyniku jakiejś monstrualnej pomyłki losu Louis żył, a jej

Janet Tanner

dziecko, dziecko Nicka, nie. Za każdym razem, gdy ta myśl wracała do niej, Viv szalała z wściekłości. W czasach, gdy Louis tak bezwzględnie usiłował zniszczyć ich życie, opanowała ją obsesyjna do niego nienawiść.

Nawet teraz, po dwudziestu latach, wciąż jeszcze drzemały w niej pozostałości tamtej chorobliwej nienawiści, zmieniające w poczucie triumfu każdą myśl o tym, że Louis jednak też już nie żyje.

Bardzo niewielu ludzi zdawało sobie sprawę z głębi uczuć, do jakich była zdolna Viv. Miała zbyt ekstrawertyczną naturę. Tylko Paul potrafił czasem do końca zrozumieć jej emocje, ale podobnie jak jego ojciec, wołał tego nie zauważać.

Nie potrafił jednak zignorować jednego. Im starsza stawała się Viv, tym częściej powracała do tematu Nicka. Dla Paula było to niewyobrażalnie bolesne, jednak nic nie mógł na to poradzić. Kiedy Viv miała ochotę mówić o Nicku, nic jej nie mogło powstrzymać. A właśnie o nim chciała teraz mówić.

- Może dla nas los nie był zły - zaskrzeczała, skubiąc usta szkarłatnymi paznokciami. - A dla Nicka? Życie nie potraktowało go zbyt sprawiedliwie, prawda? Najpierw to straszliwe kalectwo, potem śmierć przed dwudziestym piątym rokiem życia. Chryste, Paul! Co on takiego zrobił, żeby na to zasłużyć?

Paul wstał. Miał już naprawdę dosyć.

- Choć, Viv. Czas spać. - Wyjął jej z dłoni szklanę i pomógł stanąć na nogach. Była tak zatopiona w rozpacz, że nie protestowała. Na schodach zatoczyła się ciężko i musiał ją podtrzymywać. Powtarzał w myślach, że przynajmniej mimo wszystko są wciąż razem. Po tylu latach, razem.

- Dasz radę sama się rozebrać? - spytał. Skinęła głową. - Zaraz wrócę. Pójdę zgasić światło na dole.

Gdy wrócił, Viv stała na środku pokoju. Rozpięła sukienkę, puściła ją na podłogę i wyszła z niej. W jedwabnej bieliźnie wyglądała dziwnie bezbronne.

- Zabiłam go - powiedziała.

- Kogo, Viv?

OKO ZA OKO

459

- Nicka, oczywiście. - Zaśmiała się krótko. - A ty myślałeś, że kogo?

- No już, Viv, do łóżka.

- Och, Paul, dlaczego to wszystko jest takie popieprzone?

- Wcale nie jest, Viv. To wszystko już za nami. Spij już.

- Nie mogę. Oni tu są. Wszyscy...

- Śpij, mówię. Nie mam ochoty na rozgrzebywanie przeszłości. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Idąc do swego pokoju,

w myślach przyznał jednak rację Viv. Nawet jeśli się bardzo chce, niełatwo zostawić przeszłość za sobą. Są rzeczy, których nie można zapomnieć.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Jersey i Surrey, Anglia, 1943-1945

Mimo przytłaczającego wstydu i wyrzutów sumienia w związku z tym, co zaszło między nim a Viv, Paul nie mógł się doczekać spotkania z Nickiem. Kiedy tylko dotarł do Anglii łodzią ojca, natychmiast podjął próby odszukania brata. Wiedział tylko, że Nicky został ranny we Francji, zabrany do szpitala w Waymouth, a potem gdzieś dalej. Poza zupełnie wczesną korespondencją nie miał nigdy żadnych innych wieści. Okupacja odcięła Jersey od świata, więc Paul nie miał pojęcia, gdzie Nick może teraz być ani od czego zacząć poszukiwania. Istniała oczywiście możliwość, że wyzdrowiał całkowicie i powrócił do swojej jednostki. W takim wypadku mógłby być gdziekolwiek na świecie - albo tu, w Anglii.

Paul zaczął szukać. I choć władze dużo bardziej interesowały się prowadzeniem wojny, niż odpowiadaniem na jego pytania, w końcu dowiedział się, że Nicky jest pod opieką rehabilitantów w ośrodku leczniczym, położonym w głębi hrabstwa Surrey. Paul zaczął się martwić. Od Dunkierki minęły już trzy lata. Co więc Nick robił w ośrodku rehabilitacyjnym po tak długim czasie?

Nie napisał do brata ani do niego nie zadzwonił. W żaden sposób nie powiadomił Nicka o swym przyjeździe. Z chłopięcym entuzjazmem postanowił zrobić mu niespodziankę - w końcu Nicky musi wiedzieć, że Wyspy Normandzkie są pod okupacją i nie domyśla się na pewno, że jego brat zdołał uciec.

OKO ZA OKO

333

- Będę na miejscu w piątek po południu - powiedział przelożonej pielęgniarek przez telefon. - Ale proszę nie mówić Nickowi o moim przyjeździe. Możliwe, że nie dam rady dotrzeć, a nie chcę go rozczarować.

- Pan oczywiście zna sytuację? - powiedziała przełożona. Powaga w jej głosie powinna była ostrzec Paula, ale był zbyt podniecony perspektywą ponownego spotkania z bratem, by zwracać na cokolwiek uwagę.

- Wiem wszystko, co trzeba - adres znam.

- Dobrze. Po przyjeździe proszę się zgłosić do recepcji. Paul przyjechał na miejsce wczesnym popołudniem. Ośrodek zajmował olbrzymi budynek, który w czasach pokoju mógłby być statecznym domem bogatego ziemianina - wielkie połaci terenu, niezwykle starannie utrzymane trawniki, ogród różany i piękne, szerokie schody z rzeźbionymi lwami, leżącymi po obu stronach gigantycznych drzwi. Paul tak się śpieszył, że wbiegając na schody po dwa stopnie nie zauważył rampy podjazdowej po jednej stronie schodów. Wszedł do przestronnego hallu. Podeszła do niego młoda, ładna pielęgniarka.

- Czy można panu pomóc?

- Jestem Paul Carteret. Przyjechałem odwiedzić brata, Nicholasa.

- A, Nicky'ego! Ucieszy się! Myślałam, że jego cała rodzina jest na Jersey i nie można się z nią skontaktować.

- No, ja już nie jestem na Jersey - powiedział radośnie Paul. Pielęgniarka wprowadziła go do dużego pomieszczenia, w którym było kilkanaście bardzo wygodnych foteli, wielki stół i radio. W otwartym kominku buzował ogień, a na stole leżała nieukończona, bardzo skomplikowana układanka. W tym salonie było już trzech mężczyzn. Paul pogadał trochę z dwoma z nich, grającymi w garibaldikę. Do trzeciego się nie odzywał, bo nie miał pojęcia, co właściwie powiedzieć. Trzeci mężczyzna miał całkowicie zabandażowaną twarz. W końcu więc Paul wziął do ręki jakieś czasopismo i zaczął je przeglądać. Usłyszawszy szcęk otwieranych drzwi, zerknął znad artykułu. Nicky? Nie, to

Janet Tanner

pielęgniarka wprowadzała tyłem wózek inwalidzki. Powrócił więc wzrokiem do czasopisma, ale coś mu kazało znów zerknąć. Człowiek na wózku... to był Nicky!

Przez chwilę gapił się bez ruchu na brata, zaszokowany i odrętwiały. Nick w się ogóle nie zmienił, tyle że był trochę starszy. Ale co, do jasnej cholery, robił na wózku?!

- Paul! To naprawdę ty? Co ty tu robisz, do diabła?! - zawołał Nicky przepelnionym radością głosem i dopiero wtedy Paul podbiegł do niego. Opadł na kolana obok fotela na kółkach.

- Dlaczego tym jeździsz? - spytał, gdy już się wyściskali. - Złamałeś nogę, czy co?

Nicky prychnął.

- Coś w tym stylu. Opowiadaj o sobie. Jak się tu dostałeś? Myślałem, że Jersey...

- Tak, ale uciekłem na ojcowskiej łodzi.

- Tata też przyplął?

- Nie. - Paul przetarł dłonią twarz. Nie chciał, by ktokolwiek widział, że płacze. - Coś ty sobie zrobił w nogi, Nicky? Wyzdrowiejesz, prawda? To nic poważnego?

I wtedy Nick mu opowiedział. Już po pierwszych kilku zdaniach Paul słyszał tylko dudnienie w uszach. Nogi Nicka nie stanowiły tylko przejściowego problemu. W rezultacie odniesionych na plaży ran był sparaliżowany od pasa w dół. I nie było żadnej nadziei na wyzdrowienie.

Wieczorem po tym spotkaniu Paul zdał sobie sprawę, że niewiele pamięta ze swej wizyty u brata. Od momentu, gdy zobaczył Nicka na wózku inwalidzkim, a potem dowiedział się, że brat już nigdy nie będzie mógł chodzić, jego mózg przestał normalnie funkcjonować. Odzyskał zdolność myślenia dopiero po powrocie do gospody, w której wynajął pokój ze śniadaniem, ale i tak to wszystko nie mieściło mu się w głowie. Jego brat, jego bohater, z którym przeżył tyle przygód - zupełnym inwalidą! To nie może być prawda!

OKO ZA OKO

W czasie kolejnej wizyty zaczął dręczyć Nicka o odrobinę nadziei.

- Ale w końcu i tak wyzdrowiejesz, prawda?

- Nie sądzę, Paul.

- Jasne, że wyzdrowiejesz! Nie bądź defetystą! Jak się chce, można wszystko!

- Nie w tym wypadku.

- Dlaczego? Bo tak mówią lekarze? Nie zwracaj na nich uwagi! Wyzdrowiejesz! Wiem to!

- Paul, posłuchaj. Mój rdzeń kręgowy został zniszczony. Po prostu nie ma połączenia pomiędzy moim mózgiem a nogami. To jak z przeciętą linią telefoniczną - tyle, że tego się nie da naprawić.

Wtedy Paul się rozzłościł. Rozzłościł się tak bardzo, że nie potrafił się nawet zmusić do pozostawania w tym samym pomieszczeniu z Nickiem ani chwili dłużej. Wypadł z budynku i biegł, chcąc jak najbardziej oddalić się od ośrodka rehabilitacyjnego, tego przepelnionego chorobą miejsca, którego nawet dezynfekcja nie była w stanie oczyścić, tej aury ludzkiej nędzy, potęgowanej ciągłym widokiem foteli na kółkach, ran i blizn. Wściekał się na niesprawiedliwość tego wszystkiego, na cały świat chorób, okaleczonych ciał i nierozwiązywalnych ludzkich problemów. A przede wszystkim do furii doprowadzała go własna bezradność.

Minęły trzy dni, zanim znów zdołał się zmusić do pójścia tam, ale i tak szedł pełen lęku. Jednak z zaskoczeniem stwierdził, że nie było to już tak trudne, skoro w ogóle zdołał się przełamać.

Nicky już dawno do pewnego stopnia pogodził się ze swym kalectwem - teraz Paul musiał przystosować się do sytuacji.

Zaczął zabierać Nicka na spacer, ale nie popychał jego fotela po gładkich, pięknie utrzymanych alejkach, otoczonych wspaniałymi roślinami. Wyszukiwał niewidoczne z okien ośrodka, łagodne i krótkie wzniesienia, z których można było spychać wózek tak, aby choć przez chwilę jechał nie kontrolowany. Nicky twierdził, że już mu się chce rzygać od jeżdżenia po płaskim, a gdy jego fotel nabierał szybkości, podskakując na nierównościach, wrzesz-

Janet Tanner

czął z radości jak dziecko - mimo że kilka razy wypadł z wózka, kiedy koło trafiło w jakiś dołek lub na wystający z ziemi korzeń drzewa. Ale wówczas Paul po prostu sadzał go z powrotem na fotelu i szukali następnego stoku.

Czasami jednak tylko siedzieli w pokoju Nicky'ego i rozmawiali, a wtedy Paul napotykał niekiedy na pewne trudności.

Opowiedział Nickowi o Charlesie i Loli, bo uważał, że bratu należy się prawda na ten temat. Podobnie jak Paul, Nick zareagował na tę wieść bezsilnym gniewem i zaczął robić bratu wyrzuty.

- Nie mogłeś ich powstrzymać? - spytał wściekle.

- Nie rozumiesz. Niemcy mają całkowitą kontrolę nad wyspą. Nie można z nimi dyskutować.

- Nie o tym mówię. Nie mogłeś powstrzymać mamy i taty przed zrobieniem czegoś tak niebezpiecznego?

Paul poczuł, że rumieni mu się kark. Oczywiście nie miał zamiaru powiedzieć bratu, że akurat tę noc spędził z Viv. To już by oznaczało nadmiar szczerości, a poza tym nadal na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze.

Jednakże zupełnie pominięcie tematu Vivienne było niemożliwe. Kiedy Nicky zapytał o swą dziewczynę, co było przecież nieuniknione, Paul odpowiedział zgodnie z prawdą, że chyba nieźle daje sobie radę, tyle że musiała wraz z matką wynieść się z rezydencji do domku w ogrodzie. Nie powiedział, że tam był, nie pisnął również słowa na temat aborcji. Zastanawiał się, czy Nicky podejrzewał, że Viv była w ciąży. Ale Nick nawet nie próbował poruszać tego tematu. Paul nie musiał więc udawać, że nic nie wie, lecz doszedł do wniosku, że to sprawa między bratem a jego dziewczyną i że nie da się w to wciągnąć.

Zastanawiali się wspólnie, co Paul powinien teraz robić. Co prawda władze jeszcze nie wezwały go na żadne przeszkolenie, ale wiadomo było, iż to tylko kwestia czasu. Paul nie pałał sympatią ani do armii lądowej, ani do marynarki - choć jako syn marynarza był przyzwyczajony do morza i jednostek pływających.

OKO ZA OKO

465

Pociągało go natomiast latanie. Przedyskutowawszy to z bratem postanowił wziąć byka za rogi i zgłosił się do punktu rekrutacyjnego RAF-u. Tam niemal natychmiast okazało się, że jego wykształcenie i sprawność fizyczna aż nadto spełniają wymogi Sił Powietrznych. Przyjęto go na szkolenie.

Z jednej strony przykro mu było, iż musi znów rozstawać się z bratem, a z drugiej z ulgą myślał, że wreszcie nie będzie już musiał pilnować języka, pchając fotel i unikając rozmów o Vivienne i przyszłości.

Ukończywszy ze świetnymi wynikami szkolenie dla pilotów, dostał przeniesienie do eskadry lotnictwa myśliwskiego, stacjonującej na południowym wschodzie. W ten sposób mógł dość często odwiedzać brata. Do końca wojny przetrwał niemal bez większych przeżyć, choć kilkakrotnie otarł się o śmierć i nawet dorobił się przydomku „Szczęściarz”. Dwa razy dociągnął ciężko uszkodzoną maszynę do bazy, a raz musiał się katapultować, odprowadzając wzrokiem spadający jak kamień samolot, otoczony kłębam i dymu. Jemu samemu jednak nigdy nic się nie stało; nawet mundur miał zawsze w idealnym stanie.

W trakcie służby spotkał wiele dziewcząt, zarówno w mundurach, jak i bez, a większość z nich była aż zbyt chętna do nawiązania bliższej znajomości z wysokim, przystojnym młodym mężczyzną w jasnoniebieskim mundurze. Lecz mimo że z kilkoma z nich regularnie umawiał się na randki, żadna w jego oczach nie dorównywała Viv. Prawda, ich wspólna noc nie była jakimś wyjątkowym sukcesem, a sama Viv miała za bardzo niewyparzony język, co z rozsądnego

punktu widzenia nie mogło stanowić dobrego połączenia. Jednak rozsądek nie miał tu nic do powiedzenia - Paul nadal uważał, że była najseksowniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkał.

W końcu zdołał wyrzucić Viv z pamięci, koncentrując się na lataniu i przeżyciu tej wojny oraz korzystaniu z radości życia przy każdej sposobności. I gdy wojna się skończyła, a Jersey oswobodzono, to Nick jako pierwszy powrócił do domu, bo nie potrafił już dłużej wytrzymać poza wyspą.

Janet Tanner

Na początku, pierwszy raz usłyszawszy, iż do końca życia będzie się poruszał tylko na wózku inwalidzkim, Nicky postanowił już nigdy nie spotkać się z Viv. Uznał, że nieuczciwe jest zmuszanie kogokolwiek do zajmowania się kaleką, ale to nie był najważniejszy powód. Przede wszystkim była to kwestia dumy. Miał bezsensowne poczucie wstydu, że nogi nie chcą go już słuchać, lecz jeszcze gorsza była świadomość, iż już nigdy nie będzie dla niej tym kochankiem, jakiego zapamiętała. A to już była myśl nie do zniesienia.

Pod wpływem straszliwej depresji, która w pierwszych tygodniach nie opuszczała go ani na chwilę, postanowił, że najlepiej będzie zupełnie zerwać z Viv. Nie napisał więc do niej ani razu, choćby nawet po to, żeby ją poinformować, że żyje i jest bezpieczny. A kiedy zaczął się łamać w swym postanowieniu, było już za późno - Jersey była już pod okupacją i korespondencja przestała być możliwa.

Z upływem czasu Nicky zaczął się przyzwyczajać do swej nowej sytuacji. Depresja nie nawiedzała go już tak często, a w końcu Nicky zaczął nawet snuć jakieś plany na przyszłość po wojnie. Jednakże nie brał w nich pod uwagę małżeństwa z Viv.

- A kto by chciał wybrakowany towar? - powiedział kiedyś terapeutce, która miała go przygotować do powrotu do normalnego życia, i nie dał sobie wytłumaczyć, że opowiada bzdury. Może i rzeczywiście były na świecie jakieś kobiety, którym nadal mógłby się podobać, ale on sam nie miał najmniejszego zamiaru którejkolwiek pokazywać tej smętnej parodii, jaka została z jego niegdyś wspaniałego ciała.

Niemniej kiedy na scenie pojawił się Paul, Nicky zaczął sobie uświadamiać jakąś zmianę w swym stosunku do życia. Mimo że jego kalectwo w obecności tryskającego zdrowiem Paula stało się szczególnie wyraźne, tak dobrze się czuł w obecności brata, iż dawne życie wróciło, realne i bliskie. I nagle zaczął okropnie tęsknić za Vivienne.

Kiedy zakończyła się wojna i mógł już wrócić na Jersey, zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie wytrzymać z dala od domu ani chwili dłużej. Ale chciał uniknąć zaskakiwania Viv, mając

OKO ZA OKO

339

w pamięci szok brata, a poza wszystkim przecież bez cudzej pomocy był zupełnie bezradny. Gdy tylko wznowiono połączenie telefoniczne, Nick zadzwonił dwukrotnie na wyspę. Najpierw poprosił o rozmowę z La Maison Blanche, ale bez rezultatu. Wiedział, że rodzinę wysiedlono z tego domu, więc albo jeszcze nie zdążyli wrócić, albo dom nie nadawał się do zamieszkania.

Drugi telefon był do Viv. Sama podniosła słuchawkę, co poznał natychmiast, usłyszawszy jej nieco zgryźliwy ton, tak bardzo mu bliski, jakby ostatni raz słyszał go poprzedniego dnia, a nie pięć lat temu.

- Viv? - powiedział.

A ona od razu go poznała.

- Nicky?! Nickyyy! To ty!

- Tak.

- Och, Nicky! - Wiedział, że dziewczyna płacze, słyszał łzy w jej głosie, a i jego oczy zwilgotniały.

- Nicky, gdzie jesteś?

- W Anglii - odparł. - Ale wracam do domu.

- Kiedy?

- Najszybciej, jak tylko zdołam.

- Och, nie mogę się doczekać! Tyle czasu! Już myślałam...

- Viv! - przerwał jej. - Muszę ci coś powiedzieć. I zrozumieć cię, jeśli już nie będziesz chciała mnie widzieć. Poruszam się na wózku inwalidzkim.

W słuchawce zapadła wstrząsająca cisza.

- Na wózku inwalidzkim?

- **Tak. Jeśli więc nie chcesz... Nie pozwoliła mu dokończyć.**
 - **Nie wyglupiaj się! To nie ma znaczenia! Nicky, to nieważne, byłeś wrócił! Nieważne!**
- Ale oczywiście to miało znaczenie. Może nie od razu, z początku zbyt się sobą cieszyli, aby mieć czas na jakieś wątpliwości. W tych pierwszych tygodniach Viv zachowywała**

Janet Tanner

się jak dziecko z nową zabawką. Wymogła nawet na nim, żeby się wprowadził do niej i jej matki, bo przecież Sophia i tak miała pełne ręce roboty, opiekując się mężem, siostrą i niemowlęciem. Viv była na każde skinienie Nicka, tyle mieli do omówienia, tyle do nadrobienia, tyle pieszczot i pocałunków stracili przez te lata. Znaleźli nawet sposoby na uprawianie miłości - częściowo na podstawie wskazówek terapeutki (Viv drażniła Nicky'ego, powtarzając: „To musiała być naprawdę niezła babka, co?”), a częściowo kierując się instynktem i wyobraźnią. ,
Dopiero gdy obecność Nicka przestała już być takim novum, Viv zdała sobie sprawę, że to wszystko nie jest takie samo. Z początku nie chciała się do tego przyznać nawet sobie samej. Miała przecież z powrotem swojego Nicka i - jak to powiedziała wtedy przez telefon - reszta była nieważna. Ale kłopot polegał na tym, że to nie był już ten sam Nicky. Wyglądał tak samo - no, prawie, bo miał nieco szczuplejszą twarz, a jego nogi były tak straszliwie wychudzone, że Viv nie potrafiła przestać myśleć

o tych muskularnych, opalonych kończynach, które stanowiły niegdyś tak istotny przyczynek do jego atrakcyjności. Był bardzo miły. Był bohaterem - Boże, jak bardzo podziwiała jego odwagę! Zdołał nawet przywołać z powrotem jakąś część swego dawnego poczucia humoru. Ale nie był już tym zwalającym z nóg, nieprzytomnie przystojnym, młodym, silnym, niezwyciężonym chłopakiem. Teraz ludzie się nad nim litowali. I choć podziwiali go ogromnie, teraz ten podziw dotyczył czegoś zupełnie innego niż kiedyś.

Oficjalnie nadal pełna szczęścia i radości, że ma z powrotem w domu swego Nicka, Viv w skrytości ducha miała coraz większe wątpliwości.

Sophia natomiast była bardzo szczęśliwa. Zupełnie jakby narodziny małego Louisa oznaczały koniec jednego rozdziału

1 początek zupełnie nowego.

Bywały chwile, kiedy myślała o Dieterze - głupotą byłoby

OKO ZA OKO

341

zaprzeczanie - lecz teraz był on dla niej jakimś nierealnym snem, dległym i obcym, jakby przyśnił się komu innemu. Rzeczywistością był teraz Bernard, lecz nie ten dawny kumpel Bernard, którego tak źle potraktowała, tylko mężczyzna, który zupełnie się zmienił, dojrzał, i był teraz panem swego domu. Sophia darzyła go ogromnym szacunkiem i nieco się go lękała, choć nie dawała tego po sobie poznać. Kiedyś doszła do wniosku, że ta niewielka niepewność, jaką w jego obecności odczuwa, czyniła go w jej oczach zdecydowanie bardziej atrakcyjnym, niż jego niegdysiejsza troskliwość i nadskakiwanie.

Nie oznaczało to bynajmniej, że nie był teraz troskliwy. Wręcz przeciwnie, był uprzejmym, kochającym i wielkodusznym mężem. Ale na zawsze pozostała już w nim ta dziwna twardość, przez którą Sophia nie miała wątpliwości, iż jeśli go oszuka czy zawiedzie, nie będzie miała drugiej szansy.

Kiedy Niemcy opuścili La Maison Blanche, Bernard i Sophia pojechali ocenić straty. Ku ogromnej uldze stwierdzili, że nie są one nawet w części tak wielkie, jakby się można było spodziewać. W innych domach - jak na przykład Pomme d'Or - okupanci pozostawili po sobie ruinę, lecz na szczęście nie dotyczyło to La Maison Blanche. W głównym budynku, gdzie mieszkali żołnierze, trzeba było wykonać niewielki remont - niektóre meble i części wyposażenia uległy częściowemu zniszczeniu. Natomiast pawilon, który zajmowali oficerowie, był właściwie nietknięty. Nawet ukochany fortepian Sophii nie nosił śladów zużycia. Sophia zagrała na nim kilka akordów, wsłuchując się krytycznie w brzmienie i odczuwając dawną radość, jaką zawsze dawało jej granie. Opanowały ją smutne myśli. Ileż to czasu upłynęło od tamtych dni, kiedy planowała studia w szkole muzycznej i karierę pianistyczną! Teraz oczywiście nie wchodziło to już w rachubę - miała za dużo obowiązków, ambicje te musiały więc pozostać już tylko

marzeniami. Ale będzie przynajmniej znów mogła grać dla przyjemności, kiedy tylko przeniosą się z powrotem do La Maison Blanche.

- Musimy jak najszybciej zrobić remont - powiedziała po

Janet Tanner

powrocie z obchodu domu. - Chyba powinniśmy zacząć od pokoju mamy. Chcę, żeby wszystko było gotowe na powrót mamy i taty. Mogą wrócić do domu lada dzień. Jak myślisz, jaki kolor będzie jej odpowiadał? Różowy? To ciepły kolor. A może żółty? Jak słońce?

Bernard milczał przez chwilę. Uważał, że Sophia jest zbyt wielką optymistką, ale widząc jej rozpromienioną twarz nie śmiał odzierać jej z nadziei.

- Jestem pewny - powiedział wreszcie - że będą tak szczęśliwi z powrotu do domu, że nie będą zwracać uwagi na kolor ścian.

Jednak tygodnie mijały bez żadnych wieści, i w końcu nawet Sophia z wielkim trudem zachowywała resztki optymizmu. Z początku była zbyt zajęta przygotowaniem do powtórnej przeprowadzki do La Maison Blanche, żeby się jeszcze czymkolwiek martwić. Ale potem otwarły się bramy obozów koncentracyjnych i pojawiły się straszliwe, porażające opowieści o sposobach traktowania więźniów. Sophia zaczęła się bać. Lęk był okropny, wszechogarniający. Codziennie od nowa próbowała się czegoś dowiedzieć na temat Charlesa i Loli, ale każda taka próba kończyła się fiaskiem.

Długo tłamsiła w sobie owe lęki, w jakiś przesądny, idiotyczny sposób przekonana, że jeśli zacznie o nich mówić, to staną się bardziej realne. A Bernard, choć coraz bardziej upewniał się w swoich własnych obawach, nie ważył się nigdy nawet wspomnieć żonie, że jej rodzice pewnie już nie żyją. Wiedział, że bardzo źle by to przyjęła. Włożyła tyle wysiłku w przygotowania na ich powrót, że zaczął się poważnie martwić, czy zdoła jej pomóc, kiedy nadejdzie ostateczna, najgorsza wieść.

Pewnego wieczoru Sophia wyszła do ogrodu z Louisem, żeby go nakarmić. Mimo że już było późno, powietrze wciąż pachniało latem, a Bernard świetnie widział żonę przez okno sypialni -

siedziała na drewnianej ławeczce plecami do domu, skryta przed ciekawskimi spojrzeniami.

Poczuł gwałtowną potrzebę

OKO ZA OKO

343

ochronienia jej, lecz powstrzymał się i nie zszedł. Wiedział, że lubiła te samotne chwile z Louisem.

Kiedy jednak zapadła ciemność, a Sophia nadal nie wróciła, Bernard zaczął się niepokoić, co ją zatrzymało. Louis z pewnością już się najadł. Zawsze szybko się najadał, nie dręcząc matki jak inne dzieci, o których Bernard czasami słyszał. Odczekał więc jeszcze chwilę, zerkając przez okno na nieruchomą postać żony, po czym otworzył drzwi i poszedł do ogrodu.

W czasie okupacji Niemcy dbali o ogród, lecz tego roku nikt tu nic nie robił, więc chwasty pieniały się jak oszalałe. Mimo to drzewka owocowe miały się znakomicie, ciężkie od dojrzałych jablek i gruszek. Idąc przez wysoką, gęstą trawę, Bernard potknął się kilka razy o spadające ciągle z drzew owoce.

Usłyszawszy jego kroki Sophia podniosła wzrok. Zgodnie z przewidywaniami Louis już się najadł i teraz spał wtulony w ramię matki, która podtrzymywała dłonią jego jasną główkę. Na ten widok Bernard poczuł jakieś dziwne ukłucie w sercu. Dlaczego, do diabła, Louis nie mógł być jego dzieckiem?! Był ślicznym, dobrym dzieckiem, ale Bernard nigdy nie zdołał zapomnieć, iż jego ojcem jest Niemiec, gotów gwałcić, gdy tylko nasza go taka ochota. Pomyślał, że może kiedyś się to zmieni, gdy Louis podrośnie i stanie się chłopcem o swej własnej osobowości. Sam Bernard nigdy nie rozumiał, co ludzie widzą w dzieciach - bo na przykład to niemowlę, choć Sophia je tak bardzo kochała, stanowiło zaledwie przypomnienie o czymś, o czym wolalby zapomnieć.

Księżyc jeszcze nie wzeszedł, lecz nie było zupełnie ciemno. Panował ciepły, miły półmrok.

Sophia wyglądała bardzo pięknie

1 bardzo bezbronne.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - spytał Bernard, stając obok niej.

Przez chwilę nie odpowiadała.

- Hmm. Tak sobie myślałam. O mamie i tacie. Pamiętasz, jak tata popłynął do Dunkierki?

Wszyscy się o niego bardzo martwiliśmy, ale ja nigdy nie wątpiłam, że wróci.

476

Janet Tanner

- Byłaś wtedy bardzo młoda - odparł miękko. - Nie zdawałaś sobie jeszcze sprawy z rzeczywistości.

- Nie tylko o to chodziło. Miałam jakąś całkowitą pewność, chociaż wyobraźnia podsuwała mi najgorsze wizje. Teraz jest inaczej. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale myślę, że już nie wrócą. Przynajmniej tata. Co do mamy, nie jestem pewna.

Bernard, który sam przecież się zastanawiał, jak ją nastawić na najgorsze, teraz nieco stracił kontenans.

- Eeee... nie wolno ci tracić nadziei.

- To nie jest kwestia nadziei, tylko raczej przekonania. W końcu powinniśmy już się czegoś o nich dowiedzieć. Wszystkie obozy zostały już wyzwolone, a gdy się pomyśli o tym, co w nich odnajdują Alianci... - Urwała i z trudem przełknęła ślinę. Nie do zniesienia była myśl, że jej rodzice mogli być zagłodzeni na szkielety, zagazowani lub rozstrzelani. - W obozach zginęło mnóstwo ludzi - powiedziała po chwili, zebrawszy się w sobie. - Chyba rozsądne byłoby przyjąć, że mama i tata mogą być wśród nich. Jak myślisz?

- Ja... nie wiem.

- Oczywiście, nadal będę pisać listy do Czerwonego Krzyża i gdzie się da. Nie przestanę, póki nie będzie znane nazwisko ostatniego więźnia. Jednak nie ma sensu pogrążanie się w rozpacz. Oni by tego nie chcieli. Powinniśmy chyba tak planować życie, jakby już mieli nigdy nie wrócić. A jeśli wrócą, po prostu będzie cudownie.

Bernard był tak bardzo zaskoczony tą dziwnie filozoficzną Sophią, że przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

- Myślę, że to rozsądny punkt widzenia - rzekł w końcu.

- Bo tak jest. Może nie zdobyłabym się na to, gdyby nie chodziło o interesy, ale jestem przekonana, że oni by chcieli, żebyśmy znów uruchomili hotel, Bernardzie. Dla nich to tyle znaczyło, że smutno by im było, gdybyśmy wszystkiego zaniechali tylko dlatego, że ich nie ma. Teraz, kiedy wojna się skończyła, znów zaczną przyjeżdżać goście - pewnie nawet więcej niż OKO ZA OKO

345

przedtem, bo są tak bardzo spragnieni wakacji, a my powinniśmy być gotowi. Nie uważasz?

- No... tak... - mruknął Bernard, coraz bardziej zaskoczony. Sam również przewidywał turystyczny boom, ale nie wiedział, jak zasugerować ponowne otwarcie hotelu, nie raniąc przy tym uczuć żony. To mogła być znakomita okazja, którą grzechem byłoby przepuścić - szczególnie dla niego, który tak pałał chęcią bycia własnym szefem. Ale wobec niepewnych losów Charlesa uznał, że przejawem braku delikatności byłoby robienie jakichkolwiek kroków. Byłoby to bezczelnością i okradaniem zmarłego. Niezależnie więc od swych ambicji nic nie mówił, bo zbyt ważne były dla niego uczucia Sophii.

- Pensjonat jest już właściwie gotowy - ciągnęła Sophia - i bez problemów moglibyśmy przyjmować gości następnego lata. Ty pracowałeś z tatą w agencji. Nie miałbyś ochoty teraz jej poprowadzić?

- No... tak - mruknął znów.

- Jeszcze jedno. Tata dałby Paulowi pracę w firmie, gdyby on tego chciał. Kiedy więc wróci z RAF-u, trzeba to z nim omówić. Trzeba się też zaopiekować Nickiem. Może znajdziemy dla niego jakąś pracę - w biurze czy gdzie indziej. On jest bardzo towarzyski, ale nie wiem, co goście będą myśleli widząc go na wózku. Wiem, że to nie powinno robić różnicy, on jest bohaterem. Ale czy ludzie będą chcieli, żeby ktoś im ciągle przypominał o wojnie?

Bernard pokręcił głową.

- Naprawdę nie wiem. Muszę to przemyśleć. Ale cieszę się, że o tym pogadaliśmy.

Sophia pokiwała głową.

- Ja też.

Bernard zauważył, że lekko drżała, więc otoczył ją ramieniem.

- Chodź już, kochanie. Wracajmy do domu. Dobrze by było wrócić do łóżka, zanim ten twój mały budzik uzna, że czas już wstawać i zacznie się domagać śniadania.

Wciąż tuląc ją do siebie poprowadził ją do domu po zasypanej owocami trawie.

Janet Tanner

List z Czerwonego Krzyża przyszedł następnego tygodnia, tak niespodziewanie, że lękali się nawet mieć nadzieję, a cóż dopiero uwierzyć... A potem ten telefon.

Sophia, która odebrała telefon, słuchała w niemal całkowitym milczeniu, a potem odłożyła słuchawkę z przesadną delikatnością.

W odrętwieniu odwróciła się do baraszkującej na podłodze z Louisem Catherine.

- Mama przyjeżdża - powiedziała oszołomiona. Catherine zamarła.

- Mama? A co z tatą?

- Nie wiem. O nim nie wspomnieli. Mama była bardzo chora. Nie umiała powiedzieć, kim jest, a nie miała żadnych papierów.

- Kiedy? Kiedy przyjeżdża?

- Dzisiaj. Przywiozą ją samolotem. Mamy ją odebrać na lotnisku.

- Och, Sophio!

- Och, Catherine!

- Tak się boję!

- Ja też. Jak myślisz, bardzo się zmieniła? Może jeszcze jest chora? Nie powiedzieli. Jej dawny pokój jest gotowy, ale jak myślisz, skoro tata nie przyjeżdża, to może ją przeniesiemy gdzie indziej? Nie wiem!

- Oczywiście, że daj jej stary pokój. Chora czy nie, zmieniła się czy nie, ale to mama. Nie chciałyby, żeby ją traktowano jak gościa.

- Masz rację. - Sophia porwała na ręce Louisa, który zaczął płakać. - Ciiicho, Louis. Twoja babcia przyjeżdża. Rozumiesz mnie? Twoja babcia przyjeżdża. - I nagle obie siostry zaczęły płakać i śmiać się jednocześnie, ściskając się i tańcząc z wciśniętym między nie Louisem.

Lola, która przyleciała samolotem Czerwonego Krzyża, bardzo się różniła od tej kobiety, która uniosła się honorem wobec aresztującego ją Niemca. Gdyby w samolocie byli inni pasażerowie,

OKO ZA OKO

347

wie, Sophia mogłaby jej w ogóle nie poznać. Jej wysokie kości policzkowe sterczały teraz nad zapadniętymi policzkami, twarz miała bladą, poznaczoną szarymi cieniami i poorly zmarszczkami. Wargi tak się cofnęły, że wydawało się, iż ma wystające zęby, a jej włosy, choć związane w znajomy kok, były matowe i przerzedzone. Nie wyglądała o trzy lata starzej, lecz o trzydzieści, niemal jak karykatura siebie samej. Najgorszy jednak był ten zagoniony, zaszczuty wyraz oczu. Wyraźnie ukazywały, że Lola była w piekle, zanim tu wróciła.

Pojęli od razu, dlaczego tak długo nie potrafiła nikomu powiedzieć, kim jest. Nie pytali jej o koszmarne przejścia, doszli do wniosku, że może im sama opowie w swoim czasie. Nie mieli też ochoty pytać o Charlesa.

Lecz Lola i tak im powiedziała, tyle że z prostotą, jakiej można by się raczej spodziewać po dziecku.

- Tata umarł. Nie miał płaszcza. Kazali mu iść bez płaszcza, a było zimno. Myślę, że dostał zapalenia płuc.

- Mamo, nie musisz teraz o tym opowiadać! - zawołała z rozpaczą Sophia.

Lecz Lola sprawiała wrażenie, jakby wszystkie przeżycia dotyczyły kogoś innego.

- Och, to było dawno. Oczywiście, brakowało mi go. Ale przynajmniej nie cierpiał jak inni. Tak, przynajmniej nie cierpiał.

Dobry Boże, pomyślała Sophia. Ona straciła rozum! Ale to nie było dokładnie tak.

Od samego początku Lola zakochała się w Louisie i miała do niego o wiele więcej cierpliwości niż do własnych dzieci. Bawiła się z nim, karmiła go, kołysała, gdy płakał. Kiedyś, gdy

zabkował, Sophia przyłapała ją, jak mu wcierała małym palcem whisky w dziąsła. Sophia była przerażona, ale na Lolę nie można było się gniewać.

Lola się zmieniła pod jeszcze innym względem. Skończyły się jej wybuchy temperamentu, na które instynktownie czekały jej córki. Pojawiły się natomiast napady lękowe, w czasie których całe jej ciało trzęsło się niepowstrzymanie, poruszała bezgłośnie

Janet Tanner

ustami, a oczy miała tak pełne zwierzęcego przerażenia, że strach było w nie patrzeć. Była też bardzo chorowita, w ciągu tej pierwszej zimy kilka razy zapadała na przeziębienia - ona, która poprzednio rzadko choćby przez jeden dzień źle się czuła.

- Jak można zrobić coś takiego człowiekowi? - szlochała Sophia w ucho Bernarda, kiedy którejś nocy udało się jej utulić Lolę po kolejnym ataku lękowym. - Boże, jak ja nienawidzę Niemców! Bernard całkowicie się z nią zgadzał - on także ich nienawidził. Lecz nie mógł się powstrzymać przed myślą, czy Sophia zapomniała już, że jeden z hitlerowskich potworów jest ojcem jej dziecka. Miał nadzieję, że nigdy nie przydarzy się im już nic, co mogłoby jej o tym przypomnieć.

Rozdział dwudziesty drugi

1947

Viv wiedziała, że coś jest mocno nie w porządku ze sprawami jej ojca. Choć nigdy nie byli sobie bliscy, zawsze łączyła ich jakaś nić porozumienia. W ciągu lat tej więzi Vivienne zauważyła, że im bardziej jowialny staje się Adrian, tym większe jest prawdopodobieństwo, że coś ukrywa. Teraz też wiedziała, że coś poszło bardzo źle, i nie musiała być jasnowidzem, żeby się domyślić, o co chodzi. Dla ojca przez całe życie liczyła się tylko jej matka i pieniądze. Ponieważ zaś Loretta prowadziła się niezwykle porządnie od czasu, gdy jej artystyczny przyjaciel niespodziewanie ożenił się ze swą młodziutką modelką, jedynym kłopotem ojca mogły być pieniądze.

Podejrzeń tych nie potwierdzała jeszcze żadna zmiana w materialnym poziomie ich życia, ani w jego zachowaniach i przyzwyczajeniach, ale w końcu Viv doskonale wiedziała, że takiej zmiany być nie może. Podtrzymywanie swego obrazu było niezwykle istotne, więc Adrian nadal podróżował na wyspę i z powrotem samolotem, pijał najlepsze wina i używał kilku różnych, wymyślnych i drogich samochodów - niezależnie od tego, jakie ograniczenia usiłował mu rozpaczliwie narzucić prowadzący jego rachunki w banku urzędnik.

- Przecież wiesz, że mam pieniądze. To tylko tymczasowa zapaść - powtarzał mu nieodmiennie w takich sytuacjach Adrian, bez zastanowienia podpisując weksle, które wystarczyłyby kilku

Janet Tanner

rodzinom na przeżycie roku w luksusie. Zawsze zresztą okazywało się, że miał rację, i chociaż wiele razy wszystko wskazywało na jego bliską ruinę, zawsze jakoś wychodził na swoje. Jednakże tym razem Viv obawiała się, że będzie inaczej. I miała rację. W wyniku wojny cała gospodarka była w okropnym stanie. W czasie działań wojennych rozkwit przeżywały tylko te firmy, które produkowały na potrzeby przemysłu obronnego. Wykorzystując swą pozycję Adrian zdołał dokonać kilku dość ryzykownych operacji z ich akcjami i osiągnąć z tego całkiem przyzwoity zysk. Teraz miał nadzieję wykonać ten sam manewr z akcjami firm, których produkcja była potrzebna do odbudowy zbombardowanych miast. Lecz latem tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku popełnił błąd w ocenie sytuacji. Jak zwykle bez słowa wyjaśnienia złożył duże zamówienie na akcje Greg International, przedsiębiorstwa budowlanego produkującego również materiały budowlane. Wydawało się pewnym kandydatem do rozkwitu i sukcesu. Coś jednak poszło nie tak. Tydzień po tym, jak zlecił kupno jego akcji, rozeszła się plotka o nielegalnych interesach firmy Greg i cena akcji zaczęła gwałtownie spadać. W momencie, gdy przyszło do płacenia za zlecenie, były już bezwartościowe.

Adrian wiedział, że jest skończony - zbankrutowany makler giełdowy nie będzie z pewnością tolerowany. Trzymał się, jak mógł długo, usiłując różnymi metodami pokryć swe długi, ale na koniec przegrał. Nie było wyjścia - dom na Jersey musiał być sprzedany, a wraz z nim praktycznie wszystko, co jeszcze pozostało z wartościowych rzeczy.

Gdy Loretta się o tym dowiedziała, dostała hysterii, zaś Viv potraktowała te okropne nowiny dziwnie filozoficznie. Przywykła do tego, że ma wszystko, czego zapragnie, więc po prostu nie potrafiła sobie wyobrazić zupełnego braku pieniędzy. Dopiero gdy przyszło stawić czoło

twardej rzeczywistości, okazało się to najpierw niewygodne, potem nieznośne, a na koniec dziewczyna miała już żal do całego świata.

Pewnego dnia w lecie tysiąc dziewięćset czterdziestego siód-

OKO ZA OKO

485

mego roku Adrian zebrał razem swą rodzinę i obwieścił, że chyba muszą opuścić w ogóle Jersey. Viv była przerażona. Jersey było jej domem - jedynym jaki знаła - i nie umiała sobie wyobrazić życia gdzie indziej. Ale przemyślawszy sprawę doszła do wniosku, że może w końcu nie jest to taka straszna ewentualność.

Już od pewnego czasu była podenerwowana, a zdawała sobie sprawę, że głównym tego powodem był Nicky. Nadal bardzo go kochała - o, tak. Ale bycie uwiązaną na stałe u czyjegoś fotela na kółkach nie było specjalną przyjemnością. Nie mogli już chodzić na tańce, Nick nie mógł pływać, wykluczone były wspólne spacery ponad klifami, nawet miłość stała się nużącym wysiłkiem. Na początku mówili o małżeństwie, ale z biegiem czasu, gdy radość z ponownego bycia razem przybladła, pomysł związania się na stałe coraz mniej przemawiał do Vivienne. Może i była egoistką. Pewnie była niecierpliwa. Ale niezależnie od faktu, że się tego nieco wstydziła, po prostu nie chciała wychodzić za mąż za kalekę. A właściwie więcej - nie chciała wychodzić za Nicka, bo to już nie był ten mężczyzna, w którym się zakochała. Zniknęły już cechy, które ją w nim najbardziej pociągały.

Bywały nawet chwile, kiedy żałowała, że nalegała, by Nicky się do niej wprowadził. Jego ciągła obecność wywoływała w niej jakieś napięcie, zaczęła się więc zastanawiać, jak można by to zmienić. No i proszę! - rozwiązanie samo się znalazło. Kiedy Adrian poinformował swoje kobiety, że będą musieli zamieszkać w małym domku na przedmieściach, skąd będzie miał blisko do pracy w agencji nieruchomości, mózg Viv zaczął pracować na zwiększonych obrotach.

- Jeszcze jedna sprawa, Vivienne - powiedział ze smutkiem jej ojciec. - Nie będę już w stanie cię utrzymywać. Będziesz musiała znaleźć sobie pracę.

To był dla Vivienne jeszcze większy szok od wyprowadzki z domu i z Jersey. Mając dwadzieścia siedem lat Viv jeszcze nigdy nie splamiła się prawdziwą pracą. Owszem, przed wojną pomagała trochę w sklepie jubilerskim należącym do przyjaciółki

Janet Tanner

jej matki, kilka razy pozowała kolegom artysty, z którym spotykała się Loretta, i kilka dni przepracowała jako recepcjonistka w La Maison Blanche. Lecz wszystkie te zajęcia były raczej przejawami życia towarzyskiego. Teraz więc nieco zaskoczyła nawet samą siebie, gdy bez wahania odpowiedziała Adrianowi:

- Wiem, co chcę robić. Będę aktorką, jak mama.

W innych okolicznościach Adrian zacząłby jakiś spór, w tej sytuacji jednak odczuł tylko ulgę, że Viv nie zrobiła żadnej histerycznej sceny. A Loretta wyglądała na wręcz zachwyconą.

- Jestem pewna, że zdołam ci pomóc na starcie, Vivienne - powiedziała. - Blake Cooper - pamiętasz Blake'a, Adrianie? Grywałam z nim. No więc Blake ma teraz własny teatr. Z pewnością wszystkiego cię nauczy, a to pozwoli ci na osiągnięcie wszelkich możliwych sukcesów. -

Urwała i z rozpromienioną twarzą pogрузzyła się we wspomnieniach o swych dniach sławy.

Wyobraziła sobie, że przy pomocy Viv będzie mogła znów przeżyć takie chwile. Poza tym Blake był jednym z najprzystojniejszych jej scenicznych partnerów, więc już teraz nie mogła się doczekać spotkania z nim. - Jutro do niego napiszę - obiecała, a jej mąż odetchnął z ulgą.

Jeszcze tylko jedna osoba o niczym nie wiedziała. Nicky. Adrian uważał, że dając mu tak długo dach nad głową spłacił już swe zobowiązania wobec rannych bohaterów wojennych. Teraz już mu nie był nic winien.

Minęły już prawie dwa lata od tego wieczoru, kiedy Sophia i Bernard rozmawiali o przyszłości w zapuszczonym ogrodzie La Maison Blanche. Przez całą tę zimę opracowywali plany powtórnego otwarcia hotelu i agencji turystycznej, a wiosną Bernard złożył wymówienie w elektrowni i całym sercem poświęcił się nowym wyzwaniom. Wkrótce zaczęły napływać rezerwacje i cała rodzina - poza Paulem, który jeszcze jakiś czas postanowił pozostać w RAFie - miała pełne ręce roboty. Sophia przejęła niegdysiejsze obowiązki Loli, która teraz po prostu pomagała

OKO ZA OKO

353

w kuchni, a Nicky pracował w niepełnym wymiarze godzin w agencji. Było to - jak w cichości ducha przyznawał Bernard - właściwie wszystko, co Nicky mógł robić. Jego kalectwo powodowało, że jeśli zbyt długo pracował bez przerwy, szybko się przemęczał i musiał odpoczywać kilka dni. Na szczęście biuro agencji było całe jednopoziomowe, z płaską, gładką podłogą i podnoszonym blatem stołu, więc Nick bez najmniejszych problemów radził sobie z pracą. Viv codziennie wozila go do miasta i taki układ służył obu stronom - Nicky miał co robić, nie tracił więc dla siebie szacunku, a Bernard nie musiał zatrudniać pracownika.

Obawy Sophii, że widok kalekiego pracownika może odstraszyć klientów, okazały się bezpodstawne - ludzie z wielką uprzejmością traktowali tych, których nazywano powszechnie „nasi odważni chłopcy, ranni żołnierze”, lecz mimo to Nicky nie był szczęśliwy. O ile z początku spoglądał na swój wózek jak na wyzwanie, teraz coraz bardziej uświadamiał sobie, że jest to pułapka bez wyjścia. Poza tym niemiła mu była praca w zamknięciu, za biurkiem. Ale nie widział innego rozwiązania, więc robił, co mógł, dla rodzinnej firmy. Mam przynajmniej Viv, powtarzał sobie, choć czasami, w co czarniejszych momentach, wyczuwał, że dziewczyna staje się coraz odleglejsza. Zastanawiał się nawet, czy nie powinien jej powiedzieć, że nie musi się czuć do niego uwiązana, ale nigdy nie potrafił się zmusić do wypowiedzenia tego zdania. Była całym jego życiem. Uważał, że bez niej nie odnajdzie w sobie woli do dalszego życia.

Podobnie jak Viv, Nicky zdawał sobie sprawę, że w sprawach Adriana Morana coś się popsulo. Uznał jednak, że te problemy same się rozwiążą. W końcu tacy faceci jak Adrian zawsze spadają na cztery łapy, myślał. Tylko tacy głupcy jak ja zaczynają z głową pełną marzeń, a kończą otoczeni litością i ledwie tolerowani. Nie przyjmował do wiadomości nawet podejrzenia, że kłopoty Morana mogą należeć do kategorii nierozwiązywalnych, całkowity więc szok przeżył pewnego dnia w lecie tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Viv powiedziała mu

Janet Tanner

wówczas, że dom, który przywykł już uważać za swój, został sprzedany, a ona wraz z matką wyjeżdża do Anglii.

- Jest mi naprawdę bardzo przykro - powiedziała z wymuszoną lekkością. - Ale tak to niestety wygląda. Jesteśmy bankrutami, kochany. Nędzaczami.

- Ale dlaczego Anglia? - spytał Nicky. Był naprawdę zaskoczony. - Dlaczego musisz jechać do Anglii?

- Do pracy, oczywiście. Cóżbym mogła robić tutaj? Poza tym, okropne byłoby wiedzieć, że wszyscy moi przyjaciele oglądają mnie w takiej sytuacji. Co innego w czasie wojny, wtedy wszyscy byliśmy w jednej łodzi. Ale teraz...

- A co będzie ze mną? - spytał Nicky. Dopiero wypowiedziawszy te słowa uzmysłowił sobie, jak bardzo patetycznie zabrzmiały, i to go rozgniewało.

- Poradzisz sobie przecież świetnie, prawda? - odparła Viv, nadal tym samym, lekkim głosem. - Możesz przecież mieszkać w La Maison Blanche. Teraz jest tam już duża winda, a do agencji będziesz miał dwa kroki.

Przez dłuższą chwilę Nicky nie był w stanie odpowiedzieć. Gniew zmienił się w dudnienie w uszach, niemal ślepą furję, wzbierającą w nim przez miesiące goryczy, żalu i upokorzeń.

Pierwszy raz w życiu miał ochotę uderzyć Viv, zmiażdżyć pięścią tę piękną, świetnie umalowaną twarz i zdmuchnąć ten głupawy uśmiezek z jej szkarłatnych ust. Chciał jej zadać ból, tak jak ona go raniła, ale nie mógł. Był na wózku, a ona stała poza jego zasięgiem. Nie mógł zrobić nawet tego.

- Będę przyjeżdżać do ciebie tak często, jak się da - ciągnęła Viv. - Może nawet lepiej będzie, jeśli na jakiś czas się rozstaniemy. Byliśmy przecież praktycznie nierozłączni. Nie będzie ci to zbyt przeszkadzało, prawda, kochanie?

Nicky wyrzwał pięściami w poręcze swego fotela.

- A co to za różnica, czy mi to przeszkadza, czy nie? I tak wyjedziesz, prawda? I nie powiem, żebym cię nie rozumiał. Kto chciałby być z półmężczyzną?

Viv spurpurowiała.

OKO ZA OKO

490

- Nicky, ty nie jesteś...

- A jak byś mnie określiła? Nie, nie, Viv! Jedź, niech ci szczęście sprzyja! Dawno temu powinienem się już zdobyć na to, żeby ci to powiedzieć.

- Głupstwa opowiadasz! - syknęła Viv. - Przekręcasz wszystko! Wiesz, że mi na tobie zależy! Przecież na ciebie czekałam przez tyle lat!

- Naprawdę? Jesteś pewna? Zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Oczywiście, że jestem pewna.

- A ja nie. Nigdy nie byłem o tym przekonany. Nie jesteś urodzoną mniszką, Viv. Nigdy nic nie mówiłem, bo uważałem, że nie mam prawa. Ale nie udawaj, że jesteś westalką-dziewicą. To do ciebie nie pasuje!

- Mam tego dosyć!

- Chcesz powiedzieć, że masz dosyć mnie?

- Przestań, Nicky, proszę. To jest nie do zniesienia.

- Dla ciebie? - spytał z goryczą. - No, to już tragedia. Vivienne przelknęła z trudem.

- Proszę, kochany, nie bądź taki! Słuchaj, powiedziałam, że będę przyjeżdżać tak często, jak się da. Zobaczysz, to będzie całkiem wesołe. Będziemy mieli mnóstwo rzeczy do oplotkowania...

- Może ty będziesz miała. Cóż ja mogę ci opowiedzieć? Jasne, zawsze mogę cię zaznajomić z fascynującymi wydarzeniami w agencji turystycznej albo z najnowszą modą w dziedzinie wózków inwalidzkich.

Viv poczuła mdłości i zatopiła się w myślach. Kiedy tylko Nicky wrócił na wyspę, wydawał się tak odważny i przystosowany. Teraz jednak był rozgoryczony, ciągle pogrążony w depresji. Zawiodła go, a teraz ma odejść i pozostawić go. Ale może to właśnie jest dla nich najlepsze? Może zbyt mocno przypominała mu o przeszłości, o dniach, gdy wszystko było tak bardzo inne. Teraz jest oburzony, ale później zyska wolność, spotka kogoś innego, kobietę, która go będzie akceptowała

Janet Tanner

dokładnie takim, jaki jest Przy niej nie będzie stale rozpamiętywał przeszłości, z nią zbuduje sobie zupełnie nowe życie oparte wyłącznie na terażniejszości. Właśnie to tłumaczyła sobie Viv, gdy szykowałą się do powiedzenia mu o swym wyjeździe. Teraz jednak, stojąc z nim twarzą w twarz, widząc jego gniew i rozżalenie, poczuła się pusta. Zrozumiała, że próbowała oszukać samą siebie.

Przecież nadal go kocham, pomyślała. Ale ta miłość jest nierealna w obecnej sytuacji. Muszę sobie stworzyć nowe życie i umożliwić Nickowi to samo.

- Będiesz miał o wiele więcej do opowiadania, Nicky

- powiedziała już spokojnie. - Musisz patrzeć w przyszłość, nie za siebie. A łatwiej ci będzie, kiedy ja wyjadę.

Nie odpowiedział. Podeszła do niego, chcąc go pocałować. Ale odwrócił głowę, więc tylko przejechała mu dłonią po włosach. Nicky siedział sztywno i nie zareagował. Ruszyła już bez słowa do drzwi i wyszła. Nick nie spojrział za nią.

Biedny Nicky! Wyjazd Viv nieźle go trafił, nie uważacie?

- powiedział Paul.

Miał urlop i przyjechał ze swojej eskadry RAF-u na Jersey. Siedział teraz z Catherine i Sophią w ogrodzie, gdzie odpoczywali przed podaniem wieczornego posiłku.

- To zrozumiałe - odparła Sophia, poprawiając się na fotelu. Znow była w ciąży, i choć nie miała tych ciągłych nudności,

które ją dręczyły przy pierwszym dziecku, czuła się niezbyt dobrze. Tym razem bardzo utyla, a brzuch miała dużo bardziej opuszczony, co w połączeniu z trwającymi całe lato upałami mocno dawało się jej we znaki. - Szkoda, że nie ma żadnego sposobu, żeby mu pomóc. Możemy tylko po prostu z nim być, choć chyba nawet tego nie chce.

- Ja tego nie rozumiem - odrzekł Paul. - Kiedy był w tym szpitalu w Anglii, wyglądał na naprawdę już dobrze przystosowanego. To ja wtedy byłem tak zaszokowany, że omal nie OKO ZA OKO

357

wylądowałem u psychiatry. A teraz jakby się schował w jakiejś ciemnej dziurze. Strasznie się zmienił.

- To wszystko wina Vivienne Moran - wtrąciła wzburzona Catherine. - Nigdy jej nie lubiłam. Jak mogła tak po prostu odejść i go zostawić? To okrutne!

- Nie można jej tak zupełnie potępiać - broniła Viv Sophia. - O ile wiem, zrobiła dla niego wszystko, co możliwe. To nie jej wina, że Adrian stracił wszystkie pieniądze.

- Ale skoro go kochała...

- Ciekawe, czy powiedziała mu o dziecku - mruknął zamyślony Paul.

Siostry spojrzały na niego zaskoczone.

- O czym ty mówisz? - spytała Sophia. - O jakim dziecku? Paul zaczerwienił się. Jeszcze nigdy nie rozmawiał z nikim

o wyznaniu Viv. Wiedział, że nie powinien był tego robić i teraz, ale już się stało.

- Ona była w ciąży - powiedział sztywno. - Przed wyjazdem do wojska Nicky'ego zaszła z nim w ciążę. On oczywiście o tym nie wiedział, a ona zrobiła sobie skrobankę. To wszystko.

Catherine opadła szczęką; Sophia zaczęła dziwnie posapywać.

- Skrobankę? Viv była w ciąży z Nickiem i usunęła? - wydukała Catherine. - To nie do wiary!

- Skąd o tym wiesz? - spytała Sophia rzeczowo.

- Powiedziała mi. A ja nigdy tego nie puściłem dalej. Uznałem, że to nie moja sprawa.

- A Nicky nic nie wie?

- Nie mam pojęcia. Pewnie już mu powiedziała. Słuchajcie, zapomnijmy o tym. To nie nasza sprawa. Teraz powinniśmy się martwić, co możemy zrobić dla Nicka. Może by nam pomógł

jakiś jego stary kolega? Pamiętacie tego Jeffa McCauleya? Byli razem w szpitalu i przyjechał tu kiedyś po powrocie Nicka. Może dałoby się z nim jakoś skontaktować?

- Masz rację - odrzekła Sophia, wciąż nie mogąc dojść do ładu z szalejącymi myślami. - Potrzeba mu kogoś, kto przeszedł

Janet Tanner

przez to samo, kogoś, kto go dobrze zrozumie. Chyba mam adres Jeffa McCauleya w księdze gości. Napiszę do niego.

I zaczęła dyskutować z Paulem na temat możliwości pomocy Nickowi, skutecznie uciszając Catherine, która była bardzo rozczarowana, że nie może się dowiedzieć więcej o skrobance Vivienne Moran.

Jednak wieczorem, zabierając się do pisania listu do Jeffa, Sophia długo siedziała zatopiona w myślach o tym, co powiedział Paul. Zastanawiała się, jak bardzo wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby Viv urodziła dziecko Nicka zamiast iść po najmniejszej linii oporu. Sophia nawet w myślach nie umiała nazwać tej drogi inaczej niż tchórzostwem.

We wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku Sophia była w ostatnim miesiącu ciąży, lecz - zgodnie z orzeczeniem lekarza - jeszcze co najmniej dwa tygodnie dzieliły ją od porodu. Ponieważ Louis przyszedł na świat z niemal trzytygodniowym opóźnieniem, uznała - jak się okazało błędnie - że to samo powtórzy się i teraz. Pewnego więc ciepłego popołudnia wybrała się z Louisem w wózek i Lolą do towarzystwa na spacer i piknik.

Kiedy Bernard usłyszał o tych planach, robił co mógł, żeby odwieść żonę od takich pomysłów - ale Sophia nie dała sobie niczego wyperswadować.

- Dobrze mi zrobi trochę ruchu - powiedziała, przywiązując Louisa szelkami do wózeczka. - Kiedy ciągle siedzę na jednym miejscu, kiepsko się czuję. A poza tym chcę jakoś wyciągnąć mamę z kuchni, zanim nasz kucharz złoży wymówienie.

- No cóż, skoro uważasz, że nic się nie stanie... - Bernard nadal nie był zupełnie przekonany co do sensowności takich wypraw, ale pomysł zabrania Loli sprzed oczu kucharza był mocnym argumentem. Spod ręki Stefana Polańskiego wychodziły potrawy iście natchnione, które w bardzo krótkim czasie zaczęły robić hotelowi dokładnie taką opinię, jakiej chciał Bernard.

OKO ZA OKO

359

Jednak szef kuchni był również człowiekiem pełnym temperamentu i bardzo źle znosił wszystkie próby wtrącania się Loli.

- Oczywiście, że nic się nie stanie! - rzuciła z przekonaniem Sophia, wyprowadzając wózek z dzieckiem na dwór.

Było to cudowne popołudnie. Niebo miało tak intensywnie błękitny kolor, jakby złożyły się nań wszystkie słoneczne, letnie dni. Słońce stało niezbyt wysoko i nie było zbyt gorące, a od morza powiewała wspaniała, nie za silna i nie za słaba bryza. Lola, mimo że wciąż zachowywała się niemal jak dziecko, pod względem fizycznym wydobrzała już zupełnie. Potrafiła maszerować z szybkością i werwą, która szokowała Sophię przy każdym wspólnym spacerze. Teraz także Lola narzuciła ostre tempo. Usiłując dotrzymać jej kroku, Sophia odczuła - zupełnie go jednak ignorując - niezbyt silny ból gdzieś w głębi ciała. Był to zupełnie inny rodzaj bólu od tego, który towarzyszył zbliżaniu się urodzin Louisa, a Sophii nie przyszło do głowy, że rzadko kiedy porody bywają do siebie podobne.

Siedziała na plaży na kocu, obserwując Lolę bawiącą się w piasku z Louistem, gdy nagle poczuła gorącą wilgoć między nogami. Niemal wpadła w panikę. Wiedziała natychmiast, że albo odeszły jej wody płodowe, albo dostała krwotoku. Usiłując skryć przed matką przerażenie, poderwała się na nogi, wykręciła głowę za plecy i przyjrzała się mokrej plamie na spódnicy. Na szczęście nie była to krew. Sophia uznała, że powinna być wdzięczna choć za to, lecz myśl o długim spacerze do domu z lepiącymi się udami nie należała do najprzyjemniejszych. A poza tym nie miała pojęcia, ile czasu zostało jeszcze do rozpoczęcia właściwego porodu.

- Chyba musimy już iść, mamó - powiedziała nienaturalnie spokojnym głosem.

- Och, przecież dopiero co przyszliśmy - zaprotestowała Lola, oburzona jak dziecko. - Jest tak pięknie. Nie możemy zostać trochę dłużej?

- **Nie teraz. Wrócimy kiedy indziej.**
- **Ale niedługo będzie zima. Wiesz, jak zimno jest w zimie, kiedy zaczynają się śniegi.**

Janet Tanner

- Masz chyba na myśli Rosję, mamó.

- Tak? Możliwe. Czasami mi się myli. Miałam piękne futro i mufkę. Mówiłam ci o tym?

Chodziliśmy na łyżwy albo jeździliśmy na sanie. Konie ciągnęły sanie. Było cudownie! Niemile było tylko czasem wycie wilków. One tak żałośnie zawodzą, wiesz, kiedy się nawołują.

- Tak, mamó. - Po udach Sophii spłynęła kolejna porcja gorącej wilgoci. O, Boże! pomyślała, umrę ze wstydu!

Złożyła koc i włożyła go do wózek. Lola wciąż paplała, więc dopiero podniósłszy się znad wózka Sophia zorientowała się, że Louisa nie ma.

- Louis! - krzyknęła z lękiem. - Gdzie on jest?

- Był tu przed chwilą. Nie mógł odejść daleko.

Na plaży siedziało kilka rodzin, ale nigdzie nie było widać małego jasnowłosego chłopczyka w białej bluzce i' niebieskich szortach.

- Louiiiiis! - Zapomniawszy o wszystkim innym Sophia biegała w tę i z powrotem po kilka kroków. Louis jakby się zapadł pod ziemię. Przez spanikowaną głowę Sophii przemknęła myśl, że ktoś go porwał. Albo wbiegł do wody i utonął. Już nigdy go nie zobaczy! - Louis! Louiiiiis! - krzyczała jak opętana. - Gdzie jesteś!

- Przepraszam bardzo - przerwało jej czyjeś wołanie. - Zgubiła pani synka?

- Tak! odkrzyknęła Sophia. - Widziała pani może, co się z nim stało?

- Jest tutaj. Bawi się z moją córeczką.

Sophia przeczesała wzrokiem plażę, ale nic nie widziała.

- Gdzie?

- Tutaj. Za wózkiem.

- Och! - Sophia miała ochotę rozplakać się z ulgi. Podbiegła do wskazanego miejsca. Zupelnie schowany za wózkiem Louis grzebał w piasku, całkowicie pochłonięty towarzystwem mniej więcej sześciomiesięcznej dziewczynki, która coś do niego gulgotała z kocyka, na którym leżała.

- O, Boże! Już myślałam, że zginął!

OKO ZA OKO

361

Pochyliła się, żeby wziąć syna na ręce. I wtedy chwycił ją pierwszy ból, tak silny i niespodziewany, że przez chwilę nie mogła oddychać. Kiedy atak minął, wyprostowała się i dostrzegła wpatrzone w siebie oczy młodej matki.

- Dobrze się pani czuje?

- Niespecjalnie. Chyba... zacznę rodzić.

- Chryste! Co mogę zrobić? Wezwać pogotowie?

Sophia marzyła w tej chwili tylko o obecności Bernarda,

o roztaczanej przezeń aurze bezpieczeństwa i spokoju.

- Może mogłaby pani zadzwonić do mojego męża...

- Oczywiście. - Kobieta poderwała się, szybko wsadziła córkę do wózka i błyskawicznie zwinęła swoje rzeczy. - Niech pani tu czeka albo powoli idzie do drogi. Ja ściągnę pomoc, niech mi pani tylko da numer męża. Aha, tak przy okazji, jestem Susan Feraud. A to Molly.

Sophia skinęła tylko głową, zbyt pochłonięta sobą, by zwracać baczniejszą uwagę na cokolwiek poza tym. Kiedy odprowadzała wzrokiem młodą kobietę, z trudem pchającą wózek przez piasek, poczuła drugą falę bólu. Nie mogła wtedy wiedzieć, że to krótkie, przypadkowe spotkanie na plaży zaowocuje jej długoletnią przyjaźnią z Susan Feraud i że następstwa tej przyjaźni będą widoczne jeszcze w następnym pokoleniu.

Dzięki Susan niebywale zdenerwowany Bernard pojawił się wkrótce w swym świeżo nabytym samochodzie i zabrał do domu Sophie, Louisa i bardzo zawstydzoną Lolę. Potem wezwał lekarza

1 dopóki ten nie przyjechał, siedział obok żony i trzymał ją za rękę.

- Pan teraz sobie stąd pójdzie - zarządził lekarz. - Niech pan sobie zapali papierosa albo wypije głębszą whisky i czeka. To nie potrwa długo, a ona jest w dobrych rękach.

- Wolę zostać - powiedział zdecydowanie Bernard. Lekarz obrzucił go zaskoczonym spojrzeniem. Ojciec przy

porodzie! Widziane to rzeczy? Chciał protestować, ale wszystko działało się tak szybko, że nie miał czasu klócić się z Bernardem.

Janet Tanner

I tak w obecności Bernarda - bladego, lecz bardzo podnieconego - urodził się hałaśliwie i nie do końca spodziewanie Robin Charles Bernard Langlois, wrzeszczący ze złością, bardzo różowy i strasznie obrażony, że każą mu wychodzić na świat nieco wcześniej, niż miał na to ochotę. A Bernard powtarzał potem wszystkim, którzy chcieli słuchać, że za skarby świata nie oddałby tego przeżycia.

Rozdział dwudziesty trzeci

1948

Wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku Bernard zwołał rodzinną konferencję.

- Chcę pogadać z tobą, Catherine i Nickiem - powiedział do Sophii, która była w połowie kapania Robina. Zaskoczona uniosła wzrok. W jednej dłoni trzymała główkę dziecka, w drugiej namydloną myjkę.

- Co to znaczy, że chcesz z nami porozmawiać? Nicka widzisz codziennie, ja jestem tu. Mów.

- Nie. Chcę porozmawiać z całą waszą trójką - odparł uparcie Bernard. - Tak naprawdę to powinien być przy tym jeszcze Paul, ale skoro jest w Niemczech, to raczej nie wchodzi w rachubę.

- Czy coś się stało? - spytała nieco zaniepokojona Sophia.

- Jakież kłopoty z hotelem? Wszystko przecież szło tak dobrze.

- Wszystko jest w porządku - uspokajał ją Bernard. - Nie powinnaś się martwić wszystkim na zapas, Sophio. Po prostu chcę się spotkać z wami wszystkimi.

- To brzmi idiotycznie, Bernardzie - odrzekła urażona Sophia.

- W końcu jestem twoją żoną. Mam nadzieję, że w tak młodym wieku nie zaczniesz się zachowywać jak nadęta żaba.
- Mając ciebie? - powiedział z uśmiechem. - Nie grozi mi to, zawsze mnie pohamujesz. To co, odpowiada ci trzecia jutro po południu?
- Chyba tak. - Sophia nadal była oburzona, że nie dopuszcza

Janet Tanner

jej do konfidencji. - Skoro już jesteś taki oficjalny, trzeba było wysłać nam zaproszenia z porządkiem obrad. Jak chcesz, będę protokołowała.

Bernard, który zdążył się już dawno przyzwycząić do sarkastycznych uwag Sophii, tylko się uśmiechnął.

- To nie taki zły pomysł. Możesz to uznać za pierwsze zebranie Rady Nadzorczej.

Zapewne się zastanawiacie, dlaczego poprosiłem o spotkanie was wszystkich - powiedział Bernard. Stał tyłem do kominka w saloniku w pawilonie. Przyciskał do piersi brązową, tekturową teczkę bez żadnego napisu. Jego wyraz twarzy nic nie mówił.

- Owszem, zastanawiamy się ->rzucił Nick ze swego wózka, ustawionego wygodnie pomiędzy stołem a drzwiami.

- To bardzo podniecające, nie uważacie? - pisnęła Catherine, sadowiąc się na fotelu, podciągając pod siebie nogi i otaczając je ramionami.

Lecz Sophia, która w każdej chwili oczekiwała płaczu Robina - miał najwyraźniej kolkę po ostatnim karmieniu - poruszyła się tylko niecierpliwie.

- No już, Bernard! Mów, o co chodzi, żebyśmy mogli wrócić do swoich zajęć.

- Dobrze. Powiem krótko. Chcę kupić drugi hotel. Popatrzył im po kolei w oczy spokojnym wzrokiem. Miał na

twarzy łagodny uśmiech. Po dłuższej chwili Nicky zachichotał.

- Tak. To naprawdę było krótko i węzłowato. Dobra, Bernardzie, rozwiń temat. Powiedz, co chcesz zrobić.

- Dobrze. Summertown w St Clements Bay jest na sprzedaż. Ma wspaniałą lokalizację, nad samym brzegiem, z widokiem na morze i werandą praktycznie wprost na plaży. Znałem ten dom jako chłopiec i zawsze uważałem, że spędzanie w nim wakacji musi przypominać pobyt w

raju. Ale w czasie wojny mieszkali w nim Niemcy, strasznie go zniszczyli, a właściciele najwyraźniej

OKO ZA OKO

504

nie mieli serca do remontów. Stoi pusty i niszczeje. Teraz postanowili go wystawić na sprzedaż, a ja chciałbym go kupić.

- Za co? - spytała Sophia.

- I tu jest właśnie cały problem. Choć nam się bardzo dobrze powodzi - i pensjonat, i agencja dobrze zarabiają - właściwie nie mamy żadnych aktywów. Będziemy musieli wziąć hipotekę na La Maison Blanche. A La Maison Blanche nie należy do mnie, nie mogę sam czegoś takiego przeprowadzić. Należy do waszej trójki i Paula.

- I mamy - dodała Catherine.

- Nie - odpowiedziała jej Sophia. - Ujmując rzecz najkrócej, tata w testamencie zostawił wszystko do podziału naszej czwórce z zastrzeżeniem, że zawsze będziemy utrzymywać mamę. Myślę, że chciał wszystko uprościć, bo przecież nie mógł przewidzieć, że mama nie będzie w stanie podejmować żadnych decyzji w momencie obejmowania spadku.

- Zgadza się. A ponieważ Catherine nie ma jeszcze dwudziestu jeden lat, jej udział znajduje się pod waszym zarządem powierniczym. Lecz jest inteligentną, młodą kobietą i dlatego uważam, że moralnym obowiązkiem jest zapytać ją o zdanie.

Catherine posłała mu wdzięczny uśmiech. Bardzo lubiła Bernarda. Nigdy nie traktował jej jak dziecko i czasami uważała, że Sophia mu nieźle spaskudziła życie.

- Skoro ty, Bernardzie, uważasz, że to dobry pomysł, to znaczy, że tak jest - powiedziała.

- Dziękuję za zaufanie, Catherine - odrzekł poważnie. - A ty, Nicky? Sophio?

- Jakie dokładnie plany masz wobec Summerton? - spytała Sophia.

- Chciałbym, żeby się stał hotelem dobrej klasy - pomiędzy wyższą średnią a wyższą. Chciałbym go wyposażać w to wszystko, po co przychodzą do agencji ludzie z innych hoteli - prywatny basen, salę balową do dancinów, nocny kabaret, salon piękności. Jestem pewny, że Jersey staje się wyspą wypoczynkową. Jeśli Rada do spraw Turystyki odpowiednio będzie reklamować Jersey,

Janet Tanner

wkrótce zaczną tu napływać tłumy gości - i nie można się im dziwić. Wszyscy chcą nadrobić jakieś zaległości wojenne, a turyści stracone wakacje. Chcę w pełni wykorzystać ten nadchodzący boom - a czuję, że nadchodzi - rozszerzając działalność, ile się da.

- A jeżeli to wszystko nie wypali? - mruknęła Sophia.

- Możemy wtedy stracić wszystko, prawda? Jeśli zastawimy La Maison Blanche.

- Owszem, istnieje taka możliwość - odparł niewzruszony Bernard. - Właśnie dlatego uznałem, że muszę pogadać z wami wszystkimi. Nie sądzę, żeby prawdopodobieństwo niepowodzenia było duże - inaczej nigdy bym tego nie proponował. Nie jestem głupcem. Ale chciałem również porozmawiać o La Maison Blanche. Uważam, że „dom gościnny” czy też „pensjonat” nie są już wystarczającym standardem. Chciałbym podnieść jego poziom. Zmienić go w hotel.

- Na czym polega różnica? - nie zrozumiała Catherine.

- Jest duża różnica. Już kiedy zainstalowaliśmy windę, był to krok we właściwym kierunku. Podobnie jak nasz szef kuchni, chociaż ma temperamencik! Ale mam jeszcze kilka innych planów - na przykład cocktail bar, żeby goście mogli sobie wypić drinka przed kolacją, czy nocny portier, żeby nie trzeba było zamykać na noc drzwi.

- Brzmi to bardzo ambitnie - powiedział w zamyśleniu Nicky.

- Gdzie widzisz miejsce na cocktail bar? La Maison Blanche nie jest zbyt duży.

- Właśnie. - Bernard wyraźnie zaczynał się dobrze bawić.

- Uważam, że powinniśmy kupić sobie dom, a pawilon zmienić w część hotelu.

- Czyli jeszcze więcej pieniędzy - mruknęła Sophia.

- Obawiam się, że tak. Ale jeśli chcemy kiedykolwiek ruszyć z miejsca, musimy podjąć pewne ryzyko. - Oczy Bernarda błyszczały entuzjazmem. Popukał palcami w tekturową teczkę.

- Tutaj mam kilka zestawów propozycji od agencji nieruchomości. Oczywiście, jest wśród nich także Summerton, ale znajdziecie tu

OKO ZA OKO

367

też opisy kilku domów, które uznałem za odpowiednie dla nas. Chciałbym, żebyście na nie zerknęli.

- Chwileczkę, Bernardzie - przerwał mu Nicky. - To wszystko brzmi ślicznie, ale nie jest najważniejsze. Mówisz o domu mojej matki. Może nie jest zupełnie *compos mentis*, ale nie ma powodu, żeby ją lekceważyć.

- Nie lekceważę jej. Jeśli wejdziemy do wyższej klasy, Lola będzie przecież także miała dużo lepsze warunki.

- Ale jeśli wszystko się zawali, zostaniemy bez środków do życia i bez dachu nad głową, tak?

- Nie zawali się - uciał krótko Bernard.

- Skąd ta pewność?

- Nie wiem. Po prostu jestem pewny. - Bernard mówił z werwą, ale i absolutną pewnością siebie.

- W każdym razie jeśli chodzi o dom, chcę to i tak przedsięwziąć jako zupełnie osobistą sprawę. Sophia i ja stanowimy rozrastającą się rodzinę; potrzebujemy domu, który będziemy mogli uznać za własny. Oczywiście, Catherine może mieszkać z nami jak długo chce, choć śmiem twierdzić, że niedługo wyjedzie do szkoły, a potem pewnie wyjedzie za męża. Naturalnie, ta oferta dotyczy także ciebie, Nicky.

Nicky pokiwał głową.

- Dziękuję ci, Bernardzie, to bardzo uprzejme z twojej strony, ale sądzę, że zostanę tu - o ile ci to nie będzie przeszkadzało. Winda i szerokie drzwi to przy moim wózku duża wygoda, której pewnie bym nie miał w małym domu. Poza tym będę pod ręką jako opiekun domu w zimie. Teraz Bernard przytaknął ruchem głowy.

- Uznaję twoje racje. Ale mam nadzieję, że nie będziemy potrzebowali opiekuna zimowego. Mam zamiar lansować obraz Jersey jako całorocznego kurortu. Oczywiście, w zimie nie przyjadą tu poszukiwacze słońca, ale biznesmeni? Czemu nie? Gdzie znajdą lepsze miejsce na konferencje, kiedy Wyspy Brytyjskie będą pogrążone w wilgotnych zawieruchach listopada czy lutego?

Janet Tanner

- Na miłość boską, Bernardzie! - zawołała Sophia. Była pod wrażeniem. - Masz naprawdę ambitne plany!

Bernard uśmiechał się z zadowoleniem.

- Zawsze uważałem, że powinienem mierzyć wysoko, i ogólnie rzecz biorąc to daje efekty. Dam wam teraz te opisy nieruchomości, żebyście je przejrżeli. Kiedy już się jakoś dogadamy, napiszę do Paula, przedstawię mu plany i poproszę

O błogosławieństwo.

- Nie sądzę, żeby Paul miał jakieś obiekcje - powiedziała Sophia. - W każdym razie, chociaż trochę się obawiam niepowodzenia, uważam, że powinniśmy ruszać do przodu. Jestem za.

- Zgadza się. - Nicky popchnął uchwyty na kołach wózka

1 podjechał do stołu. Wyciągnął rękę po teczkę. - Chylę przed tobą głowę, Bernardzie. Zrobiliście o wiele więcej, niż ja bym potrafił, nawet będąc w pełni sprawnym. Działaj. Złóż ofertę na ten hotel i bierz kredyty. Jestem z tobą.

- Catherine?

- Och, jasne!

- A więc - postanowione - obwieściła Sophia. - Masz siedemdziesiąt pięć procent poparcia dla swych planów, i pozostałe dwadzieścia pięć prawie pewne. Teraz już muszę iść. Louis zaraz się obudzi z drzemki i wydadze mi się, że słyszę płacz Robina.

Wstała i szybkim krokiem podążyła w kierunku schodów.

Drepcząc w górę myślała, jak bardzo wszystko się pozmieniało - a w tym i Bernard. Był teraz tak zdecydowany i władczy, że aż trudno było sobie wyobrazić go jako tego cichego i raczej nieśmiałego młodego człowieka, którym kiedyś był. Może ta moc i ambicja zawsze w nim drzemały, tylko były niewidoczne pod nie rzucającym się w oczy zachowaniem. Sophia

uświadomiła sobie ich istnienie dopiero tej nocy, gdy powiedział, że się z nią ożeni i przedstawił swe ultimatum, które zmieniło zupełnie układ sił pomiędzy nimi.

Uśmiechnęła się do siebie. Tak trzymaj, Bernardzie!

I wypełniło ją poczucie pełnej dumy miłości.

OKO ZA OKO

369

To lato było jednym z najpracowitszych w życiu Sophii. Nadzorowała pakowanie rzeczy do skrzyń po herbacie i przeprowadzkę do nowego domu, który trzeba było przecież bardzo dokładnie wysprzątać, a potem urządzić. Odbywała długie sesje z dekoratorem wnętrz, zastanawiając się nad wystrojem Surnmer-tona, który Bernard zdołał kupić za dobrą cenę, i który postanowił przemianować na Behdlle. Zajmowała się gośćmi hotelowymi i setkami domowych problemików, cały czas opiekując się swoją trójką dzieci, jak określała Louisa, Robina i Lolę. I ciągle nie mogła pojąć, jakim cudem Loli udawało się prowadzić pensjonat, mając stale pod nogami czworo małych dzieci.

Lola. Patrząc na nią teraz trudno było sobie wyobrazić, że stanowiła niegdyś tak niespokojną duszę, mającą zawsze i na wszystko siły. Gładko zaczesane włosy pozostały matowe, tyle że bardziej posiwiały, i tylko podkreślały głębokość bruzd na jej niegdyś pięknej twarzy.

Odzyskała nieco straconej w obozie wagi, lecz ciało już nie wróciło do swych poprzednich kształtów. Teraz tylko wystawał jej brzuch, piersi pozostały płaskie. Nigdy natomiast nie wróciło jej niegdyś żelazne zdrowie. Każdy zarazek, każda infekcja natychmiast się jej uczepiała, miała bez przerwy przeziębienia lub grypy, które kilkakrotnie przeszły, w zapalenia oskrzeli, a raz w zapalenie płuc. Wówczas Sophia myślała już, że ją znów straci, tym razem na zawsze, lecz Lola jakoś zdołała się wykaraskać. Najbardziej jednak dokuczliwe były zmiany, jakie zaszły w jej psychice. Czasami sprawiała wrażenie zupełnie świadomej, kiedy indziej znów zapominała, iż Charles umarł i zdenerwowana chodziła po domu szukając go. Pewnej nocy

Sophia znalazła ją w ogrodzie. Była ubrana tylko w nocną koszulę i stała się niemal agresywna, kiedy Sophia usiłowała ją nakłonić do powrotu do domu.

- Muszę znaleźć twojego ojca! - wołała. - Czy on cię już nie obchodzi? Jak możesz go tak traktować? Sophio, nie tak cię wychowałam! Gdyby był tu Paul, wszystko by wyglądało inaczej! Paul by dopilnował, żeby Charlesowi nic się nie stało!

Janet Tanner

- Tak, mam, ale nie ma go tu. - Sophia nauczyła się już, że najlepiej było się nie kłócić. Uświadamiała sobie też, że w żaden sposób nie jest w stanie zadowolić matki. Była to okropna świadomość, ale najważniejsze, że Lola była w domu. Sophia przynajmniej mogła się nią opiekować. Gdybyż tak jeszcze mogła zaopiekować się ojcem!

Nowo kupiony dom stał blisko miejsca, gdzie mieszkała Susan Feraud. Kiedy więc Sophia miała wolną chwilę, wpadała do niej na ploteczki. Kiedy indziej to Susan zaglądała do Sophii i tak w szybkim czasie kobiety bardzo się zaprzyjaźniły. A ponieważ Molly była tylko o pół roku starsza od Robina, zawsze było mnóstwo do przedyskutowania.

- Masz szczęście, że urodziłaś córkę - zwierzała się jej Sophia, patrząc na okrągłą, śliczną Molly, zawsze czyściutką i schludną. - Nie mam zamiaru narzekać ani na Robina, ani na Louisa, ale chciałabym mieć córeczkę. W porównaniu z chłopcami dziewczynki wcale nie sprawiają kłopotów.

- Nie mogę się wypowiadać na ten temat - odparła powściągliwie Susan. - Ale jestem pewna, że później zaczną się setki kłopotów, o których jeszcze nie mamy zielonego pojęcia. Na przykład z chłopcami. Nie bardzo mi się do tego pali. Pamiętam jeszcze, jak oskarżałam własną matkę, że zdążyła zapomnieć, jak sama była młoda. Teraz myślę, że problem polegał na czym innym - ona jeszcze zbyt dobrze to pamiętała.

Sophia roześmiała się, usłyszawszy tak krótkie, a zarazem świetne podsumowanie odwiecznych kłopotów matek dorastających dzieci.

- Może Molly zakocha się w Robinie? - powiedziała. - Miło by było, gdyby zostali małżeństwem.

- Hmm. Ale może będzie wolą Louisa? Jest trochę starszy, a poza tym to niezwykle przystojny chłopiec.

- O, tak, to prawda - odparła Sophia, zadowolona, ale nie dodała, że również niezwykle psotny, ani że jego wychowywanie zaczynało stanowić źródło niesnasek pomiędzy nią a Bernardem, a nawet mogłoby zagrozić ich życiu rodzinnemu.

OKO ZA OKO

371

- Dlaczego jesteś dla niego taki surowy? - krzyknęła kiedyś na Bernarda, kiedy spuścił Louisowi lanie i położył go za karę do łóżka za systematyczne wiercenie dziur we wszystkich pluszowych zabawkach Robina. - Przecież to jest dziecko, na miłość boską!

- Musi się nauczyć, że nie wolno niszczyć rzeczy z premedytacją.

- Ale on nie niszczy! Jest tylko zazdrosny! Dzieci często dziwnie się zachowują, kiedy, w rodzinie pojawia się nowe niemowlę.

- Miał już mnóstwo czasu na dostosowanie się. Robin ma już prawie rok. Poza tym nie ma powodów do zazdrości. Robisz wokół niego o wiele za dużo zamieszania.

- Chcesz powiedzieć, że go faworyzuję?

- Tak, właśnie to miałem na myśli.

- No, ktoś to musi robić! Bo z pewnością nie ty! Nie pozostawiasz najmniejszej wątpliwości, że on jest dla ciebie numerem drugim! Ale to pewnie nieuniknione, skoro to nie jest twój syn!

- To nieprawda, Sophio! - powiedział Bernard ze złością.

- Tak? - Sophia wiedziała, że jest niesprawiedliwa. Nie miała najmniejszych powodów myśleć, że Bernard faworyzuje Robina - on był w końcu jeszcze niemowlęciem, które przecież nie może dostać lania. A jednak nie umiała odepchnąć od siebie przeczucia, że właśnie tak jest. Bernard przecież musiał odczuwać więcej miłości wobec krwi z krwi i kości z kości własnej, i prędzej czy później musiało to jakoś się ujawnić. To była właśnie jedna z przyczyn, dla których wolałaby, żeby Robin był dziewczynką. Nie miało to nic wspólnego z potrzebą przebierania dziecka jak lalki w fatalaszki i wstążki. Chodziło o to, że wówczas między dziećmi nie występowałyby

**bezpośrednia konkurencja - Bernard z pewnością inaczej by traktował dzieci różnej płci. A. tak
- Robin był jego synem, a Louis nie.
Uważała więc, że musi to jakoś wynagrodzić Louisowi, być**

Janet Tanner

jakimś buforem między nim a Bernardem. W końcu to nie wina Louisa, że był dzieckiem Niemca. On się nie prosił na świat.

Wymknęła się z pokoju i pobiegła do sypialni chłopców. Robin mocno spał, lecz Louis cicho chlipał w poduszkę. Uklękła obok jego łóżeczka i przytuliła go.

- Nie płacz, Louis. Mamusia wie, że nie chciałeś popsuć zabawek Robina. Mamusia cię kocha. Louis otworzył oczy i spojrzał na nią. W tym oświeceniu nie była pewna, ale wydało jej się, że coś w tym spojrzeniu przypominało Dietera - i serce jej zabiło miłością. Pochyliła się i pocałowała delikatny policzek. Poglaskała go po jasnych włoskach, wzięła na ręce i kołysała, póki nie zasnął.

Kiedy zeszła na dół, Bernard nic nie powiedział, ale była pewna, że wie, gdzie była i co robiła. Wyraźnie wyczuła pojawienie się między nimi tej bariery - z jednej strony niesłusznych zarzutów, z drugiej dążenia do prowadzenia domu według określonych założeń.

Przez godzinę Sophia tłukła garnkami po kuchni, myjąc półki, kredensy, a nawet piec, choć żadna z tych czynności nie była konieczna. W końcu Bernard pojawił się w drzwiach kuchni.

- Daj spokój, to głupota. Jesteś zmęczona.

- Muszę czasami posprzątać,.

- Dobrze wiesz, że to nie ma nic wspólnego z czystością. Robisz to dlatego, że dałem Louisowi w skórę. Sophio, jego trzeba trochę zdyscyplinować. Gdyby chodziło o Robina, postąpiłbym tak samo. I niezależnie od tego, co sobie myślisz, ja uważam Louisa za swojego syna. No już, przestań się dąsać.

Wylała wodę, strasznie długo wyciskała szmatki i zmywaki, ale Bernard nie stracił cierpliwości, stał i czekał w progu. Sophia, która miała już dość potężne poczucie winy zamiast poprzedniego żalu, odłożyła wreszcie wszystko i podeszła do niego. Bernard był dobry i łagodny, może i

postąpiłby tak samo wobec Robina, ale jemu było łatwiej, on widział wszystko w czarno-białych barwach, bez tych wszystkich niezliczonych odcieni szarości, które decydowały o jej reakcjach.

OKO ZA OKO

373

- Przepraszam - szepnęła. - Wiem, że zrobiłeś to, co uważasz za słuszne. Aleja... jestem trochę... przewrażliwiona na punkcie Louisa.

- Nieważne - odparł Bernard i objął ją. Przytuliła się i odprężyła.

Gdzieś w głowie wciąż dudnił jakiś głos, którego nie można było uciszyć. Powtarzał, że takie spięcia będą się powtarzać jeszcze setki razy, póki chłopcy nie dorosną. Że są nieuniknione.

Sophia uświadomiła sobie, jak wielkie czekają ją próby i wysiłki, by takie sytuacje nie zaważyły na jej związku z Bernardem.

Rozdział dwudziesty czwarty

Vivienne miała dość. Dość po dziurki w nosie. Dość paskudnej, angielskiej pogody, dość braku pieniędzy, a przede wszystkim dość teatru.

Na okrągło powtarzała sobie pytanie, dlaczego wydawało się jej, że kariera aktorki teatralnej będzie łatwa i błyskotliwa. Nie była taka. Była to cholernie ciężka praca, monotonna, nudna i męcząca.

Doszła do wniosku, że może nie byłoby jeszcze tak źle, gdyby była główną artystką. Ta miała na sobie przynajmniej zawsze ładne ciuchy - choćby nawet wymagano od niej, żeby sama sobie organizowała garderobę do sztuk - i zawsze stała pośrodku sceny, gdy po przedstawieniu wywoływano aktorów przed publiczność, która zresztą zwykle była zachwycona grą. Ale Viv nie była główną artystką. Przez większość spędzonego w teatrze czasu nawet nie wyszła na scenę. Obdarzono ją obrzydliwym tytułem Pomocnika Asystenta Scenicznego, co w praktyce oznaczało popychadło dla wszystkich. Robiła kawę i herbatę, sprzątała scenę, wywoływała aktorów i czasami, od wielkiego dzwonu, dostawała coś do zagrania - najczęściej rolę pokojówki, która miała do powiedzenia najwyżej „Tak, psze pani” i tylko wносиła lub wynosiła tace ze szklankami czy filiżankami, które sama za kulisami na tych tacach stawiała.

Byłoby to wszystko do zniesienia, gdyby miała siedemnaście

OKO ZA OKO

375

lat, jak druga dziewczyna, która wykonywała te same obowiązki. Ale miała lat dwadzieścia siedem, dawno więc przekroczyła wiek, w którym toleruje się takie poniżenia. Jak Loretta mogła to wytrzymać? I w dodatku zawsze opowiadała o swych scenicznych latach z takim uniesieniem! Tak, Blake wspominał ją z wielką sympatią, ale przecież on do wszystkich mówił per „kochanie”, nawet do najgorszych i najmniej ważnych, chyba że właśnie się na nich darł, że już nigdy i nigdzie nie zostaną wpuszczeni do teatru.

Blake miał żonę, obfitą aktorkę charakterystyczną, mówiącą z ledwie skrywanym akcentem cockneyowskim, która co dzień przychodziła do teatru z wystrojonym w kokardę yorkshire terierem. Lecz Viv szybko zorientowała się, że poza tym reżysera wiąże coś z Belindą Grey, główną artystką. Ta dwójka wymieniała między sobą jakieś sekretne spojrzenia, a kilkakrotnie Viv podejrziała, jak w ciemnym korytarzyku za kulisami Blake gładzi Belinę po pośladkach lub chwyta za raczej niedorozwinięty biust. A więc tak się dostaje główne role? No cóż, Belindy nie można byłoby pomylić z Peggy Ashley, a w tej grze mogą wziąć udział i dwie aktorki. Od pierwszej chwili Viv wiedziała, że Blake jest nią bardzo zainteresowany, ale szybko zlikwidowała jego zapędy. Blake mógł być kiedyś atrakcyjnym mężczyzną, lecz to musiało być dawno. Teraz wyglądał wręcz groteskowo, gdy jako pomarszczony, brzuchaty satyr wbijał się na siłę w za ciasny w talii, śliwkowej barwy smoking i koszulę z żabotem, której guziki rozjeżdżały się na brzuchu. Teraz jednakże postanowiła nad nim nieco popracować - posyłając mu niewinny uśmiech, spojrzenie spod rzęs albo ocierając się bardzo delikatnie udem o jego nogę, tylko na tyle, żeby poczuł napięcie podwiązki. Nie trzeba było długo czekać na efekty. Poznawała to po pojawiających się na czole Blake'a maleńkich kropelkach potu, gdy spojrzała na niego w pewien sposób. Z początku odwracał się i odchodził, jakby ją ignorował, lecz widać już było, że zaczyna odczuwać pożądanie. A ona nie ustawała, rozbawiona,

Janet Tanner

że tak łatwo było manipulować tym człowiekiem, potrafiącym terroryzować całe zespoły zawodowych aktorów. W końcu, jak się tego spodziewała, wykonał ruch.

Byli w pubie „Smuggler's Hole” naprzeciw wejścia do teatru na drinku po przedstawieniu.

- Zastanawiam się nad wypróbowaniem cię w jakiejś większej roli, Viv - powiedział przysuwając się blisko jej biustu. - Ale będziesz potrzebowała trochę dodatkowego szkolenia. Co o tym myślisz?

Viv uśmiechnęła się i odrzuciła włosy. Czy on naprawdę sądził, że jest tak naiwna, by tego nie przejrzeć? Mężczyźni! Jak dzieci! Viv przesunęła językiem po uszminkowanych ustach.

- Dodatkowego szkolenia? To znaczy w teatrze?

- Może. Choć to mogłoby być dla ciebie nieco żenujące, tak przy wszystkich. Może u mnie?

Hotel Clairmont. W czwartek,

0 wpół do trzeciej.

Viv znowu się uśmiechnęła. Ależ on był nieskomplikowany! Wszyscy wiedzieli, że Dee-Dee, jego żona, w czwartkowe popołudnia chodzi do fryzjera na mycie, płukanie, farbowanie, przycinanie i jeszcze dziesięć innych zabiegów, co łącznie zabierało mnóstwo czasu.

Puriktualnie o czternastej trzydzieści w czwartek Viv pojawiła się w hotelu Clairmont. Było to małe, dość obskurne miejsce, położone w jednej z bocznych uliczek i nie bardzo zasługujące na miano hotelu. Ale i tak wyglądało o niebo lepiej od tych nor, w których musiała się gnieździć Viv i reszta zespołu. Blake

1 Dee-Dee nie musieli z dwudziestoczerogodzinnym wyprzedzeniem informować o zamiarze kąpieli ani nie musieli się w nocy dobijać do zamkniętych drzwi wejściowych, bo właścicielka „hotelu”, gdzie mieszkała Viv, nie chciała nikomu dać klucza. Twierdziła, że to ze względów bezpieczeństwa, bo „klucz mógłby się dostać w niepowołane ręce”.

Blake czekał na nią przed wejściem do hotelu i pośpiesznie przeprowadził ją przez ponury hall na schody. Wszędzie było czuć gotowaną kapustę i zjełczały rybi tłuszcz. Pokój był mały

OKO ZA OKO

520

i pozbawiony charakteru. Ciemne, stare meble, wytarty dywan i łóżko pokryte wypłowiałą narzutą, którą zapewne kiedyś można było określić jako różową. Toaletka była zastawiona rrojemnikami z kosmetykami i perfumami Dee-Dee, a na drzwiach wisiał stary, jedwabny szlafrok, który równie dobrze mógł należeć do Blake'a jak do jego żony.

- Rola, o której dla ciebie myślę, wymaga nieco więcej doświadczenia, niż masz - poinformował ją, odgarniając resztki włosów ze spoconego czoła. - Kiedyś cię już uczyłem, jak się odwracać na scenie, prawda? Ale chyba od tego powinniśmy znów zacząć. Wyobraź sobie, że jestem publicznością. Wychodzisz zza kulis - tam, spod okna - przechodzisz przez scenę i odwracasz się. O, tak. Cały czas jesteś twarzą do mnie. Dobrze. Teraz siadanie. Pamiętaj, żebyś nigdy nie zakładała nogi na nogę. Inaczej ludzie z pierwszego rzędu będą mogli ci zaglądać pod spódnicę. Ręce. Na scenie aktorzy często aż za bardzo myślą o rękach i nie wiedzą, co z nimi zrobić. No, jak myślisz, co powinno się robić z rękami?

Och, wiem dobrze, co ty robisz ze swoimi rękami, pomyślała Viv, a na głos powiedziała:

- Chyba powinno się o nich zapomnieć!

- Świetnie! Właśnie tak powinno być na scenie! Niech się poruszają naturalnie - żadnego splatania, zacierania. A teraz najtrudniejsze ze wszystkiego - pocałunek sceniczny.

Viv już od jakiegoś czasu nie spuszczała oka z zegara. Nie miała zamiaru być tutaj, kiedy Dee-Dee wróci od fryzjera.

- Na miłość boską, Blake! Czy naprawdę musimy się w to bawić? - spytała chłodnym głosem. - Jeśli chcesz mnie przelecieć, to weź się po prostu do roboty!

Blake zagapił się na nią z opadniętą szczęką. Przez wszystkie lata pracy w charakterze reżysera i menedżera teatralnego nigdy nie usłyszał od żadnej z uwodzonych przezeń dziewczyn czegoś takiego. Niekiedy były nieśmiałe i skromne, trzeba było je prowadzić za rączkę (choć musiał przyznać, że takie stanowiły mniejszość), inne rozflirtowane i chętne. Ale żadna nigdy nie była taka bezpośrednia.

Janet Tanner

- No? - powiedziała Viv z uśmiechem. - Przecież właśnie

0 to chodzi, prawda? Ja chcę jakąś porządną rolę, a ty chcesz mnie. To uczciwy układ.

Blake nagle roześmiał się z zachwytem. Początkowy szok minął, a stojąca na środku pokoju z rękami na biodrach i odrzuconą głową dziewczyna była uosobieniem erotyzmu. Rzucała mu wyzwanie. Blake uwielbiał gry o władzę. Uwielbiał podbijać

1 pokonywać, lecz większość jego zwycięstw była zbyt łatwa. Ale nie to. Viv oferowała mu na tacy swoje ciało, ale walka nie toczyła się o ciało. To było coś zupełnie innego i bardzo podniecającego.

- Myślisz, że dam ci potem lepsze role? - spytał.

- Wiem, że tak będzie. - Podeszła do niego i zaczęła mu rozpinąć nakrochmaloną koszulę. - Nie będziesz umiał mi niczego odmówić.

To popołudnie było pierwszym z wielu, jakie Viv spędziła w hotelu Clairmont. Zawsze przychodziła punktualnie i wychodziła na długo przed powrotem Dee-Dee. Zastanawiała się tylko, czy przed nią nie bywała tam jej matka.

Na efekty w teatrze nie trzeba było długo czekać. Belinda, która natychmiast zrozumiała, że Viv wyrzuciła ją z siodła u boku Blake'a, zrobiła się straszliwie wredna. Obwiniła Viv

0 wszystkie sceniczne niepowodzenia i robiła jej awantury w obecności innych. Reszta zespołu, która lubiła Dee-Dee

1 niechętnie patrzyła na robienie idiotki ze starej aktorki, zaczęła ostentacyjnie ignorować Viv, tak jak przedtem Belinę. Lepsze role oznaczały papierosy za darmo (dostarczane jako reklamówki przez du Mauriera), fotosy w gablocie przed wejściem do teatru i kartę Equity.

Lecz Viv szybko zorientowała się, że role owe nie były wcale taką przyjemnością, jak to sobie

wyobrażała. Uczenie się co tydzień tekstu nowej sztuki i ciągle próby oznaczały ciężką harówkę tym bardziej, że musiała nadal wykonywać swe dotychczasowe obowiązki.

OKO ZA OKO

523

Pewnego wieczoru pod koniec sierpnia Joe, portier, odszukał Viv w czasie przerwy.

- Na zewnątrz jest jakiś młody człowiek, który twierdzi, że jest pani przyjacielem - powiedział swoim miękkim akcentem z Dorset. - Chce się z panią spotkać po przedstawieniu.

- Naprawdę? Jak się nazywa?

'- Nie powiedział. Mówi, że chce pani zrobić niespodziankę. Może to jest tylko na przynętę, ale nie sądzę. Widziałem już wszystkie możliwe sztuczki i myślę, że mówi szczerze.

- Jak wygląda?

- Och, bardzo przystojny. W mundurze.

- Jakim?

- RAF.

Paul! pomyślała. To musi być Paul.

- Chyba wiem, kto to - odpowiedziała Joemu. - Proszę mu powiedzieć, że wyjdę, jak tylko zmyję makijaż.

Przez całą drugą część przedstawienia Viv była w fantastycznej formie. Świadomość, że na widowni jest Paul, dała jej dodatkowy bodziec, ale gdy ścierała już watką makijaż, trzęsły się jej nieco dłonie. Nie mogła się doczekać spotkania z nim. Wskoczyła szybko w bawełniane spodnie i koszulę, krzyknęła ogólne „cześć” i wybiegła na wąską, zakurzoną uliczkę na tyłach teatru.

Zobaczyła go natychmiast. Stał pod ścianą tyłem do niej i palił papierosa. Podkradła się i zakryła mu oczy dłońmi.

- Cześć, Paul! Zgadnij, kto to!

- Viv! - Odwrócił się i wziął w dłonie jej ręce. - Skąd wiedziałaś, że to ja?

**- A ilu znam lotników? - odpowiedziała pytaniem. - Och, jak dobrze cię znowu widzieć!
Nie było to kłamstwo. Przez lata, które upłynęły od ich ostatniego spotkania, Paul bardzo
wydoroślał i dojrzał. Zarówno jego twarz, jak i sylwetka wypełniły się i nabrały bardzo męskich
kształtów. Wyraźnie przybyło mu ciała, co w połączeniu z zawsze działającym na Viv
mundurem robiło świetne wrażenie. Był tak porażająco przystojny, że Viv nie rozumiała, jak
mogła wtedy**

Janet Tanner

potraktować go jako substytut Nicky'ego. Było to proste - wtedy był chłopcem, a teraz mężczyzną - i to niebywale atrakcyjnym.

- Podobało ci się przedstawienie? - spytała.

- Było bardzo dobre, chociaż muszę przyznać, że poszedłem na nie tylko dlatego, że ty tam występujesz. Nie jestem wielbicielem teatru.

- Jestem zaszczyczona! Ale skąd wiedziałeś, że tu gram? Co robisz w tej części świata?

- Moja jednostka stacjonuje niedaleko. Byłem z kilkoma kolegami w mieście i zobaczyłem twoje zdjęcie. Postanowiłem więc w pierwszy wolny wieczór przyjść i zobaczyć, jak sobie radzisz.

- I co, warto było? Byłam dobra?

- Wstyd tak się domagać pochwał, Viv! Ale tak, byłaś świetna. Choć nie bardzo przemawia do mnie pomysł, żebyś była duchem. Wolę cię cielesną!

- Paul! Jesteś złośliwy!

- Staram się! A teraz, co byś powiedziała na drinka albo coś do jedzenia? Jadłaś już?

- Nie, zawsze jadam dopiero po przedstawieniu.

- A dokąd byś chciała iść?

- No cóż, nie jestem ubrana na pójście do jakiejś ekskluzywnej knajpy. Zwykle jadam kielbaski z fasolą albo coś w tym stylu u Lyonsa za rogiem. Ale wiesz co? Jest tak ładnie. Kupmy na wynos ryby i frytki i zjedzmy je na plaży!

- Ryby i frytki? - zachichotał Paul. - No cóż, jeśli tego właśnie chcesz, to idziemy. Znasz tu jakieś dobre miejsce?

- Tak. Chodź.

Kupili ryby i frytki, posypali je solą i do woli polali sosami, zawinęli w papier i poszli na plażę. Usiedli na murku i zaczęli jeść. Każdy kęs wydawał się Vivienne jak ambrozja. Nie wiedziała

dlaczego, ale również cały ten wieczór był jakiś czarodziejski. Wszystko było jakieś nienamagalne, pełne podniecenia i niecierpliwości, coś skrzyło się pomiędzy nią a Paulem.
- Słyszałem już przedtem, że postanowiłaś zostać aktorką - rzekł Paul.

OKO ZA OKO

526

- Tak? Gdzie?

- W domu, oczywiście.

Ale żadne z nich nie miało zamiaru wspominać choć słowem o Nicku.

- Myślałam, że pójdę w ślady mamy, ale to wszystko nie jest nawet w połowie tak przyjemne i rrdniecające, jak sobie wyobrażałam. Szczerze mówiąc, gdybym mogła, to bym to rzuciła zaraz od jutra.

- No to już! Co cię powstrzymuje?

- Konieczność, mój drogi. Z pewnością już przecież słyszałeś o upadku domu Moranów.

- No...

- Nie kręć, jasne, że słyszałeś. Założę się, że ludzie ciągle

o tym gadają. Ale ludzkie gadanie nie bardzo mnie obchodzi.

- To dobrze.

- A co tam u twojej rodziny? Zdrowi?

- O ile wiem, tak - poza mamą, oczywiście. Wiesz, że ona... jest trochę... dziwna?

- Wcale mnie to nie zaskakuje! Boże! Szkoda, że ten potwór, Hitler, nie dożył aresztowania!

Powinien być powieszony za nogi

1 ćwiartowany za to, co zrobił. Kula w łeb to za szybkie i za łatwe dla niego!

- Wszyscy są bardzo zapracowani - powiedział Paul, zmieniając temat. - Rozwijają firmę. Kiedy zdejmę już mundur, będę mógł po prostu się podłączyć.

-Ty?

- A dlaczego nie? W końcu ćwierć La Maison Blanche i agencji według prawa należy do mnie. Mam więc moralne prawo włączyć się bezpośrednio w to, co z nich zrobiono. A to już nie byle co! Bernard jest piekielnie ambitny i genialnie umie wyczuć koniunkturę.

- Naprawdę? - spytała dziwnie zamyślona Viv.

- Naprawdę. No, skończyłaś? To co, mam cię odprowadzić do domu, czy idziemy na spacer?

- Na spacer! - wykrzyknęła Viv. Znow ogarnęło ją podniecenie. - Koniecznie na spacer!

Janet Tanner

Nicky zaciągnął rolety na oknach Agencji Turystycznej i wjechał z powrotem do biura. Zamknął za sobą drzwi, wtoczył się na swoje stanowisko za biurkiem, wydobył list, który nadszedł w porannej poczcie i rozpostarł go na kolanie. Nie chciał go czytać drugi raz. Żałował, że go w ogóle przeczytał. A jednak list w jakiś okropny sposób go fascynował, ranił, dręczył. Paul wiedział, że przeczyta go jeszcze raz. I jeszcze. I jeszcze, póki jego treść nie wryje mu się w serce.

Paul i Viv. Viv i Paul. Byli razem. Boże, jak to raniło!

Zdawał sobie oczywiście sprawę, że stracił ją, gdy wyjechała do Anglii. Świadom był też, że nie minie wiele czasu, nim Viv znajdzie sobie kogoś innego. Powtarzał sobie to do znudzenia w nadziei, że odczuwany za każdym razem ból stępuje, przestanie być dokuczliwy, kiedy ta myśl stanie się codziennością. I miał rację. Ból przestał rozrywać duszę, Nicky pogodził się, że to wszystko jest nieuniknione. Ona znajdzie sobie kogoś innego. Ale nie spodziewał się, że tym kimś innym będzie Paul.

Nieznany, bezimienny kochanek - tak, to było do przyjęcia. Ale Paul?! Chryste, nie! To już nie do wytrzymania!

. Zmiał list w małą kulkę i rzucił nim przez szerokość pokoju. Potem zaczął tłuc o poręcze fotela zwiniętymi w pięści dłońmi. Twarz wykrzywiło mu cierpienie.

Pewnie ją tu sprowadzi. Do domu, na Jersey. Będę musiał na nich patrzeć, wiedzieć, że śpi z moją dziewczyną, słyszeć, jak ją nazywają „panią Carteret”, ale to nie będzie znaczyło, że jest moją żoną, tylko jego. To nie do wiary, że zrobiła mi coś takiego! Nie do wiary!

Pukanie do drzwi przerwało jego myśli. Klient? Nie miał teraz ochoty nikogo widzieć.

- Przepraszam, nieczynne! - zawołał. Jego głos zabrzmiał ochryple i głucho.

- Nicky? - To była Sophia. - Jesteś tam? Co się stało? - Była wyraźnie podenerwowana.

Nicky zaklął pod nosem. Nie mógł przecież tak po prostu przepędzić Sophii. Popchnął wózek do wejścia. Kiedy tylko

OKO ZA OKO

529

przekręcił klucz, Sophia otworzyła drzwi i wsadziła głowę do środka.

- Nicky! Dlaczego zamknąłeś drzwi? Spojrzał na nią zaszczutym, zbolalym wzrokiem.

- Gdzie są dzieci?

- Catherine ich pilnuje. A co? Co się stało, Nicky? Wyglądasz okropnie, jakbyś zobaczył ducha!

- Może właśnie tak było - mruknął i zaśmiał się krótko, nerwowo. - Miałś ostatnio jakieś wiadomości od Paula?

- Nie. Chyba jest bardzo zajęty.

- Nie aż tak, żeby nie móc się pieprzyć z Viv! - wybuchnął.

- Co ty opowiadasz?

- Mój brat i moja dziewczyna. Kapitalne, co?

- Och, Nicky, z pewnością się mylisz...

- Nie, nie myślę się. Sama sobie przeczytaj jego list. Tam, ten zwinięty w kulkę. Chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego napisał do mnie? Dlaczego tutaj?

Sophia znalazła list, rozprostowała go i przeczytała z ponurym wyrazem twarzy.

- Widzisz? - powiedział, gdy skończyła. - Nie wymyśliłem tego. Paul i Viv. I co o tym myślisz?

- Co można powiedzieć? Jestem tak samo zaszokowana jak ty.

- Tak? Ja nie jestem zaszokowany. Prawie nie. Właściwie spodziewałem się czegoś takiego. Ale nie jest mi przez to ani trochę łatwiej - szczególnie, że to mój brat. - Schował twarz w dłoniach. -

Och, Sophio! Ja ją naprawdę kocham! Wiem, że nic jej nie mogę dać, ale ją kocham. Zrobiłbym dla niej wszystko, czego by sobie zażyczyła. Ale nie jestem w stanie patrzeć na nią z Paulem.

- Och, Nicky, z pewnością do tego nie dojdzie. Paul ma dość taktu, żeby jej tu nie przywozić...

Otwarły się drzwi. Weszła Catherine, prowadząc za rączkę Louisa.

- Co się stało? - spytała.

- Nicky dostał list od Paula. On jest z Viv. Nick jest strasznie przygnębiony.

Janet Tanner

- **Biedactwo!** - sapnęła Catherine z przesadną wylewnością.
- **Ale kto by się nią przejmował? Ona nie jest warta twoich nerwów, Nicky. Paul jest głupi, że się jej dał usidlić. Wiedząc o niej to wszystko! Przecież wie, co zrobiła... i co to za dziewczyna.**
- **O czym ty mówisz, Catherine?**
- **O Viv, oczywiście. I o skrobance. Uważam, że w tych okolicznościach to było straszne z jej strony. Biorąc pod uwagę, że mogłeś w ogóle nie wrócić. Jasne, że byłoby jej trudno, ale miałyby przynajmniej jakąś częśćkę ciebie. - Urwała, dostrzegłszy wreszcie wyraz przerażenia na napiętej twarzy Nicka. - Ty... nie wiedziałeś...?**
- **Catherine!** - jęknęła Sophia z rozpaczą.
- **O czym?** - wysyczał z nieludzkim spokojem Nicky.
- **O czym nie wiedziałem?** - Podniósł głos. - **Wyjaśnij mi to!**
- **Och, Nicky... ja... - jękała się dziewczyna.**
- **No, dalej. Mówiłaś chyba o jakiejś skrobance?**
- **Ttttak... To było zaraz po twoim wyjeździe. Na początku wojny... Przynajmniej tak powiedział Paul.**
- **Paul ci to powiedział?** - spytał powoli, z naciskiem Nicky.
- **Ta... Tak. Powiedział...**
- **Chcesz przez to powiedzieć, że Viv miała skrobanekę i on o tym wiedział?! On wiedział o moim dziecku, a ja nie?! Bo... rozumiem, że to było moje dziecko?**
- **Chyba tak - odparła ledwie dosłyszalnie zupełnie zdruzgotana Catherine. - Naprawdę myślałam, że wiedziałeś. Paul mówił, że na pewno ci powiedziała. Nigdy bym nic nie mówiła, gdybym choć przez chwilę myślała...**
- **Ale ty nigdy nie myślisz, Catherine - przerwała jej wściekłym sykiem Sophia.**

- Zmowa milczenia. - Głos Nicky'ego był cichy i pełen goryczy. - Rozumiem, że ty też wiedziałaś, Sophio?

- Nooo... tak. Paul coś o tym wspominał, kiedy Viv wyjechała. Ale nie znamy żadnych szczegółów.

- Jasne. Wspaniale, co? Wygląda na to, że wszyscy wiedzą,

OKO ZA OKO

385

tylko nie ja. A to było moje dziecko! Czego jeszcze nie wiem? I dlaczego powiedziała Paulowi? Czy to znaczy, że między nimi już przedtem coś było? Przez tyle lat robił ze mnie głupca?

- Nicky, proszę cię... Nikt nie robił z ciebie głupca - wtrąciła z przygnębieniem Sophia. - A na pewno nie Paul.

- To dlaczego mnie nic o tym nie opowiedział? Przecież wiedział! A w ogóle dlaczego to właśnie on wiedział?

- Najwyraźniej musiała mu się zwierzyć - odrzekła Sophia.

- Przypuszczam, że ci nie powiedział, bo uważał, że nie on ci jest winien takie informacje.

Normalne byłoby przecież, że właśnie tobie pierwszemu Viv powie. W końcu mieszkałaś z nią. Nie rozumiem, dlaczego ty nic nie wiedziałaś, skoro poinformowała Paula.

- To przecież jasne! Widocznie on był jej bliższy - skomentował gorzko Nicky. - Co za idiota ze mnie!

Zapadła pełna napięcia cisza, a potem nagle Catherine bąknęła:

- Och, muszę już iść. Mam być za dziesięć minut u dentysty!

- Jej twarz płonęła rumieńcami. Mrugała oczami, w których lśniły łzy.

Sophia pokiwała głową.

- Tak, tak. Idź już, Catherine. Czy Robin...

- Śpi w wózku na dworze. Przepraszam, Nicky...

Nicky nie odpowiedział. Sophia poszła za siostrą do drzwi, zerknęła na pochrapującego Robina i wróciła. W kącie biura Louis pracowicie bebeszył zawartość jednej z szuflad biurka, bawiąc się spinaczami i gumkami. Nie próbowała mu przeszkadzać.

- Nie wiem, co powiedzieć, Nicky. Catherine... to taka papla! Chyba się nigdy niczego nie nauczy!

- To nie jej wina. Ona tylko powiedziała prawdę. A to więcej, niż wy zrobiliście. - Podniósł na nią wzrok. Miał zimną, pozbawioną wyrazu twarz. - Proponuję, żebyś też sobie poszła, Sophio. Na pewno masz mnóstwo pracy.

- Nie mogę cię przecież tak zostawić...

Janet Tanner

- Dlaczego nie? Przecież doskonale sobie radzę z prowadzeniem tego biura. Boże! Przynajmniej tyle umiem jeszcze robić!

- Ale...

- Daj spokój, Sophio! Zostaw mnie samego. Nie rozumiesz, że chcę być sam?

- Chodź, Louis - powiedziała Sophia cicho. Doszła do wniosku, że na razie to chyba będzie najlepsze dla Nicka. W drzwiach odwróciła się i spojrzała na skurczonego na wózku brata. Nie patrzył na nią. Nie patrzył na nic. Jakby się w sobie zapadł. Poczula gniew. Z żalu omal jej serce nie pękło.

Glupia Catherine! Idiotka z jęzorem do ziemi! Cholerna wojna, co zrobiła z jej brata! I cholerna, przeklęta Viv Moran! Jeśli kiedykolwiek go kochała, to jak mogła mu zrobić coś takiego?!

Po jej wyjściu Nicky znów zamknął drzwi. Przez długą chwilę siedział, wpatrując się w przestrzeń i rozmyślając nad tym, co usłyszał od sióstr. Viv była z nim w ciąży i usunęła płód. Jedyne dziecko, jakie kiedykolwiek mógł mieć. Jedyna kobieta, jaką kiedykolwiek kochał. Ból w jego wnętrzu wzmagął się, zmieniał w szalejący huragan, rozrywając ciało i mózg. Walczył z nim jak długo zdołał, ale jego myśli niepowstrzymanie pochłaniała jakaś czarna chmura. Od czasów Dunkierki żył daleką od przyjemnej teraźniejszością, bez nadziei na przyszłość, a teraz odarto go z jedynej rzeczy, jaka mu została - ze wspomnień. Zdeptano je i zeszmacono. Czerń chmury pogłębiała się z przerażającą nieustępliwością. Nicky podjechał do szary z aktami, gdzie ukrył butelkę whisky. Tabletki przeciwbólowe miał w górnej szufladzie biurka. Wyjął fiolkę i wysypał pastylki na bibularz. Cała dopiero co zrealizowana recepta i te, które zaoszczędził na wypadek nadejścia takiego właśnie dnia, kiedy już nie będzie w stanie ciągnąć tego dłużej.

Nalał sobie pełną szklanę whisky, wsypał pierwszą garść tabletek do ust i popił.

OKO ZA OKO

387

Późno wieczorem znaleźli go Sophia i Bernard. Zaniepokoiili się, kiedy nie wrócił do domu, poszli do agencji i stanęli przed zamkniętymi drzwiami. Biuro wyglądało, jakby je normalnie zabezpieczono na noc. Ale kiedy je otwarli zapasowym kluczem, znaleźli w środku Nicka. Jego wózek stał przy biurku, a sam Nicky leżał na blacie. Sophia dostrzegła pustą butelkę whisky i szklanę, i niemal zachłysnęła się ulgą. Nicky zatopił smutki w alkoholu!

- Nicky! Jak można się tak spać!

Ale Bernard wypatrzył pustą fiolkę po tabletkach. W poszukiwaniu pulsu schwycił przegub Nicka i krzyknął na Sopię, żeby zadzwoniła po pogotowie.

- Po co? - zdenerwowała się Sophia. - Przecież on jest tylko pijany!

- Nie. Chyba nie żyje.

- O Boże! - Usiłowała podbiec do brata, ale nogi jej odmówiły posłuszeństwa i nie ruszyła się z miejsca. Była jak zmartwiała, porażona myślą, że Nicky umarł, i odrętwiała z bólu. Nie umiała go dotknąć, zimnego i sztywnego - to był przecież Nicky!

Ale kiedy już zadzwoniła po pogotowie, ruszyła chwiejnie do leżącego na biurku bezwładnego ciała. Miłość i smutek przełamały wewnętrzny opór. Podbiegła do brata, opadła na kolana i opierając się na jego bezużytecznych nogach, rozplakała się jak dziecko.

Rozdział dwudziesty piąty

Z całej rodziny Carteretów Catherine najbardziej przeżyła śmierć Nicka.

Lola właściwie nie była w stanie zrozumieć, co się stało - ledwie potrafiła zadbać o swoje najbardziej podstawowe potrzeby - a Sophia już dawno nabrała filozoficznego dystansu do okrucieństwa losu. Oczywiście, śmierć brata okropnie ją przybiła, z początku wręcz zdawało się jej, że nie zniesie już więcej smutków. Lecz nie była już zdolna do odczuwania tak wszechogarniającego żalu, jak wówczas, gdy dowiedziała się o śmierci Dietera. Przeszła już tak wiele, że jej wrażliwość stępiała. Poza tym miała teraz oparcie w Bernardzie i dwoje całkowicie od niej uzależnionych dzieci - nie mogła więc sobie pozwolić na rozpacz.

Dla Paula wiadomość o tym, że Nicky nie żyje, była potwornym wstrząsem. Z początku zadręczał się samooskarżeniami w przekonaniu, że to właśnie jego list popchnął brata do samobójstwa. Potem jego instynkt samozachowawczy wziął górę. Powiedział sobie, że nie miał nic wspólnego z odejściem Viv od Nicka. Romans brata z Viv zakończył się na długo przedtem, zanim Paul spotkał ją w Anglii, więc nie można go obarczać za nic winą. Poza tym, choć Paul się tego bardzo wstydził, w jego odczuciach po śmierci Nicka pojawił się element ulgi. Nie palił się bowiem do spotkania z Nickiem z Viv u boku, nie do pominięcia był

OKO ZA OKO

389

również fakt, że gdyby Nicky żył, Paul nigdy by się nie wyzwolił z lęku, że Viv kiedyś może go porzucić i wrócić do swej starej miłości. Nigdy nie zapomniał bólu i upokorzenia, jakich doznał tamtej nocy, gdy Viv wyznała mu, że wykorzystała go po prostu jako substytut Nicka. Obawa, że coś takiego mogłoby się znów powtórzyć, wisiała nad nim niby miecz Damoklesa, tak więc mimo że naprawdę bolał nad śmiercią brata-bohatera, jakaś częśćka jego jaźni ucieszyła się z pozbycia się potencjalnego rywala raz na zawsze.

Natomiast Catherine była niepokieszona. Ona uwielbiała Nicka; dla niej był on zawsze bohaterem, starszym bratem, który ją rozpieszczał i psuł. Paul zwalczył swe wyrzuty sumienia, lecz Catherine była przytłoczona poczuciem winy, absolutną pewnością, że ponosi całkowitą odpowiedzialność za to, co się stało.

- Nie możesz się oskarżać, Catherine - powtarzała jej Sophia. - To nie twoja wina.

Lecz Catherine tylko kręciła głową.

- Nie ma sensu, żebyś mi to mówiła, Sophio. To była moja wina. Gdybym mu nie powiedziała o dziecku...

- Samo to nie popchnęłoby go do odebrania sobie życia.

- Samo w sobie może i nie, ale to była ta ostatnia kropla. Tak, nie zaprzeczaj. I nic mnie nigdy nie przekona, że to nie tak.

- Wszyscy jesteśmy jakoś winni - przekonywała ją dalej Sophia. - Nie powinnam była go wtedy zostawiać samego. Powinnam też zdawać sobie sprawę ze stanu, w jakim był, i nie dopuścić do sytuacji, w której mógł sobie zrobić taki zapas środków przeciwbólowych. Już samo to uwalnia cię od winy - on musiał już dawno myśleć o samobójstwie, bo inaczej nigdy nie miałby tylu tabletek. Pewnie realizował recepty dużo częściej, niż to było konieczne i chował proszki na chwilę, w której już nie będzie mógł wytrzymać tego wszystkiego.

- Ale to ja go doprowadziłam do takiego stanu - nie dawała się przekonać Catherine. Mimo pogrążenia w straszliwej rozpacz, miała zupełnie suche oczy. Na początku nie chciała sobie pozwolić na płacz w przekonaniu, że jak raz zaczniesz, to już nigdy nie

Janet Tanner

przestanie. Lecz później, gdy już się jej wydawało, że oszaleje z nadmiaru nie wylanych łez, płakać już nie mogła. Poruszała się jak w półśnie, przytłoczona rozpaczą i smutkiem, niezdolna do jasnego myślenia.

W przeddzień pogrzebu poczucie winy i smutek przygniatały ją ze straszną siłą, Słyszając, jak Sophia wydaje przez telefon ostatnie dyspozycje dotyczące pochówku, Catherine przestała nad sobą panować. Wiedziała, że nie wytrzyma już ani chwili dłużej, więc bez słowa wybiegła z domu.

Mimo październikowej pory na dworze wciąż jeszcze było ciepło. Catherine szła powoli ze spuszczoną głową. Nie miała pojęcia, dokąd idzie, póki nie znalazła się na deptaku. Pojęła wówczas, że podświadomie zmierzała do La Maison Blanche, gdzie w dawnych czasach byli tacy szczęśliwi - wszyscy.

Teraz, po sezonie, hotel nie pracował już na pełnych obrotach. Pawilon, który niegdyś był ich domem, zamknięto, a niewielką grupę późnych gości obsługiwano i karmiono w głównym budynku. O tej porze dnia hall był pusty. Za kontuarem siedziała tylko Brenda, recepcjonistka, i ukradkiem czytała jakiś romans w tanim wydaniu. Kiedy pojawiła się Catherine, Brenda uniosła spłoszony wzrok, zawstydzona, że dała się przyłapać. Nie bardzo wiedziała, co należy mówić w obecności kogoś, kto niedawno stracił ukochanego brata.

- Och, panno Carteret, tak mi przykro... Ja...

- W porządku - odrzekła nieco nieobecny głosem Catherine. - Niczego nie potrzebuję. Ja tylko...

Nie kończąc zdania i nie zatrzymując się przeszła obok Brendy, która odprowadziła ją zalęknionym spojrzeniem. Catherine zawsze była tak skora do poplotkowania!

Catherine przeszła przez cały hotel i wyszła tylnymi drzwiami. Były otwarte, bo w dawnym kuchennym ogrodzie mieścił się teraz mały basen. Nie było w nim nikogo - woda wyglądała na bardzo zimną, a w październikowym słońcu lśniła chłodną, niebieską barwą. Catherine nie zwolniła kroku, minęła basen, przeszła przez miękki trawnik i skierowała się do najdalszego
OKO ZA OKO

539

narożnika ogrodu. Wysadzony był on teraz kwiatami i krzewami ozdobnymi, lecz wysoka, rozłożysta jabłoń wciąż stała przy ogrodzeniu. Było to to samo drzewo, na które co najmniej raz dziennie wspinali się kiedyś Nicky i Paul, a którego ścięciem ciągle groził Charles, twierdząc, iż wysysa ono z gleby wszystko, co najwartościowsze. Dziewczyna podniosła głowę i spojrzała w gałęzie jabłoni, przypominając sobie te chwile, gdy w pośpiechu zbierali z niego wszystkie pozostałe jeszcze owoce przed wymuszoną przez Niemców wyprowadzką z domu. Odniosła dziwne wrażenie, że wydarzenia owego roku oznaczały dla niej definitywny koniec dzieciństwa. Aż do tego czasu całe życie wydawało się być skąpane w blasku słońca - jak nie kończące się lata na Jersey. Problemy i kłopoty rozwiązywały się niemal same, równie łatwo, jak matczyne pocałunek koi ból w potłuczonym kolanie.

Podeszła do jabłoni, objęła ramionami jej pień i wtuliła twarz w chłodną, szorstką korę. Ale łzy nadal nie chciały popłynąć, choć pełne goryczy myśli i bolesne poczucie winy rozdzierały serce. W jej samotność wdarł się nagle suchy trzask pękającej gałązki. Catherine szybkim ruchem odwróciła głowę i kilka jardów od siebie dostrzegła młodego mężczyznę w swobodnym, sportowym ubraniu. Catherine była tak zatopiona w myślach, że na chwilę zapomniała, iż goście również mają teraz wstęp do ogrodu. Zaskoczona nie zdążyła się powstrzymać i spytała gniewnie:

- Kim pan jest? Co pan tu robi?

- Przepraszam, ja... - Urwał, przyglądając się jej badawczo. - Catherine, prawda? Jestem Jeff McCauley. Byłem przyjacielem Nicka. Przyjechałem na pogrzeb. Jeff McCauley! Ten, który był w szpitalu z Nickiem! Sophia napisała do niego list i zaprosiła go na Jersey w nadziei, że jego obecność jakoś pomoże Nicky'emu wygrzebać się z depresji. Ale Jeff nie przyjechał. Catherine poczuła falę niechęci, jakby mężczyzna był osobiście odpowiedzialny za śmierć Nicka.

- Trochę za późno pan przyjechał - odezwała się z goryczą.

Janet Tanner

Jeff McCauley wyglądał na zaszokowanego.

- Tak - odrzekł cicho. - Chyba tak. - Na chwilę zamilkł, jakby się wahając. - Przepraszam, że pani przeszkodziłem. Przykro mi z powodu tego wszystkiego. Pójdę sobie.

Odwrócił się i ruszył przed siebie, ale Catherine nagle uświadomiła sobie, że nie chce, żeby ten człowiek odchodził. Był przecież przyjacielem Nicky'ego z tych lat, przez które ona mogła tylko tęsknić za bratem.

- Przepraszam pana - zawołała za nim. - Nie powinnam była tak się do pana odzywać. Niech pan nie odchodzi. Proszę. Niech mi pan opowie o Nicku, kiedy był w wojsku. Proszę, niech pan o nim mówi!

Jeff, choć wyraźnie zaskoczony zmiennymi reakcjami Catherine, zatrzymał się i odwrócił.

- Noooo... Niewiele mam do opowiadania - zaczął trochę niezręcznie. - Nie znaleźliśmy się w armii. Spotkałem go dopiero w szpitalu. Od razu wiedziałem, że jest okropnie przygnębiony tym paraliżem. Chyba wszyscy się baliśmy czegoś takiego, a ja byłem jednym ze szczęśliwców. Ale i tak nigdy nie przypuszczałem, że Nicky mógłby... To był taki twardziel! To dowód, że nigdy nie wiadomo... - Znów urwał na dłuższą chwilę, a potem ciągnął: - Ja też miałem uszkodzony kręgosłup, ale dzięki Bogu nie zostałem okaleczony. Kiedy ja też jeździłem na wózku, często ścigałem się z Nickiem po szpitalnych alejkach.

- Kto wygrywał?

- Prawie zawsze on. Miał strasznie silne ręce. Mówił, że to od wiosłowania i pływania. Chryste! Nie mogę uwierzyć, że go już nie ma!

**- Ja też nie - bąknęła Catherine. Bolała ją głowa, lecz w jakiś dziwny sposób doznanie koncentrowało się za oczami, paląc
1 szczypiąc.**

- To był dobry kumpel, naprawdę dobry człowiek - ciągnął Jeff. - I mnóstwo myślał o was wszystkich, całej rodzinie, ale zawsze opowiadał o swojej małej siostrzyczce. Jego głos z coraz większym trudem docierał do Catherine.

OKO ZA OKO

542

Uświadomiła sobie, że zaraz zacznie płakać. Tak długo nie potrafiła pozbyć się tego nadmiaru łez, a teraz, przy kompletnie obcym człowieku, poczuła pierwszą wilgoć w oczach.

- Przepraszam - wybelkotała, chcąc gdzieś uciec i skryć się, ale nawet to jedno słowo zmieniło się w niepowstrzymany szloch. Zakryła twarz dłońmi i odwróciła się do drzewa, a łzy spływały z jej oczu palącym, gorącym strumieniem. Drażący ją od kilku dni ból gdzieś w środku zmienił się w falę spazmów, które wydawały się skręcać żołądek. Dziewczyna osunęła się na trawę i lkała jak dziecko.

Jeff stał i patrzył bezsilnie, nie wiedząc, co powinien robić. Po kilku minutach szlochy zaczęły cichnąć, lecz jej ramionami wciąż wstrząsały dreszcze.

- Przepraszam - bąknął Jeff. - Nie chciałem...

Catherine milcząco pokręciła głową. Nie patrzyła na niego. Kryjąc twarz zaczęła niezbornymi ruchami poszukiwać chusteczki, ale bez efektów. Jeff wydobył z kieszeni spodni czystą, równo zaprasowaną płachtę i nieco nieśmiało podał dziewczynie. Catherine wzięła ją bez słowa, wydmuchala nos, pochlipała jeszcze chwilę, znów wysiąkała nos.

- Naprawdę przepraszam... - mruknął znów.

- Nie, to ja przepraszam - przerwała mu zdecydowanym, choć drżącym i cichym głosem. Spojrzała na niego zapuchniętymi, czerwonymi oczami. - Zwykle nie wybucham płaczem w obecności kogoś, kogo nie znam.

- To jest chyba dość wyjątkowa sytuacja.

- Bardziej niż pan sobie wyobraża. Rozplakałam się po raz pierwszy, od kiedy to się zdarzyło.

- **I co, pomogło? Lepiej się pani czuje?**
- **Jeszcze nie. - Ponownie wysiąkała nos. - Ale może będzie lepiej.**
- **Mam nadzieję. Eeehm... Ja... mieszkam w La Maison Blanche, ale nie chcę się narzucać...**
- **Nie narzuca się pan - odrzekła szybko, i rzeczywiście tak myślała. To było jak odetchnięcie świeżym powietrzem - tak**

Janet Tanner

sobie porozmawiać z kimś, kto dobrze znał Nicka nie należąc do rodziny, kto bardzo go lubił, ale bez tego wszechogarniającego, emocjonalnego zaangażowania. Witalność Jeffa zdawała się w pewnym stopniu kompensować straszliwą pustkę, jaką wywołała w Catherine śmierć Nicky'ego.

- Niech pan nie odchodzi

- powiedziała więc. - Chyba że pan tego chce. Jeszcze choć chwilę.

- Nie śpieszy mi się nigdzie - odparł nieco weselej Jeff.

Opowiedział jej, że podobnie jak Nicky, został ranny w ostatnich walkach nad Kanalem, tuż przed ostatecznym upadkiem Francji. Od zakończenia wojny wykonywał już najróżniejsze prace, bo nigdzie nie umiał się przystosować. Teraz jako technik obsługiwał maszyny i urządzenia biurowe w Londynie.

- Nie wiem, na jak długo przy tym zostanę - mówił.

- Uwielbiam otwartą przestrzeń, ale nadal mam lekkie kłopoty z kręgosłupem, a poza tym muszę z czegoś żyć. A pani? Co pani robi?

- Jeszcze nie skończyłam szkoły. Ale w przyszłym roku chcę iść do college'u, a potem zostać nauczycielką.

- Uczyć? Taka pani mądra?

Powiedział to jakoś tak dziwnie, że nie zabrzmiało to ani jak kpina, ani jak obraza. Catherine lekko się zaczerwieniła.

- Nnnie... Ale lubię dzieci i zawsze chciałam być nauczycielką.

- Żałuję, że ja nie jestem mądry. W szkole nigdy nie dawałem sobie rady. Ciągle miałem jakieś kłopoty.

Uśmiechnęła się. Chciała mu powiedzieć, że bycie mądrym

- czy inteligentnym - nie jest znowu takie ważne, ale obawiała się, że to zabrzmie nieco protekcjonalnie.

I nagle rozmowa sama powróciła w nieunikniony sposób na temat Nicka.

- Szkoda, że nie przyjechałem do niego od razu potem, jak pani siostra do mnie napisała - powiedział Jeff. - Strasznie mnie

OKO ZA OKO

545

to gryzie. Ale miałem sam wtedy tyle własnych problemów... Może gdybym przyjechał, coś bym pomógł. W końcu ja też przez to przeszedłem i rozumiem... Nigdy sobie nie wybaczę, że nie wyrwałem się wtedy!

- Takie myślenie nie ma sensu - rzekła Catherine, zapominając, że jeszcze kilka minut temu sama nienawidziła go właśnie z tego powodu. - Ja też sobie okropnie wyrzucam, że chlapnęłam coś bezmyślnie. Ale mam wrażenie, że kiedy ktoś umrze, jego rodzina i przyjaciele zawsze tak myślą. Że gdyby coś zrobili albo powiedzieli, ten ktoś mógłby jeszcze żyć. Ale to chyba nieprawda. Nikogo nie można winić.

- Może ma pani rację.

- Jestem pewna, że tak. Choć sama nie zdawałam sobie z tego sprawy jeszcze przed chwilą. I byłam wściekła. Wściekła na siebie za to, co powiedziałam, wściekła na Paula i Viv, wściekła na Boga, że do tego dopuścił, nawet na Nicky'ego.

- A teraz już pani nie jest zła?

- Teraz nie. Teraz czuję się rozluźniona. Może jutro znowu będę wściekła?

- Na pogrzebie? Pokiwała głową.

- Jeff - powiedziała. - Dziękuję, że pan tu ze mną stał. I słuchał. I za to, co pan mówił. Nie wiem, co bym bez pana zrobiła.

- Nie ma za co. - Nagle wyglądał na zażenowanego. - Ja naprawdę nic takiego nie zrobiłem. Catherine, jeżeli pani przyjedzie do Anglii na studia nauczycielskie, odwiedzi mnie pani, prawda? Chciałbym panią jeszcze kiedyś zobaczyć, tylko...

Urwał. Dziewczyna świetnie zrozumiała, o co mu chodzi. Zapewne zostaną bardzo dobrymi przyjaciółmi, ale to nie był czas ani miejsce na rozmowę o tym.

- Z przyjemnością, Jeff - mruknęła. -1 jeszcze raz dziękuję. Uśmiechnął się krótko, skinął głową i odszedł. Catherine

jeszcze raz się rozplakała, ale teraz łzy nie były już szczypiące. Były przyjemne i pomagały. Potem też poszła do domu.

Janet Tanner

Viv nie była pewna, czy powinna jechać na pogrzeb. I chciała, i nie chciała. Bała się spotykać z resztą rodziny Nicky'ego, obawiała się tego, co powiedzą ludzie, a najbardziej lękała się własnych emocji.

W końcu doszła do wniosku, że jechać powinna, ale nie z Paulem.

- Dlaczego nie? - spytał Paul podejrzliwie. Natychmiast wróciły wszystkie zastarzałe kompleksy i poczucie niższości wobec Nicka. Paul wstydził się tych uczuć, ale nie umiał ich zwalczyć. -

Dlaczego nie miałabyś iść razem... - Urwał, bo chciał powiedzieć „ze mną”, ale się ugryzł w język. Dokończył zamiast tego: - ...z rodziną?

- Myślę, że nie będą tego chcieli.

- Bzdury!

- Nie, to nie bzdury. Nigdy mnie nie lubili. A teraz mnie musieli znienawidzić.

- Jestem pewny, że to nieprawda. Ja cię nie nienawidzę. Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

- To jednak coś innego, prawda? Nie, nie mogę iść razem z rodziną. Nie mam prawa. Jeszcze tylko potrzeba, żeby przeze mnie zrobiła się atmosferka. I tak wszyscy muszą być w okropnych nastrojach.

- Skoro tak uważasz, to chyba nic nie jestem w stanie poradzić.

- To prawda.

- A później?

- Zobaczymy.

Paul znów poczuł ukłucie znajomego lęku.

- Jeśli rzeczywiście masz zamiar za mnie wyjść, rodzina prędzej czy później będzie musiała przyzwyczać się do widoku nas razem.

- Może. Ale jeszcze nie tym razem.

- Ale chyba nadal masz zamiar wyjść za mnie za mąż? Zaproponował jej to dwa tygodnie wcześniej, tuż przedtem, zanim napisał do Nicky'ego ten list, który miał być początkiem operacji stopniowego przygotowywania wszystkich - a szczególnie

OKO ZA OKO

548

Nicka - do myśli o małżeństwie Paula i Viv. Zaproponował jej to wtedy, a ona się zgodziła i wyglądało na to, że Viv naprawdę tego chce. Ale teraz znów dziwacznie się zachowywała, więc wszystkie stare wątpliwości zaczęły ponownie krążyć Paulowi po głowie. Czy zgodziła się tylko dlatego, że była to najlepsza z rysujących się obecnie przed nią możliwości? Nie sprawiała wrażenia szczególnie uszczęśliwionej „karierą” sceniczną, statystowaniem, pozbawionym entuzjazmu wyczekiwaniem na „prawdziwe rozpoczęcie sezonu” i „prawdziwą rolę”. Nie mówiąc już o tym, że dochody z tej pracy absolutnie nie zapewniały jej takiego poziomu życia, do jakiego była przyzwyczajona od dziecka. Jej ojciec, choć zdecydowanie zaczynał znów odbijać się od dna po katastrofie finansowej, nie był jeszcze w stanie wspomagać córki, która z kolei nigdy nie potrafiła zaoszczędzić choć jednego funta. Paul nie chciał o tym myśleć, ale Viv zaczęła go traktować poważnie dopiero wtedy, gdy opowiedział jej o planowanym rozszerzeniu działalności rodzinnej firmy. Co gorsza, choć nie przyznawał się do tego nawet przed sobą samym, powstrzymywał się przed proponowaniem jej małżeństwa do chwili, kiedy wysłuchała do samego końca jego własnych planów na przyszłość - że po wystąpieniu z RAF-u powróci na Jersey i włączy się do pracy w planowanym przez Bernarda łańcuchu luksusowych hoteli.

- Myślę, że stary dobry Bernard dobrze planuje - powiedział wtedy Viv. - Transport już potaniał i będzie wkrótce jeszcze tańszy, a wtedy turyści zaczną walić na Jersey tabunami. Powinniśmy więc myśleć szeroko i wyciągać z tego, ile się da.

- A co ty miałbyś tam robić?

- Oczywiście pomagać w prowadzeniu firmy. Nie zapominaj, że jestem właścicielem jednej czwartej wszystkiego, a dotąd Bernard i Nicky ciągną wspólnie cały ten biznes. Nie wiem, jak sobie radzi Nick, a Bernard nie ma zielonego pojęcia, jak powinien wyglądać hotel naprawdę wysokiej klasy. To znaczy - sama popatrz, skąd on się wywodzi! Na miłość boską, dziwię się, że umie jeść nożem i widelcem! A gdybym do nich dołączył,

550

Janet Tanner

mógłbym tak zorganizować firmę, żeby wszystko było jak najlepsze. - Spojrzał na nią spod oka.

- Oczywiście, z twoją pomocą.

- Moją?

- Ty wiesz wszystko o życiu towarzyskim i towarzystwie, Viv. Byłabyś nieocenioną pomocą pod każdym względem.

- Czyżbyś mi proponował pracę?

- Tak. Chyba że...

- Że co?

- Że wolałabyś wyjść za mnie za męż.

- Tak.

- Co „tak“?

- Tak, wolałabym wyjść za ciebie za męż.

- Boże święty!

- Paul, mam dwadzieścia osiem lat! Wątpię, czy mam szansę na lepszą propozycję. Podoba mi się, oczywiście, myśl o nadzorowaniu dekoracji wewnątrz dla hoteli - o ile właśnie taką pracę mi proponujesz - a poza tym... lubię cię. Męczy mnie tylko jedno - czy nadal będę cię tak lubić, kiedy zostaniesz cywilem. A może to tylko ten mundur tak mnie rajcuje?

Roześmiał się. Co prawda nie wiedział, ile w jej wypowiedzi było szczerości, a ile miało stanowić dowcip, ale sama zgoda tak go uradowała, że niczym więcej się nie martwił. Zaczął się zastanawiać dopiero później. Nigdy nie był pewny reakcji i postępowania Viv, był to jeden z powodów, dla których tak go pociągała. Pewny był tylko jednego - że ją kocha do bólu. Chciał ją pokazać całemu światu jako swoją, ale miał paskudne przeczucie, że Viv nigdy nie będzie jego w takim stopniu, jak była Nicky'ego.

A poza tym, co Nicky'emu po tym przyszło? Kiedy się stało to, co się stało i Nicky przestał już być jej wyśnionym rycerzem w złotej zbroi, po prostu go opuściła. Viv nie znajdowała czasu na wyblakłe atrakcje. I kiedy nadejdzie czas, jego potraktuje z tą samą bezwzględnością.

Ta świadomość przyprawiała o nudności, ale w niczym nie

OKO ZA OKO

399

zmieniała sytuacji. Miał na jej tle obsesję; musiał udowodnić samemu sobie, że zostanie z nim, choć opuściła Nicka. Udowadnianie musiał zacząć od zaraz - będąc na pogrzebie z nią u boku.

Tyle że ona nie chciała się poddać regułom gry.

Wieczorem w przeddzień pogrzebu Nicka Paul poszedł się upić. Jeszcze w czasie wojny nauczył się, że zapomnienie - choćby chwilowe - można znaleźć tylko w butelce. Ze kiedy w żyłach płynie wystarczająco dużo alkoholu, można rozluźnić napięte nerwy, zapomnieć o utracie przyjaciela, o lęku o własną przyszłość. Tej nocy poszedł wypróbować działanie tej metody na problemach czasu pokoju. I nie tylko pił. Zagrał też kilkanaście rozdań pokera z kilkoma kolegami. Zaczął z pięcioma funtami w kieszeni, a wyszedł z pokaźnym plikiem banknotów. Wtedy też poznał drugą prawdę - że jeśli alkohol nie daje rady jakiemuś problemowi, pomocna jest wygrana w karty.

Był to pierwszy raz w jego życiu, kiedy ukojenie dręczącego poczucia niepewności wymagało aż takich zachodów. Ale z pewnością nie miało być ostatnim.

Rozdział dwudziesty szósty

Jersey, 1991

Juliet przez większość nocy nie spała. Była zbyt pobudzona. Ciało jeszcze odczuwało podniecenie, a zmysły nie zdążyły się uspokoić. Poza tym nie dawały jej spokoju zażenowanie i wyrzuty sumienia - że zdradziła (i nadal zdradza) Seana. A kiedy już rozbudzone w niej przez Dana podniecenie nieco opadło, do głosu doszły reminiscencje pozostałych wydarzeń tego wieczoru. Głowę wypełniły pędzące jak oszalałe myśli i pytania bez odpowiedzi.

Doszła do wniosku, że nigdy nie zapomni reakcji Viv na wypowiedziane imię Louisa. Biorąc pod uwagę stan, w jakim była wtedy Viv - a była naprawdę bardzo pijana - nie można było nie dostrzec siły kryjących się pod tym wybuchem uczuć. Nienawidziła Louisa - i to nadal, po niemal dwudziestu latach od jego śmierci - z obsesyjną siłą. Czy możliwe, żeby Viv miała coś wspólnego z tym zabójstwem? Paul był winien Louisowi ogromną kwotę i gdyby musiał spłacić ten dług, zapewne zostałby zrujnowany. Śmierć Louisa stanowiła więc dla niego ratunek. Ale czy Viv lub Paul byliby zdolni do zabicia Louisa? Juliet zadrżała. Jej babka twierdziła przynajmniej, że był to wypadek. Gdyby faktyczną odpowiedzialność ponosiło jedno z tych dwojga, mowa byłaby już tylko o morderstwie z zimną krwią.

Lecz byli przecież i inni, którzy go nienawidzili - ot, choćby ten Raife Pearson, z którym Louis pokłócił się w wieczór swej śmierci. Dan powiedział, że Raife w żaden sposób nie mógł zabić

OKO ZA OKO

401

Louisa, a sama Juliet wykluczyła pomysł, jakoby Raife wynajął kogoś do załatwienia tego za niego. Byłoby to zbyt naciągane. A jednak gdyby...? Gdyby tak właśnie było - klótnia, tej samej nocy wynajęcie cyngla, zabójstwo... Gdyby można było znaleźć jakiś ślad... Cudownie byłoby uwolnić po tylu latach od podejrzeń, oskarżeń i winy nie tylko babkę, ale za jednym zamachem i całą rodzinę!

Przysnęła dopiero nad ranem, męczona zaskakująco wyrazistymi snami. Kiedy się obudziła, pokój był jasno oświetlony promieniami słońca. Zegarek przy łóżku wskazywał dziewiątą, więc Juliet wyskoczyła z łóżka i szybko się ubrała. Postanowiła, że prysznic weźmie później. David już dawno wyszedł do biura, a Sophia jak zwykle jadła lekkie śniadanie w łóżku, więc w pokoju śniadaniowym była tylko Debora. Gdy weszła Juliet, Debbie z uśmiechem uniosła wzrok znad gazety, a Juliet znów pomyślała, jak piękną jej ciotka jest kobietą. Nie miała rozpraszać uwagi makijażu, a włosy związała szyfonową szarfą z tyłu głowy, nic więc nie przeszkadzało w kontemplacji idealnych rysów jej twarzy. Jedwabna podomka tylko podkreślała wspaniałe proporcje jej figury.

- Wyglądasz na zmęczoną - zagaiła. - Siadaj i napij się kawy.

- O, tak, tego mi trzeba! Właśnie się obudziłam, ale jestem półprzytomna.

- Późno wczoraj wróciłaś - powiedziała Debora, nalewając jej kawy do filiżanki. - Dobrze się bawiłaś z Paulem i Viv?

- Wspaniale. - Juliet wlała sobie trochę mleka. Miała nadzieję, że Paul i Debora nie będą porównywać wiadomości na temat godzin jej wyjść i powrotów. Bo Viv zapewne nie bardzo zdawała sobie sprawę, o której ich opuściła. - Fajni są, prawda?

- Hrnmm. Nooo, Paul, owszem. Ale nie jestem taka pewna, czy wobec Viv użyłabym właśnie słowa „fajna”. Chociaż zapewne była z niej kiedyś naprawdę wspaniała kobieta.

- Do tej pory tak jest. Trudno uwierzyć, że jest w wieku babci.

- Sądzę, że jest starsza. Ale Sophia właściwie nie ma wieku - szczególnie biorąc pod uwagę to wszystko, co przeszła.

Janet Tanner

- Ty chyba naprawdę darzysz babcię uczuciem, co? - rzuciła Juliet, smarując masłem tost.
 - Uwielbiam ją - odparła krótko Debbie. - Jest jedyną osobą, do której chciałabym być podobna. To może byś mi pomogła oczyścić ją z winy, chciała powiedzieć Juliet, ale się opamiętała. Koniec pytań. Koniec poszukiwań. Najwyżej jeszcze jedna wizyta u człowieka, który się kłócił z Louisem tuż przed jego śmiercią. O co Raife Pearson kłócił się z Louisem...?'
 - Chcesz jeszcze kawy? - spytała Debora. - Chyba jeszcze jest w ekspresie.
 - Dzięki. - Juliet podała jej filiżankę i wgrzyła się w tost.
 - Czy znasz Jersey Lily Night Club?
- Przez ułamek sekundy Debora sprawiała wrażenie zastygłej. Oczy rozszerzył jej szok - a może lęk? Ten wyraz twarzy trwał króciutko, jakby uchwycony w obiektywie aparatu fotograficznego, po czym Debora znów była rozluźniona, swobodną i uśmiechniętą kobietą.
- A do czego, na Boga, jest ci to potrzebne?
 - Och, gdzieś to usłyszałam. Wydało mi się interesujące
 - odparła swobodnie Juliet, w myślach karcąc się wściekle: „Cholera! Znowu kłamię!”
- Debora wyraźnie się uspokoiła.
- O, tak, brzmi naprawdę świetnie. Ale jak na nocny klub jest bardzo przyzwoitym miejscem, podobnie jak wszystkie nocne lokale na Jersey. Jesteśmy tu wszyscy bardzo stateczni. Akurat tam mają chyba naprawdę dobre występy. Ten klub jest bardzo popularny wśród turystów.
 - Gdzie to jest?
 - Na przedmieściach St Helier. Kiedy jedziesz stąd do miasta, praktycznie przejeżdżasz obok. Ma ogromny, neonowy napis Jersey Lily" w okropnym guście, ale najwyraźniej to przyciąga gości.
 - A więc nie jest to żadna konkurencja dla imperium rodziny Langlois?

OKO ZA OKO

555

- Nie, na miłość boską! To zupełnie inna klasa. Choć zapewne słyszałaś, że Louis miał wielką ochotę zająć się czymś takim. To było jednym z powodów spięć pomiędzy nim a resztą rodziny. Powiedziała to bardzo swobodnie, ale w jej oczach czaiła się jeszcze ta dziwaczna mieszanina ostrożności i lęku, a gdy stawiała na stole dzbanek z kawą, jej dłoń lekko drżała. Juliet pojęła, że ta rzucona mimochodem uwaga o Louisie była raczej obroną przez atak, niż stwierdzeniem faktu. Debora musiała się zorientować, że Juliet gdzieś usłyszała o powiązaniach Louisa z tym klubem i postanowiła szybko uciąć wszelkie rozważania. Lecz to wszystko tylko utwierdziło Juliet w przekonaniu, że jednak ciotka chce coś ukryć.

- To znaczy, że Louis chciał otworzyć nocny klub?

- Nawet on sam chyba nie umiałby ci powiedzieć, czego jeszcze chciał. - Debora zerknęła na zegarek. - Juliet, będziesz musiała mi wybaczyć, ale do mojej wizyty u fryzjera zostało mniej niż godzina. - Wstała od stołu. Juliet stwierdziła, że ciotka ma na nogach dopasowane kolorystycznie do podomki przepiękne pantofle na wysokim obcasie. - Znajdziesz potem chwilę, żeby zajrzeć do Sophii?

- Oczywiście, że tak - odparła poirytowana Juliet. Czy nie po to właśnie przejechała, pół świata, żeby spędzić trochę czasu ze swoją babką i resztą rodziny? Lecz podenerwowanie zniknęło szybko, bo Juliet uświadomiła sobie, że Debbie nie miała zamiaru być uszczypliwa. Po prostu czuła się bardzo odpowiedzialna za Sophię. To musi być miłe, pomyślała Juliet, wiedzieć, że choć jedna z synowych naprawdę się troszczy. David i Debora trwali przy Sophii wtedy, gdy ich najbardziej potrzebowała. Dla zatarcia ewentualnego złego wrażenia Juliet szybko dodała łagodnym głosem: - Nie martw się, zaopiekuję się nią.

Dzień dobry, babciu!

- Juliet! Dzień dobry, kochanie! - Sophia podobnie jak Debora nie była jeszcze ubrana. Miała na sobie długą podomkę z inten

Janet Tanner

sywnie niebieskiego sztruksu. Siedziała przy biurku pod oknem i sortowała poranną pocztę, robiła notatki w ogromnym, oprawnym w skórę terminarzu i składała korespondencję na schludne stosiki. Wyglądała bardzo dobrze, po tamtej okropnej bladości nie zostało już ani śladu. - Brakowało nam ciebie wczoraj przy kolacji! Wiesz, już teraz obawiam się twojego powrotu do Australii.

- Będę często przyjeżdżała z wizytą - obiecała Juliet.

- Tym razem na pewno moja nieobecność tu nie potrwa dziewiętnaście lat.

Sophia uśmiechnęła się blado.

- Teraz tak mówisz, bo tu jesteś. Kiedy wrócisz do domu, wszystko będzie wyglądało inaczej. Z jednej strony będziesz miała swoją nową pracę, a z drugiej swojego młodego męża. On może mieć wtedy sporo do powiedzenia na temat twoich podróży dookoła świata.

- Nie będzie mu to przeszkadzało. Nie mamy takich układów

- odparła Juliet, ale na samą myśl o stałym związku z Seanem zrobiło jej się jakoś dziwnie.

Miała niemal wrażenie klaustrofobii.

- Jak było wczoraj u Paula i Viv? - spytała Sophia, zmieniając temat. Zaczęły plotkować i - jak zwykle w takich sytuacjach

- różnica wieku pomiędzy nimi zdawała się znikać.

- Masz jakieś plany na dzisiaj? - chciała wiedzieć babka, kiedy już skończyły mówić o niezbyt udanej kolacji.

- Chciałabym pojechać do St Helier i zrobić trochę zakupów

- odrzekła Juliet, zawahała się i dodała: - Przyglądałam się nazwom różnych miejsc. Wszystkie są jakieś takie... egzotyczne. Francuskie i niefrancuskie zarazem.

- No cóż, wyspa miała różne dzieje.

- Widziałam już najróżniejsze nazwy. Bóg wie ile domów i hoteli o nazwie Bergerac. Wytłumaczono mi, że to od jakiegoś telewizyjnego bohatera. I klub nocny o nazwie Jersey Lily. To od Lily Langtry, prawda?

Mówiąc to Juliet obserwowała uważnie Sopię, poszukując w jej twarzy tej samej reakcji, jaką nazwa wywołała u Debory. Sophia jednak lepiej panowała nad sobą - owszem, reakcja

OKO ZA OKO

405

nastąpiła, ale o wiele mniej zauważalna. Jej ametystowe oczy przesłonił na moment jakiś leciutki cień, a mięśnie szyi na sekundę stężały. Ale odpowiedziała lekko i swobodnie.

- Lily Langtry. Tak, chyba tak, chyba właśnie dlatego tak go nazwano.

- Tak właśnie myślałam - bąknęła Juliet, nagle zawstydzona, że w ogóle o tym wspomniała, bo Sophia zareagowała zupełnie inaczej niż Debbie - nie spłoszonym lękiem, lecz ciemnym smutkiem. Po prostu jak matka, której syn tuż przed swą śmiercią był w Jersey Lily Night Club. A jednak zdecydowała, że wytrwa w swym postanowieniu. Zanim zapomni o całej tej okropnej sprawie, pojedzie do Jersey Lily i spróbuje wykryć związki klubu ze śmiercią Louisa.

Jersey Lily Night Club mieścił się obok głównej drogi do St Helier, dokładnie tak, jak to opisała Debora. Juliet nie potrafiła zrozumieć, jakim cudem nie zauważyła go do tej pory, ale pocieszyła się, że zapewne z powodu koncentrowania się na kierowaniu autem.

Wjechała na ogromny, wyasfaltowany parking i przyjrzała się budynkowi. Był ozdobiony niewymyślnymi sztukateriami, pomalowany na niebiesko i zwieńczony tym gigantycznym, neonowym napisem. Mówiąc krótko, w każdym calu coś dla turystów. Juliet częściowo zaczęła rozumieć Louisa i jego chęci do wejścia w taki interes. Lecz rozumiała także doskonale resztę klanu Langlois z ich skłonnościami do luksusów i dobrego smaku. Dla nich coś takiego jak Jersey Lily było absolutnie nie do przyjęcia.

Ale czy Louis chciał tylko naśladować Raife'a? Może było w tym coś więcej? Może Louis dążył do wepchnięcia się na siłę do arcydochodowego przedsięwzięcia? A Raife nie miał na to najmniejszej ochoty - i oponował tak silnie, że przyjaciele się okropnie pokłócili. Przecież taka możliwość istniała - i nie przeczyłoby jej nawet stanowcze zapewnienie Dana o związkach Pearsona ze śmiercią Louisa.

Janet Tanner

A może czepiam się tej myśli tylko dlatego, że jest dla mnie wygodna, myślała Juliet. Jeśli Raife był jakoś wplątany w strzelaninę, a Debora o tym wie, to dlaczego nigdy o tym nie pisała? Juliet wysiadła z samochodu i podeszła do wejścia klubu. Po obu stronach szerokich, przeszklonych drzwi wisiały olbrzymie fotosy gwiazd telewizyjnych, które występowały w nocnym programie klubu. Same drzwi okazały się jednak zamknięte naглуcho, więc dziewczyna obeszła budynek w poszukiwaniu jakiegoś innego wejścia. Dokładnie z tyłu klubu natknęła się na wąskie, pomalowane na niebiesko, otwarte na oścież drzwi i weszła do środka. Po blasku przedpołudniowego słońca ukryty za drzwiami korytarz wydawał się wręcz mroczny. W powietrzu wisiał zaduch zastarzałego papierosowego dymu. Małe pomieszczenie po lewej stronie od wejścia było puste - choć zapewne powinien tu siedzieć portier, strzegący wejścia dla artystów, ale gdzieś w głębi klubu pobrzmiwały dźwięki muzyki. Juliet ruszyła korytarzem, przy każdym mijanych drzwiach naciskając klamkę, lecz wszystkie pokoje były zamknięte. Ponieważ dudnienie perkusji dobiegało już z bardzo bliska, przestała naciskać klamki i poszła w stronę, skąd dochodziła muzyka. Po prawej stronie dostrzegła zasłaniającą przejście ciemnoczerwoną kotarę. Odsunęła ją i znalazła się w głównym pomieszczeniu klubu. Rozejrzała się szybko i dostrzegła, że sala jest dość wyraźnie podzielona funkcjonalnie - były tam: duża, pusta przestrzeń, mająca zapewne służyć jako scena, dwie trzecie pomieszczenia zastawione krzesłami i stolikami i wreszcie długi, świetnie zaopatrzony i wyposażony bar. Sala była oświetlona mdłym, nieco przytłumionym światłem elektrycznym. W rogu siedział młody mężczyzna. Miał włosy do ramion, ciemne okulary - ciemne okulary? tutaj? - i jakby od niechcienia pogrywał w samotności na perkusji. Juliet podeszła do niego. - Szukam Reife'a Pearsona.

- Reife'a? Zobacz w biurze. Wiesz, gdzie to jest? Z powrotem korytarzem, którym przyszedł, pierwsze drzwi na prawo. - Zsunął nieco okulary i obejrzał ją dokładnie. - Przyszedł na próbę?

OKO ZA OKO

407

- Nie.

- Aha. - Powrócił do swojej perkusji, ale teraz zaczął wystukiwać miękki, delikatny, swingowy rytm.

Zgodnie ze wskazówkami Juliet zawróciła do korytarza. Na opisanych przez perkusistę drzwiach nie było żadnej tabliczki ani w ogóle niczego, co by je odróżniało od pozostałych.

Zapukała jednak.

- Proszę! - usłyszała po chwili.

Pchnęła drzwi. Za wielkim, dębowym biurkiem siedział mężczyzna o śniadej, śródziemnomorskiej karnacji i trzymał przy uchu słuchawkę telefoniczną. Ruchem ręki kazał jej czekać. Dłoń miał wymanikiowaną i upierścienioną, od skrytego w mankiecie koszuli nadgarstka aż po kłykcie pokrytą gęstymi, czarnymi włosami.

Juliet rozejrzała się po pomieszczeniu. Plakaty, fotosy, kilka grubych segregatorów - wszystko dokładnie tak, jak można było się spodziewać po biurze właściciela klubu nocnego.

- Już przyjąłem.

Dziewczyna podskoczyła. Patrzył wprost na nią, wciąż trzymając przy uchu słuchawkę, ale zakrywał dłonią mikrofon.

- Przepraszam, pan mówił do mnie?

- Przyszedł w sprawie pracy, tak? Barmanka. Już kogoś przyjąłem.

- Nie. Nie szukam pracy.

- Szkoda - mruknął, obrzucając jej sylwetkę profesjonalnym, lecz pozbawionym lubieźności wzrokiem. - Dla ciebie mógłbym coś znaleźć... - Urwał, bo w słuchawce znów zachrząścił czyjś głos. Raife wysłuchał go do końca, burknął coś niecierpliwie i odłożył słuchawkę na widelki.

- Chciałam z panem porozmawiać. - Juliet była zdenerwowana, ale zdecydowana za wszelką cenę tego nie okazywać.

- Aha, a o czym?

- Louis Langlois.

Zacienione gęstymi, czarnymi brwiami oczy zwężyły się w szparki.

563

Janet Tanner

- Louis? Ale przecież on nie żyje od prawie dwudziestu lat!

- Tak. Wiem.

- Jego matka odsiedziała wyrok za zabicie go.

- Tak, to też wiem. Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem Juliet Langlois, córka Robina. Louis był moim stryjem.

Pearson zaśmiał się krótko.

- Córka Robina, tak? Hi hi hi, kto by to pomyślał? On zdaje się prysnął gdzieś po śmierci Louisa? Do Stanów, tak?

- Do Australii.

- A teraz wróciła...ś... Wróciła pani na Jersey? Pani starsza musi być szczęśliwa, co? Muszę powiedzieć, że czuję się zaszczycony. Nie wiedziałem, że jestem na liście towarzyskich kontaktów państwa Langlois. - Nuta sarkazmu w jego głosie była wyraźna i niewymuszona. Ale Juliet postanowiła nie reagować na zaczepki.

- Jak rozumiem, znał pan Louisa.

- No i co z tego?

- Był pana przyjacielem?

- Nie powiedziałbym, że akurat przyjacielem. Byliśmy kumplami od kielicha. I bylibyśmy kumplami w interesach, gdyby Louis dostał to, czego chciał.

- Chciał zostać pana współnikiem, tak? - spytała Juliet, pamiętając o swoich przemyśleniach.

- Skąd pani wie? Tak, Louis miał kilka pomysłów. Trochę za dużych jak na Jersey. Ta wyspa to strasznie zatechła dziura. Nadęta i - jak tu lubią to określać - stateczna.

To słowo obudziło w Juliet jakieś echa. Ktoś już dzisiaj użył takiego określenia. Ale kto?

Debora, przy śniadaniu. Ona też powiedziała, że Jersey jest stateczne.

- Jasne, wtedy byliśmy jeszcze młodzi i pełni optymizmu - ciągnął Raife. Wygrzebał spośród niedopalków w popielniczce na w pół wypalone cygaro, wsadził je do ust, pyknął kilka razy, a gdy się rozpalilo, przesunął je w kącik ust. - Louis i ja chcieliśmy wejść w kasyna. Ja właśnie zacząłem z Jersey Lily, a on kontrolował hotele Langlois - no, praktycznie tak było. Jego OKO ZA OKO

409

ojciec przed śmiercią podzielił udziały firmy pomiędzy Louisa i jego braci. Louis mógł robić, co chciał, bo pani ojciec tańczył zawsze tak, jak grał Louis, a David był za młody, żeby się kłócić. Myśleliśmy, to znaczy Louis i ja, że zbijemy majątek, jeśli zmienimy Jersey w Las Vegas.

- Ale przecież tutaj hazard jest zabroniony?

- Mówiłem już pani, byliśmy młodzi i pełni optymizmu. Myśleliśmy, że zdołamy to zmienić i od razu na starcie wejdziemy w coś nowego i cholernie dochodowego. To nie miało szans, ale takie były nasze marzenia.

Uśmiechnął się do niej; w jego szczerej postawie coś zgrzytało. Może sprawił to sposób, w jaki zerkał na nią i zaraz uciekał wzrokiem, a może wydawało się tak dlatego, że wciąż tkwiące między zębami cygaro zmieniało uśmiech w grymas.

- Czy powiedziałem to, co chciała pani wiedzieć? Juliet, tak?

- Tak, Juliet. Owszem, pomógł mi pan, ale mam jeszcze jedną sprawę. Louis był tu tej nocy, gdy zginął, prawda?

Raczej wyczuła niż dostrzegła jego reakcję. Raife nie zmienił wyrazu twarzy, lecz jego ton wyraźnie oziębł.

- A co to ma znaczyć?

- Słyszałam, że pan i Louis pokłóciliście się tamtej nocy. O kasyna?

Pearson przestał się huśtać na krześle. W jego postawie pojawiło się coś nieuchwytnie wrogiego.

- A niby jak, do ciężkiej cholery, mam pamiętać po dwudziestu latach, o co się pokłóciliśmy? A właściwie po co to pani?
 - Usiłuję dowiedzieć się prawdy o śmierci mojego stryja - odrzekła nie owijając w bawełnę. - I nie wierzę, że pan zapomniał, o co się kłóciliście. Biorąc pod uwagę okoliczności, jest to coś, co z pewnością utkwilo panu w pamięci.
- Raife gwałtownie wstał, odsuwając krzesło. Nie był wysoki, ale w jego krępej sylwetce tkwiła jakaś siła, coś przerażającego, jakby czysta potęga osobowości.**
- Proponuję, panno Juliet Langlois, żeby pani wróciła do Australii i pilnowała swoich interesów.

Janet Tanner

Ciało Juliet tętniło adrenaliną, lekko drżały jej dłonie. A więc jednak! Jednak jest w tym coś!

- Moja babcia siedziała w więzieniu za zabicie stryja Louisa, panie Pearson - powiedziała chłodno i spokojnie. - A moja rodzina rozpadła się w wyniku tego wszystkiego. Tak więc, jak pan widzi, to jest mój interes.

Pearson patrzył na nią przez chwilę w zupełnym milczeniu. Potem, zupełnie niespodziewanie, roześmiał się - i to dość szczerze.

- A więc przyszedł tu, młoda damo, oskarżyć mnie o zabicie Louisa, tak? Przykro mi, moja droga, ale to zły adres. Owszem, klóciłem się z Louisem i z tego powodu byłem przesłuchiwany przez policję, mimo że Sophia się przyznała. Ale nigdy nawet przez chwilę nie byłem podejrzanym. Przez cały tamten wieczór byłem w klubie, pełnym świadków. Mogą to potwierdzić nawet teraz, jeżeli to konieczne. A jeśli chodzi o motyw, cóż, ja żadnego motywu nie miałem. Louis i ja byliśmy przyjaciółmi.

- Dopiero co powiedział pan, że nie byliście.

- Dobra, ale z pewnością nie byliśmy wrogami. Jak już mówiłem, mieliśmy plany na przyszłość. Tamtej nocy pokłóciliśmy się tylko dlatego, że nie zgadzaliśmy się co do sposobów wcielenia ich w życie. A gdyby pani szukała kogoś z motywem, to mogę pani podrzucić jedno nazwisko.

Kogoś, kto miał naprawdę dobry motyw. Frank de Val.

- Kto?

- Frank de Val. Był senatorem w Stanach. To taki parlament Jersey. Louis chciał go nakłonić, żeby nam pomógł i zaproponował zmianę prawa.

- Ustawy o hazardzie?

- Jasne! Louis myślał, że de Val będzie... no, powiedzmy, że da się przekonać. Tyle że robił trudności.

Nagle Juliet przypomniała sobie opowiadanie Dana, że któryś z pracowników podsłuchał tamtej nocy fragment kłótni, i w jednej chwili kilka kawałków łamigłówki zaczęło do siebie pasować.

- To znaczy, że Louis miał zamiar szantażować Franka de Vala?

OKO ZA OKO

567

Raife pokiwał głową.

- Mądra dziewczynka. Tak, de Val zrobił kiedyś kilka głupstw. Louis wiedział o tym i chciał to wykorzystać. Ja uważałem, że posuwa się za daleko i powiedziałem mu to dobitnie i prosto w oczy. Tak więc, widzi pani, naprawdę nie miałem ani powodu, ani okazji do zabicia Louisa. Jeśli chce pani ubrać w śmierć Louisa kogoś zamiast swej bardzo gościnnej i milej babuni, musi pani iść gdzie indziej. - Otworzył drzwi i czekał. - Miło mi było panią poznać, ale muszę wracać do pracy. A gdyby pani kiedyś chciała dostać pracę... Ale chyba za dużo bym chciał. Dziedziczka fortuny Langlois miałyby dla mnie pracować? Hi hi!

Juliet wyszła na korytarz, a za nią wypłynął dym cygara.

- Juliet Langlois...

Odwróciła się. Stał w progu i patrzył za nią.

- Pamiętaj, dziecko, nie każdy jest taki, jakim się wydaje - powiedział jakoś tak... miękko. Coś w jego spojrzeniu, w tych dziwnych oczach, a może wykrzywionych ustach, nappełniło ją lękiem.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytała zawracając w jego stronę.

Ale Raife Pearson wsadził cygaro z powrotem między zęby, uśmiechnął się krzywo poprzez dym, cofnął się do biura i zamknął drzwi.

Dan pracował w swym gabinecie, kiedy zabrzmiał dzwonek. W gabinecie panował twórczy nieład: na ogromnym, drewnianym biurku stał komputer i pełne papierów korytka na korespondencję, a blat przed Danem i podłogę zaścielały wycinki z gazet, notatki i otwarte

teczki. Przez otwarte okno widać było tryskający wiosennymi kolorami Park Howarda Davisa, ale Dan był zbyt pochłonięty poszukiwaniami materiałów na temat śmierci Louisa Langlois, żeby zwracać uwagę na takie drobiazgi. Kiedy dzwonek się rozhałasował, Dan zaklął pod nosem. Cholera, pani Ozouf, jego gosposia, już wyszła. Pomyślał,

412

Janet Tanner

że albo sam otworzy drzwi, albo będzie udawał, że go nie ma. Ale właśnie wtedy dzwonek zabrzmiał ponownie. Dan przesunął dzbanek z kawą, odłożył zszywki gazetowe na biurko i zszedł na dół.

- Juliet?!

Po jej pośpiesznej rejteradzie poprzedniego wieczoru była ostatnią osobą, której wizyty mógł się spodziewać. Dziewczyna była ubrana w marynarską bluzę ze złotymi guzikami, spodnie z wąskimi nogawkami i niebieską żeglarską czapkę, zawadiacko przekrzywioną na głowie. Ale sama Juliet nie wyglądała zawadiacko. Wręcz przeciwnie.

- Dan! Dzięki Bogu. Nie wiedziałam, czy cię zastanę.

- Co się stało?

- Muszę z tobą porozmawiać. Mogę wejść?

- Pewnie, oczywiście! - powiedział, przeklinając swoje głupie zachowanie. Wprowadził ją do salonu.

- Możesz mi dać coś do picia? - spytała.

- Kawy? Mam jeszcze trochę w ekspresie.

- Nie, nie kawy. Coś mocniejszego. Wiem, że jest jeszcze na to za wcześnie, ale potrzebne mi to.

- Szkockiej?

- Może być. Czystą. Nie! Chyba lepiej z wodą.

Wręczył jej szklaneczkę i patrzył, jak pije. Przelknęła alkohol, jakby jej życie od tego zależało.

- Usiądź, Juliet, i opowiedz mi wszystko - powiedział, gdy skończyła.

Nie usiadła. Podeszła do okna, zatrzymała się, a potem nagle się odwróciła.

- Poszłam do Raife'a Pearsona.

- Co takiego?!

- Poszłam do Raife'a Pearsona. Spytać go, o co się wtedy kłócił z Louistem.

- Dobry Boże!

Danem aż zatrzęsło. Nawet on, w końcu doświadczony detektyw, zawahałby się przed takim krokiem. Raife potrafił być

OKO ZA OKO

570

niebezpieczny. Dan się go co prawda nie obawiał, ale uważał, że zbyt bezpośrednie sposoby śledztwa bywają nieefektywne. Przesłuchiwani w ten sposób ludzie natychmiast otaczają się murem wrogości i stosują uniki. I tak cała obiecująca linia śledztwa mogła się zupełnie zagubić w postawionej przez Pearsona zasłonie dymnej. A gdyby Raife miał rzeczywiście coś do ukrycia, mógłby się posunąć dużo dalej. On działa niebezpiecznie blisko granicy oddzielającej to, co zgodne z prawem, od reszty, i jest typem zdolnym do przekroczenia tej cieniutkiej linii. A wówczas wszystko jest możliwe. Dlatego właśnie Dan chciał zebrać dużo więcej materiałów, zanim zacznie zadawać pytania o Pearsona. Ale Juliet najwyraźniej wykonała już to zadanie i sądząc po jej wyglądzie, dostała odpowiedź.

- Co powiedział? - spytał Dan niecierpliwie.

- Znasz senatora Franka de Vala? No, pewnie już nie jest senatorem, ale wtedy był.

- De Val? Tak. - Dan nagle cały zmienił się w słuch.

- Raife Pearson twierdzi, że Louis go szantażował. Chciał jego pomocy...

- Zeby zmienić ustawy o hazardzie - zakończył za nią Dan. - Szantaż, tak? Więc to tak było?

- Wiedziałaś?

- Nie, nie o szantażu. Ale wiedziałem, że de Val walczył w Stanach o zmianę prawa o hazardzie. -

Dan nie dodał, że rozłożone właśnie na jego biurku wycinki prasowe dotyczą tego tematu.

Odnalazł je w archiwach Jersey Post" i zastanawiał się, czy może być jakiś związek między

działalnością de Vala a Louisem i Raifem. Ale informacje Juliet były lepsze, niż można było się spodziewać.

- Czym szantażował de Vala?

- Nie wiem. Raife mi tego nie powiedział. Wspomniał tylko, że senator „zrobił kilka głupstw” i że Louis o tym wiedział.

- Ahaaa - zaśmiał się ponuro Dan. - Chyba wiem, co to może znaczyć. Louis prowadził dość bogate życie. Pewnie zetknął się kiedyś z de Valem i dowiedział się o czymś, co senator chciał

Janet Tanner

ukryć. Albo dziewczynki, albo narkotyki, a pewnie cała mieszanka różności, które - gdyby wyszły na jaw - spowodowałyby usunięcie de Vala ze Stanów. No, no! Juliet odstawiła szklankę na stolik.

- To dziwne - powiedziała. - Przez cały czas, gdy wypytywałam wszystkich, miałam nadzieję na odkrycie czegoś takiego. A teraz, kiedy już odkryłam, jestem zaszokowana. To znaczy, wreszcie znalazłam kogoś, kto miał prawdziwy powód, żeby chcieć śmierci Louisa.

Była zarumieniona z podniecenia. Dan poczuł, że coś dziwnego dzieje się z jego ciałem.

- Posłuchaj, Juliet - powiedział miękko. - Rozumiem, że to wszystko bardzo cię podnieciło. Ale nie zapominaj, że to się może okazać fałszywym tropem.

- Naprawdę tak myślisz? Mnie się to wydaje wyjątkowo podejrzane. Co więcej, może to jest właśnie powód, dla którego tej całej sprawy nigdy dokładnie nie wyjaśniono. Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego wszyscy po prostu przyjęli wyjaśnienie babci i nikogo już o nic nie pytali. Najpierw myślałam, że ktoś coś przeoczył albo był za leniwy. Teraz przyszło mi do głowy, że może wtedy ktoś po prostu nie chciał za głęboko szukać. Wszystko już i tak było wystarczająco pogmatwane, skoro przyjęto, że ktoś taki jak babcia zastrzelił własnego syna. Wyobraź sobie, co by się działo, gdyby wyszło na jaw, że w zabójstwo jest zamieszana osoba publiczna! A przecież na tym by się śledztwo nie zatrzymało. Wyszłoby na wierzch wszystko o przyczynach szantażu!

- Zaraz, zaraz. Ale skoro tak, to dlaczego twoja babka się przyznała?

- Wiem, że to dziwne. Mogę tylko przypuszczać, że znalazła go martwego i straciła zmysły. Dan, musisz przyznać, że to wszystko jest szokujące!

Dan wykrzywił twarz.

- Czysty dynamit - zgodził się.

- Właśnie. Dlatego przyjechałam prosto do ciebie. Nie wiedziałam, co mam robić.

OKO ZA OKO

573

- Dobrze zrobiłaś.

- Co masz zamiar teraz robić?

- Najpierw zrobię jeszcze dwa drinki - dla ciebie i dla mnie. Potem pomyślimy.

Kiedy podał jej whisky, wreszcie usiadła. Przycupnęła na brzeżku nadmiernie wypchanej sofy i objęła dłońmi szklaneczkę. Teraz, kiedy wreszcie pozwoliła sobie na chwilę odprężenia, zaczęła nieco drżeć. Podniecenie, stres i napięcie buzowały w niej wciąż jak lawa w wulkanie tuż przed wybuchem.

- Jak wychodziłam, Raife powiedział coś bardzo dziwnego - stwierdziła w zamyśleniu. -

Powiedział, że bym nie ufała nikomu na słowo. Nie, to nie tak. Dokładnie brzmiało to: „Pamiętaj, nie każdy jest taki, na jakiego wygląda.” Jak myślisz, co miał na myśli?

Dan spuścił wzrok. Przez chwilę zastanawiał się, czy Raife wie o jego „drugim życiu” i poczuł falę wyrzutów sumienia, że jeszcze o wszystkim nie powiedział Juliet. Wiedział jednak, że jego tajemnica jest dobrze strzeżona, że Raife nie mógł o tym wiedzieć i że na razie - przynajmniej wobec Juliet - jeszcze nie nadszedł czas na takie wyjaśnienia. W jednej z luźnych rozmów zdołał rzucić mimochodem uwagę, że jest pisarzem, co stanowiło pierwszy krok w stronę prawdy. Ale Juliet najwyraźniej uznała, że Dan pisze książki o historii Jersey - dzięki Bogu za wiedzę o wyspie!

- Wygląda na to, że chciał cię przed kimś ostrzec - odparł powoli.

- Wiem. Też tak pomyślałam. Ale przed kim?

Znów przemknęło mu przez myśl pytanie: czy powinienem jej powiedzieć? Kiedyś będzie musiała się dowiedzieć. Dana nappełniało odrazą oszukiwanie jej. Przecież teraz, kiedy wydaje się jej, że wpadła na trop prowadzący poza rodzinę, nie byłaby taka oburzona. A jeśli jednak? W końcu cała sprawa nadal może jeszcze się zawalić. A poza tym... Dan nie zniósłby wyrazu,

jakiego mogłyby nabrać jej oczy. Tchórz, powiedział sobie wściekle. Chcesz, żeby myślała o tobie dobrze choć trochę

Janet Tanner

dłużej, tak? No cóż, a może nigdy nie trzeba będzie jej tego mówić? Może nic z tego nie będzie i Juliet wróci do Australii nie mając pojęcia o prawdziwej pracy Dana?

Do Australii. Z powrotem do tego cholernego narzeczonego! Na Dana zwałiła się nagle fala zazdrości, dziwacznie wymieszana z bólem straty Mariannę. Idiotyczna sytuacja - pierwsza kobieta od trzech lat, która coś dla niego znaczy, a on ją oszukuje! Pierwsza kobieta, która go łapie za serce, i ma faceta! Cholera!

Co się z tobą dzieje, do diabła, powiedział sobie nagle. Jesteś mężczyzną czy szczeniakiem? Walcz o nią, na miłość boską! Skoro jej chcesz, to walcz!

Odstawił szklanę, usiadł na sofie i zakrył dłonią jej rękę. Był to mały kroczek, lecz bardzo ważny. Spojrzała na niego pytająco, ale wytrzymał jej wzrok, nic nie powiedział, pozwolił, by jego oczy mówiły za niego. Po chwili dziewczyna poruszyła dłonią w jego dloni, przekreśliła ją tak, że ich palce się splotły. Powoli, delikatnie Dan przyciągnął ją do siebie, aż ich usta się zetknęły, z początku leciutko, potem mocno, głęboko. Dan poczuł jej kwiatowy zapach i twardy ucisk jej piersi. Boże! Jak on jej pożądał! To było coś takiego jakby się rodził na nowo, jakby wychodził po latach mroku i smutku na radosne promienie słońca. Położył dłoń na jej szyi, wplatając palce w jej włosy, czując, jak mieszają się w nim uczucia - żądzę, czułości i namiętności. Kochałby się z nią tu i teraz, ale wiedział, że jeszcze za wcześnie; nie chciał jej znów wystraszyć.

Odsunął twarz od jej ust i popatrzył na nią, wciąż trzymając jej dłoń, wciąż pieszcząc jej kark.

- Wiesz, nie powinnaś była chodzić do Raife'a.

- Dlaczego? - Juliet wyglądała, jakby nie do końca mogła się pozbierać.

- To dziwny człowiek. Gdyby miał coś do ukrycia... Nie wiem. Ale nie ufałbym mu. Nie powinnaś zadawać się z takimi ludźmi.

Opanowała go potrzeba chronienia jej, osłaniania. Boże, gdyby i jej coś się stało...

OKO ZA OKO

417

- Ale wszystko było w porządku - odrzekła cichym, lekko rozespanym głosem. - Był uprzejmy.

- Miałaś szczęście. - Urwał i uśmiechnął się ponuro. - Cóż, i tak jestem zadowolony, że tam poszłaś. Gdyby nie to, pewnie już nie wróciłabyś tu do mnie.

Nie odpowiedziała, więc po chwili ciągnął:

- Słuchaj, zapomnijmy o Raife'ie Pearsonie i Franku de Valu. I całej reszcie. Naprawdę chcę cię jeszcze zobaczyć. Mam nadzieję, że tym razem mi nie odmówisz.

- Nie - odrzekła nieco drżąco. - Chyba nie.

- To dobrze. To co, dziś wieczorem?

- Nie. Dzisiaj mam być w domu na kolacji.

- A więc jutro? Do tego czasu zdołasz wymyślić chyba jakiś wykręt?

- Chyba tak.

- To za mało. Chcę obietnicy.

- Dobrze. Obiecuję.

Powiedziawszy to, Juliet zaczęła się zastanawiać. Boże, co ja robię! A co z obietnicą, którą złożyłam Seanowi? Nagle nie wydawało się jej to już tak ważne. Teraz nic nie było ważne - tylko znów spotkać się z Danem. Pomyślała, że już nie może się doczekać tego spotkania.

David miał zebranie, kiedy zadzwoniła do niego Debora. Nalegała, więc sekretarka go poprosiła.

- Co się stało, kochanie? - spytał z lękiem, kiedy wreszcie podniósł słuchawkę. - Coś z mamą?

- Nie, nic takiego. - Ale w głosie Debbie dało się słyszeć lekkie zdenerwowanie. - Po prostu zastanawiam się nad wyjazdem jutro do Londynu. Czas już na kolejną serię zastrzyków kolagenowych. Od ostatniej minęło dobre pół roku. Ale chciałam się z tobą skontaktować,

zanim zadzwonię na Harley Street i zrobię rezerwację. Sprawdzić, czy nie masz jakichś innych planów.

- Ja nie zgłaszam zastrzeżeń. Ale czy Juliet nie będzie zdziwiona?

Janet Tanner

- Nie widzę powodu. Sama ciągle gdzieś wychodzi, a poza tym jest tu już kawał czasu. A jej obecność jest dla mnie okazją. Może pilnować Sophii.

- Debbie, naprawdę doceniam twoją troskę o mamę, lecz nie rozumiem, dlaczego miałybyś planować opiekę dla niej na czas swoich wyjazdów.

- Davidzie, twoja matka wystarczająco dużo przeszła w życiu. Mam zamiar dopilnować, żeby choć teraz nie miała niemiłych przygód.

- No cóż, z pewnością robisz w tym celu, co tylko można - odrzekł David z uczuciem. - Nikt nie potrafiłby zrobić więcej. A więc jeśli lepiej się będziesz czuła, wiedząc, że podczas twojej nieobecności Juliet opiekuje się mamą, nie zgłaszam obiekcji.

- Dziękuję, kochanie. Nie wracaj dziś późno.

- Skoro jutro wyjeżdżasz, z pewnością wrócę wcześniej. Debora cmoknęła w słuchawkę i rozłączyła się. Stała bez ruchu

obok telefonu i myślała. Czuła jakieś ciepło, jak zawsze po rozmowie z Davidem - nawet przez telefon. Jednak nie opuściła jej determinacja, która narodziła się, gdy Juliet spytała o Jersey Lily Night Club.

Tak bardzo kochała ich oboje, Sophię i Davida! To oni stworzyli jej szansę na zostanie tym, kim dziś była. Za każdym razem, gdy im groziło jakieś niebezpieczeństwo, reagowała z furją tygrysicy, broniącej swych kociąt. Nic już nie może skrzywdzić Sophii. I nic nie może skrzywdzić Davida.

Szczególnie Davida.

Lecz nie wiedziała, jak temu zapobiec. Tylko jedna osoba na świecie przychodziła jej na myśl jako możliwa pomoc. Debora zadzwoniła na lotnisko i zarezerwowała bilet na wczesny lot do Londynu. Nie zatelefonowała jednak do swojego salonu piękności na Harley Street.

Rozdział dwudziesty siódmy

Opuściwszy dom Dana Juliet miała wrażenie, że unosi się kilka stóp ponad chodnikiem. Nie potrafiła pojąć tego wrażenia. Przecież powinna uginać się pod ciężarem wyrzutów sumienia z powodu zdradzenia Seana i denerwować się świadomością, że nim to wszystko się skończy, ktoś będzie bardzo cierpiał. Jakoś nie denerwowała się i nie miała wyrzutów sumienia, a jeśli już to tak małe, że w ogóle o nich nie myślała. Była za to lekka i pełna niecierpliwości, szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu. Nawet spotkanie z Raifem, które godzinę wcześniej wydawało się trzęsieniem ziemi, nie było teraz istotne. Juliet przeniosła się - przynajmniej na jakiś czas - w inny wymiar, w którym Dan i ona mogli być jedynymi żywymi istotami.

Podskoczyła na dźwięk klaksonu samochodowego i odwróciła się. Po drugiej stronie ulicy zjechał do krawężnika Austin Metro. Za jego kierownicą Juliet z zaskoczeniem rozpoznała Catherine, która pomachała i opuściła szybę.

- Witaj, dziecko! Co ty robisz w tej części miasta? Przyjechałaś w odwiedziny do parku? Na twoim miejscu nie parkowałabym tutaj. Skręć w lewo, pojedź prosto, a dalej zobaczysz znak parkingu Belle Visage. Tam jest zawsze mnóstwo miejsca.

- Belle Visage? - spytała Juliet, podchodząc do ciotki. - To nie jest przecież nasz hotel.

- A co to za różnica? - zachichotała Catherine. - Mają tam

Janet Tanner

ponad czterysta pokoi, nie ma cudów, żeby się zorientowali, że u nich nie mieszkaś. Juliet także się roześmiała.

- Ciociu, jesteś okropna! Wyobrażam sobie, jak by się rozzłościł stryj David, gdyby ktoś wykorzystywał nasze parkingi.

- No cóż, jeśli masz takie obiekcje, to może w ogóle daj sobie dzisiaj spokój z parkiem i pojedź ze mną na filiżankę herbaty.

Juliet marzyła tylko o tym, żeby mieć spokój i w samotności kontemplować zupełnie sobie dotąd nie znane emocje, ale nie miała serca odrzucać zaproszenia Catherine. Bardzo lubiła ciotkę.

- Brzmi świetnie. Gdzie chcesz mnie zabrać?

- Znam takie miejsce, ale nie znajdziesz go nigdy, chyba że pojedziesz za mną. Zresztą i tak zgubiłabyś się w korkach. Słuchaj, zostaw swój samochód tutaj i wskakuj do mnie. Potem cię odwiozę.

Juliet się zawahała. Czy Dan nie uzna za dziwne, jeśli za pół godziny jej samochód wciąż jeszcze będzie stał przed jego domem? Catherine już otworzyła drzwi pasażera.

- Chodź! Blokujemy jezdnię! Jeśli jeszcze raz dostanę mandat, to mi zabiorą prawo jazdy.

Juliet uśmiechnęła się.

- Ciociu, ale z ciebie numer!..

Catherine odwzajemniła uśmiech, a łobuzerskie błyski w jej oczach były zaraźliwe.

- A tak - odparła kpiąco. - Jestem.

„Copper Kettle” była staroświecką herbaciarnią z koronkowymi serwetkami na stolikach, palmami w wielkich donicach i trzypoziomowymi wózekkami na kółkach, pełnymi wspaniałych, francuskich ciast i ciasteczek.

- A teraz opowiedz mi, jak ci się podoba Jersey - zaproponowała Catherine, nalewając herbaty do filiżanek z porcelany tak cienkiej, że niemal przezroczystej. - Wiem już, że twoja babka jest zachwycona twoją obecnością. Okropnie, jej brakowało

OKO ZA OKO

581

ciebie i nie mogła przeboleć, że umknęło jej całe twoje dorastanie. - Spojrzała dziewczynie prosto w oczy, ale zrobiła przy tym dziwną minę. - Rozumiem, że nie ma szans, żebyś zdecydowała się zostać na Jersey?

Juliet lekko się zaczerwieniła. Znowu poczuła się tak, jakby ciotka potrafiła odczytać najskrytsze nadzieje i marzenia, do których sama Juliet jeszcze się przed sobą nie przyznawała.

- Jeszcze dużo za wcześnie, żeby mówić w tych kategoriach, choć muszę przyznać, że Jersey ma swoje dobre strony - przyznała.

- Ahaa.

Nieco zawstydzona Juliet roześmiała się lekko. To „Ahaa” było bardzo wieloznaczne.

- Pewnie się zastanawiasz, ciociu, gdzie teraz byłam. No więc muszę ci wyznać, że nie w Parku Howarda Davisa.

- Ho ho! - Catherine wykrzywiła usta w wyrazie pełnego kpiny rozbawienia. - Tak mi się właśnie wydawało.

- Spotkałam... kogoś. Pamiętasz, zaraz po przyjeździe opowiadałaś mi o adwokacie Sophii, Danielu Deffainsie? No więc, to jego syn. Jest pisarzem i wdowcem... - Urwała.

Nagle pojaśniała twarz Catherine zastygła w wyrazie zachwytu i niedowierzania zarazem.

- Dan Deffains? Naprawdę? Och, Juliet! - Teraz to Catherine się zaczerwieniła. - Pewnie nie powinnam ci tego mówić, ale kiedyś, dawno temu, Dan DafFains i ja... no, lubiliśmy się bardzo.

- Ciociu Catherine! Ale z ciebie cicha woda! Musisz mi to opowiedzieć!

- Och, Juliet, niewiele jest tu do opowiadania. Od lat już o tym nie myślałam...

Zamilkła, przypominając sobie to, co nagle się pojawiło pomiędzy nią a adwokatem Sophii dwadzieścia lat temu. Przyjechała na łeb, na szyję na Jersey, kiedy usłyszała o aresztowaniu siostry i niemal natychmiast odwiedziła Dana Deffainsa. Pamiętała wciąż jeszcze, jak wówczas wyglądał: szczupły, wysoki mężczyzna w okularach o złotych oprawkach na czubku lekko

Janet Tanner

skrzywionego nosa i z rzadziejącymi nad skroniami włosami. Tego dnia był nieco wytrącony z równowagi - nie tylko dlatego, że niespodzianie został obrońcą swej stałej klientki w sprawie karnej, ale również gwałtownym wtargnięciem Catherine, która przełamała siłą opór jego sekretarki i wpadła zniecka do jego gabinetu. Lecz w oczach Catherine to jego wzburzenie absolutnie nie było w stanie pozbawić go aury władzy i kompetencji, wręcz przeciwnie, czyniło go dla niej jeszcze bardziej atrakcyjnym.

Ku zdziwieniu całej rodziny Catherine nigdy nie wyszła za mąż. Miewała oczywiście w młodości chłopców i przyjaciół - w tym Jeffa McCauleya, którego poznała, gdy przybył na Jersey na pogrzeb Nicky'ego. Kiedy już pojechała na studia do Londynu, zgodnie z obietnicą odwiedziła go i potem często się widywali. Ale Jeff był zbyt niespokojnym duchem, żeby gdzieś osiąść na stałe, a inni albo byli zbyt beztroscy i roztrzepani, albo po prostu „nieodpowiedni”. A ponieważ Catherine była zdecydowana wyłącznie na związek idealny, oczekiwała pełna optymizmu na nadejście tego wymarzonego i spokojnie prowadziła nadal swe samotne życie. Aż pewnego dnia obudziła się z przeświadczeniem, że właśnie tak jest jej dobrze i że nie bardzo wyobraża sobie możliwość poświęcenia niezależności dla kogokolwiek.

I właśnie wtedy poznała Dana.

Oczywiście podczas tego pierwszego spotkania nie miała pojęcia, co się szykuje. Była zresztą za bardzo przerażona strasznymi przejściami Sophii i zbyt zajęta wymyślaniem sposobów pomocy siostrze. Świadomość, że właśnie on jest tym mężczyzną, dla którego mogłaby rzucić pracę, życie w Londynie i drogocenną niezależność, nadeszła dużo później, niedostrzegalnie narastając w niej w czasie nieuniknionych spotkań, aż spadła na nią nagle pewnego dnia.

Catherine знаła Dana niemal całe życie, ale była między nimi wielka różnica wieku - kiedy ona była małą dziewczynką, on już był młodym mężczyzną. Teraz jednak skurczyła się do nieistot-

nych rozmiarów - stali się po prostu kobietą i mężczyzną, którzy razem pracowali i odkrywali, że łączy ich ta niebywale dogodną

OKO ZA OKO

423

jedność myśli i ducha, która tak często jest podstawą bardzo trwałych związków.

Kłopot polegał na tym, że dla nich było już za późno. Catherine była wolna, ale Dan nie. Był żonaty i miał młodą rodzinę, jedenastoletniego syna i dziewięcioletnią córkę. I choć Dan przez jakiś czas ulegał początkom tego, co mogło być największą namiętnością jego życia, zbyt kochał swoją żonę i dzieci, aby im sprawić ból. A Catherine aż za często odnajdowała w swych uczniach na East Endzie tragiczne rezultaty rozpadania się rodzin, by podejmować walkę o Dana. Ogień więc zapłonął jasno, ale na krótko, rozświetlając niezapomnianą jasnością jej życie, lecz gdy proces się skończył, wróciła do Londynu i starego życia. Jeszcze długo poczucie straty było niemal nie do wytrzymania - dotknąć takiej szczęśliwości i z rozmysłem odejść, to przecież coś, co każdego przyprawiłoby o rozpacz. Jednak Catherine przełamała ból. Znowu poświęciła się swej ukochanej pracy i stopniowo wróciła do siebie. W miarę upływu lat Dan stał się dla niej tylko słodkim, sekretnym wspomnieniem.

Kiedy usłyszała, że żona Dana zmarła, pomyślała, że czas już przejść na emeryturę, wrócić na Jersey i... może podjąć to, czego wtedy nie ukończyli? Lecz Dan zmarł w trakcie ostatniego roku pracy Catherine w Londynie. Była smutna - bardzo smutna - gdy o tym usłyszała, lecz zbyt wiele miała rozsądku, by długo oplakiwać coś, co zaledwie mogło zaistnieć. Najwyraźniej nie było jej to pisane. Skryła więc Dana w najtajniejszych wspomnieniach i cieszyła się tym, co ma. Teraz jednak wszystko to do niej wróciło; poczuła gdzieś głęboko to samo dawne podniecenie, kiedy patrząc na Juliet widziała niemal reinkarnację swych marzeń.

- Jaki mały jest ten świat! - szepnęła sentencjonalnie. - Juliet! Jak, na Boga, wpadłaś na niego?

- No... - Zawahała się dziewczyna. - Pamiętasz, powiedziałam ci, że chciałabym dotrzeć do prawdy o babci i stryju Louisie. Pomyślałam sobie, że może jeśli porozmawiam z adwokatem babci, to zdołam sobie stworzyć jakiś obraz. Znalazłam go w książce telefonicznej i pojechałam się z nim spotkać.

Janet Tanner

- Ale kochanie, Dan zmarł przeszło rok temu!

- Nie wiedziałam. Nie powiedziałaś mi, że on już zmarł. Spytałam więc o Dana Deffainsa i spotkałam się z młodym mężczyzną, który okazał się być jego synem, też o imieniu Dan. To wszystko zapowiadało się na jedno wielkie fiasko. Ale... wyszło całkiem nieźle.

- Rozumiem - mruknęła z uśmiechem Catherine. - Porzuciłaś więc pytania na rzecz romansu, tak?

- Niezupełnie. A przynajmniej nie od razu. Dan też był ciekawy. Tak jak ty, powiedział, że jest pewny, że jego ojciec nigdy nie uwierzył w winę babci. Myślał więc, że we dwójkę dotrzemy do prawdy.

Catherine pokręciła głową.

- Och, Juliet! Miałam nadzieję, że wystarczy ci rozsądku, żeby to wszystko zostawić w spokoju. Ostrzegałam cię.

- Wiem. I muszę ci powiedzieć, że uważam, że masz rację. Zadałam Paulowi kilka pytań o Louisa i dosłownie otwarło się piekło. Viv tak się rozzłościła, że omal nie eksplodowała na kawaleczki.

- Wcale mnie to nie dziwi. Nienawidziła Louisa. Wiesz, Louis strasznie podgryzał Paula. Zagroził jego pozycji w firmie i to w najbardziej niezdolny sposób.

- A czy Paul nie stał wyżej od Louisa w hierarchii?

- Miał tylko dłuższy staż i więcej doświadczenia, ale w kwestii prowadzenia przedsiębiorstwa nie miał nic do powiedzenia. Bernard wykupił jego udziały wiele lat wcześniej, tak jak i moje. Ja za to kupiłam małe śliczne mieszkanie i samochód, a resztę ulokowałam tak, żeby mieć do końca życia przyzwoity dochód. Obawiam się, że Paul nie był taki mądry.

- Przecież twój udział powinien być wart o wiele więcej! - zawołała nieco zszokowana Juliet.

Catherine uśmiechnęła się smutno.

- Wówczas nie. Och, oczywiście, byłabym bogatą kobietą, gdybym się wtedy nie wyprzedała. Ale Bernard także nie pracowałby tak ciężko, gdyby to wszystko nie było jego i na jego

OKO ZA OKO

587

rachunek, a wówczas Hotele Langlois mogłyby nie być tym, czym są teraz. Nie mam więc żadnych zastrzeżeń. Mam wszystko, czego chcę od życia - nie wiem, czego mogłabym chcieć jeszcze, a bogactwo nie przyniosło Sophii szczęścia. Ale Paul i Viv są inni. Viv była przyzwyczajona do pieniędzy. Jej rodzice byli swego czasu naprawdę bardzo bogaci, póki jej ojciec nie stracił wszystkiego na giełdzie. Tak więc wyjątkową ironią losu jest fakt, że wyszła za mąż; za Paula, jeszcze jednego hazardzistę.

- Paul? - powtórzyła Juliet, widząc natyclimiast notes odnaleziony na strychu w La Grange. - Hazardzistą?

- Och, kochanie, tak, i jak jeszcze! Kiedyś Paul obstawiał wszystko, co się ruszało. W ten sposób poszły wszystkie pieniądze, jakie dostał od Bernarda w ramach wykupu. Podejrzewam zresztą, że już wcześniej był poważnie zadłużony i dlatego nie trzeba go było długo namawiać na odsprzedaż udziałów. Jestem pewna, że tak właśnie musiało być - w końcu nadal pracował dla firmy. W moim przypadku było zupełnie inaczej. Ja mieszkałam w Londynie i nie miałam w tym wszystkim żadnego interesu. No, ale wróćmy do Paula. Zawsze był hazardzistą i obawiam się, że w późniejszych latach Louis jeszcze go do tego namawiał. Spędzali w swoim towarzystwie mnóstwo czasu, kiedy Louis był na Jersey. A i na wspólne szaleńcze weekendy też zdarzało im się wyjeżdżać. Jednak ta zażyłość nic nie dawała Paulowi w interesach - tam tylko Louis miał coś do powiedzenia i wykorzystywał to do ostatka.

- Rozumiem. - Juliet była wdzięczna opatrności, że poszła inną drogą śledztwa. Z tego, co opowiadała teraz Catherine, w połączeniu ze- znalezionymi przez Juliet zapisami długów,

rysował się obraz Paula jako podstawowego podejrzanego o zamordowanie Louisa. - Czy kiedykolwiek spotkałaś kogoś o nazwisku de Val? Frank de Val - spytała głośno.

Catherine wyglądała na rzeczywiście zaskoczoną.

- Frank de Val. Znam to nazwisko. No, ale to stare nazwisko na tej wyspie. Frank de Val. Kto to?

- Był kiedyś senatorem w parlamencie Jersey.

Janet Tanner

- W Stanach?

- Tak. - Juliet zniżyła głos. - Myślę, że on może być wplątany w śmierć Louisa.

- Senator? Och, nie, nie sądzę.

- Dlaczego?

- Moja droga, widzę, że nie wiesz nic o senatorach i *justices de greffe*. To nadęte typy. Ale na śmierć potrafią tylko zanudzić - dodała z wrednym grymasem.

Juliet odsunęła na bok filiżankę, pochyliła się w przód i oparła na łokciach.

- Ale ten był szantażowany przez Louisa - wyszeptwała.

- Szantażowany? Jesteś pewna? Boże! Jakie to melodra-matyczne!

- To by był wspaniały motyw, żeby chcieć śmierci Louisa, prawda?

- Och, Boże! - sapnęła Catherine i pokręciła głową. - Szkoda, że nie chcesz przyjąć mojej rady i nie dasz spokoju tym wszystkim nonsensom. Chyba nie rozumiesz, jaką możesz wyrządzić krzywdę!

- Próbując udowodnić niewinność babci?

- Nie, rozkopując i odkurzając mnóstwo rzeczy, o których najlepiej zapomnieć. Nie wiem, jak cię do tego przekonać, ale twoi rodzice z pewnością powiedzieliby tak samo.

- O, nie mam wątpliwości. W końcu nigdy mi nic nie powiedzieli o tych wszystkich wydarzeniach.

- Tak, ale oni także mogą mieć swoje powody. Przemyśl to, Juliet.

Zupełnie niespodzianie Juliet zatrzęsło z oburzenia. O co w tym wszystkim chodzi, do cholery! Dlaczego wszyscy chcą koniecznie zamknąć tę sprawę za wszelką cenę, nawet wtedy, kiedy ona podrzuca zupełnie nową teorię, nie mającą żadnych przykrych implikacji dla rodziny? Tylko Louis wyszedłby w tej sytuacji w złym świetle, a to już przecież nie ma znaczenia!

- Teraz to dla ciebie zupełna nowość, Juliet - ciągnęła Catherine. - Ale nie dla nas. Pamiętaj. My chcemy zapomnieć

OKO ZA OKO

590

0 tym, co zaszło. I myślę, że zrobiłabyś rozsądnie, czyniąc tak samo. - Jej głos był teraz o wiele ostrzejszy, niż Juliet choćby mogła się spodziewać, głos stanowczej nauczycielki, błyskawicznie opanowującej klasę trudnych siedmiolatków. - Cieszę się, że spotykasz się z synem Dana Deffainsa. Byłabym szczęśliwsza, niż to sobie możesz wyobrazić, gdybyś się w nim zakochała. Ale nie pozwól mu prowadzić się ścieżką dociekań. Proszę.

Juliet zmarszczyła nos w zadumie.

- On mnie nigdzie nie prowadzi.

- A więc wszystko w porządku. A teraz... - Catherine ze swą zwykłą biegłością zmieniła temat. - Zamówimy jeszcze trochę tych ciasteczek, czy myślisz, że już powinnam zacząć zważać na figurę?

Dan wystukał na klawiaturze komputera ostatnie zdanie, przeczytał je na ekranie i odchylił się do tyłu. Oparł się wygodnie

1 przetarł oczy. Zbyt długo pracował bez przerwy choćby na jedzenie. Teraz był głodny i bolały go oczy, ale uznał, że warto było. Nazajutrz miał spotkanie z setnikiem Johnem Germaine i chciał się do tego dobrze przygotować. Wiedział, że jego ojciec i setnik byli dobrymi przyjaciółmi, mimo że nie raz na sali sądowej byli po przeciwnych stronach. Nie mógł jednak już liczyć na tę starą przyjaźń ani trochę bardziej, niż na zwyczajny, ludzki szacunek wobec samych siebie. Tak więc żywotne znaczenie miało takie zestawienie wszystkich znanych mu informacji, żeby można było znaleźć najlepszy sposób podejścia setnika. Teraz wystarczyło wydać polecenie druku i wszystkie główne punkty pojawią się na papierze. A gdy już będzie miał listę w dłoni, może zdoła także spostrzec jakieś poszlaki, które umknęły mu do tej pory.

Dan włączył drukarkę i rozparł się wygodnie z rękami założonymi za głowę. Czuł się świetnie, był z siebie zadowolony pod niemal każdym względem. Śledztwo w sprawie Sophii Langlois posuwało się naprzód, a szósty zmysł, dzięki któremu

Janet Tanner

był tak dobrym policjantem, i który mu tak bardzo pomógł w reporterskich dochodzeniach, podpowiadał mu, iż wszystko zaczyna się wreszcie ruszać i że na swe odkrycie oczekuje wciąż jeszcze wiele tajemnic. Na gruncie osobistym również pewne rzeczy zapowiadały się zdecydowanie obiecująco. Jeszcze wczoraj Juliet wydawała się być zamkniętym rozdziałem, a teraz, zupełnie nagle, wszystko znowu było możliwe i aktualne.

Jednym słowem, Dan był w nastroju bliskim euforii, a nie czuł się tak już bardzo dawno i nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś mu się to przydarzy.

Drukarka przestała klekotać. Dan wydarł wydruk, wstał i poszedł na poszukiwanie piwa.

Wnętrze lodówki - poza sporym zapasem puszek piwa - było zniechęcająco puste. Pomyślał ponuro, że jeśli ma ochotę w ogóle coś zjeść, to będzie musiał wyjść na miasto - do Chińczyków albo na pizzę. Ale na razie zadowolił się piwem. Otworzył puszkę i opadł na sofę. Położył nogi na niskim stoliku i zaczął pić wprost z puszkę, czytając jednocześnie wydruk.

ZABÓJSTWO LOUISA LANGLOIS *możliwi podejrzani*

Rodzina: bracia Robin i David Langlois szwagierka, Molly Langlois wuj, Paul Carteret ciotka, Catherine Carteret (prawdopodobnie w czasie zabójstwa poza Jersey)

matka, Sophia Langlois (zawsze możliwe, że mówiła prawdę)

Inni Raife Pearson (ma alibi, ale rodzaj kontaktów!)

Frank de Val (reputacja na szali - bardzo silny motyw) kochanki Louisa (potrzebne dodatkowe dochodzenie, Louis był znanym kobieciarzem)

OKO ZA OKO

429

Dan ponownie uniósł puszkę do ust i w zamyśleniu popił kilka łyków. Kobiety w życiu Louisa były tematem, którego Jersey Post" w ogóle nie poruszył. W końcu był to lokalny dziennik, a nie

tropiący skandale brukowiec. Niemnie} znalazł w jednej ze zszywek zdjęcie, grupową fotografię na jakimś przyjęciu, na którym Louis, przystojny i pełen czaru, w wieczorowym ubraniu, stał pod rękę z jakąś młodą kobietą. Ziarnistość reprodukcji gazetowej uniemożliwiała Danowi identyfikację tej kobiety, choć ładna twarz pod szopą gęstych włosów wydawała mu się znajoma. Jednak nie poddawał się. Poprosił zaprzyjaźnionego zawodowego fotografa - również eks-policjanta - o pomoc, a ten obiecał, że postara się wykonać powiększenie. Jednak z góry uprzedził, żeby Dan nie spodziewał się za wiele. Poradził natomiast, żeby raczej zajął się przekonywaniem zawiadującej archiwami dziewczyny w „Post” do odszukania oryginału zdjęcia. Oczywiście, na razie Danowi pozostawało tylko wysilanie pamięci i wyobraźni. Jak może dzisiaj, po niemal dwudziestu latach, wyglądać tamta dziewczyna? A zresztą, nigdzie nie jest powiedziane, że ona jeszcze jest na Jersey. Równie dobrze może być na końcu świata. Dzwonek telefonu niemal wystraszył Dana. Upuścił wydruk na stół i podszedł do aparatu.

- Dan Deffains.

- Panie Deffais, nazywam się Catherine Carteret. Nie zna mnie pan, ale byłam przyjaciółką pana ojca. Podobno zna pan moją kuzynkę, Juliet Langlois.

- Tak.

- Właściwie to nawet pan się z nią spotyka.

- No, owszem, ale...

- Wiem, że to może zabrzmieć jak najgorsza impertynencja, ale... czy pan ją... lubi?

Dan w niedowierzaniu pokręcił głową.

- Proszę pani, nie rozumiem, co to może panią obchodzić...

- Nie, ja wiem, że nic. Wiedziała, że to wszystko wyjdzie nie tak. Ale widzę, że ona jest panem bardzo zainteresowana

Janet Tanner

i miałam nadzieję... Och, Boże! Usiłuję panu powiedzieć, że martwię się o nią i mam nadzieję, że będzie mi pan mógł pomóc.

- Pomóc pani? W jaki sposób?

- Ojej! To wszystko jest takie skomplikowane! Z pewnością na razie uważa mnie pan po prostu za starą babę, która usiłuje się wtrącać w nieswoje sprawy. Ale to nie tak. Przysięgam! Przynajmniej nie w ten sposób, jak pan to zapewne widzi. Panie Deffains - Dan - to jest naprawdę bardzo ważne! Muszę z panem porozmawiać.

Dan znów poczuł na karku to ostrzegawcze szczypanie. Przyciągnął sobie nogą krzesło i usiadł.

- Dobrze, panno Carteret. Niech pani strzela. Zamieniam się w słuch.

Kiedy skończyła mówić, Dan zdał sobie sprawę, że nieświadomie zgniótł w dłoni puszkę po piwie. Odłożył delikatnie słuchawkę i zamyślony wrócił do stołu. Usiadł, wziął do ręki wydruk komputerowy i zaczął po nim bazgrać. Po chwili papier niemal zupełnie pokrył się prawie nieczytelnymi zapiskami i bezsensownie wyglądającymi podkreśleniami. Potem Dan podszedł do barku i nalał sobie potężną porcję whisky. Piwo było świetne, ale w tej chwili potrzebował czegoś znacznie mocniejszego.

Rozdział dwudziesty ósmy

W oświetlonym świeczkami bistro Juliet patrzyła przez szerokość stołu na Dana. Była zaskoczona i nieco urażona. Jeszcze poprzedniego dnia była pewna, że on odczuwa to samo co ona. Niebywale podniecało ją to coś, co zapłonęło między nimi. Dziś jednak coś się w nim zmieniło, a ona nie miała pojęcia, co.

- Co się stało? - spytała w końcu. - Jesteś jakiś odległy.

- Jak to?

- No... jesteś zatroskany, zatopiony w myślach... nie wiem.

- Przepraszam. Miałem ciężki dzień.

- A dlaczego? Miałeś się spotkać z setnikiem. Dowiedziałeś się czegoś ciekawego?

- Nie.

Jego opryskliwość ją zabolala.

- Wybacz mi, że cię nagabuję - powiedziała sarkastycznie. - Skoro jesteś taki skonany, to może wolisz iść do domu?

- Do diabła, Juliet! - Sięgnął ponad stołem i położył dłoń na jej ręce. - Nie chciałem cię urazić, ale myślałem, że masz już dość tej pośmiertnej sekcji przeszłości.

- Owszem, tak było, zanim się dowiedziałam, że ten senator jest w to zamieszany. To stawia wszystko w zupełnie innym świetle.

- Wcale nie jestem o tym przekonany. Nie jestem pewny, czy

Janet Tanner

on jest zamieszany. Spytałem Johna Germaine - tego setnika - prosto w oczy, czy wywierano na niego wtedy jakieś naciski, żeby zostawił w spokoju śledztwo wszędzie tam, gdzie mógłby się pojawić de Val. Ale zaprzeczył, a ja mu wierzę.

- Ale...

- De Val miał z pewnością coś do ukrycia, i dałoby się z tego upichcić wspaniałą historię. Ale szczerze wątpię, czy miał coś wspólnego ze śmiercią Louisa.

Czoło Juliet przecięła głęboka zmarszczka.

- Co rozumiesz przez „upichcić wspaniałą historię”?

- Myślę, że był uwikłany w sprawy, które bardzo nie przystoją senatorowi, ale to nie czyni go jeszcze mordercą - rzekł jednym tchem Dan, przeklinając w duchu swą nieostrożność. Zdawał sobie sprawę, że nadchodzi już powoli czas na powiedzenie jej prawdy o własnych sposobach zarobkowania, ale bistro z pewnością nie było odpowiednim ku temu miejscem.

- Ależ to naprawdę dobry motyw! - zaprotestowała.

- Myślę, że równie dobre motywy mogła mieć połowa mieszkańców Jersey. Co nie znaczy, że go zabili. A nawet gdyby tak było, to jak mielibyśmy to udowodnić teraz, po dwudziestu latach?

Juliet zamurowało. Wpatrywała się w niego długą chwilę, po czym z trudem zaczęła:

- Poprzednio mówiłeś inaczej. Naprawdę chciałeś się dokopać prawdy. Co się stało?

- Och... - Dan bawił się kromką chleba. - Przemyślałem to wszystko, starałem się popatrzeć na to racjonalnie... Gdyby rzeczywiście Louisa zabił ktoś spoza najbliższego kręgu, musiałby go śledzić w drodze do domu. Pamiętaj, że tego wieczoru wychodził, a często mu się to zdarzało. Sophia z kolei bardzo często bywała w domu, Nikt o zdrowych zmysłach nie wybrałby się po prostu do La Grange z zamysłem zabicia Louisa. Najzwyczajniej w świecie nie wiedziałby, czy go zastanie w domu.

- Ale jeśli ktoś to zrobił pod wpływem chwili... Louis szantażował de Vala. Załóżmy, że de Val wybrał się do niego

OKO ZA OKO

597

i próbował nakłonić Louisa do zostawienia go w spokoju. Mogli się pokłócić i wtedy mógł go zastrzelić.

- Z broni Louisa? Z rewolweru, o którym nie wiedział nikt poza najbliższą rodziną? Pamiętaj też, że nigdy nie pojawił się żaden świadek. Gosposia spała i nic nie słyszała. Ani David, który był chory na ciężką gripę i poszedł wcześniej do łóżka z termoforem i garścią aspiryny. Nikt nie widział obcego samochodu na drodze, ani płaczącego się po okolicy kogoś, kogo tam nie powinno być. To był listopad! Jersey nie było już pełne turystów i pewnie wróciło do swego zwykłego stanu zaścianka, gdzie każdy zna każdego. A dwadzieścia lat temu musiało to być jeszcze wyraźniejsze niż dzisiaj.

Juliet drżała niepowstrzymanie. Żeby to ukryć, przycisnęła z całej siły dłonie do nakrochmalonej serwety stołu.

- Czy mam przez to rozumieć, że mimo wszystko uważasz, że moja babcia jednak była winna?

- Nie. Nie powiedziałem tego. Mówię tylko, że nie wiem. Ale uważam, że może jednak po tak długim czasie najlepiej po prostu

0 tym wszystkim zapomnieć. Dać sobie z tym spokój. Ach! - zawołał na widok podchodzącego do stolika kelnera. Niósł zamówione przez nich desery. - Nareszcie! Bardzo tu dzisiaj powolna obsługa! Chcesz kawy, czy napijemy się już w domu?

- Chodźmy do domu. - Wnętrze bistro zaczęło nagle oddziaływać na nią klaustrofobicznie i Juliet tak czy inaczej nie miała już ochoty na swoje *zabaglione*. Nie pojmowała zmiany zachowania Dana, ale nie wiedziała również, dlaczego, mimo że tak tajemniczy

1 drażniący, nadal wydaje się jej tak atrakcyjny. Kiedy zdarzało się jej pokłócić z Seanem, czy choćby się na niego obrazić, nie chciała być koło niego, a o tym, żeby ją dotknął, nie mogła nawet pomyśleć. A Dan... Nawet teraz, kiedy zerkala na pogrążoną w cieniu twarz Dana, czuła miękkość w nogach.

- Co się stało? - spytał. - Coś nie tak z tym deserem?

- Nie, w porządku. Trochę za słodkie i tyle... - Odłożyła łyżeczkę. - Przepraszam. Chyba nie bardzo mam ochotę na słodczy.

Janet Tanner

- Nie przejmuj się! Po prostu to zostaw! - Dojadł szybko swoją porcję cassate i odłożył widelczyk. - To co, idziemy?

Zapłacił rachunek i poprowadził ją do wyjścia. Dzień był przyjemnie ciepły, Juliet więc postanowiła nie brać ze sobą nic ciepłego. Teraz jednak wieczorne powietrze natychmiast przeniknęło przez bawełnianą tunikę i spodnie. Dziewczyna zadrżała.

- Zimno? - spytał.

- Nie. W porządku. - Powiedziała to niecierpliwie, aż za szybko, tak chciała skryć swe mieszane uczucia.

- Chcesz moją marynarkę?

- Nie, naprawdę nie. W porządku. Położył jej rękę na ramieniu.

- Chodź tutaj.

Chciała protestować, odepchnąć go i wściec się jeszcze bardziej, ale nie potrafiła. Było jej dobrze z jego ramieniem wokół ramion. Nagle znów ze zdwojoną siłą odczuła świadomość jego męskiej obecności. Odwróciła głowę w jego stronę i lekko uniosła twarz, a wówczas Dan przyciągnął ją do siebie i pocałował. Gdy ich usta się zetknęły, Juliet poczuła taką słabość w nogach, że musiała na moment przystanąć. Całe ciało miała napięte, marzyła tylko o tym, żeby się do niego tulić.

To jakieś szaleństwo, wykrzykiwała część jej jaźni. Jak to możliwe, że wszystko dzieje się tak szybko? Będąc z Seanem musiała sama pracować nad sobą, żeby wykrzesać z ciała choćby zbliżoną reakcję, a z Danem wystarczył jeden pocałunek, jedno dotknięcie, by czuła się, jakby ją prąd poraził. Wargi Dana były twarde, a zarazem cudownie delikatne. Kiedy się od niej odsunął, poczuła się niemal obrabowana.

- Jest ci zimno - raczej stwierdził niż spytał i nie prosząc już o pozwolenie zdjął marynarkę i narzucił jej na ramiona. Juliet natychmiast wtuliła w nią twarz, wyobrażając sobie, że to Dan. To niesamowite, myślała. Jeszcze kilka minut wcześniej była gotowa wymyślić mu najgorsze kary za sugestię, że to jednak Sophia zabiła Louisa. Teraz jednak chciała tylko być blisko niego.

OKO ZA OKO

600

Nie zabrał ręki z jej ramion, podtrzymując marynarkę na miejscu. Juliet oparła się lekko o niego i tak, nieco niezręcznie, poszli powoli w stronę piętrowego parkingu przed Fort Regent. Nie pocałował jej już, póki nie znaleźli się w betonowym wnętrzu, daleko od wszystkich wścibskich spojrzeń.

Jego samochód stał na jednej z wyższych kondygnacji. Dojście do niego zajęło im sporo czasu, kiedy jednak wreszcie dotarli na miejsce, Juliet nie myślała już ani o Sophii, ani o Louisie. Samochodem Dana był bardzo stary, ale wspaniale odrestaurowany Triumph TR6. Położone w wąskich tunelach, niskie, kubelkowe siedzenia pozwalały wyłącznie na prowadzenie samochodu, lecz Juliet wciąż jeszcze czuła na sobie jego dotyk. Mocniej zawinęła się w jego marynarkę, ciesząc się leciutkim zapachem męskości. Jazda trwała ledwie kilka minut, lecz czas zatracił dla dziewczyny wszelkie znaczenie. Czuła się cudownie nierealnie.

Widok jej Austina przed domem Dana był niemal szokiem, lecz i to nie przywróciło jej do rzeczywistości.

Dan zaparkował obok jej samochodu, podał jej rękę i poprowadził do domu. Kiedy stała przy nim i czekała, aż otworzy drzwi, a potem weszła do środka, czar niemal zupełnie uleciał. Ale gdy Dan kopniakiem zatrzaskał za nimi drzwi i wziął ją w ramiona, powrócił ze zwiększoną siłą.

- Naprawdę chcesz tej kawy? - szepnął jej w ucho.

Juliet pokręciła głową. Chciała tylko jego.

Ja chyba oszalałam, pomyślała. I nic mnie to nie obchodzi! To cudowne!

Stali wciąż w hallu, a Dan nie przestawał jej całować. Jego marynarka zsunęła się z ramion Juliet. Nagły chłód spowodował, że przyłgnęła do niego jeszcze bardziej. A gdy to zrobiła, wtuliła się jeszcze mocniej. I nie chciała się odsuwać. Jej dłonie przesuwały się po jego twardych barkach i muskularnych plecach, kryjących się pod nakrochmaloną koszulą. Jego bliskość była oszłamiająca. Juliet tego wieczoru prawie w ogóle nie piła,

Janet Tanner

a jednak czuła się, jakby pochłonęła butelkę szampana, szczypiącego teraz w język i musującego w żyłach.

Całował jej usta, twarz, uszy i szyję, a dziewczynie zaczęły drżeć uda i po chwili całe nogi ogarnęła dziwaczna słabość. Nim jednak zdążyła się przewrócić, Dan złapał ją pod plecy i pod kolana, uniósł w górę jak dziecko i zaniósł do salonu.

Kiedy Dan wychodził tego dnia z domu, był jeszcze jasny dzień, więc zasłony wciąż nie były zaciągnięte. Teraz salon zalewała miękka, romantyczna poświata latarni ulicznych. Dan nie zasunął zasłon; opuścił dziewczynę na sofę i znów ją zaczął całować. Otoczyła go ramionami i przyciągnęła do siebie, i już po chwili rozbierali się nawzajem, niecierpliwie, lecz z czułością. Zadrżała, gdy poczuła na sobie jego silne, twarde ciało, i wygięła się w łuk, żeby być bliżej niego. To był właśnie ten moment, w którym wszystko zaczynało się rozsypywać, gdy kochała się z Seanem; ta chwila, kiedy cała dysząca żądza nagle ją opuszczała, gdy Juliet nagle stawała się zimna i odległa, gdy jedynym odczuciem była jakaś niejasna tęsknota za tym, co utraciła. Przez mgnienie oka obawiała się, że będzie tak samo, i pomyślała, że jeśli tak się stanie, umrze z rozczarowania i rozpacz. Lecz martwiła się niepotrzebnie. Z Danem wszystko było inaczej. Fale doznań były wszechogarniające i oszalamiająco cudowne; każda unosiła ją coraz wyżej i wyżej. A gdy skończyli, nie było miejsca dla uczucia zawodu i frustracji. Juliet czuła się całkowicie odprężona, pewna i szczęśliwsza, niż sobie mogła wyobrazić.

Gniew, jaki przedtem czuła na Dana, zniknął bez śladu. Praktycznie po raz pierwszy od przyjazdu na Jersey Juliet zupełnie zapomniała o cieniach przeszłości.

- To jak z tą kawą? - spytał Dan wstając. Pokiwała głową.

- Świetna myśl.

Ale prawdę mówiąc w obecnym nastroju każdą jego sugestię uznałaby natychmiast za świetną myśl. Pierwszy raz tak się czuła. Było to tak piękne, że miała nadzieję, że tak już będzie zawsze.

OKO ZA OKO

603

Wróciła do domu dobrze po północy. Dan usiłował ją przekonać, żeby została do rana, ale odmówiła.

- Nie wiem, co ty sobie właściwie o mnie myślisz - powiedziała. - Dopiero pierwszy raz byliśmy na randce, a już poszłam z tobą do łóżka.

- Co myśłę? Myśłę, że jesteś bardzo wyjątkową kobietą. I że łączy nas coś bardzo wyjątkowego. I cokolwiek się stanie, chciałbym, żebyś o tym pamiętała.

Przez króciutką chwilę Juliet wyczuła jakieś niedopowiedzenie, ale nie dopuściła, by to zniszczyło poczucie szczęścia, w którym się pławiała.

- W żaden sposób nie mogę zostać na noc. Rodzina będzie się zastanawiać, co mi się stało.

- Przecież mówiłaś, że Debora wyjechała.

- Bo wyjechała. W każdym razie co najmniej do jutra jej nie będzie. Ale jest David. I babcia.

- Przecież nigdy się nie dowiedzą, że cię nie było. Zostań, Juliet.

- Nie. - Pokręciła głową. - Naprawdę nie mogę. To by było wyjątkowo nieeleganckie.

- Pozwól więc przynajmniej, żebym cię odwiózł do domu. Nie mogę cię puścić samej w noc.

- A to dlaczego?

- Bo to nie po rycersku.

Nie dodał, że boi się ją stracić.

Zaśmiała się, ale bez szyderstwa. Sprawił jej przyjemność.

- Och, Dan, ty naprawdę wiesz, co robić, żeby dziewczyna czuła się pożądana. Ale nic z tego. Nie chcę, żeby mój samochód stał całą noc pod twoim domem. Nic mi nie będzie, dam sobie radę.

W końcu, z wielkimi oporami, Dan uległ i przestał protestować. Juliet pojechała sama, żegnana machaniem dłonią z ganku.

Kiedy skręciła w podjazd do La Grange, zobaczyła światło w oknach Sophii i doszła do wniosku, że jednak dobrze się stało, że uparła się wrócić do domu. Gdyby nie wróciła na noc, a babka

Janet Tanner

by o tym wiedziała, sytuacja byłaby okropnie ambarasująca i niezręczna.

Dom był bardzo cichy. Wysoki, stojący zegar dziadka głośno tykał, a wpadające przez mleczone szybki nad drzwiami światło lampy na ganku igrało z cieniami na wypolerowanej podłodze.

Juliet bezszelestnie przemykała przez hall, gdy nagle zatrzymała się w pół kroku, zaszokowana. W progu salonu, na podłodze, zobaczyła ciemny kształt. Dokładnie tam, gdzie umarł Louis.

Dziewczyna poczuła, jak krew w żyłach zmienia się jej w lód. Jakby zobaczyła ducha. Przez chwilę stała w miejscu, niezdolna do ruchu. Serce jej biło jak młotem. Jednak za moment powróciła zdolność normalnego myślenia, sięgnęła więc do ściany i zapaliła światło w korytarzu. To Sophia leżała bezwładnie na podłodze. Juliet opadła na kolana, przekręciła babkę na plecy i drżącą dłonią zaczęła szukać pulsu, lecz w panice nie mogła go odnaleźć. Nagle Sophia jęknęła cicho, gdzieś w głębi krtani.

- Babciu! - krzyknęła Juliet. - Babciu! Słyszysz mnie?! Sophia znów cicho jęknęła. Juliet wbiegła do pokoju, złapała

obszytą brokatem poduszkę i podłożyła babce pod głowę. Sophia była ubrana w koszulę nocną i szlafroczek, ale miała zimne ręce i nogi, więc Juliet bez wahania zerwała z wieszaka w hallu płaszcz Burberry i owinęła nim babkę.

- Zaraz wracam, babciu. Sprowadzę Davida. Sophia lekko uniosła powieki.

- Nie... nie... Nie Davida! - Jej głos był ledwie słyszalny i zduszony, ale stanowczy.

- Debory nie ma, babciu. David będzie wiedział, co robić. Sophia miała już szeroko otwarte oczy, choć ich zwykle

lśniący ametyst wyglądał na dziwnie zmatowiały. Juliet nie była pewna, czy babka rozumie, co się do niej mówi.

**- Nie Davida! - powtórzyła ochryple Sophia. Urwała, zawiesiła głos. Juliet siedziała obok i wahała się, co robić; wtem Sophia dodała: - Nie mogę pozwolić, żeby to jego obwiniano! Nie...
- W porządku, babciu. Nie ruszaj się. Zaraz wracam!**

OKO ZA OKO

606

Na uginających się ze zdenerwowania nogach Juliet wbiegła po schodach i pośpieszyła do drzwi apartamentu Debory i Davida na najwyższej kondygnacji. Sophia nalegała, żeby nie zawiadamiać Davida, ale dziewczyna nie widziała innej alternatywy. Jak szalona zaczęła się dobijać do jego drzwi. Po chwili David, rozczochrany i zaspany, ubrany tylko w spodnie od piżamy, otworzył.

- Co się dzieje?!

- Babcia zemdląca w hallu!

- O, Boże! - Cofnął się do pokoju, porwał jedwabny szlafrok, narzucił go na siebie i pognął na dół. - Weź jej torebkę! - krzyknął do drepczącej za nim Juliet. - Powinna mieć tam tabletki!

Zanim Juliet odnalazła torebkę i wydobyła z niej widziane w restauracji emaliowane pudełko, David zdążył już wykręcić numer doktora Clavella.

- Włóż jej pastylkę pod język! - zawołał do dziewczyny. Czekać na zgłoszenie się lekarza, trzymał słuchawkę pod brodą i uniósł Sophii głowę. - Szybko! Ciekawe, jak długo tu leży?

- Nie wiem. Ja dopiero co przyszedłam.

David posłał jej dziwne spojrzenie, dopiero teraz zauważając, że Juliet jest całkiem ubrana. Jednak nim zdążył to jakoś skomentować, rozespany lekarz podniósł wreszcie słuchawkę.

Ku wielkiej uldze Juliet tabletki przyniosła niemal natychmiastowy skutek. Dziewczyna doszła do wniosku, że babka nie mogła leżeć na podłodze zbyt długo, ale i tak dziękowała Bogu, że wróciła do domu na czas.

Zanim usłyszeli na podjeździe ryk podrasowanego Golfa GTI doktora Clavella, udało im się przenieść Sophię na kanapę w salonie. Nakryli ją kocem, który David przyniósł z jej pokoju. Sophia już niemal doszła do siebie.

- Co się stało, Sophio? - spytał doktor Clavell, patrząc na zegarek i mierząc puls chorej.

Sophia potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Po prostu kolejny atak. Wiesz dobrze, jak one

Janet Tanner

wyglądają, Dämonie. Straszny ucisk w piersiach, nie mogę oddychać, a potem wszystko zapada w ciemność.

- A co go wywołało?

- Nie rozumiem.

- Czy coś cię zdenerwowało?

- Zdenerwowało mnie? - Zaśmiała się gorzko. - Nie.

- To dlaczego chodziłaś po domu o tej porze?

- Och, nie wiem. Nie mogłam spać. Czy to istotne? Miałam atak, i tyle... - Ale jej oczy przybrały zacięty wyraz i lekarz zorientował się, że nic więcej się od niej nie dowie.

- Dam ci coś na sen, Sophio. I chyba dobrze by było, żebyś już dziś nie chodziła po schodach.

Czy możesz spać tutaj, na dole?

- Nonsens! Chcę być we własnym łóżku!

- Mamo, gdybyś leżała we własnym łóżku zamiast wędrować po domu, nic takiego by się nie zdarzyło! - powiedział oschłym głosem David. Jego wzrok napotkał oczy matki i przez chwilę Juliet widziała, jak toczy się walka ich charakterów. David pierwszy ustąpił i wzruszył bezradnie ramionami. - Panie doktorze, czy rozumie pan teraz ten problem? Moja matka jest bardzo upartą kobietą.

- Na szczęście dla niektórych - wtrąciła ostro Sophia.

- Będziemy musieli zainstalować windę - powiedział David, nie zwracając uwagi na słowa matki.

- Miejsca na to wystarczy.

- Nie chcę windy! - rzuciła Sophia. - Davidzie, gdybyś tylko mógł postawić na swoim, zrobiłbyś ze mnie inwalidkę.

- Winda to całkiem niezły pomysł, Sophio - powiedział spokojnie lekarz. - Ale nie zajmujmy się tym dzisiaj. - Zwrócił się do Juliet. - Czy mogłaby pani posłać tutaj dla Sophii?

- Po raz ostatni powtarzam, nie chcę tutaj spać! Jeśli mi pomożecie, to powoli dojdę do swojego pokoju.

Doktor Clavell i David wymienili spojrzenia. Wzrok lekarza mówił: jeśli ona się ma złościć, to zrobimy więcej złego niż dobrego.

- Dobrze, Sophio. Niech będzie. Ale nie wiń mnie, jeśli znów zasłabniesz.

OKO ZA OKO

609

- Dämonie, a kiedy to winiłam cię o cokolwiek?

- Zdaje się, że mama już się lepiej czuje - mruknął David. Obaj mężczyźni ostrożnie poprowadzili Sophię pod rękę po schodach na górę. Juliet szła za nimi, popatrując z przerażeniem na babkę.

- Za chwilę wrócę i zajrzę do ciebie, babciu - obiecała, gdy Sophia leżała już w łóżku. Zgasła światło.

- Na miłość boską! Juliet, nie przesadzaj! - ofuknęła ją Sophia, lecz jej głos brzmiał już nieco słabo. Najwyraźniej lekarstwo doktora Clavella zaczęło działać.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego o tej porze chodziła po domu

- mruknął David, kiedy lekarz już poszedł. Stał w kuchni przy stole, a Juliet, która podgrzewała mleko na Owomaltynie, zaczerwieniła się lekko.

- To chyba moja wina. Wróciłam bardzo późno. Babcia się pewnie o mnie martwiła.

- Wątpię. Twoja babka nigdy nie była zwolenniczką szablonów. Owszem, możliwe, że wobec ciebie reaguje inaczej, bo jesteś dziewczyną. My wszyscy byliśmy chłopakami. Ale to do niej niepodobne. Poza tym jest tu coś, co mi się bardzo nie podoba. - Zawahał się. - Leżała praktycznie w tym samym miejscu, gdzie zastrzelono Louisa.

Juliet zadrżała. Nie chodziło nawet o ten tajemniczy zbieg okoliczności. Ale ona wiedziała! Wiedziała, choć nikt jej nie powiedział! To znaczy, powiedziano jej, że to w tym pokoju, trudno zresztą było nie zauważyć, że akurat salon został stosunkowo niedawno przemeblowany. Domyślała się nawet, kto za tym stał - Debora. Ale nikt na pewno nic nie mówił o tym, że stało się to w progach. Skąd wiedziałam? - zastanawiała się Juliet. Znow zadrżała. Dziwne to wszystko. - Cały czas mam wrażenie, że ostatnio dużo o tym myślała - powiedział David. - Nie rozumiem, dlaczego tak nagle do tego wróciła. Jeden Bóg wie, jakie to dla niej było straszne, ale zawsze

Janet Tanner

umiała jakoś sobie z tym dać radę. Być może teraz wszystko z niej wychodzi ze względu na wiek? Matka zawsze świetnie umiała skrywać swe uczucia. Nie wiem, ale z całą pewnością ostatnio dziwnie się zachowuje. - Wyjął z kredensu dwa kubki i postawił na stole. - Dwa ataki w tak krótkim odstępie, a dobrze wiem, jak wielkim stresem jest każdy z nich. Co ty jej zrobiłaś, Juliet?

David wyraźnie miał ochotę nieco się podroczyć, słycać to było w jego głosie, ale to zdanie trafiło w cel. Juliet poczuła straszliwe wyrzuty sumienia.

- Ja? Nic! - odpowiedziała szybko, zadowolona, że David nie widzi jej twarzy.

Czy możliwe, żeby to właśnie ona była przyczyną babcinych ataków? Czyżby zdołała niechcący i niezauważenie odkryć coś, co Sophia koniecznie chciała utrzymać w tajemnicy? Zaczynała swoje „dochodzenie” z najlepszymi intencjami, ale reakcja Viv dobitnie ją przekonała, że igra z ogniem, a i Catherine stanowczo ostrzegła ją, żeby to zostawiła w spokoju. Teraz zarysowało się prawdopodobieństwo, że Sophia również zaczyna mieć dość jej wścibstwa.

Na miłość boską, muszę z tym skończyć! - pomyślała rozdygotana. Może rzeczywiście babcia przypadkowo zastrzeliła Louisa i chce o tym zapomnieć. Albo miała niezwykle istotny powód, żeby wziąć winę na siebie - i dotąd uważa go za równie ważny jak dwadzieścia lat temu.

- Wezmę Owomaltynę do łóżka i spróbuję zasnąć - powiedział David. - Mam jutro kilka bardzo ważnych spotkań.

- Zajrzę jeszcze raz do babci i też się położę - odrzekła Juliet. Szok, spowodowany odnalezieniem zemdlonej Sophii, zupełnie

zniszczył czarodziejski nastrój, w którym wróciła od Dana. Zakopawszy się w pościeli z kubkiem Owomaltyny w dłoni, Juliet zamysliła się. Miała nadzieję, że zdoła jeszcze kiedyś odnaleźć ten nastrój. Nowy związek sam w sobie spowoduje dosyć kłopotów - o ile okaże się

poważny. A Juliet była raczej pewna, że tak właśnie się stanie. Tak więc choć na chwilę jeszcze chciała zachować jego wyjątkowy czar.

OKO ZA OKO

443

Sophia spała spokojnie. We śnie jej twarz wyglądała bardzo młodo - o wiele za młodo jak na kogoś, kto przeżył tyle bólu co ona. Tak przynajmniej uznała Juliet, kiedy zajrzała do babki. Wiedziała jednak, że to tylko złudzenie. Wszystkie zaszłości pozostawiły swe wyraźne piętno na zdrowiu i siłach Sophii.

- Dobranoc, babciu - wyszeptała dziewczyna. - Nie martw się, nie będę cię już więcej denerwować.

W półmroku wydało jej się, że Sophia się uśmiechnęła.

Juliet już zasypiała, kiedy to do niej dotarło. Co takiego, do diabła, miała na myśli Sophia, kiedy leżąc na podłodze półprzytomnie zagadała do Juliet? „Nie mogę pozwolić, żeby to jego obwiniano... nie mogę.” O kim mówiła? Na obwinianie kogo nie mogła pozwolić?

Dziewczyna zatopiła się w myślach, usiłując pochwycić odpowiedź. Była pewna, że jest tuż, tuż. A potem, nagle, odpowiedź się pojawiła. Juliet usiadła na łóżku z szeroko otwartymi oczami, zupełnie rozbudzona i drżąca.

Przecież na moment przedtem Juliet powiedziała Sophii, że sprowadzi Davida. A wtedy Sophia odpowiedziała: „Nie, nie... Nie Davida.” Wtedy. Juliet zrozumiała, że babka woli, żeby przyszła Debora, a nie David; Debora, która zawsze się o nią troszczy, ilekroć zachodzi taka potrzeba.

Ale teraz Juliet z przerażeniem zrozumiała, że babce mogło chodzić o coś zupełnie innego. „Nie, nie... Nie Davida” i „Nie mogę pozwolić, żeby to jego obwiniano. Nie mogę...” Te dwa zdania Sophia wypowiedziała niemal jako jedno - pewnie była to jedna myśl.

A jeżeli to właśnie Davida Sophia osłaniała przez te wszystkie lata? W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku David miał dziewiętnaście lat; był za młody, żeby

powstrzymać brata od rujnowania ich dziedzictwa, ale wystarczająco dorosły, żeby doskonale rozumieć, co się dzieje. W czasie śmierci Louisa był w La Grange, chory na grypę. Podobnie jak gospościa zeznał,

Janet Tanner

że nie słyszał nic z tego, co się wydarzyło w hallu. Ale jeśli to właśnie on pociągnął za spust? Cóż bardziej naturalnego niż ochranianie go przez Sophię? Gdyby został skazany za zabicie Louisa, cała jego przyszłość zostałaby zniszczona. Poza tym był jej najmłodszym synem, ukochanym beniaminkiem. A więc, czy Sophia metaforycznie oddała za niego własne życie?

Boże! Jeśli tak było, to jak on może z sobą samym wytrzymać? Ale w takiej sytuacji nie byłoby nic dziwnego w paranoicznym reagowaniu Sophii na zbyt wiele pytań. Nic dziwnego, że jeśli uznała, że jej tajemnica może zostać ujawniona, uległa takiemu stresowi, że jej sercowe kłopoty zaczęły się powtarzać dużo częściej niż zwykle.

David, David, myślała Juliet i drżała. Czy jej rodzice znali prawdę i dlatego właśnie uciekli jak najdalej od Jersey i Sophii, bo nie potrafili zostać, wiedząc, że David dopuścił do tego, żeby jego matka wzięła na siebie jego winę? A czy wie o tym Debora?

Juliet wstała z łóżka i podeszła do okna. Miała gęsią skórkę na całym ciele. Wiedziała, że teraz nie zaśnie. Na dworze była miękka i ciemna noc, a gdzieś daleko, ponad wąską doliną wiodącą do morza, pohukiwała sowa.

Pięknie tu, pomyślała dziewczyna. Piękne to jej całe dziedzictwo, pełne ludzi, których zbyt łatwo nauczyła się kochać, bo byli jej krewnymi. Ale w tej chwili Juliet żałowała, że w ogóle przyjechała na Jersey.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Samolot Debory wylądował na lotnisku Jersey tuż po jedenastej. Wyjęła ze schowka nad głową niewielką walizeczkę, jej jedyny bagaż, przeszła przez bramkę „Nic do oclenia” i skierowała się na parking, gdzie zostawiła swojego Mercedesa. Każdy krok przynosił jej ulgę. Od czasu, gdy wyjechała, minęło nieco więcej niż dwadzieścia cztery godziny, a jednak powrót przyniósł ogromne zadowolenie. Kiedyś, dawno temu, Debora uważała Jersey za straszliwie nudne i zapyziałe miejsce. Ale teraz nie. Teraz Jersey było jej spokojną przystanią, niemal azylem. Tu była bezpieczna. Nic nie mogło jej zagrozić, nikt nie mógł pozbawić jej tego życia, które teraz wiodła. Tutaj była panią Davidową Langlois, tu nie brakowało jej niczego i już nigdy nie zabraknie. Przynajmniej tak uważała, póki nie przyjechała Juliet i nie zaczęła stawiać tych wszystkich niewygodnych pytań.

Na samą myśl o Juliet Debora ogarnęła fala niepodobnego zupełnie do niej gniewu. Cholera! Dlaczego ją tu przyniosło? Po co ta dziewczyna tutaj przyjechała? Ale rozdrażnienie szybko minęło. Juliet była bratanicą Davida i miłym dzieciakiem - nie zrobiłaby rozmyślnie niczego, co mogłoby mu zaszkodzić. Jednak właśnie te nierozmyślnie popełniane przez Juliet błędy najbardziej martwiły Debora.

Wizyta w Londynie nie dostarczyła żadnych odpowiedzi na najbardziej palące pytania. Debora odwiedziła jedną ze swych

Janet Tanner

najstarszych przyjaciółek, która - jako jedna z bardzo małej grupki osób - wiedziała wszystko o przeszłości i o tym, co się stało. Jadąc do mej Debora miała nadzieję, że razem zdołają znaleźć jakiś sposób na uniknięcie najgorszego. Lecz tym razem Grace nie była w stanie jej pomóc.

Wypiły butelkę Brata i przegadaly pół nocy. W pewnej chwili, już bardzo późno, Debora pod wpływem szampana już niemal dała się przekonać, że wszystko będzie dobrze. Jednak rankiem problem nadal istniał, równie nierozwiązywalny jak przedtem. Debora poczuła, że zaczyna powoli ulegać panice. Nie widziała już żadnego ratunku z głębokiego, czarnego tunelu strachu, do którego wpędziło ją destrukcyjne śledztwo, jakie zaraz po przyjeździe na Jersey zaczęła prowadzić Juliet

- Ona się niczego nie dowie, kochanie. Nie po tak długim czasie - powtarzała jej uspokajająco Grace, kiedy szampan już zrobił swoje i Debora chciała jej wierzyć. Ale w świetle dziennym jej lęk i złe przeczucia były równie silne, jak poprzedniego dnia. Juliet była niebezpieczna, bo miała szybko myślący, dociekliwy umysł. Owszem, jest bardzo młoda i śliczna jak obrazek, a jej zwodniczo leniwy akcent z Sydney potrafił uśpić czujność, ale pod tym wszystkim kryło się dziedzictwo rodu Langlois i Car-teretów, spadek po przodkach.

Debora dobrze wiedziała, że i wszyscy Langlois, i Carteretowie byli zawsze zajadli.

Carteretowie i Langlois nigdy nie rezygnowali. Nigdy. Więc Debora obawiała się, że Juliet także jest właśnie taka.

Walcząc z klaustrofobicznym poczuciem nieuniknioności, Debora zagryzła wargi. Tak naprawdę przecież nic nie mogła zrobić. A Grace to tylko potwierdziła. Pozostaje jej tylko nie przerywać wysiłków dla odwiedzenia Juliet od tego wszystkiego i modlić się. Debbie nigdy nie była religijna, ale jak większość ludzi, którzy stają w obliczu czegoś, nad czym nie mają

kontroli, a co ich przeraża, odkryła w sobie nagle szaleńczą nadzieję, że jednak może gdzieś jest jakiś Ktoś Na Górze. A jeśli tak, to może przyjdzie jej z pomocą.

OKO ZA OKO

447

Juliet zobaczyła skręcający na podjazd samochód Debory z okna sypialni Sophii.

- Debbie wróciła, babciu - powiedziała, a twarz Sophii rozjaśnił uśmiech ulgi.

- Och, to dobrze.

Sophia wyglądała tego ranka zaskakująco dobrze jak na kogoś, kto dopiero co był tak bardzo chory. Juliet spostrzegła to zaraz po porannym przyjeździe do babki i powitała to z wielką ulgą. Przecież Sophia łatwo mogła umrzeć - a właściwie na pewno by umarła, gdyby Juliet nie wróciła do domu na czas i jej nie znalazła. Podobnie jak poprzednio szybkość, z jaką wracała do zdrowia, graniczyła z cudem. Najwyraźniej Sophia była bardzo silna mimo owej słabości, która powodowała jej problemy z sercem. Jednak Juliet postanowiła nie ryzykować i tego poranka praktycznie jej nie odstępowała. Sophia zawsze jadła śniadanie w łóżku, ale jak tylko skończyła, Juliet zasiadła obok babki i zaczęła plotkować, uważając, by Sophia nie próbowała wstać, czy też nadwerężyć się w inny sposób. Oznaczało to oczywiście konieczność przełożenia spotkania, na które umówiła się z Danem, czego dziewczyna bardzo żałowała. Za mało mieli dla siebie czasu, a jej wyjazd z Jersey był już bliski, lecz Juliet nie miała zamiaru pozwolić, by cokolwiek przeszkodziło jej w troszczeniu się o zdrowie Sophii. I tak już miała wyrzuty sumienia. Zadzwoiła więc do Dana z wyjaśnieniem i poszła do pokoju babki na górę. Oczywiście, Sophię bardzo ciekawiło, jak Juliet spędziła poprzedni wieczór. Wychodząc na kolację Juliet musiała wreszcie wyznać, że spotyka się z Danem, na co Sophia pokręciła tylko głową.

- No, no! - powiedziała. - Syn Dana! Jeśli jest podobny do swego ojca, to z pewnością miły z niego chłopak. - Ale nie wspomniała o Catherine i Danie Seniorze, więc Juliet pojęła, iż był to sekret ciotki Catherine.

- Już raczej nie chłopak, babciu - odrzekła. - On musi mieć około trzydziestu lat.

Janet Tanner

Roześmiały się obie.

- Pewnie tak - zgodziła się Sophia. - Ale w moim wieku każdy poniżej czterdziestki to prawie dziecko!

Sluchala z zainteresowaniem opowiadania o kolacji z Danem, taktownie powstrzymujac sie od rzucenia uwagi, iz trwala ona raczej dosc dlugo.

- Mam nadzieje, ze nie zmienilas zadnych planow, zeby siedziec tu ze mna - raczej stwierdzila niz spytala, gdy Juliet skonczyła relacje. - Jesli tak, bede naprawde zla. To zupełnie niepotrzebne. Nic mi nie bedzie. Mam do przejrzenia poczte, a jak nie bede w stanie tego robic, to moge poczytac gazety albo spróbować rozwiązać choć jedną krzyżówkę. Idź sobie i ciesz się słońcem.

- W Australii widuje go raczej sporo - odbila pileczke Juliet. - To dla mnie nic nowego.

- No cóz, chyba rzeczywiście nie. Twoi rodzice najwyraźniej dobrze wiedzieli, co robią, kiedy wybrali Australię. - Sophia powiedziała to wszystko z łagodnym uśmiechem, co Juliet uznała za miłą niespodziankę. Sophia tak rzadko wspominała swojego średniego syna i jego żonę! Juliet nie raz stwierdziła, że to milczenie jest dość dziwne - można by się raczej spodziewać, że babka zasypie ją pytaniami na ich temat, ale nie, nigdy nawet nie próbowała. W końcu przez dwadzieścia lat nie była u nich, a oni nie przyjechali nigdy do niej. Być może Sophia żywiła do nich głęboką urazę za to, że wyjechali i porzucili rodzinę w ciężkich czasach, a może oni także mieli swoje powody, na przykład niechęć do życia w atmosferze niepewności. Jak by nie było, rozdźwięk bez wątpienia istniał.

Fakt, iż Sophia z własnej woli zaczęła mówić o Robinie i Molly, mógł stworzyć Juliet okazję do zapytania o powody rozpadu rodziny, ale dziewczyna postanowiła tego nie robić. Nie chciała

ryzykować ponownego wytrącania babki z równowagi. Jednak ku jej zaskoczeniu Sophia ciągnęła temat.

- No, ale Molly zawsze była czcicielem słońca - powiedziała z pełnym zadumy uśmiechem. - Jako mała dziewczynka wy-

OKO ZA OKO

620

glądała przez całe lato jak Mulatka. Chłopcy mieli zawsze taką jasną skórę, że łatwo się dorabiali poparzeń. Pamiętam, jak Robin kiedyś za długo był na słońcu. Już wieczorem był taki czerwony i pokryty bąblami, że nie mógł wytrzymać nawet dotyku prześcieradła na skórze. Musiałam go prawie że wykapać w toniku kalominowym, ale i tak nie mógł spać przez całą noc. Ale nie Molly. O, nie, nie Molly.

Umilkła, a Juliet wiedziała, że Sophia widzi ich w tej chwili oczami duszy jako dzieci - takie same jak na pożółkłych zdjęciach na poddaszu; jej matkę z włosami zaplecionymi w warkoczyki z kokardami, ubraną w krótką, bawełnianą sukieneczkę, jej ojca, nieco za chudego, w luźnych i przydługich szortach i białych, bawełnianych skarpetkach, i Louisa, tak przystojnego nawet jako dziecko, stojącego z rękami na biodrach, pana wszystkiego, co w zasięgu wzroku.

- Teraz trzeba dużo bardziej uważać - odezwała się Juliet w nadziei zmiany tematu, choć właściwie sama nie wiedziała, dlaczego chce go zmienić. - Rak skóry to teraz poważne zagrożenie i nie można już tak wysiadywać na słońcu jak kiedyś - przynajmniej jeśli się ma dobrze w głowie.

Sophia potrząsnęła głową.

- Rak skóry. Oj, Boże, Boże. Zdaje się, że teraz już wszystko, co choć trochę przyjemne, ma naklejkę z ostrzeżeniem Ministerstwa Zdrowia. Chyba jednak jestem szczęśliwa, że przeżyłam życie w swoim czasie. Owszem, miewaliśmy okropne przejścia, ale kiedy się już skończyły,

mogliśmy przynajmniej cieszyć się zwykłymi przyjemnościami życia bez psucia ich jakimiś strasznymi restrykcjami.

- Ja się cieszę życiem - wtrąciła Juliet.

- Och, rób tak koniecznie, moja droga! Życie jest za krótkie! Oczywiście, nie namawiam cię do pośpiechu czy niecierpliwości, ale nie powinnaś się obawiać. Nie ma nic bardziej niszczycielskiego niż strach.

Juliet skinęła głową. Jakoś nie umiała sobie wyobrazić swej babki pogrążonej w strachu. Nie, to nie tak. Musiała czasami się

Janet Tanner

bać, bo tylko głupcy nie odczuwają lęku. A Sophia z pewnością nie była głupcem. Jednak na pewno nigdy nie pozwoliła, aby strach kierował jej działaniem. Nigdy.

Plotkowały dalej; temat Robina i Molly kolejny raz został zapomniany. O jedenastej Juliet zeszła do kuchni po dzbanek świeżo zaparzonej kawy. Kiedy ją już wypity, zabrała się do wynoszenia naczyń. Właśnie ustawiała kubki na tacy, gdy dostrzegła Mercedesa Debory na podjeździe.

- Po co jej te zastrzyki kolagenowe? - spytała. - Przecież ona wcale ich nie potrzebuje.

- Może właśnie rezultat końcowy jest tak dobry, że możesz tak uważać. - Sophia uśmiechnęła się. - Ale nie, muszę przyznać, że Debora jest o wiele za młoda, żeby martwić się o coś takiego. Poza tym, uczciwie mówiąc, nie widzę żadnej różnicy, kiedy już wraca. Może ty zauważysz, ale ja nie. Choć tak w ogóle myślę, że ktoś tak atrakcyjny jak Debora może bardzo łatwo popaść w lekką paranoję na temat swojego wyglądu. To zapewne musi być koszmar

- zerkasz w lusterko i widzisz, że idealny obraz przestaje być taki idealny. Większość z nas, zwykłych śmiertelników, bardzo wcześnie się do tego przyzwyczaja. Ale Debora jest tak kochaną osobą, że można jej pozwolić na jedno czy dwa dziwactwa.

Miała głos i wyraz twarzy pełne czułości.

- Debora jest ci bardzo bliska, prawda, babciu?

- Jest córką, której nigdy nie miałam. Nie mogłabym sobie życzyć więcej. - Powiedziane to zostało tak po prostu i z takim uczuciem, że Juliet poczuła się wręcz niezręcznie.

- Debora zawsze była przy mnie, kiedy jej potrzebowałam

- ciągnęła Sophia miękko. - Zajmowała się wszystkim, kiedy ja nie mogłam, a gdy wróciłam, zostałyśmy bardzo bliskimi przyjaciółkami. Mam wobec Debory dług, którego nigdy nie będę w stanie spłacić.

Juliet nie powiedziała i odwróciła się od Sophii, żeby babka nie dojrzała na jej twarzy myśli, która jej właśnie

OKO ZA OKO

451

przemknęła przez głowę. David. Czy to jego Sophia miała na myśli, gdy mówiła: „zajęła się wszystkim, kiedy ja nie mogłam”? Że Debora troszczyła się o dziewiętnastoletniego Davida, pogrążonego w czarnej depresji, przerażonego tym, co zrobił, i łańcuchem wydarzeń, który zapoczątkował? Ale to wszystko musiało pozostać tylko w sferze domysłów. Nie mogła o to pytać. Przynajmniej nie teraz.

- Zaniosę naczynia do kuchni, babciu - powiedziała. - Powiem Deborze, co się zdarzyło. Jestem pewna, że zaraz do ciebie przybiegnie.

Sophia posłała jej spokojny uśmiech kobiety, której świat jeszcze raz pozwolił się uporządkować.

- Tak - odrzekła. - Jestem pewna, że przyjdzie.

Debora postawiła swoją walizeczkę w hallu i pośpieszyła do kuchni.

- Zostało jeszcze trochę kawy? - zapytała na widok Juliet. - Pachnie bosko po tych popłuczynach, które serwują w samolocie.

Była uosobieniem chłodnej elegancji. Miała na sobie niebieskie spodnie i szmaragdowozielony żakiet. Juliet wpatrzyła się w jej twarz w poszukiwaniu jakichś zmian po zastrzykach kolagenowych i rozczarowała się. Debora wyglądała dokładnie tak samo, jak przed wyjazdem. Ani lepiej, ani gorzej. Ale trzeba przyznać, że ciągle równie wspaniale.

- Babcia i ja wypiliśmy cały dzbanek, ale zrobienie świeżej kawy nie potrwa długo - odpowiedziała, odstawiając tacę na stół. - Debora, muszę z tobą porozmawiać. Babcia miała w nocy atak.

- O, mój Boże! Czy ona...

- **Biorąc wszystko pod uwagę, jest dzisiaj w niezłej formie, ale muszę przyznać, że wyglądało to okropnie.**
- **Co się stało?**
- **Nie wiadomo. Znalazłam ją, nieprzytomną, w progu salonu,**

Janet Tanner

około północy. Wezwaliśmy doktora Clavella, ale zanim przyjechał, zaczęła już dochodzić do siebie.

- Idę do niej! - Debora pośpiesznie się odwróciła i ruszyła do drzwi. Miała pobladłą twarz.

- Naprawdę czuje się już dużo lepiej! - zawołała za nią szybko Juliet. - Nie ma już powodu do zmartwień!

Debora zatrzymała się w drzwiach i odezwała się raczej do siebie niż do Juliet:

- Nie ma powodu? Łatwo powiedzieć! Nie powinnam była wyjeżdżać! Nigdy nie powinnam jej zostawiać!

- Debora, na miłość boską! Musisz mieć choć trochę własnego życia! Ja tu byłam. I David!

Przez króciutki moment twarz Debbie wyrażała lęk, poczucie winy i miłość jednocześnie, a wszystko to razem zmieszane było z czymś jeszcze, jakimś dużo głębszym i silniejszym uczuciem. Po chwili zniknęła z oczu Juliet. Tylko od schodów słychać było stukot pantofelków. Ze zmarszczonym czołem, w zamyśleniu, Juliet nastawiła kawę. Z pewnością Debora miała wyrzuty sumienia, że nie było jej tu, kiedy Sophia dostała ataku, ale i tak jej reakcja wydawała się mocno przesadzona. Nikt przecież nie mógł przewidzieć tego ataku, a Debora wyjechała tylko na jeden dzień.

Kiedy kawa była już gotowa, Juliet ruszyła z tacą na górę. Debbie siedziała lekko pochylona obok łóżka Sophii i trzymała chorą za rękę. Bliskość obu kobiet jeszcze nigdy nie była wyraźniejsza, a Juliet odczuła jakby lekką zazdrość. Gdyby jej rodzice nie wyemigrowali, być może również mogłaby być tak blisko swej babki. A gdyby zamieszkała na Jersey, może nadal miałyby szansę na nawiązanie takich stosunków.

- Kawa! - obwieściła.

Debora wyprostowała się. Wyglądała już na bardziej odprężoną, jakby sam widok Sophii uspokoił jej galopujące myśli i uczucia.

- Cudownie! Napijesz się trochę, Sophio?

- Nie, dziękuję, moja droga. Dopiero co osuszyliśmy z Juliet

OKO ZA OKO

453

cały dzbanek, a nie jestem pewna, czy zbyt dużo kawy dobrze by mi zrobiło. Obawiam się, że będę musiała zacząć ostrożnie traktować wiele rzeczy, a wśród nich pewnie i kawę. Wczoraj okropnie nastraszyłam swoją wnuczkę. Prawda, Juliet?

- Och, z pewnością, babciu.

- Gdyby wtedy akurat nie weszła, nie wiem, co by się stało. Gdyby na przykład spała. Bo wiesz, Deboro, Juliet wczoraj wieczorem była na randce. Muszę powiedzieć, że mam nadzieję, że się zakocha i postanowi zostać na Jersey. Nie sądzę, żeby się na to zdecydowała dla takiej starej kobiety jak ja, ale jeśli w grę wchodzi młody mężczyzna, to już zupełnie inna rozmowa.

- O, z pewnością - mruknęła Debora, ale ani jej głos, ani wyraz twarzy nie wskazywały, by szczególnie zachwycała ją perspektywa zamieszkania tu na stałe bratanicy. - Kimże jest ten szczęściarz, Juliet?

- Nazywa się Dan Deffains.

- Syn Daniela Deffainsa - wtrąciła Sophia. - Mojego adwokata, pamiętasz? Całymi latami zajmował się sprawami rodziny Lang-lois. Mały jest ten świat, nieprawdaż?

Zapadła dziwna, ciężka cisza, atmosfera w pokoju nagle się zmieniła, nasyciła czymś, czego Juliet nie potrafiła pojąć. A potem Debora odezwała się:

- Dan Deffains? To naprawdę dziwne.

- Prawda? - Sophia uśmiechnęła się do Juliet, najwyraźniej nie uświadamiając sobie zmiany w zachowaniu Debbie. - Zawsze niezwykle lubiłam Dana, i wiem że Catherine także. Musisz

zaprosić jego syna do nas na kolację, Juliet. Chyba że uznasz to za natręctwo z mojej strony. Ale naprawdę bardzo bym chciała go poznać.

Debora nie skomentowała tego, lecz miała zaciśnięte wargi. Dlaczego ona go nie lubi, zastanawiała się Juliet. Co takiego może mieć przeciw niemu?

Była pełna złych przeczuć. Coś, co dotyczyło Dana, sprawiło, że Debora się najeżyła. A Juliet bardzo chciała wiedzieć, co to takiego.

Janet Tanner

Nie musiała długo czekać. Kiedy wychodziła do kuchni z naczyniami, Debora poszła za nią.

- W jaki sposób poznałaś Dana DefFainsa?

- Co masz na myśli?

- To jakiś niesamowity zbieg okoliczności, że na wyspie pełnej mężczyzn spotykasz się właśnie z synem i imiennikiem adwokata Sophii.

- Życie jest pełne zbiegów okoliczności - mruknęła sentencjonalnie Juliet. - Ale mam wrażenie, że nie apróbujesz tej znajomości. Nie lubisz go?

- Nie mam pojęcia, czy go lubię, bo nigdy się z nim nie widziałam. - Debora wyjęła z torebki paczkę papierosów i zapaliła. Juliet zauważyła, że jej dłoń lekko drży.

- To co masz przeciw niemu? - spytała wprost. - Widzę przecież, że coś masz.

Debora nerwowo się zaciągnęła, na moment spojrzała Juliet w oczy, po czym natychmiast uciekła wzrokiem, jakby była niezdecydowana, czy odpowiedzieć niecierpliwie czekającej dziewczynie.

- Czy to on się z tobą skontaktował?

- Nie... Ja... - Juliet urwała. - Deboro! Co to wszystko znaczy? Zasypujesz mnie pytaniami, nie odpowiadając na moje. Nie mogłabyś powiedzieć wprost, o co chodzi?

- Dobrze. - Debbie zgmiotła wypalonego do połowy papierosa i spojrzała Juliet prosto w oczy. - Powiem ci. Spytałam, czy to on się z tobą skontaktował, bo jakiś rok temu skontaktował się ze mną. Zadzwoił i spytał, czy mogłabym z nim porozmawiać na temat śmierci Louisa.

Powiedział, że bardzo go to interesuje i że pomyślał, że skoro jestem członkiem rodziny przez małżeństwo, może dla mnie mniej bolesne byłoby rozmawianie na ten temat. Spytałam go, dlaczego tak się tym interesuje. Odpowiedział, że porządkując rzeczy ojca natknął się na akta i że ta sprawa zawsze bardzo leżała na sercu jego ojcu. Powiedziałam mu, że raczej mu niewiele

pomogę, bo wyszłam za mąż za Davida w dwa lata po śmierci Louisa. Ale on nie umiał zrozumieć

OKO ZA OKO

629

znaczenia słowa „nie”, a ja nie wiedziałam, dlaczego go to wszystko tak bardzo ciekawiło. To znaczy nie potępiam ciekawości, ale to już była lekka przesada. Tak więc rozpytałam się co nieco. - Zrobiła przerwę na wyjęcie i zapalenie drugiego papierosa. - Czy on ci powiedział, z czego żyje, Juliet?

- Jest pisarzem, prawda?

- A wiesz, co pisze?

- Myślę, że książki o Jersey. Ma ogromną wiedzę na temat historii wyspy, okupacji i tak dalej.

- Naprawdę? No cóż, to znaczy, że ma jakieś uboczne zainteresowania. Może tarzanie się w rynsztoku mu nie wystarcza.

- Deboro, znów mówisz jakimiś półsłówkami! - zarzuciła jej Juliet, ale już zaczęła się nieco trząść, jakby przeczuwała, co powie Debbie.

- Przykro mi, Juliet, ale skoro naprawdę nie wiesz, jakie jest podstawowe źródło dochodów Dana Deffainsa, to zapewniam cię, że nie będzie ci się to podobało. - Zaczęła się bawić zapalniczką. - Był kiedyś policjantem, powiedział ci o tym?

- Tak.

- A kiedy go wyrzucili z policji, zaczął wykorzystywać swoje talenty w dziennikarstwie. Na początek poprowadził prywatne śledztwo w sprawie narkotyków, co wywąchał jeszcze jako policjant, i zarobił na sprzedaży reportażu mnóstwo pieniędzy. Potem zaczął myszkować wokół pewnego angielskiego biznesmena, który chciał kupić na Jersey posiadłość. Dan zastanawiał się, w jaki sposób ten człowiek doszedł tak szybko do takich pieniędzy. Rezultatem tego śledztwa była sprawa o działanie na szkodę spółki, która wstrząsnęła poważnym, dużym brytyjskim

przedsiębiorstwem i wywołała skandal w londyńskim City, a dwóch ludzi wylądowało w więzieniu. A teraz w poszukiwaniu nowego tematu pan Daniel Deffains Junior zainteresował się śmiercią Louisa. Zapamiętał sobie, co jego ojciec mówił na ten temat, jego wątpliwości co do winy Sophii, i postanowił napisać tę historię od nowa. I odnieść kolejny sukces.

- Nie do wiary! - sapnęła niemal bezwiednie Juliet. Była

Janet Tanner

wstrząśnięta, ale fakty pasowały do siebie aż za dobrze - skwapliwa zgoda Dana na pomoc, sposoby, w jakie namawiał ją do wypytywania rodziny, gdzie kto był tamtego wieczora dwadzieścia lat temu, ciągle powracanie do tego samego tematu, na okrągło. Poza tym nie było żadnego powodu, dla którego Debora miałaby zmyślać tę historię. Ale przecież Sophia nie miała najmniejszych obiekcji co do jej randek z Danem - podobnie Catherine. Mało, Catherine wręcz ją do tego zachęcała.

- Czy inni wiedzą o tym? - spytała Juliet. - To znaczy... Mówiłam babci i cioci Catherine, że się spotykam z Danem, a one nic nie powiedziały.

- On pisze pod pseudonimem - wyjaśniła Debora i zapaliła kolejnego papierosa. - Jego pozycja na Jersey byłaby mocno zagrożona, gdyby wszyscy wiedzieli, że Harry Porter to Dan Daffains.

- Rozumiem. - Juliet zrobiło się zimno. Była urażona i wstrząśnięta. Jak on mógł ją tak oszukać? Zwykle nie paliła, ale teraz myśl o papierosie wydała się jej na miejscu. - Mogę zapalić? Debora podała jej paczkę i przypaliła jej papierosa. Juliet zakaszlała się nieco. Papieros smakował wstrętnie.

- Przykro mi, jeśli naprawdę go lubiłaś, Juliet. - Debora wyglądała jak uosobienie współczucia. - Jak rozumiem, jest czarującym mężczyzną. Ale to go czyni jeszcze niebezpieczniejszym.

Musiałam ci powiedzieć. Nie dostał nic ode mnie, myślał więc pewnie, że więcej zwojuje u ciebie. Nie wiem, co masz zamiar z tym zrobić, ale wiem, co ja bym zrobiła. Udusiłabym go. Szczególnie kiedy sobie pomyślę, co by się stało z Sophią, gdyby tę historię znowu rozgrzebano.

Za oknem przeszła młoda kobieta w dżinsach i koszulce, obciążona plastikowymi torbami i koszykiem zielonej sałaty. Debora przyłożyła palec do ust.

- Oho, idzie Margot. Będzie robiła lunch. Nic już nie powiem. Ale miej się na baczności, Juliet. I na miłość boską, kiedy znów się z nim spotkasz, zważaj na słowa!

- Nie martw się. Już się z nim nie spotkam - odparła ponuro

OKO ZA OKO

632

Juliet. Nagle nie była już tylko wstrząśnięta i pełna niedowierzania. Czowała wściekłość, wręcz furję. Jak on mógł ją tak oszukać?! Pewnie czuł się, jakby wygrał w totka, kiedy sama się do mego zgłosiła. A ona myślała... Myślała, że... Na wspomnienie poprzedniego wieczoru zaczęła ją palić twarz. Chryste, jak mogła być tak naiwna?!

Zgasiała papierosa i wyszła z kuchni, pozostawiając Deborę ze spoconą Margot. W gabinecie był aparat telefoniczny, a o tej porze nikt tam nie wchodzi. Złapała słuchawkę i wykręciła numer Dana.

- Dan? Tu Juliet! - powiedziała krótko, gdy odebrał telefon.

- Juliet! Jaka miła mespodzianka! - Dan najwyraźniej nie zauważył wściekłości w jej głosie.

- Nie, nie jest miła. Zupełnie. Jestem wściekła! Właśnie odkryłam twój paskudny sekret, Dan. A może powinnam powiedzieć Harry? To jemu właśnie dotrzymywałam ostatnio towarzystwa, prawda? Harry'emu Porterowi, dziennikarzowi-detektywowi!

- Juliet, poczekaj...

- Nie, to ty poczekaj! Gdybym chociaż podejrzewała, dlaczego naprawdę chcesz mi udzielić tej tak zwanej pomocy, nigdy bym się do ciebie nawet nie odezwała. Ale pewnie wiedziałeś o tym. To dlatego mnie oszukiwałeś. Powinnam oczywiście mieć się na baczności. Raife Pearson próbował mi to powiedzieć, prawda? Powiedział, że nie każdy jest taki, na jakiego wygląda. Pomyśleć, że w dodatku poszłam z tobą do łóżka! Czy to była część twojego śledztwa?

- Juliet, nic nie rozumiesz...

- Czyżby? Naprawdę? Chyba uważasz mnie za idiotkę, skoro myślisz, że cię nie przejrzałam. Chciałam skończyć kopanie w przeszłości. Zdałam sobie sprawę, jakich to może narobić szkód i chciałam przestać. I co wtedy zrobiłeś? Znalazłeś inny, sposób na spotkanie się ze mną. W

nadziei oczywiście, że w końcu zmienię zdanie, a jeśli nie, to zyskasz wejście. To wszystko jest obrzydliwe! - Urwała drżąc; wciągnęła powietrze.
- Juliet, posłuchaj mnie...

Janet Tanner

- Nie! Nie zadzwoniłam, żeby cię słuchać. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, co o tobie myślę. I chcę cię jeszcze ostrzec - jeśli wydrukujesz na temat mojej rodziny choć jedno słowo, osobiście poinformuję cały świat, kim jesteś i jaki jesteś!

- Juliet!

- Zegnaj, Dan! - Trzasnęła słuchawką o widelki. Już nie drżała, trzęsła się niepowstrzymanie. Stała oparta o biurko, aż wreszcie gniew opadł, a nadeszła fala rozpacz.

Och, Dan, dlaczego to wszystko musiało być tylko grą? Jak mogłam być taką idiotką, żeby uwierzyć choćby na chwilę, że łączy nas coś wyjątkowego?

Za późno. Wszystko skończone. Dzięki Bogu, nie dałam mu nic, co mógłby wykorzystać w swoim reportażu, czy jak to się tam nazywa. Dzięki Bogu jedyną skrzywdzoną będę ja.

Debora zaniósła swoją walizczkę do apartamentu na najwyższej kondygnacji, zamknęła drzwi i oparła się o nie.

Nienawidziła siebie samej za to, co powiedziała Juliet, ale naprawdę nie było innego wyjścia.

Ten człowiek był niebezpieczny, wkradał się w łaski dziewczyny, zdobywał jej zaufanie, a Debora lękała się tego, co mógłby w końcu wykryć.

Przycisnęła dłonie do twarzy i zamknęła oczy. Wiedziała od chwili, gdy Juliet zapytała o Jersey Lily Night Club, że ktoś musiał z nią rozmawiać. To nie było miejsce, do którego Juliet miałaby ochotę pójść sama. Była na to zbyt dobrze wychowana; nie zdając sobie nawet z czegoś takiego sprawy, natychmiast by to odrzuciła. Takie miała wpojone zasady. I to nie powierzchownie, ona właściwie już się z tym urodziła, wychowała się w pewności siebie i przekonaniu o prawie do nadanych przez Boga przywilejów. Debora poczuła ukłucie zawiści. Od niemal dwudziestu lat prowadziła luksusowe życie, lecz nadal w głębi duszy nie czuła się zupełnie pewnie. Nie robiła

już głupich błędów, zawsze robiła i mówiła to, co należało, wyglądała odpowiednio, elegancko, wyrafinowanie i bardzo pewnie siebie.

OKO ZA OKO

459

Ale zawsze była tylko aktorką, choć jej stopa nigdy nie postąpiła na scenie. Zawsze potrafiła skryć swe uczucia. Wszystkie wątpliwości i cała niepewność były schowane tak głęboko, że po dwudziestu latach niemal już ich nie było. Gdyby jednak poszukać głębiej, dawne lęki i obawa przed odrzuceniem wyjdą na wierzch, prawdziwe i żywe, może nawet jeszcze ostrzejsze, bo teraz ma więcej do stracenia.

Debbie zadrżała. Przez te wszystkie lata uwierzyła, że jej tajemnice są bezpiecznie ukryte. Teraz jednak uświadomiła sobie, jak łatwo zdmuchnąć warstwy iluzji i ujawnić tkwiącą pod spodem prawdę. Dan z pomocą Juliet grzebał w przeszłości, starając się rozwiązać zagadkę morderstwa. A przy okazji z łatwością mógł wydobyć na światło dzienne sekrety, które Debora tak bardzo chciała skryć, fakty, które wstrząsnęłyby zaściankowym Jersey i okryły wstydem rodzinę, której jest teraz częścią.

Wyprostowała się, zsunęła żakiet i odwiesiła go do biegnącej przez całą szerokość pokoju szafy. Na drzwiach było lustro. Zamykając szafę dojrzała swoje odbicie - pełne lęku, zagonione oczy. Już same te oczy obwieściłyby całemu światu, że coś jest nie tak. Musi się wziąć w garść.

Ale nie bardzo wiedziała jak.

Poczucie zupełnej bezsilności zaczęło ją błyskawicznie przenosić w przeszłość. Odbicie w lustrze wydawało się zmieniać, młodnieć, ostrzec. Oczy w lustrze były teraz pełne lęków i stale napiętej uwagi, powiek nie pokrywały już delikatne, różowe i brązowe cienie, lecz ostre, czarne kreski, obramowane grubo natuszowanymi, aż lepkimi rzęsami, usta były jadowicie różowe, a nie ciepłobrzoskwiniowe. Dotknęła włosów i wydało się jej, że czuje w palcach szorstki, nieprzyjemny efekt zbyt silnego utlenienia perhydrolem, a nie delikatny wynik pracy mistrza

fryzjerskiego. Przesunęła wzrok niżej, spodziewając się, że jej ubranie, jak na Kopciuszku po północy, zmieni się w tanią spódniczkę mim lub w spodnie pokryte charakterystycznymi dla wczesnych lat siedemdziesiątych psychodelicznymi wzorami.

460

Janet Tanner

W owej chwili Debora Langlois właściwie przestała istnieć. Na jej miejscu stała siedemnastoletnia, przerażona i samotna Debbie Swift. Tamta dziewczyna uważała, że wie wszystko, była pewna, że jest już wystarczająco dorosła, żeby ruszyć na podbój świata. Jakżeż się myliła! A teraz to wszystko znów się zaczynało, wciągając ją jak wir, jak trąba powietrzna. Stała bezbronna i zalękniona.

Zamknęła oczy, usiłując odpędzić od siebie te obrazy, ale było już za późno. Przeszłość, o której tak bardzo chciała zapomnieć, otaczała ją całkowicie. A ona znów, jak kiedyś, była jej nierozdzieloną częścią.

Rozdział trzydziesty

Londyn, 1971

Hej, ty, obudź mi się tu zara! Ty tu nie możesz spać, ty!

Potrząsająca ramieniem ręka była natarczywa, ale nie nieuprzejma, a głos znużony, mówiący z mieszaniną akcentu wschodnio-indyjskiego i cockneya.

Debbie otworzyła oczy i ostrożnie podniosła głowę z poplamionego kawą kontuaru. Miała sztywny i obolały kark, a w ustach posmak stęchlizny. Ręka znów potrząsnęła ją za ramię.

- No, już, ty albo pij jeszcze jedną kawę, albo wytyki. Tak to już tutaj jest.

Debbie popatrzyła w czarną twarz pod ciasno upiętymi, czarnymi włosami i dziwną malutką czapeczką - oznaką pracownika bufetu dworcowego.

- Nie mogłabym zostać jeszcze chwilkę? Proszę! Już nie zasnę, obiecuję!

- Chcesz kawę jeszcze?

Debbie zmusiła pogrążony w oparach snu mózg do pracy, zastanawiając się, czy stać ją na taki luksus. Miała trochę pieniędzy w taniej, plastikowej torebce z paskiem na ramię, którą dla bezpieczeństwa powiesiła sobie na szyi, a resztę oszczędności w głębi szmacianej, obskórnej torby podróżnej, ale nie wiedziała, na jak długo będzie musiało jej. to wystarczyć. Gdyby znalazła pracę od razu, to jeszcze, ale nie miała pewności, czy zdoła

Janet Tanner

dostać gdzieś robotę natychmiast. Nie, lepiej nie wydawać już więcej pieniędzy w pierwszą noc w Londynie.

Ześlizgnęła się z wysokiego stolka i wzięła do ręki swą torbę podróżną.

Kelnerka wzruszyła ramionami i odprowadziła dziewczynę wzrokiem. Dzieciak, pomyślała.

Szczupła, a właściwie chuda, w kurtce ze skaju i spódniczce mini, stukająca trzycalowej wysokości obcasami - po prostu jeszcze jedna uciekinierka, która przyjechała do Londynu w poszukiwaniu wspaniałego życia. Wszystko to głupcy, pomyślała Murzynka. Wszyscy mają pusto w głowach. Jeden Bóg wie, co z nimi potem się dzieje. Ponownie wzruszyła ramionami i zaczęła zbierać ze stołu naczynia i pełne niedopalków popielniczki.

Debbie dłuższą chwilę stała przed dworcem, nie wiedząc, co robić dalej. O tej porze na dworcu kręciło się niewielu ludzi, a perony były wręcz puste. Tu, na dworze, z dala od klaustrofo-bicznego gorąca bufetu, było zimno. Wiał przenikliwy, mroźny wiatr. Debbie podeszła do plastikowego krzeselka peronowego, zwinęła się na nim i okryła swą skajową kurtką.

Gdyby przyjechała do Londynu wcześniej, zdążyłaby może znaleźć jakiś nocleg, ale wcale nie planowała przyjazdu właśnie tego dnia. A może nawet w ogóle nie miała zamiaru przyjeżdżać - w końcu to było raczej ledwie słodkie marzenie, coś, co pomagało nieco łatwiej znosić życie w domu, w Plymuth. Debbie czytała każdy artykuł, każdą wzmiankę o życiu z wyższych sfer w Londynie - o klubach i restauracjach, przedstawieniach i przyjęciach. Londyn był Wielkim Światem, a ona chciała zamieszkać w tym świecie. Fantazjowała na ten temat, marzyła i planowała, wyobrażając sobie, że jest dziewczyną tego gwiazdora pop czy może tej znakomitości telewizyjnej, jest ubrana w rzeczy od Mary Quant and Biba, a wokół błyskają flesze. Wiedziała,

że jest równie ładna, jak te wszystkie kobiety, a może nawet ładniejsza. Własna uroda była jedyną rzeczą, której była pewna

- czasami stawiała przed zapyziałym, obtłuczonym lustrem w swoim pokoju, ubrana tylko w biustonosz i majteczki, i unosząc

OKO ZA OKO

640

włosy wysoko ponad swą śliczną twarzyczką w kształcie serca wyobrażała sobie, że pozuje do zdjęć jakiemuś wielkiemu fotografowi albo uwodzi któregoś z młodszych członków Rodziny Królewskiej. Obiecywała sobie, że pewnego dnia porzuci to ponure życie. Kiedyś będzie miała wspaniałe ubrania i prawdziwą złotą biżuterię, jej włosy będzie układał John Frieda albo Vidal Sassoon, będzie piła szampana i bawiła się do rana w „Annabelle”. Kiedyś... Ale nie spodziewała się, że ten dzień nadejdzie tak szybko. Jednak kiedy tego ranka Barry, obleśny i chamski kochanek matki, znowu się do niej dobrał, postanowiła: dość. Wystarczy.

Była w kuchni i robiła sobie późne śniadanie, kiedy zaszedł ją od tyłu, wsunął zniechęcającą rękę pod bawełnianą bluzeczkę i złapał ją za piersi. Debbie podskoczyła przestraszona, wywinęła mu się, obrzucając go pełnym obrzydzenia spojrzeniem i wściekle sycząc, żeby ją zostawił w spokoju. Ale nie odczepił się, szedł za nią, aż wreszcie zagnał ją do kąta obok zlewu, blokując drogę ucieczki swym wielkim, owłosionym cielskiem i wyciągając do niej te straszne, okropnie silne łapy. Debbie wyrywała mu się, a żołądek skręcał się jej z obrzydzenia, gdy czuła z jego ust odór strawionego piwa i zastarzałego dymu nikotynowego, i smród bijący od przepoconego podkoszulka i brudnych szortów, w których spał. Była bliska paniki, gdy poczuła nacisk jego wzrodu na nagim ciele na brzuchu, w miejscu, gdzie naderwał jej bluzkę. Ale lękała się krzycheć, czy nawet ostrzej się do niego odezwać, bo usłyszałyby ją matka i znalazłyby ich razem. A wówczas całą winą obarczyłyby Debbie. I to było najgorsze z tego wszystkiego - no, prawie.

- No, już, mała, wiesz, co masz robić! - powiedział Barry ochryple, położył jej rękę na karku i pchał w dół, zmuszając, by uklęknęła. Drugą ręką zsuwał szorty. Smród jego ciała był już wszechogarniający, napelniał jej nozdrza i usta. Wykręcała głowę, chciała od niego uciec, oddychać świeżym powietrzem. Wiedziała już dobrze, jak to jest mieć go w ustach, poruszającego się wściekle i tak głęboko, że niemal ją dusił. Wiedziała, bo już nie

Janet Tanner

raz jej to zrobił, często, zawsze, jak tylko dopadł ją samą. Kiedyś, gdy spała, wlażł jej do łóżka. Obudziła się, a on już na niej leżał i wchodził w nią siłą, ale tak naprawdę to tylko ten jeden raz ją zgwałcił, bo był tak pijany, że nie wiedział, co robi - a przynajmniej Debbie tak to sobie wytłumaczyła. Zwykle na swój tępy sposób miał więcej rozsądku. Nie chciał jej zrobić dziecka. I za bardzo się bał stanąć przed sądem za stosunki seksualne z dziewczyną poniżej dopuszczalnego wieku, więc wolał to robić w ten sposób. W jego oczach miało to jeszcze jedną zaletę. Z pełnymi ustami nie mogła krzyczeć.

- No, dawaj, dalej, ty mała, głupia dziwko!

Jego dłonie po obu stronach jej głowy ścisnęły z taką siłą, że Debbie bała się, że Barry może jej zgnieść czaszkę jak orzech. Przyciskał się z całej siły do jej zaciśniętych ust. Dziewczynie stanęły w oczach łzy bezsilności. Chciała krzyknąć, że nie chce, ale wiedziała, że jak tylko otworzy usta, on natychmiast się tam wepchnie. Już teraz czuła jego smak - ten smak, który oznaczał, że przez najbliższych kilka dni nie będzie mogła jeść ryb, nie dostając mdłości. Wcisnął się w jej twarz jeszcze mocniej, i jej wargi mimo zaciskania z całej siły rozchyliły się. Dziewczyna wyobraziła sobie w tej chwili, że go gryzie z dzikością wściekłego zwierzęcia, ale wiedziała, że tego nie robi. Postanowiła ustąpić, zapomnieć, wyłączyć się zupełnie, wyobrazić sobie w zamian, że fruwa, unosi się nad obdrapanym, pomalowanym na zielono kredensem, tuż pod oblażącym z farby sufitem, lepkiem od osadów tłuszczu i zbrązowiałym od dymu papierosowego.

Teraz chciała tylko, żeby to wszystko już było za nią, żeby mogła tłumiąc wymioty pobiec do łazienki, umyć się w poplamionej nalotami rdzy wannie, wyczyścić zęby i pozbyć się jego zapachu, smaku i dotyku. Lecz tego ranka Barry był dużo wolniejszy niż zwykle, zbyt wiele piwa wypił poprzedniego wieczoru i to utrudniało mu zaspokojenie żądz. Tak więc to trwało i

trwało, obrzydliwe i nieskończone. I nagle, zupełnie niespodziewanie, gdzieś ponad nimi rozbrzmiał wrzask - głos jej matki.

OKO ZA OKO

643

- A co wy, kurwa, tu wyprawiacie, do kurwy nędzy?! Barry tak gwałtownie odskoczył od Debbie, że dziewczyna poleciała do przodu i opadła na rękę. Przerażona podniosła wzrok i zobaczyła w drzwiach kuchni matkę, ubraną w poszarzałą, nylonową bieliznę, w której również sypiała, z wściekle czerwoną twarzą i rozczochranymi włosami. Jej oczy, obramowane rozmazanym tuszem, płonęły furia, a usta z resztkami szkarłatnej szminki wykrzywił wściekły grymas. Debbie była tak zaszokowana, oszłomiona i zalękniona, że nie wiedziała, co mówi, obciągając bluzkę trzęsącymi się rękami.

- Mamo... ja nie... To nie moja wina...

Matka machnęła ręką na odlew, trafiając Debbie w policzek. Dziewczyna poleciała do tyłu, uderzając barkiem w kredens. Wewnątrz coś się przewróciło z łoskotem.

- Ty wstrętna, mała ździro! - Znów się zamachnęła, ale Debbie zdołała się uchylić. Przemknęła pod uniesionym do uderzenia ramieniem i uciekła z kuchni.

- Nic nie mogłam poradzić! Nie mogłam! On mnie zmusza!,

- Przecież ty to uwielbiasz, głupia, i dobrze o tym wiesz! To był Barry.

- Nieprawda! Nienawidzę tego! Nienawidzę cię!

- Nigdy nie masz tego dość, mała!

- Nienawidzę!

- Ciągłe się pętasz goła, sama się, kurwa, prosisz! Błagasz, żeby cię zerznąć!

- Nie! To nieprawda! Zmuszasz mnie! On mnie zmusza!

- Kłamliwa suka!

- Zamknijcie się! - zawyła matka. - Ty podły, oszukańczy bydlaku! I ty... - Odwróciła się, usiłując znów spoliczkować Debbie. - Ty się wynoś! Wypierdzielaj!

W czasie tej przemowy Debbie wycofywała się do hallu, a potem odwróciła się i wbiegła na schody. Jej bose stopy szorstko przesuwały się po wytartej wykładzinę. Wpadła do swojego pokoju i zatrzasnęła drzwi. Trzęsła się jak osika, a oddech zmieniał się w spazmy szlochu. Po twarzy strumieniami spływały

Janet Tanner

jej lzy. Nadal słyszała dochodzące z dołu podniesione głosy, ale teraz wydawały się jej odległe. To niesprawiedliwe! Nieuczciwe! Nigdy nie zrobiła nic, żeby w jakikolwiek sposób zachęcić tego parszywca - zresztą, kto by chciał! Ale matka by jej nigdy nie uwierzyła, bo sama była gotowa całować ziemię, po której stąpał jej obmierzły Barry.

Szlochając Debbie opadła na łóżko. Owinęła się szlafrocikiem i nacisnęła na głowę poduszkę, żeby odciąć się od gniewnych głosów na dole. A gdy wreszcie spazmy jej przeszły, wiedziała, co zrobi. Nie zostanie już z nimi pod jednym dachem. Wyjedzie - pojedzie do Londynu, jak to sobie zawsze obiecywała - i to zaraz.

Wstała i założyła na siebie spódniczkę mini i koszulkę polo, narzuciła na szyję kilka łańcuszków i przyczepiła do uszu długie kolczyki. Potem wygrzebała spod szafy swoją starą torbę, niegdyś używaną do noszenia do szkoły stroju gimnastycznego, która kilkakrotnie już służyła jej jako torba podróżna, i zaczęła wrzucać do niej różne rzeczy. Nie miała wiele - kilka tanich ciuchów, jarmarczna biżuteria Salisbury's i najtańsze kosmetyki, lokówka i kilka ulubionych kaset - „Partridge Family” i „The Carpenters”. Odszukała w jednej z szuflad stare etui na okulary słoneczne, w którym ukrywała swoje oszczędności - matka nie unikała okradania jej, kiedy nie miała grosza, a chciało się jej drinka albo papierosa. Dziewczyna wyjęła z etui tyle pieniędzy, żeby jej wystarczyło na bilet do Londynu, a samo etui zapakowała w torbie pod ubraniami. Na wierzchu, obok ulubionych, białych, plastikowych butów, wylądowała ukochana przytulanka - miś koala, którego miała od wczesnego dzieciństwa. Potem Debbie zaciągnęła suwak torby, założyła pantofle na szpilkach i narzuciła na siebie skajową kurtkę.

Otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz, nasłuchując. Podniesione głosy już umilkły, ale do jej uszu dochodziły z pokoju matki dźwięki, których nie dało się pomylić z niczym. Matka * i Barry

się godzili. Na samą myśl o tym Debbie znów zrobiło się niedobrze. Delikatnie i cicho przemknęła obok sypialni matki

OKO ZA OKO

646

i zeszła po schodach, niemal oczekując ostrego pytania matki, dokąd to niby się właściwie wybiera. Lecz przecież wiedziała, że matka jest teraz zbyt zajęta, żeby się interesować sknypnieciami podłogi.

W kuchni zapakowała w papier kanapkę z marmoladą, którą przygotowywała, gdy dopadł jej Barry. Miała wrażenie, że już nigdy nie zdoła nic zjeść, ale rozsądek nakazał jej przezorność - mogła przecież długo nie mieć okazji do zjedzenia czegokolwiek. A potem wymknęła się tylnymi drzwiami i cichutko je za sobą zamknęła.

Na dworze było bardzo chłodno, ale świeże powietrze miało wspaniały smak. Drżała, ale bardziej z nerwowego rwdnicenia niż z zimna. Zerknęła na swój dom, na zaciągnięte zasłony mimo dochodzącego południa, i obląła ją fala oszalamiającego poczucia wolności. Ruszyła ulicą tak szybko, jak na to pozwalały absurdalnie wysokie obcasy, i już się nie obejrzała.

Wyjeżdżała, jechała do Londynu, żeby zostać kimś i już nigdy nie wrócić. Nigdy!

Ale to wszystko było rano. Teraz, wiele godzin później, kulila się z zimna na krześle na stacji Paddington, głodna i trochę przestraszona. Przez chwilę nawet żałowała, że nie jest w domu, gdzie przynajmniej było ciepło i mogła się napić czegoś gorącego nie zastanawiając się, czy ją na to stać. Jeszcze nie było za późno na zmianę decyzji. Miała przecież powrotny bilet do Plymouth. Matka by na nią wrzeszczała i dopytywała się, gdzie się włóczyła, ale za dzień, dwa zapomniaby i wszystko byłoby jak przedtem.

Wszystko. Na tę myśl powróciło twarde postanowienie. Nie mogła wrócić do życia z matką, która jej nie lubiła i obwiniała o wszystko, mającą za złe to, że Debbie wyrosła na piękną młodą dziewczynę, gdy ona sama szybko zmieniała się w zeszmacony wrak niegdyś niebrzydkiej

kobiety. Nie mogła wrócić do Barry'ego i jego ohydnych żądań. Zacząłby się do niej znowu dobierać natychmiast, gdyby tylko matka odwróciła się plecami. Nie mogła wrócić. Nie potrafiła. Uciekła i musiała w tym wytrwać.

- Cześć, małeńka! Sama jesteś?

Janet Tanner

Zaskoczona Debbie podniosła wzrok.

- Pan mówi do mnie?

- No, nie widzę tu wokół nikogo innego.

Był to młody mężczyzna o lisiej twarzy i długich do ramion włosach, związanych w koński ogon nad karkiem. Miał na sobie spłowiałe dżinsy, buty na grubej podeszwie i mnóstwo biżuterii.

- Nie musisz się tak bać! - Roześmiał się, wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wyciągnął ją w jej kierunku. - Chcesz fajkę?

Debbie pokręciła głową.

Zapalił papierosa i pstryknął zapalką w dal.

- Dopiero przyjechałaś, co? Debbie skinęła głową.

- Uciekłaś z domu i nie masz dokąd iść? Wiem, stara historia. Chcesz łóżko na noc?

Łóżko. Oferował jej raj. Na chwilę Debbie się zawahała, ale tylko na chwilę. Wiedziała, kim jest ten mężczyzna, słyszała już

0 takich - alfons obchodzący stacje kolejowe w poszukiwaniu nowych dziewczynek, uciekinierek do Londynu, które nie miały się gdzie podziać. Gdyby z nim teraz poszła, byłby to początek jej upadku. Nie uciekła przecież od Barry'ego, żeby wylądować na ulicy. Przycisnęła do siebie torbę i odwróciła wzrok od lisiej twarzy.

- Nie, dziękuję.

- W porządnym pokoju, to żadna nora. Chodź, kochanie.

- Powiedziałam, że nie.

Alfons wydał pogardliwie usta, a w tej samej chwili Debbie ogarnął lęk - uświadomiła sobie, jak bardzo jest bezbronna, jak osamotniona. Ale mężczyzna wzruszył ramionami.

- Twoja sprawa.

Odszedł, a ona odprowadziła go wzrokiem. Potem zwlokła się z krzeselka i ruszyła poza teren stacji. Musiała stąd odejść. Mogą się pojawić inni łowcy panienek albo zainteresuje się nią policja

I zacznie zadawać pytania. Mogą ją odesłać do domu, albo[^]co gorsza, do izby dziecka. Debbie już tam kiedyś była, dawno, ale nie zapomniała odrazy, jaką wtedy odczuwała. Tej mieszanki
OKO ZA OKO

649

woni - środków dezynfekcyjnych, gotowanej kapusty, smażonych ryb i moczu. Niektóre dzieci siusiały do łóżek, co nawiedzało ją jeszcze długo w zmorach sennych. Teraz miała już piętnaście lat, ale wiedziała, że jak policja się uprze, to nadal mogą ją odstawić do domu dziecka.

Szła, póki nie natrafiła na zaułek, który był niemal zupełnie zasypany podartymi fragmentami plastikowych czarnych toreb. Tworzyły wspaniałą zaporę przed powiewami wiatru. Nie zastanawiając się dłużej, Debbie wślizgnęła się pod osłonę sterty plastiku i usiadła na swej torbie podróźnej.

Na tę noc to wystarczy. Jutro znajdzie pracę albo nocleg. Jutro zacznie nowe życie. Jutro wszystko będzie inaczej.

Ruszyła się o świcie. Była zeszywniała z zimna, ale gdy wypila dwie filiżanki kawy i zjadła kanapkę w stacyjnym bufecie, poczuła się lepiej. Bufet obsługiwała nowa zmiana, więc nikt nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, choć wiedziała, że musi wyglądać strasznie. Najważniejsze było teraz umyć się i uczesać - nikt nie będzie się nawet zastanawiał nad daniem pracy dziewczynie, której wygląd świadczy o spaniu pod mostem.

Wyszła z bufetu i skierowała się do dworcowych toalet, kiedy zauważyła wejście do hotelu Great Western. Już sama nazwa pachniała pluszami i luksusem - dokładnie w takich miejscach miała zamiar niedługo bywać regularnie. No cóż - dlaczego by nie zacząć od razu? Szybko przejechała włosy grzebieniem i poślinionym palcem starła rozmazany makijaż, po czym śmiało weszła na

schody. Minęła imponujące drzwi i wejście do hotelowej restauracji o obco brzmiącej nazwie. Na prawo miała recepcję, na lewo szerokie schody. Starając się wyglądać, jakby miała pełne prawo tu być, odwróciła się w lewo i weszła na schody, idąc za dyskretnymi wskazówkami do toalety. W każdej chwili spodziewała się, że ktoś krzyknie za nią i spyta, czego tu szuka, ale nic takiego się nie stało.

Damska toaleta była gigantyczna i zupełnie pusta. Debbie

Janet Tanner

umyla się dokładnie w wielkiej porcelanowej umywalce, tak dużej, że bez problemu mogłoby się w niej kąpać dziecko, i przed lustrem nałożyła makijaż. Potem zmieniła bawełnianą koszulkę polo na czarny gorsecik, a pantofle na ulubione, wysokie, plastikowe białe buty. Na koniec krytyczne obejrzała się w lustrze, poprawiła to i owo i wyszła z wysoko podniesioną głową. Gdy schodziła w kierunku stacji, znów nikt się nią nie zainteresował.

W kiosku kupiła londyńską gazetę i usiadła nad nią w bufecie, zakreślając kilka ogłoszeń o pokojach do wynajęcia. Ale szukanie mieszkania nie miało sensu, póki nie będzie pracy, z której można by płacić za pokój. Przewróciła więc kilka stron i pochyliła się nad ogłoszeniami o pracy. Niemal natychmiast rzuciło się jej w oczy jedno - klub szukał dziewcząt na stanowiska hostess. Debbie zakreśliła i to ogłoszenie, po czym sięgnęła do portmonetki po drobne na telefon. Ale zmieniła zdanie. Nie będzie dzwonić. Zaczeka kilka godzin i po prostu tam pójdzie. Co więcej, pojawi się z klasą. Opłata za taksówkę pochłonie co prawda sporą część jej oszczędności, ale co z tego? Chciała zrobić wrażenie. Powiedziała sobie, że zacznie dokładnie tak, jak ma zamiar potem żyć.

Odczekała do jedenastej, przyglądając się przyjeżdżającym i odjeżdżającym pociągom, a w duszy narastało jej podniecenie. Potem poszła na postój taksówek i śmiało wsiadła do pierwszej z brzegu.

- Do „Benny's Club” proszę.

Dużo później, kiedy wiedziała już sporo na temat Londynu i jego klubów, w pełni pojęła, jak cudownie szczęśliwym zrządzeniem losu było, iż wybrała akurat Benny'ego.

Ten klub miał wielki prestiż - bywali w nim bogaci, sławni i utytułowani, a także świetnie prosperujący biznesmeni, którzy chcieli w dobrym stylu spędzić czas poza domem. Był to

również bardzo szacowny klub - a sam Benny okazał się czarującym mężczyzną o arystokratycznych manierach, przyrwrminającym

OKO ZA OKO

652

Debbie szkockich ziemian. Z całą pewnością nie wyglądał i nie zachowywał się tak, jak według jej wyobrażeń powinien właściciel kluku W trakcie spotkania z Debbie był wręcz pełen loutuazji. Jego doświadczone oczy prześlizgnęły się po taniutkiej odzieży dziewczyny, pod strzechą okropnie rozjaśnionych włosów dostrzegły twarz o klasycznej piękności i smukłą, wspaniale ukształtowaną figurę pod pozbawionym jakiegokolwiek smaku gorsetem i psychodeliczną spódniczką mini. Wrażenie wywarło na nim również jej zachowanie - była chłodna, spokojna i najwyraźniej pewna siebie, choć pozbawiona tej krzykliwej ostrości, jaką wykazywało wiele widywanych przezeń dziewcząt.

- Ile masz lat? - spytał.

Debbie spodziewała się tego pytania i była przygotowana.

- Osiemnaście - skłamała bez zająknienia. - Na wiosnę będę miała dziewiętnaście.

Benny pokiwał głową. Nie był pewny, czyjej wierzy, czy nie. Kiedy dziewczyna ma makijaż, trudno stwierdzić, czy dodaje sobie rok czy dwa. Ale ta akurat spokojnie ujdzie za dziewiętnas-tolatkę - szczególnie kiedy Benny już skończy ją przygotowywać.

Podjął decyzję i z miejsca dał jej pracę.

- Będziesz musiała kupić sobie nowe ubrania - powiedział. - I zrobić coś z włosami. Wyglądają, jakby ktoś cię ciągnął przez krzaki. Gdzie mieszkasz?

- Jeszcze nie mam mieszkania. Przyjechałam dopiero... - ledwie się powstrzymała, żeby nie powiedzieć „wczoraj” - dziś rano.

- Dobrze. Oddam cię w ręce Grace. Grace jest jedną z moich tancerek. Jest tutaj już dłuższy czas i we wszystkim się orientuje. Ona ci powie, jak powinnaś się zachowywać, doradzi ci w

sprawie wyglądu i pomoże znaleźć locum. Rób to, co Grace ci każe, i myślę, że wszystko będzie dobrze. Chyba lepiej będzie, jak ci dam zaliczkę, żebyś mogła się zrobić na bóstwo, co? Pensja jest mała, resztę będziesz zarabiała na prowizji i napiwkach, ale to chyba rozumiesz, prawda?
- Tak - skłamała ponownie Debbie. Nie miała najmniejszego pojęcia, o czym mówił.

Janet Tanner

Grace była elegancką, hebanową piękną, wysoką na niemal sześć stóp i smukłą. Z początku nieco się niecierpliwiła, że musi brać pod skrzydła nową dziewczynę, ale gdy już odwiedziły salon fryzjerski (gdzie utlenioną szopę Debbie zmieniono w blond loki) i razem zrobiły zakupy odzieżowe, nawiązała się między mmi nić porozumienia. W końcu Grace nawet zaproponowała, żeby Debbie wprowadziła się do niej, zamiast szukać mieszkania.

- Chętnie bym się z kimś dzieliła opłatami za mieszkanie, ale przecież nie poproszę żadnej z tych dziwek w klubie. Większość z nich mnie nie cierpi, bo jestem tancerką,

Na widok zdziwionej miny Debbie Grace wytłumaczyła dziewczynie dość proste zasady hierarchiczne w „Benny's Club”

- tancerki to „sama śmietanka”, jak to określiła, potem idą modelki, pozujące w skąpych ubraniach w kabarecie, a na dole są hostessy. Tancerki i modelki zarabiałały o wiele więcej od hostess, a ich dochody uzupełniane były także napiwkami i prowizjami, bo klienci zapraszali je do swych stołów, jeśli im się spodobały. Między występami siadywały więc wśród widowni i dostawały dobrą prowizję za każdego drinka, na jakiego namówiły klienta. Pieniądze z tego bywały całkiem spore, biorąc pod uwagę, że dziewczętom wolno było zamawiać wyłącznie szampana lub Bucks Fizz.

- Ale i tak ciągle mi brakuje forsy - narzekała Grace.

- Przecieka mi między palcami jak woda. Jesteś dobra w pilnowaniu rachunków i innych takich? Boja beznadziejna. Telefon i prąd wyłączali mi już tyle razy, że nie policzę. Wszystko dlatego, że zapominam zapłacić, a jeśli przypadkiem pamiętam, to akurat nie mam ani pensa. Pomożesz mi pilnować takich rzeczy?

Debbie bez słowa pokiwała głową. Sama nie znośła nie wiedzieć, jaki jest stan jej finansów, a z natury nie miała skłonności do ekstrawagancji. Taksówka była raczej inwestycją niż luksusem. I opłaciło się!

- Może nawet wykręcimy razem parę balecików - dodała tajemniczo Grace, obserwując, jak Debbie rozbiera się, a potem przymierza białą suknię wieczorową bez rękawów. - Byłaby OKO ZA OKO

473

z nas dobra para. Ty mała i biała, ja wielka i czarna. Mężczyźni lubią w łóżku różnorodność. Debbie opadła szczęka.

- Ale ja myślałam...

- Że nie wolno nam robić takich rzeczy?

- Tak.

Benny bardzo dokładnie ją poinstruował. Żadnego zachęcania klientów do amorów i zdecydowanie żadnych seksualnych usług, bo inaczej będzie musiała znaleźć sobie inną pracę. I to szybko.

Grace się roześmiała.

- Słuchaj, kochana! Czego Benny nie wie, tego nie żałuje. Na miłość boską, dziewczyna musi przecież jakoś zarabiać na życie! Poza tym Benny szybko traci wzrok i słuch, jeśli jeden z jego najlepszych klientów upatrzy sobie dziewczynę. Po prostu nie obnoś się z tym i wszystko będzie w porządku. Moi faceci to „przyjaciele”, a nie klienci - jasne?

Debbie to rozumiała, ale była zdecydowana unikać „wykręcania balecików” tak długo, jak się da. Propozycja Grace była po prostu lepszą odmianą tego, co miał do zaoferowania ten alfons na stacji Paddington. A Debbie inaczej widziała swoją przyszłość. Przyjechała do Londynu, żeby zostać kimś. Panienska do łóżka, wysokiej klasy czy nie, zdecydowanie nie mieściła się na liście jej zainteresowań.

Wsześć tygodni później Debbie wciąż jeszcze zdołała unikać brania udziału w „baletach trójkowych” Grace, choć przyznawała się przed sobą, iż czasami pokusa zarobienia trochę pieniędzy ekstra była bardzo silna. Bardzo się podobała pewnemu arabskiemu księciu, bardzo przystojnemu i bardzo bogatemu, który okropnie się obraził, gdy odrzuciła jego awanse. Kiedy indziej znany spiker telewizyjny zaproponował jej wizytę w swoim domu w Maidenhead, kiedy jego żona wyjedzie do mamy. Jemu jednak Debbie również odmówiła. Grace odmieniała wobec niej wszelkie możliwe połączenia słów „głupia”, „idiotka”, „nierówno

Janet Tanner

pod sufitem" i dopytywała się, co jest takiego złego w zabawieniu się i otrzymaniu za to zapłaty - w naturze, jeśli nie w gotówce - ale Debbie pozostała uparcie przy swoim zdaniu. Nie potrafiła wytłumaczyć Grace swej odrazy do pójścia do łóżka z mężczyzną, szczególnie jeśli go niemal w ogóle nie znała. Nie chciała mówić o odrażającym Barrym i rzeczach, do których ją zmuszał, pragnęła

o tym zapomnieć. Uważała, że jeśli nigdy nie będzie musiała pozwolić mężczyźnie na choćby dotknięcie jej palcem, to będzie szczęśliwa. Poza tym była absolutnie pewna, że Grace i tak by jej nie zrozumiała. Grace uwielbiała seks i wszystko, co się z nim wiązało, uwielbiała mężczyzn, uwielbiała być pożądaną. A gratyfikacje pieniężne i drogie prezenty, towarzyszące tym uciechom, uznawała po prostu za lukier na cięcie. W oczach Debbie Grace była najbardziej zmysłową kobietą, jaką można sobie wyobrazić, dumną ze swego pięknego, czarnego ciała i reakcji, jakie wzbudzało w mężczyznach, a jej rozkoszna lubieżność nie znała żadnych zahamowań w dziedzinie poszukiwania cielesnych i zmysłowych doznań. Ale rozkosze seksualnych swawoli, które plastycznie i ze szczegółami opisywała przed Debbie, lubieżnie oblizując swe pełne, czerwone usta, przyprawiały dziewczynę tylko o lekkie mdłości, co na szczęście potrafiła skryć przed Grace. Debbie rozumiała, że kiedyś będzie musiała w końcu ulec, ale jeszcze nie teraz... Jeszcze nie. Na razie realizacja jej planów przebiegała gładko, lecz wymagała od niej poświęcenia całej energii.

Od chwili, kiedy się dowiedziała, że hostessa to stworzenie najniższe w hierarchii klubu, Debbie z uporem starała się zdobyć kwalifikacje na wyższe poziomy. Wiedziała, że ze względu na wzrost nie nadaje się na modelkę, ale nie widziała powodu, dla którego nie miałyby zostać tancerką. Miała dobre wyczucie rytmu, a z obserwacji w klubie zorientowała się, że układy

taneczne w klubie Benny'ego nie są specjalnie skomplikowane. Po zapłaceniu komornego i swojej części za elektryczność

1 telefon, Debbie odkładała każdego pensa na lekcje tańca i kurs modelek fotograficznych, co już było pomysłem Grace.

- Byłabyś wspaniała jako dziewczyna na okładki - powiedziała.

OKO ZA OKO

658

- Masz właśnie taką twarz i kształty, których tam potrzeba. Ale żeby z czymś takim ruszyć, musisz mieć trochę dokumentacji. Mogę ci dać namiar na wspaniałego fotografa, jeśli chcesz. Jest kochany i uwielbia kobiety - to dlatego robi im takie świetne zdjęcia. - Uśmiechnęła się. - Może nawet udałoby mu się złamać twoje stalowe, dziewicze serce.

Debbie nic nie odpowiedziała. Wiedziała, że dobre zdjęcia mogą kosztować fortunę, nawet jeśli się pominie pośredników w agencjach, ale skoro Grace podkreśliła, że ten „jej” fotografik robi zdjęcia tanio - albo i za darmo - w zamian za „kilka chwil w ciemni”, to trudno. Będzie musiała jeszcze trochę poczekać na seans fotograficzny, ale zaoszczędzi pieniądze i zapłaci normalnie za zdjęcia.

A jeśli chodzi o łamanie serca, Debbie stanowczo uznała, że to nie może się przydarzyć. Może kiedyś będzie musiała trochę rozluźnić swe zasady dla potrzeb ambicjonalnych bądź jakichś innych, ale na razie nie umiała sobie nawet wyobrazić sytuacji, w której mogłoby do czegoś takiego dojść. Nie miała zamiaru się prostytuować ani stracić głowy dla niewłaściwego mężczyzny. Uważała, że to zbyt odciąga uwagę od realizacji planów.

A potem spotkała Louisa Langlois i w ciągu jednego wieczoru wszystko się zmieniło - jej wartościowanie, jej decyzje, jej plany. Poznała Louisa Langlois i zakochała się w nim - i zrozumiała, że już nic w jej życiu nie będzie takie samo.

W późniejszych latach często się zastanawiała, co takiego miał w sobie Louis, że wywierał na kobietach tak porażający efekt. Był przystojny, owszem, nawet zniewalająco, a szczególnie w takim ubraniu, jakie miał na sobie tego wieczoru, gdy go poznała - czarny smoking, muszka, nakrochmalony gors koszuli tylko podkreślający jego męskość. Ale mnóstwo odwiedzających klub Benny'ego mężczyzn było przystojnych - gwiazdorzyc filmowi, piosenkarze i inni - a arabski książę był chyba najprzystojniejszy z nich wszystkich. Louis z pewnością był

Janet Tanner

zamożny - krój jego smokingu i złota biżuteria, jaką nosił, świadczyły o poważnych pieniądzach, nawet jeśli Debbie brakowało jeszcze doświadczenia, by rozpoznać zegarek od Cartiera czy ręcznie szyte buty. Lecz to również nie stanowiło żadnej nowości. Każdy, kto przychodził do Benny'ego, miał pieniądze, bo inaczej by go tu nie było. Nie, tu chodziło o coś innego, coś nieokreślonego i zwalającego z nóg, czar, urok, moc, najsilniejsza mieszanina zwierzęcego wręcz seksapilu - i wszystko to wcielone w jednego człowieka i doprawione czymś jeszcze. Bardzo długo Debbie nie potrafiła się zorientować, co to takiego. Dopiero po latach pojęła. To było zło.

Wieczór, kiedy poznała Louisa, wystawił ją na ciężką próbę. Debbie została wyznaczona do towarzystwa szwajcarskiemu biznesmenowi, który bardzo słabo mówił po angielsku. Ale ponieważ Debbie nakłamała Benny'emu na temat swoich umiejętności lingwistycznych, Szwajcara mylnie poinformowano, iż dziewczyna mówi - a co najmniej rozumie - po francusku i niemiecku. Na szczęście dla Debbie mężczyzna ten uwielbiał brzmienie swego głosu, więc dziewczyna dla podtrzymania konwersacji musiała tylko co jakiś czas mówić z głębokim przekonaniem „oui” lub „non” i uśmiechać się słodko. Jednak pod koniec drugiej części występów kabaretowych biznesmen zaczął mieć ochotę na coś więcej niż rozmowę. Co chwila ocierał się o nią, przyciskał udo do jej uda lub grzbietem dłoni gładził jej pierś.

Debbie myślała, że potrafi sobie z nim poradzić, ale trzeba było to zrobić dyplomatycznie. Benny nienawidził scen. Uważał - i miał rację - że obniżają poziom lokalu i psują mu renomę. Oczywiście, zawsze pod ręką było dwóch „silnorekich” na wypadek, gdyby klient był przesadnie kłopotliwy, ale ich obowiązkiem było wtopić się w tłum. Benny zawsze dostawał furii, kiedy musieli się ujawnić i działać otwarcie. Kilka tygodni wcześniej pewien klient omal

nie pobił się z zazdrosnym narzeczonym o jedną z dziewcząt. I mimo że „silnoręcy” usunęli obu panów z widoku błyskawicznie i z najwyższą dyskrecją, dziewczyna z miejsca wyleciała z pracy.

OKO ZA OKO

661

- Jesce jedyn drink? - spytał Szwajcar.

Debbie przytaknęła, z przyjemnością myśląc o dodatkowych pieniądzach, jakie dostanie za każdą zamówioną przez niego kolejkę. Odwróciła się i gestem przyzwała kelnerkę, jednocześnie płynnym, niezwykle dyskretnym ruchem drugiej dłoni wylała resztę poprzedniego drinka do doniczki z kwiatami, wygodnie ustawionej tuż obok stołu.

Kelnerka przyniosła nowe drinki. Pod stołem kolano Szwajcara coraz natrętniej ocierało się o jej udo; w końcu położył jej rękę na nodze.

- To co, pójdziemy już? - spytał po francusku, wypiwszy swego drinka jednym haustem.

- Non - odparła Debbie z miłym uśmiechem. - Jest jeszcze wczesnie. Dobrze się tu bawię.

Mężczyzna wyglądał już na dość mocno pijanego. Miał czerwoną, podpuchniętą twarz, na łysej czaszce perlily się wielkie krople potu. Jego dłoń, także gorąca, czerwona i spotniała, zacisnęła się na jej nagim ramieniu.

- Ja też się świetnie bawię, ale będzie jeszcze lepiej, kiedy będziemy sami. Mój pokój hotelowy jest bardzo ładny i miły. Spodoba ci się. - Przysunął się bliżej, musnął jej ucho swymi grubymi, wilgotnymi, zalatującymi whisky ustami, po czym wsunął szybko dłoń za dekolt jej sukienki i ścisnął jej pierś.

To dotknięcie obudziło coś w Debbie. Przez sekundę znów była w kuchni w Plymouth z Barrym, który obmacywał ją swymi spoconymi łapskami. Bez chwili zastanowienia nad konsekwencjami zareagowała odruchowo - kopnęła Szwajcara w goleń. Ten wydał zduszony krzyk i odskoczył, wyjmując rękę z jej stanika, po czym wbił w Debbie wściekle spojrzenie.

- Nie powinien pan tego robić - zasyczała dziewczyna.

- *Mais j'achetais les boissons tout le soire...*
- Ale nie kupił pan mnie. *Je ne suis pas me...* Och, jak to się mówi?
- Przez cały wieczór tylko mnie drażniłaś! Zostałem oszukany! - zawołał głośno Szwajcar i podniósł się z miejsca. Debbie

Janet Tanner

z przerażeniem uzmysłowiła sobie, że ludzie zaczynają się na nich gapić.

- Proszę usiąść! - powiedziała błagalnie.

- Czy mogę w czymś pomóc? - odezwał się nad jej ramieniem głęboki, gładki i ciepły baryton.

Debbie podniosła spłoszony wzrok, usiłując za wszelką cenę odzyskać zimną krew.

- Wszystko jest w porządku, naprawdę...

- Odniosłem wrażenie, że ma pani kłopoty.

- Usiłowałam wytłumaczyć temu panu, że nie jestem bezpłatnym dodatkiem do drinków, ale słabo mówię po francusku, a on słabo po angielsku.

- Proszę zostawić to mnie - rzekł, odwrócił się i zagadał do Szwajcara w szybkiej francuszczyźnie. Napisał kilka słów na bilecie wizytowym i wręczył go rozzłoszczonemu mężczyźnie. Debbie z ulgą zobaczyła, że wyraz twarzy Szwajcara mięknie, łagodnieje.

Mężczyzna wstał, pocałował Debbie w rękę, uklonił się jej z jakby przepaszającą miną, wyszedł zza stolika i poszedł do wyjścia.

Kiedy niebezpieczny moment minął, dziewczyna zerknęła na swego wybawcę jeszcze raz i dopiero wtedy uświadomiła sobie, jak bardzo atrakcyjnym jest on mężczyzną. Był od niej wyższy o kilka cali, zbudowany bardzo zgrabnie, a jednocześnie potężnie, zaś czerń i biel wieczorowego ubrania rwdkreślały jasność jego karnacji i włosów.

- Bardzo panu dziękuję. Mogłabym stracić pracę, gdyby ten Szwajcar zaczął awanturę. Co pan mu powiedział?

- Wyjaśniłem mu, że nie jest pani taką dziewczyną, za jaką panią uważał i dałem mu adres, gdzie może spotkać odpowiednie towarzystwo do swego nastroju. A czy teraz ja mogę pani postawić drinka?

Debbie się zawahała. To było wbrew regułom. Ale ulga, jaką przyniosło jej odejście Szwajcara, w połączeniu ze zwalającym z nóg urokiem mężczyzny, który ją uratował, kazały jej się nie przejmować.

OKO ZA OKO

664

- Dziękuję. Chętnie. Skinął na kelnerkę. -Na co pani ma ochotę?

- Bucks Fizz.

W jego niebieskich oczach rozbłysło rozbawienie.

- Powtórzę to trochę inaczej. Co miałyby pani ochotę wypić zamiast tego, co pani wylewa do tych biednych kwiatków?

Debbie zachichotała - ten człowiek nawet znał los owych niezliczonych drinków.

- Wolno nam pić tylko szampana albo Bucks Fizz.

- Ale pani by wolała...

- Zabiłabym za dużą, ogromną porcję soku pomarańczowego, takiego wyciskanego z owoców.

Tutaj jest tak gorąco, a ja nigdy nie piję więcej niż kilka łyżek alkoholu przez cały wieczór.

- A więc - sok pomarańczowy.

- Nie! Mówię panu, że mi nie wolno!

- Bardzo dużo świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy! - powiedział do kelnerki. -1 lód. A gdyby ktoś miał coś przeciw temu, to proszę powiedzieć Benny'emu, że to dla Louisa Langlois.

Była zakochana i to było cudowne. Zakochała się i nagle wszystko uległo zmianie. Louis był najbardziej niezwykłym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała - i w dodatku sprawiał wrażenie, jakby także jej chciał.

Zostali kochankami w dwa tygodnie po tym pierwszym spotkaniu, a wówczas Debbie zrewidowała wszystkie swoje dotychczasowe wyobrażenia o fizycznych kontaktach z mężczyznami. Teraz sama chciała, by Louis jej dotykał, uwielbiała jego zapach, reagowała zmysłowo na

jego najłżejszą pieśczętę, natychmiast nękana potrzebą czucia go w sobie. Cudownym doznaniem było dla niej, gdy wziąwszy go pierwszy raz do ust poczuła radość, a nie odrazę, a gdy tuliła się do Louisa tonąc

Janet Tanner

w jego ramionach, czuła się, jakby odnalazła dom, którego nigdy nie miała, bezpieczny, ciepły i satysfakcjonujący.

Cierpiała jednak katusze niepewności, bo nie potrafiła uwierzyć, że może być czymkolwiek więcej niż przelotną miłostką dla mężczyzny takiego jak on. Nazywał ją „Kociakiem”, a jej się to podobało - czuła się malutka, przytulińska, lubiana i kochana - ale jednocześnie zastanawiała się, czy to oznacza, że jest dla niego tylko zabawką. Za każdym razem, gdy nadchodziła chwila rozstania, wstrzymywała oddech w oczekiwaniu, czy Louis zaproponuje następne spotkanie, czy też to już jest ostatnie. Ale w niecały miesiąc od pierwszego spotkania Louis spytał, czy nie wprowadziłaby się do niego, na co ona - oniemiała z zachwytu na tę możliwość zaistnienia jako pewien element stały w jego życiu - bez wahania się zgodziła.

Louis był właścicielem całkowicie odnowionego i zmodernizowanego domu blisko rzeki we wschodnim Londynie. Debbie z początku była zaskoczona, gdy dowiedziała się, że Louis mieszka „na południe od rzeki”, ponieważ w jej oczach Wapping czy Bermondsey, Catford czy Peckham nie były wiele lepsze od dzielnic biedoty w Plymouth, skąd pochodziła. Lecz zobaczywszy wreszcie ten dom była pod takim wrażeniem, że niemal przeżyła szok.

Louis był prekursorem trendu, w wyniku którego rejon dawnych doków stały się bardzo modne. Jego pokryty sztukateriami dom odcinał się od ponurych budynków jak kępa kwiatów na skalistym klifie. Wejście przez eleganckie, gołębioszare drzwi równało się wkroczeniu do zupełnie innego świata, kompletnie niepodobnego do nory, którą kiedyś był ten budynek - dekoracja wnętrza była oszczędna do absolutnego minimum, ale ten minimalizm miał posmak wielkich pieniędzy.

Od czasu przybycia do Londynu Louis zarobił mnóstwo pieniędzy na hazardzie - nie brakowało mu ani szczęścia, ani żyłki ryzykanctwa - i inwestował je w ten dom, zabawiając się w

dekoratora. Inni, którzy jak on doszli do szybkich pieniędzy, kupowali ogromne, zwaliste rezydencje w stylu Regencji, napu-

OKO ZA OKO

667

szone i wyposażone w ozdobne kominki i plafony Adama, udekorowane tapetami Williama Morrisa, francuskimi meblami i jedwabnymi obiciami Old Masters. Lecz nie Louis. On miał już dość tego typu wystroju w domu. Mierzył go, podobnie jak mierzyły go metody zarządzania hotelami w stylu Starego Świata przez jego ojca. Kiedy więc Louis ostatecznie pokłócił się z Bernardem i wyjechał z Jersey w szerszy - i bardziej drapieżny - świat Londynu, pozostawił za sobą na zawsze (a przynajmniej taką miał nadzieję) wszystkie nadęte przejawy dostojeństwa, które mogły mu przypominać dom rodzinny na Jersey. Umeblował więc swój dom w dokach w prostym chłodnym hebanie i połyskliwych kryształach, w lśniącej stali i kryjących całą podłogę dywanach - wszystkich w tym samym, miękkim odcieniu gołębiej szarości, na jaki pomalowano drzwi wejściowe. Ogromne okna były zaopatrzone w gołębioszare żaluzje, ale nie zasłonięte. Na niewymyślnym hebanowym stole stała tylko kryształowa popielniczka w kształcie lekko skrzyconego sześcianu, a jedynymi kwiatami w całym tym domu były szklane ornamenty od Dartingtona. Louis miał awersję do prawdziwych kwiatów, być może również z powodu wspomnień z domu na Jersey, gdzie w sezonie kwitnienia cały dom był pełen frezji, lilii, goździków i róż.

Jednakże to sypialnia zrobiła największe wrażenie na Debbie. Była ona utrzymana w tych samych tonacjach, co reszta domu, to znaczy biało-szaro-czarna. Olbrzymie łóżko, a właściwie zastępujący łóżko olbrzymi materac, leżący bezpośrednio na podłodze, był pokryty jedwabiem w czarno-białe pasy, a na tym nieregularnie porozrzucano poduszki i jaśki w geometryczne wzory. Sufit i trzy ściany były wyłożone lustrami, a gdyby sceneria, którą odbijały, nie była tak modernistyczna, bardziej by pasowały do burdelu niż do tego japońskiego minimalizmu.

Z początku Debbie uważała za niezwykle denerwujące ciągle dostrzeganie swego odbicia z każdego możliwego kąta widzenia, ale kiedy się już trochę z tym oswoiła, zaczęła nawet lubić te wrażenia - tym bardziej, że przecież była bardzo ładna. Debbie

Janet Tanner

nie była próżna w powszechnie przyjętym znaczeniu tego słowa, ale zawsze się cieszyła ze swej urody, a ponieważ wygląd był podstawą jej obecnej egzystencji, uznała, że pożyteczna jest stała możliwość sprawdzenia jednym rzutem oka, czy włosy z tyłu się nie rozsypały i czy spódniczka się nie wygniotła.

Oczywiście, zdawała sobie sprawę, że luster tych nie umieszczono tam po to, by mogła sprawdzać stan swej garderoby, ale nie przejmowała się tym. W końcu Louis zupełnie nie przypominał Barry'ego, nie miał byczego karku, brudnego podkoszulka ani rozepchanego piwskim brzucha. Ciało Louisa było piękne, gładkie, delikatne i smukłe, z grającymi pod skórą mięskami ramion i pięknie prężącymi się mięśniami z tyłu ud. Dzięki lustrom Debbie mogła przyglądać się tym mięśniom kiedy się kochali i odkryła, jak bardzo może to być podniecające. Doszła do wniosku, że właśnie o czymś takim stale usiłowała jej opowiedzieć Grace, o tym cudownym, upajającym uczuciu, o tym niepowstrzymanym dążeniu do powtarzania wszystkiego jeszcze i jeszcze. Lecz Grace najwyraźniej była zdolna do takich odczuć niemal z każdym. A Debbie umiała je odnaleźć tylko z Louisem.

Kiedy Louis zaproponował jej wprowadzenie się do niego, Debbie zastanawiała się, czy będzie nalegał, by rzuciła pracę u Benny'ego. Lecz nic takiego się nie zdarzyło. Louis był zadowolony z sytuacji, przynajmniej póki Debbie wracała do domu taksówką po występie, jeśli on nie mógł jej odwiedzić osobiście. Poza tym zdecydowanie namawiał ją, by nie przerywała lekcji tańca i kursu modelek, a nawet opłacił jej jeszcze dodatkowe lekcje u nauczycieli wymowy, by mogła się ostatecznie pozbyć naleciałości z West Country. Debbie właściwie już tego nie potrzebowała, bo przy swych wrodzonych zdolnościach aktorskich i mimicznych już dawno nauczyła się naśladować jego sposób mówienia. Przecież kiedy mieszkała z Grace, podrapała nawet jej

wschodnioindyjski sposób wymowy! Żadnych problemów nie sprawiało jej więc imitowanie jego łagodnego akcentu z otwartymi samogłoskami.

Poza tym Louis ruszył z nią na szaleńcze zakupy. Ubrania,

OKO ZA OKO

.670

które jeszcze kilka tygodni temu kupowała sobie w zachwycie, zostały spakowane i wysłane dla biednych, a nowa garderoba - od stóp do głów - pochodziła od Mary Quant and Biba, wszystko co najmodniejsze. Louis twierdził, że jego kobieta nie może nosić niczego ze sklepów C& A ani Richard Shops. Żadnej produkcji seryjnej. Debbie nie potrafiła dostrzec różnic, ale Louis najwyraźniej nie miał z tym kłopotu. Po buty zabrał ją do Anello and Davide, gdzie zwykle powstają buty dla gwiazd sceny, a jej włosy układano u Vidal Sassoon. Pewnego dnia Benny dostał ataku szału, gdy Debbie pojawiła się w pracy z blond włosami zrobionymi na króciutkiego, gładkiego pazia. Według Benny'ego rozpuszczone włosy do ramion - w stylu Barbie - uosabiały wszystko, czym powinna być hostessa. Ale naprawdę przeraził się dopiero, gdy dostrzegł, jaką Debbie nosi biżuterię. Złote łańcuchy, litozłota bransoleta, szafirowe kolczyki, zegarek Cartiera...

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - powiedział ponuro do Louisa. - Mam nadzieję, że jesteś wysoko ubezpieczony, skoro pozwalasz jej nosić cały ten towar. Bo ja na pewno nie mam dla swoich dziewczyn pokrycia w kwotach kilkutyśięcznych.

- Nie martw się tym, stary. Tam, gdzie je kupiłem, mają tego jeszcze mnóstwo! - odparł Louis z pogodnym uśmiechem. r

Najwyraźniej wielką radość sprawiało mu bawienie się w Świętego Mikołaja wobec swego Kociaka. W wieku ledwie dwudziestu pięciu lat miał właściwie wszystko - stały dopływ gotówki z hazardu, piękny dom, świetny wygląd i dziewczynę tak młodą, piękną i ponętą, że patrzący na nią mężczyźni ślinili się z pożądania. Zresztą jeśli chodzi o wiek Debbie, to miał na ten temat

własne zdanie - uważał, że jest o wiele młodsza, niż twierdzi. Ale nie przeszkadzało mu to. Teraz był bardzo zadowolony, że pokłócił się ze swym ojcem i wyjechał z Jersey. Bernard był tak upartym tradycjonalistą, a Jersey tak okropnie zatęchłą, nudną, zabita dechami dziurą! Tutaj mu było o wiele lepiej - przynajmniej na razie. Robił pieniądze bez wysiłku i świetnie się bawił. Może kiedyś, kiedy ojciec zacznie tracić kontrolę,

Janet Tanner

wróci - niby młody lew, chcący przejąć przodownictwo stada, gdy już wie, że stary przodownik nie jest w stanie dłużej walczyć. Ale na razie był szczęśliwy tu, gdzie się zakotwiczył.

Debbie także była szczęśliwa.

Kociaku, czy ty nie masz rodziny? - spytał Debbie pewnego wieczoru.

Leżeli na fotonowym materacu, niedbale okryci czarno-białym, jedwabnym prześcieradłem.

Dopiero co skończyli się kochać. Debbie leżała wtulona w jego ramię i zerknęła w lustro nad głową na ich odbicie. Zastanawiała się, ile może mu opowiedzieć. Na pewno wiedziała, że nie piśnie ani słowa o Barrym - nadal jeszcze zbyt się wstydziła tego, co z nią robił, by komukolwiek o nim opowiedzieć. To był jej sekret i uznała, że najlepiej będzie, aby tak zostało aż do grobowej deski. Poza tym czuła irracjonalny lęk, że jeśli Louis dowie się wszystkiego na temat jej dzieciństwa

1 wczesnej młodości, nie będzie jej już chciał. Tego wieczoru jednak bardzo pragnęła podzielić się z nim wszystkim, dosięgnąć go równie mocno na płaszczyźnie emocjonalnej, co fizycznej.

Gdyby wiedział o niej wszystko i nadal jej chciał, poczułaby się kompletnie bezpieczna; nie miałaby wtedy już zupełnie czego się obawiać.

- Mam tylko matkę - odrzekła z wahaniem.

- I nigdy nie jeździsz się z nią spotkać?

- Nie. Ona by tego z pewnością nie chciała. Była szczęśliwa, że się wynoszę. Zawsze byłam dla niej tylko zawadą.

Louis się roześmiał. Z własnych doświadczeń nie znał takich matek. Jego matka zawsze broniła go jak lwica. Zdawał sobie sprawę, że za jego sprawą pomiędzy nią a ojcem bez przerwy dochodziło do spieć - i wynikające z tego poczucie władzy sprawiało mu wielką radość. Dlatego

też pomyśl, że matka Debbie po prostu mogłaby nie chcieć własnej córki, wydawał mu się czystym fantazjowaniem. Uznał, że to wymysł Debbie,

OKO ZA OKO

673

usprawiedliwianie samej siebie dla ukojenia wyrzutów sumienia po ucieczce od rodziny.

- Daj spokój, Debs - powiedział swobodnie. - To na pewno nieprawda.

Poczuł, że dziewczyna nieco się od niego odsuwa.

- A co ty możesz o tym wiedzieć?

- No, nic. Ale...

- Byłam dla niej zawadą od chwili urodzenia - rzekła Debbie, która nagle odczuła bardzo silną potrzebę opowiedzenia mu

o wszystkim. - Nie zmyślam tego, Louis. Ona naprawdę mnie nie chciała. Nie mówię tu o niemowlęctwie, bo malutkie dziecko zawsze w pewnym sensie jest niewygodą. Ale zawsze mnie komuś podrzucała, nigdy się mną nie próbowała opiekować. Kiedyś mnie zabrali do domu dziecka, bo matka zniknęła z domu

1 zostawiała mnie samą. To było naprawdę przerażające. Którejś nocy wydawało mi się, że do domu wszedł złodziej i wybiegłam z wrzaskiem na ulicę. Sąsiedzi powiedzieli policji, że często jestem sama w domu całymi dniami i nocami, więc przyszli ludzie z opieki społecznej i zabrali mnie do domu dziecka.

Urwała, trzęsąc się jeszcze teraz na to wspomnienie.

- Długo tam byłaś? - spytał Louis.

- Nie, dzięki Bogu. Mama obiecała, że już nie będzie mnie zostawiała samej i pozwolili jej zabrać mnie z powrotem.

- A widzisz! - zawołał triumfalnie Louis. - Gdyby naprawdę cię nie chciała, to by cię tam zostawiła, prawda?

Debbie westchnęła. Kiedy ujął to w ten sposób, to owszem, wszystko wskazywało na to, że matka chciała ją mieć przy sobie. Ale Debbie dobrze wiedziała, jak było naprawdę.

- Nie, nic nie rozumiesz. Zabranie mnie było dla niej jakąś obrazą. Kiedy mnie już zaprowadziła do domu, okropnie mnie sprąła za narobienie jej kłopotów. I tyle. Nigdy mnie nie pocałowała ani nie przytuliła. Tylko mnie biła za zawadzanie i plątanie się pod nogami.

- Ale cię już nie zostawiała samej?

- Ależ tak. Przesiedziała w domu kilka tygodni, ale cały czas

Janet Tanner

była w fatalnym nastroju. Powtarzała mi, że jestem jak wrzód na dupie i groziła, że mnie odstawi z powrotem do domu dziecka, jak zrobię coś nie tak. A potem wróciła do starych przyzwyczajęń. Tak naprawdę nie miałam nic przeciwko temu. W końcu była moją matką. Znowu urwała, bo w gardle niespodziewanie poczuła lzy. W tamtych dniach desperacko pragnęła, by matka ją zauważyła, kochała. Bywały chwile, kiedy cała jej egzystencja zdawała się sprowadzać do tego bolesnego pragnienia.

Robiła wszystko, co w jej mocy, by zdobyć miłość swej matki. Przypominała sobie, jak kiedyś wyszorowała cały dom od góry do dołu i we wszystkich wazonach ustawiła kwiaty. Ale matka ani słowem jej nie pochwaliła. Powiedziała tylko tyle:

- Co, do cholery, robi w domu to śmierdzące paskudztwo?! Wywal to natychmiast na śmietnik, do diabła!

Kiedy indziej, gdy u matki był jej „przyjaciół”, Debbie zaniósła im śniadanie do łóżka. Przygotowała wszystko z niesłychaną dokładnością i starannością, a herbatę zrobiła w posrebrzanym dzbanku, który zwykle zdobił kredens. Jej wysiłki jednak zostały nagrodzone wściekłym wrzaskiem:

- Ten dzbanek nie jest do używania, ty głupia dziwko! Powinnaś o tym wiedzieć! Odpierdzielilo ci, czy co?!

Debbie poczuła, jak pod powiekami zaczynają ją szczypać lzy. W poczuciu niesprawiedliwej krzywdy stała w milczeniu i mrugała, usiłując powstrzymać płacz. Ale matka przypominała sobie w tym momencie o kulącym się obok niej olbrzymim mężczyźnie i krzyknęła na córkę:

- Spieprzaj stąd, ty durna, wścibska krowo!

Debbie dobrze pamiętała, jak przez te wszystkie lata była raniona, urażana, poniżana i znów raniona. Wtedy nie umiała zrozumieć nastawienia matki do niej - wiedziała tylko, że jej

okropnie przeszkadza. Później jednak, kiedy pojawił się Barry i zaczął się nią interesować, wyczuła że miejsce rozdrażnienia „zawadzającym bachorem” zajęła zazdrość o młodszą kobietę.

OKO ZA OKO

487

Teraz Debbie odczuwała tylko bolesną pustkę w miejscu, które mogła wypełnić jedynie miłość matki.

- A twój ojciec? - spytał Louis. - Co się z nim stało?

- Nie mam pojęcia - odparła szczerze Debbie. - Zawsze była tylko mama i ja. Nie znalazłam ojca. Nie jestem pewna, czy mama wiedziała, kto nim był.

Na chwilę zapadła cisza, bo Louis leżał zupełnie cicho. Nawet nie oddychał. Debbie poczuła, jak zeszytywniał, i na moment ogarnął ją lęk.

- Przepraszam, Louis, ale właśnie tak było - powiedziała smutnie. - Pewnie już mnie nie będziesz teraz chciał, kiedy wiesz

o mnie wszystko.

Lecz Louis się roześmiał. Był to pozbawiony wesołości chichot, który dobiegał gdzieś z głębi jego ciała.

- Nie bądź głuptasem, Kociaku. Nie powinnaś się czymś takim przejmować. Pewnie twój ojciec i tak był skurwielem.

- Tak myślisz?

- Tak. Bo niby dlaczego nie? - Położył jej dłoń na piersi

1 zaczął pieścić palcami jej sutek, póki nie stwardniał. - Wszyscy mężczyźni to skurwiele.

- Ty nie.

- Nie bądź tego taka pewna! A teraz może byś uszczęśliwiła jednego skurwiela?

Uniesiona falą miłości Debbie natychmiast zapomniała o swych wątpliwościach.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Po mniej więcej dwóch miesiącach Louis zdecydował, że już czas, by Debbie rzuciła pracę hostessy i została „metresą na pełny etat”. Z początku dziewczyna była przeciwna, bo mimo że bardzo do niej przemawiała perspektywa bycia kochanką-damą, to jednak lubiła tę namiastkę poczucia niezależności, jaką dawała jej praca. Ale Louis był nieprzejednany. Nie chciał, żeby inni mężczyźni obmacywali ją wzrokiem, chciał ją mieć do dyspozycji wieczorem i nie lubił jej przesypiania połowy dnia. Natomiast bardzo zadowolony był z jej kursów tańca, pozowania i wymowy. Ten ostatni nie był już potrzebny, lecz przyniósł wspaniałe efekty. Głos Debbie był teraz niski i melodyjny, słuchanie jej sprawiało przyjemność. Ale praca u Benny'ego musiała się skończyć.

Debbie w końcu się poddała. Zrobiła to zresztą z pewną radością, bo niezwykle pochlebiali jej, że Louisowi zależy na niej na tyle, że chce ją mieć pod ręką na każde zawołanie. Nie przyszło jej tylko do głowy, że była dla niego jedynie zabawką. Radośnie podjęła swoje nowe obowiązki i spełniała wszystkie życzenia Louisa z jednym wyjątkiem - Grace.

Z jakichś tajemniczych powodów Louis nie aprobował jej przyjaźni z tą piękną, hebanowoskórą dziewczyną, z którą przecież kiedyś mieszkała. Posunął się nawet do tego, że wręcz zabronił Debbie widywać się z Grace. A ponieważ stanowczo unikał odpowiedzi na pytanie dlaczego, Debbie doszła do wniosku, że

OKO ZA OKO

489

przyczyną może być fakt, iż Grace tak bardzo ulegała namiętnościom. Debbie nigdy nie interesowała się za bardzo seksem, a Grace na jego punkcie szalała. Miała tak wielu kochanków, że Debbie sądziła, iż sama już straciła rachubę. Ale najwyraźniej ze wszystkimi świetnie się bawiła. Debbie kiedyś powiedziała Louisowi, że zazdrości Grace jej zmysłowości. Uważała, że to musi być naprawdę przyjemne, mieć tyle rozkoszy z każdego stosunku. Louis

musiał sobie dokładnie zapamiętać te słowa i zapewne obawiał się, że Grace zwiedzi Debbie na manowce. A potrafił być strasznie zaborczy, kiedy o nią chodziło.

Debbie była bardzo zadowolona, że Louisowi na niej zależy, ale akurat w tym przypadku nie miała zamiaru być posłuszna. Grace była pierwszą przyjaciółką, jaką miała w Londynie - jedyną, jaką w ogóle miała, żeby nie skłamać. Była więc zdecydowana nie poddawać się łatwo. Popołudniami, kiedy Louis poświęcał się interesom, Debbie wymykała się na godzinne zakupy z Grace. Szły do kawiarni i plotkowały nad kawą i ciastkami, a potem Debbie wracała do domu obciążona bielizną, perfumami i kosmetykami, zakupionymi za pomocą karty kredytowej, którą jej dał Louis. Nigdy nie powiedziała Louisowi, że spotyka się z Grace, bo nauczyła się już, że pod eleganckim, dżentelmeńskim uśmiechem i zachowaniem Louis kryje wyjątkowo wredny temperament. Tak więc wspólne wypadki były jej tajemnicą - i Grace.

Któregoś weekendu Louis musiał wyjechać w interesach i zostawił ją samą. Takie wypadki zdarzały mu się od czasu do czasu, a Debbie ich nie znosiła. Nienawidziła być zostawiana sama, jak wówczas, gdy matka sobie gdzieś szła.

W czwartek po południu, przed zapowiadzanym wyjazdem Louisa, Debbie spotkała się z Grace na jednym z ich tajemnych wypadów na zakupy. Kiedy poinformowała Grace o weekendzie, czarne oczy dziewczyny rozbłysły szelmowsko.

- Kot z domu - myszy harczą! - zawołała. - W sobotę wieczorem Simon Chambers wydaje przyjęcie! Idziemy?

- Och, nie wiem, czy powinnam. Louis dostałby szału, gdyby się dowiedział. Szczególnie, że tu chodzi o Simona Chambersa.

Janet Tanner

- A czego brakuje Simonowi? Debbie roześmiała się nieco nerwowo.

- No, on jest...

- Co, trochę bardziej rozrywkowy niż inni? - dokończyła za nią Grace. - On jest zupełnie nieszkodliwy, Debbie. To pedał, nie wiedziałaś? I jest słodki, naprawdę! No, już! Nie rób z siebie Bóg wie czego! Louis się o niczym nie dowie!

- No, dobrze - zgodziła się Debbie, odrzucając całą ostrożność. Z niechęcią myślała o spędzeniu sobotniego wieczoru w samotności, a ten wypad z Grace zapowiadał się jako naprawdę dobra zabawa.

Kiedy jednak Grace zajęła po nią swym zwinnym, małym Sunbeamem Alpine, sumienie nie dawało Debbie spokoju. Żałowała, że auto przyjaciółki tak bardzo rzuca się w oczy, ale pocieszała się, że Louis nie przyjaźni się z sąsiadami, więc nikt mu nie doniesie, iż jego dziewczyna wyjeżdżała gdzieś sportowym samochodem. Mimo wszystko jednak za każdym razem, gdy Grace zatrzymywała się na czerwonych światłach, Debbie zsuwała się z siedzenia i chowała, na wypadek gdyby miał ją dostrzec ktoś, kto zna i ją, i Louisa.

- Odpręż się, mała! - pokrzykiwała na nią ze śmiechem Grace. - Masz, zapal sobie. Ja też puszczę dyma.

Debbie pokręciła głową. Zapali sobie później. Zresztą wiedziała, że Grace nie ma na myśli zwykłego papierosa. Jeszcze zanim się zatrzymały na parkingu przed ogromnym domem Simona, całe wnętrze auta wypełniał słodki dym palonych konopi. Debbie wierciła się w samochodzie, żywiąc cały czas nadzieję, że jej ubranie nie przesiąknie tym zapachem - Louis miał niezwykle czuły węch, szczególnie na takie rzeczy.

Weszły na schody, prowadzące do frontowych drzwi. Jeszcze zanim się otwarły i stanął w nich Simon, do ich uszu dobiegły dźwięki głośnej muzyki i hałaśliwych wybuchów śmiechu. Simon

rozpromienił się na ich widok. Był ubrany tylko w prześcieradło, udrapowane jak rzymska toga i spięte na ramieniu broszą.

- Witajcie, piękne panie, na tych bachanaliach - zapiał kpiąco i gorąco ucałował Grace w policzki.

OKO ZA OKO

680

- Simon! - powiedziała niepewnie Grace. - Nie wiedziałyśmy, że to impreza przebierana...

- Przebierana? A co to niby znaczy? Na moich przyjęciach nosi się to, na co się ma ochotę. Jak nie masz ochoty nosić ubrania, to nie nosisz. Tak więc, kochane moje, jeśli chcecie, powieście swe suknie na wieszaku.

- Dziękuję. Jeśli ci to nie przeszkadza, pozostanę w sukience

- odparła ze śmiechem Grace.

- Nie robi mi to różnicy, ale szkoda. To boska kreacja, kochanie. Jestem pewny, że Philip albo Bruce nie potrafiliby się powstrzymać przed przymierzeniem jej. No to chodźcie i przywitajcie się z resztą bandy.

Debbie poszła za Grace eleganckim hallem. Czowała się coraz bardziej niezręcznie. Na schodach dostrzegła kilka zupełnie nagich par, które ze śmiechem ganiały się w górę i w dół, i zaczęła się zastanawiać, w co się wpackowała. Sama sobie zaraz odpowiedziała

- przyszła na imprezę, czytaj orgię. Była tym wszystkim jakoś niezdrowo zafascynowana, ale postanowiła sobie twardo, że absolutnie nikt nie zdoła jej namówić na zdjęcie ubrania.

Przepiękny salon był pełen ludzi w różnych stadiach rozebrania, figlujących na sofach lub tańczących zmysłowo do wtóru muzyki Beach Boys i Beatles. Debbie dostrzegła mężczyznę, znanego jej z widzenia; wiedziała, że jest jednym z ważniejszych członków parlamentu. Leżał on na kanapce, ubrany wyłącznie w wieniec laurowy. Niemal zupełnie naga dziewczyna karmiła go winogronami, wkładając je wprost do jego ust, podczas gdy druga masowała mu stopy.

Ciekawe, pomyślała Debbie, co by powiedzieli jego wyborcy, gdyby go teraz mogli zobaczyć. Sama miała mieszane uczucia - była jednocześnie rozbawiona, pełna odrazy i zażenowana.

- Jimmy! - zawyła nagle ekstatycznie Grace, rzucając się w ramiona wysokiego, arystokratycznego mężczyzny, ubranego w coś w rodzaju przepaski biodrowej w stylu Tarzana. Debbie cichaczem wyniosła się pod osłonę stojącą pod ścianą palmy, w nadziei, że nikt jej nie zauważy.

- Masz ochotę na szampana, kochanie? - Najwyraźniej nie

Janet Tanner

ukryła się wystarczająco dobrze, bo jej ramienia dotknął jakiś mężczyzna z tacą w ręku. Odwróciła się i zobaczyła, że człowiek ten ma na sobie tylko biały, nakrochmalony fartuszek francuskiej pokojówki i czarne pończochy z podwiązkami. Ponad sztywnym materiałem fartuszka bielą naga klatka piersiowa i spory brzusek, a idiotycznego obrazu dopełniała niemal zupełnie łysa czaszka mężczyzny i okulary w złotej oprawie. Debbie wzięła ze srebrnej tacy kieliszek i pulchny „pokojówek” oddalił się na swych wysokich obcasach, kręcąc nagimi pośladkami.

Boże na niebiesiech, pomyślała Debbie, muszę się stąd wydostać! To zdecydowanie nie dla mnie. Rozejrzała się wokół, poszukując wzrokiem Grace, ale jej przyjaciółka była bardzo zajęta smukłym arystokratą, którego nazwała Jimmym. Debbie dopiła szampana i chyłkiem ruszyła do drzwi.

- Chyba jeszcze nie chcesz sobie iść, aniele? - zawołał Simon, podbiegając do niej.

- Raczej tak. Strasznie mnie boli głowa! Powtórz Grace, że już poszłam, dobrze?

Przemknęła koło niego do hallu i wybiegła za drzwi. Chłodne powietrze było wspaniałe. Debbie odetchnęła kilka razy z ulgą, odczuwając nagle ogromną tęsknotę za Louistem. Dlaczego musiał wyjechać? Dlaczego nie może być ze mną cały czas?

W ulicę wjechała taksówka. Debbie zbiegła po schodach i machnęła ręką. W tej chwili najbardziej ze wszystkiego chciała być w domu.

Pewnego poranka, kiedy mieszkała już z Louistem od sześciu miesięcy, obudziła się na dźwięk dzwonek telefonu. Leżący obok niej Louis nadal był jak martwy; poprzedniego wieczoru wypił więcej niż powinien. Wstała szybko, wsunęła ręce w rękawy jedwabnej podomki i pognęła do telefonu w nadziei, że odbierze, nim sygnał zbudzi Louisa. Takie gwałtowne przebudzenie spo-

wodowałoby u niego z pewnością ból głowy - o ile jeszcze go nie bolała. Wydawało się jej, że zegar w salonie wskazuje

OKO ZA OKO

683

dwadzieścia po siódmej, ale uznała, że źle popatrzyła. Zawsze miała kłopoty z odczytaniem godziny z tego zegara - składał się tylko z dwóch czarnych wskazówek wbudowanych w bryłę kryształu i bardzo łatwo było pomylić wskazania godzinowe albo nawet wziąć wskazówkę minutową za godzinową lub odwrotnie. A poza tym - kto by mógł dzwonić dwadzieścia po siódmej rano? Miną jeszcze całe godziny, zanim ich przyjaciele i znajomi zaczną dawać znaki życia. Debbie ruchem dłoni starła z oczu resztki snu i wczorajszej Mascary i podniosła słuchawkę.

- Halo?

- A któż to, do cholery?! - Był to głos mężczyzny, nieznanego.

- Tu Debbie Swift. A kim pan jest?

- Usiłuję się połączyć z Louistem Langlois. Czy to dobry numer?

- Tak, ale on śpi.

- Chyba więc będzie pani musiała go obudzić. Debbie zaczęła się nieco bać.

- Kim pan jest? Czego pan od niego chce?

- Jestem Robin Langlois, jego brat. Czy może go pani poprosić do telefonu? To bardzo pilne.

Debbie poszła z powrotem do sypialni, pociągnęła za prześcieradło i zaczęła tarmosić Louisa za ramię. Wymamrotał coś, jęknął i złapał za koniec prześcieradła.

- Zostaw mnie!

- Louis, proszę cię! Obudź się! Dzwoni twój brat! Mówi, że to bardzo ważne. Louis!

Jeszcze przez chwilę siłowała się z nim, po czym się poddała. Louis spał jak zabity.

Zdesperowana wróciła do telefonu.

- Przykro mi, ale nie jestem w stanie go dobudzić. Jest nieprzytomny. Czy mogę mu coś przekazać? Czy tylko mu powiedzieć, żeby do pana oddzwonił?

- Nic się nie zmienia, co? - Usłyszała głośne westchnienie. - Może się obudzi, kiedy mu pani powtórzy, że jego ojciec zmarł. A potem niech do mnie zadzwoni.

Janet Tanner

- Jego ojciec? - powtórzyła Debbie, a po czym do jej uszu dobiegło szczęknięcie w słuchawce. Stała jeszcze przez chwilę, ściskając końce szlafrocza, a jej mózg pracował w panice. Jeszcze nigdy nie musiała nikomu przekazywać złych wieści i nie miała pojęcia, jak to zrobić. Ta perspektywa przerażała ją śmiertelnie. To nie było uczciwe ze strony brata Louisa - Robin, tak? - żeby ją tym obarczać. Nie jest przecież policjantką. Mógł jej powiedzieć, żeby jeszcze raz spróbowała obudzić Louisa, albo wymyślić coś jeszcze innego. Ale już było za późno. Brat się rozłączył, a inicjatywa należała teraz do niej.

Debbie z niechęcią wróciła do sypialni. Louis spał jak kamień, niczego nieświadom. Pochyliła się nad łóżkiem i potrząsnęła jego ramieniem.

- Louis, proszę, musisz się zbudzić!

Nie otwierając oczu wyciągnął rękę i schwycił ją za poję podomki.

- Co jest, Kociaku? Chodź tutaj i przestań wreszcie krzyczeć!

- Nie! Louis, muszę ci coś powiedzieć! Nie słyszałeś telefonu?

- Nie. Wiesz, że masz najpiękniejsze cycki...

- Louis! - krzyknęła i odsunęła się, zmuszając go do wyjęcia dłoni spod szlafrocza. - Posłuchaj mnie! Twój brat dzwonił! Twój ojciec nie żyje!

Natychmiast miała ochotę sama siebie kopnąć. Nie chciała mu tego mówić w ten sposób. Jego dłoń pod podomką zastygła w bezruchu, a twarz z już otwartymi oczami zmartwiała, jak wykuta w kamieniu.

- Przepraszam cię, Louis! - zaszlochała. - Nie chciałam ci tego tak mówić, ale nie słuchałeś.

Jeszcze chwilę leżał bez ruchu, a Debbie chciało się płakać.

- Naprawdę mi przykro, Louis...

Louis odrzucił na bok prześcieradło. Debbie pomyślała, że Louis ruszy teraz do wszystkich tych działań, które - jak sobie wyobrażała - podejmują ludzie na wieść o śmierci krewnego. Że zadzwoni do swego brata, zatelefonuje na lotnisko i zabukuje

OKO ZA OKO

686

sobie bilet na Jersey i tak dalej - pewnie milion rzeczy było do zrobienia. Jednak Louis tylko leżał, a jego nagie ciało lśniło złotawo w pierwszych promieniach wschodzącego słońca.

- Nieważne - powiedział wreszcie.

- Co takiego? Co jest nieważne?

- A co, przejęłabyś się, gdyby ci ktoś powiedział, że umarł twój ojciec?

- Louis, ja nie znalazłam swojego ojca.

- Nie - odparł, a w jego głosie zabrzmiała jakaś dziwnie twarda nuta. -1 ja swojego też nie. A teraz - wracasz do łóżka sama, czy muszę koniecznie wstać, żeby cię wciągnąć z powrotem?

Z beztroskiej reakcji Louisa na wieść o śmierci ojca Debbie wyciągnęła wniosek, że nic się nie zmieni w ich życiu, ale myliła się ogromnie.

Wygrzebawszy się wreszcie o wiele później z łóżka, Louis zarezerwował sobie bilet na najbliższy samolot na Jersey i wyjechał na przeszło tydzień. Znudzona i samotna Debbie chodziła bez celu po domu, a gdy wreszcie Louis wrócił, nie była w stanie wiele się od niego dowiedzieć.

Powiedział tylko, że jego ojciec zmarł na wylew, co było bardzo nagle i nieoczekiwane.

Wszystkim zajmowali się teraz jego matka, brat i stryj Paul, ale mogło się okazać, że będzie musiał spędzać o wiele więcej czasu na Jersey niż dotąd.

Debbie bardzo się cieszyła na wspólne wyjazdy - jej obecny świat był tak mały, że Jersey wydawało się niemal rajską wyspą - ale Louis szybko sprowadził ją na ziemię: nie miał najmniejszego zamiaru zabierać jej ze sobą. Debbie miała pozostawać w Londynie.

- Po pierwsze - powiedział Louis - nie chcę cię zabierać na podróże w interesach, a po drugie - przecież masz zobowiązania. To była prawda. Debbie miała zobowiązania - jako modelka. W jej pojęciu były to rzeczy o wiele mniej istotne niż bycie

Janet Tanner

z Louistem, ale wiedziała, że nie może sobie pozwolić na zostawianie ludzi na lodzie. I tak w czasie, gdy Louis odbywał swe częste podróże za wodę, Debbie pozowała w najróżniejszych studiach fotograficznych w Londynie, prezentując bieliznę i kosmetyki oraz makijaż, a to wszystko dla reklamowych broszur, katalogów zamówień i do gazet. Nakręcono z nią nawet telewizyjną reklamę batonika czekoladowego. W trakcie tej pracy omal nie umarła z zimna - stała na przenikliwym wietrze w letnim ubraniu w piękny i słoneczny, ale jednak zimowy dzień i powstrzymując dygot starała się jeść batonik w taki sposób, żeby widzowie reklamówki oblizywali usta.

Wracając do Londynu Louis często obsypywał ją najróżniejszymi luksusowymi prezentami, jakby chciał jej wynagrodzić swą nieobecność. Kiedyś zabrał ją na weekend do wielkiej wiejskiej posiadłości, gdzie stał przepiękny, luksusowy dom. Louis powiedział jej, że - jak to określił - ma do tego domu dostęp. Pogoda była rześka i chłodna, rozpalili więc sobie prawdziwe ognisko na kominku. Przez cały dzień zaglądali do nich różni goście, prawie wszyscy bardzo utytułowani, żeby razem wypić drinka. Louis oprowadzał Debbie wokół posiadłości i w pewnej chwili przewrócił ją na stertę suchych liści, po czym zaczął się do niej na serio dobierać. Oboje byli tą przygodą tak podnieceni, że zaraz wrócili do domu, gdzie nie rozebrawszy się nawet zaczęli się kochać na dywanie przed buzującym kominkiem. Potem Louis pokazał jej pusty o tej porze zakryty na zimę basen i opowiedział jej o ogrodowych przyjęciach, jakie się tu odbywają latem. Ku zachwytowi Debbie obiecał, że wynajmie ten dom jeszcze raz. Dla Debbie było to potwierdzeniem, że Louis planuje być z nią jeszcze w lecie następnego roku.

Jednak zdarzało się i tak, że Louis wracał z Jersey ponury lub wręcz wściekły, nie chciał jej nic opowiedzieć i tylko na nią powarkiwiał:

- Biznes!

Debbie słyszała to słowo niemal za każdym razem, kiedy usiłowała się dowiedzieć, co robił, gdzie był, co go tak rozzłościło.

OKO ZA OKO

689

- Ale przecież twoje interesy są tu, w Anglii - zaprotestowała kiedyś.

- Na Jersey też - odparł.

Kiedy wyjeżdżał, całował ją na pożegnanie i mówił, że pogadają, jak wróci. Ona się do niego tuliła, ale krótko i nie natrętnie, bo wiedziała, że tego nie lubi. Z tego samego powodu nigdy mu nie powiedziała - choć zawsze chciała - żeby nie jechał i nie zostawiał jej samej. Louis lubił jej obecność, lubił, by była jego Kociakiem, ale nie cierpiał czułości.

- Pamiętaj, Kociaku, że to dzięki tym moim interesom masz takie ładne ciuszki - powiedział jej kiedyś, i to było dość niemile. Te słowa sprawiły jej przykrość, rozbudziły też wszystkie stare lęki i poczucie niepewności. Debbie nie miała przecież jeszcze siedemnastu lat, a rany zadane przez matkę były bardzo głębokie.

Debbie kochała Louisa i nie wyobrażała sobie życia bez niego. Był jej słońcem, jej księżycem, gwiazdami. Zapewne dlatego właśnie tak się lękała, tak się trzęsa z przerażenia, że ją kiedyś opuści, a ona znów zostanie sama, tylko ze wspomnieniami.

Uważała, że gdyby miało się tak zdarzyć, to równie dobrze mogłaby umrzeć.

Pewnego dnia, kiedy Louisa znowu nie było, Debbie nie mogła już wytrzymać pustki w domu w Londynie i zadzwoniła do Grace.

Od czasu tamtej orgiastycznej imprezy nie widziała się z przyjaciółką, bo bała się, że jeśli Louis się dowie, dostanie szału, a to zepsuje ich króciutkie teraz wspólne chwile. Jednakże tym razem Debbie była tak samotna i znudzona, że postanowiła zaryzykować.

- To ja, Debbie - powiedziała, gdy Grace podniosła słuchawkę. - Robisz coś konkretnego?

- Teraz?

- Tak. Jestem sama i mam siebie dosyć. Może byś wpadła? Albo może byśmy się spotkały? Pójdziemy na herbatę i ciacha do Harveya Nicholasa, jak kiedyś, i na zakupy. Teraz w sklepach są nowości na lato.

Janet Tanner

- Dobrze. Spotkamy się w restauracji. Za pół godziny, tak?

- *Okay.* - Debbie uśmiechnęła się. Wiedziała, że Grace potrzebuje godziny na dojazd, ona zupełnie nie miała wycucia czasu, ale już sama gotowość była przyjemna.

Czekając na Grace Debbie obeszła cały dział bielizny i kupiła kilka biustonoszy w kolorze kości słoniowej i delikatną, brzoskwiniową, jedwabną podomkę. Miło było mieć pieniądze i wydawać je na luksusowe rzeczy. Bo Louis, jakkolwiek był, z pewnością nie był skąpy. A Debbie, wspominając dni w Plymouth, gdy sklepy mogła oglądać tylko od strony witryn, powiedziała sobie, że powinna przestać narzekać i żądać gwiazdki z nieba. Powinna się cieszyć z tego, co ma. Pojawiła się Grace. Dziewczyny powitały się entuzjastycznym uściskiem i weszły do restauracji, nie zwracając uwagi na ścigające je, zachwycone spojrzenia mężczyzn. Nic dziwnego, taką parę niełatwo spotkać na codzień - cudownie hebanowoczar-na piękność w bajecznej różowej garsonce i idealnie angielska, wspaniała dziewczyna w prostej jasnoniebieskiej sukience.

- A teraz opowiadaj, co u ciebie! - zażądała Debbie, wgryzając się w torcik bez choćby jednej myśli na temat figury. - Chcę znać wszystkie pikantne szczególiki!

- No, mam nowego faceta. Przystojny i utytułowany.

- Utytułowany? - Debbie natychmiast stanął przed oczami ten arystokratyczny mężczyzna w stroju Tarzana i zaczęła się zastanawiać, czy może to on. - Wyjdiesz za niego? Grace! Może zostaniesz Lady Jakałtam of Cośinnego?

Grace odpowiedziała szerokim uśmiechem.

- Pewnie bym mogła. Dobra myśl! Ale, jakby nie było, miłą odmianą jest trafić choć raz na kogoś wolnego. Większość tych bydlaków ma w domach żony. I myślą, że mogą mieć i żonę, i kochankę. - Popiła nieco swej herbaty cytrynowej. - A jak tam Louis?

- O ile wiem, to dobrze, ale nie wiem na pewno, bo widuję go ostatnio tak rzadko, że niedługo chyba oszaleję.

- Dlaczego? Nie powinnaś narzekać na nadmiar wolności.

OKO ZA OKO

499

Masz wszystko i jeszcze sporo wolności, więc... - Wymownym gestem rozłożyła dłonie z pomalowanymi na perłowo paznokciami. - Ale właściwie dlaczego teraz tak często wyjeżdża?

- A co, jeszcze ci nie mówiłam? Umarł jego ojciec, a Louis dostał dużą część udziałów w rodzinnej firmie - hotele i agencja turystyczna. Jako najstarszy syn Louis ponosi ogromną odpowiedzialność. Wydaje mi się, że radzi sobie świetnie, ale mi się to nie podoba. Ostatnio o wiele częściej jest na Jersey niż ze mną.

- A tak, zapomniałam, że on jest z Jersey. Dlaczego cię ze sobą nie zabiera?

- Nie wiem. Chyba lubi, jak siedzę tu i czekam na niego. - Nie dodała, że obawia się, iż Louis może się jej wstydzić.

- Znam kogoś z Jersey - powiedziała z namysłem Grace, wyjmując paczkę Marlboro i zapalając papierosa. - Frank de Val. Jest tam jakimś działaczem politycznym czy jakoś tak. Śmieszne, ale politycy często są najgorsi, wiesz? To chyba dlatego, że tak strasznie mocno muszą udawać kogoś, kim nie są. Ich żony z reguły to naprawdę nudne, solidne, rozsądne kobiety z klasy średniej w porządnym dwurzędowym garsonkach i z perłami na szyjach. Idealne żony, matki i członkinie komitetów. Albo prawdziwe, lewicowe działaczki zbyt zajęte bieganiem w kółko i opieką nad wszystkimi, żeby znaleźć czas na zaspokojenie potrzeb własnego faceta. Tak czy owak żadna frajda. Nic dziwnego, że ich mężowie skaczą na boki. Oczywiście, nie wiem, jaka jest pani de Val, bo jej nigdy nie spotkałam. Zawsze jest na Jersey. Tam Frank z pewnością jest otoczony szacunkiem jako poważny polityk. Jeden Bóg wie, co jego wyborcy by sobie pomyśleli, gdyby wiedzieli, co on wyprawia, kiedy tu przyjeżdża.

- A co wyprawia?

- Łatwiej powiedzieć, czego nie wyprawia. Jeśli jest na świecie facet bardziej zboczony niż Frank de Val, to chcę go zaraz poznać. Zabawy w pana i niewolnicę, przebieranki, figle na... Zaraz, przecież ty go znasz! Był na tej imprezie u Simona Chambersa! Pętał się wokół i roznosił drinki, ubrany tylko w fartuszek i czarne pończochy. Pamiętasz go?

500

Janet Tanner

- Jak mogłabym zapomnieć? Ten facet wyglądał absolutnie idiotycznie! Mówisz, że jest politykiem na Jersey?

- Yhy.

- Zastanawiam się, czy odważę się opowiedzieć o tym Louisowi - mruknęła Debbie, widząc już oczyma duszy, jak świetnie potrafiłaby sparodiować tego człowieka dla rozbawienia Louisa.

- Dlaczego?

- Wiesz dobrze. Bo on nienawidzi tego towarzystwa! - Debbie podrażniła przyjaciółkę i poszła do kontuaru po następny torcik.

Rozdział trzydziesty drugi

Debbie zapewne nigdy nie opowiedziałaby Louisowi o Franku de Val, gdyby nie to, że któregoś wieczoru za dużo wypila.

Spędzili bardzo miły, cichy wieczór, jedząc chińszczyznę na wynos, popijając butelką Chablis i słuchając Vivaldiego. Louis był nienaturalnie spokojny, a Debbie, której coraz bardziej szumiało w głowie, zastanawiała się, jak go rozweselić.

- Co ci jest, kochanie? - spytała, siadając mu na kolanach i obejmując ramionami jego szyję.

- Nic. Jestem po prostu zmęczony.

- Rozumiem. To ten cały *high life* na Jersey, tak?

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz - odparł Louis. - Na Jersey nie istnieje coś takiego. To cicha, beznadziejnie poważna dziura. Wszyscy chodzą tacy nadęci.

- Och, na pewno nie wszyscy.

- Wszyscy. Debbie zachichotała.

- Mogę ci opowiedzieć o jednym, który nie jest nadęty. Prawdę mówiąc, robi się z niego niezły numer, kiedy wyjeżdża z wyspy.

- O mnie?

- Nie. To znaczy, ty też, jasne - powiedziała dziewczyna. - Ale w porównaniu z nim jesteś niewinny jak niemowlę.

- Tak? A któż to taki?

Janet Tanner

- Nie jestem pewna, czy powinnam ci mówić. Jak ci powiem, pewnie będziesz na mnie zły.

- Dlaczego?

- Bo... - Zawahała się Debbie, nagle zalękniona, ale skoro już zaczęła, musiała dokończyć.

Inaczej Louis wyobrazi sobie coś

o wiele gorszego niż to, co mu chciała opowiedzieć. Poza tym okropnie ją korciło, żeby mu to powiedzieć. Jeśli się rozzłości, to już jakoś znajdzie sposób na ułagodzenie go. - No dobrze.

Powiem ci. Pod warunkiem, że obiecasz, że mnie nie zbesztasz. Kiedyś, jak cię nie było, miałam już tak dość samotności i siebie samej, że poszłam z Grace na przyjęcie do Simona Chambersa. Wiem, że nie lubisz, jak się z nią spotykam, ale zaręczam ci, że byłam grzeczną dziewczynką. A sama impreza była tak dzika, że zaraz stamtąd uciekłam.

- Kociaku, przecież wiesz, co to za dziewczyna...

- Tak, wiem. Cicho bądź, bo ci nie powiem. Tam był ten mężczyzna, przebrany za francuską pokojówkę. Naprawdę! Miał na sobie mały, nakrochmalony, biały fartuszek, czarne pończochy i buty na szpilkach, a poza tym już nic! - Znów zachichotała.

- Wyglądał idiotycznie! W dodatku jak chodził, to kręcił tyłkiem

- o tak! - Wstała i sparodiowała Franka de Val.

Louis roześmiał się. Debbie - jeśli tylko chciała - potrafiła naśladować wszystkich.

- Bardzo śmieszne, ale to nie wygląda na nikogo z Jersey. Teraz już wiesz, dlaczego cię ostrzegałem przed Grace. Mam nadzieję, że już nigdy nie zrobisz nic tak głupiego.

- Nie zrobię. Ale on naprawdę był z Jersey. Grace powiedziała mi, jak on się nazywa.

Powiedziała, że on jest na Jersey politykiem. Frank de Val.

Oczy Louisa dziwnie się zwężily. Przez chwilę Debbie się bała, że Louis się rozzłościł, ale po paru sekundach uśmiech wykrzywił jego wargi.

- Frank de Val, tak? Jesteś pewna?

- Całkowicie. Znasz go?

Louis nie odpowiedział na to pytanie.

OKO ZA OKO

697

- No, no! Frank de Val - jeden z chłoptasiów na imprezach u Simona Chambersa! Co za nagły zwrot akcji! Dziwię się tylko, że jeszcze nigdy o tym nie słyszałem.

- A niby skąd miałbyś się dowiedzieć? Przecież to zupełnie oddzielna grupa. Nie sądzę, żeby Benny wpuścił ich do klubu.

1 - Nie, oni dość mocno trzymają się kupy - zgodził się dziwnie zadumany Louis. - Teraz rozumiem, dlaczego. Bo to kupa zbrojców. - Jego głos był tak oskarżycielski, że Debbie aż się odsunęła. Nigdy sobie nawet nie wyobrażała, że Louis mógłby odgrywać niepokalany autorytet moralny. Choć z całą pewnością jego osobiste upodobania nie miały najmniejszych odchyień.

- Chyba bym już nigdy na ciebie nie spojrzała, gdybyś się ubrał w fartuszek pokojówki - powiedziała,-wtulając się w jego ramię.

- Ciesz się - odparł odruchowo i przytulił ją do siebie. Zaczął pieścić dziewczynę, ale myślami błędził gdzie indziej.

Od czasu wejścia w posiadanie swojego pakietu udziałów w rodzinnej firmie Louis miał już wiele pomysłów na rozszerzenie działalności. Chciwie myślał o pieniądzach turystów i bogatych tubylców, a w niemal każdym z tych pomysłów jednym z głównych elementów był hazard - w klubach i kasynach, które sam tak bardzo lubił. Lecz wszystkie te dążenia rozbijały się o przeszkodę nie do usunięcia - stare, bardzo restrykcyjne prawo, zabraniające hazardu pod każdą postacią. Louis już się niemal pogodził, że nie ma szans na obejście tego prawa, jednak teraz, usłyszawszy opowiadanie Debbie, doszedł do wniosku, że być może właśnie znalazł szczelinę w tym murze. Frank de Val był senatorem. Owszem, dysponował tylko jednym głosem, ale cieszył

się ogromnym szacunkiem i był bardzo lubiany. A jeśli ktokolwiek umiał przekonać innych senatorów do jakiejś sprawy, to na pewno tym kimś był Frank. Tak więc Debbie dostarczyła Louisowi sposób na przeciągnięcie Franka na swoją stronę.

Całując Debbie Louis nie czuł smaku ust. Jediną rzeczą, jaką mógł teraz odczuwać, był smak zbliżającego się sukcesu.

Janet Tanner

Czasami, w długie i samotne dni, kiedy Louisa nie było, Debbie zastanawiała się, czy on jest jej wiemy. Jakoś nie bardzo chciało jej się w to wierzyć. Louis był zbyt impulsywnym człowiekiem, żeby zadowolić się jedną kochanką na dłużej - szczególnie że teraz tak często i na tak długo od niej wyjeżdżał. Na samą myśl o Louisie z inną, Debbie dostawała skurczów żołądka, ale ponieważ nie umiała przestać o tym myśleć, postanowiła jakoś uporządkować swe uczucia. Pocieszała się, że przynajmniej była stałym związkiem jego życia. Była jego Kociakiem, mieszkającym w jego domu w Londynie. To do niej wracał do domu.

W swych dywagacjach zapomniała o jednym - że choć Louis od czasu kłótni z ojcem od pięciu lat, mieszkał w Londynie, Jersey również nadal było jego domem. Był na wyspie dużo bardziej zakorzeniony, niż się mogło zdawać nawet jemu samemu. Równie silne były jego tamtejsze powiązania, o czym pewnego dnia, w jeden z tych czarodziejskich, drogocennych weekendów, które spędzali razem, Debbie omal nie dowiedziała się aż za dużo.

Było to około południa w niedzielę. Louis wrócił do domu w piątkowe popołudnie w kiepskim humorze, narzekając na czerwcowy upał w Londynie. Powiedział nawet, że lepiej by już zrobił, gdyby został na Jersey. Debbie, która nie chciała go niepotrzebnie rozdrażniać jeszcze bardziej, milczała. Jednakże nastrój Louisa znacznie się poprawił, gdy spędzili miły wieczór w nadrzecznym klubie. Miał w sobotę do załatwienia jakieś interesy, ale zabrał ze sobą zachwyconą takim obrotem spraw Debbie, a na wieczór zdołał nawet zdobyć zaproszenia do owego wiejskiego domu, który jej pokazał zimą.

Basen był już odkryty i napełniony wodą. Louis i Debbie wraz z pozostałymi uczestnikami przyjęcia bawili się nad basenem, popijali drinki i pływali, póki nie zrobiło się już tak chłodno, że przestało to być przyjemne. Zapraszano ich, by przenocowali na miejscu, ale ku wielkiej uldze Debbie Louis uprzejmie odmówił

OKO ZA OKO

700

- miał w niedzielę rano jakiś interes do załatwienia. Debbie była szczęśliwa. Owszem, bardzo dobrze się bawiła w tym towarzystwie, ale teraz, kiedy widywała Louisa tak rzadko, wołała mieć go dla siebie. Pojechali więc z powrotem do Londynu. Debbie prowadziła mały biały kabriolet, który Louis jej niedawno kupił.

Nazajutrz Louis wstał bardzo wcześnie i wyszedł na spotkanie w interesach, a Debbie została w łóżku. Powylegiwała się jeszcze trochę, nie potrafiąc się nadziwić, jak niewielką ilością snu umie się zadowolić Louis, po czym wstała, wzięła długą, leniwą kąpiel i zaczęła toaletę. Byli umówieni na lunch, a Louis obiecał, że wróci po nią.

Właśnie stała przed otwartą szafą i zastanawiała się, co założyć, kiedy zadzwonił telefon.

Pobiegła do aparatu, ubrana wyłącznie w przezroczystą, powabną haleczkę.

- Halo?

- Och! - Głos po drugiej stronie linii był kobiecy, niemal dziecięcy, i pełen zaskoczenia. - Chyba pomyliłam numer.

Jakiś dziwny przypływ intuicji kazał Debbie zareagować.

- A z kim chciała pani mówić?

- Z Louisem Langlois, ale...

- Zgadza się, to dom Louisa Langloisa, lecz teraz go nie ma

- powiedziała lodowatym tonem Debbie. - Czy mam mu przekazać, kto dzwonił?

- Tak, proszę. - Pod powierzchnią tego dziecięco naiwnego głosiku Debbie wyczuła coś jakby agresję. - Proszę powiedzieć, że dzwoniła Molly. Może do mnie oddzwonić, jeśli chce.

- A będzie wiedział, gdzie pani szukać?

- O, tak, będzie wiedział.

Debbie z wściekłością odłożyła słuchawkę. Cholera! Kobieta! Tu do niego dzwoni! O ile wiedziała, nigdy dotąd nic takiego się nie przydarzyło - przynajmniej od kiedy ona tu mieszka. Wróciła do sypialni, ale nie była w stanie zdecydować, co ma na siebie włożyć. Wyjmowała z szafy jedną sukienkę za drugą i rozkładała je na łóżku. Kiedy Louis wrócił do domu, była już niemal rozhisteryzowana i nadal tylko w przezroczystej haleczce.

Janet Tanner

- Jeszcze niegotowa? - spytał, wchodząc do pokoju i obrzucając ją zniecierpliwionym spojrzeniem. - Stolik jest zamówiony na pierwszą. Nie mówiłem ci?
 - Nie obchodzi mnie lunch! - zasyczała Debbie. - Miałam inne rzeczy na głowie!
 - A co takiego na przykład?
 - Dzwoniła tu do ciebie jakaś kobieta. I chce, żebyś do niej oddzwonił.
 - Kobieta? Kto?
 - Powiedziała, że Molly, i że będziesz wiedział, gdzie jej szukać.
 - Molly? A czegoż ona chciała?
 - Skąd mam wiedzieć?! Zadzwoń sobie do niej, to się dowiesz! Louis roześmiał się wesoło.
 - Chodź tu do mnie, Kociaku! Uwielbiam, jak pokazujesz pazurki!
 - Nie! To mnie nie bawi! Kto to jest? Przytulił ją mimo protestów.
 - Molly to moja bratowa. Jest żoną mojego brata, Robina. Widzisz więc, że nie masz się o co martwić.
 - Och! - Ulga była tak wielka, że Debbie zachciało się płakać. Tak wielka, że dziewczynie nawet nie przeszło przez myśl, jak bardzo mało wie o rodzinie Louisa.
- Nie zdawała sobie także sprawy, że mówiąc, iż Molly to jego bratowa, Louis powiedział jej tylko pół prawdy.
- Jak dawno mogła sięgnąć pamięcią, Molly była zakochana w Louisie. Urodziła się jako Molly Feraud i wychowywała się z chłopakami rodziny Langlois. Matka Molly, Susan, pomogła Sophii na plaży tego dnia, kiedy urodził się Robin, w efekcie czego obie kobiety zostały wielkimi przyjaciółkami. Regularnie odwiedzały się nawzajem, zabierały dzieci na wspólne pikniki, wycieczki, wakacje i przyjęcia gwiazdkowe. Molly najbardziej w świecie uwielbiała pętać się za chłopakami na swych krótkich, pulchnych

OKO ZA OKO

703

nóżkach, gdy oni uważali ją za okropną zawadę i uciekali od niej, kiedy tylko zdołali. Ściągali tym zawsze na swe głowy gniew Sophii. Za każdym razem, gdy zapłakana Molly wracała do domu i skarżyła się, że ją znów gdzieś zostawili, powtarzała się ta sama scena.

- Jak by się wam podobało, gdyby was ktoś zostawił samych?

- pytała wściekle Sophia.

- Ale to dziewczyna! Nic nie umie! Jest głupia!

- Nie, nie jest głupia. Jest tylko mniejsza od was. A wy mieliście się nią opiekować!

- Ale ona nam przeszkadza. Jak się wspinamy na drzewo, to stoi pod nim i płacze. Jak idziemy na skały, to spada do kałuż, moczy sobie skarpetki, a my mamy kłopoty. To niesprawiedliwe!

- Śprawiedliwe czy nie, macie ją wszędzie brać ze sobą!

- Kuuurczę!

Obaj chłopcy uważali Molly za zawalidrogę, ale to Louis najbardziej cierpiał. Oczekiwano po nim, że jako najstarszy będzie się czuł odpowiedzialny za dziewczynkę, a co gorsza, Molly go uwielbiała. Traktowała go jak bohatera, niemal otaczała czcią, szła za nim wszędzie, czepiała się jego ubrania i nawet

- o zgrozo! - czasami próbowała go pocałować! Louis robił niezłe przedstawienia dla pokazania, jak bardzo go mierzi to zachowanie Molly, ale w głębi duszy był zadowolony. Kiedy otaczała go zniecka grubiutkimi ramionami i przyciskała mu do policzka swe lepkie usta, Louis udawał mdłości, odczuwał jednak wyraźną przyjemność z bycia ustawianym na piedestale. Louis nie umiał wówczas pojąć swych związanych z tym wszystkim emocji, był za młody, by rozpoznać rozkosz posiadania nad kimś władzy. A jednak instynktownie potrafił to wykorzystać. Molly była gotowa zrobić wszystko, cokolwiek by jej rozkazał, wlażaby chyba nawet zupełnie nago w pokrzywy, gdyby taka była jego wola. Louisowi sprawiało przyjemność, że ma taki posłuch, tym

bardziej że nie musiał nawet być wobec Molly miły, by mu służyła jak niewolnica. Kiedyś, gdy się na nią rozzłościł, popchnął ją do jednej z owych kałuż, o których opowiadał matce, i długo się śmiał, gdy dziewczynka siedziała zapłakana w wodzie,

Janet Tanner

w przemoczonej sukience i butach, z bezradnie rozrzuconymi nogami i obtartymi łokciami. Był gotów opowiedzieć Sophii i Susan, że to był wypadek, że poślizgnął się usiłując pomóc Molly na skałach, ale okazało się, że nie musiał. Molly nigdy nikomu nie powiedziała, że ją popchnął, i już nazajutrz była znów tak samo pełna uwielbienia dla Louisa jak zawsze.

W miarę upływu czasu Molly zaczęła nabierać cech kobiecych. Już nie próbowała wszędzie chodzić za chłopakami, ale i tak często była w ich pobliżu, zawsze niedwuznacznie dając do zrozumienia, kto jest jej faworytem. Kiedy jej dziecięca pulchność przeszła w zaokrąglenia, zaczęła je podkreślać odpowiednimi ubraniami, nie przestając jednak być dziewczęcą. Zmieniła fryzurę, układając włosy tak, by jak najbardziej ukazać piękny kształt twarzy, i podkreślała swe wielkie oczy konturówką. Poza tym używała bladoperłowej pomadki do ust i delikatnego lakieru do paznokci. Każdy wiedział, że to wszystko dla Louisa, ale on sam nie zwracał na to uwagi. Jak zawsze.

Aż do czasu, gdy Robin zainteresował się Molly.

Od najmłodszego dzieciństwa pomiędzy Louisem i Robinem panowało ostre współzawodnictwo. Obaj od dawna mieli jakieś kompleksy na swoim tle.

Louis zawsze był tym bardziej rzucającym się w oczy. Miał urok, czar, był przystojny, błyskotliwie inteligentny i pewny siebie w ten dziwny, swobodny sposób, którego nie można naśladować. Znakomicie umiał ukrywać ciemniejsze strony swej natury - próżność, egoizm, bezwzględność, tendencje do okrucieństwa i skłonności do bedonizmu, które tak bardzo psuły jego obraz w późniejszych latach. Jednakże niezależnie od tego, jak bardzo wszyscy do niego Ignęli i zachwycali się nim, Louis zawsze był przekonany, iż w żaden sposób - nigdy - nie będzie umiał zadowolić swego ojca. W przekładzie na normalny język oznaczało to, iż był przekonany, że zawsze znaczył dla Bernarda mniej niż Robin. Ta pewność zżerała go jak rak. Nawet wiele lat

później, gdy już otwarcie sprzeciwiał się ojcu, żywiąc do niego wręcz nienawiść, zawsze jakaś część jego jaźni pragnęła aprobaty i miłości Bernarda.

OKO ZA OKO

509

Robin zaś nigdy nie doceniał faktu, iż był faworytem ojca. Zawsze czuł się w cieniu Louisa, widząc jak Sophia wyróżnia starszego brata i nigdy nie umiał sobie uświadomić, że miało to stanowić rekompensatę za chłód, z jakim Bernard traktuje Louisa.

Sophia zawsze była nadopiekuńcza wobec Louisa i do pewnego stopnia wobec Bernarda. Nigdy nie zapomniała Bernardowi jego wielkoduszności, gdy uznał Louisa za swojego syna i była zdecydowana nigdy nie dopuścić do tego, by pożałował swej decyzji. Jednakże zawsze towarzyszyło temu przewrażliwienie na punkcie uczuć Bernarda wobec chłopca. Znajdowała usprawiedliwienie dla niemal każdego wybryku Louisa, a jeśli Bernard karał chłopaka, Sophia odbierała to prawie jak osobisty atak na siebie. W głębi serca kochała swych synów jednakowo, ale Robin nigdy sobie z tego nie zdawał sprawy. Widział, że na wyczyny Louisa matka patrzy przez palce i że go faworyzuje. David jako najmłodsze dziecko wymagał także zupełnie innego traktowania, więc w efekcie Robin uznał się za może nawet nie niekochanego, ale z pewnością za gorszego w oczach matki. A ponieważ jednocześnie uważał ojcowskie uczucia wobec siebie za naturalne i należne mu z założenia, nie potrafił ich potraktować jako kompensaty.

Ta zażarta rywalizacja między chłopcami - i sekretne dążenie do wyeliminowania się nawzajem - sprawiły, iż Molly została wciągnięta w rozgrywkę jako przedmiot No bo czy Robin kiedykolwiek uznałby ją za tak atrakcyjną, gdyby dziewczyna nie robiła tak otwarcie słodkich oczu do Louisa? Owszem była bardzo ładna, ale nie bardziej niż inne dziewczyny, które spotykał. Właśnie to jej uwielbienie dla Louisa uczyniło ją naprawdę atrakcyjną w oczach Robina. A już dużo później, kiedy Molly - zrażona chłodem Louisa - zwróciła uwagę na Robina,

Louis bez chwili wahania poświęcił jej akurat tyle swego czaru, żeby szybko odzyskać to, co uważał za należne jemu - jej uwielbienie.

Sophia była przerażona, kiedy się zorientowała, co się święci. Znała przecież dobrze efekty, jakie przyniosła podobna rywalizacja pomiędzy jej braćmi i umierała ze strachu na myśl, że historia może się powtórzyć. Nie pocieszały jej zapewnienia Bernarda, że

Janet Tanner

chłopcy sami między sobą rozwiążą ten problem bo pamiętała, że Paul i Nicky nigdy rozwiązania nie znaleźli. Nicky mógłby nadal żyć, gdyby Paul nie ożenił się z Viv, a Sophia była absolutnie pewna, że tragedia Nicka popsuła związek Paula i na zawsze pogrzebała szanse na prawdziwie szczęśliwe małżeństwo z Viv. Drżała na myśl, że coś podobnego mogłoby zajść pomiędzy Louisem a Robinem. Jako matka pragnęła tylko ich szczęścia, a w dodatku czuła się odpowiedzialna za Molly, którą знаła przecież od dziecka i bardzo lubiła. Zdawała sobie sprawę, że dziewczynie nie wyjdzie na zdrowie występowanie w charakterze trofeum wojennego, a jednak powstrzymywała się od ingerowania, by nie zaszkodzić któremuś z nich. Mogła więc tylko żywić nadzieję, że Bernard jest dobrym prorokiem. Bo Bernard przy każdej okazji twierdził, że w końcu każde z tej trójki zakocha się w kimś zupełnie innym i w ten sposób ten dość niezdrowy, pachnący trochę incestem związek rozpadnie się sam.

Niestety, tak się nie stało. Dziwaczny trójkąt bez najmniejszych zmian trwał - Robin wpatrzony w Molly, Molly wpatrzona w Louisa, a Louis wpatrzony w siebie, arogancko robiący z pozostałą dwójką wszystko, na co miał ochotę, aż do chwili, kiedy skończył dwadzieścia jeden lat. Wtedy nastąpił punkt krytyczny konfliktu, co prawda nie dotyczącego ani Molly, ani Robina. Konflikt ten istniał między Louisem a Bernardem.

Narastał już od dłuższego czasu, od kiedy Louis skończył szkołę i poszedł od razu pracować do firmy. Bernard chciał, by Louis najpierw skończył college, lecz chłopak - mimo że błyskotliwy - był leniem i fatalnym uczniem. Nie miał też najmniejszej ochoty studiować ani chwili dłużej.

Chciał już, natychmiast, zająć się poważniejszymi sprawami - robieniem pieniędzy.

Zrozumiawszy, że Louis nie da się przekonać, Bernard wziął go do firmy, ale uprzedził, że będzie musiał ciężko zapracować na swoją pozycję w firmie, i to ciągle się ucząc.

Louis jednak miał własne poglądy zarówno na to, jak powinno się prowadzić firmę, jak i na własne losy, więc spięcia zaczęły się niemal natychmiast. Sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej,

OKO ZA OKO

511

kiedy w następnym roku Robin, który nie miał najmniejszego zamiaru pozostawać w tyle, również odmówił pójścia na studia i natychmiast podjął pracę w firmie. Jednakże pomiędzy obu chłopakami była ogromna różnica. Louis chciał z marszu wymusić wcielanie swych pomysłów w życie w przedsiębiorstwie, a Robin pragnął się najpierw wszystkiego nauczyć. Bernard nie mógł nie robić porównań, więc wkrótce życie rodzinne składało się niemal wyłącznie z kłótni. Wszystko stanęło na ostrzu noża wkrótce potem, jak Louis skończył dwadzieścia jeden lat. Odbyla się wówczas awantura z piorunami, Louis porzucił rodzinny biznes w przekonaniu, iż ojciec bezkrytycznie faworyzuje Robina, wyjechał z Jersey i zbudował sobie nowe życie w Londynie.

W tej samej chwili, kiedy Louis zniknął z widoku, Robin wystartował w kierunku Molly. Była zraniona, urażona i bezbronna, a przy tym dyszała żądzą pokazania Louisowi, że potrafi bez niego żyć i znaleźć uznanie w oczach innego. Robin nie tracił czasu. Wkrótce już Molly nosiła na palcu zaręczynowy pierścionek Robina, a data ślubu była ustalona.

- Poczekajcie trochę! - błagała ich Sophia. - Jesteście jeszcze tacy młodzi!

Nie byli w nastroju do czekania.

Louis przyjechał na ślub, choć Robin wybrał Davida na drużbę, a Sophia w napięciu wpatrywała się w Molly. Bała się jakiegoś incydentu, który potwierdzi, iż dziewczyna nadal jest zakochana w Louisie.

Ku jej uldze Molly nie patrzyła na boki, prześlizgnęła się spojrzeniem po twarzy Louisa, jakby go tam w ogóle nie było, i stanęła u boku Robina przed ołtarzem. Sophia doszła do wniosku, że

może jednak wszystko się ułoży. Robin i Molly wyglądali razem tak świetnie, jakby zawsze tak właśnie miało być.

I z początku rzeczywiście wszystko było dobrze. Louis wrócił do swojego życia w Londynie, gdzie w jedyny w swoim rodzaju sposób robił pieniądze, a Robin i Molly prowadzili małżeńskie życie. Dziesięć miesięcy po ślubie urodziła się Juliet.

- To za wcześnie - powiedziała Sophia, kiedy się dowiedziała

Janet Tanner

0 ciąży Molly. Kiedy jednak zobaczyła dziecko, zmieniła zdanie. Juliet była prześliczna, była najwspanialszą wnuczką, jaką można było sobie wyobrazić, więc Sophia doszła do wniosku, że dziecko scementuje to małżeństwo. Molly sprawiała wrażenie szczęśliwej, choć pod wieloma względami sama jeszcze była dzieckiem.

Sophia miała nadzieję, że dzięki Juliet Molly zapomni na zawsze o swych skłonnościach do Louisa. Myliła się jednak. Po tragicznej i niespodziewanej śmierci Bernarda, kiedy udział w firmie podzielono między trzech braci, Louis wrócił. Wrócił, i wszystko zaczęło się od nowa.

Dla Louisa fakt, iż Molly była żoną jego brata, stanowił wyzwanie. Molly natomiast, tak beznadziejnie pod jego urokiem jak jeszcze nigdy, nie miała siły odrzucić jego awansów. Często się zastanawiała, co takiego jest w Louisie, że nie mogła mu się oprzeć? Nie chciała być niewierna Robinowi, nie chciała zdradzać swego dziecka. A jednak Louis burzył jej linie obronne jeszcze łatwiej niż kiedyś. Wystarczyło jedno spojrzenie jego chłodnych niebieskich oczu, a już miękły jej kolana. Wystarczyło jedno dotknięcie, a cała płonęła pragnieniem. Spotykała się z nim potajemnie, kochała się z nim, a poczucie niebezpieczeństwa tylko przydawało temu wszystkiemu pieprzyku, choć później, kiedy się rozstawali, Molly miała ochotę płakać ze wstydu. Wiedziała, że Louis się nią tylko bawi, ale w niczym nie zmieniał to postaci rzeczy. Był dla niej jak silny narkotyk, a ona była uzależniona. I nie pomagała nienawiść do siebie samej, nie powstrzymywało jej także realne zagrożenie zniszczenia wszystkiego wokół.

A Louis, krążący między dwoma światami, doskonale już wiedział, co to takiego władza i umiejętność manipulowania. Wiedział i umiał z tego korzystać - sprawiało mu to olbrzymią przyjemność. Molly nie była mu potrzebna ani trochę bardziej niż Debbie - obie służyły wyłącznie do zaspokajania doraźnych potrzeb fizycznych i niebywale rozbudowanego ego.

Jedyna różnica między tymi dwiema kobietami polegała na tym, że Molly знаła prawdę, a Debbie nie.

Rozdział trzydziesty trzeci

Chcę, żebyś pojechała ze mną na Jersey, Kociaku - powiedział Louis.

Debbie ogarnęła ogromna fala radości.

Była już zima, choć pogoda utrzymywała się raczej jesienna, a kolorowe liście pozostawały na drzewach o wiele dłużej niż zwykle, i coraz krótsze dni pogłębiały w Debbie poczucie samotności.

Poprzedniej zimy Louis był w domu niemal cały czas, a ona czuła się wręcz unurzana w miłości, była zachwycona swoją obecną sytuacją i nawet ośmielała się robić plany. Wówczas pierwszy raz w życiu miała takie cudowne uczucie pewności jutra. Teraz jednak znowu żyła w niepewności i tęsknocie, wciąż spędzając czas na oczekiwaniu na powrót do domu ukochanego. Co gorsza - choć właściwie Debbie niespecjalnie się tym przejęła -jej praca w charakterze modelki dobiegła już końca. Wyjaśniono jej, że teraz wymogiem chwili jest bardziej agresywny wygląd, a ona przyjęła to bez mrugnięcia okiem. Wiedziała, że w modzie trendy zmieniają się co chwila. Poza tym dla niej ważne było tylko przebywanie z Louisem, a ponieważ bywał teraz poza domem dłużej niż kiedykolwiek, jej nastrój coraz bardziej się pogarszał.

Wiele razy zastanawiała się, dlaczego ją zostawia samą w Londynie, skoro ją kocha. Dlaczego jej nie zabiera ze sobą?

Janet Tanner

Ale kiedy go o to pytała, zawsze miał na podorędziu jakaś wymówkę. Najlepsza z nich brzmiała mniej więcej tak:

- Kociaku, po prostu lubię, jak jesteś w domu i na mnie czekasz. Interesy to jedno, a przyjemność drugie. Nie wolno ich mieszać. A kiedy kończę już interesy, chcę mieć możliwość odprężenia się w domu, zamknięcia drzwi przed zewnętrznym światem.

To wyjaśnienie brzmiało bardzo sensownie, ale Louis - jeśli chciał - potrafił sprawić, by wszystko, co mówi, brzmiało sensownie. Po jego wyjściu jednak Debbie natychmiast znów czuła, że ogarniają ją wątpliwości.

Grace nie była jej wielką pomocą w takich sytuacjach. Murzynka, choć bardzo zabawna, potrafiła zachowywać się ogromnie egocentrycznie i często nie brała w ogóle pod uwagę rozmowy na tematy nie związane bezpośrednio z nią. Mamrotała wówczas tylko coś o przewrażliwieniu Debbie i zmieniała temat. Debbie pozostawało więc tylko gryźć się w samotności z myślami i żywić nadzieję, że wszystko się zmieni kiedy Louis następnym razem wróci do domu. Gdy pewnego razu powiedział jej, że chce, by z nim pojechała na Jersey, uznała, że jej modlitwy zostały wysłuchane.

- Kiedy? - spytała uszczęśliwiona i pełna zapału.

- W tej chwili jeszcze nie wiem. Powiem ci później.

- Dobrze. - Debbie była bardzo podniecona, ale nie zadawała już więcej pytań. Louis potrafił być bardzo drażliwy w takich sprawach.

Zadowolila się więc samą myślą, że Louis zabierze ją na Jersey, co przynajmniej oznaczało, że dostała pozwolenie na wejście do tamtej części jego życia. Będąc na Jersey będzie musiał przedstawić ją swojej rodzinie, a może nawet ją poprosi, żeby za niego wyszła za mąż. Jak by nie było, uznała że ich związek wkracza w nową, o wiele bardziej satysfakcjonującą fazę.

Nie mogła bardziej się mylić.

Kilka dni później wydarzyło się coś okropnego. Słyszac dzwonek do drzwi, Debbie otworzyła i stanęła oko w oko z przedziwnym mężczyzną - wielkie lysiejące chłopisko o twarzy,

OKO ZA OKO

714

która widziała niejedną bójkę. Mimo że miał na sobie bardzo drogą, skórzaną kurtkę, przypominał jej wykidajkę z podrzędnej knajpy. Instynktownie cofnęła się o krok.

- Szukam Louisa Langlois - powiedział ciężkim akcentem East Endu.

- Nie ma go. Jest na Jersey.

- Na pewno? - Mężczyzna wyglądał, jakby miał zaraz wejść siłą. Debbie stawiała mu czoło.

- Oczywiście.

- Hnimm - zamyślił się. - Jak pani myślisz, kiedy wróci?

- Nie wiem. - Olbrzym nie sprawiał wrażenia przekonanego, więc powtórzyła z naciskiem: -

Naprawdę nie wiem.

- To pani mu przekaze wiadomość, no nie? Pani mu powie, że George chce swoje pieniądze. A jak nie dostanie, to będą kłopoty.

- Kto to jest George? Jakie pieniądze?

- On wie. Jak szybko nie zapłaci, to ja tu znowuż wrócę, nie? Ale wtedy będę z kumplami. Pani mu powie, dobra?

Przejechał ogromną, mięsistą dłonią po niebieskiej od zarostu szczęce. Debbie nie była pewna, czy na jego palcach dostrzegła pierścienie, czy kastet.

- Powtórzę mu - powiedziała, zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie. Była naprawdę przerażona.

Zanim Louis zatelefonował, minął tydzień. Debbie przez ten czas nie ruszała się z domu, a drzwi zabezpieczyła łańcuchem i nigdy dotąd nie używaną sztabą. Drżała za każdym razem, kiedy w uliczkę skręcał jakiś samochód i chowała się za zasłonami udając, że nikogo nie ma w domu. Nie

reagowała na kilkakrotne dzwonki do drzwi. Stale zachodziła w głowę, gdzie może być Louis i dlaczego się nie odzywa. Zastanawiała się, czy do niego nie zadzwonić, ale ponieważ kategorycznie jej tego zabronił, po prostu czekała, umierając ze strachu.

516

Janet Tanner

Wreszcie telefon zadzwonił - i to był Louis.

- Louis, tak się cieszę, że cię słyszę! - Usłyszawszy jego głos omal się nie rozplakała ze szczęścia. - Tak się martwiłam!

- Dlaczego? Co się stało, Kociaku?

- Był tutaj pewien człowiek - okropny, naprawdę! Powiedział, że przychodzi od jakiegoś George'a i że jesteś mu winien pieniądze. Powiedział, że jak szybko ich nie dostanie, to wróci. On mnie przeraził, Louis!

- Kociaku, uspokój się.

- Ale...

- Nie martw się tym.- Zostaw to mnie. Ja to załatwię. Nie otwieraj drzwi i tyle, *okay!*

- Nie mam najmniejszego zamiaru. Ale o czym on mówił? Jakie pieniądze?

- Interesy, Kociaku! George i ja robiliśmy razem interesy, tyle że on jest niecierpliwy. Teraz słuchaj. Pamiętasz, mówiłem ci, że chcę, żebyś przyjechała na Jersey?

- Tak!

- Dasz radę przylecieć jutro?

- Oczywiście! - Serce waliło jej jak młotem, a radość rozsadzała płuca. - O której?

- Sama będziesz musiała sprawdzić. Zadzwon do mojej agencji podróży - numer telefonu jest w moim notesie na biurku. Jak przyjedziesz na Jersey, weź taksówkę i jedź do hotelu Pomme d'Or w St Helier. Tam się z tobą skontaktuję.

- Louis...

- Nie mam teraz czasu, Kociaku. Do jutra!

W słuchawce kliknęło i połączenie zostało przerwane. Debbie stała ze słuchawką w ręce; w jej ufnych turkusowych oczach malował się wyraz niepewności.

Nigdy dotąd nie słyszała od Louisa nazwy Pomme d'Or, choć znała nazwy wszystkich hoteli rodu Langlois. Nie było wśród nich Pomme d'Or. Dziwne. Ale już jutro będzie znowu z Louistem. On jej wszystko wyjaśni. Odkładając słuchawkę, Debbie uśmiechała się z ulgą.

OKO ZA OKO

717

Cieszę się, Debbie - powiedziała Grace. - Louis ostatnio traktował cię okropnie.

Dziewczęta siedziały w głębokich skórzanych fotelach - jedynym luksusowym wyposażeniu domu w Londynie - i piły szampana. Po rozmowie z Louistem i zarezerwowaniu biletu na samolot Debbie zadzwoniła do Grace, powiedziała, że wyjeżdża, być może na dłużej i zaproponowała wspólny cichy wieczór.

- Nie, tak naprawdę to nie mogę narzekać na traktowanie

- zaproponowała Debbie. Jak zawsze, niezależnie od wszystkiego, stawała w obronie Louisa.

- Oczywiście, że tak! Nie broń go! Już myślałam, że dzieje się coś naprawdę dziwnego, szczególnie kiedy odwiedził cię ten goryl. Szczerze mówiąc, byłam pewna, że Louis po prostu gdzieś zwiął.

- Och, Grace, jak możesz! On jest przecież tak zapracowany, że nie pomyślał...

- Już ja bym go skłoniła, żeby pomyślał! - parsknęła Grace.

- Gdyby Valentine spróbował mnie tak potraktować... Valentine, ten utytułowany gentleman, był wciąż miłością

życia Grace. Skończył się krótki czas na rozmowę o czymś, co jej nie dotyczyło. Grace powróciła do wynurzeń na temat swojego życia.

Kolejny raz Debbie obeszła pokój w hotelu Pomme d'Or, odchyliła firankę i wyjrzała na ulicę.

Była coraz bardziej zdenerwowana. Siedziała w tym pokoju już od czterech godzin i jeszcze nie miała żadnych wiadomości od Louisa. Była głodna i miała wielką ochotę na drinka, ale bała się wyjść z pokoju na wypadek, gdyby właśnie wtedy zadzwonił. Bardziej niż kiedykolwiek

potrzebowała teraz brzmienia jego głosu, żeby uspokoił ten narastający z minuty na minutę niepokój, jakieś nieokreślone złe przeczucie.

Gdzież on jest? Dlaczego się nie odzywa? I dlaczego właściwie jestem w Pomme d'Or? Te pytania krążyły jej po głowie,

Janet Tanner

wiedziała, że jeszcze trochę, a zacznie je wykrzykiwać na głos. Z ulotki na stole dowiedziała się, że miała rację - Pomme d'Or nie jest hotelem rodu Langlois. Dlaczego więc Louis kazał jej zameldować się właśnie tu? Z pewnością dużo bardziej sensowne byłoby skorzystanie z jednego z własnych hoteli, skoro nie może lub nie chce zabrać jej do domu. Coś tutaj nie pasowało do siebie. Jeśli Louis ma zamiar przedstawić mnie rodzinie, myślała, i sprowadzić na stałe na Jersey, to wybrał szczególny sposób. Wygląda to tak, jakby chciał mnie usunąć z widoku, żeby nikt nie wiedział, gdzie jestem.

Ale dlaczego poprosił ją, żeby tu przyjechała? Ponieważ pierwszy raz wspomniał o tym wyjeździe przeszło tydzień wcześniej, to z pewnością nie była to kwestia naglej tęsknoty za nią. A skoro tak, to dlaczego jeszcze tu się nie pojawił?

Debbie zagotowała wodę w czajniku w przylegającej do pokoju kuchence. Chciała jeszcze raz zrobić sobie kawy. Ze złością zauważyła jednak, że zużyła już wszystkie porcje, albo więc będzie musiała zadzwonić po dodatkowe, albo napić się herbaty, której nie cierpiała. Zerknęła na zegarek, zastanawiając się, czy bar już jest otwarty i czy może zamówić telefonicznie gin z tomkiem. Podniosła słuchawkę; w tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Skoczyła do klamki. Jeszcze nim otwarła drzwi, wiedziała instynktownie, że to on.

- Louis!

Rzuciła mu się w objęcia i wtuliła się w jego silne ramiona. Louis był w czarnych spodniach, skórzanej kurtce i niedbale rozpiętej pod szyją koszuli.

- Może byś mnie wpuściła, co? - W jego głosie zabrzmiała jakaś niecierpliwość.

Och, Louis, myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz! Naprawdę się już martwiłam!

- A dlaczego miałbym nie przyjść?

- Nie wiem. - Nagle wszystkie jej lęki wydawały się takie głupie! - Tak bardzo tęskniłam...

Trzymając go za rękę, Debbie bezwiednie prowadziła go do

OKO ZA OKO

720

łóżka, ale Louis nie wykazywał żadnych chęci. Wydawał się czymś niezwykle zaaferowany.

- Louis, co się stało?

- O co ci chodzi, Kociaku?

- Nie wiem. Ale jesteś jakiś... - Urwała, bo nagle schwycił ją w ramiona, mocno pocałował i zaczął rozpinąć jej bluzkę i suwak w dżinsach. Przesunął dłonią po jej piersiach, plecach i płaskim brzuchu, zatrzymując się dopiero na miękkiej kępcie włosów między nogami. Debbie błyskawicznie zapomniała

o swych lękach i przeczuciach. Kiedy Louis ją pieścił, nie umiała myśleć o niczym innym. Robił to tak wspaniale! Jeszcze nim ją rozebrał do końca, dziewczyna pragnęła go tak silnie, że miała ochotę krzyczeć. Dopiero wtedy zrzucił sam ubranie

1 pokochał ją tak silnie i brutalnie, że aż wrzeszczała. Potem pokochali się jeszcze raz, ale spokojnie i delikatnie, pod prysznicem. Jednak kiedy skończyli, odsunął się od niej niemal bezosobowo, w tak chłodny sposób, że wszystkie poprzednie uczucia powróciły ze zdwojoną siłą. Stojąc tyłem do niej Louis spokojnie się wytarł, po czym bez choćby jednego spojrzenia w jej stronę wciągnął spodnie i zaczął zakładać koszulę.

- Może byś coś na siebie założyła, Kociaku, co?

Wciąż mokra i zupełnie naga podbiegła do niego i zarzuciła mu rękę na szyję. Jej włosy naznaczyły mu koszulę mokrą plamą.

- Na miłość boską, Kociaku, jesteś niezdolna! Daj mi szansę! Było już dwa razy - jeszcze ci mało?

Miała ochotę odpowiedzieć, że mało, że chce, by się zachowywał, jakby ją kochał. Ale wiedziała, że nie może.

- Poza tym moczysz mi koszulę. - Odsunął ją od siebie z takim chłodem, że dziewczyna straciła całą pewność siebie. - Słuchaj, Kocie, chcę z tobą pogadać. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. To brzmiało już lepiej. Choć niewiele...
- Co?
- Pamiętasz, jak mi opowiedziałś historię o Franku de Val?

Janet Tanner

- Frank de Val? - Debbie zmarszczyła czoło.

- Daj spokój, musisz przecież pamiętać! To senator z Jersey. Opowiadałaś mi o jego perwersjach i jak go spotkałaś na jednej z orgii u Simona Cnambersa.

- A, ten. Ale nie mów „na jednej z orgii u Simona Cnambersa”. Byłam tam tylko raz i to przez pomyłkę. Wysłałam natychmiast, mówiłam ci przecież.

- Ale widziałaś Franka de Val?

- Tak. A dlaczego o to pytasz?

- Bo może ta orgia okaże się najbardziej dochodową imprezą, na jakiej w życiu byłaś.

- Nie rozumiem.

- Słuchaj! - rzucił Louis, wycierając włosy i przeczesując je grzebieniem. - Mam plany rozszerzenia działalności naszej firmy

0 prawdziwe nocne życie. Problem w tym, że tutejsze prawo jest archaiczne. Nie pozwala na hazard na wyspie ociekającej forszą! Wyobrażasz sobie? A żeby doprowadzić do zmiany prawa, trzeba trzęsienia ziemi. Albo... przyjaciela we wrogim obozie. Mam teraz takiego przyjaciela.

Frank de Val.

- Nadal nic nie rozumiem.

- Debbie, rusz mózgiem! Z pewnością Frank da się przekonać do przejścia na moją stronę.

-Jak?

- Frank to bardzo szanowany człowiek. Musi pilnować swojej reputacji. I nie chciałby, żeby wyszło na jaw, że w wolnym czasie lubi przechadzać się nago, ubrany tylko w fartuszek, pończochy

1 buty na szpilkach.

- Masz na myśli... szantaż? - Debbie była wstrząśnięta.

- Brzydkie słowo. Ale nie ma sensu bawić się w eufemizmy. Szantaż czy perswazja, nieważne. Na jedno wychodzi. Ja będę miał pomoc w dążeniach do zmiany prawa, a Frank zachowa swój sekrecik.

Na twarzy Debbie, owiniętej ręcznikiem jak sarongiem, malowało się osłupienie. Nie uważała swego życia za wzór do naśladowania, ale miała silne poczucie dobra i zła. A to, co

OKO ZA OKO

723

proponował Louis, zdecydowanie było złe. Nie знаła osobiście Franka de Val i nie miała powodów, by go bronić, ale pomysł użycia takich środków do rozpoczęcia procesu zmiany prawa wydawał się jej zarówno niemoralny, jak obrzydliwy.

- Uważam to za najbardziej ohydną rzecz, jaką słyszałam w życiu! - powiedziała powoli.

- Naprawdę? - Oczy Louisa przypominały kawałki niebieskiego lodu. - A nie uważasz za ohydne, że senator, człowiek

o ogromnej odpowiedzialności i obowiązkach, zachowuje się w taki sposób?

- Nie. Widywałam już gorsze rzeczy. To nie moja sprawa. Skoro nikomu nie robi krzywdy, a sprawia mu to przyjemność... Cóż w tym złego?

- Ciekawe, co by na to powiedział elektorat na Jersey? Zresztą jakikolwiek elektorat. A na tej wyspie jest największy odsetek hipokrytów na świecie. - Roześmiał się nagle. - Ciekawe na przykład, co by powiedzieli, gdyby się dowiedzieli, że moim ojcem był Niemiec? Wiesz, om* nienawidzą Niemców. Przez okupację.

Debbie zamrugła, zupełnie rozkojarzona.

- Twój ojciec? Przecież twoim ojcem był Bernard Langlois!

- Nie. Moim ojcem był Niemiec, żołnierz sił okupacyjnych. Moja matka nawet nie wie który. Tyle mi przynajmniej powiedziała. Świetne, co? To by był dopiero skandal, gdyby się kiedyś

wydało! Ale szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi. I tak mnie tu nie lubią. Jestem jak na nich zbyt radykalny. Nie mam więc nic do stracenia. W przeciwieństwie do niektórych...

- Louis!

Wstał i złapał ją za ramiona.

- Posłuchaj mnie, Kociaku. Potrzebuję pomocy Franka de Val

1 dostanę ją. Mógłbym mu sam opowiedzieć wszystko, co wiem. Wystarczyłoby, żebym mu opisał jego strój. Ale nie jestem zupełnie pewny, a potrzebuję uderzenia, on musi dostać obuchem w głowę! Ty będziesz tym uderzeniem. Jadę teraz do domu, przebiorę się i pojedziemy razem do Franka.

Janet Tanner

- **Och, Louis, on mnie przecież nie będzie pamiętał! Byłam tam ledwie kilka minut!**
- **To, czy cię pamięta, nie ma znaczenia - odparł Louis. - Wystarczy, że zobaczy ten typ dziewczyny, który mógł tam być.**
- **Co to znaczy „ten typ dziewczyny”? - spytała ze złością Debbie.**
- **Panienkę z kabaretu.**
- **Nie jestem panienką z kabaretu!**
- **No więc modelkę. Nie dzielmy włosa na czworo. Zobaczy cię i będzie wiedział, że nie blefuję. Sądzę, że pan Frank de Val będzie skłonny do współpracy.**
- **Louis, ja wcale nie wiem, czy mam ochotę to zrobić. Nie podoba mi się to.**
- **Więc nie chcesz mi pomóc?**
- **Nie o to chodzi. Tylko... - Bezskutecznie szukała słów, aby wyjaśnić mu, jak bardzo odrażająca wydaje jej się choćby sugestia, żeby zrobić coś takiego. - To nieelegancko - powiedziała wreszcie zupełnie coś innego, niż chciała.**
- **Interesy nie zawsze są eleganckie - odrzekł, po czym zamruczał niemal przymilnie: - Nic nawet nie musisz robić. Tylko być. To ja będę mówił. A teraz słuchaj...**
- **Nie, Louis, nie mogę. Nie podoba mi się to.**
- **Jego oczy strzeliły nagle zimnym, niebieskim ogniem. Przez sekundę Debbie myślała, że Louis ją uderzy. Potem się odwrócił.**
- **Nie to nie. Myślałem, że przynajmniej ty mi pomożesz. W końcu to i dla ciebie.**
- **Nie mogę.**
- **Myślałem, że ci się podoba dom w Londynie. Myślałem, że chcesz tam dalej mieszkać. Debbie zamarła. Co on powiedział? Co to miało znaczyć? Louis podszedł do okna, oparł się dłońmi na parapecie i zastygł. Wyglądał nagle bezbronne.**

- Myślałem, że już zrozumiałaś, Kociaku. Mam poważne kłopoty finansowe. Ludzie są mi winni kupę pieniędzy, ale nie dostanę ich szybko, a sam też mam długi. Człowiek, który mi

OKO ZA OKO

523

pożyczył pieniądze, zaczyna się niecierpliwić. To nie jest ktoś, z kim można sobie pogrywać. Myślałem, że już się zorientowałaś. Debbie zadrżała.

- Ten mężczyzna, który przyszedł do domu... To był...

- Jeden z jego osiłków, tak. Szczerze mówiąc nie będziesz tam bezpieczna, jeśli George wyśle ekipę. Nie obchodzi ich, kogo biją. Jeżeli nie popchnę tu spraw i szybko nie zorganizuję pieniędzy, to będę musiał sprzedać dom w Londynie. Nie stać mnie na niego. Tak więc, Kociaku, wszystko w twoich rękach.

Debbie z trudem przelknęła ślinę.

- A dlaczego nie sprzedasz domu? Przecież już tam prawie nie bywasz. Mogłabym się tu z tobą przeprowadzić.

- Nie. Nie teraz. - Dostrzegł w jej oczach rozpacz, więc ciągnął szybko: - Mieszkam w La Grange z matką. Nie podobałoby ci się tam. Ona umie być nie do wytrzymania. A nie tego chcę dla mojego Kociaka. Inaczej by było, gdybym miał trochę pieniędzy. Mógłbym kupić sobie własny dom, przenieść cię tam, może nawet się z tobą ożenić... Gdybym tylko mógł rozszerzyć ofertę hotelową...

Ale Debbie już nie słuchała. W podnieceni przepuściła wszystkie szczegóły sytuacji finansowej hoteli i listę korzyści, jakie można by wyciągnąć ze zmiany prawa. Magiczne słowa zostały wypowiedziane i nie liczyło się nic więcej.

W tej chwili Debbie poszłaby dla Louisa na koniec świata, a on o tym wiedział.

Rozdział trzydziesty czwarty

W porównaniu z lokalem Benny'ego Jersey Lily Night Club był spokojnym i statecznym miejscem, nieco przyblakłym i teraz, po sezonie, opustoszałym. W szczycie sezonu z pewnością bardzo trudno było o stolik, ale tego wieczoru, kiedy na dworze wiał listopadowy wiatr, klub był niemal zupełnie pusty.

Louis wyjaśnił Debbie, że nie tylko listopad jest winny tej pustce. W St Helier odbywała się właśnie jakaś gala, uroczyste przyjęcie, na którym byli niemal wszyscy ci wyspiarze, którzy normalnie popijaliby teraz w Jersey Lily. Louis nie powiedział Debbie tylko jednego - że na tamtym przyjęciu jest również jego matka. Ale taką miał zasadę - im mniej się mówi o swojej rodzinie, tym lepiej.

Poprowadził Debbie do baru, gdzie na wysokim stołku siedział smagły mężczyzna w czarnym smokingu i palił cygaro.

- Cześć, Raife - rzucił Louis. - Przyprowadziłem kogoś. Tę młodą damę, o której ci mówiłem. Mężczyzna obrócił się na stołku, a jego ciemne oczy niemal znikły w dymie cygara. Debbie nieco się spieszyła pod wpływem intensywności jego spojrzenia, ale nie dała tego po sobie poznać. W końcu była przyzwyczajona do tego, że mężczyźni na nią patrzą. Uniosła więc tylko twarz i uśmiechnęła się do niego.

- Czy ona jest tym, o kim myślę? - spytał Raife Louisa, kompletnie ignorując dziewczynę.

OKO ZA OKO

525

- Tak. To Debbie, moja przyjaciółka z Londynu.

Debbie poczuła się nieco zawiedziona tym wprowadzeniem. Uznała, że Louis mógłby powiedzieć coś bardziej osobistego.

Wzrok smagłego mężczyzny powrócił do dziewczyny, spokojnie oceniając włosy, figurę, nogi. Kolejny raz Debbie aż zadrżała pod tym wzrokiem i mimowolnie zaczęła się zastanawiać, czy

nie wystaje jej brzuch, który niezależnie od jej szczupłości po jedzeniu zawsze się uwydatniał. Kiedy pracowała w klubie, powstrzymywała się od jedzenia aż do końca godzin pracy. Tego wieczoru jednak była tak głodna, że najpierw - korzystając z wolnego czasu, gdy Louis pojechał się przebrać - zamówiła sobie do pokoju dwie kanapki, a po powrocie Louisa poszła z nim do restauracji i zjadła jeszcze stek z grzybami, sałatę i frytki.

Skończywszy inspekcję Raife odwrócił się do baru, zgasił cygaro i sięgnął po drinka.

- No cóż, Louis, nie sądziłem, że posuniesz się tak daleko. Louis uśmiechnął się w odpowiedzi, ale był to dziwny uśmiech.

Gdyby Debbie nie była w nim zakochana, określiłaby go jako wyszczerzenie zębów.

- Dobrze wiesz, jaki mam stosunek do naszego projektu. I jestem gotów zrobić wszystko, co konieczne, by go rozpocząć.

Raife najwyraźniej nie pałał entuzjazmem do zamiarów Louisa. Odezwał się chłodno:

- Chodźmy pogadać do mojego biura. Weźmy tylko drinki. Co pijecie?

- Dla Debbie gin z tomkiem, ja jak zwykle.

- Dwie podwójne whisky i gin z tomkiem - powiedział Raife do barmana. - Nie wbijaj tego w kasę. Potem ureguluję.

Ze szklanką w dłoni Debbie czuła się raźniej. Poszła za mężczyznomi długim, ciemnym korytarzem do pomieszczenia, które musiało być biurem Raife'a. Zamknął drzwi, obszedł swe biurko i opadł na wielki skórzany fotel. Poczęstował Louisa cygarem i sam zapalił. Louis przysiadł na krawędzi biurka, a Debbie postukując wysokimi obcasami podeszła do ściany i zaczęła oglądać fotosy. Na niektórych ze zdjęć widać było

Janet Tanner

Raife'a z gośćmi klubu, inne przedstawiały najwyraźniej gwiazdy występujące w Jersey Lily. Choć Debbie nikogo nie rozpoznała, wołała już oglądać fotografie, niż słuchać rozmowy Louisa z Raifem. Debbie nadal nie była zachwycona planem Louisa, a z tonu rozmowy wynikało, że Raife'owi również się nie podobał.

- Dlaczego musimy jeszcze kogoś w to wciągać? - spytała Debbie Louisa, kiedy jej powiedział, że zabiera ją do Jersey Lily na spotkanie z Raifem. Louis wyjaśnił jej wówczas, że Raife to jego partner w interesach i przyjaciel. Jednak teraz, wsłuchując się w coraz bardziej podniesione głosy rozmówców, doszła do wniosku, że Louis i Raife niedługo już będą partnerami i przyjaciółmi.

Wzdrygnęła się, popiła nieco ginu i jeszcze bardziej skoncentrowała się na fotosach, lecz nie była już w stanie odciąć się od gniewnych wypowiedzi.

- Jak, do cholery, wyobrażasz sobie odniesienie sukcesu w czymkolwiek, jeśli nie chcesz wejść w coś takiego? - pytał wściekle Louis.

- To jest mała wyspa, kolego. A ty chcesz igrać z ogniem. Jeśli coś się pochrzani...

- Co niby ma się pochrzanić?

- Cokolwiek. Może de Val będzie wolał, żeby wszystko wyszło na jaw, byle uniknąć szantażu?

- Nie on. Ma za dużo do stracenia.

- Ja też. A jeśli cię zakapuje, albo choćby piśnie przed swoimi przyjaciółmi, co chcesz zrobić, będziesz skończony na Jersey - i ja też. Twoja sprawa, Louis, co zrobisz. Ale mnie w to nie pakuj. Mam dobry klub.

- Nazywasz to dobrym klubem? Na całej wyspie masz ledwie paru klientów!

- Jakoś zarabiam na chleb. W sezonie...

- Dla mnie to nie są zarobki!

- Ty masz wielkie plany, Louis. Zawsze miałeś. Ale, na miłość boską, daj sobie spokój z tym planem, bo nas obu wykończysz!

OKO ZA OKO

731

- Raife! Mam tu dynamit, który mogę wsadzić de Valowi w tyłek!

- I przy okazji wysadzisz w powietrze również nas. Mało ci jeszcze smrodów w życiu?

- A co to ma znaczyć, do cholery?!

- Na dzień dobry posuwanie własnej bratowej. Któregoś dnia twój brat dowie się, co wyprawiasz - o ile jeszcze się nie dowiedział.

Zapadło ciężkie milczenie. Debbie zaczęła dygotać, jakby gin przyprawił ją o mdłości. Nie, to niemożliwe. Musiała źle usłyszeć. Ale przez te kilka sekund ciszy przypomniała sobie rozmowę telefoniczną i głos tej kobiety, słodki, niemal dziecięcy, proszący do telefonu Louisa. „Proszę powtórzyć, że dzwoniła Molly.” „Kto to jest Molly, Louis?” „Och, Molly to moja bratowa.” A teraz ten mężczyzna, Raife, oskarżył Louisa o „posuwanie własnej bratowej”!

O Boże, pomyślała Debbie. To dlatego tak rzadko teraz przyjeżdża do Londynu. Ma romans ze swoją bratową, Molly! Kimkolwiek jest!

Przez dzwonięcie w uszach usłyszała przebijający głos Louisa, niski i niebezpieczny:

- Czy to ma być groźba, Raife?

- Może...

- Ty skurwielu!

- Wet za wet. Ty posuwasz się do szantażu wbrew moim życzeniom, to i ja też. Nie dam się w to wciągnąć, Louis. A jak to ruszysz, to będę wplątany. Ja cenię swój interes. Ty nie. Ja cholernie ciężko pracowałem, żeby się tego dorobić. Nie mam ochoty zostać z gołą dupą, bo tobie się zachciało więcej forsy!

Louis zaśmiał się cicho. To był najbardziej mrozący krew w żyłach dźwięk, jaki Debbie słyszała w życiu.

- A niby jak masz zamiar mnie powstrzymać? Myślisz, że się przestraszę? Jeśli myślisz, że możesz mi grozić takimi pierdołami, to pomyliłeś adres. Gówno mnie obchodzi, kto wie o mnie i Molly. Ją może to obchodzić, Robina pewnie też. Ale mnie za

Janet Tanner

cholere nie. A jeśli nie masz ochoty wejść w największy interes w historii wyspy, to twoja strata. Ja ruszam. A ty, koleś, możesz się pieprzyć!

Z trzaskiem odstawił swoją szklankę na blat biurka, złapał Debbie za nadgarstek i powłókł ją za sobą w ciemny korytarz. Rozdygotana i zaszokowana bezwolnie dreptała za nim. Przeszli obok grupki pracowników klubu, którzy dosłyszeli podniesione głosy i podsłuchiwali, i wyszli na dwór. Wiatr wiał już dość mocno. Debbie się potknęła.

- Louis! Zaczekaj! - załkała.

Zatrzymał się i odczekał, aż wyciągnęła obcas z kratki, w której utknął, lecz mimo ciemności Debbie wyczuwała jego furię.

- Co jest z tobą, do ciężkiej cholery!

Nie umiała odpowiedzieć, nie umiała go spytać, czy to prawda

o jego romansie z ową nieznaną Molly. Właściwie nie musiała.

1 tak znalazła odpowiedź. Odpowiedź, która rozrywała jej duszę. Ale Debbie nie umiała powiedzieć o tym Louisowi. Nie umiała nawet jeszcze płakać.

- Chodź już, ty durna dziwko! Właź do samochodu! Debbie pozostało tylko wykonywać polecenia.

Nie wiedziała, dokąd jadą, ale była to krótka podróż. Siedziała na przednim siedzeniu, skulona, zbyt jeszcze porażona, by przyswoić całą tę sytuację.

- No już, wylaź! - warknął Louis.

- Dlaczego? Dokąd idziemy?

- Spotkać się z Frankiem de Val. Przecież po to tu przyjechaliśmy!

Łzy szczypały pod powiekami i paliły gardło. Nie mogła uwierzyć, że Louis w ten sposób do niej mówi. Przez cały ten czas, kiedy się znali, nigdy nie widziała jeszcze tej strony jego natury.

- Ja nie po to tu przyjechałam - odrzekła ostro. - Ja tu

OKO ZA OKO

529

przyjechałam, żeby być z tobą, żeby ci zrobić przyjemność. Nie dam się zastraszyć, Louis. Przez moment myślała, że ją uderzy. Kiedy na jego szyi zadrgała jakaś żyłka, a usta wykrzywiły się we wściekłym grymasie, Debbie skuliła się jeszcze bardziej, zasłaniając twarz dłońmi.

- Kociaku! - Otworzyła oczy, zerkając pomiędzy palcami. Louis nerwowo skubał włosy i wyglądał raczej na zakłopotanego niż gniewnego. - Kociaku, przepraszam. Nie chciałem cię urazić. Prawda jest taka, że okropnie się denerwuję. Pieniądze są mi koniecznie potrzebne, a nie wiem, jak je zdobyć. Ale nie powinienem był wyladowywać się na tobie.

- Nie, nie powinienes.

- Mówiłem już, przepraszam. Wybaczyłaś mi? - Wziął ją za rękę. Przez chwilę się opierała, ale natychmiast zaczęła mięknać.

- Ja... Nie wiem.

- Wiem, nie zasłużyłem na wybaczenie. Ale wynagrodzę ci to. Obiecuję. Tylko zrób to dla mnie.

- Louis...

- Potrzebuję tych pieniędzy, Kociaku. My ich potrzebujemy. Zawsze byłem dla ciebie dobry, prawda?

- Tak.

- No więc masz teraz okazję zrobić coś dla mnie. Chodź, kochanie, nie musisz mówić ani słowa. Ja będę gadał.

- Och, Louis! - Debbie zdawała sobie sprawę, że Louis ją bezwstydnie wykorzystuje, ale nie zwracała na to uwagi. Zbyt mocno go kochała, musiała wierzyć, że jest jeszcze dla nich jakaś nadzieja, bo inaczej wszystko byłoby nie do wytrzymania.

Louis pocałował ją, pochylił się i otworzył jej drzwi.

**- To nie potrwa długo. I nie będzie tak źle, jak sobie wyobrażasz.
Ale było źle, a nawet jeszcze gorzej. Stojąc obok Louisa i słuchając, jak składa senatorowi propozycję (podpartą groźbą obnażenia jego prywatnego życia), Debbie usiłowała zapaść się**

Janet Tanner

pod ziemię, chciała być gdziekolwiek indziej, byle dalej od tego miejsca.

Stali na werandzie domu senatora, oświetleni bladawym światłem latarni.

Senator był niższy, niż go pamiętała. Miał na sobie teraz marynarkę i krawat, i trudno byłoby wyobrazić sobie tego mężczyznę, ubranego wyłącznie w biały fartuszek. W jego twarzy było coś znajomego, lecz Debbie nie potrafiłaby powiedzieć nic ponad to. Jednakże Louis powiedział, że sama nie będzie musiała nic mówić, i miał rację. Senator był najwyraźniej tak wstrząśnięty spotkaniem Louisa i Debbie na swym progu, że ani na moment nie próbował poddać w wątpliwość nic z wypowiedzi Louisa.

- Dobrze! Dobrze! Zrobię, co będę mógł! Wie pan, że nic nie mogę obiecać. Jestem tylko jednym z wielu. - Jego głos, który zapewne potrafił skutecznie wypełnić parlament, teraz drżał, a sam de Val nerwowo oglądał się przez ramię.

- Ależ! Panie senatorze! Obaj wiemy, jak wielkimi zdolnościami do perswazji pan dysponuje! Lepiej, żebyś je wykorzystał, Frank, jeśli ci zależy na reputacji. Mam nadzieję, że niedługo usłyszę o debacie nad zmianą prawa, bo inaczej Debbie pójdzie na spotkanie z dziennikarzami.

- Powiedziałem już... Zrobię, co będę mógł. A teraz idźcie już, na miłość boską, zanim moja żona wyjdzie sprawdzić, co tak długo robię przy drzwiach.

- Powiesz jej, że przyszedł jeden z twoich wyborców z problemem, Frank. I nawet nie skłamiesz.

- Dobrze. Ale idźcie już!

W świetle latarni Debbie widziała krople potu perlące się na łysinie polityka i nagle zrobiło jej się żal tego mężczyzny. Ludzie tacy jak de Val nie byli przecież źli, co najwyżej żałośni. Nic nie mogli poradzić na to, kim byli, ale to nie znaczy, że byli z tego dumni. Jeden Bóg wie, w jakie głębinę rozpacz i wstydu wtrącił Louis senatora de Vala, grożąc ujawnieniem jego fantazji i sposobów spędzania wolnego czasu. Przecież już sama świadomość,

OKO ZA OKO

531

że to alter ego jest zbyt silne, by je zwalczyć, musiała być niezdolna. A teraz jeszcze pada groźba ujawnienia szczegółów! Debbie znów zrobiło się niedobrze, jakby upokorzenie de Vala ją również dotknęło. W dodatku odczuwała nierozdzielnie, łączącą tę scenę ze swymi odczuciami w biurze Raife'a Pearsona. Nie potrafiła zapomnieć rzeczy, które tam mówił Louis, szczególnie tych o Molly. Mimo że nie myślała teraz o tym w sposób świadomy, cień pozostawał, ciężki i długi, pogłębiający poczucie poniżenia.

Cały ten wyjazd, z którym wiązała tak wielkie nadzieje, zmienił się w straszliwy koszmar. Nic nie działo się tak, jak się spodziewała, nawet obietnice Louisa były teraz tylko pustymi słowami. Nagle Debbie poczuła, że za chwilę zemdleje. W uszach jej dzwoniło, a obraz w oczach zaczął się rozmywać. To wszystko było takie... obrzydliwe. Zanim jednak kolana zdążyły się jej ugiąć, Louis chwycił ją pod ramię.

- Chodź już, Debs. Zostawmy teraz pana senatora sam na sam z myślami o mojej petycji.
- Dlaczego musieliśmy pójść do niego do domu? - spytała Debbie, kiedy już byli w samochodzie.
- Dlaczego nie mogłeś do niego napisać albo powiedzieć mu tego gdzieś indziej?
- Na przykład w budynku parlamentu, co? - odrzekł szyderczo Louis, brutalnym ruchem wrzucając wsteczny bieg. Wycofał samochód z podjazdu i włączył się do ruchu. - Na pewno byłby szczęśliwy, mogąc właśnie tam omawiać swoje wybryki.
- Ale uważam, że moja obecność nie była konieczna. Zrobiło się z tego takie wielkie halo.
- Frank mógłby mi nie uwierzyć, że coś na niego mam, gdybym mu ciebie nie pokazał. I dlatego twój przyjazd był konieczny.

Debbie coś narosło w gardle, a skurcze żołądka się nasiliły.

- Przecież tak naprawdę nie poszlibyśmy z tym do gazet. Chyba me kazałbyś mi...
- Jasne, że tak - odparł bez zająknięcia Louis. - Jeśli Frank

738

Janet Tanner

nie będzie tańczył tak, jak mu zagram, to będziemy musieli zdobyć pieniądze w inny sposób. Sprzedam tę historię za największą ofertę.

- Moją historię?

Louis zignorował ją zupełnie. Rozchichotany, z wyraźną przyjemnością prowadził swojego Porscha po krętych uliczkach.

- A może to nawet lepszy pomysł? Prawo może i tak nie zostać zmienione, hotele i kluby będą dalej tak samo bez jaj, ale my przynajmniej mielibyśmy pieniądze. Ciekawe, na ile by się dało naciągnąć pismaków? Trzydzieści tysięcy? Myślę, że tak. Podobałoby mi się to. Przyjemnie byłoby zobaczyć, jak przynajmniej jeden z tych nadętych facetów czerwieni się na widok nagłówków. Już je widzę! „Orgia w Parlamencie!” „Polityk sexy.” Dobrze, nie ma co!

- A co ze mną? - spytała Debbie bliska łez. - Przecież musiałabym powiedzieć wszystkim, że też byłam na orgii!

- No i co z tego?

- Jak to? Dla mnie to ważne! Ja nie chciałam tam być! To było okropne! Żenujące! Przecież nie kazałbyś mi przez to przechodzić! Jestem pewna...

Urwała, uświadomiwszy sobie prawdę. Jego to nie obchodziło. Louisa naprawdę nic a nic nie obchodziły jej uczucia. Nie miał najmniejszego zamiaru się z nią żenić czy choćby sprowadzać jej na stałe na Jersey. Nigdy nie była dla niego niczym więcej niż przedmiotem zabawy, a teraz, gdy sprawa z Frankiem de Val dobiegła końca, ona także przestała już być użyteczna.

Louis skręcił w obsadzoną drzewami aleję.

- Dokąd jedziemy?

- Do domu. Do La Grange. Muszę zadzwonić.

- Och. - Mimo wszystko Debbie poczuła jeszcze jedną, małą iskierkę nadziei. Jechała do La Grange, jego domu rodzinnego. Może więc się myliła, może Louis nie ma zamiaru pozbywać się jej.

Dom był pogrążony w ciemności.

- Możesz wejść, jeśli chcesz - powiedział Louis. - Matka jest na przyjęciu w St Helier, a David leży w łóżku z grypą.

OKO ZA OKO

533

Serce jej zamarło. Więc jednak wcale nie ma zamiaru jej nikomu przedstawić. Już chciała powiedzieć, że zaczeka w samochodzie, ale ciekawość wzięła górę i Debbie zmieniła zdanie. Poszła za Louisem do hallu. Kiedyś, jeszcze wcale nie tak dawno temu, tak wspaniale wnętrze by ją przytłoczyło, lecz życie, jakie wiodła w Londynie, zmieniło już jej reakcje. Fascynacja La Grange polegała raczej na tym, iż był to dom Louisa, że te mury widziały go jako dziecko i młodego mężczyznę. I że zapewne będą go oglądać w ciągu nadchodzących lat. Louis zniknął za drzwiami, pewnie wszedł do gabinetu. Dziewczyna słyszała, jak podniósł słuchawkę i zaczął wykręcać numer. Debbie poświęciła się oglądaniu obrazów. Potem przejechała palcem po miękkich zaokrągleniach drewnianej komody, stojącej u stóp schodów. A cóż to były za schody! Zaczęła się zastanawiać, czy Louis kiedykolwiek zjeżdżał po tej poręczy. Większość dzieci zrobiłaby to natychmiast. Louis był ryzykantem, więc pewnie zjeżdżał.

Odwróciła się na niespodziewany dźwięk za plecami, Otwarły się frontowe drzwi i wszedł wysoki, jasnowłosy mężczyzna.

- Kim jesteś, do diabła? - warknął w jej stronę.

Chociaż była zaskoczona, odpowiedziała mu równie wrogim spojrzeniem.

- Przyjechałam z Louisem.

Mężczyzna parsknął. Wyglądał na wściekłego.

- A gdzie on jest? Wskazała drzwi gabinetu.

- Tam. Telefonuje.

Jasnowłosa mężczyzna skierował się do gabinetu. Jego wyraźnie widoczna znajomość domu i lekkie podobieństwo do Louisa powiedziały Debbie, kim on jest, jeszcze zanim usłyszała zdziwiony głos Louisa:

- Robin!

A potem rozpętało się piekło.

W późniejszych latach Debbie wielokrotnie usiłowała sobie przypomnieć wypowiedziane tamtego wieczoru słowa. Zawsze

Janet Tanner

jednak miała zupełną blokadę pamięci. To, co nastąpiło po owym spotkaniu braci, było tak straszne, że jej mózg najzwyczajniej w świecie usiłował zupełnie wyeliminować całą scenę z pamięci. Jednakże choć słowa padających wówczas obustronnych oskarżeń zaginęły w huraganie emocji, Debbie ani na moment nie miała wątpliwości, o co chodziło. Raife Pearson spełnił swą groźbę i poinformował Robina

o romansie Louisa z jego żoną. A Robin, jak rozszalały buhaj, natychmiast w furii pojechał do La Grange, żeby się policzyć z Louisem. Robin wyraźnie należał do tych ludzi, których bardzo trudno wyprowadzić z równowagi, ale raz rozzłoszczony był naprawdę niebezpieczny. Debbie była przerażona rozmiarem gniewu u wrzeszczących na siebie wściekle mężczyzn. A jednak mimo wszystko była dziwnie chłodna, spokojna, świadoma, że wypełniająca ją lodowata rozpacz nie da się już wypędzić. Przytłaczało ją coraz bardziej poczucie kompletnego poniżenia i braku wartości.

Kiedy ona z utęsknieniem czekała na niego w Londynie, on ją zdradzał na Jersey z własną bratową. Co gorsza, nigdy nie miał zamiaru wiązać się z nią na stałe. Wezwał ją na wyspę tylko po to, żeby ją wykorzystać do swych celów i nie obchodziło go, jak bardzo ją przy tym zrani. Była tylko małym pionkiem w jego grze. I tylko tyle dla niego znaczyła.

Debbie kulila się w hallu, przestraszona i zraniona tak strasznie, że wręcz nie potrafiła tego objąć rozumem. Nie miała pojęcia, dokąd teraz iść i co robić. Wiedziała tylko, że serce jej pęka.

Rozdział trzydziesty piąty

Jersey, 1991

Gabinet Dana DefFainsa wyglądał, jakby w nim wybuchła bomba. Panujący tam chaos prześcignął kilkakrotnie wszystko to, co do tej pory zdarzało się robić Danowi, kiedy zakopywał się w pracy nad jakimś reportażem. Kosz na śmieci przewrócił się z przepelnienia, wyrzuając na dywan i środek pokoju stertę dyskietek i pomiętych papierów, wycinków z gazet i fotografii. Dan zgarnął to wszystko do wielkiego, plastikowego worka na śmieci, po czym sięgnął na biurko po ostatnią rzecz - tekturową teczkę z pozaginanymi rogami i napisem prokurator Generalny przeciw Sophii Langlois - Listopad 1972". Przez długą chwilę patrzył bez ruchu na teczkę, przypominając sobie ten dzień ponad rok wcześniej, gdy znalazł ją w trakcie porządkowania papierów ojca. Potem z ciężkim westchnieniem wepchnął również tę teczkę do worka ze śmieciami.

Cóż za cholerne fiasko! Wiązał z tą sprawą takie wielkie nadzieje! Myślał, że trzyma w ręku materiał na superreportaż, a może nawet i książkę. Instynkt go nie zawiódł. Otóż tego materiału nie mógł wykorzystać nie raniąc przy tym Juliet. A tego zrobić nie chciał.

Co za ironia losu, pomyślał, kopiąc ze złością wór z owocami ciężkiej, wielotygodniowej pracy. Wiedział, że nie będzie mógł tego ciągnąć od momentu, kiedy zadzwoniła do niego Catherine Carteret i podała kilka zaskakujących faktów. Już tylko z tego,

Janet Tanner

co mu powiedziała, można by było zrobić niejeden reportaż. I ona o tym dobrze wiedziała, ale podjęła to ryzyko. Odwołała się jednak do jego lojalności wobec ojca, mówiąc spokojnym, melodyjnym głosem: „Pana ojciec z pewnością byłby ogromnie zawiedziony, gdyby wiedział, że chce pan wyciągnąć korzyści z jego uprzywilejowanej pozycji adwokata Sophii.” Dan natychmiast pośpieszył z zapewnieniem, że nigdy nie miał zamiaru nadużyć zaufania, jakim Sophia darzyła jego ojca i że naprawdę chciał tylko udowodnić jej niewinność. A wówczas Catherine rzuciła tę swoją bombę. Dan z ogromnym rozczarowaniem pojął, że ta historia musi niestety pozostać tajemnicą z wielu powodów, z których wcale nie najmniej ważnym było chronienie Juliet.

Zastanawiał się teraz, czy jego ojciec wiedział, co kryło się pod wyznaniem Sophii. A może przynajmniej miał jakieś podejrzenia? Bo jeśli tak, to w tych okolicznościach wykonał najlepszą robotę, jaką można sobie wyobrazić. Co prawda Dan ze swym niezmiennym szacunkiem dla prawdy nadal uważał, że lepiej by było, gdyby wówczas ujawniono pewne fakty. Ale nie teraz. Teraz było już o wiele za późno. W efekcie więc, zgodnie z prośbą Catherine, Dan usiłował odwieść Juliet od dalszych poszukiwań. I co się stało? Dowiedziała się skądś o nim i była teraz przekonana, że chciał ją wykorzystać.

Z drugiej strony nie mógł za to winić nikogo poza samym sobą. Zresztą, prawdę mówiąc, z początku właśnie tak było - chciał ją wykorzystać. Ale to było przedtem, nim stało się coś zupełnie niespodziewanego - nim się w mej zakochał.

Zakochał się. Nie był oswojony z tym określeniem, szczególnie gdy dotyczyło jego samego. Oczywiście, bardzo kochał Mariannę i po jej śmierci nie spodziewał się kiedykolwiek jeszcze czuć coś takiego w stosunku do innej kobiety. A potem w jego życie wkroczyła Juliet i nagle wszystkie jego dotychczasowe przemyślenia rozwiały się w powietrzu. Dzięki niej znów poczuł,

że żyje, przebudziły się w nim te wszystkie uczucia, których nie spodziewał się już nigdy przeżywać. A po ostatnim spędzonym wspólnie

OKO ZA OKO

744

wieczorze był uszczęśliwiony, miał pewność, że zdoła stanąć do równorzędnej walki z jej australijskim chłopakiem i wygrać.

A teraz wszystkie nadzieje rozpadły się w pył, rozbite jego niezdolnością do szczerości wobec dziewczyny.

Wciąż zadawał sobie od nowa pytanie, dlaczego nie zdobył się na uczciwość. Zwykle był szczerzy do bólu. Za każdym razem jednak przychodziła mu do głowy ta sama odpowiedź, nie stanowiąca powodów do dumy - za bardzo się bał, że ją straci. I wyglądało na to, że ten lęk był uzasadniony.

Worek z papierzyskami zaczął się pochylać. Nim upadł, Dan schwycił go i zawiązał na mocny supeł. Potem zniósł go na dół. Nie mógł go wyrzucić po prostu na śmietnik, za wiele w nim było czystego dynamitu, żeby ryzykować, że ktoś przeczyta to wszystko, jeśli się to odda na makulaturę. Będzie musiał osobiście dopilnować spalenia papierów.

Ekspres do kawy bulgotał zachęcająco, ale Dan zmienił zdanie. Mimo wczesnej pory postanowił, że napije się czystej whisky.

W połowie szklaneczki zaczął obracać w myślach pewną frazę. Postawił szklankę na stole, zmrużył oczy i skupił się na jednej myśli, nie pozwalając, by podniecenie go rozkojarzyło.

Raife Pearson ostrzegł Juliet, że ktoś „nie jest taki, na jakiego wygląda”, a pod wpływem emocji i zaślepienia Juliet uznała, że oznaczało to Daną. Ale przecież Raife nie mógł mieć jego na myśli.

Raife nie mógł nawet w żaden sposób wiedzieć, że Juliet go zna, a nawet gdyby, to i tak nigdy by nie skojarzył Dana z Harrym Porterem. Nie, musiał myśleć o kimś innym - ale o kim? Kto

spośród osób stojących blisko Juliet mógł mieć jakieś podwójne życie? I dlaczego? I skąd właśnie Raife miałby o tym wiedzieć?

Poczuł szczypanie skóry i wiedział, że nie ma to nic wspólnego z whisky. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer Jersey Lily Night Club. Gdy spytał o Raife'a, dowiedział się, że go nie ma i że wróci za kilka dni.

- Zadzwońę później - powiedział rozczarowany i odłożył słuchawkę. Bardzo chciał się dowiedzieć, kogo Raife miał na

Janet Tanner

myśli, ale już dawno temu nauczył się, że niecierpliwość to bezpłodna emocja. Będzie musiał po prostu poczekać na powrót Pearsona i mieć nadzieję, że Juliet będzie jeszcze na Jersey.

Bardzo się o ciebie martwię, Sophio - powiedziała Debora, poprawiając poduszki pod głową swej teściowej. - Chyba już czas, żeby doktor Clavell znów sprowadził do ciebie konsultanta. Te ataki stają się zbyt częste. Zupełnie mi się to nie podoba.

Sophia odpowiedziała jej uprzejmym uśmiechem.

- Mnie też się to nie podoba, ale nie sądzę, żeby wiele można było na to poradzić.

- To nonsens i dobrze o tym wiesz. Jestem pewna, że gdybyś poszła na kilka dni do szpitala na porządne badania, to znów byś się lepiej czuła.

- Może. Ale nie mam zamiaru iść na obserwację, kiedy jest tu Juliet. Zbyt cenny jest dla mnie czas, jaki z nią spędzam. Przecież ostatni raz widziałam ją, kiedy miała cztery lata! A kiedy znowu wróci do Australii, zapewne już nigdy jej nie zobaczę. Chyba że... - Zawiesiła głos i lekko się zarumieniła. - Chyba że coś wyjdzie z jej znajomości z Danem Daffainsem. Gdyby... Tak, to by była zupełnie inna historia.

Debora nic nie odpowiedziała. I tak fatalnie się czuła ostrzegając Juliet przed Danem.

Dlaczego wszędzie, gdzie pójdę, powoduję jakieś kłopoty, zastanawiała się. Choć... Może zbyt ostro się oceniała. W końcu przez ostatnie dwadzieścia lat robiła, co w jej mocy, żeby działać łagodząco. Starła się ze wszystkich sił być dobrą żoną dla Davida i dobrą synową dla Sophii. I była. Naprawdę! Bardzo kochała Davida, a on kochał ją. Być może jej początkowe zainteresowanie nim wynikało z faktu, że był bratem Louisa, być może jego nią zainteresowanie miało podobne podłoże. Wiedziała, że w oczach Davida była w pewnym sensie półboginią, bo David zawsze uwielbiał Louisa. Ale to było dawno temu. Teraz David wiedział o niej wszystko. Zaakceptował to, czym kiedyś była

OKO ZA OKO

747

i zapomniał o tym. Ich małżeństwo było naprawdę dobre, a Debbie była teraz pewna Davida tą niezachwianą pewnością, jaka może wynikać z niemal dwudziestu lat miłości i wspólnoty.

Dla Sophii natomiast Debora starała się być wszystkim tym, czego teściowa najbardziej potrzebowała. Była jej pielęgniarką i pokojówką, zausznikiem i przyjaciółką. Były ze sobą bliżej, niż kiedykolwiek mogły sobie wyobrazić. Zapewne dużą rolę odgrywał w tym wszystkim fakt, iż Sophia nie miała córki, choć bardzo chciała, Debbie zaś nigdy nie miała naprawdę matki. Ich wzajemne stosunki były bliższe niż więzy krwi, a już na pewno wielokrotnie mocniejsze od tych, jakie zwykle tworzą się w wyniku małżeństwa. Ale przecież bliskość z Sophią datowała się sprzed małżeństwa z Davidem, nawet sprzed znajomości z nim.

Debora z wysiłkiem powróciła myślami do terażniejszości. Niektóre wspomnienia były zbyt bolesne. Pewne rzeczy powinno się na zawsze pozostawić w spokoju. I od lat tak było - póki nie pojawiła się Juliet. Zapewne to właśnie ona była powodem pogorszenia zdrowia Sophii. Sophii będzie smutno, kiedy dziewczyna wyjedzie, ale wówczas pizynajmniej wszystko powróci do normy. Może więc i dobrze, że pozbawiła Juliet złudzeń co do Dana Deffainsa Juniora. Nawet gdyby Dan nie był reporterem i nie kopał w sekretach w poszukiwaniu materiału, i tak jego osoba stanowiłaby niewygodny dodatek do rodziny. Jego ojciec wiedział bardzo dużo - za dużo - i nie wiadomo, jak wiele ze swej wiedzy przekazał synowi.

Co do Juliet, to niezależnie od jej kontaktów z Danem, zadawała zbyt wiele pytań. Lepiej, żeby wróciła do Australii i zostawiła wszystko tak, jak było przed jej przyjazdem. Żeby wszyscy mogli powrócić do spokojnego życia.

Debbie poprawiła jeszcze raz poduszki pod głową Sophii, a teściowa lekko dotknęła jej dłoni.
- Nieważne, Deboro. Jeśli do tego nie dojdzie, będę nadal miała ciebie. Naprawdę nie wiem moja droga, co bym bez ciebie zrobiła.

- A ja nie wiem, co bym robiła, gdyby ciebie nie było - odparła szczerze Debora.

Janet Tanner

Wczesnym poporadniem Juliet zadzwoniła do domu. W Australii był wieczór, a ona odczuwała tęsknotę za domem. Poczula to szczególnie mocno, gdy usłyszała głos matki, tak czysty, jakby była w sąsiednim pokoju.

- Juliet, kochanie! Już cię niemal spisaliśmy na straty! Dopiero co rozmawiałam z tatą, że nie odzywasz się do nas zupełnie!

- Wiem. Czas leci. Ale przecież mogliście do mnie zadzwonić.

- Zadzwonić? Dokąd?

- Tu. Do La Grange.

- A, tak. Pewnie tak. Ale nie chcieliśmy, żebyś pomyślała, że pilnujemy cię jak małe dziecko.

- Przecież nigdy nie byliście natrętni! - odparła, lecz pomyślała, że to musi być tylko połowa prawdy. Oni po prostu nie chcieli tu dzwonić. Nigdy przecież nie zadzwonili.

- Kiedy wracasz, kochanie?

- W przyszłym tygodniu. Dam wam znać dokładnie.

- Dobrze. Wyjedziemy po ciebie na lotnisko. Sean się ucieszy. Był u nas kilka razy, żeby się dowiedzieć, czy coś o tobie wiemy. Naprawdę powinnaś się z nim częściej kontaktować. On strasznie za tobą tęskni.

- Powiedz mu, że ja za nim też.

- Juliet... - Po drugiej stronie linii na moment zapadła dziwna, ciężka cisza. - Wszystko w porządku, kochanie? - spytała wreszcie niezręcznie Molly.

- Oczywiście. A dlaczego?

- Och, tak tylko... - Molly zaśmiała się wysokim, dziecięcym śmiechem. - Pewnie ci opowiedzieli o nas różne rzeczy...

- Jakie?

- No... jak byliśmy młodzi... takie tam...
- Nie, mamó. Nic z tych rzeczy. Mamó, muszę już kończyć. Odezwę się.
- Dobrze, kochanie. - Juliet dosłyszała w głosi&matki wyraźną ulgę i zaczęła się nad nią zastanawiać. Ulga, że już niedługo

OKO ZA OKO

750

wróci do domu? Ulga, że jej nie zgwałcono, nie porwano czy nie zamordowano po drugiej stronie globu? Czy może coś jeszcze, coś zupełnie innego?

Godzinę później Juliet zaparkowała samochód przed domkiem Catherine. Spodziewała się znów zastać ciotkę w ogrodzie, ale dziś Catherine była w domu. Słuchała radia i prasowała. Jak zawsze, Juliet i teraz dała się znowu zaskoczyć różnicami w stylu życia sióstr. Sophia żyła w absolutnym luksusie, gdzie wszystko robił za nią właściwie ktoś inny. Catherine zaś prowadziła zwykle życie, niemal zupełnie samotne, i wszystko robiła sama.

- Juliet, jak to cudownie cię widzieć! - zawołała Catherine, sięgnęła za siebie i ściszyła radio. - Co ty tutaj robisz?

- Przyjechałam się z tobą zobaczyć - odparła dziewczyna z uśmiechem, starając się wyglądać o wiele bardziej radośnie, niż pozwalał jej nastrój. - W przyszłym tygodniu jadę do domu, więc wpadłam, skoro nadarzyła się okazja.

- Rozumiem. - Catherine odstawiła żelazko na stojak i składając uprasowaną poszewkę zerknęła łobuzersko na Juliet. - A więc nie zdecydowałaś się zostać? Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, odniosłam wrażenie, że nawiązałaś jakąś romantyczną znajomość.

- Nie, to się skończyło - odrzekła szybko Juliet, ignorując źle ukrywaną ciekawość Catherine. Nie zauważyła w oczach ciotki przerażenia. A Catherine z lękiem zastanawiała się, czy przypadkiem powodem gwałtownego zakończenia tej znajomości nie był jej telefon do Dana. Juliet nie chciała rozmawiać o Danie i o tym, jak ją wykorzystał. Było to zbyt bolesne. Poza tym zrobił z

niej idiotkę, a to było chyba jeszcze gorsze. - Wrócę jeszcze na Jersey, możesz być pewna. Jak tylko znowu będę miała urlop i uskładam na bilet. Niedługo. - Urwała na chwilę. - Wiesz, że babcia miała przedwczorajszej nocy kolejny atak?

Catherine pokiwała poważnie głową.

- Jak rozumiem, to ty ją znalazłaś na dole, tak? -Tak.

Janet Tanner

- Dokładnie w tym miejscu, gdzie zginął Louis. Musiało cię to niezle przestraszyć.
- Owszem - mruknęła Juliet i zawahała się, nagle uświadamiając sobie znaczenie słów ciotki. „Dokładnie w tym miejscu, gdzie zginął Louis”, a nie „Tam, gdzie go zabiła”. Juliet zmarszczyła czoło. Zabrzmiało to tak, jakby Catherine wiedziała, że Sophia tego nie zrobiła. Potrząsnęła głową. Lepiej nie wracać już na tę ścieżkę. Catherine ją ostrzegła i pewnie miała rację. Jednak było coś, co Juliet koniecznie chciała wiedzieć. Nie dawało jej to spokoju, i to nie od czasu przyjazdu na Jersey, ale właściwie od kiedy sięgała pamięcią. Nie potrafiła się zmusić do zapytania Sophii, szczególnie biorąc pod uwagę jej zdrowie.
- Czy mogę cię o coś spytać, ciociu Catherine? Dlaczego mama i tata tak kompletnie się odcięli od rodziny po... tym, co się stało? A babcia nigdy nie przyjechała z wizytą, rzadko pisała i nigdy nie dzwoniła. Prawie nie chce o nich rozmawiać. To dziwne. Chciałam z nią o tym mówić, ale nie mogłam, bo mogłoby ją to zdenerwować. Czy ty znasz powód? Czy babcia uważa, że oni ją opuścili?
- Och, nie sądzę, żeby o to chodziło... - Catherine kryła twarz w cieniu. - Nie, to chyba nie to. Ona chciała, żeby wyjechali. To była jej propozycja, o ile pamiętam.
- Ale dlaczego?
- Głównie pewnie dlatego, że chciała dla ciebie lepszej przyszłości. Biedna Sophia, zawsze chciała wszystkiego co najlepsze dla wszystkich w rodzinie, ale nic z tego nie wychodziło. Urodziła trzech synów. Jeden nie żyje, drugi jest na końcu świata. Ale ma przy sobie przynajmniej Davida i Deborę. Oni byli dla niej bardzo dobrzy. Dziewczynie natychmiast zabrzmiały w uszach słowa Sophii „Nie mogę pozwolić, żeby go obwiniali.”

Nic dziwnego, że David dba o matkę - choć tyle może pomóc w zamian za to, co dla niego zrobiła.

- Czy David dobrze żył z Louisem? - spytała, nim zdążyła się ugryźć w język.

OKO ZA OKO

753

Catherine odłożyła poskładaną poszewkę do kosza.

- Myślę, że tak. W końcu David właściwie z każdym dobrze żyje. On nie miał nawet okazji pokłócić się z Louisem. Pamiętaj, że był dużo młodszy, poza tym uważał Louisa za bohatera i uwielbiał go. Inaczej sprawa wyglądała, jeśli chodzi o stosunki Louisa z twoim ojcem. Oni zawsze ze sobą walczyli, od najwcześniejszego dzieciństwa. To było nieuniknione. Twoja babka robiła, co mogła, jak zawsze, ale chyba tylko pogarszała sprawy.

- Nic nie rozumiem - powiedziała zbita z tropu Juliet.

- Ojej! Teraz to naprawdę będę ci musiała opowiedzieć kawał rodzinnej historii. - Catherine odstawiła żelazko. - Może nie powinnam, ale opowiem. Bernard, twój dziadek, nie był ojcem Louisa.

- To znaczy, że babcia...

- Była już w ciąży, kiedy wychodziła za Bernarda. Większość ludzi nigdy nie poznała prawdy, to był koniec wojny i wszędzie panował chaos. Louis został zarejestrowany jako syn twojego dziadka i wszyscy to przyjęli bez pytań. Nie jestem nawet pewna, czy twój ojciec wie o tym, co ci opowiadam że Louis był tylko jego przyrodnim bratem. Wiem, że Sophia starała się ze wszystkich sił zapomnieć - i Bernard z pewnością także - ale to nie było łatwe. Naturalnie, Bernard faworyzował Robina, a przynajmniej tak uważała twoja babka, więc kiedy tylko Bernard choćby zwrócił Louisowi uwagę, natychmiast stawiała w jego obronie. Efekt był łatwy do przewidzenia - rozdźwięk w rodzinie. Bernard i Robin, Sophia i Louis. Tak było, gdy byli dziećmi, a gdy podrośli, pogorszyło się jeszcze bardziej. Walczyli o wszystko - zabawki,

kieszonkowe, kto coś powinien zrobić, a jeszcze później, kiedy dorośli, zaczęły się inne spięcia. W interesach Louis miał wielkie plany, a Robin był jak Bernard. Louis pokłócił się o to z Bernardem i wyjechał do Londynu. Ja go tam nigdy nie widziałam, żyliśmy w zupełnie innych światach. A potem umarł Bernard i kłopoty dopiero wtedy zaczęły się na serio. Catherine urwała, przypominając sobie swe przeczucia, kiedy

Janet Tanner

dowiedziała się o treści testamentu Bernarda. Dzielił on udziały w firmie na trzy równe części pomiędzy trzech synów. Catherine wiedziała, że to spowoduje kłopoty i żałowała, że Bernard w ten sposób zadysponował swym majątkiem. Ale rozumiała go. Chciał na koniec udowodnić Louisowi i Sophii, że tak naprawdę nigdy nie faworyzował nikogo i że kochał swych synów tak samo. Lecz w ten sposób stworzył wybuchową sytuację.

- Louis miał raczej nie najlepszy charakter - powiedziała Juliet. - Tak przynajmniej zrozumiałam. Czy miał go po swym ojcu?

- Nie wiem. Sophia nigdy nie wiedziała na pewno, kto był jego ojcem. Na pewno wiedziała tylko tyle, że był Niemcem. Wyspa była wtedy pod okupacją, a Sophia miała niemieckiego chłopaka, Dietera, w którym się kochała jeszcze przed wojną, gdy był kelnerem w naszym zajęździe. Możliwe, że to on był ojcem Louisa, ale ja tak nie sądzę.

- A więc kto?

- Została zgwałcona przez innego żołnierza, który wykorzystał fakt, iż miała już niemieckiego chłopaka. Widzisz, to była kwestia okropnego wstydu. Dziewczęta, które się zadawały z Niemcami, nazywano „szwabskimi dziwkami”. Do dziś są uważane za kolaborantki. To dlatego Sophia tak chciała ukryć fakt ciąży, to dlatego właśnie Bernard dla dobra dziecka udawał, że jest jego ojcem.

- Biedna babcia!

- Tak. Często się zastanawiałam, co ona musiała czuć patrząc na Louisa. Zanim się urodził, nie chciała się pozbyć ciąży, bo mógł być dzieckiem Dietera. Ale potem musiała już wiedzieć, że to syn tego bydlaka. Usiłowała zrobić coś z tego chłopca przez całe jego dzieciństwo, ale to było beznadziejne, przeciwne jego naturze. Wszystko, co ona czy Bernard usiłowali dla niego zrobić, odbijało się jak o ścianę albo wychodziło na gorsze. Nawet ostatni gest Bernarda - równy

podział udziałów w firmie. Louis po prostu natychmiast zaczął wykorzystywać fakt, że był najstarszy i usiłował przeprowadzić w firmie takie zmiany, od których Bernard przewróciłby się w grobie.

OKO ZA OKO

756

Nic dziwnego, że tata go nienawidził - powiedziała wstrząśnięta Juliet. - Skoro chciał przejąć kontrolę nad wszystkim i robić rzeczy, które tata uważał za niewłaściwe.

- Nie tylko o to chodziło. Jeszcze przecież Molly... - Catherine urwała i ugryzła się w język. Była przerażona tym, co powiedziała.

- Molly? Moja matka? Co ona ma z tym wspólnego?

- Oj, moja droga! - Catherine była uosobieniem wyrzutów sumienia. Desperacko usiłowała wymyślić sposób na naprawienie sytuacji, lecz nie wiedziała jak. - Nie chciałam... Nie, to nie tak. Znowu chlapnęłam jęzorem, jak zawsze. Proszę cię, nie myśl...

- Ciociu Catherine! Przestań kręcić! Chcesz powiedzieć, że moja matka była... związana z Louistem?!

- No, nie dokładnie tak... To niezupełnie to... - próbowała zaprzeczyć Catherine, lecz jej twarz zdradzała już wszystko. Była zaczerwieniona ze wstydu, zalękniona, niepewna.

- Rozumiem - bąknęła ponuro Juliet. - Możesz mi nie wierzyć, ale zaczynam wszystko rozumieć. Louis i moja matka... To właśnie to cały czas było w tle. Tu nie chodziło wcale o interesy. Wiedziałam, że tu coś fałszywie pobrzmiwa. To znaczy - nie mogłam uwierzyć, że tata mógłby się tak wściec o interesy. Ale jeśli w grę wchodziła mama, to zupełnie inna historia. W takiej sytuacji z pewnością potrafił wpaść w furję. Jednak ciągle jeszcze nie rozumiem, dlaczego wyjechali do Australii. Moja przyszłość - w porządku, przyjmuję. Ale tu także miałabym dobrą przyszłość. A Louis i tak już nie żył. Więc nie było niebezpieczeństwa, że wszystko się zacznie od nowa. - Nagle urwała, kiedy w myślach wybuchło straszliwe podejrzenie. - O, Boże! Nie!

- Juliet! Przestań natychmiast! Proszę! - zawołała Catherine, lecz jej zdenerwowanie tylko przypomniało dziewczynie, jak bardzo ciotka ostrzegała ją, by nie ruszać tej sprawy. Wówczas nie rozumiała tych nalegań, nie pojmowała, dlaczego właściwie miałyby nie szukać czegoś w przeszłości. Teraz już rozumiała - i nie było to coś, czego sobie życzyła.

- Ciociu Catherine, chcesz mi powiedzieć, że... - Znów

Janet Tanner

urwała; nie była w stanie ubrać swych lęków w słowa. Miała suche gardło i czuła wzbierające w piersiach spazmy. Zrobiło się jej niedobrze.

- Nic ci nie chcę przez to powiedzieć, Juliet! Tyle tylko, że musisz już, natychmiast przestać!

Juliet miała w gardle coś ogromnego, ciężkiego. Ciotka nic nie musiała mówić. Wszystko było już na jej twarzy.

- Dziękuję ci. Pójdę już.

- Juliet!

- Nie teraz. Idę.

Musiała stąd odjechać. Nie chciała dostać zapaści. Ani spazmów. Ani jednego i drugiego naraz.

- Juliet!

Dziewczyna uciekła do samochodu. Silnik zaskoczył od pierwszego razu, a Juliet wcisnęła gaz jak oszalała. Z piskiem opon odjechała spod domu Catherine, która mogła tylko odprowadzić ją bezsilnym spojrzeniem.

Na szczęście tego popołudnia ruch był niewielki. Juliet wcisnęła gaz w podłogę, prowadząc najszybciej, jak mogła, jakby sama prędkość mogła ją oddalić od koszmaru, który ją dopadł w domku ciotki Catherine. Po kilku minutach jednak rozsądek zwyciężył i zwolniła. W żaden sposób nie mogła uciec od tego wszystkiego. Dokądkolwiek by poszła, koszmar podąży za nią.

Na poboczu drogi był parking, spory plac wysypany żwirem, najwyraźniej miejsce dla turystów, którzy chcieli zostawić gdzieś swe auta i iść piechotą na leżącą poniżej plażę. Juliet zjechała na parking, wyłączyła silnik i ściskając w dłoniach kierownicę wpatrzyła się niewidzącymi oczami w zieleń i błękit przed maską samochodu. Nadal miała skurcze żołądka, nie tak gwałtowne jak u ciotki, ale mdlilo ją okropnie. Zadrżała, czując nagłą potrzebę krzyku. Nie, nie! Tylko nie tata! Nie mógł zabić stryja Louisa. Nie wierzę!

OKO ZA OKO

547

A jednak wierzyła. I na tym polegał cały kłopot. Wszystko pasowało do siebie aż za dobrze. I miało sens. Ich wyjazd do Australii, niechęć do opowiadania o pozostawionej na Jersey rodzinie, tajemniczość, a nawet lęk przed tym, co Juliet może odkryć. Co takiego matka powiedziała przez telefon? „Pewnie ci opowiedzieli o nas najróżniejsze rzeczy... jak byliśmy młodzi...” Zapewne miała na myśli właśnie to, że jej córka odkryje, iż miała romans z Louistem. I że dlatego Robin zabił brata.

Juliet zakryła twarz dłońmi, usiłując pozbyć się krążących po głowie obrazów. Ale wszystko wskazywało na jego winę. Wszystko. Nawet to, że Sophia tak ochoczo przyznała się do zrobienia czegoś, co niemal każdy uważał za niemożliwe. Przede wszystkim to.

„Nie mogę pozwolić, żeby go obwiniano” - powiedziała. Juliet myślała wówczas, że Sophia mówi o Davidzie. Nigdy, nawet przez moment nie przyszło jej do głowy, że argumenty na rzecz Davida pasują także do Robina. Nawet bardziej. Robin był starszy. Robin miał idealny motyw - a nawet dwa, kiedy David nadal był jeszcze za młody, żeby tak się przejmować interesami. Zmylił ją fakt, że to właśnie David jest teraz szefem firmy. Oczywiście, wciąż istnieje możliwość, że był niebywale ambitnym dziewiętnastolatkiem, ale jakoś nie bardzo mogła w to uwierzyć. Poza tym ciocia Catherine powiedziała, że uwielbiał Louisa. Nie, najlepszym kandydatem był ten brat, który był bliższy wiekiem, który z Louistem zawsze walczył i współzawodniczył od czasów dzieciństwa i któremu Louis próbował ukraść żonę. Przede wszystkim to się liczyło. Juliet doskonale wiedziała, jak bardzo jej ojciec ubóstwia swą żonę. Była ona jedyną częścią życia, która dla Robina naprawdę się liczyła. Jej romans z Louistem musiał mu rozdzierać serce. *rzucił się Kain na brata swego Abła i zabił go.*

Powinam była wiedzieć, myślała Juliet. Powinam była zdać sobie sprawę, przed czym mnie ostrzegają. Jak mogłam być tak ślepa?! Tak bardzo chciałam udowodnić niewinność babci, że nie myślałam o konsekwencjach. Sophia przecież nigdy nie wzięłaby

Janet Tanner

na siebie winy, gdyby nie chodziło o jej ukochanych synów. Mogło chodzić o Davida, jej maleństwo, najmłodszego. Ale tu nie chodziło o niego. To Robin, wobec którego miała poczucie winy, że usiłując zrekompensować Louisowi surowość Bernarda, zaniedbywała średniego syna. **Robin. Mój ojciec.**

Jak mógł pozwolić, by jego matka wzięła na siebie winę? Juliet nie potrafiła tego zrozumieć. Jedynym wyjaśnieniem mógł być fakt, iż Sophia zawsze była silną osobowością. Może go przekonała, żeby wyjechał przez wzgląd na dobro własnego dziecka. Żeby dać córce lepszy start w życie, czy nie tak powiedziała Catherine? No więc, zrobił to. Uciekł na drugą stronę globu. Do Australii.

położył Pan na Kainie znak. I odszedł Kain sprzed oblicza Pana, i zamieszkał w ziemi Nod, na wschód od Edenu. Juliet oparła głowę o kierownicę i zaczęła płakać.

Rozdział trzydziesty szósty

Kiedy Juliet odjechała, Catherine rzuciła się do telefonu i wykręciła numer La Grange.

Odebrała Debora, Catherine poprosiła Sophię i już po chwili usłyszała w słuchawce głos siostry.

- Catherine! Jaka miła niespodzianka!

- Nie, Sophio. Niemiła. Stało się coś naprawdę strasznego. Słuchaj, nie chcę cię denerwować, ale muszę ci powiedzieć. Przyjechała do mnie dzisiaj Juliet i zadała mi kilka naprawdę konkretnych pytań. Sophio, sądzę, że ona wie.

- Co wie?

- O swoim ojcu.

- O czym ty mówisz. Co takiego o nim wie?

- Och, Sophio, nie bawmy się w ciuciubabkę! Mówię o śmierci Louisa!

Zapadła dłuższa chwila ciszy. Potem Sophia rzekła: -Jak?

- **Nie wiem. Myślę, że dodała dwa do dwóch.**
- **Jesteś pewna, że nie ty jej powiedziałaś?**
- **Sophio! Przenigdy! Przyznaję, że mogło ją naprowadzić coś, co powiedziałam. Mówiłam o Louisie i wyrwało mi się, że Robin nienawidził go z powodu Molly.**
- **Catherine, no nie! Czy ty nigdy się nie nauczysz trzymać języka za zębami?!**
- **Chyba nie - odparła ponuro Catherine. - Naprawdę bardzo**

Janet Tanner

mi przykro, Sophio. Wymknęło mi się jedno jedyne słowo, ale się go uczepiła. I już po chwili właściwie zapytała mnie czy... - Zamilkła. - Myślę, że jest teraz zrozpaczona. I uznałam, że powinnaś wiedzieć.

- Ale nie powiedziałaś jej niczego wprost? - upewniła się Sophia.

-Nie.

- Dobrze. Dzięki za informację, Catherine.

- Postaraj się nie denerwować, Sophio.

- Myślę - mruknęła Sophia - że od kiedy Juliet tu przyjechała, spodziewałam się czegoś takiego. Odłożyła słuchawkę i usiadła, patrząc w przestrzeń. To była prawda. Intuicja podpowiadała jej to od początku. A teraz była niemal zadowolona.

Pomyślała, że to wszystko razem było bardzo dziwne, tak mało o tym mówiono przez te wszystkie lata. O tej chwili, która zmieniła drogi całej rodziny. Może na tym właśnie polegało przekleństwo jej pokolenia, że tyle tematów było tabu. Wtedy oczywiście rozmawiała o tym z Catherine, ale tylko dlatego, że Catherine przyjechała na Jersey zdeterminowana udowodnić niewinność siostry. „Nigdy ci nie wybaczę, jeśli komuś o tym powiesz!” - syknęła wówczas, do siostry, a Catherine, choć zaszokowana i absolutnie nieprzekonana, postąpiła zgodnie z jej życzeniami. I już nigdy więcej o tym nie rozmawiały.

Lecz nawet Catherine nie знаła całej prawdy. A co do innych ludzi...

Sophia na moment zamknęła oczy, przypominając sobie ten wieczór niemal dwadzieścia lat temu. Jakże wyraźnie wszystko pamiętała! O wiele wyraźniej, niż wszystko inne w życiu.

Była na przyjęciu. Miała na sobie suknię z ciemnogrnatowej koronki i srebrnej lamy, przystrojoną frezjami. Ich zapach nieodmiennie powracał do niej za każdym razem, gdy sięgała pamięcią do owego dnia. Pamiętała dręczące ją zdenerwowanie,

OKO ZA OKO

764

przepelniające ją złe przeczucia, z którymi wracała do La Grange, i nagłą panikę na widok zapalonych świateł na parterze domu. Westchnęła wówczas. Louis, to musiał być Louis.

Zupełnie nie miała ochoty na kolejną kłótnię. Nienawidziła scysji, kłótni i krzyków. Lecz Louis stał się takim potworem, że były meuniknione.

- Dziękuję, sama wejdę - powiedziała szoferowi. Weszła po schodach i otworzyła drzwi. W hallu paliły się wszystkie światła, ale nikogo nie było. - Louis? - zawołała.

I wtedy nagle go zobaczyła. Nagły szok odebrał jej dech w piersiach.

Leżał w progu salonu, a z jego nakrochmalonego, białego gorsu spływała rozlewająca się coraz szerzej szkarłatna plama. Chciała się ruszyć, podbiec do niego, ale nogi jej nie słuchały. Po dłuższej chwili zdołała ukłęknać obok jego ciała.

- Louis! O, mój Boże, Louis!

Był martwy - co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Sophia szybko rozejrzała się wokół. Czyżby Louis spłoszył włamywacza? Nie była w stanie myśleć. Mózg nie chciał pracować. I wtedy zobaczyła rewolwer, jego rewolwer, leżący na podłodze w hallu. Wyciągnęła rękę i podniosła broń.

Rewolwer Louisa. Och, Boże! Tyle razy mu mówiła, że nie powinien! Po pierwsze było to nielegalne - Louis musiał go przemyć na Jersey - a po drugie Sophia nienawidziła broni palnej od czasów wojny. Strasznie się denerwowała, że jej syn ma przy sobie broń. Powiedział jej, że kupił rewolwer w Ameryce, dla ochrony interesów, jakie prowadził. Jakich interesów?" -pytała wtedy. „Twój ojciec nigdy nie potrzebował broni!" Ale Louis tylko się wtedy roześmiał. A teraz był martwy. Ten rewolwer nie przyniósł mu szczęścia.

W gardle narósł jej nagle szloch. Co ona ma teraz robić? Co się w takiej sytuacji robi? Wzywa się pogotowie? Za późno. A więc policję? Podniosła się i ruszyła do telefonu. Wyciągnęła rękę po słuchawkę, a wtedy aparat się rozdzwonił. Odebrała, trzęsąc się jak w gorączce.

- Halo?

Janet Tanner

- Mama? Tu Molly. Muszę mówić z Louisem!

- Przykro mi, ale to niemożliwe.

- Ale to okropnie ważne! - Głos Molly oscylował wokół histerycznych tonów. - Proszę! Proszę!

W jakiś dziwny sposób jej krzyki podziały na Sophię uspokajająco.

- A co się stało, Molly? - spytała. - Co to takiego istotnego?

- Muszę z nim rozmawiać... ostrzec! Robin wie o nas!

- O was? - spytała Sophia, choć doskonale wiedziała, o czym mówi Molly.

- Tak. Louis i ja... My byliśmy...

- Wiem, co wyprawialiście - przerwała jej chłodno Sophia. - Nie jestem ślepa. Ale miałam nadzieję, że wystarczy wam rozsądku, żeby to ukryć przed Robinem.

- Tak było... ale Raife Pearson się dowiedział. Zadzwoił dzisiaj wieczorem do Robina i mu powiedział. Bóg wie po co. Robin jest w okropnym stanie. Powiedział, że zabije Louisa.

Sophia znów zaczęła się trząść.

- A gdzie jest teraz Robin?

- Nie wiem! Właśnie o to chodzi! Trzasnął drzwiami i wyszedł z domu. Nie ma go już od kilku godzin! Jestem przerażona!

W miarę jak Molly mówiła, ciało Sophii ogarniała coraz większa niemoc. Lecz nie opuszczało jej dziwaczne poczucie nieuniknioności. Robin. Louis i Robin. Zawsze wiedziała, że kiedyś wydarzy się coś takiego, ale nie przypuszczała, że to będzie Robin...

Nagle ogarnął ją spokój. Nie miała żadnych wątpliwości. Wiedziała, co ma zrobić.

- Czy mówiłaś o tym komukolwiek? - spytała synową.

- Nie, nie! Chciałam powiedzieć Louisowi, ostrzec go...

- A więc nie mów nikomu. Słyszysz mnie, Molly? Cokolwiek się stanie, nikomu ani słowa!

-Ale...

- Rób, jak ci mówię, a wszystko będzie dobrze. Kiedy Robin wróci do domu, powtórz mu to samo. Zatrzymaj go w domu i powiedz mu, żeby nic nie mówił.

OKO ZA OKO

553

- Nie rozumiem.

- Nie mam czasu się z tobą kłócić, Molly. Zrób to i tyle! Odłożyła słuchawkę i znów spojrzała na Louisa.

Jakżeż go kochała! Ze względu na okoliczności związane z jego poczęciem i urodzeniem czasami niemal uważała, że to tylko jej dziecko. Tak bardzo chciała mu to wynagrodzić! Chwilami wydawało się jej, że jedynym celem jej życia jest wychowywanie i uszczęśliwianie Louisa. Teraz już pojmowała, że popadła w obsesję. Zbyt ochoczo broniła Louisa przed czymś, co zapewne było naprawdę tylko zwykłą, codzienną dyscypliną. Przeciwstawiała się Bernardowi, tworzyła podziały, których wcale być nie musiało. Nie przyjmowała do wiadomości błędów Louisa, nie zauważała krzywdy, jaką wyrządza całej rodzinie. I dyskryminowała przez to innych - a przede wszystkim Robina.

Zdawała sobie teraz sprawę, jak często krzywdziła Robina już przez samo faworyzowanie Louisa. Nic dziwnego, że Robin nie był w stanie wytrzymać myśli, iż Louis chce mu odebrać ukochaną kobietę, żonę, matkę jego dziecka... Nic dziwnego, że mógł się posunąć aż do... Bóg wie czego. No cóż, skoro do tej pory niczego jeszcze nie zrobiła dla Robina, to robi to teraz. Bo na pomoc dla Louisa i tak już jest za późno. Tak więc teraz najważniejszy jest Robin i jej malutka wnuczka, która bardzo łatwo może dostać etykietkę córki mordercy.

Zbrodnia w afekcie - tak to określają chyba Francuzi? Czy na Jersey również istnieje taka klauzula? Doszła do wniosku, że nie może ryzykować.

Pełnym determinacji ruchem sięgnęła po telefon i połączyła się z Dyżurnym Miasta.

- Czy możecie przyjechać do La Grange? Mówi Sophia Langlois. Właśnie zastrzeliłam swojego syna.

**Teraz, po niemal dwudziestu latach, Sophia westchnęła i pokręciła głową. Wspomnienia...
Wszystko się tak pogmatwało, że chyba najlepiej będzie, jeśli prawda nareszcie wyjdzie na jaw.**

Janet Tanner

Czy wiedząc o tym tyle, ile wiem teraz, postąpiłabym tak samo? - spytała samą siebie. I bez najmniejszego wahania odpowiedziała sobie twierdząco.

Juliet właśnie się przygotowywała do rodzinnej kolacji, kiedy do jej pokoju zajrzała Debora.

- Telefon do ciebie - powiedziała.

- Do mnie? Ojej! - odparła nieco nieobecny głosem dziewczyna. Wszystkie jej reakcje sprawiały wrażenie wolniejszych

0 połowę. Nie była w stanie myśleć o niczym poza swym straszliwym odkryciem. Wszystko inne pozostawało w cieniu tych myśli. Nawet najzwyklejsze czynności - mycie, ubieranie

1 makijaż - stały się nagle uciążliwe. A zastanawianie się, kto mógłby do niej dzwonić, po prostu przekraczało w tej chwili jej możliwości umysłowe.

- Odbierz w hallu - zaproponowała Debora. - Na twoim miejscu pośpieszyłabym się, bo to wygląda na połączenie międzynarodowe.

Juliet narzuciła na siebie podomkę i zbiegła po schodach. Zmuszony do gwałtownego wysiłku mózg zdołał wydedukować, że skoro na Jersey jest wieczór, to w Australii musi być środek nocy.

- Halo?

- Juliet? To ja, Sean.

- Sean! - To był dla niej teraz głos z innego świata. - Która tam jest godzina?

- Późna. Ale nie mogłem spać. Chciałem z tobą pogadać. Twój mama powiedziała mi, że przyjeżdżasz do domu w przyszłym tygodniu.

Juliet zamarła. Do domu. Do matki i ojca, którzy przez całe jej życie ukrywali przed nią, iż ojciec jest mordercą. Jeszcze kilka godzin wcześniej Australia wydawała się bezpiecznym schronieniem, dokąd mogła uciec od tego, co jej zrobił Dan i naładować baterie w towarzystwie ludzi, którzy ją kochali. Lecz teraz nie miała już pewności, czy chce tam wracać.

OKO ZA OKO

770

- Juliet! Jesteś tam? Cholernie za tobą tęsknię! Twoja matka powiedziała, że wyjedzie po ciebie na lotnisko, ale dogadałem się z nią, że ja to zrobię. Znasz już godzinę przylotu?

- Nie. - Uczucie klaustrofobii było wszechogarniające. Tutaj oszukiwał ją Dan. Tam oszukiwali ją rodzice. Sean chce ją przywiązać. Babcia ciężko chora. Ciocia Catherine udaje jej przyjaciółkę i kłamie. - Sean, zmieniłam zdanie. Chyba jeszcze nie wrócę do domu. A przynajmniej nie od razu. Może najpierw odwiedzę Stany Zjednoczone.

- Stany Zjednoczone? - W jego głosie pobrzmiwał szok.

- Tak. Potrzebuję trochę czasu dla samej siebie.

- A co z twoją pracą?

- Och, to mnie w tej chwili nie obchodzi. To mjrnniejsze z moich zmartwień. Przepraszam cię, Sean, ale wszystko się pogmatwało i naprawdę nie wiem, co robić.

- Czy twoi rodzice wiedzą o tej zmianie planów?

Boże, pomyślała Juliet. On naprawdę zachowuje się jak stateczny czterdziestolatek. Te jego długie włosy to tylko kamuflaż. Pod spodem jest takim konformistą, że aż nie do wiary. Ale na myśl o rozmowie z rodzicami poczuła mdłości.

- Nie, nie wiedzą. Czy mógłbyś im to powiedzieć? Nie chcę teraz z nimi rozmawiać. Proszę, nie pytaj o nic. I tak ci teraz nie mogę wyjaśnić. Po prostu nie chcę z nimi rozmawiać. - Zdawała sobie sprawę, że podnosi głos, ale nie umiała tego powstrzymać. Zresztą, nie obchodziło jej to.

- Czy coś się stało, Ju?

Roześmiała się, ale śmiech ten zabrzmiał raczej jak szloch. Czy coś się stało? Właściwie nic wielkiego. Tyle że zawalił mi się świat. Nic poza tym.

- Nie - usłyszała swój głos. - Nic się nie stało. Chcę po prostu mieć trochę czasu dla siebie. W tej chwili nie jestem pewna niczego. Słuchaj, muszę już kończyć. Dziękuję za telefon. I... -

Zawahała się, nie wiedząc, jak to powiedzieć, żeby Sean pojął, że wszystko skończone. - Nie czekaj na mnie!

- Juliet!

Janet Tanner

Dziewczyna już odłożyła słuchawkę.

I tak byś mnie już nie chciał, Sean, powiedziała sobie. Gdybyś poznał całą prawdę... Byłeś podenerwowany, kiedy ci opowiedziałam o babci, która odsiedziała wyrok za zabicie stryja Louisa. A jakbym ci powiedziała całą prawdę...

Odwróciła się od telefonu i u podnóża schodów zobaczyła Deborę.

- Słyszałam trochę niechęć... - bąknęła Debora. - Zdaje się, że jesteś bardzo przygnębiona, Juliet.

- Można to tak ująć.

- Chciałabyś o tym porozmawiać?

- Nie! Nie, dziękuję ci bardzo.

Przebiegła obok Debory i pośpieszyła do swego pokoju.

Było kilka minut po ósmej, kiedy Dan zajechał na parking przed pubem. Rozejrzał się w poszukiwaniu Citroena Phila Goulda, ale nigdzie go nie dostrzegł. Nie musiało to jeszcze oznaczać, że inspektora nie ma. Mógł przecież przyjechać nieoznakowanym wozem policyjnym. Dan wszedł do baru, stanął przy kontuarze i zamówił szkocką, rozglądając się cały czas wokół. Zauważył kilka znajomych twarzy, skinął im głową, ale nigdzie nie było tego, kogo szukał. Cholera! To by było o wiele łatwiejsze, niż dzwonić ponownie do Goulda i znowu go prosić o spotkanie. Musiałby wówczas tłumaczyć się staremu inspektorowi ze swych nieprzerwanych zainteresowań sprawą Langlois, a nie miał pojęcia, co właściwie miałby do powiedzenia. A prawda była taka, że miał nadzieję znaleźć sposób na udowodnienie, iż i Sophia, i Catherine mylą się, sądząc, że to Robin zabił Louisa.

Stojąc z drinkiem w dłoni Dan kolejny raz rozpamiętywał informacje, jakie przekazała mu przez telefon Catherine, stale usiłując znaleźć w jej wypowiedzi słaby punkt. Niestety. Wszystko

do siebie pasowało. Sophia nigdy w życiu nie wzięłaby na siebie winy i nie odsiedziała wyroku, gdyby nie była pewna swych

OKO ZA OKO

557

domysłów. Musiała mieć pewność, że jej poświęcenie jest konieczne. Była tak zdeterminowana chronić Robina, że zabroniła swemu adwokatowi przeprowadzić jakakolwiek sensowną formę obrony i praktycznie zablokowała śledztwo w sprawie strzelaniny. Niestety, wszystko aż za dobrze trzymało się kupy. Nie było tu słabych punktów. A jednak...

Dan był pewny, że jeszcze nie wie o wszystkim. Nie miał pojęcia jednak, skąd ta pewność. Czy to policyjny szósty zmysł, czy podświadome dążenie do pomagania Juliet?

Miał już tylko jeden trop. Wypowiedź Raife'a Pearsona. „Nie każdy jest taki, na jakiego wygląda.” Może Phil Gould miałby coś na ten temat do powiedzenia, ale go nie było. Dan postanowił kupić jeszcze jednego drinka i zaczekać.

Już miał sobie dać spokój, kiedy w drzwiach baru pojawił się inspektor. Stary policjant podszedł wprost do kontuaru i zamówił kufel piwa.

- Dobry wieczór, panie... Phil.

Gould zerknął na Dana, ale nie przerywał picia, póki nie doszedł do połowy. Wtedy odsunął kufel od ust, westchnął z zadowoleniem i uśmiechnął się do Dana.

- Chłopie! Jak mi tego było trzeba! Pamiętasz jeszcze, jak cudownie smakuje piwo po czterech godzinach przesłuchiwania?

- Pamiętam aż za dobrze - mruknął Dan.

- Czyżbym dosłyszał nutę tęsknoty?

- Możliwe. Co jakiś czas miewam takie nastroje. I wtedy sobie przypominam, jak mnie potraktowali.

- Nie mieli wyboru, Dan.

- **Wtedy tak nie mówileś.**
- **Nie, wtedy się wkurzyłem i usiłowałem o ciebie walczyć. Teraz jestem chyba mądrzejszy. A tak przy okazji, jak tam twoja noga?**
- **W porządku. Nie ma śladów po kontuzji.**
- **A nie myślałeś o powrocie do policji?**
- **Po tym, jak w wieku dwudziestu siedmiu lat dowiedziałem się, że nadaję się tylko na śmietnik?**

Janet Tanner

- Ja bym się zastanowił. Według mnie jesteś urodzonym gliną. Jesteś szczęśliwy tylko wtedy, kiedy chwytasz trop i węszysz.

Dan poruszył się na stołku. To, co powiedział Gould, niebezpiecznie blisko zahaczało o jego własne skryte marzenia. Teraz przynajmniej pojawiła się okazja do zadania pytania, na które Gould mógł znać odpowiedź.

- Dobrze ci mówić - mruknął. - Ale skoro przy węszeniu jesteśmy, pamiętasz, jak ci mówiłem o Juliet Langlois, wnuczce Sophii?

- O tej ślicznotce, która miała z ciebie znowu zrobić porządnego człowieka? Taaak. Udało się jej?

- Nie, i chyba jej na tym nie zależy. Zniszczyłem chyba wszystkie swoje szanse.

- No, Dan, czyżbyś wyszedł z wprawy? - zaszydził inspektor.

- No, no! Dziewczyna puszcza w trąbę Dana Deffainsa! Trudno w to uwierzyć! - zachichotał.

- Kpij sobie, kpij, ale to prawda - rzekł krótko Dan. - Chciałem z tobą porozmawiać o Juliet.

Wiesz, ona poszła do Raife'a Pearsona.

Phil starł palcami pianę z wąsów.

- Chryste, Dan, chyba jej nie powiedzialesz?!

- Oczywiście że nie. Sama to jakoś wykopała - skłamał Dan.

- Niewiele zwojowała u Raife'a, tyle że powiedział jej coś śmiesznego. „Nie każdy jest taki, na jakiego wygląda”. Nie wiesz przypadkiem, kogo mógł mieć na myśli?

- Brzmi to jakoś melodramatycznie. Nie, nie mam pojęcia.

- No nic, nieważne.

Poplotkowali jeszcze jakiś czas, po czym Dan zaczął się żegnać. Phil Gould złapał go za ramię.

- Dan - powiedział poważnie. - Napisz podanie o powrót do policji.

Dan miał ochotę parsknąć, ale spojrzał w twarz starszego mężczyzny i zrozumiał, że inspektor mówi najpoważniej w świecie.

- Po co miałbym to robić?

OKO ZA OKO

559

Zapadła chwila ciężkiego milczenia. Wreszcie Gould poklepał Dana po ramieniu.

- Zrobisz, jak uważasz, ale sam wiesz, co mam na myśli. I że mam rację.

Dan siedział w samochodzie na parkingu przed pubem i myślał. Z pracą w policji łączyło go wszystko, ale poczucie krzywdy było niezwykle mocne. Jednakże sama myśl o powtórny zatrudnieniu w policji wywołała szybsze krążenie krwi.

Pomyślę o tym, obiecał sobie. Może to rzeczywiście ma sens. Ale to później. Teraz skończę to, co robię.

Uruchomił silnik i ruszył w stronę Jersey Lily Night Club. Raife może mu nic nie powiedzieć, może go po prostu przepędzić, ale i tak tam pojedzie. I zapyta, co Pearson miał na myśli. A raczej kogo.

Rozdział trzydziesty siódmy

Po kolacji Juliet uciekła do swojego pokoju, skarżąc się na ból głowy. Szykowała się do pójścia do łóżka, kiedy rozległo się pukanie i do pokoju zajrzała Debora.

- Chcesz może aspirynę czy coś takiego? - spytała.

- Nie trzeba... - zaczęła Juliet, lecz zmieniła zdanie. - Zresztą, może to i dobry pomysł? Głowa mnie boli okropnie!

Debbie zniknęła na parę chwil, a gdy wróciła, miała w rękach fiolkę z tabletkami i szklanekę wody.

- Masz. Na twoim miejscu wzięłabym trzy. Wyglądasz naprawdę kiepsko.

Juliet posłusznie połknęła pastylki i w milczeniu oddała Deborze szklanekę.

- Juliet, co się stało? - spytała miękko Debbie.

Juliet bezmyślnie wzięła do ręki szczotkę i zaczęła rozczesywać włosy. Wiedziała, że Debora jej się przygląda, zdawała sobie też sprawę, że musi w końcu z kimś porozmawiać, bo inaczej oszaleje. A Debora w końcu jest bodaj czy nie najbliższą Sophii osobą.

- Przepraszam cię, Deboro, ale miałam okropny dzień.

- Z powodu Dan Deffainsa? Przepraszam, że ci powiedziałam, ale musiałam.

- Nie, to nie chodzi o Dana. O coś dużo gorszego.

- Gorszego?

- Tak. - Dziewczyna na chwilę zamilkła, a gdy Debbie

OKO ZA OKO

561

również się nie odezwała, Juliet zaczęła mówić: - Wiesz dobrze, że nie wierzyłam ani przez chwilę, że to babcia zabiła Louisa. Wiesz, że chciałam się dowiedzieć prawdy. No więc dziś się dowiedziałam.

- Ach tak... - Głos Debory był dziwnie bezbarwny, ale Juliet nic nie zauważyła.

- Tak. I bardzo tego żałuję. Od początku wiedziałam, że babcia przyznała się do zabójstwa, żeby kogoś osłonić. Ale nigdy nie przypuszczałam, że osłaniała właśnie mojego ojca.

- Twojego ojca?!

Reakcja Debbie była tak dziwna, głos tak niezwykle, że Juliet oderwała wzrok od swego odbicia w lustrze i spojrzała na ciotkę. Debora wyglądała jak posąg. Zupełnie jakby ją ktoś zamienił w kamień.

A więc Debora nie wiedziała, pomyślała Juliet No cóż, teraz już wie.

- Tak, wiem, że to okropne - powiedziała drżącym głosem. - Ale teraz mnie chyba rozumiesz. To niezbyt miłe dowiedzieć się, że jest się dzieckiem mordercy.

- Nie, Juliet - powiedziała Debbie. Miała odległy, nieobecny, a jednak wręcz oziębły głos. - To wszystko nie tak.

- Chciałabym, żebyś miała rację. Ale ja już wiem wszystko...

- Juliet! - Debbie schwyciła dziewczynę za ramię z taką siłą, że Juliet natychmiast zamilkła. - Powiedziałam ci, że to wszystko nie tak. I nie mówię tego po to, żeby ci poprawić humor. Mówię, bo wiem. To nie Robin zabił Louisa.

- A więc... - bąknęła przerażona Juliet. - A więc jednak to David?

- Nie, Juliet. - Głos Debbie był teraz spokojny i łagodny, jakby matka przekonywała niepewne dziecko. - Ani Robin, ani David. To ja.

Przez bardzo długą chwilę Juliet wpatrywała się w nią z wyrazem niedowierzania na twarzy. Czula, jak opuszczają ją wszystkie siły.

Janet Tanner

- Ty? - szepnęła.

- Tak - odparła spokojnie Debbie. - Ja zastrzeliłam Louisa. - Mówiła teraz cichym, niskim głosem a jej twarz była śmiertelnie blada. - Nie patrz na mnie w ten sposób, Juliet. Kochałam go tak bardzo, a on... już mnie nie chciał. Miał romans z twoją matką.

- Ale przecież nie zabija się tylko dlatego, że ktoś kogoś zdradza! - przerwała jej zdenerwowana do nieprzytomności Juliet.

- Nie wiesz, jak to było - odrzekła chłodno Debbie. - Nic nie wiesz. Ty zawsze żyłaś w luksusie, spokoju i miłości. I nie wiesz, jaką to wszystko ma wartość. Ja tego nie miałam. Spotkanie Louisa było dla mnie największym szczęściem na świecie. A przynajmniej tak myślałam. Nie dostrzegałam, kim był, byłam ślepa. A potem nagle zrozumiałam, że tak naprawdę nic dla niego nie znaczę, że on mnie wcale nie chce. Chciał mnie tylko wykorzystać. Do szantażu.

- Frank de Val - wyszeptała Juliet.

- Tak. Tamtego wieczoru zabrał mnie do jego domu. To było takie upokarzające! A potem pojechaliśmy do La Grange. Jeszcze nadal miałam nadzieję, że poznam jego rodzinę, że zostanę zaakceptowana... Byłam naiwna...

Urwała, przyrównując sobie wydarzenia tej nocy. Hotel Pomme d'Or, wizytę u Raife'a, spotkanie z senatorem, awanturę z wściekłym Robinem. Mimo upływu lat nadal czuła smak żółci na języku, uczucie poniżenia, wykorzystania, ból... Swą miłość do Louisa, lęk w czasie gwałtownej kłótni mężczyzn, strach o własną przyszłość...

Po wyjściu wściekłego Robina, który tak silnie trzasnął drzwiami, że omal nie wypadły z futryny, nastrój Louisa jeszcze bardziej się zmienił.

- Chcesz więc obejrzeć La Grange? - rzucił w lrierunku Debbie i nie czekając na odpowiedź złapał ją za rękę i powlókł ją za sobą. Oprowadził ją po niemal wszystkich pomieszczeniach, a

dziewczyna cały czas wiedziała, co chciał jej przez to powiedzieć: „Patrz, to jest mój dom, niedługo będzie tylko mój, ale przyjrzyj się dobrze, bo już nigdy go nie zobaczysz.”

OKO ZA OKO

780

Szła za nim odrętwiała, nie reagując nawet wtedy, gdy w salonie rzucił ją na podłogę na cudowny, bezcenny dywan Aubusson i niemal zgwałcił. To nie była miłość. Louis był cały czas zimny, jego ruchy i pieszczoty były niemal mechaniczne.

Potem Debbie poszła do łazienki, ale zanim się umyła, zwymiotowała. Gdy wyszła, usłyszała głos Louisa. Rozmawiał przez telefon. Chciała mu powiedzieć, żeby ją już zabrał do domu, że zniknie, z jego życia i już nigdy nie pozwoli mu się wykorzystać. I wtedy usłyszała, co Louis mówi do słuchawki.

- Tak, kochanie. Niedługo się spotkamy. Jutro? Dobrze. Zamarła. Dopiero co się dowiedziała, że Louis nie jest jej wierny, że ma romans ze swą bratową. Teraz jednak, kiedy w jej obecności umawiał się na randkę z inną, przeżyła szok.

Louis odwrócił się, zerknął na Debbie i posłał jej uśmiech, który przypominał grymas dzikiego zwierzęcia. A do słuchawki mruknął:

- Tak, kochanie. Ja też cię kocham Kociaku.

Kociaku. Kociaku. Debbie zawsze była dla niego Kociakiem. Jedynym, była tego pewna przez cały czas. Okazało się jednak, że to nieprawda. Nagle dziewczyna przestała nad sobą panować. Wcześniej, oprowadzając ją po domu, Louis pokazał jej mały rewolwer, który trzymał w jednej z szuflad w gabinecie. Jak zawsze się nią bawił, bo nie widziała innego powodu, dla którego miałby jej pokazywać broń. Przebiegła teraz przez pokój, dopadła biurka, wyszarpnęła z szuflady rewolwer i wycelowała w niego.

- Odlóż słuchawkę, Louis!

Louis najpierw się roześmiał, a potem zbladł. Przypomnił sobie, że broń jest naładowana.

- Muszę kończyć. Zadzwoń do ciebie jutro - mruknął pośpiesznie w słuchawkę i wyłączył się.

- Kto to był? ~ spytała Debbie.

- Nikt. Nie wygłupiaj się. Daj mi ten rewolwer.

- Kto to był? Molly?

- Nie. Słuchaj, Kociaku, daj mi to, to nie jest zabawka.

- Nie nazywaj mnie Kociakiem! Nienawidzę cię, Louis!

- Nie bądź melodramatyczna. - Był blady.

Janet Tanner

- Wykorzystałeś mnie! - zaszlochala. - Jak mogłeś, Louis? Kochałam cię tak bardzo! Ile innych kobiet... Ile ich jest?

- Uspokój się, na miłość boską! Uspokój się!

- Jestem spokojna.

To nie była prawda. Trzęsa się cała i szlochala. -Kociaku...

- Nie nazywaj mnie...

I wtedy właśnie rewolwer wypalił.

Nie chciała strzelić. Chciała go tylko nastraszyć. Wrzasnęła, gdy zabrzmiał strzał, i nie przestała krzyczeć, kiedy z jego klatki piersiowej wytrysnął strumień krwi. Louis powoli opadł na podłogę, bezwładny jak worek ziemniaków, a na twarzy miał wyraz ogromnego zdumienia.

Zacharczał i umilkł.

- Louis! Boże jedyny, Louis!

Debbie rzuciła rewolwer i uklękła obok Louisa.

Po chwili krew przestała płynąć. Louis nie żył. Dziewczyna znowu krzyknęła, uświadamiając sobie, co zrobiła. Potem poderwała się na nogi, nagle pełna obrzydzenia. Cofnęła się o kilka kroków, zasłoniła twarz dłońmi, po czym odwróciła się, przebiegła przez hall i dopadła drzwi. Przez chwilę nie mogła znaleźć klamki, ale wreszcie otworzyła drzwi i pobiegła do auta Louisa. Listopadowa noc była zimna i wilgotna, lecz Debora nie zauważyła tego. Wskoczyła do samochodu za kierownicę. Louis zostawił kluczyki w stacyjce; przekręciła ją, puściła sprzęgło i samochód wystrzelił do przodu.

Nie mogła pojąć, jakim cudem tej nocy nie zatrzymała jej policja. Nigdy nie była dobrym kierowcą, nie zdała egzaminu na prawo jazdy, choć w Londynie miała swój samochód. A teraz rozpacz sprawiła, że na nic nie zważała. Prowadziła jak szalona. Opony piszczały, silnik wyl na

najwyższych obrotach, choć dziewczyna nie wiedziała, dokąd właściwie jedzie. Byle dalej od La Grange. Poza St Helier. Byle dalej.

Miała pokój w Pomme d'Or. Obok był publiczny parking. Jeśli zostawi tam samochód, nikt nie skojarzy jej z Louisem ani z jego autem.

OKO ZA OKO

783

Na parkingu były na szczęście wolne miejsca. Debbie zamknęła Porscha i wyrzuciła kluczyki do kanału ściekowego. Potem pobiegła do hotelu.

Wychodząc po południu z hotelu zapomniała oddać klucze w recepcji, więc nikt jej nie zauważył, kiedy przeszła nerwowo przez hall i wbiegła na schody. Nie umiałaby teraz z nikim rozmawiać, nawet z recepcjonistą.

Już w pokoju oparła się na chwilę o drzwi, usiłując pozbierać resztki przytomności. Potem wzięła prysznic. Gdy gorąca woda pomogła rozluźnić napięte do granic możliwości mięśnie i nerwy, rozplakała się.

Połknęła kilka tabletek nasennych i położyła się do łóżka. Zasnęła niemal natychmiast.

Nazajutrz, kiedy cała wyspa żyła tylko wieściami o skandalu w rodzinie Langlois, Debbie odleciała samolotem do Londynu. Nie wiedziała, jaki chaos zostawia za sobą w La Grange.

Nie wierzę ci - powiedziała uparcie Juliet. - Zmyśliłaś to wszystko.

- Niestety nie, choć chciałabym, żeby tak było. Zastrzeliłam Louisa, chociaż tego nie chciałam. Szalałam na jego punkcie. I to jest właśnie najbardziej ironiczny aspekt. Praktycznie wszyscy go nienawidzili. O jego śmierć modliło się wiele osób. Właściwie poza jego matką i może jeszcze Molly byłam jedynym człowiekiem na ziemi, który naprawdę opłakiwał Louisa. Ale to ja go zabiłam.

- Rozumiem - Juliet pograżyła się w myślach. Tak długo i tak usilnie poszukiwała kogoś, kto nienawidził Louisa tak bardzo, by go zabić. A zapomniała, że miłość może być nawet silniejszym

motywem. Jednakże jeszcze nie wszystko było jasne. - Ty zabiłaś Louisa - powiedziała powoli - ale babcia się przyznała. Dlaczego to zrobiła?

- Bo sądziła, że to Robin, twój ojciec, go zastrzelił.

- Ale ona nie tylko się przyznała. Poszła za to do więzienia. Jak mogłaś do tego dopuścić?

Janet Tanner

Debbie podeszła do okna i odwróciła wzrok od Juliet. Nie czuła się już światową, wyrafinowaną damą. Może sprawiło to jej własne opowiadanie, ale znów była młodą, bezbronną dziewczyną, jak kiedyś.

- Nigdy sobie tego nie wybaczyłam - odparła. - Przez całe życie pracowałam, żeby jej to jakoś wynagrodzić.

- Boże, Deboro! Ona poszła zamiast ciebie do więzienia! Nie wiedziałaś, co się dzieje? Dlaczego się nie zgłosiłaś na policję?

- Nie wiedziałam, że Sophia wzięła na siebie winę. W Londynie tylko się spakowałam i poleciałam do Ameryki, do Las Vegas, gdzie pracowała moja dawna koleżanka z klubu. A tam wiadomości o śmierci Louisa nie były podawane. Zanim się dowiedziałam, było już po wszystkim i Sophię skazano. Nie rozumiałam tego wszystkiego, nie wiedziałam, dlaczego się przyznała. Wróciłam, żeby wyjaśnić sprawę, i wówczas poznałam Davida.

- Na miłość boską! - wrzasnęła wyprowadzona z równowagi Juliet. - To jest obrzydliwe! To znaczy, że nie tylko pozwoliłaś, żeby Sophia poszła za ciebie do więzienia, ale jeszcze za chwilę wkręciłaś się do rodziny, wychodząc za Davida! Ohyda! Czas już chyba, żeby babcia się wszystkiego o tobie dowiedziała! Niech wie, kogo chowa pod swoim dachem!

- Juliet! - powiedziała spokojnie Debora, odwracając się od okna i patrząc dziewczynie w oczy. - Ty nadal nic nie rozumiesz. Twoja babcia wie. Zawsze wiedziała. No, niemal zawsze.

- Ale przecież przyznała się, bo myślała, że tata...

- Zgadza się. Robin właśnie tamtego wieczoru dowiedział się o romansie Louisa i Molly i wściekły jak nigdy pognął rozmówić się z Louisem. Krzyczał, że go zabije. Molly zadzwoniła do La Grange, żeby ostrzec Louisa, a telefon odebrała Sophia, która dopiero co znalazła zwłoki. Po

rozmowie z Molly doszła do wniosku, że to Robin zabił Louisa i postanowiła wziąć winę na siebie.

- Ale dlaczego nie odwołała wszystkiego, kiedy się dowiedziała, że to ty?

OKO ZA OKO

567

- O to już chyba musisz spytać Sophię.

- Nie! Ty mi odpowiedz! Co z ciebie za człowiek, Deboro?!

- Wtedy byłem bardzo młoda, bardzo samotna i bardzo przestraszona. Poszłam do więzienia na spotkanie z Sophią. Powiedziałam jej wszystko, a ona na to, że nie chce o niczym słyszeć.

Poprosiła mnie tylko, żebym nie zrywała z nią kontaktów. Odwiedzałam ją więc regularnie, a jak już wróciła na Jersey, zapraszała mnie często. Poznałam Davida i zakochałam się w nim.

- A babci to nie przeszkadzało?

- Ona jest wyjątkową osobą, Juliet. Nie, nie przeszkadzało jej to. Była wręcz bardzo zadowolona. Stałyśmy się sobie bardzo bliskie.

- A David wie?

- Nie. I mam nadzieję, że się nigdy nie dowie. Nie ma sensu go wtajemniczać. Takie przynajmniej jest zdanie Sophii. I moje też. A kimże ty jesteś, Juliet, żeby nas osądzać?

Wstrząśnięta Juliet nie znalazła na to odpowiedzi.

Kochanie moje! - szepnęła Sophia. - Tak mi przykro, że to wszystko tak przeżywasz!

Była w sypialni z Juliet. Debora delikatnie poinformowała ją o tym, co zaszło, po czym zostawiła wnuczkę z babcią sam na sam.

- Nic nie rozumiem, babciu! Jak mogłaś dopuścić do tego, żeby ludzie uznali cię za morderczynię? Przecież wiedziałaś...

- Nie od razu, kochanie, a gdy się już dowiedziałam, miałam jeszcze więcej powodów, by nic nie zmieniać. Pamiętaj, że Debora była wtedy bardzo, bardzo młoda, przerażona i zagubiona. Jej matka nigdy jej nie chciała, a ojca nie miała. Rozumiałam Deborę.
- Jak to? Przecież ty się wychowywałaś w szczęśliwej rodzinie!
- Owszem. Ale zapewniam cię, że doskonale wiedziałam, co to znaczy być przerażoną i samotną. Sama omal kiedyś nie zastrzeliłam człowieka - i to z premedytacją, nie przypadkiem. Czasami żałuję, że tego nie zrobiłam. - Urwała, a Juliet

Janet Tanner

natychmiast zroziuniała, że babka myśli o Niemcu, który ją zgwałcił w czasie wojny. - Poza tym czułam się częściowo odpowiedzialna za to, co się stało. Louis był moim synem, a w tak straszny sposób potraktował tę biedną dziewczynę. Wstydziałam się za niego. Nie byłam w stanie winić Debory za jej czyn, bo uznałam, że Louis sam się prosił o coś takiego. Zresztą jestem pewna, że Debora naprawdę zastrzeliła go niechcący. Na koniec została sprawa kary - ja dostałam naprawdę bardzo łagodny wyrok, z pewnością co najmniej kilka razy łagodniejszy od tego, który by groził Debbie. Jak by nie patrzeć, sąd jednak zwraca uwagę na osobę i okoliczności, a ja... byłam dość znana...

- A dlaczego moi rodzice wyjechali do Australii? - spytała Juliet po dłuższej chwili.

- Najzwyczajniej w świecie uciekli od tego wszystkiego. Od wspomnień, wstydu, własnych błędów... Chcieli zacząć życie od nowa. Rozumiałam ich od początku. A nie spotykaliśmy się, bo... po tym, jak posądziłam Robina, powinnam właściwie go przeprosić, prawda? A nie mogłam, nie ujawniając całej prawdy

o Deborze.

- Babciu, ale mogłabyś oczyścić swoje imię...

- Kochanie, to naprawdę nie jest dla mnie żadnym problemem. Nie obchodzi mnie, co mówią czy myślą ludzie. Czasami wydaje mi się, że gdybym umiała tak podejść do sprawy poczęcia Louisa, nie doszłoby do tego wszystkiego... Ale popatrz - na koniec okazuje się, że to właśnie ja wyszłam na tym najlepiej. Mam cudowną synową, z którą łączą mnie więzy o wiele głębsze i silniejsze od więzów krwi. Tak więc proszę cię, daj już temu wszystkiemu spokój.

Juliet nie była przekonana, ale... Rzeczywiście babka na tym zyskała. Dzięki jej wielkoduszności wszyscy ją kochali. A w końcu tylko to liczy się naprawdę.

Rozdział trzydziesty ósmy

Wyjeżdżam do domu w poniedziałek, babciu - powiedziała Juliet. - Już zabukowałam samolot.

- Już? Tak szybko?

- Nie mogę przecież tu zostać na zawsze.

- Dlaczego?

- No... - Zawahała się. Nie mogła powiedzieć Sophii, że to z powodu Dana i sposobu, w jaki ją wykorzystał. Sophia również byłaby tym urażona.

Sophia wzięła ją za rękę.

- Dobrze już, kochanie, nie musisz mi niczego tłumaczyć. Masz swoje życie. Obiecuj mi tylko, że będziesz często przyjeżdżać.

- Telefon do ciebie, Juliet! - zawołała z hallu Debora. Nadal czuła się w obecności Juliet niezręcznie, choć bardzo się starała tego nie okazywać.

- Dzięki! - odkrzyknęła Juliet. Ona także nie czuła się zupełnie swobodnie. Nie umiała tak szybko przestawić się na inny sposób myślenia. Podeszła do telefonu.

- Halo?

- Juliet?

Od razu rozpoznała ten głos i zaczęła drżeć, częściowo z gniewu, a częściowo z powodu reakcji, jaką nadal wywoływał w niej Dan.

570

Janet Tanner

- **Przykro mi, Dan, ale chyba już jasno wszystko powiedziałam.**
 - **Aż za bardzo - odparł ponuro. - Nie dałaś mi szansy na jakiegokolwiek wyjaśnienie.**
 - **Dziwi cię to? Wykorzystałeś mnie, Dan. Nie wiem, dlaczego dzwonisz, ale chcę, żebyś wiedział, że nie zmieniłam zdania. Uważam, że to, co zrobiłeś, było odrażające.**
 - **Wiem, co myślisz, i nie mam zamiaru się teraz z tobą kłócić.**
 - **Cieszy mnie to.**
 - **Ale muszę się z tobą spotkać. Z wielu powodów.**
 - **Dan, to nie ma sensu. W poniedziałek jadę do domu.**
- Dan poczuł ucisk w piersiach, ale postanowił twardo trzymać się przyjętych założeń.**
- **Nie mogę ci tego opowiedzieć przez telefon. A przynajmniej nie mam takiego zamiaru.**
- Pamiętasz ten pub, gdzie jedliśmy lunch? Będę tam dziś na ciebie czekał. O ósmej.**
- **Dan...**
 - **O ósmej - odparł i przerwał połączenie.**
- Pełna mieszanych uczuć Juliet pojechała jednak do pubu. Nie wiedziała, czy Dan szuka dla siebie ostatniej szansy, ale postanowiła i tak mu jej nie dać. ...**
- Czekał na nią obok baru. Na jego widok Juliet poczuła, jak jej się uginają nogi. Szybko zrozumiała, że oszukiwała samą siebie. Nie będzie jej łatwo zapomnieć o tym człowieku.**
- **Juliet! Przyszłaś. - To było niemal pytanie. Był zaskoczony.**
 - **Przecież mnie poprosiłeś.**
 - **Prawdę mówiąc nie spodziewałem się, że przyjdiesz. Po tym, co mi powiedziałaś... Ale ogromnie się cieszę, że jesteś. Drinka?**
 - **Sok pomarańczowy. - Widząc zaskoczenie w jego oczach pośpieszyła z wyjaśnieniem: - Chcę mieć jasną głowę. I nie myśl sobie, że mógłbyś mnie zmiękczyć alkoholem.**

- W porządku. - Zamówił sok pomarańczowy i whisky.

- No więc? - powiedziała. - Co mi chciałeś powiedzieć?

OKO ZA OKO

791

Dan bez słowa poprowadził ją w kąt sali, gdzie mogli swobodnie rozmawiać.

- Po pierwsze przeprosić. Przykro mi, że musiałś dowiedzieć się o mnie wszystkiego w taki sposób.

- Zapewniam cię, że mnie było bardziej przykro.

- Powinienem był powiedzieć ci całą prawdę, ale odkładałem to na odpowiedniejszą chwilę, która nie nadeszła. Bałem się... Bałem się, że cię stracę. Wiem, że to głupio brzmi, ale to prawda. Dziewczynie serce waliło jak młotem. Odwróciła od niego wzrok.

- Juliet! - ciągnął Dan po chwili. - Przysięgam, że nie mam najmniejszego zamiaru napisać o twojej rodzinie choćby słowa. Owszem, z początku myślałem o zrobieniu z tego wspaniałego reportażu, ale potem mi się odmieniło. Zrozumiałem, jak wiele krzywdy mógłbym wyrządzić. I to nie temu, kto zabił. Winny zawsze musi ponieść karę, taką filozofię wyznaję od zawsze. Ale zrozumiałem, że niewinni także zostaną pokrzywdzeni, a to by było niewybaczalne. Jednak nie po to cię prosiłem o spotkanie, żeby ci mówić o moich wyrzutach sumienia.

- Zadziwiasz mnie! Myślałam, że żeby pisać takie reportaże, trzeba mieć skórę jak nosorożec. Dan postanowił, że nie będzie reagował na jej zaczepki; wtedy może zdoła jej wszystko powiedzieć.

- Uważam, że powinnaś o czymś wiedzieć. Pamiętasz, co ci powiedział Raife Pearson?

- Myślałam, że już skończyłeś dochodzenie.

- Bo tak jest. Wszystkie materiały już spaliłem. To jest coś innego. Pewnie mi nie wierzysz, trudno. Czas pokaże, że mówię szczerze. Ale powinnaś wiedzieć, że Raife mówił wtedy o Debo-rze. Wiesz, ona знаła Louisa. Tej nocy, kiedy zginał, była z nim w Jersey Lily.

- Wiem - odparła cicho Juliet.

- Wiesz?

- Tak. I nie mam ochoty o tym rozmawiać. - Juliet nagle z zaskoczeniem zauważyła, że sama osłania Deborę. - Zostawmy to, dobrze?

Janet Tanner

Zapadła cisza, Juliet obserwowała Dana, z którego najwyraźniej uszło powietrze. Ale nie czuła satysfakcji. Prawdę mówiąc, miała nadzieję, że zaprosił ją, by jej powiedzieć, że naprawdę coś do niej czuje.

- No, skoro to wszystko, to już pójdę - oświadczyła chłodno. - Powinnam trochę pobyć z rodziną. Niedługo wyjeżdżam.

- Więc naprawdę wyjeżdżasz?

- Tak. Czeka na mnie praca i narzeczony. - Nie wiedziała, dlaczego znowu na samą myśl o Seanie poczuła się jak w pułapce.

- Aha. Twój narzeczony. - W głosie Dana zabrzmiało coś gorzkiego. Uznała to za sarkazm. - No cóż, nie będę ci przeszkadzał w powrocie do ludzi, którzy najwyraźniej są dla ciebie ważni. Spojrzała na niego, na jego przystojną, męską twarz i zachciało jej się płakać, ale powiedziała sobie, że znów daje z siebie zrobić idiotkę. To część jego zawodowych trików, powtarzała w myślach. Nawet uwodzenie dziewczyn służy jego pracy.

Wstała, powstrzymując łzy.

- Żegnaj, Dan.

Odwróciła się i wyszła z pubu. Powietrze na zewnątrz pachniało cudowną, świeżą wiosną. Mały rogalik księżycy wisiał nad purpurową luną zachodzącego słońca. Przebiegła przez parking, przeszukując po drodze torebkę. Wyjęła kluczyki; dłoń jej się tak trzęsła, że nie zdołała ich włożyć do zamka. Łzy trysnęły strumieniem. Oparła się o dach Austina, schowała twarz w dłoniach i rozplakała się.

Dan odprowadził ją wzrokiem do drzwi. Czuł się zupełnie przegrany. Nie zdołał jej powiedzieć nic z tego, co sobie zaplanował. Nie pozwoliła mu. W dodatku jak idiota wyrwał się z tą informacją o Deborze. Juliet natychmiast pomyślała, że on nadal prowadzi dochodzenie. A on

chciał tylko... Cholera! Cóż właściwie chciał jej powiedzieć?! Że ją kocha? Nawet teraz nie wiedziałby, jak to ubrać w słowa. Nie potrafił. Co innego

OKO ZA OKO

794

rozmawiać z dziewczynami, a co innego powiedzieć coś, co wyznał tylko Mariannę.

A jednak była to prawda. Kochał ją.

Na miłość boską, jak będziesz tu tak siedział na dupie, tępy idioto, to będziesz mógł mieć pretensje tylko do siebie!

Z głośnym stukiem odstawił szklankę na stół i pognął do drzwi. Parking był bezludny. Cholera!

Za późno. Odjechała.

I wtedy ją zobaczył. Opartą o dach małego samochodu, z twarzą ukrytą w dłoniach. Pobiegł do niej.

- Juliet!

Podniosła na niego oczy. Ze zdziwieniem dostrzegł, że dziewczyna płacze. Chciał ją objąć, otrzeć jej łzy... Ale nie potrafił. Zamiast tego odezwał się niezręcznie:

- Juliet! Nie wyjeżdżaj! Jeszcze nie! Tyle jeszcze chcę ci powiedzieć!

Juliet przełknęła łzy.

- Naprawdę? Pokiwał głową.

- Tak. I przysięgam, że nie będę mówił o niczym, co ma związek z twoją babcią. Chodzi tylko o ciebie... i o mnie. Wiem, że to wszystko się źle zaczęło, ale nie wyjeżdżaj w ten sposób. Ja... -

Urwał. Znowu nie potrafił się wysłowić.

- Och, Dan - powiedziała cicho, a on zrozumiał, że coś jednak zyskał.

- Byłem cholernym idiotą, Juliet! - powiedział impulsywnie. - Daj mi szansę. Zaczniemy od początku!

Juliet sięgnęła do zamka. Tym razem, niemal cudem kluczyk wszedł od razu.

- Usiąźmy w samochodzie - powiedziała.

Jeszcze tylko jeden problem - mruknął Dan dużo, dużo później. - Wiem, że brzydziłaś się mną jako reporterem. A potrafiłabyś żyć z policjantem?

- Policjantem?

Janet Tanner

- Przed wypadkiem byłem policjantem i szczerze mówiąc nigdy nie chciałem być nikim innym. Phil Gould twierdzi, że bez problemów przyjmą mnie teraz z powrotem. Jestem już zupełnie zdrowy. I nie mam więcej pretensji do policji.

- Dan...

- Nie mów, że ci się to nie podoba.

- Nie. Tylko trzeba się do tego przyzwyczaić. Zresztą do wielu rzeczy będę musiała się przyzwyczaić.

- Wiem. Głupio jakoś, prawda? Jeszcze godzinę temu nie umiałem ci powiedzieć, że cię kocham, a teraz wybrałem sobie cholernie dobry sposób, żeby cię poprosić o rękę.

Uśmiechnęła się.

- Nie przeklinaj przy mnie, Danie Deffains!

- Do tego pewnie też będziesz się musiała przyzwyczaić. Mój język często pozostawia wiele do życzenia. Ale dla ciebie postaram się pilnować.

Juliet wtuliła się w jego pierś, czując się tak, jakby wreszcie wróciła do domu.

- Nie, Dan. Nie chcę, żebyś cokolwiek zmienił.

A więc - powiedziała cicho Sophia - spełniło się moje życzenie. Zostajesz, Juliet.

- Tak. Mama i tata przyjeżdżają poznać Dana, więc znowu ich zobaczysz.

- Z początku to może być dość kłopotliwe po tylu latach - odrzekła Sophia. - Ale dobrze mieć choć na chwilę całą rodzinę blisko siebie. Wydaje mi się, że wszystko się świetnie ułożyło.

Wszyscy są szczęśliwi - ty, ja, Dan, a twoja ciotka Catherine wariuje z radości, że masz zamiar wyjść za syna jedynego człowieka, którego kochała. Tak, wszyscy są szczęśliwi.

Oprócz Seana, pomyślała Juliet Przypomniała sobie brzmienie jego głosu, kiedy do niego zadzwoniła i mu powiedziała. Życzyła mu szczęścia.

- Tak. - ciągnęła Sophia. - Wszyscy są szczęśliwi. Mam

OKO ZA OKO

575

nadzieję, moja droga, że zdołasz w końcu wybaczyć Deborze. Nie chcę, żebyś miała do mej żal.

- Chyba i tak bym nie zdołała - odparła Juliet z uśmiechem zakochanej kobiety. - W końcu, gdyby nie Debora, Dan i ja nigdy byśmy się nie spotkali.

- Powiedziałś mu całą prawdę?

- Jeszcze nie. Ale kiedyś mu powiem. Masz coś przeciwko temu?

Sophia pokręciła głową.

- Kochanie, ja całkowicie ufam Danowi. Tak jak jego ojcu. On wiedział, że to nie ja zabiłam Louisa, jestem pewna. Ale i tak zrobił to, o co go prosiłam. Z pewnością Dan postąpi tak samo.

Juliet przytaknęła. Ona także była tego pewna mimo bardzo kiepskich początków.

I co, rozwiązałeś tajemnicę rodziny Langlois? - spytał Phil Gould Dana Deffainsa.

- Och, oczywiście - odparł Dan z uśmiechem.

- I jak brzmi odpowiedź?

Dan Deffains, świeżo po ślubie i świeżo z powrotem w policji, potarł palcem grzbiet nosa i zachichotał.

- Daj spokój, Phil. Chyba się nie spodziewasz, że zdradzę ci rodzinne sekrety! Chodź, wypijemy jeszcze po kufelku. Ale szybko, bo muszę już wracać do domu.